



PETER W.  
BRETT

OTCHŁAŃ

OSTATECZNE ZWYCIĘSTWO  
NADEJDZIE Z GŁĘBI MROKU

II  
Księga



# PETER V. BRETT

Od dzieciństwa był fanem fantastyki, komiksów i gier fabularnych. W 1995 roku ukończył literaturę angielską i historię sztuki na Uniwersytecie w Buffalo. Następnie spędził ponad dziesięć lat, pracując w przemyśle farmaceutycznym. Mieszka na Manhattanie z żoną i dwiema córkami.

Autor bestsellerowego *Cyklademonicznego*. Powieścią *Malowany człowiek* rozpoczął inwazję na księgarskie rynki całego świata. Ledwie się ukazała, a prawa do wydania książki posiadły m.in. kraje Ameryki Północnej, Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Grecja, Japonia, Rosja, Polska, Czechy, Hiszpania, Węgry, Serbia, Włochy i Turcja.

Podkreśla, że jego pierwszą znaczącą lekturą – pozaszkolną i bez obrazków – był *Hobbit*. Po starszym bracie odziedziczył też komiksy *X-Men*. Pisarz uważa, że te dwa z pozoru mało znaczące fakty ukształtowały jego dorosłe życie.

*Otchłań* to ostateczna walka z demonami, które dziesiątkują ludzkość.

Oficjalna strona: [www.petervbrett.com](http://www.petervbrett.com)

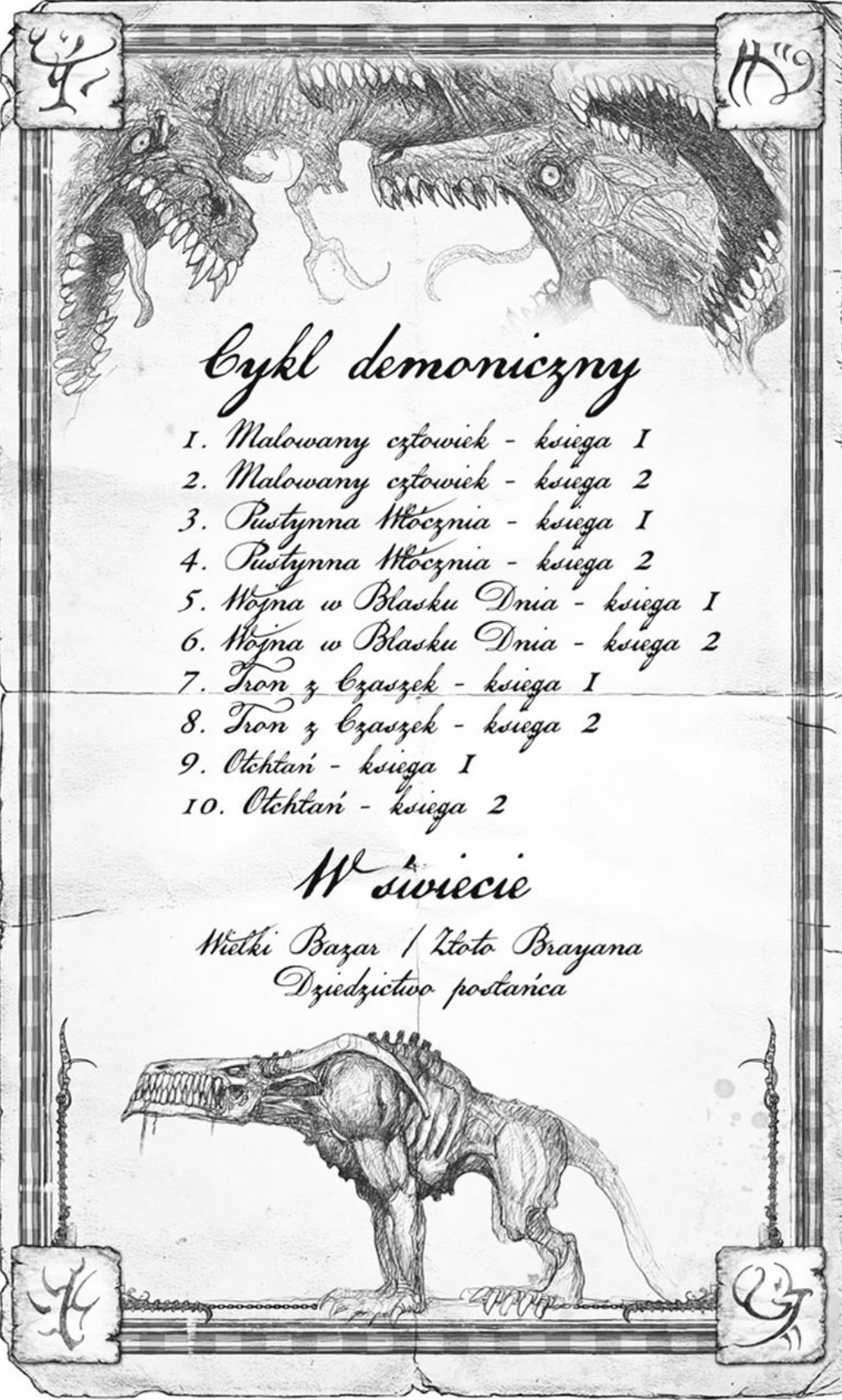
PETER V.  
BRETT  
OTCHŁAŃ

KSIĘGA DRUGA

PRZEŁOŻYŁ  
MARCIN MORTKA

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

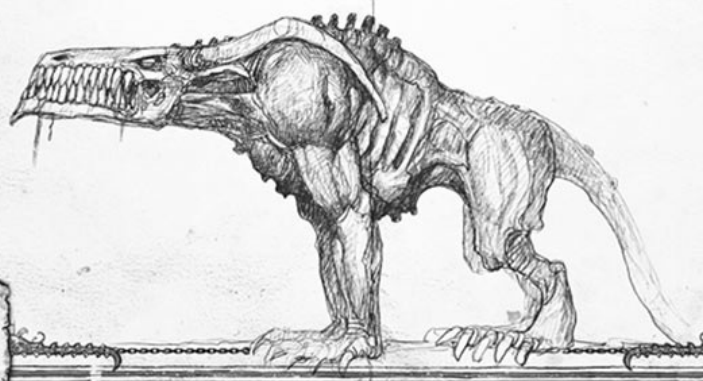


## Cykl demoniczny

1. Malowany człowiek - księga 1
2. Malowany człowiek - księga 2
3. Pustynna Młocznia - księga 1
4. Pustynna Młocznia - księga 2
5. Wojna w Blasku Dnia - księga 1
6. Wojna w Blasku Dnia - księga 2
7. Tron z Czaszek - księga 1
8. Tron z Czaszek - księga 2
9. Otchłani - księga 1
10. Otchłani - księga 2

## W świecie

Wielki Bazar / Łoto Brayana  
Dziedzictwo postarńca





Dla Sireny Lilith,  
która już zmienia moje życie na tysiące sposobów



## 25

# Wejście do Otchłani

334 ROK PLAGI

**U**kochana!  
Księżyc był jedynie wąskim różkiem srebrnego światła, gdy Jardir zatoczył krąg na nocnym niebie. Na ziemi widział hordy demonów, które dzięki magicznemu widzeniu korony przypominały jaśniejące pochodnie.

– Tu jestem, ukochany – odpowiedziała niemalże natychmiast Inevera.

– Zbliżamy się do bramy Otchłani – rzekł Jardir. – Jesteśmy daleko od cywilizacji, ale roi się tu od *alagai*. Magia potężnieje. Niewykluczone, że rozmawiamy po raz ostatni, a ja wkrótce znajdę się poza zasięgiem nawet Korony Kajiego.

Na ziemi Par'chin oraz jego Jiwah Ka, niewidoczni dla demonów dzięki mocy runów mieniających się na ich skórze, strzegli więzienia Alagai Ka – niewielkiego stalowego wozu, którym powoziła

Shanvah. Na burtach wozu ciągnęły się runy wymalowane przez Par'china, które jednocześnie więziły przewożone w nim zło, jak i czyniły sam wóz niewidzialnym dla zła, które je otaczało. Ojciec dziewczyny siedział obok niej, przykuty łańcuchami do ławki i wpatrzony tępo w dal.

Na wypadek gdyby te środki ostrożności nie wystarczyły, Shanvah otaczała ich śpiewem, wzmocnionym przez magiczny naszyjnik podarowany jej przez siostrę włóczni. Śpiewała ciągle ten sam wers „Pieśni o Nowiu” – piękną, smutną melodię, której nawet Jardir nie mógł się oprzeć.

Przyglądający im się z góry Jardir patrzył na potężne runy chroniące grupkę jego towarzyszy na ziemi. Dzięki magii swej korony widział, że jaśnieją jak nigdy wcześniej, zalewając światłem obszar wokół siebie. Magia Shanvah była nieco słabsza, lecz również wyraźna. Trasa *alagai*, które znalazły się w jej zasięgu, zauważalnie się zmieniała – śpiew dziewczyny delikatnie, niespostrzeżenie dla nich samych zmieniał kierunek ich marszu.

– Moja siostrzenica stała się niezwykle potężna – oznajmił Jardir. – Zaiste plan Everama jest niezbadany. Mam wojowników Włóczni Wybawiciela, którzy walczyli u mego boku przez ponad dwadzieścia lat, oraz tylu synów, że przypuszczalnie wszystkich chyba nie poznałem, a na wejście do Otchłani wraz ze mną decyduje się moja siostrzenica, ledwie dojrzała na tyle, żeby wyjść za męża. I to właśnie ona postanawia dźwigać ze mną ciężar Sharak Ka.

– Wybacz mi, ukochany, każde niemiłe słowo, które kiedykolwiek powiedziałam o twoich siostrach – rzekła Inevera. – Ich łona zrodziły bowiem trzy największe wojowniczkę, jakie kiedykolwiek stąpały po Ala.

– Niech Everam sprawi, żeby to wystarczyło.

– Wypałeś się? – spytała Inevera.

– Odpoczęliśmy przez godzinę, gdy słońce stało w zenicie – odparł Jardir.

– To nie wystarczy, mężu. Magia może przywrócić ci witalność, ale twój umysł potrzebuje snów. W przeciwnym razie owładnie nim



szaleństwo.

– A więc będę się modlił, żeby udało mi się je odepchnąć do czasu, gdy nasze zadanie dobiegnie końca – oznajmił Jardir. – Potem nie będzie już to miało większego znaczenia.

– Ależ oczywiście, że będzie miało! – zaprotestowała Inevera.

– Wyśpimy się niebawem – obiecał Jardir. – Jutro bowiem czeka nas Nów. Wtedy wypuścimy Alagai Ka, żeby poprowadził nas ścieżką w mrok, a potem obawiam się, że długo nie zaznamy snu. Będzie się liczyć jedynie zwycięstwo bądź śmierć.

– Gdzie jesteście?

– Na północ od góry, gdzie ja i Par'chin walczyliśmy w Domin Sharum. Kryje się tu wielka moc, ukochana. Już wiem, dlaczego Par'china coś do niej ciągnęło.

– Twój głos słabnie – zawołała Inevera. – Otwórz przede mną swoje serce po raz ostatni. Co czujesz, gdy zbliżasz się do wejścia do Otchłani?

– Zapał – odparł Jardir. Wyznał żonie prawdę, ale w sercu czuł coś jeszcze. – I lęk. Boję się, że cię zawiodę. Że zawiodę całą Ala. Że okażę się słaby, a Everam porzuci mnie w godzinie próby.

– Wszystkie dzieci Everama podzielają te lęki i tak będzie, dopóki istnieje Nie – stwierdziła Inevera. – Nikt zaś nie odczuwa tych wątpliwości bardziej od Wybawiciela. Niemniej pamiętaj, że przyglądam ci się przez całe życie, synu Hoshkamina. Jeśli ty nie udźwigniesz ciężaru Sharak Ka, nikt temu nie podoła.

Jardir przełknął włochatą kulę, która urosła w jego gardle.

– Dziękuję ci, ukochana.

– Podziękujesz mi, gdy...

Jej słowa nagle się urwały, a Jardir usłyszał już jedynie wiatr. Zatrzymał się, a potem cofnął, by na powrót nawiązać łączność, ale nie chciał za bardzo oddalać się od wozu.

Pod sobą miał przecież księcia demonów, którego uwięziono po trzykroć – magicznymi symbolami wytatuowanymi na skórze, runicznymi srebrnymi łańcuchami oraz wzmocnionymi magią stalowymi ścianami.

„Czeka was długa droga, a wy jesteście śmiertelnikami.

W pewnym momencie możecie stracić czujność, a ja wówczas się uwolnię” – obiecał im Alagai Ka.

Jardir nie mógł dopuścić, by ta przepowiednia się spełniła. Dwukrotnie walczyli z Alagai Ka i dwukrotnie księżę Nie niemal ich pokonał. Gdyby się wyrwał na wolność i wezwał pomoc, zaroiliby się od *alagai* i nawet wybrańcy Everama nie zdołaliby im sprostać.

– Żegnaj, ukochana – szepnął wiatrom Jardir i wrócił nad wóz, by nadal go strzec.

Zmierzali wzdłuż starożytnej drogi, którą odnaleźli na jednej z zakurzonych map Par’china. Wędrowali przez stepy i gęste bory, czasem zbaczali z traktu, by wyminąć wioski i obozy uchodźców, aż w końcu znaleźli się u stóp łańcucha zalesionych wzgórz. Droga, której nikt nie używał przez długie stulecia, wkrótce znikła wśród traw i chwastów. Czasem udało się natrafić na ścieżki szerokie na tyle, by udało się przepchnąć wóz, ale należało to do rzadkości.

Z tej wysokości Jardir niebawem wypatrzył coś interesującego. Otóż droga, po której od dłuższego czasu nie było ani śladu, pojawiała się znów przed nimi. Co ciekawe, nosiła ślady częstego i niedawnego użytkowania. Wzniósł się wyżej i niebawem zrozumiał przyczynę.

Uruchomił koronę i odezwał się do jadących w dole towarzyszy:

– Przed nami znajduje się wielka osada. Pilnujcie ojca demonów, a ja przeprowadzę zwiad.

– Damy sobie radę – odparł Par’chin.

Jardir pobrał więcej mocy z włóczni i pomknął ku odległej wsi. Po wielu tygodniach powolnej wędrówki dobrze było znów móc się rozpędzić.

Ukryta między drzewami wieś pojawiła się nagle i Jardir wyhamował tak gwałtownie, że aż targnęło jego ciałem. Osadę otaczał wieniec ogromnych, prastarych obelisków, z których każdy mierzył kilka jardów w obwodzie i ważył wiele ton. Wykute na nich runy mogły skutecznie zatrzymać *alagai*.

Nie to jednak zdumiało Jardira. Mężczyzna wisiał w powietrzu i z ogromnym zaskoczeniem wpatrywał się w runy i zabudowania,

które wykonano w stylu krasjańskim. Magiczne znaki nie przypominały stosowanych obecnie, podobnie jak architektura, przywodziły raczej na myśl Słońce Anocha. Czyżby patrzył na osadę wzniesioną przez zaginione plemię jego pobratymców? Cóż oni robili tak daleko na północy?

I dokąd się udali?



Shanvah, która została wysłana, by zbadać zabudowania, padła na kolana przed Jardirem.

– Nie ma żadnych śladów walki, Wybawicielu. Wygląda to tak, jakby wszyscy nagle zebrali swój dobytek i odeszli w pokoju.

Par'chin zmarszczył brwi.

– Trudno w sumie się dziwić. Wielu ludzi porzuciło swoje domy od czasu, kiedy przybyliście z pustyni, wymachując włóczniami.

Jardir zignorował przytyk.

– Ale tak daleko na północy, Par'chin? Wątpię, czy w ogóle dowiedzieli się o moim przybyciu!

– Wybawicielu – odezwała się Shanvah – czy to mogą być pozostałości Anoch Dahl?

Renna przechyliła głowę.

– Miasto... Ciemności? – spytała.

– Otóż to – zgodził się Jardir. – Kaji wznosił Anoch Dahl, żeby zaopatrzyć swoją armię, zanim ruszył do Otchłani.

„Odnajdziesz część Kajiego” – powiedziała Inevera. „Dar od swojego przodka, który poprowadzi cię przez mrok”.

Czy o tym mówiła przepowiednia jego żony? Czy patrzył na wskazówkę pozostawioną przez pierwszego Wybawiciela dla następców?

Par'chin odetchnął.

– A więc niby przetrwali w tym miejscu trzy tysiące lat tylko po to, żeby spakować się i odejść bez powodu... Kiedy? Rok temu?

- Mniej – powiedziała Shanvah. – Najwyżej kilka miesięcy.
- Czyli wtedy, gdy Alagai Ka uderzył zmasowanymi siłami podczas Nowiu – odgadł Jardir.
- To nie zbieg okoliczności – stwierdziła Renna. – To jasne jak słońce.
- Niebawem się dowiemy – odparł Jardir. – Musimy odpocząć, póki wciąż jest dzień. Być może będzie to nasz ostatni sen w życiu, gdyż dziś w nocy wypuścimy Alagai Ka.



Znienawidzona dzienna gwiazda zamieniła jego metalowe więzienie w duszną celę, w rozgrzany piec, w którym temperatura sięgała poziomów zabójczych dla ludzkiego bydła.

Gorąco mu przeszkadzało, ale było jedyną rzeczą, którą jeszcze potrafił jakoś znieść. Wszystkie inne aspekty niewoli Małżonka przerodziły się w koszmar. Choćby ten prymitywny pojazd, w którym go zamknięto. Każdy podskok na wybojach sprawiał, że srebrne łańcuchy napinały się mocniej, a wyryte na nich runy przeszywały demona kolejną falą bólu. Prześladowcy karmili go rzadko i zawsze dawali tylko mózgi zwierząt, a więc sam tłuszcz bez mięsa. Skuty był tak mocno, że musiał poświęcić resztki swej godności, by podpełznąć do posiłku, podczas gdy każdy ruch przeradzał się w następną torturę, a potem musiał wciskać twarz w obrzydliwe mięso, skwierczące w upale. Całe więzienie tym śmierdziało.

I to ich śpiewanie!

Małżonek nienawidził wszystkich swoich prześladowców, jednak najgorętszą nienawiścią zaczynał darzyć Śpiewaczkę. Jej głos, choć stłumiony przez metalowe ściany więzienia, wgryzał się głęboko nawet w potężny umysł demona, drażnił go i ranił.

Gdy Alagai Ka wśliznął się w myśli i wspomnienia samca, który spłodził Śpiewaczkę, poznał pełną gamę obrzydliwych uczuć,

którymi ten ją darzył – miłość, dumę i nadzieję. Dzięki temu znienawidził samicę i zapragnął ją skrzywdzić, jeszcze zanim usłyszał jej przekłety głos. Podobnie jak runy wojenne, ta pieśń była echem starożytnej magii, którą dwór umysłów od dawna uznawał za wytępioną. Docierała do najpierwotniejszych emocji i wwiercała się w nie, a to przyciągało magię. Jego własny gatunek dostarczał więc mocy, którą pieśń wykorzystywała później przeciwko nim.

Wystarczyło, by Małżonek raz usłyszał pieśń, a już miał ochotę rzucić się do ucieczki. Gdyby ludzkości udało się zwiększyć ten potencjał, trudno byłoby ich pokonać. Ba, po rozproszeniu roju mogłoby się to okazać całkiem niemożliwe.

Małżonek przypomniał sobie ogromne chóry Kavriego i zadrzał.

Łańcuchy ocierały się o jego skórę i paliły przy każdym ruchu. Przestał już leczyć swe poranione ciało – pozwalał, by obumierało i zasychało w ochronną skorupę. On sam zaś sięgał do cennych rezerw magii i tworzył pod nią dodatkowe warstwy skóry. Był to długotrwały proces, ale demon wiedział, że z czasem, po upływie wielu tygodni, doprowadziłby do zatarcia wytatuowanych runów, które wysysały jego własną moc. Nie wiedział tylko, czy zdoła doprowadzić proces do końca, czy też runy go najpierw zabiją.

Tymczasem mógł jedynie czekać w ciemnościach, w podskakującym na wybojach powozie. Nie miał pojęcia, dokąd zmierzają, a magiczne więzy uniemożliwiały mu zbadanie okolicy dzięki mocy własnego umysłu.

To było najbardziej niepokojące. Odkąd się wyklął, świadomość istniała niezależnie od jego ciała i mogła pokonywać ogromne odległości. Nigdy nie był sam, zawsze słyszał zew swoich niewolników i głosy braci.

Teraz nie słyszał niczego.

Jedynie pojawianie się i odchodzenie dziennej gwiazdy dawało mu jakieś poczucie mijającego czasu, ale to mu wystarczyło. Książę Małżonek wiedział, że nadchodzi Nów. Jeśli nie posadzą go wkrótce na niewolnika ze zniszczonym umysłem i nie rozpoczną drogi w dół, do dworu umysłów, wszystko pójdzie na marne.

Królowa szykowała się już bowiem do złożenia jaj, o ile już tego nie zrobiła.

Jeśli zaczęła składać jaja, wszyscy byli skazani na zagładę, a Małzonek w pierwszej kolejności. W przeciwnym razie wszyscy mieli interes w tym, by dotrzeć do niej jak najszybciej, i demon nie miał nic przeciwko temu, nawet jeżeli miał pokonać tę drogę w kajdanach. Wiedział, że gdy zejda w głąb Otchłani, gdzie magia była o wiele potężniejsza, a jego słudzy liczni, będzie miał więcej możliwości, by uciec.

Wóz nagle drgnął i zatrzymał się.



Księżę Małzonek zasyczał, gdy otworzyły się ciężkie drzwi wozu, a do środka wpadło światło gwiazd.

Jego pozbawione powiek oczy szybko przystosowały się do blasku i demon natychmiast zarejestrował ich położenie. Nawet najmłodszy spośród demonów umysłu uczyli się odczytywać pozycję znieawidzonych gwiazd. Nie sposób było wspiąć się w hierarchii na dworze umysłu bez zdobycia doświadczenia w wojnach toczonych na powierzchni.

Znajdowali się już blisko ścieżki prowadzącej w głąb.

Jego prześladowcy zgromadzili się przy wejściu. Widział Odkrywcę, Łowczynię, Dziedzica i przeklętą Śpiewaczkę. Obok nich stał skuty łańcuchami Shanjat, jego wierzchowiec.

– Fúj! Ależ tu śmierdzi! – Odkrywca skrzywił się i splunął na ziemię, lecz w jego aurze nie było ani śladu obrzydzenia. Człowiek chciał w ten sposób wzbudzić w Małzonku gniew, licząc, że ten niebacznie zdradzi jakieś cenne informacje.

Następnie Odkrywca ośmielił się położyć ręce na ciele Małzonka i wywlec go z wozu. Złapał za palące łańcuchy i cisnął na ziemię w samym środku kręgu. Noc była zimna, a w takiej bliskości ścieżki unosiły się silne prądy magii. Runy wyryte na skórze

demona umysłu natychmiast zaczęły ją wabić, a ciało znów zapłonęło, ale księżę znosił cierpienie. Pozwalał, by ciało mu obumierało, a sam smakował rozproszoną w powietrzu magię.

Jeden z braci Małżonka znajdował się niedaleko. Bez wątpienia pilnował tunelu, jednego z nielicznych, które kierowały na samo dno Otchłani, i jedyne go w promieniu kilkuset mil szerokiego na tyle, by prowadzić nim jeńców. Idealne miejsce na założenie roju pod warunkiem, iż rządzący nim demon umysłu był na tyle potężny, by móc obronić go przed rywalami.

Osobliwy posmak magii zdradził Małżonkowi, że demon czający się w pobliżu należał do jego rodu. Był to najstarszy osobnik z miotu, a zarazem najbardziej zaufany podwładny. Był w łaskach księcia Małżonka, przez co ten pozwolił mu żyć o wiele za długo, i stał się niezwykle potężny. Mógł zniszczyć ludzkich prześladowców pod warunkiem, że udałoby mu się ich zaskoczyć.

Małżonek przetoczył się i zatrzymał u stóp wierzchowca. Nie miał ochoty go dosiadać, głównie dlatego, iż chciał przypomnieć ludziom, że wcale nie mają nad nim władzy. Że w najważniejszym dla nich momencie nadal jest w stanie pokrzyżować im szyki, jeśli tylko tego zapragnie.

Nie na tym mu jednak zależało. Teraz musiał zyskać ich zaufanie i nawet ograniczony wpływ, jaki wywierał na swego wierzchowca, był czymś lepszym niż nic.

Dotknął stopy Shanjata, a gdy ich ciała się zetknęły, umysł Małżonka bez trudu wśliznął się do głowy niewolnika. Ten zdjął szatę, pochylił się i podniósł demona. Usadował go sobie na plecach i nakrył szatą, by ochronić przed blaskiem gwiazd.

Demon zamknął oczy i spojrzał na świat oczami niewolnika. Kończyny Shanjata były również spętane łańcuchami, przytwierdzonymi do szerokiego pasa.

Znajdowali się na terenie rozrodczym ludzi. Małżonek spustoszył kiedyś to miejsce, gdy sam pilnował tunelu kilka cykli temu. Pożarł wówczas umysł przywódcy miejscowego stada, dzięki czemu znał tu teraz każdy kąt.

– Dobra robota – pogratulował im warknięciami, które uchodziły

wśród nich za sposób komunikacji. – Jesteśmy blisko wejścia. Pokażę wam drogę.

– Aleś ty się nagle chętny do współpracy zrobił – odezwała się Łowczyni.

– Pragnę Otchłani tak, jak ryba pragnie wskoczyć do wody – rzekł książę Małzonek. – Lub tak jak ty pragniesz pożerać ciała moich pobratymców.

– To nieprawda! – Aura Łowczyni zapłonęła oburzeniem, co sprawiło demonowi wielką przyjemność. Tak łatwo było sprowokować ludzi.

– Twoje kłamstwa są pozbawione znaczenia – powiedział książę Małzonek. – Przecież to wręcz przebija z twojej aury. Wmawiasz sobie, że ruszasz na wyprawę, żeby ocalić swój rodzaj, podczas gdy tak naprawdę pragniesz tylko mocy i potęgi.

Łowczyni zacisnęła pięść, a zewsząd napłynęła ku niej magia. Nie musiała przywoływać jej wiele – wystarczyłaby odrobina przekazana do runów na skórze księcia Małzonka, by go zabić, ale mimo to ten patrzył na samicę bez lęku.

Odkrywca zareagował natychmiast.

– Daj spokój, Ren – odezwał się. – Nie pozwól, żeby zalał ci za skórę. Wiesz, jacy oni są.

Aura Łowczyni uspokoiła się, gdy ta usłyszała słowa mężczyzny.

– W porządku – rzekła.

– Co to za miejsce, demonie? – spytał Dziedzic, machnąwszy włócznią.

Małzonek nie spuszczał z niej oczu. Oczywiście jego prześladowcy mogli demona zabić na dziesiątki sposobów, ale on lękał się włóczni Kavriego od wielu tysięcy lat. Wszak tą bronią zgładzono jego własnego ojca.

– Poznaje tu ślady bytności mojego ludu. Co się z nimi stało?

Do głowy demona napłynęły tysiące kłamstw, lecz prawda była o wiele ciekawsza.

– To Anoch Dahl, miasto nocy. Tutaj zbierały się armie Kavriego i stąd zarządzał północną częścią swojego imperium, zanim to legło w ruinach. Pozostała tu zaledwie garstka ludzi, którzy strzegli



tunelu.

– Co się z nimi stało? – spytał ostro Dziedzic.

– Zapomnieli, czego właściwie strzegą i po co to robią – odparł książę Małzonek ustami kukły. – Stali się niedbali i lekkomyślni, czego wy też nie unikniecie, a ich bariera runiczna się rozluźniła. Przeniknąłem przez nią bez trudu, wśliznąłem się w ich umysły i poprowadziłem wszystkich na dwór umysłów, gdzie trafili do mojej osobistej spiżarni.

Jego słowa wzburzyły ludzi, co wyraźnie odbiło się w ich aurach. Spodobało mu się to.

– Skąd demon może to wszystko wiedzieć? – zapytała Śpiewaczka.

Książę obrócił ku niej oczy niewolnika.

– Bo pochłonął wspomnienia ich przywódcy tak, jak pożarł moje, córko. Przecież stąd wie o wstydzie, który mnie ogarnął, gdy twoja paskudna matka pokazała mi ciebie i powiedziała, że moje pierwsze dziecko to dziewczynka. Byłem tchórzem i nie zdobyłem się na to, żeby uderzyć twoją matkę, ale znalazłem *heasah*, która wyglądała tak jak ona, i wyładowałem swoją frustrację na niej.

– Kłamstwa! Kłamstwa ojca kłamstw! – warknęła Śpiewaczka, lecz w jej aurze mignęły wątpliwość oraz ból. Odgłos śmiechu ojca zranił ją jeszcze bardziej.

– Gwałciłem ją bez litości, aż urodziła mi bękarta, którego pokochałem o wiele bardziej niż ciebie.

Śpiewaczka wrzasnęła. Dźwięk wdarł się z furią w aurę demona. Shanjat padł na kolana i zakrył mu uszy, ale nawet pomimo cierpienia, jakie Śpiewaczka zadała księciu Małżonkowi, jej udręka przyniosła demonowi rozkosz. Ludzkie umysły są tak wrażliwe, tak delikatne... Wystarczy raz drapnąć, a samica całkiem się rozsypie.

Dziedzic położył Śpiewaczce rękę na ramieniu i ostry wrzask ucichł, a Małzonek nakazał niewolnikowi uśmiechnąć się do niej szeroko.

Błąd. Dziedzic uniósł włócznię i przesłał strumień mocy w runy wyryte na skórze księcia. Ból, który wywołały, był nie do zniesienia. Nie mógł dłużej się utrzymać na plecach swojego

wierzchowca. Przed upadkiem uratowało go tylko to, że zaplątał się w szaty niewolnika, ale kontrola nad mężczyzną również osłabła i człowiek przewrócił się wraz z demonem. Przygniótł go, wijąc się i miotając z bólu.

Potem, jak ręką odjął, ból znikł. Książę odzyskał panowanie nad ciałem człowieka, który powoli podniósł się na nogi, lecz chwilę później do akcji wkroczyła Łowczyni. Samica nakreśliła kilka runów i nagle książę miał wrażenie, że jego ciało stanęło w ogniu. Ponownie upadł na ziemię.

Agresja samicy poczyniła szkody w jego ciele, poważne szkody, których zaleczenie miało go kosztować sporo cennych zasobów magii. Pozostali przyglądali się temu obojętnie.

W końcu Łowczyni pobrała moc z powrotem, a wtedy odezwał się Odkrywca:

– Będziesz się odzywał tylko wtedy, gdy ktoś ci zada pytanie. Powiesz nam to, co będziemy chcieli usłyszeć, i zabierzesz nas tam, gdzie będziemy chcieli dotrzeć, a przez resztę czasu masz trzymać swój przeklęty pysk na kłódkę. W przeciwnym razie porzucimy cię na słońcu i sami znajdziemy drogę.

– Nigdy jej nie znajdziecie – oznajmił Małżonek. – Nawet i sto waszych lat by wam nie wystarczyło, a nie macie tyle czasu.

– A ci więźniowie, których wysłałeś? – W aurze Odkrywcy rozlewało się obrzydzenie. – Przeszli całą drogę na nogach?

Książę pokręcił głową niewolnika, by zaprzeczyć na ludzki sposób.

– Posłałem zmiennokształtnego, żeby przeprowadził ich przez... cóż, bardziej skomplikowane przeszkody. Naznaczyłem ich również, żeby wszyscy mieszkańcy ciemności wiedzieli, że to było należy do mnie.

– Jakie przeszkody? – spytał Odkrywca.

– Nawet gdy wasi przodkowie zapuścili się w mrok, czekała ich długa, niebezpieczna droga – odparł książę. – A pamiętajcie, że upłynęły tysiące lat, odkąd Kavri poprowadził swoje zastępy w głąb ziemi. Niektóre tunele się zawaliły, inne zostały zalane lub rozkopane. Tu i ówdzie ciągną się ostre przepaści. Mój

wierzchowiec może nie podołać, jeśli nadal będzie związany.

– Zobaczymy, co nas czeka, i wtedy będziemy podejmować decyzje – rzekł Odkrywca. – Na twoim miejscu nie liczyłbym jednak na to, że zdejmiesz mu kajdany.

– Prędzej czy później uwolnię się – obiecał im książę. – A wówczas urządzę sobie ucztę z waszych mózgów.

– Może i tak będzie – odezwała się Łowczyni, której aura znów zapłonęła. – I może rzeczywiście ci się to uda, a może to my cię dorwiemy i pożremy twój! – Wyszczrzyła zęby, które nie były wcale długie i ostre jak u demonów, a mimo to książę poczuł dreszcz lęku. – Jak myślisz, u nas zadziała to tak jak u ciebie? Nagle będziemy wiedzieć wszystko to, co ty? – pytała Łowczyni, wyciągając nóż zza pasa. Przedmiot krył w sobie niemałą moc, a Małżonek wyczuwał w nim wiele emocji tak silnych, że ostrze samo pobierało moc. – Na noc, a może my się do tego źle zabieramy? Może trzeba rozbić ci łeb i samym ruszyć w dół?

Zrobiła krok naprzód i książę Małżonek zrozumiał, że rozgrywka z jego winy zabrnęła za daleko. Łowczyni nie żartowała. Naprawdę była gotowa go zabić i pożreć jego starożytny umysł, od czego zapewne postradałaby zmysły.

Ten wniosek bynajmniej Małżonka nie uspokoił, ale jeśli miał zginąć, nie obchodziło go, co będzie się działo między ludźmi a demonami. Spojrzał na Odkrywcę i odnalazł w nim nieco więcej zdrowego rozsądku. Mężczyzna stanął między nim a swoją samicą.

– Oddychaj, Ren. Nikt z nas nie ma pojęcia, czy to zadziała.

W jej aurze nadal trwała burza. Łowczyni wciąż była napięta i nieprzewidywalna, ale powoli się odprężyła, a książę odetchnął z ulgą i przeniósł spojrzenie wierzchowca na Odkrywcę. Dziwnie się czuł, patrząc komuś w oczy, jednocześnie nie mogąc odczytać jego myśli. Jak to możliwe, że ludzie osiągnęli taką potęgę, władając jedynie tak podstawowymi zmysłami?

– Dla ciebie i dla mnie istnieje szybsza droga, Odkrywco – powiedział do niego cicho. – Pokonamy ją błyskawicznie i nie będziemy musieli marnować długich tygodni. Nie będziesz musiał ryzykować życia swojej samicy i waszego pomiotu.

– Udamy się tam razem bądź wcale – rzekł Dziedzic.

– On ci nie ufa – książę zwrócił się do Odkrywcy. – Przecież to widać w jego aurze. Boi się, że go zdradzisz. Że zdradzisz całą swoją rasę.

Wykrył napięcie, które panowało między samcami, widział wątpliwości. Nie byli wcale tak zjednoczeni, jak by się wydawało. Przechylił głowę kukły i spytał:

– Czy tego właśnie się boisz, Odkrywco? Czy obawiasz się tego, czym się możesz stać, gdy znajdziesz się tak blisko Otchłani? Ufasz sam sobie niewiele więcej niż twój tak zwany sojusznik!

Odkrywca dłonią przywołał magię, którą wtłoczył w runy księcia. Niosący go niewolnik padł na ziemię i przez moment obaj zwijali się, tarzali i wyli z bólu. Demon poczuł smak krwi i uzmysłowił sobie, że kukła przegryzła własny język.

– Ostrzegalem cię – odezwał się Odkrywca i pobrał moc z powrotem. – Nie odzywaj się, gdy nikt cię o to nie prosił. Jedynym, któremu nie ufamy, jesteś ty.

– A mimo to prosisz mnie o poprowadzenie was w głąb Otchłani – rzekł książę, nadal wpijając się w leżącego na ziemi niewolnika.

– Takie to czasy – stwierdziła Łowczyni.

Małżonek się zastanowił. Mógł poprowadzić ludzi tunelem tam, gdzie czekało jego potomstwo, i być może skazać je tym samym na zagładę. Ale co począłby jego rywal, gdyby ujrzał księcia skutego i bezsilnego? Czy by go ocalił? Nigdy w życiu. Postąpiłby tak jak każdy inny demon umysłu w tej sytuacji – zabiłby księcia i pożarł jego umysł, dzięki czemu zyskałby moc, by wrócić do Otchłani, zając miejsce ojca i spłodzić własne pokolenie demonów.

– Tunel jest strzeżony – wywarczał.

– W jaki sposób? – spytał Odkrywca.

– Nie czujecie tego? Pilnuje go jeden z moich potomków. Nawet ja wyczuwam jego obecność, choć jestem związany i okaleczony.

Ludzie zamarli i przechylili głowy, jakby nasłuchiwali. Książę mógł skorzystać z okazji i rzucić się do ucieczki, ale był nazbyt osłabiony, a poza tym obawiał się, że Łowczyni zrealizuje swoją obietnicę.

– Słyszę go – rzekł Dziedzic po chwili. – Szept w nocnym wietrze.

Odkrywca zmarszczył brwi. Widać nieczęsto się zdarzało, by ktoś był lepszy w sztuce posługiwania się magią. Dysponował w istocie większym talentem, ale artefakty Dziedzica nie były zwykłymi błyskotkami. Ich potęgę wzmacniała wiara milionów ludzi, wyczuwalna nawet po tylu latach.

– O, mam – odezwał się Odkrywca.

– A ja nie – warknęła Łowczyni.

– Książątko chowa się za runami tak jak my – powiedział Dziedzic.

– Pobieraj i odczytuj płynącą magię, ale nie szukaj niczego konkretnego – dodał Odkrywca. – Szukaj zamiast tego pustki, czegoś na kształt wielkiej dziury pośrodku drogi.

Łowczyni ponownie zamknęła oczy, a na jej obliczu pojawił się zwierzęcy grymas koncentracji. W końcu rozchyliła powieki i wskazała tunel.

– Tędy.

Dziedzic odwrócił się do Śpiewaczki.

– Shanvah?

Aurę samicy wypełnił wstyd, co przyniosło księciu wielką rozkosz. Ukłoniła się i powiedziała:

– Wybacz mi, Wybawicielu. Wy troje macie sześć zmysłów, Everam postanowił obdarować mnie jedynie pięcioma.

– Nie przejmuj się tym – rzekł Odkrywca. – I pomyśl, że żadne z nas nie potrafi śpiewać.

Demon z trudem powstrzymał ochotę, by pokazać na obliczu kukły obrzydzenie i pogardę. Ci ludzie nie mieli wielkiego pojęcia o mocy, a ich pojmowanie zjawiska było w najlepszym razie podstawowe. Nawet najniższa kasta niewolników w Otchłani instynktownie lepiej rozumiała istotę magii niż najlepsi przedstawiciele ludzkości.

Książę Małżonek znakomicie blokował emocje, gdyż umiejętność ta leżała u podstaw sztuki kontrolowania magii, a mimo to stłumienie poczucia wstydu kosztowało go sporo wysiłku. Nie mógł się pogodzić z tym, że został zaskoczony i złapany przez zwykłe

zwierzęta.

Niemniej wnioszek przynosił również odrobinę nadziei. Skoro jego prześladowcy ledwie potrafili odczytywać magiczne prądy, książę mógł sięgnąć do obszernego zasobu subtelnych sztuczek magicznych i posługiwać się nimi tak, by nikt z nich tego nie zauważył. Jedynym kłopotem było źródło mocy. Runy na skórze Małzonka nie pozwalały mu na pobieranie ani na sięgnięcie do wewnętrznych zasobów mocy. Mógł działać przez swego niewolnika, ale Shanjat, choć zdrowy i silny, nie miał na sobie żadnych runów, a jego wolna wola została doszczętnie złamana. Nie dało się go wykorzystać do celów magicznych. Aby posłużyć się mocą, Małzonek potrzebował więc przedmiotów takich jak te, z których korzystali jego prześladowcy.

Gdyby odwrócił ich uwagę na chwilę, mógłby sięgnąć po któryś z nich i przytrzymać na tyle długo, by tchnąć moc w magiczne symbole. Runami obronnymi się nie przejmował, gdyż działał przez swojego sługę.

Uznał jednak, że tym wyzwaniem zajmie się później. Na razie miał o wiele pilniejszy problem.

– Jeśli chcecie zejść tym tunelem w głąb świata mroku, będziecie musieli wpierw wyeliminować mój pomiot.

Odkrywca odwrócił się ku księciu.

– I niby mamy ci uwierzyć, że pomożesz nam zabić własnego syna? A może już go ostrzegłeś przed naszym nadejściem i wprowadzasz nas w pułapkę?

– Zrobiłbym to bez wahania, człowieku – rzekł Małzonek. – Ale jeśli mój potomek wyczuje mój osłabiony stan, nie zawaha się mnie również zabić.

– Własnego ojca? – spytał z niedowierzaniem Odkrywca. Jego aura jaśniała obrzydzeniem wobec zwyczajów panujących wśród demonów.

– Lepiej w to uwierz – odparła Łowczyni.

– Posłuchaj swojej samicy, człowieku. – Kukła odwróciła się ku Dziedzicowi i uśmiechnęła. – Z pewnością nie będzie to pierwszy książę, który jest gotów zabić, żeby przejąć tron swojego ojca.

Strzelał na ślepo, lecz aura Dziedzica natychmiast pokazała mu, że się nie pomylił. Dumne potomstwo Dziedzica pod jego nieobecność rozpoczęło wojny między sobą, podobnie jak na dworze umysłów. Bunt na powierzchni wszedł w fazę, w której demonom łatwo będzie go zmiążdżyć.

– Jeśli mój potomek znajdzie mnie związanego, z radością pożre mój umysł, żeby odebrać mi moc i zwiększyć nią własną. Wówczas żadne z was nie ma z nim szans. Pożre wtedy także i wasze umysły i dowie się wszystkiego o waszych rodakach. Pozna wasze plany i powróci do Otchłani, żeby uformować kolejne pokolenie demonów wedle swoich potrzeb. Te szybko dojrzeją i pojawią się na powierzchni, żeby ją spacyfikować na długo przed tym, zanim wasze prymitywne wielkie runy rozrosną się niebotycznie.

Jego prześladowcy wymienili spojrzenia.

– Wracaj do swojego więzienia, książę kłamstw – oznajmił Dziedzic i pchnął ogromną moc w runy.

Demon i jego wierzchowiec padli na ziemię, znów wijąc się w męce. Odkrywca podszedł bliżej i oderwał go od człowieka, ale Małzonek był ledwie świadom płonącego bólu, zadawanego mu przez łańcuchy. Tuż przed tym, zanim został podniesiony, jego pazur natrafił na jakiś przedmiot, zawieszony na rzemyku na szyi kukły i niemalże niewidoczny pomiędzy potężnymi mięśniami karku.

Śpiewaczka popełniła zasadniczy błąd. Sądziła bowiem, że fiołka z jej łzami, zawieszona na szyi ojca, ma jedynie symboliczny charakter, lecz tak naprawdę butelecza kryła w sobie prawdziwą moc. Nie było jej wiele, ale przepajał ją smutek młodej samicy, przez co przedmiot potrafił pobierać i przechowywać magię. Niewolnik demona, którego nie więziły runy na skórze księcia, mógł więc pochwycić butelkę i wykorzystać ją, by natchnąć mocą serię runów.

Być może to wystarczy, by wyrwać się na wolność.



Arlen trzykrotnie sprawdził runy, zanim zamknął Alagai Ka ponownie w wozie ze stalowymi ścianami. Zabezpieczenie było silne, jednak Arlen wiedział, do czego demony umysłu są zdolne. Jeśli czający się w tunelu myślak wykryje wóz i domyśli się, kto jest przetrzymywany w środku, bez trudu spenetruje ich system obronny.

Po Jardirze widać było napięcie.

– Nie ufam temu słudze Nie – oznajmił.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbyś mu zaufać – odparł Arlen.

– Trzymaliśmy go w zamknięciu od miesiący – rzekł Jardir. – Skąd wiedział o moich synach?

– Nie sądzę, żeby to wiedział. – Arlen wzruszył ramionami. – Zakładam, że wymyślił kilka rzeczy na podstawie wspomnień Shanjata, a twoja aura to potwierdziła.

– A może to my nie powinniśmy tyle gadać w obecności Shanjata? – zastanowiła się Renna.

– Będziemy musieli naprawdę uważać – rzekł Arlen. – Przecież nie zabierzemy tego wozu ze sobą. Póki co jednak mam do ciebie prośbę, Ren. Popilnujcie z Shanvah wozu, a ja z Ahmannem udamy się do tunelu, żeby zabić tego demona.

– Jasne – parsknęła Renna. – Znakomity plan. Na wypadek gdybyś zapomniał: ostatnim razem, kiedy dostrzegł nas demon umysłu, ledwie daliśmy mu radę we trójkę.

– Jeśli to zasadzka, nie mamy większych szans z demonem, który siedzi w tak wielkim tunelu magii – powiedział Arlen. – Chcę więc, żebyś była tutaj.

– Dlaczego? – spytała Renna.

– Jeśli zginiemy, musisz zabić Alagai Ka. Rozszarp go na strzępy, żeby nie zostało z niego nic, co ten drugi mógłby pożreć.

– Demonie łajno! – warknęła Renna. – Shanvah sama da sobie



z tym radę. Ty po prostu nie chcesz, żebym z tobą poszła, i tyle!

– A dziwisz mi się? – spytał Arlen. – Na Stwórcę, Ren, przecież już widać, że jesteś w ciąży.

– A właśnie że nie – odparła Renna. – Tylko trochę przybrałam na wadze. Ostatnio jem za dwoje.

– Przecież jestem w stanie wejrzeć w twój brzuch – rzekł Arlen. – Dziecko nie powinno się tak szybko rozwijać. To samo przytrafiło się Leeshy. Urodziła kilka miesięcy za wcześnie.

Nie zdążył dokończyć zdania, a już wiedział, że to błąd. Wspominanie Leeshy w jakiegokolwiek kłótni nic mu jeszcze nie dało.

– Jeśli wierzyć temu, co gadają ludzie, aż do samego końca rozwalala demony i kopała *dama* po łbach – odparła Renna. – Czyli co, Arlen? Twierdzisz, że nie jestem tak twarda jak ona?

– Leesha znalazła się w niebezpieczeństwie i musiała walczyć o przeżycie – stwierdził Arlen. – Bynajmniej nie ruszyła w głąb Otchłani w poszukiwaniu porządnej bijatyki.

– To wszystko przez gadaninę tego demona – oświadczyła Renna. – Chce nas rozbić! Chce nas osłabić!

– Nie oznacza to, że się myli – powiedział Arlen. – Demony umysły właśnie takie są. Walą ci prawdę prosto w oczy wtedy, gdy zaboli cię najbardziej.

– I właśnie wtedy trzeba im się najmocniej opierać, Par'chin – wtrącił się Jardir. – Twoja *jiwah* jest zbyt potężna, żeby ją pozostawić, i sam dobrze o tym wiesz. Nikt jej nie zastąpi, a nam przyda się pomoc. Wszyscy musimy zdobywać się na poświęcenie.

Arlen wbił w Ahmanna gniewne spojrzenie.

– Łatwo ci mówić. Świat jest pełen twoich żon i dzieci, a ja mam tylko ich dwoje.

– A wydaje ci się, że z lekkim sercem zabieram do Otchłani siostrzenicę, która ledwie dorosła do małżeństwa? – spytał Jardir. – Myślisz, że cieszę się z tego, że mój jedyny wnuk wędruje na plecach matki prosto w gniazdo żmij ze względu na jakiegoś *khaffit*?

– Nie udawaj, że to jedno i to samo – warknął Arlen. – Zabrałbyś

do Otchłani Olive?

Jardir nie zawahał się.

– Gdybym wiedział, że to choć odrobinę zwiększy nasze szanse w walce z Alagai'ting Ka, tak, Par'chin. Zabrałbym wszystkie swoje żony i wszystkie dzieci, żeby móc ujrzeć jej śmierć. Oto, co znaczy być wyznawcą Everama. Nie ma rzeczy ważniejszej od Pierwszej Wojny. Zresztą Inevera rzucała kośćmi umazanymi w krwi twojej *jiwah*. Musi zejść z nami do Otchłani. W przeciwnym razie nasza szansa na zwycięstwo zmniejszy się z niewielkiej do niemalże zerowej.

W aurze Jardira widniały nadzieja oraz pewność siebie, co przepełniło serce Arlena przekonaniem, ale i zazdrością.

Jakie proste by było życie, gdyby ufać tylko przeznaczeniu.

– To moja decyzja – rzekła Renna.

– Tak, ale nie musi mi się to podobać. Powinniśmy zostać na farmie ojca i doglądać zbiorów. Powinienem odczekać dziewięć miesięcy ciąży jak każdy inny głupiec, który stąpa po tej ziemi.

– Przez całe życie o niczym innym nie marzyłam – powiedziała Renna. – A głupkiem w istocie jesteś, bo uciekłeś z tego gospodarstwa i rozpocząłeś to zamieszanie. Teraz wspólnie je zakończmy. Gospodarstwo twojego ojca nie jest bezpiecznym miejscem. Zresztą nigdzie nie jest bezpiecznie, póki nie zakończmy tego, co zaczęliśmy.

– W porządku – wykrztusił Arlen. – Ale jakoś nie przypominam sobie, żeby te przekłete kości powiedziały cokolwiek o tym, że wolno ci zostać przy wozie, gdy będziemy otwierać bramę.

Renna założyła ramiona na piersi.

– Nie powstrzymasz mnie. Pójdę za wami, chyba że zamkniecie mnie z tym demonem.

Arlen zacisnął pięści. Ragen i Elissa wielokrotnie opowiadali mu, że małżeństwo to trudne wyzwanie, zmuszające do wielu kompromisów, ale nigdy tak naprawdę nie zrozumiał ich słów, dopóki sam nie związał się z Renną.



Nim rozpoczęli wspinaczkę, Arlen wlał magię w runy dezorientacji i niewidzialności. Czuł, jak książę demonów omiata okolicę mocą swego umysłu, ale nie wyglądało na to, że ich szuka.

Renna również zasilila swe runy. Gdy na nią spoglądał, wydawała się wręcz niematerialna, niczym odbicie w oknie, a gdy próbował skupić uwagę na jakimś szczególe, zaczynało mu się kręcić w głowie. Gdy zerkał na Rennę kątem oka, nie widział jej prawie wcale.

Powiedziała Arlenowi, że postrzega go podobnie. Runy, które nosili na skórze, miały oddziaływać na demony, ale spożywane demonie mięso stało się częścią ich samych, a przez to runy również zaczęły wpływać na oboje.

Szli blisko siebie, by się nie pogubić, a Jardir, uzbrojony w magiczne widzenie korony, bez trudu śledził ich wzrokiem. Unosił się wysoko nad nimi i patrzył, jak zbliżają się do wejścia do tunelu.

Arlen wciąż nie mógł pogodzić się z tym, że Jardir pierwszy usłyszał szept demona na nocnym wietrze. Im więcej czasu spędzał przy Koronie i Włóczni Kajiego, tym bardziej szanował pierwszą Damajah, która stworzyła je tysiące lat temu. Arlen mógł bez fałszywej skromności nazwać się największym znawcą runów swych czasów, ale w porównaniu z całą orkiestrą magii, która tętniła w tych artefaktach, był jedynie dzieckiem wybijającym rytm na bębenku. Jardir nie potrafił się dematerializować, lecz dzięki coraz lepszej znajomości tajników korony i włóczni odkrywał moce, których Arlen nie był w stanie odtworzyć.

Dotarli na skraj bariery stworzonej przez demona umysłu, na którą składały się runy wyryte przez drzewne otchłańce na pniach drzew. Miejsce przyciągało uwagę swoimi rozmiarami, a także ogromną ilością mocy, wylewającej się z tunelu. Arlen mógł wejrzeć w głąb bariery własnymi oczami, ale gdy wspomógł je mocą runów,

widział w tym miejscu gęstą, jaśniejącą mgłę.

Wyczuł, że magia bariery ma na celu powstrzymanie ludzi, nie demonów. Każdy człowiek, który usiłowałby ją pokonać, zostałby odrzucony bolesnym rozbłyskiem mocy, a to jednocześnie zaalarmowałoby demona.

Jardir też się zatrzymał. Arlen widział, jak unosi się na skraju bariery i przygląda jej z góry. Renna wskazała Krasjanina.

– Chcę zobaczyć to, co on.

Arlen ujął żonę za rękę.

– Pamiętaj, żeby nie przeobrazić się w mgłę do końca!

– Mówiłeś mi to tysiąc razy – zirytowała się. – Jeśli przesadzę, nasze runy zawiodą, a demon zorientuje się w sytuacji i wyda nam bitwę na umyśle.

– Nikt z nas nie ma na taką bitwę ochoty, zwłaszcza że demon osłonił się barierą – rzekł Arlen. – Trzeba unikać prowokacji.

– Będę uważać.

Rozpłynęli się więc częściowo. Utrzymali gęstość ciał na takim poziomie, by ich runy wciąż pozostały aktywne, ale mimo to stali się lżejsi od powietrza. Niczym para zakochanych na wiejskim festiwalu, odbili się i trzymając się za ręce, popłynęli ku Jardirowi.

Nocne niebo było czyste i choć jedynym źródłem światła pozostawał blask gwiazd, bystre oczy Arlena szybko wykryły wąską ścieżkę prowadzącą do wejścia do tunelu. Jaskinia okazała się mniejsza, niż się spodziewał, ale była z niej ogromna moc, tak wielka, iż nawet książę demonów nie zdołałby jej zamaskować. Wokół jaskini wznosiły się starożytne kamienne kolumny, runy na ich powierzchni były spękane i nieczytelne.

– Wejście do Otchłani – szepnął Jardir z nabożną czcią. – Kolejne święte miejsce zbezczeszczone przez *alagai*.

– Ty tu jesteś generałem – rzekł Arlen. – Jak chcesz to rozegrać? Jardir się zastanowił.

– Gdy książęta otchłańców przybyli do Lenna Everama podczas Nowiu, wycinali wielkie runy w polach, podobnie jak ten demon tutaj. Dzięki mocy mojej korony mogłem je przeniknąć.

– Potrafisz dokonać wyłomu w tej barierze tak, by demon cię nie

wykrył? – spytał Arlen.

– Nie wiem. – Jardir zmarszczył brwi. – Poprzedni książę był słabszy, a jego bariera niedokończona. Poza tym dał się zaskoczyć. Ten tu jest gotowy na wszystko. Wyczuwam jego wolę.

– Mogę go czymś zająć – zaproponował Arlen. – Pchnę potężną porcję mocy, która rozpali całą barierę. Jeśli zdążysz się prześliznąć w tym samym momencie, demon cię nie zauważy.

– Nie ty go zajmiesz, ale my się tym zajmiemy – poprawiła męża Renna. – Ten myślak przyłoży ci, ledwie dotkniesz jego bariery. Sam powiedziałeś, że rozpraszanie się to wielkie ryzyko.

– Tym bardziej więc powinnaś się trzymać z daleka – zaprotestował Arlen.

Renna potrząsnęła głową i rzekła:

– Przeniosę się na drugą stronę góry i sama puszcę porcję mocy trzy uderzenia serca po twojej. Zdążysz bez problemu uciec. Będziemy uderzać w niego raz za razem, aż Jardir go utłucze.

– Długo się tak nie da – stwierdził Arlen.

– Nie będziecie długo czekać – obiecał Jardir. – Będę szybki niczym włącznia Everama!

Arlen powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Postaraj się.

– Skoro nie pokładasz wiary w Everamie – rzekł Jardir – zaufaj swemu *ajin'pal*. Ruszajcie.

Arlen uściśnął dłoń żony. Ta, choć dla reszty świata była równie krucha i ulotna jak mydliny, jemu wciąż wydawała się twarda i materialna. Ich spojrzenia spotkały się, a potem Renna odwróciła się i odleciała. Jardir naciągnął swój płaszcz niewidzialności i zniknął na oczach Arlena, a on sam cofnął się i odleciał spory kawałek w kierunku przeciwnym do tego, w którym udała się Renna.

Zawisł nad drzewami na skraju bariery i rozpoczął pobieranie. Magia, która spieniona wypływała z tunelu, była tak gęsta i napłynęła w tak wielkiej ilości, że przez moment Arlen był pewien, że książę demonów wszystko usłyszał. Cisnął mocą z całej siły w barierę, a ta zapłonęła jak konstelacja gwiazd.

Arlen błyskawicznie uskokzył w bok i odleciał spory dystans, co okazało się dobrym pomysłem, bo z wejścia do jaskini natychmiast wystrzeliła wiązka magii wycelowana w miejsce, w którym przed momentem się znajdował. Moc demona rozrywała pnie drzew i wywołała pożar na sporym obszarze.

Nim blask przygasł, z kierunku, w którym odleciała Renna, dobiegła kolejna eksplozja. Demon odpowiedział ogniem, tym razem w stronę dziewczyny, ale Arlen nie wątpił, że udało jej się uskokzyć. Pobrał więcej mocy i uderzył po raz drugi. Bariera wytrzymała, lecz tym razem nie było już odpowiedzi. Z jaskini dobiegł wściekły wrzask i Arlen zamarł, zapominając o oddychaniu. Czy Jardirowi udało się już ugodzić demona?

Wrzaski bynajmniej nie cichły, stawały się coraz głośniejsze, bardziej przenikliwe i ogłuszające. Pięści Arlena pobieleły, gdy nagle pojawiły się setki wichrzaków, małych, lecz szybkich i zwinnych. Ich skórzaste skrzydła biły mocno w powietrzu.

Pojawiało się ich coraz więcej, aż Arlen był przekonany, że patrzy na tysiące osobników. Demony, poruszając się z przerażającą synchronizacją, podzieliły się na dwie gęste grupy, z których każda ruszyła w przeciwnym kierunku wzdłuż krawędzi bariery. Towarzyszyły im zmiennokształtne, które jaśniały bardziej od pozostałych.

– Niech to Otchłań pochłonie! – Arlen splunął na wietrze.

Tak ogromna chmara demonów była w stanie pochłoniąć ich i zniszczyć w dosłownie kilka chwil. Wystarczy, by któryś z wichrowych otchłańców natknął się na niego czy Renne, a księżę natychmiast poznałby ich pozycję.

– Szybki jak włócznia Everama, co? – burknął i wystrzelił naprzód.

Musiał znaleźć Renne.



Renna znalazła się tak blisko wylądowania mocy, że poczuła, jak żar opala jej stopy, ale natychmiast zwiększyła wysokość i pomknęła z powrotem, by uniknąć kontrataku demona. W centrum jaskini widziała teraz jaśniejącą magię, co oznaczało, że demon pobierał z głębi tunelu. Żadna istota nie była w stanie zabsorbować takiej ilości mocy na długo, ale przez krótką chwilę czyniło to demona nieprawdopodobnie silnym.

Potem z jaskini wysypały się wichrzaki.

Z daleka wyglądały jak nietoperze, które szukały schronienia w stodole jej ojca, ale gdy się zbliżyły, zauważyła, że są rozmiarów psów. Ostre łuski skrywały potężne, nabite mięśnie, a w pyskach ziały serie kłów.

Renna wzbiła się jeszcze wyżej, a demony poleciały w obu kierunkach wzdłuż bariery swojego księcia, rozprzestrzeniając się z każdą chwilą, co stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo dla niej i dla Arlena, o ile już go nie dorwały. Magia w głębi jaskini zaczęła złowrogo pulsować.

Mknąca przed siebie Renna pospiesznie nakreśliła runy wiatru i roztrąciła najbliższe otchłańce. W ciasnej formacji zapanował chaos, ale demonów było zbyt wiele, by magia Renny mogła je zatrzymać.

Spojrzała w górę i zobaczyła drugie stado doganiające Arlena. Jej mąż odwrócił się i przekazał moc w runy wiatru, aż jego tatuaże zapłonęły oślepiającym srebrem. Demony wpadały na niewidzialną przeszkodę, odbijały się od niej, zderzały ze sobą w powietrzu. Blask powoli przygasł, a wówczas Renna ujrzała, że Arlen wyrwał się z roju i pędził w jej kierunku.

Tymczasem chmura demonów ogarniała również Rennę. Pchnęła moc w runy wiatru podobnie jak Arlen przed chwilą – bestie odbijały się od nich i koziołkowały w powietrzu, ale jeden zdołał się prześliznąć, zderzył się z dziewczyną i oplótł wokół niej, przeobrażając się przy tym w węża.

Obciążona cielskiem otchłańca Renna zaczęła spadać. Przesłała moc do runów chroniących przed zmiennokształtnymi, ale zwoje demona nie zelzały ani odrobinę i nadal ciągnął ją w dół. Mknęli ku

ziemi.

– Ren! – wrzasnął Arlen. Nie miał szans dogonić jej przed zderzeniem z powierzchnią.

Renna napięła mięśnie i wzmocniła kości magią, mając nadzieję, że zdoła jakoś przeżyć upadek.

Wówczas moc z jaskini buchnęła po raz ostatni. Rozlała się niczym krąg na wodzie, niosąc wrzask bóleści, którego zwykły człowiek nie zdołałby usłyszeć. Renna spotkała się już z czymś takim i wiedziała, że to fala uderzeniowa wywołana cierpieniem umierającego księcia umysłu. Fala magii przetoczyła się przez chmurę latających demonów, strącając je z nieba, aż w końcu dosięgła również zmiennokształtnego, który poluźnił chwyt.

Renna oderwała się od otchłańca, a on, koziółkując, runął w drzewa. Rozległa się seria eksplozji, gdy Jardir pobrał moc z tunelu, by nasycić ogromne runy uderzenia i zniszczyć pnie, które stanowiły najistotniejsze elementy bariery stworzonej przez myślaka. Chwilę później bariera znikła, a Renna pomknęła ku jaskini. Arlen leciał tuż za nią.

Oboje zatrzymali się przed wejściem. Twarz Arlena była ponura i Renna już szykowała się na kolejną kłótnię, ale jej mąż nie odezwał się ani słowem. Swoją uwagę w całości skupiał na wejściu.

Kolumny po obu stronach otworu, poznaczone zębem czasu i uderzeniami pazurów otchłańców, bez wątpienia wyszły spod rąk krasjańskich artystów. Renna ponadto dostrzegła, że skała wokół wejścia została uformowana na podobieństwo demoniego łba, tu i ówdzie nadkruszonego, ale nadal wyraźnego. Sam otwór znajdował się w kamiennej paszczy.

Arlen zatrzymał się tuż przy Rennie.

– Wygląda na to, że Otchłań w istocie ma ochotę nas pożreć.

– Byłabym trochę rozczarowana, gdyby się okazało, że to tylko jaskinia – oznajmiła Renna.

Jej runy pojaśniały, gdy pobrała kłębiącą się w okolicy magię, gotowa na wszystko. Potem oboje weszli do środka.

Jardir czekał tam na nich, trzymając włócznie nad ciałem demona umysłu. Opuścił broń na ich widok.



– Były tu jeszcze dwa zmiennokształtne, ale zdechły wraz ze śmiercią swojego pana.

– Tak jak te nietoperze na zewnątrz. – Arlen pokiwał głową.

– Inne zmiennokształtne mogły jednak przeżyć – powiedziała Renna. – Kto tam wie, czy nie było jakiegoś poza zasięgiem fali uderzeniowej.

Jardir przytaknął i rzekł:

– Lepiej wróćmy szybko po Shanvah i naszego więźnia, zanim ewentualne niedobitki dojdą do siebie.

– Powinniśmy podciągnąć wóz aż pod wejście do jaskini – oznajmił Arlen. – Wystarczy, że jakiś zmiennokształtny zbliży się do Alagai Ka, i już po nas.

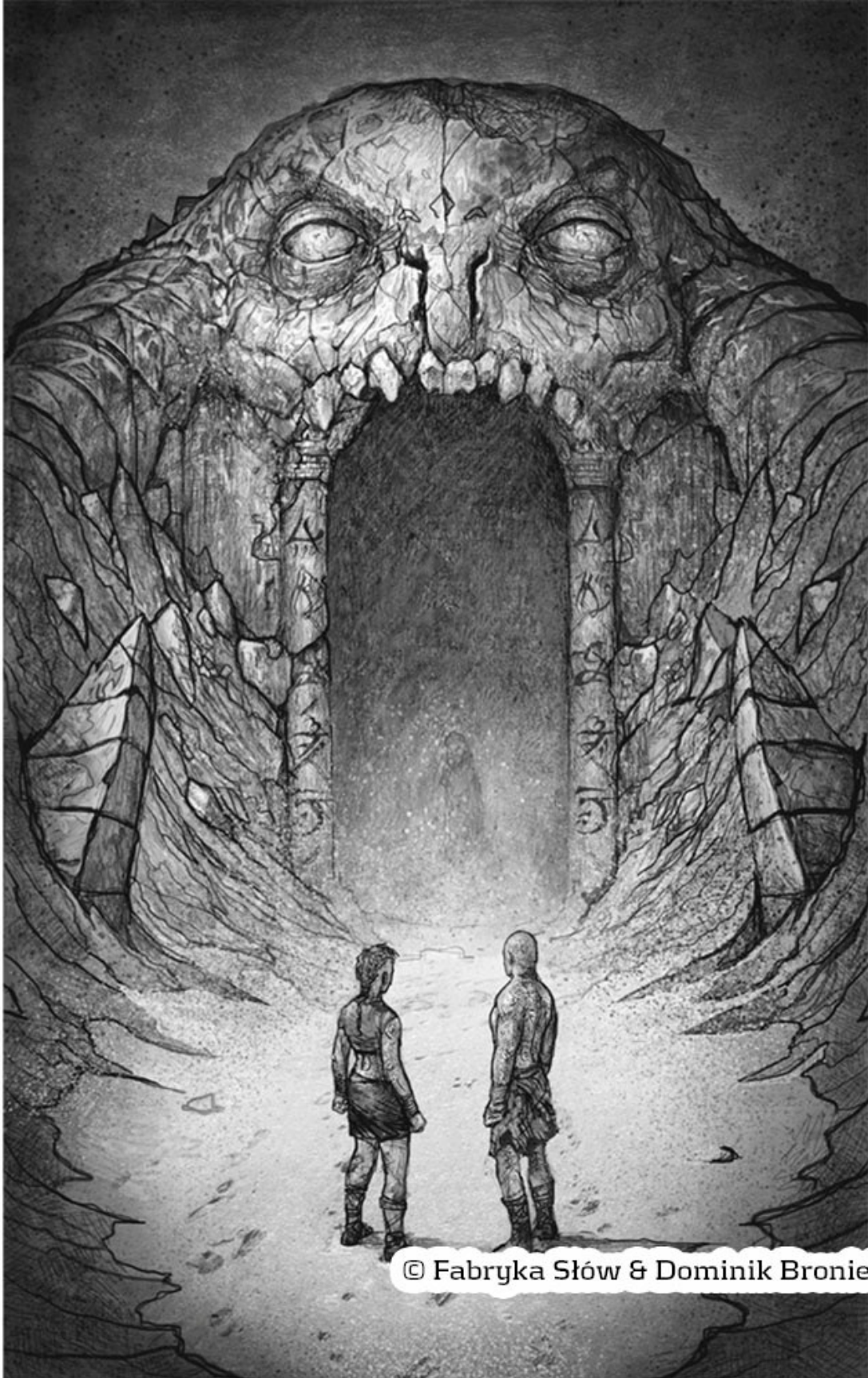
– No to całe szczęście, że tam, gdzie się wybieramy, demona jeszcze nikt nie widział – burknęła Renna.

Arlen westchnął i zacisnął palce na nosie.

– Jeśli masz jakiś lepszy pomysł, Ren, śmiało, podziel się z nami.

Dziewczyna otaksowała wzrokiem martwego otchłańca.

– Tak tylko sobie gadam. Wszystkich ponoszą nerwy. Wróćcie po wóz, a ja przypilnuję wejścia.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Oczekiwała, że Arlen będzie coś podejrzewał, ale on najwyraźniej poczuł ulgę, że uniknęli kolejnej kłótni. Poza tym oczywiście miała rację. Nie było sensu krytykować jego planu, skoro nie miała pomysłu na lepszy.

Mężczyźni wzbili się w powietrze, a Renna spojrzała na truchło. Czy to naprawdę działało w dwie strony? Alagai Ka miał rację. Nie mogła zaryzykować powodzenia misji i zabić ich jedyne go przewodnika tylko dlatego, że musiała wypróbować jakiś szalony pomysł. Na szczęście los przyniósł im kolejnego demona umysłu, którego ciało jeszcze nie ostygło...

Nie zastanawiając się ani chwili, Renna porwała nóż i wbiła runiczne ostrze głęboko w twardą, pobrużdżoną skórę na czaszce demona. Odkroiła skalp, by odsłonić kość, po czym otarła dłonią juchę i wylizała palce do czysta.

Nie zwracała już uwagi na obrzydliwy smród demoniej krwi ani na jej paskudny smak, ale uczyła się powoli rozpoznawać subtelne różnice między rodzajami magii. Potrafiła odróżnić smak juchy demona skalnego od kamiennego czy też wyczuć obecność demona błyskawicy na podstawie podmuchu wiatru. Najbardziej pamiętnym doznaniem był smak krwi zmiennokształtne go, zlizanej z noża i skóry – magia bulgotała i rosła jej w ustach niczym tytoń.

Ale nic nie przygotowało Renny na nagły przypływ mocy, który przyniosła jucha demona umysłu. Szok był porównywalny ze skokiem do lodowatej wody. Dziewczyna aż zadrżała – nigdy dotąd nie czuła w sobie tyle energii, nigdy dotąd nie była aż tak bardzo świadoma tego, że żyje. Krew demona umysłu zawierała w sobie wszystkie znane jej smaki magii i o wiele, wiele więcej.

Gruba czaszka pękła, uderzona wzmocnioną runem ręką noża. Następnie Renna wsunęła ostrze w szczelinę i poszerzyła ją, by odsłonić sam mózg.

Drżał jak żelatyna, śliski i błyszczący od krwi. Renna, która spoglądała oczami wzmocnionymi runami, nigdy dotąd nie widziała niczego jaśniejszego tak bardzo. Odcięła spory ochłap, pochwyciła go palcami i wepchnęła sobie do ust.

W porównaniu z tym, co teraz poczuła, moc zawarta w demoniej jusze była niczym iskra potartej tkaniny wobec błyskawicy na niebie. Dziewczyną zawładnęła ekstaza, a świat dookoła otworzył się na jej zmysły jak nigdy wcześniej. Każda chwila rozciągała się w nieskończoność, a wszechświat zapłonął milionami nowych informacji. Oszołomiona, wpatrywała się z zachwytem w pyłki kurzu, które zastygły w powietrzu, podziwiała wijące się prądy magii, które wypływały z tunelu na podobieństwo zamarznętego wodospadu.

Informacje jednakże wpływały w nią szybciej, niż była w stanie za tym nadążyć. To, co z początku przypominało strumień wlewający moc, szybko przerodziło się w powódź, która lada moment mogła ją pochłonąć.

Moc skwierczała w żyłach Renny i przepalała jej nerwy. Doznanie nie miało nic wspólnego z ostrą, nieprzyjemną suchością, jaka towarzyszyła pobieraniu zbyt wielkiej ilości magii. Renna poczuła się, jakby ktoś rzucił ją żywcem na stos pogrzebowy. Wrzasnęła, ale wówczas zabolęło tak, jakby płuca wypełnił ogień.

Do umysłu dziewczyny wdarł się natłok wiedzy, której nie potrafiła zrozumieć. Uaktywniły się u niej zmysły, których nie umiała nawet nazwać, a każdy wtłaczał w nią nowe dane z rykiem rzeki wzbierającej podczas wiosennych roztopów. Pojawiły się obrazy pozbawione sensu.

Pojawiły się emocje, których nie umiała nazwać.

Pojawiło się zło. Zło, które przesycalo jaźń. Wdzierało się w jej głąb. Zatrutowało ją.

Renna padła na ziemię, czy może raczej ujrzała, jak ziemia wznosi się gwałtownie i uderza. Chwilę później dziewczynę pochłonął wir. Zwymiotowała czarną juchę i równie ciemną żelatynę, która drżała teraz przed nią pośród treści żołądkowej. Nie była w stanie myśleć, nie czuła swego ciała, nie wiedziała, czy nadal oddycha. Otaczały ją jedynie ból oraz dzika kakofonia. Obraz tańczył przed oczami, aż uzmysłowiła sobie, że jej ciałem wstrząsają konwulsje.

Potem Renną zawładnęła ciemność.



– Jej nie można zaufać, Par'chin!

– Nikt z nas nie zasługuje na zaufanie – rzekł Arlen. – Ale jak sam powiedziałeś, nie ma komu nas zastąpić.

Ktoś oblał twarz Renny zimną wodą. Dziewczyna usiadła gwałtownie i ujrzała Arlena, który stał nad nią z wiadrem i gniewnym grymasem. Za nim czał się Jardir z włócznią w dłoni. Renna dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Krasjanin nie szykował się na zewnętrzne zagrożenie.

Celował ostrzem prosto w nią.

Rennę przeszył dreszcz. Chciała się rozejrzeć, ale wzrok wspomagany runami dostrzegał wszędzie życie. Dookoła roiło się od migotliwych istotek zbyt drobnych, by móc je ujrzyć gołym okiem. Dziewczynie zakręciło się w głowie, oparła dłoń o ziemię, by się nie przewrócić.

– Ostrożnie! – Arlen uklęknął przy żonie. Podparł ją jedną ręką, a drugą zaczerpnął nieco wody, którą przysunął do jej ust. – To, co zrobiłaś, było naprawdę głupie.

W wodzie też kryło się życie, tak wyraźne, iż nie mogła pojąć, że wcześniej go nie zauważyła. Miliony drobnych organizmów. Czuła, jak wiją się i wiercą w jej ustach. Rozkaszlała się, opluwając Arlena.

– Musiałam.

– Nie, nie musiałaś. – Arlen wytarł wodę z oczu. – Mamy plan i będziemy się go trzymać.

– Ten plan to szaleństwo i sam dobrze o tym wiesz – rzekła Renna. – Sam mi powiedziałeś, żebym przedstawiła ci jakiś pomysł. Oto on.

– Miałem na myśli pomysły mniej szalone od moich własnych.

– A moim zdaniem ty za dużo myślisz – rzuciła Renna. – Reszta z nas po prostu robi to, co uzna za stosowne.

– Gdybym nie zastanawiał się nad każdym krokiem, nie byłoby

mnie już wśród żywych. Jeśli robisz to, co wydaje ci się słuszne, prędzej czy później lądujesz w tarapatach.

Renna nigdy dotąd nie widziała jego aury tak wyraźnie jak teraz.

– No dobra. Skoro jesteś taki mądry, to przypomnij mi, kto z nas jako pierwszy jadł mięso demonów?

– Pamiętam to. Pamiętam też, czym się to skończyło.

– Skończyło się tym, że jesteś tu i teraz. Na każdym kroku pokazujesz, jaki niby jesteś teraz roztropny, ale Arlen Bales, którego znałam w Potoku, był nierozważny i lekkomyślny.

Arlen potarł twarz dłonią.

– Gdybym wówczas był nieco mądrzejszy, może nie miałbym teraz tylu problemów.

– Może – zgodziła się Renna. – A może wówczas nigdy nie otrzymalibyśmy szansy na naprawienie całego świata?

– Kłótnie nie mają sensu! – wtrącił Jardir.

Renna spojrzała na Ahmanna i zauważyła, że jeden z klejnotów na jego koronie płonie jaśniej od pozostałych. Wpatrywał się w jej aurę i próbował ustalić, czy kęs mózgu księcia demonów w jakiś sposób ją zepsuł.

Na Otchłań, sama nie wiem, pomyślała. Niby czuła się sobą, ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w jakiś sposób uległa nieodwracalnej przemianie.

Jardir wpatrywał się w dziewczynę przez chwilę, ale nie odnalazł niczego, co by go zaniepokoiło, i opuścił włóczęgę.

– Co ujrzałaś, Renno vah Harl? Twoja aura jest...

– ...pogrążona w chaosie – dokończył za niego Arlen.

– Widziałam wszystko – odparła Renna. – I nic. Zupełnie jakby wszyscy ludzie z Zakątka zebrali się na Cmentarzysku i jednocześnie zaczęli gadać. Za dużo wszystkiego, żeby się połapać. Nie ujrzałam żadnego sensu.

Arlen pokiwał głową.

– Też poczułem coś takiego, gdy dotknąłem umysłu księcia demonów. Ale mimo to kilka rzeczy zapamiętałem, takich, które mogły pomóc w zwycięstwie, a przynajmniej uchronić przed

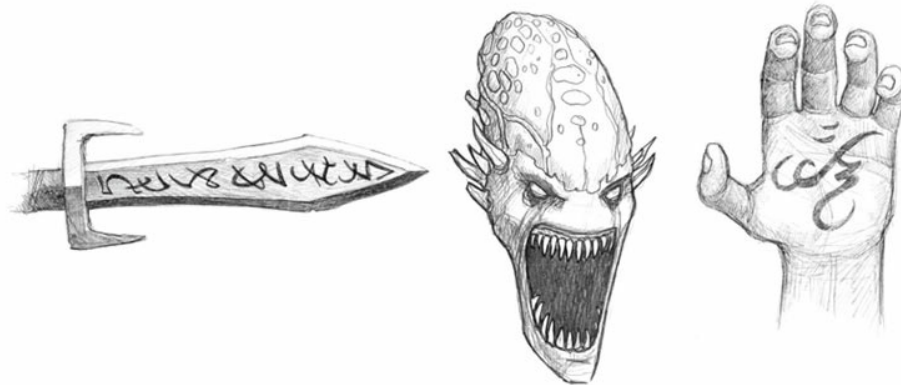
porażką. Naprawdę nic sobie nie przypominasz?

– Nie – odparła Renna. – A przynajmniej jeszcze nie. Dajcie mi trochę czasu.

– To jedyne, czego zaczyna nam brakować – rzekł Jardir. – Najciemniejsze godziny mamy już za sobą. Jeśli nie uwolnimy Alagai Ka i nie przejdziemy przez bramę Otchłani teraz, będziemy musieli poczekać cały dzień, a wówczas utracimy atut zaskoczenia.

Renna odepchnęła się od ziemi i wstała. Oddychała przez moment rytmicznie, by odnaleźć równowagę.

– Poukładam sobie wszystko w głowie podczas marszu. Ruszajmy.



## 26

### Ciemność

334 ROK PLAGI

Jardir wyszedł z jaskini, zostawiając za sobą Par'china i jego *Jiwah*. W głowie mnożyły mu się wątpliwości. Nie podobało mu się już wcześniej, że ta kobieta wkracza do Otchłani, nosząc pod sercem nienarodzone dziecko, a teraz okazało się, że jest niestabilna. Nieprzewidywalna. Impulsywna. Pozbawiona umiejętności trzeźwego osądu.

Jednak czy o nim nie można było powiedzieć tego samego? Przecież przystał na ten szalony plan! Przecież zgodził się zejść do Otchłani, za przewodnika mając Alagai Ka! Córka Harla była potężną wojowniczką. Nieustraszoną. Gotową poświęcić życie swoje i swojego dziecka w Pierwszej Wojnie. Nie była Krasjanką, lecz w głębi serca nie różniła się niczym od najwierniejszych wyznawczyń Everama. Wątpiąc w jej oddanie, zsyłał na siebie hańbę.



Shanvah czuwała nad więzieniem Alagai Ka, które zostawili przed jaskinią. Jej ojciec pozostawał przykuty łańcuchami do ławki, król demonów trwał w niewoli za runicznymi ścianami z metalu, ale Shanvah siedziała z włócznią i tarczą i nieustannie rozglądała się w poszukiwaniu zagrożenia, zarówno tego, które mogło się pojawić tuż przy niej, jak i nadejść z daleka.

– Wybawicielu! – Pokłoniła się, gdy podszedł bliżej. – Czy córce Harla nic nie grozi?

– Nie powinna była próbować mózgu księcia demonów. To była niemądra decyzja – rzekł Jardir. – Niemniej jeśli Everam okaże łaskę, dojdzie do siebie.

– Czy... czy zadziało? – spytała Shanvah. – Czy przejęła wspomnienia demona?

Jardir pokręcił głową.

– Wygląda na to, że nie. Działamy wedle pierwotnego planu. Ruszamy.

– *Inevera* – odparła Shanvah, po czym schowała włócznię do pochwy i wskoczyła lekko na kozioł, by wprowadzić wóz do jaskini. Potem wyprzęgła konie i zdjęła im uprząż. Nie mogli zabrać ze sobą więzienia demona, więc nadszedł czas, by wypuścić zwierzęta na wolność.

Jardir spojrział na ogiery i zadał sobie w myślach pytanie, czy nie oznaczało to dla nich kary śmierci. Zwierzęta były uzbrojone w runy, wycięte w ich kopytach, a słońce miało wstać za kilka godzin. Większość demonów w okolicy zostało uśmierconych agonialnym wrzaskiem demona umysłu. Cóż, przypuszczalnie konie miały większą szansę na przeżycie następnych dni niż sam Jardir i jego towarzysze.

Uniósł włócznię i nakreślił nią runy nad zwierzętami. Magia przylgnęła do nich ze wszystkich stron, dodając im sił i osłaniając przed pazurami *alagai*. Moc miała wygasnąć z nadejściem świtu, ale przez resztę nocy nie będzie im nic groziło. Konie czujnie uniosły łby.

– Niech Everam was strzeże, zacne rumaki! – rzekł Jardir. – Nadaję wam imiona Siła i Męstwo. Jeśli przeżyję tę wyprawę, żeby

móc o niej opowiedzieć, wasze imiona nie zostaną pominięte w świętej pieśni.

Nakreślił jeszcze jeden run. Rozległ się niegroźny huk i spłoszone konie rzuciły się do biegu po starożytnym trakcie, a Jardir podszedł do Shanjata i odpiął łańcuch. Wojownik nie zareagował – siedział nieruchomo i patrzył przed siebie wzrokiem równie pustym jak przed chwilą konie. Jardir zarzucił więc sobie szwagra na ramię i ściągnął go z kozła jak ćwiczebny manekin.

Syn Jepha i córka Harla czekali wraz z Shanvah przy drzwiach wozu, gdzie Jardir postawił Shanjata i zmusił do ukłęknięcia.

Mąż mojej siostry, pomyślał Jardir. Człowiek, który ćwiczył obok mnie i walczył wraz ze mną od chwili *Hannu Pash*. A dziś oddaję go Alagai Ka.

Spojrzał na swojego prawdziwego przyjaciela.

Przysięgam na światło Everama i nadzieję na wstąpienie do Nieba, bracie, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, Alagai Ka zapłaci za to, co ci zrobił, pomyślał z bólem.

Odkluczył drzwi wozu i otworzył je szeroko. Demon leżał na środku i wpatrywał się w niego swymi ogromnymi, obcymi oczami. Jardir wkroczył do kręgu i zdjął z księcia kajdany, a potem złapał za gardło i wywłókł na zewnątrz, ignorując jego wściekły syk. Cisnął otchłańca na ziemię tak, by wylądował tuż przy Shanjacie.

Miał zamiar pozwolić tej bestii żyć dla dobra Ala, jednak nie zasługiwała ona nawet na odrobinę godności i szacunku.

Tym razem Alagai Ka nie narzekał ani się nie uskarżał, a jedynie natychmiast przejął kontrolę nad Shanjatem. Ten rozchylił szatę i umieścił demona na swoich plecach. Obaj, potwór i człowiek, spojrzeli na zabitego księcia, który leżał kilka kroków dalej z rozbitą, pustą czaszką.

Przenieśli wzrok na Rennę.

– Wspaniała noc – rzekła córka Harla, oblizując palce z juchy.

Shanjat uśmiechnął się, jakby się właśnie odprężył.

– Jeśli twoje młode jakimś cudem przeżyje, okaże się silne i twarde. Będzie miało więcej wspólnego z moim plemieniem niż z waszym, jakże słabym i godnym pogardy.

Aura Renny zapłonęła tak gwałtownie, że Jardir aż zmrużył oczy. Dziewczyna wyciągnęła nóż i ruszyła w stronę demona. Shanjat cofnął się, ale inni zastąpili mu drogę i nie było dokąd uciekać. Renna kopniakiem zmusiła mężczyznę do ukłęknięcia i przytknęła mu swój śmiertelnie groźny nóż do gardła.

Shanjat spojrział na nią.

– Dalej, zabij mnie. Zbierz się na odwagę i zrób to. Gdyby twój zamysł się sprawdził i twój prymitywny mózg zdołał pojąć ogrom umysłu mojego potomka, już byście mnie nie potrzebowali. Dziedzic bez wahania przekłułby mnie włócznią, nie kłopotując się zdejmowaniem mi kajdan.

Usta Shanjata wykrzywił okrutny uśmiech.

– Ale nie udało się, prawda, Łowczyńcy? Moja śmierć oznacza zagładę twojego ludu.

– Może – rzekła Renna. – Ale jeśli wspomnisz raz jeszcze moje dziecko, zginiesz o wiele szybciej niż mój lud.

Nie żartowała i Jardir widział to wyraźnie w jej aurze. Zaczynał się bać, iż w rzeczywistości Renna może stracić nad sobą panowanie i pogрузić ich plan, ale z drugiej strony wiedział, że Alagai Ka powinien się ich bać. Gdyby król demonów zaczął czuć się bezpiecznie, byłoby im coraz trudniej nad nim panować.

O ile w ogóle nad nim panowali.

– Jeśli przestaniesz być dla nas użyteczny, księżę kłamstw, twoje życie straci wartość – rzekł Jardir. – Ewejah opowiada nam, że armie Kajiego wędrowały trzy razy po siedem dni, żeby dotrzeć na samo dno Otchłani. Czy to prawda?

– Na samo dno? – Demon roześmiał się ustami Shanjata. – Otchłań Nie to fantazja stworzona po to, żeby motywować niewolników. Nie ma takiego miejsca.

Jardir najeżył się, widząc przebiegły uśmiech księcia, i ze wszystkich sił narzucił sobie spokój, by nie pochwycić włóczni i nie uśmiercić go raz na zawsze. Alagai Ka kusił ich i mamił, szeptał im prawdy, które brzmiały jak kłamstwa, i kłamstwa, w których kryło się nieco prawdy. Choć odebrali mu umiejętność spoglądania w ich myśli, demon wykazywał ogromną biegłość w manipulowaniu

emocjami. Jardir wiedział, że nie ustanie, póki nie namiesza im w głowach bądź nie zmyli czujności. A musieli ją zachować.

– Jak długo trwa wędrówka do twojego roju? – spytał Par'chin.

– Mniej więcej jeden cykl – odparł Shanjat i mrugnął do Jardira.

– O wiele dalej, niż dotarł Kavri i jego psy.

Patrzył na Ahmanna z wyczekiwaniem, ale ten jedynie uśmiechnął się i wyrecytował:

– „A wówczas Kaji rozpuścił swoje psy wojny i rozpędził zło włóczyniami *Sharum*, gnając je niczym łowca spłoszone lisy”. Chciałeś mnie obrazić, demonie? – spytał Jardir. – Obrazić mój lud? Przecież psy Kajiego rozpędziły twój rodzaj niczym bydło!

– Boisz się, nawet jeśli nie chcesz tego przyznać – oznajmiła Renna. – Nie co dzień się zdarza, że ktoś zjada ci syna.

Shanjat znów się roześmiał.

– To doprawdy nieoczekiwany uśmiech losu. Pozbyłem się dzięki wam mojego najsilniejszego rywala! Dziękuję wam za to serdecznie!

– To jeden z tych, którzy przybyli do Słońca Anocha? – spytał Par'chin.

Shanjat pokręcił głową tak, jak to miał w zwyczaju przez całe swoje życie. Jardira przeszył dreszcz niepokoju i obrzydzenia.

– Nie. Był jednym z tych dwóch członków dworu umysłów, którzy byli na tyle potężni, że zdołali odrzucić moje wezwanie.

– Czyli razem z tobą jest was dziewięciu – rzekł Jardir.

– Trzech zabiliśmy w Słońcu Anocha – zauważyła Shanvah.

– I złapaliśmy wówczas Alagai Ka – dodał Jardir.

– Czyli razem z tym jest pięciu. – Renna kopnęła trupa księcia. – No i jeszcze tych czterech, których zabiliśmy latem.

– Zanim się to wszystko rozpoczęło, mieliście tuzin demonów na dworze umysłów – stwierdził Par'chin. – Ilu wam zostało? Czterech?

– Czterech dojrzałych na tyle, żeby przeżyć kopulację i nie zostać po wszystkim pożartym. – Shanjat uśmiechał się coraz szerzej. – A do tego tyle młodych książąt, że bez trudu obrócą wasze Wolne Miasta w perzynę. Rozprzestrzenia się i będą uderzać tam, gdzie

nikt się ich nie będzie spodziewał. Będą tworzyć nowe roje i wysyłać pomniejszych demony, żeby zapędzały pod ziemię tłumy waszych pobratymców jako karmę dla wysiadających jaja królowych.

– A więc dlaczego najsilniejszy z nich znalazł się tu, tak daleko od jakichkolwiek ludzkich sadyb? – zapytał Jardir.

Shanjat obrzucił go swym charakterystycznym spojrzeniem, które rezerwował dla idiotów. Jardir nie raz je widywał, choć Shanjat nigdy nie patrzył tak na niego.

– Bo tu kryje się moc. Mój potomek zaczekałby, aż jego młodsi bracia skończą zmagania o wasze ziemie, żeby potem, gdy ich siły będą już należycie osłabione, wszystko im odebrać.

– A skąd ty to wiesz? – spytała Renna.

– Bo sam to robiłem wielokrotnie przez ostatnie tysiąclecia.

– Czyli teraz jakiś inny myślak będzie chciał zająć ten tunel? – spytał Par'chin.

– Oczywiście. Gdy tylko któryś z nich uzmysłowi sobie, że jest niestrzeżony – odparł Shanjat. – Ale raczej wątpię, żeby któryś z nich zdobył się na odwagę i w niedalekiej przyszłości podkraść się pod terytorium starszego brata.

– Kiedy księżęta zaatakują? – spytał Jardir.

Shanjat odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się.

– Skoro mój potomek tu siedział, znaczy, że atak już się rozpoczął! W Krasji, Thesie, a może... – Przeniósł spojrzenie na Rennę. – A może nawet w twoim Potoku Tibbeta? To samotna osada, a kryje się w niej tyle smakowicie pustych mózgów do spałaszowania!

Renna odsłoniła zęby, ale zapanowała nad emocjami. Zawahał się natomiast Par'chin.

– Wciąż jest ciemno. Mógłbym pomknąć...

– Po co, Par'chin? – spytał Jardir. – Żeby ostrzec wszystkich przed atakiem, który już się zaczął? Żeby porzucić naszą misję, a zamiast tego ruszyć na wojnę z pomniejszymi księżętami?

– Nie wiem – powiedział Par'chin. – Może mógłbym coś jeszcze zrobić?

– Ostrzeżyliśmy tylu ludzi, ilu mogliśmy – odezwała się Renna. – A tymczasem przypomnij sobie, o czym sam zawsze mi trułeś. Trzeba zatroszczyć się o siebie!

Par'chin odetchnął z trudem.

– Nie lubię stać z boku, gdy ktoś ma problemy.

– Tak czy owak, wejście w stan pomiędzy nie byłoby teraz najlepszą decyzją – odezwał się Shanjat. – Nawet ja muszę bardzo uważać, gdy dematerializuję się blisko tak ogromnego źródła mocy.

– Cicho bądź – burknął Par'chin.

– Z Otchłani nie ma powrotu – rzekł Shanjat. – Nawet dla takich jak ja.

Par'chin odwrócił się ku niemu.

– A coś ty się nagle taki gadatliwy zrobił? Po co mówisz o tych wszystkich atakach?

Shanjat wciągnął powietrze przez nos, jakby coś wahał.

– Ponieważ rozkoszuję się cudowną wonią rozpacz, którą wzbudziły moje słowa.

Par'chin zacisnął pięść, ale Shanjat jeszcze nie skończył.

– I żeby dać wam nadzieję.

– Nadzieję? – spytał Jardir. – Cóż słudzy Nie wiedzą o nadziei?

– Dobrze wiemy, jakie to cenne dla was, zwierząt – odparł Shanjat. – Wiemy, z jaką desperacją się jej trzymacie. Potraficie zabić dla samej tylko nadziei, a kiedy wam się ją odbierze, tracicie resztki energii do działania.

– I na tym polega twój plan? – spytał Jardir. – Chcesz nas kusić nadzieją jak kota zabawką, a potem nagle ją odebrać?

– Oczywiście – odrzekł Shanjat.

– Jaką więc nadzieją będziesz nas kusił? – dopytywał się Jardir. – Skoro właśnie wyjawileś, na czym polega twój fortel? Skoro już wiemy od ciebie, że wojna podeszła pod progi naszych domów?

– Nadzieją, która bierze się z tego, że dwór umysłów jest pusty, bo moje potomstwo wyruszyło na wojnę – odparł Shanjat.

Jardir zeszywniał. Jeśli demon mówił prawdę, w istocie mieli szansę na zakończenie misji powodzeniem. Gdyby ludziom udało się powstrzymać napór *alagai* przez kolejny miesiąc lub dwa,

mieliby szansę zniszczyć rój raz na zawsze.

Demon jednak właśnie obiecał, że nadzieja zostanie im odebrana w najmniej oczekiwanym momencie. Czy Alagai Ka kłamał, czy też nie powiedział im jeszcze wszystkiego?

Przypuszczalnie i jedno, i drugie.

– Nie mamy już czasu, żeby się wahać i zastanawiać. – Jardir podszedł do wozu, z którego wyjął swój plecak. Shanvah już założyła własny. – Skoro przyszło nam wyruszyć w głąb Otchłani, nie czekajmy ani chwili dłużej.



Jardir zamykał pochód, nie spuszczać wzroku z pleców Alagai Ka. Shanjat, choć dłonie miał nadal przykute do pasa, szedł przed siebie żwawo i sprężysto. Jego chód, dobrze Jardirowi znany, przypominał również, że demon przejął nie tylko ciało jego szwagra, ale również wszystkie umiejętności i całą wiedzę, jaką ten posiadał za życia.

A Shanjat był niebezpiecznym człowiekiem.

Renna i Shanvah szły po obu stronach demona i rozglądały się na boki, a Par'chin, który miał prowadzić zwiad, zniknął daleko przed nimi.

Jardir już dawno stracił poczucie czasu w pozbawionych światła tunelach. Nie odpoczywali wcale, to magia dodawała im sił i eliminowała zmęczenie. Ich wędrówka mogła więc rozpocząć się wiele dni temu, a on w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy.

Droga do Otchłani nie była taka, jak to sobie wyobrażał. Choć znajdowali się tak daleko od świętego słońca, przez cały czas otaczały ich różne formy życia. Jak dotąd nie natrafili na żadne demony, ale wilgotna ziemia roiła się od insektów i innych stworzeń tak małych, iż nie dostrzegłby ich bez swojej korony. Natrafiali na podziemne strumienie pełne ryb, a na ścianach ciągnęły się mchy i porosty. Widywali jaszczurki, salamandry

i żaby.

Czasami natrafiali też na ślady innych istot. Być może nie były to demony, ale z pewnością nic, co byłby w stanie rozpoznać.

Tunel nagle zakończył się wylotem w zboczu skały. Przed sobą mieli zwieńczoną łukiem bramę prowadzącą na most, a pod nim przepaść tak szeroką, iż nie sposób było dostrzec drugi brzeg. Przy pobrużdżonej, porytej kolumnie, bez wątpienia dziele krasjańskich budowniczych, czekał na nich Par'chin.

– Most się zawalił – rzekł.

– Będziemy więc musieli zejść na sam dół, a potem wspiąć się po drugiej stronie – powiedział ksiązę ustami Shanjata. – Kukła będzie potrzebować obu rąk, żeby tego dokonać.

Jardir, nie zaszczyciwszy jeńca nawet spojrzeniem, podszedł wraz z Par'chinem do krawędzi przepaści i spojrzał w dół. Gdzieś przed sobą, na skraju zasięgu wzroku spotęgowanego przez moc korony, dostrzegł zawalone wsporniki mostu.

– Dałbym radę przefrunąć – rzekł.

– Pewnie tak, ale ja i Ren nie powinniśmy tego robić – odparł Par'chin. – Demon ma rację. Zew Otchłani staje się coraz silniejszy. Nie wolno nam się tu dematerializować. – Zmrużył oczy i przyjrzał się odległemu wspornikowi. – Za daleko, żeby doskoczyć. Nawet magia tu nie pomoże.

– Mogę was zabrać – zaproponował Jardir.

– Demona też? – spytał Par'chin. – Pozwolisz, żeby się do ciebie zbliżył, gdy będziesz sam? I to jeszcze w powietrzu?

– A więc czeka nas wspinaczka – rzekł Jardir.

Renna podeszła bliżej i też spojrzała na dno przepaści, rozedrgane wśród tumanów magii.

– Jeśli mamy rzeczywiście rozkuć Shanjata i pozwolić mu na zejście, muszę się najeść i odpocząć – oznajmiła i splunęła w przepaść. Patrzyła, jak plwocina znika cicho we mgle. – Chyba że chcemy go przrzucić kopniakiem.

Jardir popatrzył na Shanjata, najdzielniejszego z jego przybocznych, człowieka, który w Labiryncie okazywał męstwo tak wielkie, że Jardir oddał mu własną siostrę za żonę. Ileż to razy



widział, jak Shanjat zabija gołymi rękami?

– Mądre słowa – rzekł. – Serce wojownika nakazuje mi nacierać, ale nie możemy pozwolić na to, żeby głód i zmęczenie osłabiły naszą czujność. Musimy wszak strzec Alagai Ka, a w tym świecie pozbawionym światła aż nazbyt łatwo jest zapomnieć o upływie czasu.

– Ciężko ostatnio o zegar równie punktualny jak mój żołądek. – Renna poklepała się po brzuchu, który wydawał się coraz bardziej okrągły.

Zebrali się przy wyjściu z tunelu. Par'chin i jego *jiwah* podeszli do Shanjata.

– Uklęknij – zażądał Par'chin.

Magia spłynęła zewsząd ku niemu, a okolica pociemniała, choć jego aura zajaśniała bielą. Renna trzymała nóż w dłoni i również mieniła się od magii.

Demon wiedział, że to nie żarty. Kazał Shanjatowi uklęknąć i pozwolił, by łańcuchy wokół jego kostek zostały na powrót zamocowane do pasa.

Shanvah przystąpiła do nakładania ziemi do wielkich mis z brązu. Wygładziła ich powierzchnię nożem w oczekiwaniu na Jardira, a ten, podobnie jak mieszkańcy zielonych krain, pobrał magię przez koronę, by nasycić nią runy, których nauczyła go Inevera. Ziemia zaczęła topnieć, po czym przeobraziła się w magiczny wir i po chwili znów się uspokoiła.

Jedna z mis była teraz pełna wody, a druga pysznego, parującego kuskusu. Shanvah uklękła, przyłożyła dłonie do podłogi i dotknęła jej czołem, odmawiając wraz z Jardirem modlitwy i dziękując Everamowi za jego nieskończone dobro. Zakończyli rytuał wznowieniem obietnic walki w jego imieniu.

Jardir wyjął porcelanowy, zdobiony złotem kubeczek do *couzi* oraz wykonaną w identycznym stylu parę patyczków do jedzenia. Z nabożeństwem i powagą zaczerpnął do kubka wody i podał go dziewczynie.

– Powstań, siostrzenico! Niech błogosławiona woda Everama doda ci sił.

Shanvah uniosła się z gracją, płynnie niczym wąż. Pochyliła głowę i zdjęła zasłonę z twarzy, gdyż odsłonięcie jej przed wujem nie było wstydem.

– Dziękuję ci, Wybawicielu, że dzięki tobie spływa na mnie wielki zaszczyt Everama.

Upiła zaledwie drobny łyk, ale gdy się cofnęła, w jej oczach zapłonęło nowe światło, a aura zabłysła nową energią. Wówczas Jardir uniósł kąsek patyczkami.

– Jedz więc i niech łaska Everama napełni twój żołądek.

Shanvah znów się ukloniła.

– Dziękuję ci, Wybawicielu, że dzięki tobie spływa na mnie wielki zaszczyt Everama.

Przełknęła ów jeden jedyny kęs, lecz natychmiast wydała się silniejsza i syta.

– Stań na straży, żeby mieszkańcy zielonych krain również mogli zaspokoić swój głód – powiedział Jardir.

Shanvah znów przytknęła czoło do podłogi.

– Oto twoja wola, Wybawicielu. – Uniosła włócznię i tarczę, po czym stanęła przy więźniach.

Renna podeszła bliżej.

– Na noc, ależ to pachnie!

– To błogosławione jedzenie – wyjaśnił Jardir. – Jeden łyk wody Everama zaspokoi pragnienie. Jeden kęs napełni wasze brzuchy.

– Zaraz się przekonamy – odparła Renna.

Jardir podał jej kubeczek, ale dziewczyna nawet tego nie zauważyła. W okamgnieniu wydobyła z plecaka swój własny, zakurzony kubek i bez ceremonii zaczerpnęła nim świętej wody. Ku zgrozie Jardira wlała całą zawartość do ust na raz – zupełnie jakby piła *couzi*! – a potem brudną dłonią otarła usta. Otworzyła szeroko oczy.

– Och, na święte słońce!

Przechyliła kubek, by nie uronić ani jednej kropli, po czym odwróciła się ku Par'chinowi.

– Arlenie Bales, chodź tu i spróbuj tylko tej wody!

Napełniła kubek ponownie i osuszyła go równie sprawnie jak

poprzedni, po czym dobrała się do kuskusu. Jardir uniósł patyczki i zakaszłał znacząco, ale Renna nie zwróciła na to uwagi, w pośpiechu szukając miski i łyżki w plecaku. Nakładała sobie łąpczywie, rozsypując kuskus tu i ówdzie, aż w jej misce wyrosła kopiasta porcja błogosławionego jada, która wystarczyłaby dla całej kompanii *Sharum*.

Nieokrzeseanie tej kobiety nie miało granic, ale była wybranką Everama oraz gościem przy jego stole. Jardir przełknął więc zniewagę i nie powiedział ani słowa.

– Dzięki – rzuciła Renna, oparła się plecami o ścianę tunelu i zaczęła pałaszować. Jardir złapał się na tym, że gapi się na nią, i zmusił się do odwrócenia wzroku.

Chwilę później nadszedł Par'chin.

– Przepraszam za to – rzekł i uklęknął płynnie, po czym złożył mu ukłon. – Renna nie...

– Nie tłumacz jej, Par'chin – odparł Jardir. – Jadamy razem od miesięcy i dobrze wie, że należy odmówić modlitwę przy jedzeniu.

– Trudno się pozbyć starych nawyków – westchnął Par'chin. – Poza tym nie ma wielkiej ochoty na modlenie się do Everama.

– Może zastąpić Jego imię mianem Stwórcy – zaproponował Jardir. – Wszemocnemu nie robi to różnicy.

– Śmiało. Powiedz to Rennie. – Par'chin zerknął na swą żonę. – Tylko nie teraz. Współczuję temu, kto stanie między ciężarną kobietą a jej jedzeniem.

– Błogosławieństwo Everama trafia prosto do jej żołądka – zgodził się Jardir.

Zaczął odmawiać modlitwę, a Par'chin dołączył do niego, jak czynili to wielokrotnie w Labiryncie. Następnie Jardir nabrał kubeczek wody.

– Ale ty się modlisz – stwierdził.

– Co takiego?

– Powiedziałeś, że Niebo to kłamstwo – przypomniał mu Jardir.

– Że Everam to bujda. A więc dlaczego modlisz się ze mną?

– Moja mama mówiła, że należy postępować tak, żeby nie urazić niczyich zwyczajów – odparł Par'chin. – Pewien mądry starzec

powiedział mi raz, że nasze kultury są obrazą same dla siebie. Że należy zdobyć się na wysiłek i powstrzymać chęć, żeby się nawzajem obrażać. A poza tym... – Potrząsnął głową. – Poza tym to, czy Everam mieszka w Niebie, czy też w twojej wyobraźni, chyba przestaje mieć dla mnie znaczenie. Wystarczy mi, że to głos, który ci mówi, że masz postępować właściwie, a to już dużo. Wielu ludzi nie ma nawet tego.

Słowa Par'china były bluźnierstwem, ale w aurze mężczyzny pojawiła się szczerłość tak ogromna, że Jardir nie mógł opanować uśmiechu. Jego przyjaciel na swój sposób okazywał mu szacunek. Wygłosili modlitwę dziękczynną nad wodą i jedzeniem, a Par'chin precyzyjnie przechodził przez wszystkie etapy rytuału.

Podobnie jak Shanvah, nasycił się jedynie jednym łykiem i jednym kęsem. Renna już opróżniła swoją miskę i przyglądała się wygłodniałym wzrokiem reszcie.

– Mój niewolnik również będzie potrzebował pokarmu, jeśli ma przetrwać podróż – rzekł książę poprzez Shanjata. – Ja także.

Jardir wykrzywił usta z obrzydzeniem, ale skinął głową, gdy Shanvah spojrzała na niego. Dziewczyna wyjęła z plecaka niewielką tacę, na której ułożyła miskę i kubek. Jardir napełnił kubek odrobiną świętej wody i umieścił dwa kęsy błogosławionego kuskusu w misce.

Shanvah uklękła przy ojcu, delikatnie ułożyła tacę na ziemi i wyjęła własne patyczki.

– Oto córka, której zawsze pragnąłem – rzekł Shanjat. – Cicha. Posłuszna. Nigdy nie znajdziesz dla siebie porządnego męża, bo odziedziczyłaś końską gębę po matce, ale jako córka nadal jesteś powodem do dumy.

– To mój ojciec był ze mnie dumny – odparła Shanvah. – Był i nadal jest. Możesz sobie gadać do woli, ale wiem, że to ty poruszasz jego ustami, i nic nie zmieni tego, co wiem w głębi serca.

– Chwila dumy nie jest w stanie zmazać całego życia pełnego rozczarowań – powiedział Shanjat. – Umysł twojego ojca cuchnie wstydem. Twoja matka może i była jego Jiwah Ka, ale najgorszą ze swoich żon kochał bardziej niż was obie.

Shanvah wydawała się nieporuszona, lecz zacisnęła dłoń na patyczkach z wielką siłą, jakby walczyła z ochotą, by wbić je demonowi w oko. Mimo to zapanowała nad sobą i odepchnęła emocje, a w jej aurze znów zapanował spokój. Gdy demon ponownie rozchylił usta jej ojca, pospiesznie wsunęła w nie kęs kuskusu, a ten odruchowo przełknął.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, by pochwycić ojca za głowę. Przyciągnęła ją do siebie i nacisnęła odpowiedni mięsień, czym zmusiła go do ponownego otwarcia ust. Wówczas wlała mu łyk błogosławionej wody. Potem wstała i zabrała tacę.

– Ja też muszę coś zjeść! – przemówił książę.

– Demonie, nie jesteś wart świętego jedzenia i świętego napoju – odparła Shanvah.

– Od miesięcy żywicie mnie strzępami i ochłapami! – oznajmił. – Nawet ja mam swoje granice. Skoro nie chcecie mnie karmić, nie będę was dalej prowadził.

Shanvah niespodziewanie zerwała się i oburącz złapała za włócznie. Shanjat oraz demon drgnęli, ale nie oni byli celem ataku. Na ostrzu włóczni zadygotała jedna ze ślepych salamander, które przemykały po ścianach tunelu, polując na owady. W obliczu zagrożenia potrafiły błyskawicznie uciekać, lecz przed włócznią *Sharum'ting* uciec by nie zdołały.

Zerwała wciąż dygoczącego płaza z ostrza i rozerwała na dwie części. Kopnięciem przewróciła Shanjata wraz z demonem, który nadal przywierał do jego pleców. Gdy stożkowy łeb otchłańca uderzył w twarde podłoże, dziewczyna wepchnęła mu połowę salamandry do pyska.

– To zjedz! – warknęła. – Chyba że mam ci pośpiewać dla poprawienia apetytu.



Książę Małzonek wciąż mlaskał, gdy schodzili po kamiennej

ścianie, próbując pozbyć się gorzkiego smaku podłej istoty. Jej mięso i krew dostarczyły mu pokarmu, lecz żalosny umysł salamandry zmusił demona do ponownego przeżycia każdej chwili jej pozbawionej sensu egzystencji. Mógł zwymiotować płaza, ale choć czerpał niewysłowioną przyjemność z torturowania Śpiewaczki, nie miał najmniejszej ochoty słuchać jej śpiewu.

Rozkuli kukle ręce, by ułatwić jej schodzenie, co było pierwszą oznaką osłabienia czujności. Zresztą dlaczego nie mieliby tego zrobić? Małżonek dokuczał im i dogryzał, ale ciało niewolnika nadal było potulne i posłuszne.

Czas ucieczki zbliżał się powoli, jednak demon musiał się uzbroić w cierpliwość. Nadal znajdowali się zbyt blisko powierzchni. Było tu zimno i ciemno. Ludzi zachwycała magia otaczająca ich na tej głębokości, ale na razie stanowiła ona zaledwie cień tego, co ich czekało dalej. Nawet najsłabsze demony bez powodu nie opuszczały ciepła Otchłani i nie docierały aż tu.

Wkrótce pojawiły się nowe tunele, dziesiątki tuneli, rytych przez pomniejszych demony przez miliony lat. Ludzie niebawem zgubią się bez księcia Małżonka – szansa na to, że znajdą dwór umysłów, była równie znikoma jak ta, że wrócą na powierzchnię. Poczuli przyjemność na myśl o tym, że będą włączyć się bez końca po trzewiach świata, aż ogarnie ich szaleństwo. Ależby się nasycił ich wspomnieniami! Duma złana z rozpaczą i szaleństwem dałaby niepowtarzalny smak.

Tymczasem nie spuszczali go z oczu, a Łowczyni i Śpiewaczka schodziły po obu stronach niewolnika. Odkrywca podążał za nimi, ale również zerkał uważnie w dół.

Dziedzic spłynął z krawędzi klifu i z włócznią w dłoni przyglądał się Małżonkowi. Uwaga, z jaką go strzegli, budziła w demonie rozbawienie. Przecież niebawem stracą koncentrację. Ludzie nie mieli cierpliwości do takich rzeczy.

Niewolnik nie potrzebował pomocy przy schodzeniu po skalnej ścianie. Księżę wydał mu odpowiedni rozkaz i Shanjat ruszył w dół, zręcznie chwytając się skalnych występów, a Małżonek skupił się na swoim wnętrzu. Sięgnął po odrobinę mocy i przekształcił ciało

salamandry na własne, dodając od środka kolejną cieniutką warstwę skóry, by wypchnąć runy dalej od siebie.

Już niebawem.



Jardir obniżył lot i przyglądał się, jak jego towarzysze opuszczają się na dno przepaści. Renna, Shanvah i Par'chin trzymali się z dala od Shanjata, ale wyglądało na to, że demonowi zależy tylko, by bezpiecznie dotrzeć na sam dół.

Zrozumiały intencje, nawet jak na kogoś takiego jak Alagai Ka. Na dnie, tuż przy ścianie klifu, spoczywały trzy ludzkie szkielety, ogryzione do czysta przez istoty znane jednemu Everamowi. Ludzie, którym Alagai Ka nakazał pomaszerować do Otchłani, zostali wszak zmuszeni do pokonania tej samej drogi co oni, a nie wszyscy się do tego nadawali. Jardir rozpoznał szkielet należący do kobiety, która rozbiła sobie czaszkę podczas upadku. I mężczyzny, drobnego nawet jak na kogoś z zielonych krain, przypuszczalnie więc nastolatka. Podczas upadku złamał wiele kości, choć o jego śmierci zdecydował pęknięty kręgosłup. Przypuszczalnie żadne z nich nie cierpiało długo, a Jardir miał nadzieję, że skoro nie dotarli na dno Otchłani, ich dusze zdołały jakoś uciec z ciemności i odnaleźć samotną ścieżkę.

W trzeciej z ofiar rozpoznał małą dziewczynkę.

Jej szkielet był nietknięty, poza pękniętą kością nogi. Ślady na ziemi i odległość od pozostałych sugerowały, że po upadku pełzła dalej, mimo obrażeń nadal posłuszna woli księcia demonów. Jardir ułożył dłoń na małej czaszce, chcąc pobłogosławić, ale męka dziecka pozostawiła magiczny ślad na jej kościach. Ramię Jardira przeszył niemy krzyk. Cofnął rękę, jakby się oparzył.

Ból, który czuł przez moment, nie był bólem ciała dziewczynki ani cierpieniem z powodu utraty wolności, ale straszliwym żalem, iż nie może dłużej wypełniać rozkazów demona. Pozostali,

przypuszczalnie rodzina i sąsiedzi, porzucili dziecko bez wahania, pchani naprzód przez tę samą potrzebę.

Jardir, uświadomiwszy sobie, że coś pochłoneło jego myśli o wiele za długo, poderwał głowę i spojrzął na pozostałych. Im jednak nic nie groziło. Renna odbiła się od klifu, gdy od ziemi dzieliło ją jeszcze wiele stóp, i wylądowała równie miękko jak człowiek zeskakujący z ostatniego stopnia schodów.

Również zauważyła kości.

– Myślisz, że trzeba ich pochować? – spytała.

– Ich dusze udały się już w drogę po samotnej ścieżce, pozostawiwszy za sobą ból i cierpienie – odparł. Kiedyś wygłosiłby podobne słowa, by uspokoić sumienie innych, tym razem zrozumiał, że powiedział prawdę. – Oddamy im cześć, jeśli ruszymy naprzód, żeby wykonać naszą świętą misję – dodał.

Córka Harla burknęła coś pod nosem, ale się nie sprzeczała. Patrzyła, jak Shanvah i jej ojciec docierają na sam dół. Par'chin spłynął na dno na magicznym prądzie lekko niczym opadający liść.

Przed nimi wznosiło się siedem kolumn, przypominających filary Nieba; gdy podeszli bliżej, widać było, iż są częściowo popękane i nadkruszone. Podłoże wokół nich zaścięłały kamienne odłamki, mokre od wilgoci, wygładzone kroplami, które padały na nie od wieków. Tu i ówdzie wyrastały stalagmity, niektóre drobne, inne potężne. Po drugiej stronie przepaści natrafili na jeszcze więcej kości. Tam też raz jeszcze rozkuli Shanjata, by mógł odpocząć przed wspinaczką w górę.

Po dotarciu na miejsce zatrzymali się na kolejny posiłek. Gdy Renna została zaproszona do skosztowania świętej wody i świętego kuskusu, podeszła z opuszczoną głową. Dumna niczym góra, nawet nie pomyślała, by przeprosić Jardira za swoje zachowanie, ale zdobyła się na to, by odmówić wraz z nim modlitwę, choć szło jej to niesporo.

I tym razem zjadła tyle, że Jardirowi trudno było w to uwierzyć. Odniósł też wrażenie, że choć minęło stosunkowo niewiele czasu, jej cięża stała się bardziej zauważalna.

Tunel bez końca wiódł w dół, a powietrze stało się nieznośnie



duczne i wilgotne. Kreślili runy, by ulżyć nieco swej doli, ale wszyscy byli już brudni, nawet wspaniałe jedwabie Jardira lepiły się do spoconej skóry. Pobierał magię i sycił nią wyhaftowane na szacie runy, które wypalały brud i wilgoć, ale i jedno, i drugie wracało.

Tunel niebawem wyszedł na szeroką jaskinię, w której znajdowało się ogromne jezioro. Powietrze było gęste od wilgoci, a z wysokiego sklepienia zwisały dziesiątki dużych stalaktytów. Uwagę śmiałków przykuł jednak brzeg jeziora, porośnięty niezliczonymi rodzajami grzybów, z których wszystkie jaśniały życiem.

– Musimy odnaleźć ścieżkę – rzekł demon przez Shanjata.

– Dlaczego? – Jardir spojrzał na niego.

Grzyby rosły gęsto, niektóre dorastały mężczyźnie nawet do łokcia, ale Krasjanin miał wrażenie, że bez trudu się między nimi przepchnie, a mniejsze da radę podeptać.

– Pchnij wiatr przez to pole – zaproponował mu Alagai Ka.

Jardir przyjrzał się myślakowi nieufnie, potem wzruszył ramionami i nakreślił kilka runów, z których buchnął prąd powietrza ku wodzie. W tej samej chwili tysiące zarodników eksplodowało, a powietrze wypełniły ciemne chmury ohydnych wyziewów. Jardir puścił kolejny, łagodniejszy podmuch, by odepchnął je jak najdalej.

– Cóż to znów było, na mrok nocy? – spytała Renna.

– W ten oto sposób kolonia grzybów broni się przed najeźdźcami – rzekł otchłaniec. – Zarodniki wydzielają paralizujące gazy, które unieszkodliwią i zarażą każdego, kto ośmieli się zbliżyć.

– Zarażą? – spytała Renna. Nikt nie zauważył dłoni, którą musnęła swój rosnący brzuch, ale w jej aurze zamigotał lęk. Jardir ujrzał w Rennie wyobrażenie, w którym tuli swoje dziecko w morzu płomieni.

Nim książę zdołał odpowiedzieć, w kolonii grzybów coś się poruszyło. Uderzenie serca później pojawił się demon, z którego obecności nie zdawali sobie sprawy. Nie przypominał żadnej istoty, którą Jardir kiedykolwiek widział. Jego aura była płaska, przez co

bestia idealnie się stapiała z otaczającą ją kolonią. Spomiędzy łusek sterczały grzyby, które pożerały demona od środka, choć poruszał się z ogromną prędkością i zwinnością.

Mimo to był to tylko zwykły, pomniejszy demon. Jardir skupił się na moment i uruchomił pole ochronne korony, by go powstrzymać. Bestia zwolniła na chwilę, niczym rozpedzony koń, który wpada w wodę, ale przebiła się przez barierę i runęła ku nim.

Zaskoczony Jardir zamrugął, szybko uniósł włócznie. Wyprzedziła go Shanvah, która cisnęła pociskiem z runicznego szkła. Ten z łoskotem wbił się w tors rozpedzonej bestii, ale ta znów nawet nie zwolniła.

Jardir nakreślił więc run uderzenia, odrzucając demona jak niesfornego owada, a nim ten upadł na ziemię, Par'chin uderzył weń potężnym runem gorąca. *Alagai* eksplodował i zamienił się w kulę ognia tak intensywnego, że Jardir poczuł żar na twarzy. Płonące truchło padło na kolonię grzybów, co uwolniło reakcję łańcuchową – zarodniki znów buchnęły toksycznymi chmurami, a te również stanęły w ogniu.

Po chwili płomienie przygasły. Grzyby dookoła zostały wypalone, ale ziemia i powietrze nadal były wilgotne, a ogień nie rozniósł się ani nie przeniknął w głąb ziemi.

– Natkniecie się na kolejne – rzekł książę. – Zarodniki są w stanie zawładnąć umysłami demonów i zamienić je w obrońców kolonii, nawet kiedy grzyby pożerają ich ciała.

– Przeniknął przez moją barierę – powiedział Jardir. – Wygląda na to, że ta istota była już bardziej grzybem niż *alagai*.

– W jaki sposób twoi więźniowie przedostali się przez te grzyby? – spytał Par'chin.

– Eskortujący je zmiennokształtny zamienił się w ognistego demona i wypalił dla nich ścieżkę, ale niestety, stracił kilku ludzi – odparł książę ustami Shanjata i spowodował, że kukła odsłoniła zęby. – Niektórzy spośród nich być może nadal służą kolonii, chyba że zostali już całkiem pożarci.

– A jezioro? – spytała Renna. – Jak przebyli jezioro?

– Przepłynęli je, rzecz jasna! – Shanjat uśmiechał się teraz

szeroko.

– Nie podoba mi się to jezioro – oznajmiła Renna. – Jeden Stwórca wie, co się kryje w tej wodzie. Ten demon prowadzi nas w pułapkę.

– Nie ma innego sposobu i tyle. – Shanjat wzruszył ramionami.

– Ja również nie ufam temu demonowi, córko Harla – rzekł Jardir. – Ale nie możemy tu zostać. Nie możemy też zawrócić.

– Na Stwórcę, czy ty w końcu przestaniesz mnie tak nazywać? – warknęła Renna. – Może i są na świecie ludzie gorsi od Harla Tannera, ale ja większej kreatury nigdy nie spotkałam! Zabiłam gnoja własnymi rękami i mam już dość tego, że dla ciebie jego imię jest o wiele ważniejsze od mojego!

Jardir otworzył usta, ale natychmiast je zamknął, zaskoczony wybuchem. Aura dziewczyny emanowała dzikością, a on sam doskonale pamiętał zmienne nastroje u swoich żon, gdy spodziewały się dzieci.

Niemniej to, co powiedziała, wstrząsnęło nim do głębi.

– Przyznajesz się do tego, że zabiłaś własnego ojca?

Czyn wydawał mu się wprost potworny. Spojrzał na Par'china, który odpowiedział mu pustym wzrokiem. Shanvah pilnowała swojego ojca i demona.

– Wiedziałaś o tym? – spytał Jardir.

Par'chin pokiwał głową.

– Syn Otchłani zasłużył sobie na to.

Słowa te przyniosły Jardirowi ulgę, gdyż dobrze wiedział, jak bardzo jego przyjaciel ceni ludzkie życie. Mimo to czuł, że to nie wystarczy, by usprawiedliwić tak wielką zbrodnię.

Odwrócił się ku Rennie i wejrzał w jej aurę, chcąc poznać prawdę.

– Naprawdę chcesz się tego dowiedzieć? – spytała ostro dziewczyna.

Par'chin nauczył ich wszystkich sztuki maskowania wewnętrznej aury, dzięki czemu mogli ukryć najbardziej prywatne myśli i uczucia, ale Renna odsłoniła je na moment i Jardir ujrzał najstraszliwszy z koszmarów, jakie mógł sobie wyobrazić. Uniósł

ręce.

– Niech pokój będzie przy tobie, Renno am'Bales. W moich oczach na twoim honorze nie ma najmniejszej nawet plamy. Bez wątpienia sam Everam pokierował twoją dłonią.

– Everamowi pewnie się więc przysnęło, skoro czekał tak długo na to, co od początku trzeba było zrobić.

– Pokój, siostró – rzekła Shanvah, ani na moment nie spuszczać wzroku z więźnia.

– Nawet ja nie jestem w stanie objaśnić planu Everama – odezwał się Jardir. – Jedynie *dama'ting* to potrafią, ale dzielą się tylko niejasnymi skrawkami wiedzy.

Shanvat, słysząc te słowa, parsknął głośnym śmiechem, ale zamilkł, widząc groźne spojrzenie Jardira. Ten po chwili przeniósł wzrok na Rennę i uklonił się.

– Jeśli moje słowa cię uraziły, proszę o wybaczenie. Znałem wielu wojowników, którzy przystępowali do *sharak* obarczeni hańbą swych ojców. Shanvah i ja nie wypowiemy już jego imienia.

Renna burknęła. Jej aura wciąż mieniła się gniewem.

– Tak czy owak, naszej sytuacji nie zmienia to wcale – dodał Jardir.

– Ja nie wejdę do tej wody. – Renna wskazała jezioro ruchem głowy.

– Nie będziesz musiała – stwierdził Par'chin. – Wzniesiemy most.

Jardir spojrzał na niego.

– Jak niby chcesz tego dokonać, Par'chin?

– W ten sam sposób, w jaki przedostaniemy się przez te grzyby – odparł Par'chin i stanął na czele. – Ruszamy.

Shanvah trzykrotnie owinęła usta i nos tkaniną, po czym wyciągnęła drugą jedwabną zasłonę i podała ją Rennie.

– Mam własną! – odparła Renna i wyciągnęła pasmo nieskazitelnie czystego jedwabiu z sakwy przy pasie. Owinęła twarz tak, jak zrobiła to Shanvah. – To dar ślubny od Amanvah – dodała.

– Everam nie czyni nic bez przyczyny i prowadzi nas tam, gdzie

zdoła doprowadzić – rzekł Jardir i naciągnął własną nocną zasłonę.

Par'chin wziął zapasową tkaninę od Shanvah, a dziewczyna wyjęła trzecią i obwiązała wokół twarzy ojca. Ten spojrział na nią.

– Niewolnikowi taka skromna zasłona wystarczy, ale ja...

– Ale ty najlepiej zrobisz, jak zamkniesz pysk i będziesz trzymał się blisko – dokończył za niego Par'chin.

Jardir stanął z tyłu, Shanvah i Renna zajęły pozycje po obu stronach Shanjata. Otwierający szyk Par'chin zaczął kreślić runy zimna w powietrzu, zamrażając wszystkie grzyby w pobliżu. Wilgoć unosząca się wokoło jedynie ułatwiła mu zadanie.

Szli naprzód, a okolicę, którą przemierzyli, pokrywała gruba warstwa lodu. Jardir i Renna zrozumieli intencje Par'china i poszli w jego ślady. Śmiercionośne grzyby zamarzały, szron chrupał pod ich stopami. Zbliżali się do brzegu jeziora. Niespodziewanie z głębi kolonii skoczył na nich pierwszy obrońca, a po nim kolejne demony, samotny nocny wilk, dwie masywne, muskularne jaszczurki rozmiarów demona gliny, a nawet jakiś mężczyzna o martwych oczach i bladej, poznaczonej ciemnymi żyłami skórze. Z jego uszu sterczały grzyby. Ich aury znamionowały siłę, ale były puste, blade, pozwalające im zlać się idealnie z otoczeniem. Nie wiedzieli, czym są uczucia, a ich ruchami nie kierowały myśli.

Shanvah szarpnęła łańcuchem, posyłając Shanjata na kolana, po czym zerwała tarczę z pleców, by zasłonić ich oboje, i pochwyciła za szklaną włócznię. Demon bynajmniej nie protestował.

– Tylko ich nie tnij! – ostrzegł wojowniczkę Par'chin, lecz było to zbyteczne. Córka Shanjata wiedziała, co robi.

Zasłaniając się tarczą, odpychała przeciwników potężnymi kopnięciami i druzgotała ich uderzeniami drzewca włóczni. Każdy z napastników cofał się ze złamaną kończyną, nie mogąc już ich ścigać. Pozostali nadal kreślili runy zimna i zamrażali nacierających, by żaden z nich nie zdołał uwolnić swych śmiercionośnych wyziewów.

Gdy pierwsze uderzenie zostało odparte, a napastnicy leżeli na ziemi, zamrożeni bądź zbyt poturbowani, by się podnieść, Shanvah znów szarpnęła łańcuch i poprowadziła Shanjata ku wodzie. Po

drodze zostali zaatakowani jeszcze dwukrotnie, ale tym razem byli już przygotowani, a bezrozumny wróg nie stanowił wielkiego wyzwania dla czujnych wojowników. Nawet *alagai* okazały się słabymi przeciwnikami – ich nabite, twarde mięśnie najwidoczniej były już nadgryzione przez grzyby.

– Uwaga na głowy! – krzyknął Shanjat.

Shanvah poderwała tarczę w porę, by zablokować wielką ilość szlamu, która trysnęła ze stalaktytu nad ich głowami. Instynktownie ochroniła w pierwszej kolejności ojca. Jej szklana tarcza uchroniła go przed błotem, ale kilka kropli padło na ramię i plecy dziewczyny. Trafione miejsca zadymiły, substancja z sykiem przepaliła jedwab i wniknęła w szczeliny zbroi.

Bezgraniczne męstwo wojowniczkii nie pozwoliło jej nawet krzyknąć, nie mówiąc już o zatrzymaniu się, choć ból musiał być ogromny. Zamiast tego niewielka grupa przyspieszyła kroku i wkrótce dotarła na brzeg jeziora, gdzie rzadziejająca powoli kolonia grzybów wreszcie się skończyła. Zamiast grzybów widzieli teraz skały i kamienie, pokryte żrącym szlamem.

Par'chin wypalił go w całości, a jego *jiwah* zamroziła resztę, czym oczyścili sobie drogę do wody.

Shanvah słabła z każdą chwilą. Jardir widział to w jej aurze. Palący szlam pożerał skórę siostrzenicy i wdzierał się głębiej. Nie było wątpliwości, że kryje się w nim jakaś magia, gdyż rozlewał się w ogromnym tempie. Jardir zrozumiał, że jeśli ktoś nie pomoże Shanvah, dziewczyna zostanie niebawem strawiona.

– Osłaniajcie nas! – zawołał, zrywając jej szaty. – Muszę się nią zająć!

Obnażanie nagości przed wujem nie przynosiło Shanvah wstydu, ale i tak była już zbyt słaba, by protestować. Topniejąca skóra na ramieniu dziewczyny pokryta była bąblami. Renna szybko narysowała runy ciepła nad ciałem wojowniczkii, by zabić śmiercionośnego pasożyta.

– Musisz pokonać ból – rzekł Jardir. – Wszak Everam ci się przygląda.

– Ból... to... tylko... wiatr... – wyszeptała Shanvah, z trudem

łapiąc oddech.

– W rzeczy samej – zgodził się Jardir i wniknął spojrzeniem w aureę pasożyta, po czym wezwał moc i zaczął kreślić runy.

Shanvah miotała się i gryzła tkaninę, którą ciasno obwiązała sobie twarz, ale ani razu nie krzyknęła, gdy Jardir cierpliwie, systematycznie wypalał szlam, niszcząc przy tym zdrowe ciało. Gdy doszedł do wniosku, że nie zostało już nic, zmienił technikę i sięgnął do magii, którą *dama'ting* posługiwały się od wieków, by odbudować tkankę.

Shanvah natychmiast otworzyła oczy, a w jej aurze zapłonął wstyd.

– Wybacz, wuju. Znów jestem dla ciebie ciężarem, słabym punktem, który wykorzystują twoi wrogowie.

– Bzdura – rzekł Jardir. – Gdyby nie twoje błyskawiczne działanie, stracilibyśmy przewodnika. Niewykluczone też, że szlam spadłby na jednego z wybranych. Odpoczywaj.

Ale Shanvah już kręciła głową i próbowała powstać.

– Nie ma na to czasu, wuju! Już czuję się lepiej! Możemy ruszać!

W istocie wyglądała lepiej, a aura zdradzała wielką ulgę, ale skóra dziewczyny, jeszcze niedawno nieskazitelnie gładka, była teraz zaczerwieniona i przypominała stopiony wosk. Ani myśląc o wstydzie, Shanvah zdjęła zbroję z runicznych płytek spomiędzy resztek szat i przebrała się w pośpiechu w zapasową, którą wyjęła z plecaka. Z kolonii wyskoczył kolejny porośnięty grzybami demon, lecz Par'chin szybko nakreślił run gorąca i wpakował w otchłańca taką ilość mocy, że ten rozbłysnął białym płomieniem i rozsypał się w proch.

Renna wydała z siebie wrzask, gdy z wody z pluskiem wyłoniła się i wystrzeliła ku niej macka. Oplotła się wokół ramienia dziewczyny, ale Renna pchnęła nieco mocy w runy wytatuowane na skórze i macka poluzowała ucisk. Dziewczyna chlasnęła po niej nożem i przecięła na pół, ale wtedy pojawiły się kolejne. Powstało ogromne zamieszanie, w którym stracili ochronę, jaką dawały runy niewidzialności.

Jardir spojrział na Alagai Ka, zastanawiając się, czy było to od

początku jego zamysłem, ale w słabej aurze demona pojawił się lęk. Uwięziony przez runy w swojej obecnej formie, nie zdołałby długo wytrzymać wciągnięcia pod wodę. Był narażony na wodnego potwora w tym samym stopniu co ludzie.

Par'chin podbiegł bliżej i usunął magię ze swoich runów, by macki mogły się opleść wokół niego. Wówczas rozstawił szeroko nogi i zaczął iść do tyłu, wywlekając bestię z wody. Stworzenie, które ukazało się ich oczom, przypominało potwora z najgorszych koszmarów. Pokryte śluzem odnóża, uzbrojone w ostre pazury i rzędy przyssawek, wyrastały z głowotułowia, które wydawało się jedynie paszczą zbrojną w tysiące kłapiących zębów.

Jardir nie wahał się ani chwili. Rzucił się na potwora i wbił Włócznię Kajiego głęboko w gardziel, uśmiercając go na miejscu.

W wodzie aż kipiało od demonów. Jardir rozszerzył pole ochronne korony, spychając *alagai* z powrotem do wody, i wrócił do towarzyszy. Z trudem panując nad sobą, podszedł do Shanjata.

– W jaki sposób jakikolwiek człowiek miałby przepłynąć przez jezioro pełne demonów? – wycharczał.

– Ludzie, którzy przez nie przepłynęli, zostali przeze mnie naznaczeni – odrzekł Alagai Ka. – Co więcej, towarzyszył im zmiennokształtny, który zdominował pomniejsze demony.

– A armie Kajiego? – spytał ostro Jardir. – Czy tędy szli jego wojownicy?

– Tego jeziora wówczas tu nie było – odparł Alagai Ka. – Moi pobratymcy stworzyli je, żeby utrudnić zadanie każdemu, kto będzie chciał się do nas wdrzeć.

– Zrobiliście jezioro? – spytała Renna.

– To proste zadanie. Kazaliśmy skalnym demonom otworzyć tunele i uwolnić podziemne źródła – padła odpowiedź.

– Ja nie wejść do tej wody – powtórzyła Renna.

– Nie będziesz musiała – rzekł Par'chin. – Wymrozę dla nas most.

– A jeśli wodne demony na niego wleżą? – spytała.

– Korona Kajiego im na to nie pozwoli – zapewnił ją Jardir.

Wyjął święte misy i strzaskał zamrożone kamienie, by nabrać



ziemi, bo chciał przygotować dla nich posiłek, podczas gdy Par'chin będzie zbierał magię, by stworzyć most. Shanvah doszła już w miarę do siebie, ale potrzebowała jedzenia i picia, by zrównoważyć ubytki w ciele. Z bliznami nikt nie umiał sobie poradzić. Dzięki magii można było sprawić, by ślad po długim, prostym cięciu znikł całkowicie, ale obrażenia Shanvah były zbyt rozległe.

Kiedy Shanvah została nakarmiona i powróciła do strzeżenia ojca, natychmiast zjawiała się Renna am'Bales. Jardir uklonił się przed nią.

– Raz jeszcze pragnę przeprosić...

– Nie ma za co. – Renna też pochyliła głowę. – Przecież o niczym nie miałeś pojęcia, a mnie po prostu trafił szlag. Wydawało mi się, że mam już wszystko pod kontrolą, a napady złości to wina magii, ale przez dziecko trudniej mi nad wszystkim zapanować. Jeśli ktoś powinien tu przeproszać, to raczej ja.

– Mój lud... cóż, nie czyni mądrze, bezkrytycznie czcząc imię ojca – rzekł Jardir. Słowa nie przyszły mu łatwo, gdyż kryjąca się w nich prawda ujawniała fałsz w wielu momentach jego życia. – Mój własny ojciec zginął młodo i nie zdobył chwały, a ja długo się zastanawiałem, co należy zrobić, żeby zdobyć dla niego miejsce w Niebie. Tak naprawdę powinienem był częściej myśleć o matce, która wychowywała nas czworo bez męża.

Renna zerknęła na Shanvah.

– Wygląda na to, że w końcu wszystko im wynagrodziłeś.

– Możliwe – zgodził się Jardir. – Par'chin również nie przepadał za tym, że nazywano go synem Jepha, choć upłynęło wiele lat, zanim poznałem powód.

– Jego ojciec zasłużył sobie na odkupienie bez niczyjej pomocy – rzekła Renna. – Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie zeskoczył z ganku i nie stawił czoła demonowi uzbrojony jedynie w starą siekiere – westchnęła. – Może nikogo z nas by tu nie było, gdyby jego ojciec którejs nocy wiele lat temu nie złapał za widły i nie osłonił Arlena i jego mamy, którzy uciekali za runy.

– Tylko Stwórca widzi koniec każdej ścieżki w życiu – powiedział

Jardir. Rozsądnie pominął imię Everama, by nie wzburzyć Renny i nagle nie zerwać cienkiej nici porozumienia. – Możemy całe życie zastanawiać się nad przeszłością, ale patrzeć należy w przyszłość.

– Pewnie – odparła Renna i odmówiła z nim modlitwę, po czym znów zjadła więcej niż wszyscy pozostali.

W tym czasie Par'chin zebrał ogromną ilość magii i dla Jardira, którego wzrok potęgowała moc korony, jaśniał niczym słońce w południe. Potem zaczął kreślić runy i na powierzchni jeziora pojawiły się pierwsze kryształki lodu, które łączyły się ze sobą, rozprzestrzeniały coraz dalej i grubiały, aż zbudowały masywną lodową pokrywę, która ciągnęła się daleko w mrok.

Jardir czekał i przyglądał się, jak emanacja otaczająca przyjaciela powoli słabnie, a gdy uzmysłowił sobie, że lada chwila zrobi się ciemna, podszedł i delikatnie położył mu dłoń na ramieniu.

– Dość, Par'chin. Zjedz coś i odpocznij. Pozwól, żebym dokończył za ciebie.

– Zgoda. – Par'chin oparł dłonie na kolanach, oddychając ciężko niczym po ciężkiej bitwie. – To chyba dobry pomysł.

Usiadł na boku, by odpocząć, co ostatnio nie zdarzało się często, a wówczas Jardir pochwycił włócznie i pobrał tyle mocy, ile zdołał, po czym wszedł na lód. Woda nie przewodziła dobrze magii i już po chwili Jardir poczuł, że oddala się od obfitości mocy, która otaczała go na brzegu. Nawet w blasku korony jezioro wydawało się ciemne, nie licząc mieniących się jaśniej ryb i demonów w głębinach.

Rozszerzył barierę, by nie zostać znienacka zaatakowanym, i szedł przed siebie, kreśląc runy zimna ostrzem włóczni. Most rozszerzał się szybko, gdyż woda okazała się zimniejsza, niż mu się wydawało – wszak powietrze w jaskini było wilgotne i gorące.

Wkrótce włócznia pociemniała, ale Jardir brnął naprzód, uparłszy się, że zbuduje odcinek przynajmniej tak długi jak Par'chin. Płuca zaczynały go palić, a w mięśniach pojawił się ból. Zużył nawet odrobinę mocy, którą się osłaniał przed zimnem, i jego stopy w sandałach szybko zdrętwiały.

Gdy zaczął pobierać z mocy korony, zrozumiał, że nadszedł czas

do odwrotu. Nie mógł dopuścić do sytuacji, w której jakiś lewiatan z głębi zaatakuje go w chwili słabości. Godność nie pozwalała mu biec, ale szedł szybkim krokiem, bez ociągania się.

– Moja kolej – oznajmiła Renna.

Jej mąż uniósł głowę, gotów do protestów, lecz uciszyła go gniewnym spojrzeniem. Zebrała moc – równie dużo jak przed nią Jardir i Par'chin – i przekazała jej część w runy wody na swej skórze, tworząc barierę przeciwko *alagai* z głębin. Następnie sama weszła na most.

Par'chin odprowadził ją wzrokiem. Wyglądał na spokojnego, ale Jardir co chwila widział w jego aurze obrazy, w których zrywał się i biegł za żoną. Gdyby Rennie zagroziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, Par'chin zareagowałby w mgnieniu oka.

Ufając czujności przyjaciela, Jardir skupił uwagę na Alagai Ka, który został ponownie skrepowany, a teraz z obrzydzeniem żuł rybę, którą złowiła dla niego Shanvah. Ojcem zajęła się z o wiele większą troską – oczyściła mu rany i oparzenia, opatrzyła najpoważniejsze z nich, napoiła go i nakarmiła, po czym zabrała się do rozczesywania włosów i zaplatania ich w warkocze. Smutek w aurze wojowniczkki był niemalże namacalny. Shanjat stał nieruchomo i wpatrywał się w wodę niewidzącym spojrzeniem.

– Widać brzeg – oznajmiła powracająca Renna, zdyszana i spocona. – Jeszcze jedna próba i damy radę.

– Nie wiem, czy będziemy mieli tyle czasu – odezwała się Shanvah i wskazała skraj kolonii grzybów. Wszyscy odnieśli wrażenie, że chmury istot na obrzeżach przyglądają im się pozbawionym życia wzrokiem, które aż ocieka od nienawiści. Trudno było oprzeć się przeczuciu, że kolonią steruje jeden zbiorczy umysł.

Jardir odwrócił się do Par'china.

– Ruszamy teraz czy chcemy kusić przeznaczenie i wysłać jednego spośród nas, żeby dokończył budowę?

Par'chin zacisnął usta.

– Nie podoba mi się ani jedno, ani drugie.

– Na końcu mostu ledwie było was widać – odparła Renna. –

Każdy, kto tam się znajdzie, nie może liczyć na niczyją pomoc.

– A więc nie będziemy się rozdzielać – postanowił Jardir i dał znać Shanvah. Alagai Ka ponownie został rozkuty i wszedł w umysł Shanjata, w tym czasie córka wojownika ujęła runiczny łańcuch, obwiązała sobie wokół talii i przymocowała drugi koniec do pasa Shanjata.

– Jeśli będziesz chciał uciec do wody, zabiję cię, nawet jeśli miałby to być mój ostatni czyn na Ala – rzekła.

Wokół oczu Shanjata, widocznych zza zasłony, pojawiły się zmarszczki rozbawienia.

– Nie ma mowy o ucieczce – roześmiał się. – Moim marzeniem jest pożreć twój mózg i jak wiesz, przyprawiam go od dłuższego czasu, córko!

Shanvah uniosła włócznię.

– Nie nazywaj mnie tak!

– Córko! – zaśmiał się Shanjat i wypiął pierś, zachęcając ją do uderzenia. – Córko! Córko! Córko!

Dziewczyna najeżyła się, ale Renna oparła dłoń na jej ramieniu.

– To tylko wiatr i plwociny, siostrze. Nie zwracaj na to uwagi.

– W rzeczy samej – dodał Jardir. – Niech sobie gada. Zresztą czyż to nie żałosny widok? Ongiś potężny władca demonów, któremu dziś pozostało już tylko bezsilne poszczekiwanie.

Z Shanvah odeszło nieco napięcia i ukloniła się z trudem.

– Jak rzecze Wybawiciel, pochylę się niczym palma przed tym... wiatrem i plwocinami.

– No to chodźmy już – zniecierpliwiła się Renna. – Skóra mnie swędzi, jak patrzę na te grzyby.

– Ja i Renna dokończymy most – oznajmił Par'chin. – Ty skup się na osłanianiu nas barierą i zachowaj nieco mocy w rezerwie na wszelki wypadek.

– Zgoda – odparł Jardir i ponownie tchnął życie w swoje pole ochronne.

Wyszli na lodowy most, tradycyjnie rozstawieni w romb, w którego centrum znajdował się więzień. Jardir zwęził barierę najbardziej, jak się dało, by nie przyciągać zbyt wiele uwagi, ale

wiedział, że dopóki zachowa czujność, dopóty żadna armia Nie nie zdoła się przez nią przedrzeć.

Obrzucił jedynie nerwowym spojrzeniem kolonię grzybów, bo nie mógł zapomnieć, z jaką łatwością zarażony demon przebił się przez barierę. Zdarzenie uświadomiło mu, że przez cały czas trzeba trzymać się na baczności.

Ich stopy skrzypiały na lodzie. Drobne czarne fale omywały krawędzie mostu, wyniesione nieco w górę, by zatrzymać wodę. Z każdym krokiem brzeg zostawał coraz dalej za ich plecami, aż dotarli do miejsca, w którym Rennie skończyła się moc. Wówczas Par'chin wyszedł poza barierę, by stworzyć brakujący element dzielący ich od drugiego brzegu. Jego runy wody jaśniały oślepiająco.

Wtedy w wodzie pojawił się blask potężnego *alagai*, który nadpłynął zniecka i rozpędzony uderzył nie w ludzi, ale w most za ich plecami.

Rozległ się ogłuszający trzask, na powierzchni lodu pojawiły się pierwsze pęknięcia, które rozbiegły się na wszystkie strony, ścigając śmiałków niczym ogniste demony. Jardir zrozumiał, że most kolejnego uderzenia nie wytrzyma.

– Uciekajcie! – krzyknął, kreśląc runy zimna, by załatać największe uszkodzenia.

Renna, Shanvah i Shanjat rzucili się do biegu ku przeciwnemu brzegowi, gdzie Par'chin nadal kończył ostatni odcinek. Lewiatan uderzył ponownie – wynurzył się i rzucił na most, rozbijając go w drobny mak. Ogromne kawały lodu wystrzeliły w górę i runęły na śmiałków, ale Jardir nie dał się zastraszyć. Nie cofnął się ani o krok i kreślił jedynie runy uderzenia, by odbić co większe okruchy, które mogłyby trafić jego uciekających towarzyszy.

Demon zaatakował znowu, tym razem o wiele za blisko bariery Jardira. Odbił się od runów, ale zdążył raz jeszcze grzmotnąć ogonem w lód. Ogromne fragmenty znów poleciały do góry, a Jardir cofnął się, oślepiiony bryzgami wody. Jeden wielki kawał spadł na most tuż przed jego stopami i niespodziewanie Jardira ze wszystkich stron otoczyła ciemność.

Jardir nauczył się wielu rzeczy w *sharaj*. Umiał walczyć z *alagai* gołymi rękami, potrafił wykonywać ogromne susy i kończyć je przewrotami, które neutralizowały upadek, prowadzić oddziały do boju i leczyć rany, które mogły przynieść kalectwo bądź śmierć.

Ale nigdy nie nauczył się pływać.

Pograżał się w czarnej wodzie i nie miał pojęcia, jak odszukać górę i dół. Czuł jedynie uderzające w niego odłamki mostu i ból płonących płuc. Par'chin nauczył go magii, która mogła dokonać niemalże wszystkiego, ale nie potrafiła stworzyć dla niego powietrza, a zaskoczony Jardir nie zdołał nawet zaczerpnąć tchu.

Poczuł, że korona zsuwa mu się z głowy. Z desperacją wyrzucił ramię, by ją złapać. Gdyby stracił swój bezcenny artefakt, szanse na zwycięstwo – i przetrwanie całej Ala – zmalowałyby do zera. Drugą dłoń, również z rozpaczą, zacisnął na włóczni. Nie wierzył, że oba przedmioty udałoby się odnaleźć, gdyby opadły na dno tego przeklętego jeziora.

Wodne demony jednak nie miały żadnych wątpliwości. Znajdowały się przecież w swoim naturalnym środowisku i Jardir widział, jak go okrążają. Niektóre z nich były wielkimi lewiatanami, widział też wśród nich mniejsze potwory, uzbrojone w mrowie macek, ale wszystkim zależało tylko i wyłącznie na tym, by zniszczyć człowieka. Zaatakowały ze wszystkich stron.

Jardira nadal chroniła bariera, lecz w wodzie nie miał punktu oparcia. Potwory uderzały z niewyobrażalną siłą i odbijały się od magicznej osłony, ale jednocześnie spychały Jardira w najróżniejsze kierunki, dodatkowo pogłębiając jego dezorientację. Płuca mu płuły. Jardir wiedział, że jego czas się kończy.

Odepchnął strach, zignorował wściekłe uderzenia demonów i sięgnął zmysłami w głąb ziemi, by odszukać kryjącą się w niej moc. Dotknął jej przez chwilę, lecz wtem natarł na niego kolejny *alagai*. Tracony Jardir zawirował i utracił kontakt z mocą.

Któryś z większych demonów runął do następnego ataku.

Jeśli mam umrzeć, wolę zginąć od pazurów *alagai*, niż dusząc się w panice! – przeszło mu przez myśl.

Wcisnął koronę mocno na skronie i skrócił barierę. Demon,

przygotowany na uderzenie w przeszkodę, runął prosto na niego i nadział się na ostrze włóczni. Jardir poczuł, jak bestia dygocze z bólu, ale nie puszczał włóczni, tym bardziej że raniony demon machnął płetwami i wystrzelił ku powierzchni. Jardir wynurzył się na krótki moment i zdołał nabrać tchu.

Szarpnął za broń, chcąc ją uwolnić i wzbić się w powietrze, ale włócznia zaczepiła się o jakąś kość i chwilę później Jardir znów pogрузił się w głębinach. Demon nurkował korkociągiem, próbując uwolnić się od napastnika, i Jardir znów stracił orientację.

Wokół niego ponownie zebrały się *alagai*.

Niespodziewanie rozbłysła magia i bestie rozproszyły się, a Jardir uniósł głowę i ujrzał Par'china, który mknął ku niemu. Jaśniał mocą i odpychał się potężnymi wyrzutami rąk i nóg.

Jardir oparł stopę o kark potwora i wyszarpnął broń, pozostawiając w jego ciele ziejącą ranę. Miał nadzieję, że demon nigdy nie zdołała jej zaleczyć. W pierwszym odruchu chciał go wykończyć, jednak rozsądek wziął górę nad chwałą. Jardir znów otoczył się barierą, która odepchnęła demony, i wyciągnął rękę, by złapać Par'china.



Kilka następnych dni rozciągnęło się w nieskończoność. Śmiałkowie wędrowali, wspinali się i prześlizgiwali po wąskich skalnych występach. Przez ponad milę czołgali się na brzuchach tunelem wysokim na zaledwie dwie stopy. Przez cały czas dokuczało im gorąco i nieustannie ocierali pot z czoła. Ani na moment nie przestawali oglądać się na Alagai Ka, przeświadczeni, że prędzej czy później zostaną przez niego zdradzeni.

Ojciec demonów wydawał się równie wyczerpany i udęczonej jak ludzie. Kontrolowanie Shanjata przez długi czas wyczerpywało jego siły, a runy na skórze bez wątpienia dokuczały mu równie dotkliwie jak w chwili, gdy Par'chin je wykonał.

„Podróż jest długa, a wy kiedyś straciecie czujność” – mówił Alagai Ka. Jardir zacisnął pięść. Nie miał nawet pewności, że podążają właściwą drogą. Kości Inevery przepowiedziały, że demon doprowadzi ich na miejsce, ale być może istniało wiele dróg prowadzących w głąb Ala. Czy księżę Małzonek celowo prowadził ich najbardziej niebezpieczną ścieżką w nadziei, że osłabną na tyle, by wreszcie zdołał uciec? Jardir nie miał pojęcia i wiedział, że nigdy się tego nie dowie. Księżęta demonów miały wszak tysiące lat doświadczenia w maskowaniu swoich aur. Kto mógł stwierdzić, kiedy mówili prawdę, a kiedy kłamali?

Jardir z początku sądził, że *alagai* będą ich jedynym zmartwieniem, ale wyglądało na to, że mrok w trzewiach Ala kryje w sobie wiele innych koszmarów.



Korytarz zaczął się rozszerzać i wędrowcy mogli się wreszcie wyprostować. Arlen bynajmniej nie poczuł się przez to spokojniejszy, lecz nauczył się już cieszyć każdą chwilą ulgi podczas tej przeklętej podróży.

Ściany wspierały kolumny wykonane przez starożytnych Krasjan, dzięki czemu mieli przynajmniej pewność, iż podążają tą samą drogą, którą kiedyś szły armie Kajiego, ale wyryte na niej runy były już w kiepskim stanie. Arlen wykorzystywał każdą okazję, by naprawić choć kilka spośród nich. Nie mógł odnawiać runów umysłu, gdyż mogły zatrzymać ich przewodnika, jednak włożył sporo serca w reperację innych. Nie wierzył, że uda im się ujść z życiem, ale gdyby zdołali umknąć, przypuszczalnie wszystkie demony Otchłani rzucają się za nimi w pościg. Runy mogły się więc przydać podczas ucieczki.

Niespodziewanie szeroki, wygodny korytarz zakończył się rumowiskiem. Ogromne głazy, tak wielkie, iż nawet on nie był w stanie ich dźwignąć, runęły z sufitu i zamknęły dalszą drogę. Pod



nimi powstała rozległa sadzawka. Arlen przyjrzał się uważnie, wykorzystując moc runów, ale nie dostrzegł żadnych śladów demonów.

Pewnie za płytko, pomyślał.

Dostrzegł jednak inne ślady życia. Za wodą rozrastał się koral, choć jeden Stwórca wiedział, czym się żywił.

Czekając na resztę grupy, Arlen wspiał się po głazach na samą górę. Przez niektóre szczeliny przenikały strumienie magii i gdyby zaryzykował dematerializację, przypuszczalnie zdołałby prześliznąć się na drugą stronę. Zew Otchłani stawał się jednak coraz bardziej natarczywy i wibrował w jego sercu. Arlen nie miał pewności, czy zdoła mu się długo opierać, ale postanowił, że zrobi to tylko wtedy, gdy życie kogoś z nich znajdzie się w niebezpieczeństwie, ale na pewno nie wcześniej.

Tak czy owak, tylko on i Renna opanowali umiejętność zmiany postaci. Inni nie mieli szans przedostać się tak przez zwałowisko, więc trzeba było znaleźć inną drogę. Rumowisko wyglądało na bardzo stare, a głazy, dzięki ściekającej bez przerwy wodzie, dawno powrastały jeden w drugi. Skoro Alagai Ka posłał tędy więźniów, musiało istnieć alternatywne przejście.

Arlen powoli zaczynał się domyślać, gdzie należy go szukać, a jego domysł potwierdził myślak.

– Trzeba przepłynąć pod głazami – oznajmił ustami *Sharum*. – To krótki przesmyk. Każdy temu podola, nawet człowiek z najsłabszymi płucami, a zresztą pod głazami znajduje się wnęka z powietrzem. Droga nie jest dłuższa od jednej waszej mili.

– Na noc! – oznajmiła Renna z niechęcią.

Nie była w tym odosobniona, nawet w aurze Jardira pojawił się lęk. Upadek do wody wstrząsnął nim głęboko, nawet mimo tego, że wynurzył się jako tryumfator.

Arlen jednak nie zawahał się.

– Popłynę pierwszy.

Shanvah ukloniła się.

– Z szacunkiem, Par'chin, ale to ja powinnam popłynąć pierwsza. Ja jestem zbędna. Beze mnie sobie poradzicie, ale bez ciebie się to

nie uda.

Arlen się skrzywił. W aurze nieustraszonej dziewczyny zamigotały kolory.

– Nie chcę nawet słuchać takiej gadaniny, Shanvah. Nikt z nas nie jest zbędny. Jeśli pod głazami czekają na mnie jakieś kłopoty, poradzę sobie z nimi najlepiej z naszej grupy. W najgorszym razie zdematerializuję się.

Renna położyła mu dłoń na ramieniu.

– Słyszysz zew?

Arlen nakrył jej dłoń własną.

– Tak. Choć to teraz już nie tyle zew, co rozkaz.

– Jak gałąź w wartkim strumieniu – powiedziała Renna. – Nie rób tego, chyba że nie będziesz miał wyboru.

– Twój samiec oczywiście ma rację – roześmiał się Shanjat. – Wasze umysły są zbyt słabe, żeby stawiać nam opór. Już dawno powinniśmy się znaleźć na dworze umysłów i zakończyć tę waszą idiotyczną wyprawę.

Nie wspomniał ani słowem, w jaki sposób ich wyprawa miałyby się skończyć, ale Arlen podejrzewał, że demon ma jeszcze jakiegoś asa w rękawie, ostatnią sztuczkę, po którą sięgnie, gdy nikt nie będzie się niczego spodziewał. Musieli być gotowi na wszystko.

Renna odpięła nóż od pasa.

– Weź go.

Arlen otworzył szerzej oczy, Renna nienawidziła swojego ojca, ale jego nóż był dla niej najcenniejszą rzeczą na świecie. O wiele cenniejszą niż naszyjnik z otoczków od Cobiego Fishera czy runiczna obrączka ślubna, którą dla niej zrobił. Na samą myśl, że mogłaby mu podarować swój nóż, Arlen poczuł ucisk w gardle.

– Ren, nie mogę...

– Możesz. I weźmiesz – przerwała mu Renna. – Jeśli coś się wydarzy, nie będziesz miał miejsca na wymachiwanie włócznią.

– Ale ja mam nóż. – Arlen dotknął swojej broni, jednak ostrze długości sześciu cali wydawało się żałośnie skromne w porównaniu z długim na stopę, naostrzonym niczym brzytwa nożem Renny.

Dziewczyna parsknęła.

– Da się nim posmarować bułkę czy naostrzyć patyk, ale to wszystko. W walce na nic ci się nie przyda – powiedziała i mrugnęła do niego. – Wiesz, czasami dziewczyny mówią chłopakom, że rozmiar nie ma znaczenia, ale robią to tylko po to, żeby się lepiej poczuli.

Arlen zachichotał, odpiął własny nóż i przytroczył do pasa ostrze Renny. Ta złapała męża za podbródek i obróciła ku sobie, by wycisnąć mu na ustach pocałunek.

– Ale masz mi go oddać. I siebie razem z nim.

– Gdyby było tu gdzieś słońce, przysięgłbym na nie – rzekł Arlen, oddał pocałunek i rozebrał się aż po bido i pas. Shanvah omiotła wzrokiem jego ciało, ale szybko odwróciła spojrzenie. Arlen zerknął na Rennę, która na ogół była bardzo zazdrosna, lecz ta jedynie uśmiechnęła się lekko. Przyjaźń między Renną i Shanvah stawała się coraz mocniejsza.

Arlen nie marnował już czasu. Oddychając szybko, ale głęboko, wszedł do lodowatej wody, a potem nabrał tchu po raz ostatni i zanurkował. Jego ciało przeszył dreszcz zimna. Miał wrażenie, że w ciemnej wodzie brakowało magii. Nigdzie nie widział wodnych demonów ani innych stworzeń. Przekazał nieco mocy do runów światła na swej skórze i ruszył przed siebie, odgarniając wodę potężnymi wyrzutami nóg i ramion. Wkrótce znalazł się pod rumowiskiem. Płynął naprzód, próbując nie myśleć o tym, że ma nad sobą setki ton głazów.

Przecież leżą tak od tysiący lat. Na pewno nie zlecą mi na głowę! – pomyślał.

Jego umysł rozumował logicznie, choć to wcale nie pomagało w uśmierzeniu narastającego lęku.

Następna minuta nie miała końca, aż wreszcie, dokładnie tak, jak obiecał demon, Arlen dostrzegł wnękę z powietrzem. Spodziewał się nieco przestrzeni, by móc wynurzyć głowę i ramiona ponad tafelę wody, ale wnęka okazała się płytka i zdołał jedynie wysunąć nos oraz usta. Odetchnął kilkakrotnie i znów pogrążył się w głębinach.

Droga wydawała się pusta, choć jego ruchy burzyły zalegający na

dnie osad, a korale odwracały się za światłem niczym kwiaty pochylające się ku słońcu. Wnet Arlen dotarł do drugiej wnęki, a potem do trzeciej. Gdy zanurkował po raz kolejny, runy światła zdawały się przygasać, a więc przekazał im więcej mocy.

Naraz, gdy chciał się odbić nogami, coś złapało go za łydkę i zatrzymało mocnym szarpnięciem. Zaskoczony Arlen wypuścił z płuc cenne bąble powietrza i mało nie zachłysnął się wodą. Odwrócił się i ujrzał robaka, który wychynął z wnętrza korala na dnie i oplótł się wokół jego nogi. Jego pysk zwieńczony był czymś na kształt przyssawki. Stwór jaśniał magią i Arlen naraz poczuł, jak moc zaczyna go opuszczać.

Wszędzie dookoła korale obracały się i unosiły ku niemu, a z ich wnętrza wypływały kolejne robaki. Ssały wodę niczym niemowlęta pierś i wszystkie jaśniały mocno, podczas gdy magia Arlena przygasała.

Mężczyzna wreszcie uświadomił sobie niebezpieczeństwo. Instynktownie chciał pobrać moc, by zastąpić utraconą magię, lecz pod wodą nie był w stanie zlokalizować żadnych źródeł. Tymczasem te stworzenia żywiły się magią, a rozpaczliwe próby pobierania jedynie pobudziły je do działania. Najbliższe niczym na sygnał rzuciły się ku Arlenowi.

Sięgnął po nóż Renny, lecz robaki poruszały się o wiele szybciej, niż sądził, i było ich już zbyt wiele. Jeden oplótł się wokół talii Balesa, inny pochwyił za gardło. Miażdżyły go niczym piaskowe węże oplatające pochwyconą mysz, a przy tym spijały magię skutecznie jak ssawki, które Leesha stosowała podczas operacji. Nadnaturalna siła mężczyzny nikła, runy gasły i znów był tylko Arlenem Balesem, który tonął w czarnej wodzie. Szarpał się, ale stawał się coraz słabszy, aż wreszcie zaprzestał stawiania oporu.

A wtedy, jak często w podobnych chwilach, w jego głowie rozległ się głos Jepha Balesa. Znów padły słowa, które usłyszał ćwierć wieku temu, gdy uczył się pływać w Zakątku Rybaków.

„Masz zamiar utonąć czy wreszcie popłyniesz?”

Popłynę! – parsknął wściekle Arlen i znów, tak jak wówczas, o mało się nie zakrztusił. Wyszarpnął nóż z pochwy i obrócił ostrze,

by przeciąć robaka, który oplatał mu ramię.

Nóż Harla Tannera był ostry niczym brzytwa. Bez trudu rozciął ciało stwora, pozostawiając jedynie końcówkę, która nadal ssała ramię. Arlen czuł, jak wciąż próbuje pozbawić go mocy, ale teraz, gdy była oddzielona od reszty ciała, nie przynosiło to skutku.

Inne jednak nadal wysysały moc, a Arlen wiedział, że nie zostało mu jej już wiele. Co się wydarzy, gdy pozbawią go ostatniej iskierki magii, która dawała życie? Widział coraz gorzej, a woda stawała się z każdą chwilą coraz ciemniejsza, choć robaki odebrały mu ogromną ilość mocy. Przecież powinny jaśnieć jak słońce!

Skupił wolę, by powstrzymać ich ssanie i pobrać moc z powrotem. Miał wrażenie, że płynie pod prąd w wodach wzburzonej rzeki, ale tempo, z jakim robaki pozbawiały go magii, znacznie osłabło. Złapał stwora, który oplatał mu drugie ramię, rozciągnął go i przeciął w pół. Ssanie zelżało jeszcze bardziej i Arlen zdołał nawet pobrać nieco mocy z tej części ciała robaka, która nadal przylegała do jego ramienia.

Wolną dłonią pochwycił robaka, który owinał się wokół jego klatki piersiowej. Miał wrażenie, iż ten składa się jedynie z oślizgłych mięśni. Był tak gruby, że Arlen nie potrafił objąć go palcami, i na tyle silny, że nie dało się go zerwać. Wystarczyło jednak to, że zdołał go namacać. Chlasnął nożem, a stał przecięła i ciało potwora, i jego własne. Arlen nie wiedział, jak głęboko należy ciąć, ale też nie miał zamiaru się tym przejmować.

Połowa robaka odpadła i Arlen pobrał ostro z drugiej połowy, wijącej się wściekle z bólu. Odzyskał część skradzionej mocy, a potem oderwał resztę robaka.

Runy ożyły i znów wyostrzyły Arlenowi wzrok. Inne robaki zalśniły niczym papierowe latarnie, opromieniając muliste dno. Woda wokół była mętna od krwi i śluzu, który wyciekał z pochlastanych robaków.

Arlen pomknął w dół, czując, że oplatające go stwory słabną. Odbił się od dna i wystrzelił ku górze. Uderzył w kamienne sklepienie z taką siłą, że usłyszał znajomy trzask pękającego nosa, ale nim robaki znów wciągnęły go pod wodę, zdołał nabrać tchu.

Powrócił w głębiny, by się zemścić. Ciął i rąbał robaki, które teraz stanowiły dla niego łatwy cel. Uwolnił nogi, ale robaki bynajmniej nie zachowywały się jak martwe stworzenia. Choć przerabane wpół, nie przestawały ssać, a co gorsza, ich rany zasklepiały się na oczach Arlena. Te, które opadały na muliste dno, zakorzeniały się w nim błyskawicznie i wypuszczały kolejne paszcze, podobnie jak te, które nadal tkwiły na dnie.

Na noc, w ten sposób tworzę kolejne! – pomyślał zrozpaczony Arlen.

W miejscu każdego robaka, którego udało mu się strząsnąć, natychmiast pojawiały się nowe. Arlen, miast dalej się bronić, zdecydował się pomknąć ku powierzchni, gdzie znów z trudem nabrał tchu, a wtedy przyssały się do niego trzy kolejne robaki. Zmienił taktykę i zamiast chlastać je wzdłuż, ciął w poprzek, tym samym zmuszając stwory, by wykorzystywały moc do regenerowania obrażeń, a nie rozmnażania.

Mimo to czuł, że przegrywa tę bitwę, która na domiar złego wcale nie była mu do niczego potrzebna. Zebrał resztkę sił, odbił się i pomknął z powrotem, żeby wynurzyć się, odnowić zapas mocy i ułożyć nowy plan pokonania podwodnych pasożytów.

Żaden z robaków nie zdołał sięgnąć po niego, gdy płynął w głębinę. Najwidoczniej potrafiły reagować szybko tylko w chwilach, gdy musiał nabrać tchu. Mimo to zachowywał czujność i ciął każdego, któremu udało się zbliżyć.

Zaczynał już mieć wrażenie, że zdoła ocalić życie, ale gdy nabrał tchu po raz trzeci, uświadomił sobie, iż nie ma pewności, czy zmierza właściwą drogą. Rozliczne skręty i zwroty sprawiły, że całkiem stracił orientację w podwodnym tunelu.

Demon twierdził, iż ten ciągnął się przez milę. Czy udało mu się pokonać większość dystansu? W którym kierunku było bliżej? Arlen nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale nie miał najmniejszej ochoty ponownie stawić czoła robakom, które rozdrażnił i poranił. Cieszył się w duchu, że te, które mijał teraz, wysuwały jedynie ssawki i smakowały magię w wodzie. Przyspieszył i płynął najszybciej, jak się dało, choć płuca mu płonęły.

Z głuchym rykiem rozerwał powierzchnię wody w miejscu, w którym się wynurzył. Łapczywie oddychając, szedł w stronę brzegu. Robaki nadal łapały go za kostki, ale w płytkiej wodzie były o wiele mniejsze, a świeże powietrze w płucach i widok suchych kamieni dodały Arlenowi sił. Szedł przed siebie i wyszarpywał pasożyty z mulistego dna.

Te wiły się jak oszalałe, gdy odrywał je od skóry i trzepotały niczym ryby wyrzucone z rybackich sieci. Jaśniały nadal skradzioną magią, podczas gdy zazwyczaj otaczający Arlena blask jaśniał niczym ostatni węgielek w ognisku.

Nie myśląc o tym, co robi, rozciągnął złapanego robaka i wbił w niego zęby. Warstwa mięśni była twarda, ale głębiej mięso okazało się delikatniejsze. Wgryzał się w nie łapczywie, pobierając moc, aż w rozerwanym robaku nie zostało jej nic. Odrzucił stwora na bok, pustego niczym skóra wyciśniętej cytryny, i złapał kolejnego. Jego głód rósł i potężniał.

Pożreć, by nie zostać pożartym... Był to czysto zwierzęcy odruch i Arlen nie czuł niczego takiego od owej nocy w Słońcu Anocha, gdy prymitywna potrzeba jego żołądka zwyciężyła nad zdrowym rozsądkiem i zmusiła go do czynu, który na zawsze zmienił życie zarówno jemu, jak i wszystkim innym mieszkańcom Thesy.

Posiłek odnawiał nie tylko zapas magii. Wszak żołądek Arlena był pusty od wielu tygodni, nie licząc dziennej porcji świętego kuskusu Jardira. Na całym świecie nie było jedzenia równie wyśmienitego, ale pojedynczy kęs, bez względu na to, ile krył w sobie mocy, nie mógł naprawdę napełnić żołądka. Tylko Renna dostawała więcej jedzenia, a apetyt miała za dwoje.

Arlen nie zdołał zaspokoić głodu. Gdy wyssał ciało robaka z reszty mięsa, odrzucił jego skórę i wrócił na głębszą wodę, gdzie zaczął zrywać kolejne. Korale, w których kryły się stwory, były twarde i kaleczyły mu dłonie, ale ignorował ból, miażdżył je i wyszarpywał robaki ze schronienia, a potem wyrzucał na brzeg, gdzie utworzyły wijące się kłębowisko. Jeden po drugim dusiły się, bo nie mogły już wrócić do wody.

– Podoba wam się, przeklęte bydlaki? – warczał Arlen, zrywając

kolejny koral. Pracował, póki nie wydobyl ostatniego robaka kryjacego sie na plyciznie, po czym zabral sie do jedzenia. Caly swiat przeslonil chrzest miesa miazdzonego zebami i smak magii w ustach.

Wreszcie doszedl do siebie. Nadmiar mocy pulsowal w jego aurze i Arlen z trudem nad nia panowal. Jedynie w chwilach, gdy stawal na wielkim runie, czul w sobie taku silu, dlatego minela dluzsza chwila, zanim zarejestrowal drzenie runow na kolecyku w uchu. Jego przyjaciele probowali sie z nim skontaktowac.

Arlen nakreslil serie runow i pchnal w nie ogromna ilosc mocy. Jego komunikat musial bowiem przebic sie przez nasyczone magia powietrze oraz skalne rumowisko, a potem utworzyc stabilne polaczenie z Rennu, Jardirem i Shanvah.

– Nic ci nie jest? – uslyszal glos Renny.

– Nic – odparl Arlen i wroutil do wody, by oplukac lepkie dlonie. – Demon nie klamal, ale nie powiedzial nam wszystkiego.

– Czy grozi ci niebezpieczenstwo, Par'chin? – Glos Jardira byl napiety niczym cienciwa kuszy, w kazdej chwili gotowa do zwolnienia.

– Nie. Juz nie. – Arlen opryskal twarz woda i zmyl resztki mazi, ktore przylgnelu mu do ust i podbrodka. – Zla wiadomosc brzmi tak, ze pod woda natrafilem na gaszcz gigantycznych robali, ktore oplotly mnie tak jak wodny demon mackami i wyssaly ze mnie magie.

– Na noc... – odezwala sie Renna. – A dobra wiadomosc?

Arlen wstal i przeciagnal sie.

– Sa przepyszne!

Renna parsknela smiechem, a Arlen zrobil kilka krokow i rozejrzal sie.

– Na Stworce – wyszeptal nagle.

– Co? – spytala Renna.

– Co sie stalo, Par'chin? – dolaczyl Jardir, zaniepokojony brakiem odpowiedzi.

– Arlenie Bales, jezli natychmiast...

On jednak nie slyszal ani slowa. Stanal na skraju urwiska



i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ogromną pieczarę, która rozpościerała się u jego stóp. Jej przeciwległa ściana pocięta była tunelami, ścieżkami i schodami, ale nie to było najdziwniejsze.

Na szczycie niewielkiego wzniesienia stał bowiem wielki *csar* – otoczona murami krasjańska forteca, mieszcząca labirynt kamiennych budowli. Na pustyni *csar* mógł być siedzibą wielkiej rodziny, zdarzało się też, że rozrastał się do rozmiarów wsi, zwłaszcza w okolicach, którym groziły rajdy *Sharum*, lecz oniemiały z zaskoczenia Arlen uświadomił sobie, że patrzy na coś o wiele większego od zwykłej osady.

Mury obronne pięły się wysoko, a wyryte w wypolerowanych kamieniach runy nadal były silne, mimo upływu wielu, wielu lat. Zza nich wyrastały szczyty wielkich minaretów, a między nimi kopuła Sharik Hora. Mury zaś...

Pod Arlenem ugięły się kolana.

Mury układały się w kształt wielkiego runu, nieróżniącego się zbyt od tego, który wraz z Leeshą opracowali dla Zakątka. Niemniej ich projekt był wręcz prymitywny w porównaniu z płynnymi, eleganckimi kształtami krasjańskiej fortecy. To miejsce wręcz śpiewało magią, Arlen słyszał symfonię mocy tak potężną, że w oczach stanęły mu łzy.

– Ahmann – zaczął, ale głos go zawiódł. – Ahmann – spróbował ponownie, usiłując opanować drżenie. – Ja... ja mam wrażenie, że właśnie odnalazłem Włócznie Ala.



27

## Kochankowie

334 ROK PLAGI

Już przybyli, pani – rzekł Arther.

Leesha wierciła się na tronie Thamosa w wielkiej sali audiencyjnej. Nie cierpiała tego okropnego mebla i zasiadała na nim tylko wtedy, gdy wymagał tego ceremoniał. Miała wówczas wrażenie, że jest małą dziewczynką, której udało się wspiąć na wielkie krzesło ojca.

Spośród mieszkańców Wolnych Miast Angieriańczycy zdecydowanie byli statystycznie najniżsi, co ich szlachta rekompensowała sobie rozmiarami umeblowania. Ogromny tron z wypolerowanego złotodrzewa był tak ciężki, że nawet Gared nie potrafił go przepchnąć bez stęknięcia. Ozdobiono go starannie rzeźbionym motywem bluszczu, typowym dla rodziny Rhinebecków. Wydano na niego fortunę, a tymczasem Leesha nie widziała na nim ani jednego runu. Cóż, celem tronu, jak widać,

było tylko jedno – by mówić nad innymi.

Leesha miała jednak pewność, że do tego jednego tron nadawał się idealnie, i tego wieczoru sprawiło jej to wielką ulgę. Przybrała więc łaskawy uśmiech i oznajmiła:

– Proszę wprowadzić gości.

Wonda skinęła strażnikom pilnującym wrót do sali audiencyjnej, a ci otworzyli je szeroko i wprowadzili krasjańską delegację, która przybyła do Zakątka w południe. Tymczasem zapadał już zmierzch i Leesha nie mogła ich dłużej przetrzymywać.

Arystokracja często zmuszała gości, by czekali na audiencję. Leesha nie przepadała za tego rodzaju gierkami, ale tym razem postanowiła z nich skorzystać. Na granicy Zakątka delegację powitał Gared, uwielbiany przez Krasjan. Zdobył wielką sławę jako wojownik, a więc reprezentował typ człowieka, którego dobrze rozumieli.

Z góry ustalono, że goście zostaną zakwaterowani w rezydencji, którą Amanvah zbudowała dla Rojera. Zatrudnieni tam służący byli co do jednego Krasjanami i żaden z nich nie protestował, gdy *dal'Sharum* przejmowali straż na murach i ściągali flagę ze skrzypcami, symbol Minstreli. W jej miejsce załopotowała chorągiew Krasji, na której widniały skrzyżowane włócznie nad zachodzącym słońcem. Przybysze oznajmiali w ten sposób, że uznają to miejsce za własne, co zaniepokoiło wielu mieszkańców Zakątka, zwłaszcza tych, którzy uciekli przed krasjańskimi armiami, ale był to jedynie próżny gest. Leesha nie miała zamiaru pozwolić na to, by ktokolwiek naruszył skomplikowaną sieć układów pokojowych, jaką wypracowała z tak wielkim trudem.

Dała więc Krasjanom kilka godzin, by się zadomowili i rozejrzeli w okolicy, a sama przesunęła audiencję na późny wieczór. Mogła w ten sposób zademonstrować swoją władzę tak, by nikogo przy tym nie obrazić. Wszak wedle powtarzanej przez Krasjan mantry wszyscy ludzie po zachodzie słońca byli dla siebie braćmi. Spotkanie o zmierzchu było równoznaczne z rozejmem i przypominało, że łączy ich wspólny wróg.

Co więcej, wzięci w palankinach Krasjanie mieli okazję

podziwiać skuteczność wielkich runów Zakątka. Kolejny pokaz potęgi.

Nie licząc *dal'Sharum*, w delegacji było pięć osób – trzy *dama'ting*, jedna *kai'ting* i, co zirytowało Leeszę najbardziej, jeden *dama*. Leesha uważnie zbadała ich aury, gdy Gared wprowadzał ich do niemalże pustej sali. Hrabinie towarzyszyli jedynie Jona i Hayes, stojący po lewicy tronu, oraz czekające po prawej Wonda oraz Darsy. Arther stał za tronem przy runicznym kręgu, który przekazywał wszystkie wypowiedziane w nim słowa tylko i wyłącznie do uszu Leeshy.

Aury po obu stronach spotkania były przygaszone i spokojne, ale w każdej chwili gotowe wybuchnąć. Wystarczyłby najdrobniejszy pretekst.

Wedle krasjańskiego zwyczaju jako pierwszy zawsze odzywał się najważniejszy mężczyzna w grupie, jednak Leesha z zaskoczeniem zauważyła, że *dama* trzymał się z tyłu, a przed szeregi wystąpiła sędziwa *dama'ting*. Staruszka przywodziła na myśl Brunę – była równie koścista, żylasta i pomarszczona jak stara Zielarka, ale trzymała się prosto, a jej wzrok był przenikliwy. Leesha nigdy dotąd nie widziała tak starej aury, lecz wyczuła w niej siłę. Upływ czasu nie zrobił na tej kobiecie wielkiego wrażenia.

– Witaj, Leesho vah Erny am'Zakątek, władczyni plemienia Zakątka – oznajmiła *dama'ting*. Jej ukłon był pełen szacunku, choć bynajmniej nie unizony. W ten sposób potężna kobieta pozdrawiała panią domu, który uważała za gorszy od własnego. – Zwę się *dama'ting* Favah. Damajah była moją adeptką.

– Czynisz nam zaszczyt swoją wizytą, *dama'ting* Favah – odparła Leesha i ukłoniła się na tyle głęboko, by staruszka się nie obraziła, ale ani odrobiny niżej. Nie chciała mieć w niej wroga, lecz nie miała też ochoty pozwolić, by ta spoglądała na nią ze wzgardą.

– Oto *dama'ting* Shaselle oraz Jaia, a także *kai'ting* Micha. – Favah wskazała pozostałe kobiety. – Zostałyśmy przysłane przez *Damaji'ting* Amanvah, żeby wesprzeć wasze Zielarki i pomagać twojemu domostwu.

Prezentacja była krótka, wręcz niedbała, jednak Leesha

zauważyła, z jakim wzburzeniem przyjął ją *dama*. Nie dość, że kobieta zabrała głos jako pierwsza, to jeszcze przedstawiła inne kobiety zamiast niego! Uśmiechnęła się więc i zabrała głos, nim Favah zdążyła przedstawić ostatniego członka ich delegacji:

– Witam was bardzo serdecznie. Mam nadzieję, że stała ambasada utrwali pokój i rozwinie współpracę między naszymi... plemionami.

*Dama*, któremu skończyła się cierpliwość, wystąpił i pozdrowił Leeszę ledwie zauważalnym ukłonem.

– Nazywam się *dama* Halvan. Ćwiczyłem z Shar'Dama Ka w Sharik Hora.

– Ahmann nigdy mi o tobie nie mówił – odparła Leesha. – Ale przypuszczam, że trenował tam z wieloma adeptami.

*Dama* zamrugał. Słowa Leeshy całkiem zbiły go z pantafelku, a imię Jardira w jej ustach przypomniało mu, że nie jest zwykłą *chin*, a jego zażyłość z Ahmannem nie zrobi na niej żadnego wrażenia.

„Każde lekarstwo należy popić czymś słodkim” – mawiała Bruna.

– Przyjmij kondolencje z powodu śmierci Andraha – rzekła Leesha. – Zanim *Damaji* Ashan zasiadł na Tronie z Czaszek, walczył wraz z moim ludem z *alagai*. Co więcej, poznał Pasterza Jonę i razem błogosławili wojowników. – Wskazała Jonę. – Potem przełamali się chlebem przy moim stole. Poczułam wielki smutek na wieść o jego śmierci.

– Jak my wszyscy. – Halvan złożył jej ukłon, tym razem z większym szacunkiem.

– *Dama* Halvan ma przewodzić wyznawcom Everama w hrabstwie Zakątka – powiedziała Favah. – Będzie również służył jako tłumacz i instruktor *sharusahk* dla tych wybranych *dal'Sharum*, którzy zechcą przywdziać białą zasłonę.

– Witaj, *dama* – oznajmiła Leesha. Kątem oka widziała, że aury Jony i Hayesa aż kipią z oburzenia, ale zignorowała ich obu. – Większość *Sharum*, którzy w zeszłym roku przybyli do Zakątka, zginęła podczas Nowiu. Polegli w walce ze zmiennokształtnym, który wysłał Mistrza Ćwiczeń Kawała oraz Enkido na samotną

ścieżkę.

Usłyszawszy słowa Leeshy, Halvan nakreślił runy w powietrzu. Wszyscy na moment pochylili głowy.

– Reszta została wcielona do Rębaczy i służy pod rozkazami generała Gareda – ciągnęła Leesha, wskazując skinieniem olbrzyma. – Wiele spośród wdów i sierot również się wśród nas zadowiło. Niektórzy biorą w udział w nabożeństwach prowadzonych przez Pasterza Jone, naszego... *Damaji*, oraz jego zastępcę, Inkwizytora Hayesa.

Obaj przedstawiani duchowni pochylili głowy. Skinienie, którymi pozdrowił ich *dama* Halvan, było ledwie pobłażliwe.

– Sprowadzę ich przed oblicze Everama, jeśli zbłądzili. – Jego aura nie pozostawiała żadnych wątpliwości – nie miał zamiaru dawać im w tej kwestii wyboru.

– Oni teraz należą do plemienia Zakątka, *dama*. – W głosie Leeshy zabrzmiała stal. – Są wolnymi ludźmi, a ich wybór religii zostanie uszanowany.

– Prawdziwą wolność odnajdzie jedynie ten, który podda się woli Everama! – warknął Halvan.

– Nie w Zakątku – odparła Leesha. – Nie zmuszamy tu nikogo do przestrzegania żadnej wiary. Jeśli ci to nie odpowiada, możesz wrócić do Lenna Everama.

Halvan rozdziawił usta, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć, a w aurach Jony i Hayesa pojawiło się zadowolenie. Wówczas Leesha odwróciła się ku nim.

– Wy zaś, Opiekunowie, również uszanujecie decyzję każdego mieszkańca Zakątka, który uzna, że chce podążać za przykazaniami Everama.

Tym razem to Opiekunowie wybałuszyli oczy, a Halvan opanował uśmiech.

– Widzę, że wznosisz nową świątynię, hrabino. Będę musiał poświęcić zarówno ziemię, jak i samą budowlę, żeby móc przeprowadzać tam nabożeństwa.

Pasterz Jona zrobił krok do przodu.

– Poczekaj no, na Otchłań. Jeśli myślisz sobie, że...

Jona był dla Leeshy przyjacielem z dzieciństwa i powiernikiem największych sekretów, ale wystarczyło, by uniosła dłoń, a natychmiast zamilkł. Inkwizytor Hayes nie miał jednak tak wielkiego doświadczenia w interpretowaniu gestów hrabiny.

– Jeśli nasza katedra nie jest odpowiednia dla pogan, niech wracają do własnej!

Leesha zmierzyła go wściekłym spojrzeniem. Hayes odpowiedział jej kamiennym, zimnym wzrokiem.

– Czyżbyś chwilę temu został hrabią, Opiekunie, a ja tego nie zauważyłam?

– Oczywiście, że nie... – zaczął Hayes.

– Stwórca jest Stwórcą – przerwała mu Leesha. – Bez względu na to, czy nazywamy go Everamem, czy też nie. Katedra w hrabstwie Zakątka będzie służyć jako Święty Dom zarówno dla Thesańczyków, jak i dla Krasjan. – Odwróciła się ku Halvanowi. – Ziemia została poświęcona wedle waszych zwyczajów. Skropiła ją krew ludzi, którzy walczyli w nocy. Nie bez przyczyny nazywamy ją Cmentarzyskiem Otchłańców. Sam Ahmann nazwał ją świętą ziemią. Czy to cię zadowala?

Halvan uklonił się.

– Jeśli Shar'Dama Ka uznał ziemię za świętą, nie mogę tego kwestionować. Katedra zaś...

– Na czym polega to twoje poświęcanie? – westchnęła Leesha.

– Wymaga ono modłów – wyjaśnił Halvan. – A także kadzideł i kości bohaterów.

– A więc to kryterium również zostało spełnione – odparła Leesha. – *Damaji'ting* Amanvah pobłogosławiła świątynię szczątkami swojego czcigodnego męża, Rojera asu Jessum am'Gospoda am'Zakątek.

Halvan uklonił się znowu.

– To dobry początek, pani, ale nie wystarczy. Im więcej kości, tym świątynia staje się bardziej błogosławiona.

– Co za barbarzyństwo! – warknął Hayes. – Sam pomyśl, że mielibyśmy znieważać zarówno naszych bliskich, którzy odeszli do innego świata, jak i samą świątynię, tworząc jakąś makabryczną

wystawę...

– Nie brzmi to źle – odezwał się Gared.

Wszyscy spojrzeli na niego, a baron zarumienił się, nie spodziewając się takiej uwagi. Hayes zamrugął.

– Nie mówisz tego poważnie, baronie.

– A czemu nie? – Gared wzruszył ramionami. – Spójrzcie na nasze Święte Domy. Wokół nich ciągną się cmentarze, a pod nimi krypty. Byłem w Sharik Hora w Lennie Everama. Stałem tam, patrzyłem na kości ludzi, którzy padli w walce z otchłāncami, i czułem, że jestem częścią czegoś wielkiego. Większego niż ja sam. Czy nie o to chodzi?

Leesha zamrugwała. Gared Rębachz nie sływał z inteligencji, ale baron Rębachz każdego dnia zaskakiwał ją na nowo.

– W kościach kryje się magia, hrabino – dodała Favah. – Tak w demonich, jak i w ludzkich. Myślisz, że wznieśliśmy świątynię z kości bohaterów po to, żeby ładnie wyglądała? *Hora* w ludzkim ciele pobierają magię i wzmacniają nią wiarę tego, którego dusza ongiś w nim mieszkała. Jeśli więc człowiek ginie, broniąc swoich bliskich przed demonami...

– ...sama budowla będzie pobierać magię i skupiać ją w tym właśnie celu – dokończyła Leesha. Jej umysł pracował już gorączkowo, uszczegóławiając kolejne punkty nowego planu. Odwróciła się ku Artherowi. – Oto lord Arther, mój pierwszy minister. *Dama* Halvan oraz Opiekunowie zasiądą wraz z nim, żeby wypracować dogodne dla obu stron warunki poświęcenia terenów świątynnych i korzystania z nich.

– I jak niby mamy... – zaczął Hayes, ale Leesha zignorowała go i zwróciła się do Jony:

– Wymyślcie coś. Nie obchodzi mnie, czy wyznaczycie sobie godziny na nabożeństwa, czy może przeanalizujecie swoje święte księgi i ustalicie jakiś wspólny rytuał. W każdym razie nie chcę już o tym słyszeć, chyba że będziecie chcieli mi przekazać, że wszyscy są zadowoleni. Czy wszystko jasne?

– Jak słońce, hrabino. – Jona uklonił się nisko. – Nie zaprzataj sobie już tym głowy.



Leesha odetchnęła z ulgą i ponownie odwróciła się ku Favah.

– Czy mogę was zaprosić na herbatę? Mężczyźni będą się teraz kłócić, a ja nie mam ochoty tego słuchać.

Aura Favah była trudna do odczytania, a jej twarz kryła się za zasłoną, lecz ukłon staruszki okazał się zauważalnie niższy oraz głębszy.

– Dziękuję ci, hrabino. Byłoby to bardzo na miejscu.



Leesha szła korytarzem, prowadząc krasjańską delegację, gdy niespodziewanie pod drzwiami swojego biura ujrzała Elonę. Cięża matki była już bardzo zaawansowana. Serce zabiło Leeshy szybciej.

– Co ty tu robisz? – szepnęła i podeszła bliżej, przepuszczając Krasjanki oraz towarzyszące im Wondę i Darsy.

– Poważnie pytasz? – odparła Elona. – Naprawdę sądziłaś, że przegapię coś takiego?

Leesha błagała matkę, by nie przeszkadzała jej w spotkaniu z Krasjankami, a nawet przekazała służbie i strażnikom, by jej to uniemożliwili, ale powinna się była domyślić, że nikt nie zdoła zatrzymać Elony, gdy ta się uprze. Ludzie zawsze bali się bardziej Elony niż Leeshy.

– Pospiesz się! – Elona mrugnęła do niej. – Nie chcesz chyba urządzać scen przed gośćmi, co?

Leesha nie miała wyboru. Skinęła strażnikom, by otworzyli drzwi, a sama złapała Elonę za ramię i zacisnęła dłoń.

– Przysięgam na Stwórcę, matko, że jeśli zrobisz cokolwiek, co zagrozi mojej pozycji, wrócisz do młyna ojca!

Elona nawet nie drgnęła.

– Daj sobie spokój z tymi groźbami, dziewczyno. Nie ma wielu poza mną, którym pozwalasz zmienić pieluszkę swojemu dziecku. Nie jesteś na tyle głupia, żeby odsyłać mnie gdzieś, gdzie nie będziesz mnie widzieć.

Kątem oka Leesha dostrzegła Tarisę, która płynęła bezszelestnie przed siebie, przygotowawszy salę na przyjęcie delegacji. Jej aura emanowała całkowitą dyskrecją, jednak Leesha nie miała wątpliwości, że usłyszała słowa Elony. Tarisa słyszała wszystko.

Chwilę później do sali weszła Wonda i rozejrzała się niczym po polu bitwy, szukając zagrożeń. Jej spojrzenie na moment spoczęło na Elonie, ale nie powiedziała ani słowa i zajęła pozycję między ulubionym krzesłem Leeshy i drzwiami do pokoju dziecięcego.

Favah zatrzymała się na progu i przyjrzała runom, które mieniły się wokół drzwi do pokoju dziecka. Pobierały moc i z wielkiego runu, i z *hora* ukrytych w różnych miejscach pomieszczenia.

– Imponujące – przyznała. – Nawet jeśli dość prymitywne. Cieszę się, że księżniczka Olive jest tak dobrze strzeżona, ale chciałabym się jej przyjrzeć, żeby mieć pewność, że wszystko z nią w porządku.

– Być może – rzekła Leesha. – Gdy uznam, że to słuszna decyzja. Favah przechyliła głowę.

– A co musi się zdarzyć, żebyś doszła do takiego wniosku?

– Zaczniemy na przykład od odsłonięcia twarzy – wtrąciła Elona.

– W końcu wszystkie jesteśmy kobietami, nieprawdaż?

Leesha zacisnęła zęby.

– *Dama'ting* Favah, oto moja matka...

– Elona jiwah Erny am'Zakątek – dopowiedziała staruszka i ukłoniła jej się niżej niż przed chwilą Leeshy. – Twoje imię jest sławne w pałacach Krasji.

– Doprawdy? – Elona oparła dłonie na biodrach. Próbowwała okazać skromność, ale jej aura jaśniała satysfakcją. – Trudno w to uwierzyć.

– A twoja propozycja kryje w sobie wiele sensu. Jeśli mamy sobie zaufać, powinniśmy rozpocząć od zdjęcia zasłon – rzekła Favah i szarpnęła mocno za zawój. Cieniutki, zwiewny jedwab opadł i zawisł na szyi staruszki. Wyjrzało zza niego wyschnięte, wychudłe oblicze. – Poza tym z zasłoną na twarzy trudno by było napić się herbaty – dodała.

Pozostałe kobiety odprężyły się zauważalnie i również zdjęły

zasłony. Leesha przeszła przez całą komnatę i rozsiadła się na starym bujanym fotelu, który ongiś należał do Bruny. Fotel, z którego nadal zwisał wystrzępiony szal starej Zielarki, był jedynym meblem, który Leesha zabrała ze sobą ze swojej chaty do pałacu. Jego twórca nie zwracał sobie głowy zdobieniami w angieriańskim stylu – drewno było gładkie, pozbawione ozdób, śliskie po wielu latach użytkowania, a nie dlatego, że ktoś je polerował. Nie miało ponadto tapicerki i skrzypiało, gdy Leesha w nim siadała.

Ona sama lubiła ten dźwięk. Czasami, gdy chciała pomyśleć, skrzypienie fotela przynosiło jej otuchę i przypominało o dawnej mentorce. Pamiętała, jak Bruna kołysała się na nim, gdy odwiedzali ją pacjenci lub petenci. W zależności od intencji Zielarki, nieprzerwana sekwencja skrzypnięć mogła doprowadzić gościa do szału bądź ukoić jego nerwy. Mocniejsze skrzypnięcie mogło przerwać nazbyt długą chwilę ciszy albo wytrącić z równowagi rozmówcę, nim ten rozwinął swój oratorski talent.

– Witajcie – powiedziała i rozłożyła dłonie, rozpoczynając herbaciany rytuał *dama'ting*, który nie różnił się zbyt od tego, jaki stosowano w Angiers. Kolejność, z jaką goście zajmowali miejsce przy stole, była niezwykle ważna i Leesha wraz z Darsy przeanalizowała to wielokrotnie. Darsy miała zasiąść po jej prawicy, dzięki czemu Leesha dawała Krasjankom do zrozumienia, że cieszy się ona jej wielkim szacunkiem. Krasjanki zaś miały zostać posadzone po lewicy, co dawało im równie silną pozycję i bynajmniej nie raziło ich dumy.

Nim jednak Leesha zdołała powiedzieć choć zdanie, Elona podeszła i zasiadła po prawicy córki. Dla Krasjanek był to czytelny sygnał – miała się za drugą najważniejszą osobę w komnacie.

Leesha zawahała się i spojrzała w oczy Darsy. Śmiertelnie uraziłaby Krasjanki, gdyby posadziła zbyt wielu gości przed nimi. Wskazała pierwsze miejsce po lewej i rzekła:

– Favah.

Sędziwa *dama'ting* zasiadła na wskazanym miejscu obok Leeshy i pstryknęła palcami. Na ten sygnał Shaselle i Jaia zasiadły na

kanapie obok krzesła Favah. Miejsca wystarczyłoby dla trzech osób, ale obie Krasjanki usiadły tak, by kolejna osoba nie zdołała już do nich dołączyć.

Darsy usiadła na kanapie obok krzesła Elony. Była kobietą potężnych rozmiarów i zdawać by się mogło, że zajęła całą szerokość kanapy.

Jedynie Micha nadal stała. Wojowniczką nie unosiła wzroku i dla postronnego obserwatora wydawała się uosobieniem pokory, lecz jej aura, spokojna i skupiona, świadczyła o czymś innym. W obecnej chwili skoncentrowała się całkowicie na Wondzie. Leesha nie miała pojęcia, czy Micha uznaje jej zwierzchność, czy może uważa za zagrożenie. Wonda najwyraźniej wyczuła jej spojrzenie i przestąpiła z nogi na nogę, jakby się szykowała do walki.

– Dość. – Leesha klasnęła w dłonie. – To niedopuszczalne, żeby księżniczka Kaji stała, podczas gdy reszta z nas siedzi. Przysuń sobie krzesło, *kai'ting*. Ty też, Wondo. Jeśli mamy zacząć się dogadywać, samo zrzucenie zasłon jeszcze niczego nie załatwia.

Tarisa tymczasem przystąpiła do nalewania herbaty. Gdy filiżanka Leeshy była pełna, hrabina przekazała Tarisie umówiony sygnał, a ta podeszła z dzbankiem do Favah. Grymas na twarzy Elony świadczył, iż była gotowa zaprotestować, ale na szczęście opamiętała się w porę i zacisnęła usta. Tarisa następnie obsłużyła ją i pozostałe mieszkanki Zakątka, a po nich resztę delegacji. Na stole ustawiła mleko i cukier, ale nie zainteresował się nimi nikt poza kobietami z Zakątka. Krasjanki wpatrywały się w Leeszę, a gdy przekonały się, że ta nie sładzi ani nie dodaje mleka, poszły w jej ślady.

– Jesteśmy sobie obce – oznajmiła Leesha. – Żywię jednak wielką nadzieję, że nim opróżnimy nasze filiżanki, zrodzi się między nami przyjaźń. Wszak nadciąga Nów.

Favah uniosła filiżankę.

– Podczas tej przeklętej nocy przyjaźń to za mało. Musimy być niczym siostry.

Leesha wykonała identyczny gest i powtórzyła:

– Niczym siostry.

Przez moment popijały herbatę w milczeniu. Cisza przeciągała się, aż przerwało ją skrzypnięcie fotela Leeshy, która pochwyciła spojrzenie Favah i wejrzała głęboko w jej aurę.

– Czy ty bądź którakolwiek z was przybyła tu, żeby skrzywdzić moje dziecko?

– To zależy – odparła Favah. Jeśli niespodziewane, agresywne pytanie hrabiny ją zaskoczyło, nie dała tego po sobie poznać. Jej twarz i aura pozostały gładkie. – Czy chcesz wykorzystać pochodzenie dziecka, żeby rościć pretensje do Tronu z Czaszek i próbować usunąć Damajah?

Leeshę przeraziła sama sugestia.

– Oczywiście, że nie!

Favah zmarszczyła brwi, a Leesha uświadomiła sobie, że staruszka również czyta jej aurę.

– A więc twoje dziecko nie musi się obawiać *dama'ting*.

Leesha nie miała wątpliwości, że sędziwa *dama'ting* mówi prawdę, ale coś innego obudziło jej podejrzenia.

– A co z *dama*?

– Halvan jest arogancki – rzekła Favah. – Ale kochał Ahmanna Jardira jak brata. Kości zaś utrzymują, że nie jest w stanie skrzywdzić dziecka przyjaciela.

– A *Sharum*? – naciskała Leesha.

– Nie mogę poręczyć za każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w Krasji. – Favah wzruszyła ramionami. – Mówię tylko, że *dama'ting* będą chronić twoją... córkę jak jedną ze swoich.

Leesha zakołysała się na krześle. Wciąż nie była zadowolona z odpowiedzi.

– Myślę, że pora na odpowiednie wyjaśnienia. Amanvah obiecała, że przyśle jedną *dama'ting* w swoim zastępstwie. Zamiast tego przysłała trzy.

– *Damaji'ting* Amanvah poradziła Damajah, żeby przysłała co najmniej jedną – zgodziła się Favah. – Damajah w swojej mądrości uznała, że plemię Zakątka lepiej na tym skorzysta, gdy przybędą trzy spośród nas.

Favah odwróciła się i wskazała kościstym palcem młodą *dama'ting* siedzącą obok.

– *Dama'ting* Shaselle trenowała w Podpałacu *dama'ting* wraz z Damajah.

A więc nie jest młoda, pomyślała Leesha. Inevera jest starsza od Ahmanna i ma przynajmniej czterdzieści lat.

Kiedyś wydawało jej się, że Inevera wygląda młodo dzięki makijażowi, ale nagle uświadomiła sobie, że Krasjanki zachowują młodość dzięki mocy *hora*. Znów zerknęła na sędziwą, wysuszoną Favah. Ile lat mogła mieć ta kobieta?

– Shaselle będzie nauczać w waszej Akademii Zielarek – ciągnęła Favah. – Otrzyma tytuł odpowiedni dla jej statusu oraz wagi nauczanego materiału i sama dobierze sobie uczniów. Sekrety *dama'ting* to nie byle wiedza o ziółkach, którą można rozpowiadać każdemu.

Leesha rozchyliła nieco nozdrza i wciągnęła głęboko powietrze.

– Uczynię ją zwierzchniczką krasjańskich nauk. Otrzyma pisarzy do pomocy i będzie mogła wybrać spośród kobiet, które zaczęła uczyć Amanvah.

Favah pokiwała głową.

– Przygotuje również program podstawowego kursu krasjańskiej medycyny, runiarstwa oraz *sharusahk* – dodała Leesha.

– *Sharusahk* nie stanowiło części naszej umowy – odparła Favah. – Tajniki...

Przerwało jej skrzypnięcie fotela Leeshy. W aurze staruszki rozlała się furia, ale hrabina udawała, że nie zrobiła tego celowo. Kołysała się miarowo, w kojącym rytmie, by staruszka nie poczytała tego za obrazę.

– Nie interesują mnie przerażające sposoby, które opracowałyście, żeby kaleczyć i zabijać – rzekła Leesha. – Odczułam ich skuteczność na własnej skórze. Nie, zależy mi na czymś innym. Chcę, żeby moje Zielarki nauczyły się radzić sobie z niebezpieczeństwem, gdy będą zmuszone zajmować się rannymi na polu bitwy.

Favah wpatrywała się przez moment w oczy Leeshy, a jej gniew

powoli przygasał.

– Dobrze. Shaselle się tym zajmie.

– Będzie odpowiadać jedynie przede mną oraz Darsy, zwierzchniczką Akademii. – Leesha skinęła głową.

– Mam wypełniać polecenia tej niewykształconej krowy? – syknęła Shaselle do Favah. – Prędszej mnie Nie pochłonie!

Mówiła po krasjańsku, o wiele za szybko, by Elona, Wonda i Darsy pojęły sens jej słów, ale Favah, która nadal wpatrywała się w oczy Leeshy, zauważyła, że hrabina zrozumiała wszystko.

– To nie do przyj... – zaczęła, ale znów przerwało jej skrzyknięcie fotela.

Leesha wbiła wzrok w oczy Shaselle, ale jej słowa, wypowiedziane po krasjańsku, przeznaczone były dla Favah.

– Jeśli twoja towarzyszka nie chce być posłuszna woli Darsy, może zabrać swoje owinięte w jedwabie dupsko z powrotem do Krasji. Niech tam wyzna Amanvah, że duma nie pozwala jej na wypełnienie obietnicy, którą złożyła mi jej *Damaji'ting*.

Na odsłoniętej twarzy Shaselle pojawiło się oburzenie, ale w jej aurze zamigotał lęk.

– Jeśli nie podobają wam się moje decyzje, możecie próbować negocjacji. – Leesha przeszła płynnie na thesański, by pozostałe uczestniczki spotkania też mogły ją zrozumieć. – Szybko się jednak przekonacie, że okażę wam niewiele więcej cierpliwości niż przed chwilą mężczyznom. Do Nowiu został nam niecały tydzień. Nie ma rzeczy ważniejszych od Sharak Ka.

Posłuszne tradycji Krasjanki pokłoniły się, słysząc te słowa. Thesanki, nie wykluczając nawet Elony, zrobiły to samo.

– Nie ma nic ważniejszego od Sharak Ka.

– *Dama'ting* Jaia. – Favah wskazała najmłodszą kapłankę, która ukłoniła się z szacunkiem.

– Pobierałam nauki wraz z *Damaji'ting* Amanvah w Podpałacu. Wiele mi opowiedziała o swojej miłości i szacunku dla twojego ludu.

A więc nie ma więcej niż dwadzieścia lat, oceniła Leesha.

Twarz Jai nadal emanowała świeżością młodego wieku, czego na próżno było szukać u Shaselle i Inevery, choć obie wydawały się

mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Jej aura, podobnie jak u Amanvah, była spokojna i zrównowazona. Leesha miała przed sobą kobietę, której nigdy tak naprawdę nie pozwolono być dziewczyną.

– Podobnie jak *dama* Halvan, Jaia ma za zadanie leczyć krasjańskie kobiety mieszkające w Zakątku i opiekować się nimi. Będzie podległa moim rozkazom.

– No, to się dziewczęciu robota spodoba – parsknęła Elona.

Leesha smagnęła matkę ostrym spojrzeniem, ale słów cofnąć się już nie dało. Favah pokiwała głową.

– Rozumiem, że doszło do pewnych... nieoczekiwanych sytuacji?

Leesha zadała sobie pytanie, skąd staruszka wiedziała o wszystkim. Czy to *hora* zdradziły jej prawdę, czy może służba w rezydencji Rojera?

– Wiele spośród wdów Nowiu było świadkami, jak Arlen Bales wzbił się ku niebu i raził księcia demonów błyskawicami. Wiele spośród nich, pogrążonych w rozpacz po śmierci swych mężów, obwołało go Wybawicielem, a potem zabrało swoje dzieci do enklawy zamieszkałej przez... przez ludzi myślących tak jak one.

– Masz na myśli tak zwane Naznaczone Dzieci – stwierdziła Favah. – Jedna z twoich bardziej spektakularnych porażek podczas nierozważnych eksperymentów z magią.

– Być może – zgodziła się Leesha. – Ale gdybym ponownie stanęła przed takim wyborem, przypuszczalnie postąpiłabym tak samo. Naznaczone Dzieci są potężne i przysięgły przyjść nam z pomocą podczas Nowiu. Nie ma niczego ważniejszego od Sharak Ka.

Spodziewała się, że Krasjanki ponownie się uklonią i powtórzą zdanie po niej, ale okazało się, że tę sztuczkę można było wykorzystać jedynie raz. Favah uniosła brew.

– Być może – rzekła.

Leesha zamilkła. W istocie nie mogła i nie chciała ręczyć za Naznaczone Dzieci. Renna co prawda obiecała, że podczas Nowiu będzie można liczyć na ich wsparcie, ale Leesha widziała dziki blask w oczach Steli i nadal nie pozbyła się wątpliwości.



– Pozostałe Krasjanki w Zakątku zgromadziły się wokół Shamavah – zwróciła się do Jai. – Większość z nich została zatrudniona na jej krasjańskim bazarze oraz w zarządzanej przez nią gospodzie.

– Wiemy o żonie *khaffit* i tym, czym się zajmuje. – Favah lekceważąco machnęła ręką, a potem wskazała Michę.

Dziewczyna była niska, jak na Krasjanke, i miała szerokie biodra. Jej młodość była autentyczna, a nie zachowana dzięki magii.

– Oto Micha vah Ahmann vah Thalaja, która jest przyrodnią siostrą twojego dziecka.

Zajęta podawaniem herbaty Tarisa potrąciła jedną z filiżanek. Nie zdarzało jej się to prawie nigdy, przez co ciche brzęknięcie porcelany okazało się równie głośne jak łoskot przewracającego się krzesła. Każda Thesanka zamierała, gdy ktoś wspominał Olive.

Leesha przeniosła wzrok na Michę, lecz Krasjanka unikała jej spojrzenia. Zsunęła się z krzesła i uklękła, dotykając dłońmi i czołem podłogi.

Tak przesadny pokaz uległości wzburzył krew Leeshy.

– Ile masz lat, dziecko?

– Wystarczająco, żeby wyjść za mąż, o ile znajdzie się godny kawaler – odezwała się Favah.

– Jeśli macie ochotę kogoś wyswatać, rozmawiajcie raczej z moją matką – rzekła Leesha, nie spuszczać oczu z Michy, po czym przeszła na krasjański: – Wracaj na krzesło, dziewczę. Spójrz mi w oczy i mów sama za siebie.

Micha natychmiast usiadła i spojrzała prosto na hrabinę. Jej uległość znikła, a w spojrzeniu pojawiła się obojętność, która wzbudziłaby podziw każdego domowego kota.

– Szesnaście, hrabino.

– Zwracaj się do mnie per pani – odparła Leesha. – Czy masz doświadczenie w zajmowaniu się dziećmi?

Pytanie nadważyło nieco pewność siebie Michy.

– Nie, pani, ale szybko się uczę.

– Jesteś *Sharum'ting*?

Micha zawahała się i zerknęła na Favah, ale Leesha znów skrzypnęła fotelem.

– Nie patrz na nią – powiedziała po krasjańsku. – Spójrz na mnie. Jeśli mam cię dopuścić w pobliże mojego dziecka, musisz mnie uznać za swoją panią. Mnie, Micha, a nie Favah czy Ineverę. Mnie. Czy to jasne?

Micha znów opadła na podłogę, lecz tym razem w jej geście nie było już uległości.

– Tak, to dla mnie jasne, pani. Przysięgam na Everama i nadzieję na wstąpienie do Nieba. Jestem *kai'Sharum'ting*.

– Trenowałaś wraz z Sikvah pod okiem Enkido – odgadła Leesha.

Micha pokiwała głową.

– Moja kuzynka została wyniesiona do rangi Sharum'ting Ka i osobiście wyznaczyła mnie do wykonania tej misji. Mojej przyrodniej siostrze nie stanie się krzywda.

– Pewnie, że nie, na Otchłań – warknęła Wonda.

– To moje zadanie, nie twoje. – Micha spojrzała na Wondę, znów skupiona i czujna. Ukłoniła się i dodała: – Nawet ty nie jesteś w stanie chronić naszej pani oraz dziecka cały dzień i noc, Wondo vah Flinn am'Rębacz am'Zakątek, pierwsza spośród *Sharum'ting*. Będę zaszczycona, mogąc cię wesprzeć.

Wonda pochyliła się groźnie, ale słowa Krasjanki załagodziły jej ochotę na kłótnię. Leesha, która zajrzała do aury Michy i odkryła w niej szczerść, również odetchnęła z ulgą.

– Podczas mojej nieobecności będziesz odpowiadać przed Wondą i Tarisą – rzekła.

– Przed niewolnicą? – Favah nie zdołała się opanować.

Tarisa pochyliła się, a w jej oczach błysnęła stal.

– Słucham?

– W Thesie nie ma niewolników – wtrąciła Elona. – A zanim ta dziewczyna będzie mogła choć zbliżyć się do mojej wnuczki, będzie musiała nauczyć się, jak zmienić pieluchę jedną ręką, karmić drugą, a do tego śpiewać i kołysać maleństwo.

– Tarisa stoi na czele mojej służby – dodała Leesha. – Jeśli nie

będziesz spełniać jej wymogów, poproszę Sikvah, żeby przysłała inną spośród swoich siostr włóczy.

Micha dotknęła głową podłogi.

– Tak, pani.

– Nie będziesz nikomu składać raportów z tego, co się dzieje w moich osobistych komnatach – ciągnęła Leesha. – Ani *dama'ting*, ani nawet samej Damajah. Jeśli się dowiem, że to zrobiłaś, zostaniesz natychmiast wyrzucona.

Micha nawet nie próbowała maskować swej aury. Nie podobały jej się warunki, które usłyszała, jednak zdecydowała, że je spełni.

– Tak, pani – powtórzyła i znów się ukloniła. – Polecono mi również odnaleźć Kendall Pieśni Demonów.

– Potrafisz śpiewać tak jak Sikvah? – spytała zaskoczona Leesha.

Micha uśmiechnęła się.

– Nazywaliśmy Sikvah świergotką. Żadna z nas nie miała pojęcia, że któregoś dnia jej śpiew wyznaczy kryterium, które muszą spełnić wszystkie siostry włóczy.

– Czyli tak – rzekła Leesha. – Kendall jest moim heroldem i nie raz się spotkacie, a jeśli twój śpiew jest w istocie tak wspaniały, jak głosisz, być może okaże się o wiele groźniejszą bronią niż twoje ostrza. – Następnie zwróciła się ku Favah: – A więc to ty będziesz mnie uczyć, jak korzystać z *alagai hora*.

Wszystkie Krasjanki umiały maskować emocje, ale pytanie sprawiło, że aury młodszych kobiet przeszły chłód. Najwyraźniej Favah nie powiedziała im o tym ani słowa.

– Sama szkoliłam Damajah w Komnacie Cieni – odparła staruszka. – Nie ma w Krasji nikogo, kto spędziłby więcej czasu na rozgryzaniu sekretów kości.

– Znakomicie – oznajmiła Leesha. – Rozpocznijmy więc od momentu, w którym przerwałam naukę u Amanvah. Czytałam zwoje prorocstwa i mam wiele pytań...

– Nie chciałam się zgodzić, żeby cię szkolić – ciągnęła Favah. – Ostrzegałam, że to zły pomysł. Amanvah przekroczyła swoje uprawnienia.

Leesha zacisnęła dłoń mocniej na uchu filiżanki.

– Tak czy owak, twoja *Damaji'ting* zawarła ze mną pakt.

– Który Damajah może bez trudu unieważnić – zauważyła Favah. – *Alagai hora* to nie zabawa we wróżby dla znudzonych kobiet. Dzięki nim udaje nam się ujrzeć przebłycki nieskończoności. *Dama'ting* trenują całe życie tylko po to, żeby choć zadrapać powierzchnię boskiej mocy.

Leesha odstawiła filiżankę i opanowała odruch założenia rąk na piersi.

– Damajah w swojej mądrości postanowiła uszanować przysięgę złożoną przez swoją córkę – mówiła Favah – a więc będę cię uczyć, ale rozpoczniemy od miejsca, od którego zaczynają wszystkie *nie'dama'ting*. Musisz zniszczyć swoje kości i rozpocząć rzeźbienie nowych z gliny.

Leesha uśmiechnęła się.

– A potem z drewna? I ze zwierzęcych kłów? A potem miesiące w ciemności nad kośćmi prawdziwych demonów?

– Widzę, że się rozumiemy. – Favah pokiwała głową.

– Obawiam się, że nie – odparła Leesha, po czym odsunęła na bok filiżankę i talerzyk, a w ich miejsce rozłożyła nieskazitelnie białą serwetkę. Sięgnęła do kieszeni sukni, z której wydobyła siedem własnych *alagai hora*. Następnie w jej rękę znalazł się nóż chirurgiczny, którym precyzyjnie nacięła sobie dłoń. Pomazała kości krwią. – Stwórco, Dawco Życia i Światła, Twoje dziecko poszukuje odpowiedzi. – Spojrzała na Favah. – Powiedzcie mi, czy *dama'ting* Favah uszanuje moją umowę z Amanvah, czy też zabierze całą swoją zafajdaną delegację z powrotem do Krasji jutro o świcie?

Kości zaczęły się mienić, a gdy ich blask stał się intensywny, Leesha potoczyła nimi po stole. Wszystkie trzy *dama'ting* wydawały się przerażone tym, że ktoś z zewnątrz odprawia ich święty rytuał, ale żadna nie zdołała opanować ciekawości. Pochyliły się nad kośćmi, które zatrzymały się w sposób przeczący prawom natury.

– Myślę, że sama widzę odpowiedź, czcigodna *dama'ting* – rzekła

Leesha. – Powiedz mi tylko, co ty tu dostrzegasz?

Favah zacisnęła zęby i zerknęła na młodsze kapłanki.

– Dobrze... pani. Rozpocznijemy naukę po tym, jak ujrzę dziecko.

Leesha długo przyglądała się aurze staruszki, aż wreszcie pokiwała głową.



Skórzane spodnie do jazdy konnej skrzypnęły, gdy Leesha odwróciła się w siodle i zarządziła postój. Wiedziała, że wiele spośród Rębaczek uwielbia nosić takie rzeczy, ale Leeshy nigdy nie przypadły one do gustu, podobnie jak rozcięte suknie, również bardzo popularne wśród kobiet z Zakątka.

Skraj wielkich runów Zakątka leżał jednak zbyt daleko, by mogły tam dotrzeć szybko na piechotę, tym bardziej że towarzyszyła im sędziwa Favah. Tłuczek – jeden z wielu darów przyjaźni od Amanvah przywiezionych przez delegację – był smukłym krasjańskim rumakiem czystej krwi. Szkolony do walki i galopu, źle reagował na długie suknie Leeshy, ale gdy ta dosiadła go w spodniach, odpowiadał na każdy, najdrobniejszy nawet ucisk kolan, w każdej chwili gotów skoczyć naprzód.

Na ramiona Leesha narzuciła sobie błękitny płaszcz do konnej jazdy, długi i obciążony cienkimi runicznymi płytkami. Od kołnierza aż po wąską talię był nieco ciasny, ale niżej rozszerzał się i obejmował koński zad. Liczne kieszenie, zawierające zioła i *hora*, również wzmocniono niezniszczalnym szkłem, a różdżka wisiała przy pasie, gdzie hrabina mogła po nią sięgnąć w każdej chwili.

Wonda i Gared, którzy dosiadali Obietnicy i Lawiny, górowali nad nią niczym potężne dęby, u prawego boku Leeshy jechała Darsy na Moździerz, ulubionej klaczy Tłuczka. Wierzchowiec Darsy był o pół dłoni niższy od konia Leeshy, ale mimo to kobieta przewyższała hrabinę o głowę.

Mimo takiego towarzystwa Krasjanie, którzy jechali po lewicy,

budzili niepokój hrabiny. Dla Favah założenie spodni albo jazda konna były poniżej godności – wędrowała więc przez Zakątek w palankinie, który opierał się na ramionach sześciu eunuchów w czarnych szatach *Sharum*. Choć ich kostki i nadgarstki skute były złotymi łańcuchami, biegli w idealnej synchronizacji i bez trudu nadążali za końmi. Nikt z nich nawet się nie zasapał, gdy postawili palankin na ziemi i uchylili zasłony, by wypuścić sędziwą *dama'ting*.

Owych sześciu niewolników było wyzywającym gestem ze strony Favah. Chciała w ten sposób przypomnieć, że choć zgadza się na warunki Leeshy, nie da się jej zastraszyć i pozostanie wierna własnym tradycjom. Powiedziano jej, że w Zakątku nie ma niewolnictwa, a mimo to paradowała w palankinie przed miejscową ludnością, prowokując konfrontację.

Leesha wiedziała, że nie powinna reagować. Ci mężczyźni, którzy zostali okaleczeni i wytresowani przez *dama'ting*, wcale nie pragnęli wolności, a w ich aurach jaśniała duma. Oprócz swej pani nieśli również włócznie i tarcze z runicznego szkła oraz Stwórca jeden wiedział, ile jeszcze broni. Gdyby Leesha bądź ktokolwiek inny próbował ich wyzwolić, doszłoby do rozlewu krwi.

Odetchnęła, próbując odepchnąć urazę jak najdalej od siebie, po czym zsunęła się z końskiego grzbietu. Przed sobą widziała grupę robotników i inżynierów, którzy konstruowali skorpiony i katapulty wedle krasjańskiego wzoru.

– Szybko się uczycie – powiedziała Favah. – Gdybyście mieli skorpiony, nie zdobylibyśmy tak łatwo krainy, którą dziś zwiemy Lennem Everama.

– Gdyby księżę Jayan miał broń ognistą, również nie dałby się pobić – przypomniała jej Leesha. – Wojny wydobywają z nas to, co najgorsze.

Erny, który pracował z inżynierami, zauważył ich i pomachał, po czym wytarł poplamione atramentem dłonie w spodnie. Podszedł bliżej.

– Ojczy, oto *dama'ting* Favah am'Kaji – rzekła Leesha.

Erny złożył przybyszom niski, pełen szacunku ukłon.

– Witaj, *dama'ting*. Jestem zaszczycony, że mogę cię poznać.  
Jego krasjański stawał się coraz lepszy.

– To ja jestem zaszczycona – odparła Favah i ukloniła mu się niżej niż wcześniej Leeshy. – Twoje imię powtarza się z czcią w Krasji, Erny am'Zakątek.

Erny wyprostował się, ujęty pochlebstwem, a Leesha dała ojcu nacieszyć się chwilą i zamieniła kilka zdań po krasjańsku z *dama'ting*.

– Twoja czcigodna córka mówi mi, że zaraz ujrzymy nową wersję twojego wspaniałego wielkiego runu! – odezwała się Favah.

– Cóż... – Erny przestąpił z nogi na nogę. – Większość zasług przypada mojej Leeshy i Arlenowi Balesowi, którzy zaprojektowali pierwszy z nich.

– Mój ojciec to bardzo skromny człowiek – powiedziała Leesha. – To, co ujrzymy dziś wieczór, jest w całości jego dziełem.

– Objaśnijcie mi wszystko – poleciła Favah.

– Gdy demony zaatakowały nas podczas Nowiu, ciskały wielkimi kamieniami i drzewami, żeby skruszyć nasz opór i naruszyć kształt wielkiego runu, żeby mogły przedrzeć się przez barierę.

– A więc zwykle mury mają nad waszym niby wielkim runem przewagę – stwierdziła Favah.

– Miały. – Głos Erny'ego stwardniał. Nie miał nic przeciwko temu, że inni ludzie traktowali go pobłaźliwie; wszak spędził całe życie z Eloną, co zniszczyło w nim szacunek do siebie samego; ale nie pozwalał, by ktokolwiek krytykował jego pracę. – Teraz jesteśmy w stanie odeprzeć prawie każde bombardowanie – wyjaśnił.

– Prawie każde? – spytała Leesha.

Erny obrócił się i dał znać obsadzie skorpiona ustawionego za barierą. Strzegł go oddział Rębaczy, niespuszczających oka z lasów i wypatrujących demonów, które okażą się na tyle głupie, by podkraść się bliżej.

Któryś z inżynierów machnął ręką, a jego kolega zwolnił mechanizm. Rozległo się skrzypnięcie i wielkie ramię zakończone łyżką wyrzuciło w powietrze ogromny głaz wielkości dREWUTNI. Głaz

zatoczył łuk w powietrzu i runął prosto na oczyszczony fragment terenu po wewnętrznej stronie wielkiego runu.

Niespodziewanie bariera zaiskrzyła i gład rozpadł się na kawałki.

Favah zamrugła.

– Dodaliście runy uderzenia – stwierdziła i zmrużyła oczy. – Ale ludzie przekraczają barierę bez trudu. Jakie zastosowaliście równanie?

Tym razem to Erny zamrugął ze zdziwieniem, gdyż na ogół miał wielkie trudności z objaśnieniem nawet najprostszych podstaw sztuki korzystania z runów. Szybko opanował zdumienie i wyjął tabliczkę, na której rozrysował równanie, dzięki któremu runy uderzenia zatrzymywały jedynie duże pociski opadające z odpowiednią prędkością.

– Nie pomoże wam to, jeśli wróg zastosuje miotacze – podsumowała Favah.

– Nie sądzimy, żeby demony sięgnęły po taką broń, nawet podczas Nowiu – odparł Erny. – O wiele większym zmartwieniem są dla nas gruz i odłamki.

Wskazał wielką chmurę pyłu, która unosiła się po strzaskanym gładzie. Wewnątrz bariery spoczywały ogromne szczątki rozbitej skały.

– Takie ryzyko pojawi się tylko na skraju bariery – rzekła Leesha. – Możemy ewakuować te rejony.

Erny pokiwał głową.

– Oddziały Patronów Runów, inżynierów i zwykłych robotników będą czekać w gotowości, żeby usuwać odłamki grożące osłabieniem bariery.

Favah nadal wpatrywała się w równanie.

– Jesteście gotowi na olbrzymi pobór mocy?

– Tak – odetchnął Erny. – Wielki run raczej sobie z tym poradzi.

– Raczej – powtórzyła po nim Leesha. – Nie napawa to optymizmem.

Erny wziął tabliczkę i nakreślił kolejne równanie.

– Oto wyliczenie, ile kamieni musiałoby spaść na barierę, żeby



całkowicie pozbawić wielki run mocy.

Leesha poczuła, jak za jej okiem narasta pulsujący ból głowy.

– A gdy do tego dojdzie?

Erny uniósł ręce.

– Magia w całym Zakątku zgaśnie. Może na moment, może na minutę, może jeszcze dłużej, jeśli otchłānce będą nadal napierać.

– Na Stwórcę – westchnęła Leesha.

– Nie dojdzie do tego, Leesh – wtrącił się Gared. – Mamy miotacze z runicznymi pociskami. Mamy liczne oddziały Rębaczy, gotowe położyć trupem każdego demona dużego na tyle, żeby dźwignąć choć kamiyk.

Wzniósł topór. Rębacze, którzy eskortowali katapultę, wciągana z powrotem na teren chroniony przez wielki run, podeszli bliżej. Dowodzili nimi Dug i Merrem Rzeźnicy.

– Chciałem ci pokazać nowych rekrutów – powiedział Gared do Leeshy. – Jeden z nich jest większy ode mnie. Sam wygląda jak skalny demon.

Na rozkaz Rębacze uformowali sprawnie szereg i zasalutowali, uderzając pięściami w drewniane zbroje. W oddziale spotkali się ludzie ze wszystkich stron – niscy Angieriańczycy, wysocy i chudzi Rizończycy, Laktończycy o krzywych nogach oraz...

Leesha naraz zamarła i zastygła jak wryta, gdy ujrzała ogromnego Rębacza z gigantycznym kilofem, który zarzucił na ramię równie lekko jak zwykłą miotłę. Jej serce przestało bić.

– O, to ten, o którym ci mówiłem – ciągnął Gared, nieświadom tego, co się dzieje z Leeszą. – Nazywa się Cichy Jonn. Nie mówi wiele, ale własnoręcznie zabił więcej demonów niż dowolnych pięciu ludzi w jego oddziale razem wziętych.

Ogromny mężczyzna patrzył prosto przed siebie, ale usłyszawszy swoje imię, odwrócił się i spojrzał na Leeszę. Ta rozpoznała go natychmiast. Jego twarz na zawsze wyryła się w jej pamięci.

Olbrzym-niemowa, który zgwałcił Leeszę na trakcie, a potem siedział na Rojerze, gdy jego towarzysze robili to samo, trafił do Zakątka.



Leeshę niespodziewanie przeszył zimny lęk. Zabawne. Ona, która pokonała demona umysłu, na widok tego człowieka poczuła się bezradna i bezbronna.

Pozostali bandyci już nie żyli. Zostali zabici przez otchłańce po tym, jak Arlen i Rojer odzyskali ukradziony przez nich podróźny krąg, ale niemowy nie było wśród zabitych. Leesha setki razy miała później wrażenie, że gdzieś go widzi, to pośród jakichś cieni, to znów między drzewami. Bywało, że jego twarz pojawiała się w blasku ognia lub mignęła na szybie.

Niemowa również ją rozpoznał. Na jego obliczu pojawiło się skrajne przerażenie. Odwrócił się i rzucił do ucieczki.

– Wonda, łap go! – wrzasnęła przeraźliwie Leesha.

Nie dbała o to, że w jej głowie pojawiły się desperacja i lęk. Wonda skoczyła w ślad za uciekinierem i dopadła go w dwóch susach. Złapała za nadgarstek, szarpnęła umiejętnie. Ramię olbrzyma przeszył ból, a drzewce kilofa wysunęło się spomiędzy jego palców.

Ryknął i próbował odepchnąć Rębaczkę drugim ramieniem, ale Wonda wymierzyła mu celne kopnięcie w kostkę i przewróciła na ziemię. Gared i inni Rębacze skoczyli jej na pomoc, lecz Wonda powoli, bez litości zakładała niemowie chwyt, który go całkowicie unieruchomił. Po chwili trzymany przez nią olbrzym nie mógł nawet drgnąć, a Wonda skutecznie zablokowała mu dopływ krwi do mózgu. Twarz mężczyzny poczerwieniała, a gdy przestał się szamotać, Rębaczka zwolniła chwyt i pozwoliła mu zaczerpnąć tchu.

– Na noc! – mruknął Gared. – Co on takiego zrobił?

Leesha uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze z płuc i znów je wciągnęła, a serce ponownie zaczęło bić, mocno i donośnie.

– Należał do szajki bandytów, którzy... – Leeshy zaschło

w gardle. Przełknęła z trudem ślinę i dokończyła: – Którzy obrabowali mnie i Rojera na trakcie. Tuż przed tym, jak spotkaliśmy Arlena.

– Ja nie chciałem nizin! – wybełkotał olbrzym. Jego słowa były niewyraźne, zniekształcone, a Leesha uświadomiła sobie, iż wcale nie był niemową, a jedynie człowiekiem ograniczonym umysłowo. – Tyko chciałem sadzić! Dom gadał, że babsą własnetego. – Zaczął szlochać. – Babsą własnetego...

Powtarzał te słowa, kołysząc się w przód i w tył, aż Wonda na powrót zacisnęła ramię i olbrzym ucichł.

Leesha znów zamarła. Nikomu nie mówiła, co się tak naprawdę wydarzyło na szlaku do Angiers, ale niektóre z plotek powtarzanych w Zakątku ocierały się niebezpiecznie blisko prawdy. Teraz ta prawda została ujawniona przed Favah i jej *Sharum*, nie mówiąc już o najbliższych współpracownikach Leeshy, zespole inżynierów i całym oddziale rekrutów.

Oczy i aury ludzi dookoła niej ciemniały. Pojawiały się w nich barwy, których Leesha nigdy wcześniej nie widziała. Wonda wyciągnęła swój długi nóż.

– Chcesz, żebym go zabiła, pani?

Nie żartowała. Leesha odwróciła się i uświadomiła sobie, że wszyscy pragną śmierci niemoty. Darsy, Favah, obaj Rzeźnicy, *Sharum* i Rębacze, inżynierowie. Nawet w aurze Erny'ego nie było cienia współczucia. Każdy z obecnych był gotów dla Leeshy zabijać, i nie tylko demony.

Na samą myśl hrabinie zrobiło się niedobrze, choć na jej rękach również spoczywała ludzka krew. Przecież zatruła eskortujących ją *Sharum* i rzucała piorunowe patyki na głowy wojowników Jayana szturmujących bramy Angiers. Nadal pamiętała, jak pękał kręgosłup *dama Gorji* pod jej stopą.

Były to jednak dramatyczne chwile, które decydowały o jej przeznaczeniu. Musiała zabijać, by chronić innych ludzi. Nigdy dotąd nie była zmuszona do zamordowania wielkiego przygłupa obezwładnionego przez jej przyboczną.

Leesha znów popatrzyła na mężczyznę. Spojrzała mu w oczy

i przypomniała sobie, co jej robił. Przypomniała sobie, jak bez wahania pokonał jej opór i przygwoździł do ziemi. Dzikość, z jaką się w nią wbijał, nim doszedł. Czy zadał ból innym kobietom? Czy skrzywdzi inne w przyszłości, jeśli daruje mu życie? Olbrzym był co prawda cofnięty w rozwoju, ale nie odbierało mu to zdolności do gwałtu, a nawet silne kobiety z Zakątka byłyby bezbronne niczym dzieci w starciu z tak ogromnym mężczyzną.

Poczuła mdłości, a żółć podeszła jej do gardła. Ból za lewym okiem eksplodował.

Wonda go zabije. Zamorduje go dla niej tu i teraz i nikt w całym Zakątku nie potępi żadnej z nich. Wonda będzie później spać spokojnie, a Leeshy przemknęło przez myśl, że śmierć ostatniego z tych kanalii może przynieść ulgę. Zerknęła w dół i uświadomiła sobie, że zaciska dłoń na różdżce.

– Pozwól mu wstać – powiedziała.

Spodziewała się protestów, lecz Wonda błyskawicznie wypuściła mężczyznę, wstała i cofnęła się o krok. Cichy Jonn zyskał wyśmienitą okazję, by sięgnąć po kilof, ale nie podniósł się z kolan. Trząsł się i szlochał, a lzy rzeźbiły kanały na jego brudnej twarzy.

Leesha wycelowała w niego różdżkę.

– Żałuję, że i ciebie nie pożarły otchłańce.

Erny uniósł głowę, słysząc słowa córki, a w jego aurze zaszła zmiana. Pojawiła się w niej odrobina współczucia. Leesha nadal pamiętała, co powiedział wiele lat temu, gdy pewnej nocy wyraziła życzenie, by demony porwały jej własną matkę. „Nigdy tak nie mów – rzekł. „O nikim”.

– Zabij go. – Gared złapał za topór. – Albo daj mi to zrobić.

Cichy Jonn nie wydawał się taki ogromny w porównaniu z Garedem Rębaczem, który aż drżał z ochoty, by się z nim rozprawić. Gared był gotów zabić każdego, kto ośmielił się choć tknąć Leeszę.

Leesha uniosła różdżkę wyżej, ale jej dłoń zadrżała.

– Ten człowiek popełnił zbrodnię, za którą płaci się krwią – oznajmiła Favah. – Za uderzenie *dama'ting* płaci się krwią.

Słowa staruszki wywołały inne wspomnienie. Przed oczami

Leeshy stanął ów dzień, kiedy Arlen stawiał czoła Kavalowi i Colivowi, Krasjanom, którzy próbowali go zabić.

„Powiniennem odplacić się pięknym za nadobne – rzekł wówczas Arlen – ale zabijam tylko *alagai*”.

Ile to razy Arlen powtórzył te słowa jej samej, gdy całowali się pośród ciemności nocy?

„Naszym jedynym wrogiem są otchłańce, Leesh. Jeśli staniemy do walki z kimkolwiek innym, z góry przegraliśmy”.

Ale nawet Arlen złamał swoje zasady. Zrobił to dla niej.

– Nie – powiedziała. Ręka trzymająca różdżkę opadła. – To nie szubienica, a my nie jesteśmy katami.

– Przyniosę kajdany – oznajmiła Wonda. – Wtrącimy go do lochu.

Myśl o tym, że jej oprawca będzie wyć, wrzeszczeć i szarpać za łańcuchy w lochach pod komnatą, w której spała, nie przyniosła Leeshy pociechy. Uniosła znów różdżkę. Olbrzym drgnął, gdy podeszła bliżej i przyjrzała się jego aurze.

– Czy chcesz, żeby ci wybaczone? – spytała.

– Tak! – jęknął.

– Nadchodzi Nów! – krzyknęła Leesha i nakreśliła run, który wzmacnił jej głos. – Czy przysięgasz, że będziesz walczył o Zakątek, gdy nastanie mrok i zjawią się demony?

– Tak! – wyjąkał olbrzym. – Tak-tak-tak!

Jego aura była równie prosta jak on sam, czysta i łatwa do odczytania. Naprawdę był gotów dać z siebie wszystko w walce. Leesha odwróciła się ku Rębaczom, wśród których stali zarówno weterani, jak i nowi rekruci.

– Otchłańce nie dbają o to, co mamy na sumieniu. Nie interesuje ich to, kim jesteśmy! Zaleją nas, połączone żądzą mordy i niszczenia. Musimy więc zapomnieć o tym, co nas dzieli, i stanąć w równym szeregu.

– Tak! – krzyknęli ludzie, unosząc pięści i broń. Nawet eunuchy Favah, pozbawione nie tylko przyrodzenia, ale i języków, zagrzechotały włóczniami o tarcze.

Leesha przeniosła wzrok na Cichego Jonna, który nadal trząśł

się ze strachu. Uwolniła magię, która potęgowała jej głos, i rzekła do niego cicho:

– Będiesz się zgłaszał do zwierzchniczki Darsy trzy razy w tygodniu. Ona ci wyjaśni, do czego... do czego są kobiety.

Jonn pokiwał z zapalem głową, a Darsy podwinęła rękawy i oparła dłonie na biodrach.

– I na razie lepiej trzymaj się z daleka od jakiegokolwiek kobiety.

– Tak – wybełkotał ponownie Jonn.

Leesha wsunęła różdżkę za pas i pochyliła się, by podnieść ogromny kilof olbrzyma.

– Wracaj do szeregu.

Jonn zawahał się, potem porwał broń i pognał z powrotem ku swoim towarzyszom. Rekruci rozstąpili się z obawą, ale żaden nie zaprotestował.

„Naszym jedynym wrogiem są otchłańce, Leesha. Jeśli staniemy do walki z kimkolwiek innym, z góry przegraliśmy”.

Leesha nabrała tchu i wyprostowała się, a potem powróciła do swego konia z wdziękiem, który nawet księżna Araine powitałaby z aprobatą.



Favah uważnie przyjrzała się kościom Leeshy. Ta była przekonana, że sędziwa *dama'ting* wytknie jej każdą, nawet najmniejszą skazę, by zażądać ich zniszczenia i wykonania na nowo. W końcu jednak burknęła i oddała jej wszystkie, po czym wybrała trzy karty z talii i ułożyła je przed hrabiną grzbietami do góry.

– Rzuć *hora* i powiedz mi, co widzisz.

Leesha nacięła sobie dłoń i pomazała krwią kości, a gdy nimi potrząsnęła, poczuła, jak się rozgrzewają. Rozjarzyły się, gdy je potoczyła. Po plecach Leeshy spłynął dreszcz, gdy ujrzała, jak skręcają wbrew prawom natury bądź zastygają w niewytłumaczalnych pozycjach.

Favah, która widziała to setki razy, bynajmniej nie była pod wrażeniem.

– No i? Co widzisz?

Leesha nie potrzebowała wiele czasu.

– Trójka Wody, piątka Włóchni i *Sharum* Włóchni – odpowiedziała pewnie.

Wynik rzutu był dla niej oczywisty, bo odczytywanie awersu kart należało do najprostszych umiejętności, jakie nabywały adeptki. Patrząc na karty, odczytywała własną przyszłość, a ta dokonywała się podczas rozkładania kart.

Favah odwróciła kartoniki. Przepowiednia Leeshy była prawidłowa, czego *dama'ting* nie skomentowała ani słowem. Miast tego przetasowała raz jeszcze i ułożyła talię na podłodze przed sobą.

– A teraz powiedz mi, jakie karty wybiorę.

Ten test był trudniejszy. Leesha nie miała pojęcia, czy Favah wybierze karty z góry talii, z dołu, czy może ze środka. Rzuciła więc kośćmi, szukając prawidłowego wyniku spośród setek tysięcy możliwości.

– *Damaji'ting* Czaszek – powiedziała po dłuższej chwili. – Siódemka Włóchni. *Khaffit*.

Favah zerknęła na *hora*, a potem wybrała trzy karty na chybił trafił. Przepowiednia Leeshy okazała się prawidłowa. Staruszka burknęła pod nosem.

– Istnieją tysiące permutacji kart, ale każdy człowiek ma przed sobą nieskończoną liczbę wersji przyszłości.

Leesha pokiwała głową.

– Dałabym wiele, żeby móc spędzić lata w Komnacie Cieni, lecz los nie dał mi takiej szansy. Nadciąga *Sharak Ka*.

Favah odłożyła karty.

– Zadaj więc prawdziwe pytanie.

Leesha wyjęła niewielką fiolkę krwi *Elissy* i umazała nią kości.

– Stwórco Życia i Światła, Twoje dzieci szukają odpowiedzi. Ujawnij przede mną los *Elissy vah Ragen am'Miln*.

*Elissa* i *Ragen* opuścili Zakątek wiele tygodni temu i od tego

czasu nie było z nimi żadnego kontaktu. Regularna łączność z Miln urwała się i nie powrócił żaden Posłaniec, który zapuścił się dalej niż dzień drogi na północ od Rzeczułki.

Leesha rzuciła *hora*, a Favah z uwagą śledziła ich nieregularne, chaotyczne trajektorie. Gdy kości się zatrzymały, obie pochyliły się, by odczytać wynik. Leesha wskazała przecinające się runy wiatru i skały, po czym oznajmiła:

– Góra.

– Są odwrócone ku północy. – Favah przekreśliła głowę. – Dolina.

– Miln znajduje się w dolinie między dwiema górami.

– Analizujesz układ kości czy może szukasz uzasadnień dla swoich domysłów? – spytała Favah.

Leesha zmarszczyła brwi i jeszcze raz skupiła uwagę na *hora*.

– A więc odrzucasz nauki *dama'ting* Corelvah, która twierdziła, że kości należy odczytywać z północy na południe, i popierasz wywody *dama'ting* Vahcorel, wedle której należy je czytać od środka?

– Wystarczyło ci jedno moje zdanie, żeby to wywnioskować? – parsknęła Favah, choć na jej suchych wargach nie było ani odrobiny wilgoci. – Damajah, jak widać, nie przesadzała, mówiąc, że twoja arogancja nie ma granic.

Leesha cofnęła się.

– Nie chciałam cię urazić.

Ton sędziwej Favah przypominał jej reprimendy Bruny.

– Corelvah była moją babką – odparła Krasjanka. – A Vahcorel jej siostrą. Jako dziecko ciągle słyszałam, jak na siebie wrzeszczą.

Na noc, ile ty masz lat? – pomyślała Leesha i znów przypomniała sobie Brunę, która przez długie lata zgromadziła ogromną wiedzę.

– Obie były święcie przekonane, że odkryły tajemnicę wszechświata – ciągnęła Favah. – Były pewne, że Everam przemawia tylko do nich. Zresztą czemu nie? Obie posiadały dar widzenia i nikt nie mógł tego podważyć. Moja ciotka przepowiedziała dzień swojej śmierci ze stuletnim wyprzedzeniem, a babka przewróciła jakiegoś człowieka na ulicy i udaremniła tym samym zamach szykowany przez Majah. Od dziecka wiedziała, że



dokładnie w tej chwili musi się znaleźć w tym miejscu. Obie miały żarliwe zwolenniczki, głupie, bezkrytyczne rzemieślniczki, które nie miały najmniejszego zamiaru choćby zastanowić się nad tym, co tak naprawdę robi konkurencja. Tymczasem obie szkoły myślenia dały światu wspaniałe wizjonerki, które jedną nogą stąpały po Ala, a drugą w nieskończoności. – Favah uniosła palec z ostro zakończonym paznokciem. – Wydaje ci się, że tajemnice wszechświata to równanie, które trzeba rozwiązać. Przyszłość jednak to nie równanie. To opowieść, a przecież każdą historię można opowiedzieć na wiele sposobów.

Leesha pochyliła się o wiele niżej, niż uczyniła to przy innych.

– Masz rację, *dama'ting*. Przepraszam. Ja po prostu... Ja naprawdę chcę się tego nauczyć.

Favah pociągnęła nosem i wskazała palcem kości.

– Czytaj, dziewczę.

– Powietrze nad wodą – odparła Leesha. – Chmura... Nie, błyskawica. Chmura burzowa.

– Burzowe chmury gromadzą się niczym mgła nad miastem w górskiej dolinie – oznajmiła Favah. Zamrugowała tak szybko, że Leesha nie miała pewności, czy jej się nie wydawało, po czym wskazała grupę demonicznych symboli na krawędziach kości. – *Alagai* gromadzą się wokół ich murów. Mieszkańcy północy są jednak...

Urwała i wskazała inny symbol.

– Arogancy – szepnęła Leesha i zakryła usta dłonią. – Nie zdają sobie sprawy z zagrożenia! Musimy...

– Nie sądzę, żebyśmy mogli cokolwiek poradzić. – Favah wskazała inny symbol.

– Wyspa – odgadła Leesha. – Są osamotnieni? Odcięci?

– W niemal każdej wersji przyszłości – odparła Favah. – Kolumna w rzece czasu.

– Nie mogę po prostu nie wysłać im pomocy dlatego, że symbol wyspy skierowany jest ku górskiej dolinie – rzekła Leesha. – Po co spoglądać w przyszłość, skoro nic nie można począć?

– Po co spog... Na Nie! – Favah wybałuszyła oczy. – Ty

aroganka, głupia dziewczyno! Przyglądasz się zagadce od raptem paru minut, udaje ci się odgadnąć kilka drobiazgów i już wyciągasz wnioski? Myślisz, że mojej babce wystarczył jeden rzut oka, żeby ułożyć przepowiednie? Zdarzało się, że po ważnym rzucie spędzała cały tydzień na medytacjach, nie śpiąc, nie pijąc ani nie jedząc, żeby przemyśleć wszystkie możliwe permutacje.

– Nie mam całego tygodnia, żeby się głodzić i gapić w kości – odparła Leesha. – Jutro w nocy zaczyna się Nów, a ja mam całe hrabstwo na głowie.

– A więc to tyle? Nie zależy mi na całym tygodniu medytacji, ale może wielka hrabina Leesha zechciałaby poświęcić prorocत्वu godzinę? Chyba znajdziesz tyle czasu między ułaskawianiem gwałcicieli i karmieniem tego niemowlaka.

Leesha spojrzała na *dama'ting* gniewnie, ale w aurze Favah panował spokój. Staruszka przesunęła dłoń nad kośćmi.

– Nadciąga Sharak Ka, a ten rzut kryje w sobie tysiąc opowieści wypisanych krwią, Leesho vah Erny. Zasługują na coś więcej niż tylko przelotne spojrzenie.



– Pani, a może jednak rozważysz powrót do stolicy? – zapytał Arther po raz tysięczny.

Pierwszy minister wyglądał niezgrabnie w drewnianej zbroi, pióro pasowało mu do dłoni o wiele lepiej niż włócznia.

Favah wraz z Leeshą przez długi czas wpatrywały się w rezultat ostatniego rzutu kośćmi hrabiny i wspólnie doszły do wniosku, że *alagai* zaatakują po zmroku na północy hrabstwa. Shaselle oraz Jaia również zostały sprowadzone, by obejrzeć *hora*, i bez żadnej podpowiedzi ze strony Leeshy czy Favah doszły do tego samego wniosku.

Leesha pogładziła różdżkę u boku, czując pulsowanie magii.

– Jestem potrzebna tutaj – odparła.

Tłuczek stał nieruchomo niczym posąg z obsydianu, ale hrabina wyczuwała w jego potężnym ciele napięcie. Rumak był gotów w każdej chwili skoczyć do boju. Jego srebrne kopyta wzmocniono *hora* oraz potężnymi runami, dzięki którym był niebywale szybki i nie wiedział, czym jest zmęczenie. Potrafił jednym kopnięciem rozbić czaszkę drzewnego demona.

Rumaki Kawalerii Zakątka, osobliwa mieszanina wielkich angieriańskich mustangów oraz smukłych, drobniejszych koni, były uzbrojone w podobną magię. Wyczuwały niepokój swoich jeźdźców, przez co drobiły w miejscu i tłukły kopytami w ziemię.

Znajdowali się w Ranchu Ogierów, najdalej wysuniętym na północ wielkim runie hrabstwa Zakątka. Okrąg był najśląbiej zaludniony ze wszystkich, które składały się na hrabstwo. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się tu rozległe pastwiska, na których wypasano i trenowano konie, jakże ważne dla Zakątka. Jego ogromne rozmiary sprawiały jednak, że wielki run był najślabszy ze wszystkich, a jego kształty wyznaczały głównie drewniane płoty i kilka budowli w środku.

Baron Jon zatrudniał teraz setki ludzi, ale wszyscy spotykali się w głównej halli osady, gdzie wspólnie jedli posiłki, dzięki czemu baronia przypominała właściwie jedną wielką rodzinę. Nic dziwnego, że demony planowały natarcie akurat tu. Kilka celnie wyrzuconych skał i parę machnięć pniami drzewa utworzyłoby w wielkim runie zbyt wiele luk, by dało się go dłużej chronić, a jego strata pozbawiłaby Zakątek niezwykle ważnych zasobów.

Leesha nakazała więc, by ludność cywilna przeniosła się do wnętrza hrabstwa, zabierając ze sobą konie zbyt młode bądź zbyt dzikie, by nadawały się pod siodło. Reszta ludzi Jona utworzyła konne oddziały zwiadowców, które patrolowały obrzeża wielkiego runu albo czuwały z łukami w trawie.

Gared stał obok Leeshy na wzgórzu wybranym przez nią na centrum dowodzenia. Jego najlepsi Rębacze i Kawalerzyści czekali na rozkaz, by ruszyć do ataku na zagrożone miejsca.

– Ogromnie się cieszę, że jesteś z nami, pani. – Jon od Ogierów górował nad Leeshą na grzbiecie swego potężnego brązowego

mustanga. – Mam nadzieję, że to wszystko to tylko strata czasu.

„Krew spłynie dziś rzekami” – zdradziły jej kości.

Leesha ponownie dotknęła różdżki.

– Ja też mam taką nadzieję – odpowiedziała.

Po zachodzie słońca napięcie wzrosło. Leesha zeskokczyła z Tłuczka i oprowadziła go dookoła wzgórza, przyglądając się nocy przez wzmocnione runami okulary, ale nigdzie nie widziała ani śladu gromadzących się demonów. Nie dostrzegała niczego, co wymagałoby jej uwagi. Nikt ani nic nie próbowało zatrzymać patroli zwiadowców, które okrężały wielki run, a inni, wysłani za barierę, meldowali się bez strat.

– Coś tu nie gra – mruknął Gared.

Leesha nie mogła się z nim nie zgodzić. Podczas ostatniego ataku, który przypadł na Nów, demony rozpoczęły natarcie od zbudowania własnych wielkich runów. Czegoś takiego nie dałoby się zrobić po cichu.

Tymczasem naokoło trwała cisza, przerywana jedynie krzykami nocnych ptaków i cykaniem owadów. Demony się nie pojawiały.

Leesha obróciła jeden ze swoich kolczyków. Ich zasięg nie wykaczał daleko poza wielki run, ale w hrabstwie Zakątka można było natychmiast złapać kontakt z drugą osobą.

– Słucham, pani – odezwała się Darsy w jej uchu.

– Melduj, co u was – rzekła Leesha. – Na Ranchu Ogierów nie ma ani pół demona.

– W Zagajniku Zielarek również – odparła Darsy. – Właśnie rozmawiałam z kapitanem. Ani widu, ani słyhu.

Leesha sprawdziła pozostałe osady hrabstwa, lecz wszędzie usłyszała to samo. Obrońcy patrolowali obrzeża i wypuszczali się na zwiad, a pozostali wiercili się i przebierali nogami w miejscu, czekając na bitwę, ale wokół wciąż panowała cisza. Wkrótce nadciągnął świt, a natarcia dalej nie było.

Całą czwórką ustaliły bez żadnych wątpliwości, że *alagai* uderzą po zmroku na północy Zakątka. Co poszło nie tak? Czyżby kości Leeshy w istocie zostały źle wykonane?

Przypomniała sobie układ kości, który po kilku godzinach

studiowania wrył jej się w pamięć. Czy one naprawdę to powiedziały? Czy może to ona wraz z Krasjankami odruchowo założyła, że to Zakątek będzie celem ataku demonów?

Demony zaatakują o zmierzchu. Na północy Zakątka.

Czy może na północ od Zakątka?

Na noc... – pomyślała.

– Arther! – zawołała. Za jej lewym okiem znów narastał ból. – Bądź tak dobry i pošlij kapitana Gamona i jego Kawalerię na północ.

– Doprawdy? – Arther uniósł brew.

– Wonda, pojedziesz z nimi. Zabierz Kendall.

Łuczniczka rozdziawiła usta.

– Jak to, pani?

Leesha zacisnęła pięści, rozzłoszczona własną arogancją, ale narzuciła sobie spokój.

– Obawiam się, że Angiers stało się celem ataku.



## 28

# Opowieść Araine

334 ROK PLAGI

**A**rther i Darsy szli za Leeshą, która nadzorowała przygotowania na Cmentarzysku Otchłańców.

– Meldujcie.

– Namioty do opieki nad rannymi gotowe. – Darsy machnęła ręką w kierunku rzędów białych pawilonów, które zapełniły cały poprzedni rynek. – W szpitalu i Akademii jesteśmy gotowi do operacji.

Leesha pokiwała głową. Zamieniła już szaty, które nosiła jako hrabina, na błękitną suknię i ciężki fartuch z kieszeniami, który służył jej tak długo, gdy była zwykłą Zielarką. Nadszedł czas, by odłożyć politykę na półkę. Nadszedł czas, by chwycić za nóż i nić chirurgiczną. Czas, by powalać się krwią aż po łokcie.

– Wozy z jedzeniem, wodą, mydłem i odzieżą również czekają – dodał Arther. – Przygotowaliśmy też prowizoryczne wychodki.

– Chcę, żeby je regularnie czyszczono, a wiadra wymieniano – ciągnęła Leesha. – Nie można dopuścić...

Arther spojrzał na nią z pobłażliwością, a Leesha natychmiast ugryzła się w język. Wiedział to już. Oczywiście, że wiedział.

– Rębacze zaś... – podjęła, ale Arther smagnął ją identycznym spojrzeniem.

– Już pracują. Oczyszczają teren pod osadę.

Leesha odetchnęła.

– A pomyśleć, że zaledwie wczoraj nie mieliśmy pojęcia, co zrobić z tysiącami uchodźców wdzierającymi się do Zakątka.

– Praktyka czyni mistrza – rzekła Darsy.

– Sęk w tym, że... – zaczął Arther.

Obie kobiety spojrzały na niego.

– Że co?

– Obawiam się, że tym razem nie ma co liczyć na tysiące. Posłańcy meldują, że uchodźców jest o wiele mniej.

– To niemożliwe – rzekła Leesha. – Wedle meldunków Gamona miasto zostało utracone.

– W rzeczy samej. – Arther pokiwał głową.

Ból w głowie Leeshy stawał się coraz silniejszy.

– Fort Angiers był zamieszkały przez ponad czterdzieści tysięcy dusz, a w okolicznych wsiach mieszkało dodatkowo dwadzieścia.

– Co najmniej – zgodził się Arther. – Ale mówi się, że oddział Gamona prowadzi zaledwie kilka setek. Musimy się przygotować na najgorsze.

Leesha spojrzała na swoich podwładnych, którzy uwijali się po rynku, gotowi na przyjęcie niekończącego się strumienia uciekinierów.

– Sądziłam, że jesteście.

Darsy ułożyła dłoń na jej ramieniu.

– Tym razem nie mamy do czynienia z Krasjanami, Leesh. Demony nie mają litości dla tych, którzy wychodzą z uniesionymi rękami.

Leesha zasłoniła usta dłonią, by powstrzymać nadciągające łzy. Tyle krwi. Tyle śmierci.

Niedługo później na rynek wjechał Gamon na czele swych jeźdźców. Ich szeregi zostały przerzedzone w walce, a wielu spośród ocalałych odniosło rany. Za nimi ciągnęła się karawana uciekinierów, eskortowana przez garstkę Drewnianych Żołnierzy i Górskich Włóczy, z których większość nosiła zakrwawione opatrunki.

Sam Gamon też miał ramię na temblaku, a gdy zdjął runiczny hełm, okazało się, że głowę ma owiniętą zakrwawioną, poślizniętą od potu szmatą. Towarzyszyły mu Wonda i Kendall, równie brudne i obdarte, ale całe i zdrowe. Wszyscy troje mieli kamienne twarze.

– Spojrzeli w otchłań Nie – rzekła Favah.

Gamon, Wonda i Kendall eskortowali powóz, który zapewne kiedyś olśniewał elegancją. Teraz poruszał się na niepasujących do siebie kołach, a drzwi zastąpiono zbitymi byle jak deskami, na których wymalowano runy. Zgarbiony woźnica ściągnął lejce, a obdarty lokaj zeskoczył na ziemię i dostawił schodki.

– Na noc – szepnęła Leesha.

Nie przyszło jej nawet do głowy, że wśród uciekinierów mógł się znaleźć sam książę Pether. W zasadzie Zakątek nadal stanowił jego dominium. Czy mógł teraz odebrać Leeshy rządy? Czy mieszkańcy Zakątka pozwoliliby mu na to?

Wyobraziła sobie reakcję Gareda i doszła do wniosku, że nic takiego nie może się wydarzyć. Skoro Angiers upadło, Zakątek odzyskał wolność, bez względu na to, co o tym sądziła rodzina Rhinebecków.

Tymczasem nie ujrzała ani księcia Pethera, ani też księżnej Lorain. Na progu stanął jedynie Pawl, młody syn ministra Jansona. Chłopiec zeskoczył na ziemię i przesunął schodki, a potem wspiął się do środka, by pomóc zejść księżnej matce. Oczy staruszki były puste i zapadłe.





– Nawet nie zawracały sobie głowy atakowaniem murów. – Dłonie Araine drżały, gdy ujmowała filiżankę i spodek. Leesha dodała do napoju łagodny środek uspokajający. – Przebiły się przez bruk. Wygrzebały się z ziemi tuż pod naszymi nosami.

– A co z Petherem? – spytała Leesha. – I z Lorain?

– Nie żyją. – Araine wpatrywała się w dal. – Wszyscy zginęli. – Upiła łyk herbaty, po czym skrzywiła się lekko i delikatnie wypluła go z powrotem do filiżanki. – Wsypujesz mi jakichś ziół do herbaty? Widać, że cię Bruna chowała.

– Dodałam tyle miodu, a ty wyczułaś smak połowy listka werbeny? – zdziwiła się Leesha.

Araine spojrzała na nią z wyższością.

– Samo to, że dodałaś miodu do herbaty, świadczyło o twojej winie.

– Wypij to – rzekła Leesha. – Przeszłaś przez piekło. Herbata pomoże ci się odprężyć, w miarę jak będziesz opowiadać. Potem się porządnie wyśpisz i rychło dojdiesz do siebie.

– Wybacz, ale dziękuję. – Araine spojrzała na Pawła. – Przynies mi nową herbatę, ale zaparz ją samodzielnie.

– Tak, matko! – odparł chłopiec i sięgnął po filiżankę, zamarł jednak na widok wzniesionego palca Leesha.

– Pij to! – Hrabina spojrzała na Araine stanowczo. W jej oczach błysnęła stal. – Rozkaz Zielarki.

– Faj – oznajmiła Araine, lecz przytknęła filiżankę do ust.

Osiągnięte w ten sposób zwycięstwo tylko Leeszę zaniepokoiło. Araine, którą znała kiedyś, nie dałaby się tak łatwo przekonać. Hrabina zaczekała, aż staruszka wypije wszystko, po czym dała znać Wondzie. Ta otworzyła drzwi i wpuściła do środka Favah.

– A cóż to znowu? – Araine wyglądała jak syczący kot.

– *Dama'ting* Favah to ambasador Krasji w Zakątku – odparła Leesha. – Zaprosiłam ją tu, żeby nie musiała sama jej opowiadać tej historii po raz drugi. W tej bitwie jesteśmy po tej samej stronie.

– Jest tak, jak mówi córka Erny'ego – zgodziła się Favah. – Wszelkie... nieporozumienia, które dzieliły nasze ludy, są niczym w obliczu Sharak Ka. Krasja zaoferuje twoim rodakom schronienie

i obdaruje was włóczyniami, żebyście mogli dokonać zemsty, jeśli sobie tego życzycie.

– Miałam czterech synów, *dama'ting* – odpowiedziała Araine. – Jednego zabiły otchłańce, trzech pozostałych Krasjanie. Jeśli chcesz użyć mi włóczni, żebym dokonała zemsty, najlepiej sama zacznij się dźgać. – Następnie odwróciła się ku Leeshy. – Nie zdradzę sekretów wagi państwowej... – zaczęła, lecz Leesha przerwała jej gwałtownym uderzeniem dłonią o poręcz fotela. Bruna robiła tak często, gdy nie miała już ochoty wysłuchiwać idiotyzmów. Zabolalo bardziej, niż sądziła, ale było warto, gdyż po komnacie poniosło się echo, a księżna matka ucichła.

– Angiers zostało utracone – oznajmiła Leesha. – Nie ma już państwa, które należałoby chronić. Skoro otchłańce zbierają siły, żeby wygubić ludzkość, nie stać nas na walki między sobą!

Araine wypuściła powietrze przez nos. Nie wiadomo, czy posłuchała zdrowego rozsądku, czy też wreszcie zadziałała werbena, ale księżna ustąpiła i nie protestowała, gdy Favah usiadła na kanapie naprzeciwko niej. Co ciekawe, obecność wroga w tym samym pomieszczeniu sprawiła, że Araine odzyskała nieco bojowego ducha.

– Z początku sądziliśmy, że uda nam się załatać wyłom – opowiadała. – Górskie Włócznie otoczyły otchłańce, ale wtedy pojawiły się skalne demony, przeciwko którym broń ognista nie jest już skuteczna. Przebiły się przez naszych i zabezpieczyły przyczółek demonów. I wtedy dopiero się zaczęło.

Leesha poczuła zimny dreszcz.

– Co takiego?

– Bunt – odparła Araine. – Robotnicy w strażnicy zaatakowali strażę i otworzyli bramy. Grupy chłopów z runiczną bronią skrzyknęły się i rzuciły na żołnierzy. Z początku wydawało nam się, że to zwykła rewolta, ale...

– Ale było inaczej – dopowiedziała Leesha. – W mieście znalazły się demony umysłu.

Araine przytaknęła.

– Widziałam oddział kawalerii, który kosił demony dziesiątkami

na ulicach, póki ich dowódca nie zdjął hełmu, żeby przetrzeć spocone czoło. Zanim go obezwładniono, zabił dwóch poruczników. Wciąż się z nim zmagano, gdy pojawiła się grupa drzewnych demonów.

Araïne postukała paznokciem w filiżankę. Tarisa podeszła, by dolać jej herbaty.

– Podobne meldunki docierały przez noc z całego miasta. Większość schronisk była jednak nietknięta, zupełnie jakby to nie ludzie byli prawdziwym celem ataku.

– Był nim pałac? – spytała Leesha.

– Nasze mury były mocne, wzmocnione runami tak od dołu, jak i od góry – mówiła Araïne. – Tym razem nie było sposobu, żeby ktoś przebił się tunelem. Traktem Posłańców nadciągnęły kolejne hordy demonów polnych i drzewnych, ale zbliżał się świt i mieliśmy nadzieję, że jakoś przetrwamy. Nagle okazało się, że drzewne demony taszczą niewielkie kamienie. – Księżna rozsunęła dłonie, by pokazać rozmiar pocisków. – Nie były większe od melonów. Rzucali jednak równie celnie jak zongler nożami. Nie chodziło im o to, żeby zniszczyć mury...

– Chcieli uszkodzić runy – skonstatowała Leesha.

– Każdy strażnik w pałacu miał hełm z runem umysłu, podobnie jak dworzanie, szlachta i większość służby, ale nie miało to znaczenia. Widziałam dziewczynę pomagającą w kuchni, jak łapie za nóż i zabija trzech Drewnianych Żołnierzy. Kilku gwardzistów zabrało nas więc do twierdzy. Po drodze czekały nas straszne sceny. Mały kuchcik, który nie mógł mieć więcej niż osiem lat, złapał za wałek i runął do ataku. Poruszał się jak *dama*, przemykał pod nogami dorosłych, uskakiwał przed ich ciosami i pozostawiał za sobą szereg zwijających się w bóleści, jęczących żołnierzy. Domyśliliśmy się już prawdy i rysowaliśmy run umysłu na czole każdej napotkanej osoby. Twierdza była nadal bezpieczna, a ja, Pether, Lorain i towarzyszący nam mały Pawł zostaliśmy umieszczeni w komnacie z grubymi ścianami, którą można było otworzyć tylko od wewnątrz. Strażnicy przekazywali nam meldunki przez szczelinę w drzwiach.

Araïne nabrała tchu.

– Pether szalał i wyrывał sobie włosy z głowy, gdy nagle... Nagle po prostu się uspokoił. Ucieszyłam się z chwili wytchnienia, ale gdy spojrzałam na niego, nie miał już na skroniach korony. Podeszedł swobodnym krokiem do Lorain, zupełnie jakby spacerował po ogrodzie, i ciął ją nożem po gardle.

Przerażona Leesha ze świstem wciągnęła powietrze.

– Lorain została ranna, ale zdołała chwycić go za ramię – mówiła Araïne. – Była od niego cięższa i silniejsza. Zmagali się przez chwilę, kiedy naraz z ust mojego pobożnego syna popłynął strumień potworności. Mówił...

– Co mówił? – pytała Leesha.

– Że prędzej obetnie sobie fiuta, niż na powrót wepchnie go w jej nadgniłą cipę. – Araïne mówiła chrapliwym szeptem. – Że nie ma ochoty czekać, aż w jej brzuchu wyrośnie zgniłe jajo, które kiedyś pozbawi go tronu. Wtedy – powiedziała ciszej – kopnął ją w brzuch i kopnął do chwili, aż zaczęła pluć krwią. Zamachnęłam się na Pethera laską, a on złapał ją wolną ręką i kopnął mnie w udo. Zanim się podniosłam, Lorain już nie żyła, a Pether szedł na mnie z nożem. „Dlaczego mam na tym poprzestać, matko?”, pytał chrapliwie. „Pozbyłem się baby, którą Euchor przysłał, żeby trzymała mnie w garści. Może czas rozprawić się z tą, która robi to przez całe życie?”

– Na noc! – szepnęła Leesha. – Jak ci się udało uciec?

– Swego czasu nauczyłam się kilku użytecznych sztuczek Zielarek, dziewczę – odparła księżna. – W wydrążeniu bransoletki miałam nieco oślepiającego proszku. Pether oberwał całą porcją w twarz. Pawł przewrócił go na ziemię, gdy ten się krztusił i dławił, a potem pomógł mi wstać i uciec. Na progu odwróciłam się po raz ostatni i zobaczyłam, jak mój syn sam sobie podrzyna gardło.

– Everamie, chroń nas! – szepnęła Favah.

– Strażnicy na korytarzu nie żyli, choć nigdzie nie było ani śladu otchłańców – ciągnęła Araïne. – Po podłodze walały się hełmy, co oznaczało, że pozabijali się nawzajem.

Dopiła herbatę. W jej oczach pojawiła się mgła.

– Najwidoczniej demony umysłu nie uznały mnie za wystarczające zagrożenie i pozwoliły mi żyć – dodała.

– *Alagai* wkrótce pożałują tego błędu – stwierdziła Favah.

– Jakoś w to wątpię – odparła Araine. – Skorzystaliśmy z tajnego przejścia, żeby wrócić do skrzydła kobiet, gdzie nadal czekało kilku moich strażników. W każdym korytarzu toczyły się walki i zostaliśmy zmuszeni do ucieczki przez tunele burdelu aż do miasta. Nadszedł w końcu świt, a demony wróciły do Otchłani, niemniej ocalali strażnicy zamknęli bramy pałacu i nie wpuszczali nas do środka. Zażądałam, żeby je otwarto, a wtedy Górskie Włócznie otworzyły ogień.

– Przecież nastał dzień! – wykrzyknęła zaskoczona Leesha.

– Wkrótce zorientowaliśmy się, że strażnicy na bramach nadal są pod władaniem demonów umysłu – opowiadała Araine. – Zamknęli bramy i zniszczyli łańcuchy i korby. Tłumaczyli, że to jedyny sposób, żeby zatrzymać demony na zewnątrz miasta. Nie wszyscy strażnicy znaleźli się pod władzą myślaków, choć nie było sposobu, żeby ich rozpoznać. Chodzili w blasku słońca, nosili hełmy z runami, zajmowali się sobą i swoją bronią, zachowywali się normalnie przez cały czas, chyba że ktoś postanowił uciec. „Rozkazy księcia”, mówili i bez zastanowienia blokowali drogę każdemu, nie przyjmując do wiadomości, że Jego Wysokość już nie żyje. Dopiero gdy jakiś Posłaniec próbował wspiąć się po murze, a któryś z żołnierzy Górskich Włóczy trafił go kulą w plecy, zrozumieliśmy, w jak wielkim niebezpieczeństwie jesteśmy. Próbowaliśmy szturmować strażnice, ale żołnierze zabarykadowali się w środku i obsadzili mury Górkimi Włóczykami.

– Uwięzieni jak *alagai* w Labiryncie – stwierdziła Favah.

– Robiliśmy wszystko, co się dało – ciągnęła opowieść Araine. – Każdy mieszkaniec miasta miał już run umysłu na czole i sięgnęliśmy nawet po piorunowe patyki, żeby zawalić tunele, którymi wdarły się otchłańce, ale nie miało to większego znaczenia. Straż pałacowa zaciągnęła wszędzie zasłony i zamalowała okna czarną farbą. Wiedzieliśmy, co to oznacza. Demony nie musiały wracać do miasta. One go nie opuściły. Następnej nocy zaczęły ryc

bruk wokół pałacu, żeby stworzyć wielki run, a tymczasem coraz więcej ludzi zwracało się przeciwko sobie. Tu ktoś, tam ktoś, ale wystarczyło, żeby wszyscy zaczęli przyglądać się sobie spode łba. Liczba wojska na murach miejskich i pałacowych rosła zaś przez cały czas.

– Nie rozumiem, co *alagai* miałyby w ten sposób zyskać – rzekła Favah.

– Zablokowały drogę do Miln i odcięły nas od sojuszników – odpowiedziała Leesha.

– Nie jestem głupia – odparła Krasjanka. – Ale okazywanie litości? Wstrzeźliwości? *Alagai* tak nie działają! Po co miałyby przejąć całe miasto i pozostawić ludzi przy życiu?

– Ponieważ one wcale nie chcą go zniszczyć – odparła Leesha. – Demony potrzebują spiżarni.

Żadna z obecnych nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć, i trudno się było temu dziwić. Leesha nie miała powodu sądzić, że Inevera wtajemniczyła Favah w kwestię roju, a im mniej ludzi wiedziało, co robią Jardir i Arlen, tym lepiej.

– A jak się wydostaliście? – spytała.

– Dzięki Pawłowi. – Araine pogładziła chłopca po dłoni. – Zna wszystkie tajne przejścia i każdego człowieka, który mógł przemycić nas na zewnątrz.

Leesha spojrzała na chłopca, który wydawał się kurczyć pod jej baczny spojrzeniem.

– Skoro wydostałeś księżną na zewnątrz, czy mógłbyś również przemycić ludzi do środka?

– Być może – odparł Pawł. – Niewielką grupkę raczej tak.

– Do środka? – spytała Araine. – Oszalałaś?

– Nie porzucę tysięcy ludzi na łaskę demona umysłu – stwierdziła Leesha. – Jeśli chcemy ich uwolnić, musimy przeprowadzić akcję przed kolejnym Nowiem.

Araine opadła na swoim krześle, nie mogąc dłużej opierać się wywarowi z werbeny oraz zwykłemu wyczerpaniu.

– Może – westchnęła. – Ale to już wasza wojna. Linia Rhinebecków wygasła.

– Bzdura – oświadczyła Leesha. – Przecież księżna matka nadal żyje.

– Stara i bezdzielna – odparła Araine.

– Wedle moich rachub jesteś nadal młoda – rzekła Favah. – Chcesz porzucić swoich ludzi i biernie czekać, aż otworzy się przed tobą samotna ścieżka?

Araine spojrzała na *dama'ting*, lecz ochota do walki już dawno z niej uszła. Robiła wrażenie załamanej oraz starszej, niż była.

– Odpowiesz na to pytanie, gdy się wyśpiesz – oznajmiła Leesha i uderzyła w dzwonek.

Pojawiła się Melny. Wynnana młoda księżna nosiła zwykłą sukienkę oraz fartuch gospodyni domowej. Favah zerknęła na nią, ale dostrzegła ubogie szaty i straciła zainteresowanie.

– Oto Melny, jedna z czeladniczek zielarstwa – przedstawiła ją Leesha. – Będzie ci służyć jako pokojówka. W jej brzuchu rośnie silny, zdrowy chłopczyk, ale do porodu zostało jeszcze sporo czasu. Będziesz miała z niej sporo pociechy.

W oczach Araine widniała pustka, gdy podeszła do niej synowa. Pawł pomógł starszej arystokratce się podnieść i oboje ruszyli z nią ku drzwiom. Na progu Araine zatrzymała się i spojrzała na Leeshę. W jej oczach błysnęły łzy.

– Dziękuję, hrabino.



## 29

### Wilki

334 ROK PLAGI

Inevera patrzyła przez wzmocnione runami okno powozu na *Sharum* w brudnych czarnych szatach, którzy przemykali między krzewami i wzgórzami po obu stronach drogi. Wojownicy Wilków Everama podążali za nimi od kilku godzin.

Rozmowa, którą Inevera odbyła ze znajdującą się wiele mil dalej Ashią, wiele ją kosztowała i Damajah wciąż czuła uporczywy ból głowy, ale kości, którymi później rzuciła, ujawniły jej strzępy planów książąt *alagai*.

„Jezioro jest słabsze od krainy”.

Jezioro, czyli Krynica Everama. Nazwą tą określano wszystkie podmokłe tereny, do których Krasja rościła sobie pretensje. Broniące ich armie były jednak zdziesiątkowane, a przywódcy zginęli. Gdyby *alagai* zajęły mokradła, mogliby zacząć tworzyć wielkie runy na skraju Lenna Everama, co oznaczało, że



Dokowisko było następną – a właściwie jedyną – linią obrony. Gdyby demony zniszczyły miasto, nikt nie zdołałby przeszkodzić im w wyrznięciu mieszkańców okolicznych wsi i zajęciu ogromnych połaci terenów.

„Alagai Ka się przyglądają”.

Liczba mnoga, nie pojedyncza. Książęta demonów mieli powstać w wielkiej liczbie podczas kolejnego Nowiu. Nawet teraz przyglądali się powierzchni oczami swoich sług.

„Zbyt wielu wojowników wywoła ryzyko podziałów”.

Bywało, że Inevera nie znosiła mętnych wyroków *hora* równie serdecznie jak Ahmann. Ilu wojowników to zbyt wielu? Jak bardzo mogła wzmocnić Dokowisko, zanim demony zwąchają sprawę i zmienią strategię?

„Damajah musi stać się przynętą”.

Dlatego też wyruszyła osobiście. Wszystkie rzuty mówiły, że jeśli pozostanie w Lennie Everama, na Krynicę padnie cień. Na poduszkach Damajah w jej zastępstwie zasiadła Amanvah. W stosunkach między nią a bratem nadal panowało napięcie, ale kości zwiastowały, że nie dojdzie do konfliktu.

Inevera zabrała ze sobą trzy siostry-żony: Umshalę z Khanjin, Justyę z Shunjin i Qaszę z Sharach, a także grupę *shar'dama* i *dama'ting* oraz osobistą gwardię, złożoną z pięciuset *Sharum'ting* wyszkolonych osobiście przez Ashię i jej siostry włóczni. Kobiety nie przeszły jeszcze chrztu bojowego i należało je na razie traktować bardziej jako eskortę karawany aniżeli posiłki dla regularnego wojska. Inevera modliła się w duchu, aby oddział okazał się zbyt mały, by przyciągnąć uwagę.

Amanvah nie była zadowolona, że musi się rozstać ze swoją siostrą-żoną, tym bardziej że obie spodziewały się dzieci, ale nic nie mogła na to poradzić. Damajah potrzebowała Sharum'ting Ka. Cięża Sikvah stawała się już widoczna, ale niewielkie wyrzucenie nikło w fałdach jej szat.

Wraz z Asukajim podróżowała w powozie Inevery. Jej siostrzeniec siedział ponury, a jego aurę przepelniały wstyd i żal, towarzyszące mu od chwili uzdrowienia. Spoglądał przez okno

powozu, świadomy, że pełni rolę jedynie zakładnika, a jego obecność ma zapewnić dobrą postawę Asome.

– Otoczyli nas – rzekł.

– Jarvah powiedziała, że mamy się tego spodziewać – stwierdziła Sikvah. – Wilki Everama upasły się na grabieży zielonych krain i zdziczały jak prawdziwe wilki. Jurim nie pokaże się nam bez asysty swoich ludzi.

„Wilki za długo biegają bez smyczy”.

– Jurim to zagubiona dusza – rzekła Inevera. – To ostatni *kai’Sharum* Włóczni Wybawiciela z czasów, gdy oddziałem dowodził Ahmann. Słynie z wielkiego honoru.

– Tak czcigodny wojownik powinien witać nas na kolanach, a nie grozić swoimi ludźmi – oznajmił Asukaji.

Inevera pokręciła głową.

– Miałby klękać przed kobietą? Przed chłopcem w białej szacie? Jurim to prawdziwe dziecko Labiryntu. Okaże lojalność jedynie przed przywódcami *Sharum*. Tymczasem Ahmann i Shanjat udali się do Otchłani. Jayan nie żyje, a Hoshkamin nie sprawdził się jak dotąd w walce. Kiedyś okazywał uległość wobec Hasika, ale ten jest teraz eunuchem i wygnańcem. Czy gdzieś w pobliżu znajduje się jakiś wojownik, który mógłby szczyć się równie wielką chwałą?

– Jestem jego *Damaji*! – Asukaji zacisnął dłoń.

– Pamięta cię jako niemowlę ssące pierś matki – odparła Inevera.

– A więc może udowodnię dziś przed nim moją wartość!

– Nie. Ja się zajmę Jurimem.

– Damajah... – odezwała się Sikvah, gdy Asukaji popadł w ponure milczenie. – Jurim ma pod swoimi rozkazami trzystu doborowych *dal’Sharum*. Grozi ci niebezpieczeństwo...

Inevera przeniosła na nią spojrzenie i dziewczyna umilkła. Wyglądało na to, że wraz z białym zawojem Sikvah odziedziczyła asertywność Ashii.

– Nie mogliśmy zabrać z Lenna więcej oddziałów, żeby nie alarmować książąt *alagai* – rzekła Inevera. – A w pobliżu nie ma żadnych innych wojsk. Jeśli chcemy przetrwać nadciągający Nów,

potrzebujemy Jurima i jego wojowników.

– Hasik ponoć ma ponad tysiąc *Sharum* w Klasztorze Nowego Świtu – powiedział Asukaji. – Może powinniśmy się tam udać? Tak, może należałoby przypomnieć Hasikowi o jego ślubach?

– Tym zajmuje się twoja siostra – rzekła Inevera. – Ale ta informacja nie ma prawa opuścić tego powozu.

Asukaji rozdziawił usta.

– Ashia? Wysłałaś ją na północ? Gdzie jest mój syn?

Inevera uderzyła go w twarz. Asukaji zamrugął zaskoczony. Czy ktoś kiedykolwiek wymierzył temu chłopakowi policzek w całym jego uprzywilejowanym życiu? Sikvah przyglądała się runom wymalowanym na paznokciach, udając, że niczego nie zauważyła.

– Twój siostrzeniec jest ze swoją matką. Oboje wędrują skrajem Otchłani, bo próbowałeś zamordować Ashię i wprawiłeś kości przeznaczenia Kajiego w wirowanie. W każdej chwili jest coraz bliżej Hasika i wyrwie *khaffit* z eunuszej niewoli.

– *Khaffit?! Ryzykujesz życie mojej siostry i jedyne go wnuka Wybawiciela, twojego jedyne go wnuka, dla tego tłustego świniożerco?!*

– Robię to dla Sharak Ka – powiedziała Inevera. – *Hora* wieszczą, że *khaffit* ma wciąż rolę do odegrania.

Asukaji opanował się i osunął na podłogę powozu. Uklęknął przed Ineverą.

– Być może ja również mam jakąś rolę?! Wyślij mnie, Damajah, na północ, żebym mógł uratować moją siostrę i... i siostrzeńca.

Inevera położyła dłoń na jego ramieniu.

– Wreszcie okazujesz mi szacunek, *Damaji*, a więc odpowiem ci z szacunkiem, że nie masz umiejętności, żeby temu podołać. Mokradła są rozległe i trudno znaleźć na nich pitną wodę czy jedzenie nawet tym, którzy wiedzą, gdzie szukać. Roi się tam od demonów torfowych i bagiennych, które potrafią perfekcyjnie zamaskować się wśród błota i plunąć kwasem na niczego niespodziewającą się ofiarę.

Asukaji uniósł głowę i spojrzał Ineverze w oczy.

– A więc to tam posłałaś moją siostrę i jej niemowlę?

Inevera pokiwała głową.

– Tak. I co więcej, nie potrzebują oni pomocy ze strony takich jak ty. Poza tym mógłbyś się uważać za szczęściarza, gdyby Ashia nie zabiła cię na miejscu. Wybawiciel nie uzdrowiłby cię, gdybyś nie miał ważnej roli do odegrania w Sharak Ka. Okaż cierpliwość, a Everam ci ją ukaże.

Asukaji odzyskał równowagę i ukłonił się.

– Jak rozkażesz, Damajah.

Za następnym zakretem droga biegła przez miłą w górę zbocza. Inevera widziała Jarvah, która stała na szczycie wzniesienia z Jurimem i jego przybocznymi. Idealne miejsce na zasadzkę. Wilki przybliżyły się i zastąpiły drogę pozostałym wozom oraz szeregom *Sharum'ting*.

Asukaji i Sikvah wysiedli jako pierwsi i stanęli po obu stronach stopni, po których zeszła Inevera. Jej szaty były czerwone niczym krew.

Jurim i jego ludzie górowali nad drobną Jarvah, siedzącą na niewielkim koniu. Jak można było oczekiwać, ignorowali dziewczynę, skupiwszy swą uwagę głównie na Ineverze, strażnikach eunuchach, Asukajim oraz Sikvah.

– Damajah – oznajmił Jurim.

Jego ukłon był pełen szacunku, ale zabrakło w nim uniżoności, do której zobowiązywał go tytuł Inevery. Ta wiedziała, iż należy się spodziewać podobnego zachowania, ale arogancja i lekceważenie *Sharum* irytowały ją w tym samym stopniu co Asukajiego.

– Witaj, Jurim – odparła. Nie ukłoniła się. – Cieszę się, że cię widzę.

– Ciesz się, że zgodziłem się na to spotkanie po tym, jak ta suka *Sharum'ting* odcięła jednemu z moich ludzi rękę.

Inevera uśmiechnęła się za woalką.

– Jeśli tak się stało, zapewne wsadził ją tam, gdzie zakazuje tego Everam.

Jurim zarżał jak wielbłąd, ale nie kontynuował tematu.

– Jesteś potrzebny w Krynicy Everama – powiedziała Inevera. – Rozstańmy się tu jak gdyby nigdy nic, ale zatocz szeroki krąg

i spotkaj się z nami w Krynicy. Staw się przed Mistrzem Ćwiczeń Qeranem po dotarciu na miejsce.

Odwróciła się, modląc się w myślach, by zrealizowała się jedna z tych wizji, w których Jurim słucha jej bez wahania.

– A jeśli sobie tego nie życzę? – spytał Jurim.

Inevera zatrzymała się w pół kroku.

– A kogo interesuje to, czego sobie życzysz? Wszak nastąpi Sharak Ka!

– Sharak Ka! – krzyknął Jurim. – Mit, którym zmuszano wojowników do uległości! Czy za Sharak Ka krwawimy i ginimy w zielonych krainach? Czy dla Sharak Ka Jayan został rozbity pod Angiers? A może robimy to wszystko dla zwykłej męskiej chwały? Sharak Ka nigdy nie interesowała mnie tak jak Ahmanna – dodał, krocząc po wzgórzu. – Zresztą nikt i tak nie zapytał, co właściwie mnie interesuje. Nikt nie obsypywał mnie zaszczytami jak Hasika czy Shanjata. Byłem po prostu kolejnym *Sharum* w kolejce po owsiankę. Nie dla mnie zaszczyty, nie dla mnie chwała.

– Wciąż możesz zdobyć wielką sławę, Jurimie!

– Sława jest niczym strużka dymu z latarni, Damajah. Wymyka się tym, którzy próbują ją złapać. Nie da się jej zatrzymać, nie da się spieniężyć. – Jurim zatrzymał się i zatoczył łuk ręką. – Zielone krainy są wielkie. Mieszkający tu ludzie słabi, ich kobiety miękkie, a we wsiach mnóstwo dóbr do rabowania. A więc powiedz mi, dlaczego miałbym poprowadzić swoich ludzi do bitwy, w której możemy tylko zginąć dla chwały?

– Jeśli nie posłuchasz rozkazu, twoje Wilki nie będą już miały wstępu ani do Krasji, ani do Zakątka – rzekła Inevera. – Jak sądzisz, ile czasu upłynie, zanim was zmiażdżymy między sobą?

– W zielonych krainach są jeszcze inni ważni gracze.

– Masz na myśli Hasika? – roześmiała się Inevera. – Eunuchom trudno będzie nacieszyć się wdziękami miejscowych kobiet.

Jurim oparł się na włóczni.

– Czyli lepiej, żebym oddał się pod rozkazy rozpijaczonemu, kalekiemu Mistrzowi Ćwiczeń, który zrzucił mnie z muru za to, że śmiałem się z *khaffit*?

– Abban nie był wówczas *khaffit* – zauważyła Inevera. – Był jednym z twoich braci *nie'Sharum*.

Jurim splunął na ziemię u jej stóp.

– *Khaffit* zawsze będą *khaffit*, nawet jeśli nikt tego jeszcze nie odkrył.

– Ty psie! – Asukaji potrząsnął pięścią. – Uklęknij i błagaj Damajah o wybaczenie albo...

Jurim znów zaryczał jak wielbłąd. Jego przybocznicy unieśli kusze. Swego czasu wśród *Sharum* Kaji broń strzelecka uchodziła za niegodną, ale wśród Wilków nie pamiętano już, czym jest honor.

– Kazałbyś swoim ludziom, żeby zastrzelili twojego własnego *Damaji*? – spytał Asukaji.

Inevera nie mogła się nadziwić temu, że chłopak był tak naiwny, żeby o to pytać. Jurim znów zaryczał.

– Zabijałem *alagai* w Labiryncie wraz z Wybawicielem, chłopcze, na długo przed tym, zanim Ashan zacisnął palce na nosie i przetrząnął twoją paskudną matkę. Nie potrzebuję wojowników, żeby zabić takiego mażącego się *push'ting* jak ty.

– A więc każ swoim ludziom, żeby opuścili kusze – warknął Asukaji i uniósł laskę z biczem.

Jurim parsknął.

– Twoje polecenia są tu bez znaczenia, chłopcze. Popęłnij do domu i poszukaj cycka mamy.

Inevera ruszyła w stronę przywódcy Wilków. Szła płynnie, z gracją tancerki, kołysząc z każdym krokiem biodrami na tyle, by przykuć uwagę Jurima.

– Ahmann pewnie dał ci się oczarować, Damajah, ale na mnie to nie działa – oznajmił. – A twoja demoniczna magia nie zadziała w blasku dnia.

Inevera rozłożyła puste dłonie.

– Jesteś pierwszy w kolejce po owsiankę, Jurimie. Już nikt przed tobą nie stoi – powiedziała. Nadal zbliżała się powoli do Wilka, a jedwabie opinały się na jej krągłościach. – Ahmann i Shanjat zaginęli. Hasik został wykastrowany i żyje na wygnaniu. Qeran to kaleka, którzy przysięgł posłuszeństwo *khaffit*. *Sharum* potrzebują

prawdziwego przywódcy. O ile oczywiście jesteś w stanie znaleźć w sobie więcej ambicji, niż potrzeba do plądrowania wiosek *chin*.

Podeszła jeszcze bliżej, aż Jurim po raz pierwszy w życiu odważył się otwarcie jej przyjrzeć.

– Niech mnie Everam przeklnie, że nie widziałem prawdy w czasach, gdy nosiłaś przejrzyste szaty, żeby rozpraszać Shar’Dama Ka i kusić jego dwór – wycedził.

– Jakiej prawdy, *kai’Sharum*? – spytała Inevera.

– Wszyscy sądziliśmy, że usidliłaś Ahmanna demonią magią, ale być może była to zwykła magia. Taka kobieca – powiedział Jurim i wyciągnął rękę, by dotknąć włosów Inevery.

Złapała go za kciuk, szarpnięciem wyprostowała jego ramię i obróciła, a potem wykonała klasycznego Skorpiona – pochyliła się i wymierzyła mu kopnięcie zza głowy. Trafiony w pierś Jurim zatoczył się i grzmotnął o ziemię, ale należał wszak do Włóchni Wybawiciela, więc zareagował natychmiast. Wykorzystał siłę uderzenia, by odbić się i zerwać na równe nogi. Złapał za włóchnię.

Inevera stała nieruchomo. Wygładziła szaty, by ukryć krągłości, które przed chwilą eksponowała.

– Masz jeszcze jedną szansę, Jurimie, żeby paść na kolana i dotknąć głową ziemi.

Jurim znów ryknął i spojrział na swoich oficerów z kuszami.

Inevera skinęła głową. Jarvah zręcznie ukucnęła na grzbiecie swego konia, po czym odbiła się i kopnięciem w locie strzaskała jednemu z nich udo. Zrzuciła mężczyznę z siodła i wyrwała mu broń.

Nim ktokolwiek zdołał się poruszyć, Jarvah podniosła kuszę i posłała bełt w pachwinę drugiego z przybocznych Jurima, który zawył, upuścił broń i złapał upierzony bełt, który przybił go do siodła.

Wtedy zainterweniowała Sikvah, szybka niczym błyskawica. Rzucony przez nią pocisk z runicznego szkła wbił się w rękę trzeciego przybocznego. Jego kusza spadła na ziemię, a bełt wystrzelił, nikogo nie raniąc. Czwartym wojownikiem nieudolnie wymierzył w stronę Sikvah, ale Jarvah już czekała. Przeskoczyła

przez grzbiety trzech koni, kopnięciem wybiła mężczyźnie nogę ze strzemienia i zrzuciła go z siodła. Druga noga, która nadal tkwiła w strzemieniu, złamała się z wyraźnym trzaskiem. Zwisał z siodła z głową ledwie kilka cali nad ziemią, a Jarvah wylądowała tuż obok niego.

Pozostali przyboczni krzyczeli i wymachiwali bronią, próbując wycelować w przemieszczające się błyskawicznie kobiety. Jarvah wbiegła między konie i znikła, a Sikvah rzuciła włócznią, trafiając innego *Sharum* w ramię. Któryś wreszcie w nią wycelował, ale wtedy rozległ się trzask ogona *alagai* i Asukaji pozbawił Wilka broni.

Chwilę później rozległ się wrzask, gdy kolejny wojownik osunął się na ziemię w samym środku grupy niespokojnych wierzchowców. Popręg pod jego siodłem został przecięty.

Ostatni *dal'Sharum* w panice rozglądał się między końmi w poszukiwaniu Jarvah, kiedy ta niepodziwianie wyłoniła się tuż za nim i wskoczyła na koński zad równie łatwo, jakby wbiegała po schodach. Błyskawicznie założyła mężczyźnie unieruchamiający chwyt i przyłożyła szklany nóż do gardła.

– Wyceluj w twojego *kai* – syknęła.

Wojownik wytrzeszczył oczy ze strachu i trzęsącymi się dłońmi wymierzył broń w Jurima.

Ten po chwili odwrócił się ku Ineverze.

– Twoje przeznaczenie sprowadza się do tej chwili, Jurimie – rzekła. – Twoi ludzie patrzą na ciebie. Jeśli chcesz wyjść z Labiryntu...

Było to stare przysłowie *Sharum* i Jurim dokończył je odruchowo.

– ...musisz go przejść – wycedził.

Potem wyszczerzył zęby i rzucił się naprzód, wznosząc włócznię.

Był dobry. Rozpracował już pozycję obronną Inevery i był gotów na kontrę. Inevera zdołała uniknąć zamaszystego ciosu, ale drzewce włóczni z trzaskiem odbiło się od jej przedramion. Damajah poczuła ból, a potem ujrzała, jak Jurim, spodziewając się kolejnego kopnięcia Skorpiona, uskoczył w bok, zerwał tarczę



z pleców i założył ją na ramię.

Nie przechwalał się, gdy mówił do Asukajiego. Wybawiciel osobiście wyszkolił jego przybocznych, a *sharukin* samego Jurima były w istocie precyzyjne i godne podziwu. Zachował czujność zarówno podczas wypadu, jak i chwilę później, gdy zakładał tarczę, i jego przeciwnik nie miałby wielu okazji, by kontratakować.

Niemniej jak większość wojowników, Jurim nigdy nie walczył z *dama'ting*. Inevera przypadła do niego i rozpoczęła walkę z krótkiego dystansu, w której jego włócznia stanowiła tylko problem.

Był na tyle szybki, iż zdołał blokować kopnięcia i ciosy pięścią Inevery. Wystawiał mniej istotne partie ciała, by osłonić te, które uważał za witalne. Inevera uderzała zaś sztywnymi palcami w każdy dostępny punkt zbieżności. Żebro Tygrysa. Grzechot Węża. Jurima przeszywały kolejne fale bólu, ale wojownik znosił je bez słowa i odpychał Damajah tarczą.

Wtedy Inevera skoczyła naprzód, piruetem wyminęła wypukłą tarczę i znalazła się za plecami Jurima. Dostrzegła szczelinę w jego pancerzu tuż pod hełmem. Zwarła pięści i uderzyła z furią równą bogom.

Ten typ ciosu, jeśli został wymierzony precyzyjnie, raził kręgosłup przeciwnika na kilka minut, po czym człowiek powoli odzyskiwał swobodę ruchów. Jeśli zaś zabrakło w nim precyzji, mógł zabić lub spowodować trwały paraliż.

Jurim wciągnął powietrze, ale zwałił się na bok i nie mógł nawet drgnąć. Jego włócznia ze stukotem spadła na ziemię, a ciężka tarcza przygniatała ciało, w którym nagle zabrakło życia. Inevera kopnięciem strąciła Jurimowi hełm i złapała za tłuste kędziory. Obróciła głowę *kai'Sharum* ku przybocznym, rannym i jęczącym, lecz nadal żywym i przytomnym na tyle, aby być świadkami jego klęski. Pochyliła się i szepnęła Jurimowi do ucha:

– Pamiętasz, co kiedyś Ahmann zrobił Hasikowi na oczach jego ludzi?

Jurim przełknął ślinę, tylko tyle mógł zrobić.

– Tak, Damajah – wyrzeźbił.

– Potrzebujesz tej samej lekcji?

Wojowników Włóczni Wybawiciela szkolono, by ignorowali ból, ale żaden trening nie mógł przygotować człowieka na chwilę, gdy całkowicie odrętwiałe ciało przestaje słuchać poleceń. W oczach Jurima, który rozpaczliwie próbował wykonać choćby ruch, błysnęły łzy.

– Nie, Damajah.

– A więc co poczniesz? – spytała Inevera.

– Ruszę wraz z Wilkami Everama na północ, zupełnie jakbyśmy się rozstawali. Potem zatoczę koło i dołączę do was w Krynicy, gdzie zamelduję się Mistrzowi Ćwiczeń Qeranowi.

– Dobrze. – Inevera pogładziła *kai'Sharum* po głowie niczym pokorne zwierzę. – A więc pozostała już tylko jedna sprawa do załatwienia. Twój śmiech.

W oczach Jurima znów pojawił się lęk.

– Mój... śmiech?

– Ten obrzydliwy ryk wielbłąda, który wydajesz z siebie w chwilach wesołości, już raz kiedyś przysporzył ci kłopotów. – Inevera odwróciła mężczyznę na plecy i uniosła jego pozbawioną życia nogę. Oparła ją sobie o ramię, by wojownik wiedział, o czym mówi. – Wyleczyłam ci nogę, gdy się złamała po tym, jak Mistrz Ćwiczeń Qeran zrzucił cię z muru. Złamanie było gdzieś... gdzieś tu.

Uderzyła, a Jurim zawył głośno. Nie czuł nic, lecz widok złamanej kości, która jak wiele lat temu przebiła skórę, wywołał w nim przerażenie.

– Mogłabym wyleczyć cię w okamgnieniu. – Inevera beztrąsko zrzuciła złamaną nogę na ziemię. – Jednak w swojej mądrości zaproponowałeś wcześniej, żebyśmy się spotkali w samo południe.

Jurim przestał wyc, ale zaciskał kurczowo zęby, nie mogąc powstrzymać jęczenia.

– Masz więc kilka godzin światła słonecznego, żeby sobie wszystko przemyśleć – rzekła Damajah. – Po zmroku złożysz mi przysięgę na wierność. Wówczas być może ponownie zaleczę twoje obrażenia.



Jurim wraz z przybocznymi, pełznąć i kuśtykając, zbliżyli się do Inevery po zapadnięciu ciemności i oddali jej hołd, a ona dotrzymała obietnicy. Uzdrowiła Jurima i skinęła na siostry-żony, by zajęły się rannymi *Sharum*. Runy Damajah zatrzymywały *alagai* w pewnej odległości, więc Jurim i jego ludzie, odzyskawszy pełnię sił, odjechali w noc, biorąc ze sobą Wilki. Ku ich zaskoczeniu drogę zastąpiły im *Sharum'ting*, ale potyczka, która się wywiązała, okazała się fortem i skończyła jedynie drobnymi obrażeniami po obu stronach.

– Szpiedzy *alagai* ujrzą więc jedynie nieudaną próbę zawarcia sojuszu przez skłóconych ludzi – stwierdziła Inevera.

– A mamy taką pewność, Damajah? – spytała Sikvah. – Czy możemy zaufać Jurimowi?

Inevera położyła dłoń na sakiewce z *hora*.

– Przyszłość może się rozegrać na wiele sposobów. Wedle niektórych wizji Jurim wróci, w innych nie. Wpłynęłam na przebieg wydarzeń najbardziej, jak się dało. Na dalsze ingerencje nie mam już odwagi. Czy Jurim i jego Wilki powrócą, czy też nie, Krynica Everama musi przetrwać.



## 30

# Krynica Everama

334 ROK PLAGI

Gdy tylko mury Dokowiska znalazły się w zasięgu wzroku, pojawiła się też Jarvah, która czekała w towarzystwie swego brata Sharu, czwartego syna Ahmanna, oraz Mistrza Ćwiczeń Qerana. Po obu stronach drogi ciągnęły się szeregi jeźdźców *Sharum*, zbyt zdyscyplinowanych, by dać po sobie poznać, iż właśnie ściągnięto ich z posterunków i wyrwano z łóżek. Z poważnymi minami eskortowali Damajah, której nadejścia nikt się nie spodziewał, choć wielu z nich czuło się pewniej na deskach pokładu niż na końskich grzbietach.

Procesja zatrzymała się, gdy Sharu, Qeran i Jarvah podjechali do powozu Inevery. Eunuchy otworzyły drzwi, a oczom oczekujących ukazała się Damajah spoczywająca na poduszkach. Pomimo metalowej nogi Mistrz Ćwiczeń zeskoczył z siodła równie sprawnie jak młodzi Jarvah i Sharu i cała trójka uklękła, by

dotknąć dłońmi ziemi.

– Damajah! Witaj w Krynicy Everama!

Inevera nie musiała nawet zaglądać do aury Sharu, by wiedzieć, że chłopak się boi. Wyczuła strach w jego głosie, zdradzało go też delikatne drżenie rąk i nóg.

– Otrzymaliśmy wieści o zbliżającej się delegacji, ale nie mieliśmy pojęcia, że osobiście staniesz na jej czele.

Inevera uśmiechnęła się. Nie miała na razie ochoty rozpraszać jego niepokoju. Sharu poparł swego przyrodniego brata, gdy Jayan postanowił sprzeciwić się woli Tronu z Czaszek i poprowadzić atak na Angiers. Plan zakończył się jednak fiaskiem i Asome został Shar'Dama Ka. Ze względu na pokrewieństwo Sharu objął dowództwo nad Dokowiskiem, jednak brakowało mu doświadczenia i wszystkie ważne decyzje podejmował Qeran. Chłopak wydawał się zbędny i dobrze o tym wiedział.

– Nie życzyłam sobie, żeby wieść się poniosła – powiedziała w końcu. – Wasz Mistrz Ćwiczeń wysłałby zbyt wielu ludzi, żeby zabezpieczyć trakt.

– Byłoby to mądre rozwiązanie – zgodził się Qeran.

Inevera uśmiechnęła się znowu. Qeran był dumnym człowiekiem, jak każdy *Sharum*, ale zasłużył sobie na ten przywilej, a ponadto pozostał lojalny.

– Odsłoniłoby to jednak naszą przewagę przed *alagai* – rzekła.

– Oczywiście. – Qeran spojrzał z powątpiewaniem na szeregi maszerujących *Sharum'ting*. – Jestem zaledwie prostym, pokornym *Sharum*, lecz nie wiem, w jaki sposób pięciuset... eee... wojowników miałyby dać nam przewagę.

Nie zająknął się ani słowem o tym, że ci wojownicy to kobiety, ale Inevera wiedziała, co myślą on i Sharu. Ponadto w istocie pięć setek wojowników stanowiło zaledwie cząstkę sił Dokowiska.

– Przywiodłam nie tylko posiłki – rzekła Inevera. – Od tej chwili obejmuję dowództwo nad Krynica Everama.

Qeran i Sharu zawahali się. A więc chodziło o coś więcej niż tylko zwykłą wizytę. Obaj szybko pokonali wątpliwości i dotknęli czołami ziemi.

– Jak rzeczesz, Damajah.

– Czy jest w tej bagiennej dziurze coś, co uchodzi za pałac? – spytała.

– Po tym, jak *chin* spalili pałac Jayana, Sharu przeniósł się do magazynu *khaffit* – odparł Qeran. – To najbezpieczniejszy i najwystawniej urządzonego budynek w mieście, z którego widać trakt i jezioro.

Sharu zakaszłał.

– Mieszkam tam od czasu, gdy mój brat wyruszył na wojnę, ale jeśli chcesz...

– Chcę – rzekła Inevera.

Sharu skłonił się ponownie.

– Jak rzeczesz. Poślę umyślnych, żeby usunęli mój dobytek i przygotowali magazyn na twoje przybycie.

„Magazyn” Abbana przypominał jego samego. Był to wielki, brzydki, przysadzisty budynek, którego parter zawalony był maszynami, narzędziami i produktami. Piętra jednak, gdzie Abban mieszkał i pracował, mogły zawstydzić przepychem nawet pałace najbogatszych *Damaji*. Pełno było tam fontann, kolorowych jedwabów, kaszmiru i złota. W oknach wisiały ciężkie zasłony, które mogły pomóc w wykorzystywaniu magii *hora*. Ściany już zostały wzmocnione magią, co było ostatnim darem Asavi, nim wróciła do Lenna, by wziąć udział w zamachu na Ineverę.

Największa komnata, z oknami wychodzącymi na miasto oraz doki, idealnie nadawała się na tron z poduszek, który eunuchy Inevery wносиły już po schodach. Jego ciężka rama została zbudowana z kości bohaterów i *alagai*, a oparcie dla pleców wieńczyły czaszki Andraha Ashana i *Damaji* Aleverana, między którymi znajdowała się czaszka księcia demonów. Tron wzmocniono dziesiątkami runów i powleczone cennym elektrum, w którym osadzono klejnoty.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Tron z poduszek nie był aż tak starożytny i potężny jak prawdziwy Tron z Czaszek, ale dzięki czaszce demona umysłu mógł rozpostrzeć strefę obronną o promieniu mili. Wystarczyło, by osłonić doki oraz większość samego miasta. Żaden demon nie był w stanie rzucić celnie kamieniem na taką odległość.

– Mamy w Dokowisku ponad siedemnaście tysięcy *Sharum* – powiedział Sharu.

Qeran rozwinął przed tronem z poduszek wielki dywan, na którym wyszyto mapę jeziora i jego okolic.

Wzrok Sharu padał co chwila na białą zawój na głowie Sikvah, a jego aura potwierdzała to, co mówiło spojrzenie. Nie dość, że dopiero co musiał się przyzwyczaić do istnienia kobiet równych mu statusem, to teraz spotkał taką, która go przewyższała. Był synem Wybawiciela, ale podobnie jak jego siostra Jarvah nosił jedynie białą zasłonę.

– Siedemdziesięciu trzech *kai'Sharum*, dwa tysiące dwustu sześciu *dal'Sharum*, sześć tysięcy stu siedemdziesięciu *kha'Sharum* i około dziewięciu tysięcy *chi'Sharum* – dodał Qeran i wydobyl z sakiewki precyzyjnie pomalowane figurki, reprezentujące poszczególne grupy wojowników, po czym zaczął rozstawiać je na dywanie wokół Dokowiska. – Do tego dysponujemy flotą trzydziestu dwóch okrętów wojennych, piętnastu handlowych i około sześćdziesięciu mniejszych.

Qeran umieścił niewielkie, malowane figurki okrętów na niebieskiej części jeziora.

– Już rozumiem, dlaczego tak dobrze dogadujesz się z *khaffit*, Mistrzu Ćwiczeń. – Inevera uśmiechnęła się do Qerana.

– Jeśli stanie się wola Everama, mój pan powróci – rzekł Qeran.

Jak dotąd żadne z nich nie powiedziało ani słowa o Ashii. Sharu przypuszczalnie nie miał nawet pojęcia, że jego kuzynka była w Dokowisku.

Inevera pokiwała głową i spojrzała na młodzieńca.

– Ponad połowa twoich wojowników to *chin*. Są lojalni?

– W nocy całkowicie – odpowiedział Qeran, widząc wahanie



Sharu. – A za dnia... Cóż... – Wzruszył ramionami. – Rekruci z Lenna Everama to zupełnie inni ludzie niż poławiacze ryb z Krynicy. Ci nie przepadają za sobą i staną do walki, jeśli dostaną rozkaz, ale żadna ze stron nie pragnie wojny.

– Czy ci... poławiacze ryb mają ludzi, żeby odbić Dokowisko? – spytała Inevera.

Sharu pokręcił głową.

– Dopóty Laktończycy prowadzą blokadę, nie są w stanie zaatakować Dokowiska.

Qeran mimo sztucznej nogi bez trudu podszedł do miejsca, gdzie zaznaczono klasztor Hasika, i ukucnął, by ułożyć kolejne statki, tym razem pomalowane w barwy Lakton.

– Połowa ich floty otacza doki. Myślimy, że planowali najpierw przejąć klasztor, a potem przypuścić atak na nas, ale pojawienie się Hasika pomieszało im szyki. Póki co poławiacze ryb kontrolują wody wokół swojego miasta.

Qeran pokazał przy tych słowach niewielką wyspę na środku jeziora, która składała się z setek powiązanych ze sobą statków, i umieścił wokół niej malutkie modele smukłych, uzbrojonych jednostek.

– Reszta jeziora należy do nas – dodał i rozmieścił okręty ze skrzyżowanymi włócznie Krasji wokół laktońskich. – Nasi korsarze uniemożliwiają poławiaczom ryb ściąganie większych posiłków ze stałego lądu do swojego pływającego miasta. Odkryliśmy ich porty na brzegach i spaliliśmy je wszystkie. Nie mają już dokąd uciec.

– A więc nie pozostawiłeś im praktycznie wyboru – rzekła Sikvah. – Muszą atakować.

– Mieliśmy jedynie odpierać ataki wroga przez zimę i czekać na Jayana – odezwał się Sharu. – Miał wrócić z północy i wypełnić nasze pokłady oddziałami *dal'Sharum*, żeby przypuścić szturm na pływające miasto i zmusić mieszkające tam plemię do ukłęknięcia przed Tronem z Czaszek.

– Przyznajesz się więc do udziału w zdradzie księcia Jayana, kuzynie? – spytał Asukaji.

– A co mieliśmy zrobić? – Sharu wydawał się skory do obrony. – Porzucić posterunek, którego kazał nam strzec pierworodny syn Wybawiciela? A może stać bezczynnie i pozwolić, żeby poławiacze ryb uciekli ze starannie zastawionych sieci?

– Skądże znowu – rzekła Inevera. – Doskonale poradziliście sobie w trudnej sytuacji.

Sharu odetchnął.

– A więc dlaczego...

– ...przybyliśmy do Dokowiska bez wystarczającej liczby żołnierzy, żeby zdobyć miasto na jeziorze? – spytała Inevera. – Ponieważ kości zwiastują mroczny Nów nad Dokowiskiem.

Lęk, który znikł już z aury Sharu, powrócił dziesięciokrotnie potężniejszy. Inevera chciała mu wybaczyć – był młody i niedoświadczony, ale był przecież synem Wybawiciela! Inni wojownicy będą oglądać się na niego i czerpać z niego przykład.

– Będziesz podlegał rozkazom Sharum'ting Ka – powiedziała mu. – Począwszy od tej chwili.

Sharu znów spojrzał na Qerana, ale Mistrz Ćwiczeń wyprostował się i uniósł dłoń.

– Nie patrz na mnie, chłopcze. Ukłoń się przed Damajah i powiedz, że rozumiesz.

Sharu odwrócił się ku Ineverze. Obaj złożyli jej ukłon.

– Jako rzeczesz, Damajah.

Następnie zwrócili się ku Sikvah, która wciąż przyglądała się mapie. Wyjęła złoty sznur i ułożyła na mapie precyzyjny krąg, którym objęła większość zatoki i połowę miasta.

– Tron Damajah otoczy ten rejon barierą magiczną – powiedziała. – Mistrzu Ćwiczeń, przesun swoje okręty tutaj przed Nowiem. Musimy je uchronić przed zniszczeniem.

– Poławiacze ryb wykorzystają okazję i wyślizną się z naszych sieci – zaprotestował Qeran.

– Nic na to nie poradzimy – odparła Sikvah. – Na własne oczy widziałam, do czego zdolne są demony umysłu. Jeśli któryś z książąt Alagai Ka powstanie podczas Nowiu w pobliżu Dokowiska, wodne *alagai* mogą zacząć korzystać z narzędzi.

Zaskoczony Qeran wybałuszył oczy.

– Staniemy się bezradni, gdy zatopią naszą flotę. Wykonam twój rozkaz, Sharum'ting Ka.

– Przed Nowiem trzeba też będzie potroić straż na murach – ciągnęła Sikvah. – Choć trzeba założyć, że upadnie. Wzniesiemy więc drugą linię obrony na skraju bariery.

– Czy jeśli *alagai* dotrą tak daleko, nie zatrzyma ich sama moc tronu? – spytał Sharu.

– Wciąż będą w stanie ciskać głazami albo pociskami zapalającymi – odparł Qeran. – Mogą zniszczyć miasto, w ogóle do niego nie wchodząc.

– Ponadto moc tronu wcale nie jest nieskończona – dodała Inevera. – Nie jest też zasilana przez same demony, co ma miejsce w przypadku zewnętrznych runów. Jeśli uderzy w niego ogromna liczba *alagai*, pole zacznie słabnąć, a demony będą nadal napierać, powoli, acz skutecznie. Wówczas księżę umysłu zorientuje się w sytuacji i spróbuje wykorzystać jakieś słabości.

– Będziemy musieli spowolnić, uwięzić bądź zabić tyle *alagai*, ile to możliwe, zanim dotrą do bariery. – Sikvah przyglądała się fragmentowi mapy między złotym sznurkiem a murami miasta. – Bariera musi bowiem utrzymać swoją moc. Mamy tydzień, żeby zamienić ulice miasta w nowy Labirynt.



– Mamy niski poziom wody – oznajmił Qeran.

Nadszedł Nów i właśnie zapadał zmrok. Inevera wzmocniła obronę miasta najlepiej jak mogła, ale jeśli *alagai* w istocie szykowały się do zmasowanego natarcia, wszelkie przygotowania wydawały się żałośnie nieadekwatne.

Parter magazynu został niemalże całkowicie opróżniony i oczyszczony, a podłogę wyłożono białym suknem. Inevera wraz ze swoimi siostrami-żonami czekała już na przybycie pierwszych

rannych.

Tymczasem Jurima nadal nie było.

– Co? – spytała Damajah. – Co mówiłeś?

Qeran wskazał port przez okno.

– Te znaczniki powinny już znaleźć się pod wodą – rzekł.

– Jeśli *alagai* się przebiją, płycizny będą stanowić naszą przewagę, gdyż łatwiej będzie razić wodne demony. – Inevera obróciła jeden ze swoich kolczyków. – Sikvah, meldunek.

– Mury są przygotowane, Damajah – odpowiedziała natychmiast Sikvah. – *Sharum* mają oko na całą okolicę, a rezerwy czekają, żeby w razie potrzeby wzmocnić wyłom. Labirynt również jest przygotowany. Druga linia obrony na skraju bariery jest gotowa.

– A *alagai*?

– Na razie nie zauważyliśmy żadnego, Damajah – rzekła Sikvah.

– Ale wieczorne mgły są dość gęste. Mogą się właśnie podkradać bliżej. Mogę puścić salwę...

– Na brodę Everama... – szepnął nagle Qeran.

– Poczekaj – rozkazała Inevera.

– Jako rzeczesz, Damajah.

– Musimy uciekać! – oznajmił Qeran.

– Co? – Inevera odwróciła się ku Mistrzowi Ćwiczeń, który znów pokazywał coś za oknem. Tym razem jego palec celował w horyzont.

– Musimy uciekać! I to natychmiast! – krzyknął Qeran.

Inevera skupiła swój wzrok w świetle Everama, które pozwalało jej spojrzeć dalej niż za dnia. Woda ustępowała z zatoki, a cumy trzeszczały, gdy okręty osiadały coraz głębiej, ale gdy przeniosła spojrzenie dalej, ujrzała wzbierającą falę, gotową zmiążdżyć doki niczym dłoń Everama.

Nie protestowała, gdy Qeran z Jarvah poprowadzili ją pospiesznie w stronę drzwi.

– Sikvah! – zawołała, dotknąwszy kolczyka. – Daj rozkaz ewakuacji doków!

– Jako rzeczesz, Damajah.

Gdy dotarła do korytarza, na zewnątrz zaryczały rogi. Qeran machał ku nim i wskazywał schody prowadzące do wyjścia z tyłu

budynku. Inevera odwróciła się ku siostronom-żonom i strażnikom eunuchom.

– Idźcie z Qeranem do centrum miasta.

– A ty? – spytała Qasha. – Dokąd się wybierasz?

– Zbyt długo przebywałyście w moim cieniu, siostry – oznajmiła Inevera. – Tej nocy musicie zabłysnąć same. Idźcie. Szybciej!

– Jako rzeczesz, Damajah.

Qasha, Umshala i Justya ukłoniły się jednocześnie, a potem odwróciły i pomknęły w ślad za eunuchami po schodach.

Inevera natomiast ruszyła na górę. Za swoimi plecami usłyszała wściekle przekleństwo Qerana, ale i Mistrz Ćwiczeń, i Asukaji udali się za nią. Nie opuściła jej również Jarvah, która w milczeniu wysforowała się naprzód, otworzyła drzwi i wysliznęła się na dach, by sprawdzić, czy nie kryje się tam niebezpieczeństwo.

Wiatr był ostry, porywisty. Natychmiast zerwał woalkę z twarzy Inevery, ale kobieta nie miała zamiaru jej poprawiać. Wpatrując się w ogromny, ciemny mur wody rosnący w półmroku wieczoru, uniosła różdżkę.

Gdy prostowała nadgarstek, różdżka wydawała się naturalnym przedłużeniem jej ramienia. Inevera poruszała nią niczym pędzlem, pozostawiając srebrne ślady w powietrzu. Na oczach Qerana, Jarvah i Asukajiego powstawała piramida połączonych runów uderzenia. Fala zbliżała się zbyt potężna, by ją rozbić czy zniszczyć, ale podobnie jak w *sharusahk* można była odwrócić jej impet przeciwko niej. Tworzony kształt rozrósł się, a potem Inevera nasyciła go mocą i pchnęła na nadciągający potop.

Zderzenie rozpędzonej wody i potężnej magii było wprost ogłuszające. Moc Inevery przebiła się przez nadchodzące niebezpieczeństwo równie łatwo, jak ostrze rozcina ludzkie ciało.

Przynajmniej na chwilę. Ściana wody rozbiła się na dwie mniejsze, ale nie zwalniała i nadal gnała na miasto. Choć Inevera władowała w kontratak ogromną ilość mocy – połowę ładunku różdżki – nie mogła powstrzymać milionów litrów. Fala złączyła się na moment przed uderzeniem w doki, lecz na skutek interwencji Damajah wytraciła swój pierwotny impet. Być może dzięki temu

wielu osobom udało się zbiec z doków, ale okręty wraz ze szkieletowymi załogami uległy zagładzie. Nie udało się też ocalić załóg skorpionów Mehnding, które rozstawiono na zewnętrznych pomostach.

Łodzie, które jeszcze chwilę temu opadały wraz z powierzchnią wody, teraz wystrzeliły w powietrze i zderzały się ze sobą z głośnym trzaskiem, rozbijając się w drobny mak. Ich szczątki wraz z nacierającą falą zlały się w niepowstrzymany taran, który przebił się przez doki i wdarł między budynki, rozbijając je jak domki z kart.

Nawet magazyn Abbana się zakołysał, na szczęście budynek miał głębokie fundamenty, wzmocnione magią i runicznym szkłem. Inevera pochyliła się niczym palma targana wiatrem, lecz zdołała utrzymać się na nogach, wpatrzona w zagładę swych okrętów. Książęta *alagai* za jednym zamachem przebili się przez jej runiczną barierę i zniszczyli wszystkie jednostki rozwijającej się dopiero krasjańskiej floty.

Woda strzelała wszędzie dookoła i zalewała dachy, przemaczając wszystkich do suchej nitki.

– Damajah! – Qeran przypadł do kobiety. Nie ośmielił się jej dotknąć, ale ujrzała tę potrzebę w jego aurze. – Musimy stąd natychmiast uciekać!

Inevera pokręciła głową.

– Budynek wytrzyma...

– To bez znaczenia! – Qeran pokazał jej horyzont. Wody już się cofały, by utworzyć kolejną falę. – Zostaniemy uwięzieni! Złapani w sieć wroga!

– Na jaja Everama! – parsknęła Inevera, ale nie traciła już czasu i skoczyła ku schodom. Wszyscy pobrali z mocy *hora*, dzięki której zbiegli po zalanych wodą stopniach z nie ludzką zręcznością i szybkością.

Wtedy kolczyk Inevery zaczął wibrować. Nie przerywając biegu, ustawiła runy w odpowiedniej kolejności.

– Damajah! – usłyszała głos Sikvah, a w tle krzyki wojowników i łoskot gładów. – Demony nacierają na mury!

– Ile?

– Wszystkie! – krzyknęła Sikvah. – Nie odeprzemy ich!

– Powiedz ludziom na murach, że sam Everam na nich patrzy! – rzuciła Inevera. – I ściągnij *Sharum'ting* na rynek. Tam się spotkamy.

Asukaji dotarł na dół jako pierwszy. Rozkołysana woda sięgała mu aż po uda. Drzwi blokowały strzaskane drewniane szczątki oraz białe prześcieradła z wnętrza magazynu, ale młody *dama* uniósł różdżkę i wybił przejście na zewnątrz.

Inevera wypadła na ulice Dokowiska. Mokre purpurowe szaty przylegały do jej ciała, a zasłona na twarz uleciała wraz z wiatrem.

Miasto pogrążyło się w chaosie. Mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy mieli przeczekać bitwę w najbezpieczniejszym miejscu Dokowiska, wpadli w panikę i gnali przed siebie, by znaleźć się możliwie najwyżej. Woda sięgała do kolan, a wartki nurt, niosący szczątki i ciała, co chwila groził upadkiem.

Już tyle ofiar, a przecież słońce dopiero co zaszło...

– Uciekajcie na rynek! – Inevera wykorzystwała runiczny klejnot na gorsie, by wzmocnić głos, który poniósł się echem po ulicach. – Pomagajcie swoim sąsiadom. Nie zabierajcie ze sobą majątku! Everam się nam przygląda! Everam nas osłoni!

A potem pobrała moc. Ludzie i budynki zlewały się ze sobą, gdy gnała naprzód, zostawiając z tyłu spienioną wodę. Obawiała się, czy Qeran zdoła za nią nadążyć, ale nie było ani chwili do stracenia. Skoro Mistrz Ćwiczeń nie mógł nadążyć, będzie musiał znaleźć inny sposób, by dotrzeć na miejsce.

Chwilę później znalazła się na rynku, który już wypełniał się ludźmi. Zatrzymała się przy swoich siostrach-żonach, a zanim mrugnęła okiem, wyrosli przy niej Asukaji, Jarvah i Qeran.

Nie widziała jeszcze Sikvah, ale słyszała ją, gdyż głos dziewczyny wzmocnił runiczny naszyjnik. Śpiewała „Pieśń o Nowiu” na czele pięciuset *Sharum'ting*.

– Śpiewajcie, dzieci Everama! – zagrzmiała Inevera.

Nietrudno było przerażonym, drżącym mieszkańcom Dokowiska, zarówno Krasjanom, jak i *chin*, dać się porwać pieśni Sikvah, którą

śpiewano co noc w Sharik Hora. Ich głosy, z początku niepewne, przybierały na sile, w miarę jak w ludziach rosła desperacka nadzieja.

– Śpiewajcie, bo Nie słucha!

Sikvah zeskoczyła z konia, jej wojowniczkami nie przerywały śpiewu, dając przykład reszcie ludności. Każda z *Sharum'ting* miała brosze wzmacniające głos, nie tak potężne jak te, które nosiły Inevera czy Sikvah, ale wystarczająco silne, by przebić się przez zgiełk.

– Damajah! – Głos Sikvah był spokojny, lecz zdradzała ją aura. Dowodziła po raz pierwszy i od razu poniosła porażkę.

– Mury padły – rzekła Inevera.

– Gdy je opuszczałam, *Sharum* zdołali uporać się z wyłomami – odparła Sikvah – ale wiele *alagai* z każdą chwilą przedziera się przez zewnętrzną barierę. Przypuszczalnie pierwsze dotarły już do Labiryntu.

Inevera pokiwała głową.

– W takim razie ja również się tam udaję – oznajmiła i odwróciła się do swoich siostr-żon. – Weźcie swoje *Sharum'ting* na wschód, zachód i południe. Utrzymajcie Labirynt.

– Tak uczynimy, Damajah – ukłoniły się kobiety i odeszły, prowadząc ze sobą swoje wojowniczkami.

– Ja obejmę północną część Labiryntu – dodała Inevera.

Tam właśnie należało spodziewać się najbardziej intensywnych walk i największych tłumów *alagai*.



Inevera nakreśliła różdżką run w chwili, gdy polny demon odbił się od muru i skoczył na nią.

Nawet różdżka, choć kryła w sobie kość biodrową demona umysłu, nie miała nieskończonej potęgi. Jej moc była już wyczerpana i Inevera ledwie zdołała odtrącić demoni pysk



i przetoczyć się po ziemi tak, by jednocześnie utrzymać *alagai* w zasięgu, ale uniknąć jego szponów. Wyszarpnęła zza pasa zakrzywiony nóż i chlasnęła potwora po miękkim podbrzuszu. Czarna jucha obryzgała jej brudne jedwabie, lecz Inevera bez wahania wbiła różdżkę w ranę, nim magia demona zdołała ją zasklepić. Jej palce przemknęły po runach wyrzeźbionych w kości, po czym ostro pobrała moc.

Patrząc na *alagai* w świetle Everama, miała wrażenie, iż demon został wywrócony na lewą stronę. Magia w jego żyłach została bowiem gwałtownie zassana i częściowo odnowiła potencjał różdżki. Inevera porzuciła drgające na bruku truchło potwora i obróciła się ku kolejnemu, który w tym samym momencie został przeszyty włócznią Qerana. Mistrz Ćwiczeń chronił Damajah swoją lustrzaną tarczą.

Z drugiej strony osłaniała ją Jarvah, która metodycznie, jakby przycinała gałęzie drzewa, odrąbywała ramiona demona torfowego. Potwór splunął na nią, ale Jarvah bez trudu odrzuciła plwocinę tarczą, a ta z sykiem uderzyła w kamienny mur.

Wszędzie dookoła trwała zaciekle bitwa. Oddział *Sharum'ting* zapędził horde *alagai* do zaimprovizowanego demoniego dołu, otoczonego runami niepozwalającymi im się wydostać. Te, które tam wpadły, skazane były na czekanie aż do świtu, chyba że krąg runów zostałby przerwany.

Gruba, uzbrojona w *hora* laska Asukajiego obracała się z furkotem w jego dłoniach i miażdżyła czaszki demonów dzięki runom uderzenia na szerszym końcu. Pięści młodzieńca, chronione runicznymi kastetami, spadały na wrogów niczym uderzenia pioruna. Jakiś drzewny *alagai* wyrwał się *Sharum'ting*, wtedy Asukaji zastąpił mu drogę, nakreślił run w powietrzu i wrzucił go z powrotem do jamy.

Świadoma, że udało się pokonać całą horde, Inevera skupiła się na falach magii w powietrzu, by poznać sytuację w innych miejscach Dokowiska. Przez moment smakowała moc, aż zawołała:

– Tędy!

Wskazała kierunek różdżką. Sikvah, która dosiadała swego

czarnego rumaka, ruszyła obok niej, łącząc swój głos z głosem Jarvah. Ich pieśń wywierała inny wpływ na magię w powietrzu niż runy, ale był on równie potężny. Inevera czuła, jak ją i cały oddział spowija aura niewidzialności.

Większość zalewających miasto demonów należała do pospolitych gatunków i najwyraźniej nie kierowało nimi nic poza morderczymi żądzami. Od czasu do czasu jednak trafiały się *alagai* wyciągnięte z najgłębszych zakamarków Otchłani, starożytne i pełne magii. Dwa takie olbrzymy przebijały się właśnie przez całą kompanię *chi'Sharum* na niewielkim placu przed nimi.

Zamaskowany pieśnią Sikvah oddział Inevery był dla *alagai* niewidzialny do chwili, gdy ta dała sygnał do ataku. Asukaji nakreślił kilka runów i pod stopami demonów eksplodował bruk. Oba potwory zachwiały się, a Sikvah wykorzystwała moment, opuściła długą włócznię i w pełnym galopie wbiła ją w podbrzusze jednemu z nich. Przeprowadzony precyzyjnie atak miał na celu przewrócić *alagai* na ziemię.

W istocie, mierzący dwadzieścia stóp gigant padł na kolano, lecz cios, który mógłby zabić zwykłego skalnego demona, najwyraźniej tylko go rozwścieczył. Sikvah próbowała wyszarpnąć włócznię, ale ta stawiała nieoczekiwany opór. *Alagai* nie zmarnował okazji – zamachnął się i potężnym uderzeniem wyrwał spod *Sharum'ting Ka* konia.

Sikvah zeskoczyła w ostatniej chwili, wylądowała na ziemi, przetoczyła się i poderwała, osłoniwszy się tarczą. W dłoni trzymała już krótką włócznię. Uderzenie serca później rzuciła się do natarcia. Poruszała się tak błyskawicznie, że ludzkie oko nie mogło za nią nadążyć. Uskakiwała przed potężnymi ciosami potwora, kłując go raz za razem szklanym ostrzem. Jej ciosy wywoływały magiczne eksplozje i przeszywały *alagai* spazmami bólu, ale wciąż nie wyrządzały mu większej krzywdy. Wściekłość potwora zdawała się natomiast rosnąć.

Asukaji zaś bombardował drugiego runami uderzenia, aż bestia wreszcie padła, a *chi'Sharum* zarzucili łańcuchy, by spętać jej nogi. Runy jaśniały i strzelały iskrami, gdy potężny demon szarpał

z furją, testując ich moc.

Wtedy do walki rzucili się Jarvah i Sharu. Brat i siostra, działając ramię w ramię, przypadli do *alagai* i zaczęli rąbać go w ogromną pierś. Ten zamachnął się ramieniem i rozrzucił atakujących *Sharum*. Kopał i szarpał nogami, a wojownicy, którzy z desperacją ciągnęli za łańcuchy, padali i przewracali się.

Jarvah i Sharu nie ustawiali, osłaniając się nawzajem tarczami i wymierzając demonowi precyzyjne ciosy.

Podobnie jak w przypadku Sikvah, ich ataki wydawały się nie przynosić większego skutku, aż Sharu zadał ostatnie uderzenie. Run skały wycięty ich ostrzami na piersi *alagai* zapłonął i zaczął pobierać jego moc. Symbol stawał się coraz jaśniejszy, aż linie złąły się ze sobą i pierś bestii eksplodowała.

Ocalali wojownicy rzucili się na ostatniego demona niczym mrówki na łupinę melona, rozrąbując go na kawałki. Inevera zaś podeszła do truchła drugiego, wbiła różdżkę w rozprutą klatkę piersiową i pobrała moc, uzupełniając swój potencjał.

Ramię ją piekło, w dłoni odezwał się ból. Wchłonęła tyle mocy, ile ludzkie ciało mogło przyjąć i przeżyć. Oczy Inevery stały się suche, gardło i nozdrza płonęły, mięśnie jęczały z bólu, ale nie zamierzała przejmować się ograniczeniami.

Nie było na to czasu. Demony torfowe wdzierały się już na ulice, a wszystkie mury padły. Jak długo walczyli? Ile godzin pozostało do świtu? Podczas bitwy lub łowów łatwo było utracić poczucie czasu. Miała wrażenie, że upłynęło wiele dni od chwili, gdy na czele pięciuset śpiewających *Sharum'ting* opuściła rynek. Ba, czuła, że miało to miejsce w innym życiu.

Demonów było zbyt wiele.

Inevera obróciła kolczyk i zawołała do sióstr-żon:

– Wszystkie oddziały mają się wycofać do bariery!

Wiedziała, że rozkaz zostanie przekazany ich *kai'Sharum*. Odezwały się rogi, a w tej samej chwili Sikvah uniosła głowę.

– Trzy oddziały *Sharum* uwięzione w trzecim sektorze! – oznajmiła.

Z głośnym mlaśnięciem Inevera wyciągnęła niemal naładowaną

różdżkę z ciała demona.

– Prowadź.



Ramię Inevery było ciężkie niczym z ołowiu. Różdżka wysysała jej siły witalne, nawet gdy Damajah próbowała ją unieść. Gardło paliło od wykrzykiwania rozkazów, mięśnie płonęły od biegania i walki.

Wojownicy nie znali podobnych objawów. Za każdym razem gdy wbijali runiczną broń w ciało przeciwnika, wlewały się w nich nowe siły, jednak użytkownicy *hora* poświęcali część siebie zawsze, gdy używali mocy.

Asukaji oparł się na swojej lasce. Jego aura była niebezpiecznie ciemna.

– Nie możesz dłużej tak walczyć! – powiedziała do niego. – Korzystaj z laski i kastetów, ale nie kreśl już runów.

– A ty? – spytał Asukaji. – Twoja aura również przygasa, Damajah.

– Zajmuję się tym o wiele dłużej od ciebie, siostrzeńcze! – odparła Inevera, choć czuła, że chłopak ma rację.

– Walcząc wręcz, nie odrzucimy od siebie widma klęski – oznajmił.

W istocie, ich sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Z niewielkiego wzniesienia Inevera widziała strzaskane bramy i napierające hordy *alagai*. Labirynt był utracony, a *alagai* powoli spychały obrońców ku słabnącemu tronowi z poduszek. W zatoce aż kipiało od wodnych demonów.

Niespodziewanie zgiełk bitwy przeciął wyraźny, czysty ryk rogu, a po nim rozległ się narastający łomot. Magia zajaśniała za murem, gdy rząd trzystu pochylnych włóczy wbił się w plecy atakujących bestii.

Nadciągnął Jurim na czele Wilków Everama.



*Dama'ting* nadzorowały zbieranie martwych, ale wciąż bogatych w magię ciał *alagai*, nim spalą je promienie słońca. Zaciągano je do stodół i magazynów, a tam rąbano na kawałki. Jucha zaś była zbierana do kadzi.

Cielska demonów wedle tradycji roztapiano kwasem, a kości wyławiano i przygotowywano do naniesienia runów, ale teraz nie było czasu na podobne zabiegi. Należało jak najszybciej zwiększyć i rozszerzyć osłabioną moc tronu z poduszek. Patroni Runów *Sharum* wykorzystywali zwłoki demonów, by przydać mocy nowym pułapkom w Labiryncie.

Tron mógł odzyskać swoją potęgę bez ludzkiej ingerencji, gdyż potrafił pobierać magię, ale jego rezerwy zostały niemalże wyczerpane i mogłoby upłynąć wiele miesięcy, nim w ten sposób powróciłby do poprzedniego stanu. Inevera zarządziła więc, by zasłonięto wszystkie okna magazynu, a *dama* Asukajiego wykorzystali *hora*, żeby przyspieszyć proces.

*Dama'ting* urządziły nowy szpital w podziemiach spalonego pałacu Jayana. Pracowały tam w całkowitej ciemności, tnąc i zszywając rany w świetle Everama. Maczały palce w demoniej jusze i kreśliły na obrażeniach *Sharum* runy, czym przyspieszały gojenie, które w innych okolicznościach trwałoby jeszcze dłużej niż regeneracja tronu z poduszek.

Inevera uwijała się przy stołach operacyjnych, doradzając siostrom-żonom i osobiście przejmując najtrudniejsze przypadki. Wszystkie kobiety były wyczerpane i pozbawione mocy. Po zakończeniu walk ledwie zdążyły obmyć twarze i założyć świeże szaty, po czym od razu przystąpiły do leczenia rannych.

Damajah próbowała skupić się na pacjentach, ale mimo to kątem oka bez przerwy widziała inne aury. Widziała ciemne aury wykończonych *dama'ting*. Migotliwe aury rannych. Pustkę w miejscu tych, które zgasły na zawsze. Wielu spośród poległych

należało do Włóczni Wybawiciela i przez dwadzieścia pięć lat zabijało *alagai* u boku jej męża.

Wilki Everama również poniosły ciężkie straty. Szarża Jurima na czele trzystu świeżych *dal'Sharum* pomogła obrońcom doczekać świtu. Nacierając z szaleńczą furją, rozpędzili napierające systematycznie demony i pokrzyżowali plany Alagai Ka.

*Alagai* jednak miały powrócić następnej nocy Nowiu. Zewnętrzne linie oporu Dokowiska były już strzaskane, a siły przerzedzone. Nawet jeśli części obrońców udałoby się doczekać świtu, trzecia noc Nowiu przypieczerowałaaby ich klęskę.

Ktoś musnął zawieszono w przejściu grube aksamitne zasłony, niewpuszczające nawet najdrobniejszych promieni słońca do pomieszczenia, w którym *dama'ting* korzystały ze swej magii.

– Mów – rzekła Inevera.

– Damajah, jesteś potrzebna w dokach. – Sikvah wykorzystowała moc naszyjnika, by przekazać swoje słowa prosto do uszu Inevery.

Inevera przekazała pacjenta innej *dama'ting* i przeszła przez zasłony do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie natychmiast ściągnęła z siebie zakrwawione szaty.

– Melduj.

– Przybyli poławiacze ryb – oznajmiła Sikvah, podając jej mydło.

– Na jaja Everama! – Inevera splunęła krwią do zlewu. – Ilu?

Służący przypadli już do niej, by obetrzeć ją do sucha i ubrać w świeże szaty z ciemnoniebieskiego jedwabiu.

– Wszyscy – padła odpowiedź.



Inevera zamrugnęła, oślepiona słonecznym blaskiem, gdy opuściły zaimprovizowaną Komnatę Cieni. Słońce znajdowało się wysoko na niebie i złoćło powierzchnię wody.

Choć tej nie było wiele widać. Wśród szczątków krasjańskich jednostek stały bowiem dziesiątki, setki jednostek laktońskich.

Inevera nie miała pojęcia, że na całym świecie istnieje tyle okrętów.

– Czy kości nie powinny nas przed tym ostrzec? – spytał Asukaji.

– Pewnie by nas ostrzegły, gdyby przyszło mi do głowy, żeby je o to zapytać. Kości same z siebie niczego ci nie zdradzą, siostrzeńcze. Przez ostatni tydzień zasięgałam rady głównie w temacie *alagai* oraz naszej obrony. Działaniami poławiaczy ryb nie przejmowałam się wcale.

Zdradziła mu dużo i osłabiła przekonanie o nieomyślności Damajah, ale chłopak zasłużył sobie na tę lekcję. *Dama* już eksperymentowali z runami jasnowidzenia.

– Nasi wojownicy, choć przetrzebieni i wyczerpani, urządzą im na plaży krwawą łaźnię – powiedziała Sikvah. – Ale poławiacze ryb mają ogromną przewagę liczebną i wkrótce nas zmogą.

Asukaji splunął do wody.

– Jeśli zaatakują nas w chwili, gdy *alagai* osłabiły nasze siły, okażą się nie lepsi od sług Nie!

– Tymczasem dokładnie tym fortem posłużyliśmy się przeciwko nim w bitwie pod Dokowiskiem – odezwał się Qeran. – Zaczekaliśmy, aż przetrzebią ich *alagai*, a potem uderzyliśmy sami. Być może udałoby nam się to powtórzyć. Musimy ich tylko przetrzymać w tej zatoce do zmierzchu, a potem...

– Nie. – Inevera pokręciła głową. – Nie będziemy tego powtarzać. Everam rozliczy cię z tej nocy, gdy wkroczysz na samotną ścieżkę, Mistrzu Ćwiczeń. Lepiej skup się na uczynkach, które to zrównoważą.

Qeran uklęknął i przytknął dłonie do ziemi.

– Jestem gotów na wieczny osąd Everama.

– To dobrze.

Inevera wiedziała, że plan, choć został przeprowadzony przez Qerana, zrodził się w umyśle *khaffit*. Nie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, dlaczego ryzykuje tak wiele dla człowieka tak plugawego.

– Jeśli *chin* zaatakują, porzucimy mokradła i wycofamy się do Lenna Everama – dodała, choć słowa pozostawiły gorzki posmak na jej ustach. – Nie dopuszczę, żebyśmy utracili całą armię w bitwie

o zrujnowane miasto.

Laktończycy jednak nie wysłali swych okrętów, by zaatakować doki. Zamiast tego od ich flotyli oddzieliły się dwa wielkie żaglowce, które podeszły do doków i opuściły łodzie z powiewającymi białymi flagami.



Przemieniony na pałac Inevery magazyn Abbana przetrwał bitwę i trwał teraz niczym samotna wyspa wśród ruin. Parter nadal zalewała woda, ale górne piętra pozostały suche i bezpieczne.

Inevera ułożyła się na poduszkach, zadowolona, że tron ponownie jaśniał mocą. Przeznaczono ogromne ilości *hora*, by odbudować jego potencjał.

Wroga flota wysłała dwóch emisariuszy, mężczyznę i kobietę. Przybyszka była łatwo rozpoznawalna, jej twarz widniała na dziesiątkach plakatów z ceną za jej głowę.

– Kapitan Dehlia we własnej osobie! Jestem zaszczycona, mogąc cię poznać! „Lament Sharum” będzie po wsze czasy opiewany w pieśniach.

Inevera przeniosła spojrzenie na mężczyznę, którego aura płonęła gorącym ogniem. Wykwintne szaty i biżuteria wydawały się mu ciężkie, jakby nie nawykł do ich ciężaru.

– A ty kim jesteś?

Mężczyzna zrobił krok do przodu.

– Jestem księżę Isan z Lakton, wyniesiony do tej godności dzisiaj rano przez radę kapitanów.

– Księżę Reeherd nie żyje? – spytała Inevera.

– Został zabity w nocy – odparł Isan.

– Mój lud ma was, poławiaczy ryb, za tchórzy, ale okazałeś wielką odwagę, przybywając tu osobiście, księżę Isanie. – Inevera skinęła mu z szacunkiem. – Czyżbyś tak bardzo wierzył w swoją przewagę liczebną?



– Musiałem tu przybyć – rzekł Isan. – Musiałem spojrzeć ci w oczy.

– Czyżby? – Inevera uniosła brew.

– Wszak jesteś matką demona z Dokowiska – powiedział książę po krasjańsku. – Matką Jayana asu Ahmann am’Jardir am’Kaji, który wymordował moją rodzinę.

– Isan... – powtórzyła Inevera. Imię było jej skądś znane.

– Isan asu Marten – rzekł książę. – Twój syn zerwał z mojego ojca szaty, rzucił go nagiego na ziemię i kopał jego męskość do chwili, aż zamieniła się w krwawą miazgę. Następnie stracił go na oczach mojej matki i jej dworu. Wówczas stałem się Isanem asu Isadore. Ciało mojego ojca jeszcze nie ostygło, gdy Jayan asu Inevera zmusił moją matkę do podpisania małżeńskiego kontraktu. Wbiła mu pióro w oko. Twój syn wówczas wciągnął jej zmasakrowane zwłoki na maszt flagowy, żeby wszyscy je widzieli. Isanem bratem Marlana też nie byłem długo, bo twój Mistrz Ćwiczeń oblał jego okręt smołą. Wodne demony wciągnęły w głębiny jego i stu innych ludzi.

W aurze Qerana rozlał się wstyd, gdy usłyszał te słowa, ale stał w milczeniu. Inevera podniosła się z poduszek.

– Mój Mistrz Ćwiczeń zgrzeszył wobec Everama, gdy rzucił was na pastwę *alagai* – oznajmiła. – Stwórca go osądzi. – Zaczęła schodzić po stopniach. – Mój syn też popełnił wielkie przestępstwa wobec was, ale Everam również go za nie osądzi. Ba, może nawet czyni to teraz. – Dotarła na poziom podłogi i ruszyła ku Isanowi. Napięcie gęstniało. – Ale to ja nakazałam przeprowadzić atak na wasz lud.

– Żeby zdobyć daninę – stwierdził Isan.

– Żeby zdobyć was – odparła Inevera. – Żeby połączyć nasze siły w bitwie przeciwko Nie.

Stała teraz bardzo blisko. Isan sprawiał wrażenie, jakby chciał się wycofać, lecz nie drgnął ani o krok. Wbił wzrok w jej oczy. Damajah w świetle Everama widziała sztylet, który ukrył pod płaszczem.

– To ja ponoszę pełną odpowiedzialność za to, co stało się tobie

i twoim ludzom. – Inevera rozłożyła ramiona, delikatna i bezbronna w przejrzystych jedwabiach. – Czy pragniesz zemsty tak bardzo, że chcesz zadać pierwszy cios? Chcesz doprowadzić do kolejnego starcia między naszymi narodami, podczas gdy w nocy na ziemię zstępuje Alagai Ka?

W oczach Isana migotała dzikość. Jego ręka drżała, jakby lada chwila chciał porwać za sztylet. Inevera wciąż była w stanie go powstrzymać. Mogła złamać mu nadgarstek, zanim zdołałby wyszarpnąć broń spod płaszcza, ale młody książę najwyraźniej odzyskiwał już panowanie nad sobą i opuścił rękę.

– A więc spojrzalesz mi w oczy, książę Isanie z Lakton – powiedziała Inevera. – I co w nich ujrzalesz?

– Widzę, że nie jesteś otchłańcem – odparł. – Widzę też, że dysponujesz jedynym schronieniem na całym brzegu jeziora na tyle dużym, żeby zapewnić ochronę moim ludzom. Przybyłem więc osobiście, żeby sprawdzić, czy powiedzialesz prawdę i rzeczywiście chcesz do nas dołączyć.

– Everam mi świadkiem, że tak jest – rzekła Inevera. – Omówimy warunki naszego sojuszu w dobrej wierze, ale wiedz, że z zapadnięciem zmroku nasza bariera jest również waszą.

Isan uklonił się sztywno.

– Dziękuję ci... Damajah.

– A teraz opowiedzcie mi, co się wydarzało – poprosiła Inevera.

– Demony były spokojne przez kilka tygodni – odparła Dehlia. – Ale wczoraj po zachodzie słońca głębiny zaczęły się burzyć. W pierwszej chwili wydawało nam się, że to nic szczególnego, ale potem lewiatany niespodziewanie zaczęły wyskakiwać z wody i znów się zanurzać, wywołując falę za falą. Każda kolejna była potężniejsza od poprzedniej, a gdy uświadomiliśmy sobie zagrożenie, było już za późno na jakąkolwiek reakcję. „Lament” pognał ku Dokowisku, ale cóż można było począć przeciwko czemuś takiemu?

– Wyspa została zalana – odgadła Inevera.

– Zatopiona – poprawił ją Isan. – Ale wyspa to tylko niewielka część Lakton. Trzy czwarte miasta to setki zgromadzonych wokół

niej statków, pospinanych linami, trapami i pomostami. Z rozpaczą cięliśmy cumy, uwalniając tyle jednostek, ile mogliśmy, ale gdy uderzyła w nas największa fala, byliśmy w rozsypce.

– Jakie ponieśliście straty? – spytała Inevera.

– A ktoś to może zliczyć? – Isan uniósł dłonie. – Niektóre jednostki mogły pobrać sporo ludzi i odpłynąć, ale wiele statków nie pływało samodzielnie od stu lat! Większość tych, które przetrwały fale, była atakowana przez wodne demony przez resztę nocy.

– Spaliliście nam wszystkie porty – powiedziała Dehlia. – Demony z kolei zniszczyły blokadę i przypuszczalnie zajęły klasztor. Nie mamy dokąd się udać.



## 31

# Zagajnik Hardena

334 ROK PLAGI

Ostatni fort przydrożny padł – oznajmiła Matka Jone.  
Ostatni, pomyślał Ragen.

Dobór słów sugerował, że inne również przeszły do historii, lecz wieści utajono. Od chwili powrotu Ragena z południa nie docierały żadne informacje, nie powrócił też żaden Posłaniec, który zapuścił się w rejon utraconych fortów.

W sali poniósł się szmer wielu rozmów, ale nikt nie odezwał się głośniejsze. Ragen zrobił więc krok do przodu i uklonił się. Euchor westchnął, ale machnął ręką.

– Mów.

– Jego Księżęca Mość udziela głosu hrabiemu Poranka. – Jone uderzyła laską. Gwar przycichł.

– Czy ktoś ocalał? – zapytał Ragen.

– Nikt. – Zaciśnięte mocno usta Euchora uformowały kreskę.

Przydrożne forty odgrywały kluczową rolę w rozciągnięciu wpływów księcia za Rzekę Graniczną. Angiers praktycznie należało do niego, a Krasjanie cofali się na widok jego broni ognistej. Wymarzony tytuł króla Thesy, przez moment tak bliski, znów zaczął się oddalać.

Ragen dobrze przemyślał kolejne słowa:

– Wasza Księżęca Mość, być może należałoby przemyśleć ewakuację Zagajnika Hardena.

– Toż to niedorzeczne! – Hrabia Brayan stanął obok Ragen. – Skoro trakt na południe został zamknięty, Zagajnik Hardena pozostaje największym producentem żywności w Miln, a do zbiorów pozostało jeszcze wiele czasu. Chcesz, żebyśmy po prostu porzucili całą osadę?

– Co jest dla ciebie ważniejsze? Zbiory czy życie mieszkańców? – spytał Ragen. Wiedział, że wielu członków dworu, którzy prowadzili tam inwestycje, bez wahania postawiłoby na zbiory, ale zgodnie z jego oczekiwaniami nikt nie zdobył się na odwagę, by wygłosić tak bezduszną myśl. – Nów nastanie za kilka dni. Jeśli otchłānce przypuszczą szturm na mury, nie odpuszczą również Zagajnikowi. Osada musi zostać ewakuowana.

– Nonsens! – sprzeciwił się Brayan. – Przecież Zagajnik przetrwał tysiąc Nowiów! Runy chroniące osadę są silne!

– Ale nie tak silne jak te, które strzegły fortów Jego Księżęcej Mości – rzekł Ragen. – Załogi złożone z Górskich Włóczni nie miały ze sobą rodzin z dziećmi, nie musiały też chronić zbiorów, a mimo to uległy. Czy Zagajnik ma jakąkolwiek nadzieję?

– A czy my będziemy mieć jakąkolwiek nadzieję, jeśli porzucimy zimowe zapasy? – spytał Brayan. – Poza tym kto przyjmie uchodźców? W osadzie mieszka ponad pięćset dusz, hrabio. Znajdziesz dla nich schronienie w hrabstwie Poranka?

Tresha założyła ramiona. Ragen wiedział, że on sam nie ma prawa wygłaszać takich zapewnień, ale Elissa podeszła bliżej i uszczypnęła matkę. Hrabina wpatrywała się w córkę przez chwilę, a potem zmierzyła całą salę ponurym spojrzeniem.

– Jeśli innymi hrabstwami rządzi chciwość, hrabstwo Poranka

weźmie na siebie ten obowiązek i poczeka na osąd Stwórcy.

– Hrabina Poranka okazuje wielką hojność – oznajmił Euchor. – Choć to przedwczesne działanie. Hrabia Brayan ma rację. Nie możemy porzucić Zagajnika bez walki.

Brayan skrzyżował ręce na piersi i z satysfakcją wpatrywał się w Ragen, który zgrzytnął zębami.

– Wasza Książęca Mość, w istocie wydawać by się mogło, że hrabia Brayan mówi z sensem, ale nie sędzę, żeby ktoś, kto nie zna otchłańców, mógł wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo stanowią podczas Nowiu.

– Zgoda! – Euchor uderzył karwaszem o metalowe oparcie tronu. Po sali poniosło się metaliczne echo. – A więc hrabia Poranka stanie na czele obrony Zagajnika Hardena.

Ragen patrzył to na Euchora, to na Brayana. Miał wrażenie, że wokół niego zatrzasnęła się pułapka. Obaj zaplanowali to zawczasu, a on dał się zwabić.

– Nie jestem żołnierzem, Wasza Książęca Mość.

– Ale jesteś hrabią Poranka – wtrąciła Matka Jone. – A przysięga, którą złożyłeś, zobowiązuje cię, żebyś pochwycił za włócznię, gdy wezwie cię tron.

– Chyba że hrabia zastanawia się, czy zamiast siebie nie wysłać do boju swojej starej teściowej – rzekł Brayan, a jego słowa powitał śmiech.

Ragen uklonił się sztywno.

– Ilu żołnierzy Górskich Włóczni dostanę pod rozkazy?

– Możesz otrzymać dwustu – odparł Euchor.

– Wasza Książęca Mość... – zaczął Ragen.

– Jeśli potrzeba ci więcej wojska, zarządzaj pobór na własnych ziemiach – oznajmił Euchor. – Albo w Zagajniku.

– W rzeczy samej – dodał Brayan. – Skrzyknij wieśniaków, tak jak twój przybrany syn swego czasu zgromadził wokół siebie Angieriańczyków. Ponoć obronił Zakątek Drwali z niecałą setką ludzi.

Ragen nabrał tchu, ciesząc się w duchu, że Yon tego nie słyszy.

– Jak Jego Książęca Mość rozkaże.



Gdy wyszli z pałacu księcia, Yon czekał na nich przy powozie.

– Idę z tobą – rzekła Elissa, gdy powóz ruszył z miejsca.

– Prędzej mnie Otchłań pożre, niż się na to zgodzę – odparł Ragen.

– Potrzebujesz mnie – uparła się Elissa.

– Gdzie ona chce iść? – spytał Yon, ale Ragen zignorował go, wpatrzony w Elisę.

– Miln potrzebuje cię o wiele bardziej! Przecież to dopiero początek! Demony szykują się, żeby oblec miasto. Ktoś musi tu zostać i przygotować obronę!

– Hej! – zawołał Yon. – Czy ktoś może w końcu powiedzieć reszcie, o co tu właściwie chodzi?

– Forty przydrożne zostały zniszczone – wyjaśniła Elissa. – Za trzy dni mamy Nów, a Euchor wysyła Rageną, żeby utrzymał Zagajnik Hardena.

– Utrzymał? – spytał Yon. – Przecież takiego miejsca nie da się utrzymać podczas Nowiu! Trzeba tych ludzi stamtąd zabrać!

Elissa wbiła w męża wściekłe spojrzenie.

– Ani mi się waż tam umierać!

Ragen westchnął.

– A co ja mam ci powiedzieć, Lissa? Nie jestem Stwórcą. Kiedyś nadejdzie dzień mojej śmierci, twojej zresztą również, co nie powinno powstrzymać nas przed tym, żeby żyć, jak należy. Jak dobry człowiek. Mieszkańcy tej osady potrzebują mnie teraz, a hrabstwo Poranka potrzebuje ciebie. Wedle prawa możemy powołać pod broń milicję. Yon i jego Rębacze mogą przeskoczyć...

– Pies na to szczał! – wtrącił Yon. – Nie myśl sobie, że pójdziesz do Zagajnika Hardena bez nas.

– To nie wasza walka, Yon – sprzeciwił się Ragen.

– A właśnie że nasza – parsknął Yon. – To walka nas wszystkich. Wybawiciel sam tak powiedział. Chcecie się wybrać na dno

Otchłani? Proszę bardzo, ale beze mnie i reszty Rębaczy nawet kroku nie zrobicie.

Ragen chciał jeszcze się sprzeczać, ale czuł, że nie odwiedzie tego człowieka od raz powziętej decyzji. Nie mógł też zaprzeczyć, że czułby się bezpieczniej z Siwym Yonem u boku.

– To nie wystarczy – rzekła Elissa. – Nie jesteś w stanie utrzymać Zagajnika z dwiema setkami Górskich Włóczni i niespełna dwoma tuzinami Rębaczy.

– Już wezwałem posiłki – oznajmił Ragen, a powóz po chwili wjechał na dziedziniec ich posiadłości.

Mistrz Gildii Malcum, wciśnięty w zbroję, której nie miał na sobie od dwudziestu lat, stał na czele pięćdziesięciu Posłańców i około setki żołnierzy pracujących przy ochronie karawan. Wszyscy mieli wypolerowane pancerze i długie włócznie z runicznej stali. Nieopodal stał Derek z grupą Patronów Runów. Ci ostatni, bardziej przyzwyczajeni do cichych warsztatów niż zmagani w środku nocy, niezręcznie trzymali broń, ale Ragen wiedział, że ich wkład w obronę będzie o wiele większy niż wojowników, pod warunkiem, że wykonają dobrze swą pracę.

Porucznik Woron czekał z sierżantem Gaimsem.

– Masz pewność, że jesteś na to gotów, człowieku? – spytał Ragen. – Ledwie wróciłeś żywy do Miln.

– Wszyscy żyjemy dzięki tobie – odparł Woron. – Euchor rozkazał, żeby zgłosili się do ciebie sami ochotnicy spośród Górskich Włóczni. Każdy człowiek, którego przyprowadziłeś do domu, pójdzie z tobą.

Ragen rozmawiał z nimi podczas przerw w spotkaniach dworu i spodziewał się ich poparcia.

Nie oczekiwał natomiast, że ujrzy Keerina.

Herold stał jednak na dziedzińcu, otoczony grupką uczniów, którzy próbowali podchwycić skomplikowaną melodię Bezpalcego. Ragen podszedł do nich, na co Keerin ogłosił przerwę w ćwiczeniach.

– Nie mamy wiele czasu na próby, mistrzu.

– Euchor wyrzuci cię, jeśli się dowie.



– Sam złożyłem rezygnację – odparł Keerin. – I idę z tobą.

Ragen poczuł ucisk w gardle. Jeszcze niecały miesiąc temu gardził tym człowiekiem, a teraz? Spojrzał na uczniów, spośród których wielu miało strach w oczach.

– A oni są gotowi?

– Nie mogę ci zagwarantować, że ja sam jestem gotów – oznajmił Minstrel. – Moja żona twierdzi, że mi odbiło. Tymczasem przez piętnaście lat przypisuję sobie czyny Arlena Balesa. Na noc, kazałem nawet moim uczniom, żeby spuścili mu lanie za to, że osmielił się powiedzieć prawdę tłumowi ludzi.

Kilku spośród nich wbiło wzrok w swoje nogi, ale żaden nie zaprzeczył.

– Na trakcie widziałem to, co ty – rzekł Keerin. – Demony nadchodzą. Rozpoczęliśmy to wszystko z chwilą, gdy przyprowadziliśmy Arlena Balesa z Potoku Tibbeta. Zgodnie z zasadami sztuki dobra historia musi mieć dobre zakończenie.

– Nic tu się nie kończy – powiedziała Elissa. – Jeśli uznasz, że nie jesteś w stanie wytrzymać nawet jednej nocy Nowiu, ściągnij tych ludzi do Miln. Niech zjedzą wszystko, co mamy. Nie dbam o to.

– Nie martw się – odparł Ragen. – Nie mam natury męczennika ani też zamiaru ginąć za dumę Euchora.



– Ragen! Derek! – powitał ich Amon z Zagajnika. – Stwórcy niech będą dzięki, że przybyliście! Demony podgryzają nam runy, jakby się czymś naćpały. Połowa ludności wsi jest gotowa brać nogi za pas po tym, co się stało z fortem numer jeden.

Ragen pokiwał głową, ale nie zsiadał z konia. Obracał Nocnego Tancerza to w jedną stronę, to w drugą, przyglądając się okolicy.

– Trzeba będzie się z tym poważnie liczyć, Amonie.

Starzec otworzył szeroko usta.

– Przyprowadziłeś więcej żołnierzy, niż mamy ludzi w całej

osadzie! I twierdzisz, że to za mało?

– Nie wiem. Powiem tylko, że na waszym miejscu spakowałbym wszystko, co potrzebne, bo niewykluczone, że trzeba się będzie stąd wynosić w pośpiechu – odparł Ragen. – Nie bierzcie nic ciężkiego, jedynie ubrania i żywność. Trzeba będzie pokonać drogę do Miln w ciągu jednego dnia.

– Na noc... – westchnął Amon.

– Ale to nie wszystko. – Ragen zsunął się z siodła i wyciągnął z juków mapę. – Zboże dopiero co weszło. Co czyni nasze zadanie nieco łatwiejszym. Wasi oracze będą musieli wyciąć wielkie runy na polach.

Amon pochylił się nad mapą. Zmrużył wodniste oczy, po czym otworzył je szeroko.

– Przecież w ten sposób zniszczymy połowę upraw!

– Wedle naszych rachub dwadzieścia siedem procent – wtrącił Derek.

– Ach, tylko dwadzieścia siedem, tak? – Amon uniósł rękę. – To ci dopiero ulga!

– Jeśli nie poświęcimy tych dwudziestu siedmiu procent, Amonie, wkrótce nie będzie nikogo, kto by mógł to jeść – odezwał się Ragen. – I nie mam też zamiaru ubiegać się o zgodę u rady starszych. Mam dokumenty od Euchora, które upoważniają mnie do zaciągnięcia twoich ludzi pod broń i umocnienia osady, a więc wyświadcz nam obu przysługę i nie utrudniaj niczego, dobrze? Marnujemy tylko światło słoneczne.

Amon spojrzał na Yona i kolumnę żołnierzy.

– Nie sądzę, żebym miał jakikolwiek wybór, co?

– Cieszę się, że doszedłeś do tego wniosku – odparł Ragen.

Równo rozmieszczone runiczne słupy na polach i w sadach stanowiły doskonały punkt wyjścia do stworzenia nowej, silniejszej bariery. Patroni Runów błyskawicznie rozplanowali wielkie runy i zaczęli wydawać polecenia oraczom. Po nich do działania wkroczyli żołnierze Malcuma z łopatami. Wypełniali bruzdy sproszkowanym wapieniem, który tworzył ostry kontrast z ciemną ziemią. Uważali, gdzie stawiali stopy, ale Ragen już wkrótce

wiedział, że straty w uprawach okażą się jednak wyższe.

Porucznik Woron przydzielił Górskim Włóczniom zadanie wykopania rowów po wewnętrznej stronie dalszego płotu, by mogli prowadzić ogień w stosunkowo bezpieczny sposób. Gdyby zostali zmuszeni do ucieczki, wciąż mogli ostrzelać wroga znad niewysokiego ogrodzenia.

Pracowali przez trzy dni, a w nocy zamierali, gotowi na atak demonów, który nie następował.

Czekają na Nów, uzmysłowił sobie Ragen.

Trzecia noc otwierała kolejny cykl i gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, Ragen i Yon wspięli się na wieżę Świętego Domu w Zagajniku, by przyrzeć się systemowi obronnemu. Wielkie runy były precyzyjne i wyraźne. Tworzyły potężną barierę, ale mężczyźni zastanawiali się, czy to wystarczy.

– Znam to uczucie – odezwał się Yon, gdy Ragen niespokojnie chodził to w jedną, to w drugą stronę.

– Naprawdę? – spytał Ragen. – Bo ja nie jestem pewien, czy sam aby je znam.

– A nie czujesz, jakbyś miał jakieś swędzące miejsce, którego nie daje się podrapać? Że boisz się tego, co ma nadejść, ale nie odpuścisz i staniesz jako pierwszy, żeby to powitać?

– Coś w tym jest – przyznał Ragen. – A co zrobimy, jeśli otchłańce nie będą w ogóle zawracać sobie głowy Zagajnikiem Hardena? Co zrobimy, jeśli przypuszczą szturm na bramy Miln, podczas gdy my przeganiamy skrzaty wśród dyń?

Yon wzruszył potężnymi ramionami.

– Takie gadanie to jeszcze nikomu w niczym nie pomogło. Wiem, że się martwisz, ale ludzie teraz na ciebie patrzą. Muszą ujrzeć przykład.

Ragen znów spojrzał w dół, nie na linię obrony, ale na pracujących tam mieszkańców osady, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Wyprostował się, udając, że ma w sobie o wiele więcej pewności siebie, niż czuł.

– Co zrobiłby teraz Arlen?

– Wygłosiłby jedną z tych swoich mów – zachichotał Yon. –

Powiedziałby ludziom, że wszyscy są Wybawicielami, czy jakąś inną bzdurę.

– A ty w to nie wierzysz?

Yon ponownie wzruszył ramionami.

– Bales był skromnym człowiekiem, a ludzie to doceniali. Każdy przecież lubi słuchać o tym, że jego życie ma sens. Że jest do czegoś potrzebny i da sobie radę, bo sam Stwórca tak uważa. Ale istnieje tylko jeden Wybawiciel.

Znikł ostatni promyk słońca. Runy na hełmie Rageny przebudziły się do życia i rozjaśniły noc, dzięki czemu ujrzął powstające demony.

– Wielkie mowy nigdy mi nie wychodziły. – Ragen odwrócił się ku schodom. – Każdy wie, co do niego należy.



– Kryć się! – ryknął Ragen.

Górskie Włócznie rozbiegły się, a młoda adeptka runiarstwa nakreśliła w powietrzu runy uderzenia, który rozbił głaz, nim ten przetoczył się po wielkim runie i naruszył jego integralność. Kilku obrońców nie zdołało odbiec na czas. Padli, zmieceni falą uderzeniową i obsypani szczątkami głazu.

Ragen wiedział, że była to jedyna rzecz, którą dziewczyna mogła w tej sytuacji zrobić, ale ta zamarła w bezruchu, przerażona skutkami swego czynu. Wpatrywała się w poranionych odłamkami mężczyzn ze zgrozą, nieświadoma, że inny demon już wziął ją na cel.

– Cara! – krzyknął Ragen i uniósł pióro, ale nie zdążył. Dziewczyna została zmiażdżona, zanim nakreślił pierwszy run. Patroni stawali się coraz lepsi w wykorzystywaniu *hora*, lecz nadal nie mieli odpowiednio dużo doświadczenia bitewnego.

Wówczas coś uderzyło w Rageny i wybiło mu dech z płuc. Mężczyzna znalazł się na ziemi. Rozległ się świst powietrza, gdy

przemknął nad nim głaz.

Yon puścił Ragena i bez wysiłku podniósł go na równe nogi, choć ten miał na sobie stalową zbroję.

– Może cofnij się z pierwszej linii, co? Demony już się na ciebie uwzięły.

W istocie, ilekroć Ragen się pokazywał, otchłańce najwyraźniej od razu go lokalizowały. Już wiedziały, że należy skupić ostrzał na Patronach Runów, ale nawet Derek nie przyciągał takiej uwagi jak Ragen. Zarzucił więc na siebie runiczny płaszcz i cofnął się powoli za strefę, którą roztaczali Keerin i jego uczniowie przed wewnętrznym murem.

Trzy spośród wielkich runów otaczających Zagajnik zostały już zniszczone. Po rozbiciu jednego otchłańce skupiły się na kolejnych, powoli rozmontowując system obronny osady i otwierając sobie szerokie pole do natarcia. Nie były jeszcze gotowe do zmasowanego ataku – na razie! – ale obrońcy mieli już pełne ręce roboty.

Żołnierze Górskich Włóczni wstrzymali ogień i oszczędzali amunicję do obrony wewnętrznego muru. Połowa z nich założyła bagnety i wsparła walczących w pierwszej linii, a pozostali zajęli pozycje na murze. Walczących uzupełniły też setki mieszkańców osady, którzy porwali za narzędzia rolnicze z malowanymi runami i wykańczali ranne otchłańce.

Magia, która wnikała wówczas w ich ciała, zaczynała już odnosić skutek. Amon, miast wspierać się na swych grabiach, z energią młodzieniaszka zamachnął się nimi na leżącego na ziemi polnego demona. Runy na ich zębach rozerwały otchłańcowi podbrzusze.

Młodszy chłopcy, odurzeni nieznaną im dotychczas mocą, rzucali się coraz śmielej do walki. Ragen kiedyś nazwałby to odwagą, teraz jednak wiedział, że powoduje nimi mieszanina strachu, adrenaliny oraz demonicznej magii. Połączenie, które zabijało ludzi niepotrafiących się z niego otrząsnąć.

Grupę obrońców roztrąciła fala uderzeniowa. Nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń, ale gdy podnosili się na nogi, kilku zeszywniało, po czym niespodziewanie zwróciło się ku towarzyszom. Górskie Włócznie zaczęły strzelać do konnych

Posłańców, a zwykli chłopci podnieśli grabie i motyki na sąsiadów, ludzi, których znali całe życie.

Ragen dostrzegł, że stracili opaski z runami chroniącymi przed interwencją demona umysłu. Rozejrzał się uważnie, ale nigdzie go nie widział. Od samego patrzenia poczuł jednak zawroty głowy, a potem uświadomił sobie, że trudno mu się skupić.

Otrząsnął się, ujął pióro i nakreślił kilka znaków, by przywołać wiatr. Wycelował go prosto w sproszkowany wapień, którym wyłożono rowy nieczynnego już wielkiego runu. Podmuchał kłęby kurzu, pośrodku których pojawił się humanoidalny kształt, nie większy od młodego mężczyzny, z ogromną, bulwiastą głową.

– Demon umysłu! – ryknął Ragen, narysował run lektryki i władował w niego tyle mocy pióra, ile się odważył.

Błyskawica uderzyła celnie i myślak padł na plecy. Strefa kamuflażu, którą się otoczył, znikła, a wtedy Derek i trzech innych Patronów dołączyli do kanonady. Wówczas pojawił się polny demon, który ruszył ku nim, rosnąc z każdym krokiem. Jego łuski grubiały, aż utworzyły twarde pancerz skalniaka. Nachylił się nad swoim panem i osłaniał go od ciosów, a tamten szybko regenerował siły.

– Skoncentrować ostrzał! – krzyknął Ragen.

Na plecach zmiennokształtnego w mig wyrósł las strzał i bełtów, przez co przypominał teraz monstrualnego jeża. Patroni kreślili runy zimna, a pociski Górskich Włóczni rozbijały zamrożony pancerz.

Ragen posłał ostatni run uderzenia, czym pozbawił swoje pióro reszty mocy. Roztrzaskał nim żółwią skorupę, którą utworzył zmiennokształtny, ale było już za późno. Za zwłokami rozszarpanego otchłańca na próżno było szukać jego pana.

Myślak uciekł z pola walki.

Atak otchłańców, który jeszcze chwilę temu miał formę zorganizowanego szturm, w okamgnieniu przeistoczył się w bezmyślną, dziką szarżę, choć demony momentalnie stały się bardziej podatne na muzykę Keerina i jego uczniów.

Dzięki wysiłkom Minstreli wśród potworów zapanowało

zamieszanie, co błyskawicznie wykorzystali Yon, Malcum i Woron. Wojownicy wykonali serię krótkich wypadów za wielkie runy, gdzie zabijali lub kaleczyli odurzone otchłańce.

Zyskali w ten sposób trochę czasu, ale niewiele to dało. Niedługo później demon umysłu doszedł do siebie i w szeregach wroga na powrót pojawiła się dyscyplina. Po godzinie zostali zepchnięci za zewnętrzny mur.

Derek odnalazł Ragen, gdy ten przeszedł przez bramę.

– Odesłałem Patronów na wypoczynek. Nie dają już rady – oznajmił i uniósł pióro drżącymi dłońmi. – My zresztą również.

Ragen pokiwał głową. Sam też czuł pieczenie, które było typowym objawem wykorzystania zbyt wielkiej ilości magii. Wiedział, że za godzinę zacznie się przejaśniać, a wówczas umkną demony umysłu. Po upływie kolejnej znikną również najśmielsze spośród pozostałych.

– Utrzymajcie mur! – krzyknął i nakreślił run, który poniósł jego słowa daleko po osadzie. – Nadchodzi świt! Brońcie swoich domów i rodzin! Walczcie, a wszyscy ujrzymy wschód słońca!

– Skalniak! – wrzasnął jeden z żołnierzy.

Ragen wbiegł po schodach na mur i ujrzał skalnego otchłańca, szykującego się do rzutu. Uniósł pióro, ale poczuł silne zawroty głowy i pomylił runy. Kamień uderzył w bramę, wyginając stal i rozbijając jeden zawias. Skrzydło przechyliło się i zwisło.

Górskie Włócznie otworzyły ogień do szturmujących otchłańców, ale nie były w stanie zatrzymać natarcia.

– Do bramy! – krzyknął Ragen.

Wepchnął pióro do kieszeni pod zbroją, a kilku ludzi podprowadzało już Nocnego Tancerza, do którego siodła przytroczono tarczę i włócznie.

Pojawili się też Keerin i jego uczniowie, ale ich muzyka nie zadziałała na rozszalałe demony, które natarły na osłabioną bramę i samym swoim ciężarem zerwały nadwężone skrzydło. Wówczas Minstrele zagrali ostre, chaotyczne dźwięki, które wprowadziły zamieszanie wśród otchłańców. obrońcy wykorzystali chwilę i rzucili się do szarży.

Ragen podczas bitwy stracił poczucie czasu. Na grzbiecie Nocnego Tancerza prowadził ludzi wszędzie tam, gdzie doszło do kolejnego wyłomu. Niebo już jaśniało, kiedy zostali zmuszeni do cofnięcia się z muru na rynek, gdzie runy dalej trzymały. Muzyka Minstrelki na tak niewielkiej przestrzeni była ogłuszająca, a demony, tłoczące się między poznaczonymi runami ścianami budynków, stanowiły łatwe cele.

Wtedy jednak jakiś skalniak poderwał kawał gruzu i rzucił, trafiając Rageną prosto w pierś. Zbroja wytrzymała, ale mężczyzna spadł na ziemię, a wtedy przeszył go ból wybitego ramienia.

W uszach dalej mu dzwoniło, gdy próbował się podnieść. Ogromny rumak stanął dęba, zasłaniając człowieka własnym ciałem.

A chwilę później Ragen usłyszał odgłos, który wydał mu się najpiękniejszy na świecie.

Pianie koguta.

Nadszedł świt.



Ragen z całej siły zacisnął zęby na skórzanej rękawicy. Malcum i Derek złapali go mocno, a wówczas Yon ujął ramię Rageną i szarpnął nim bez litości. Staw wskoczył na miejsce.

Ragen wypluł rękawicę, która pozostawiła mu w ustach smak oleju, krwi, potu i juchy.

– Na noc, Yon! Ile czasu upłynęło od twojego szkolenia u Zielarki?

Rębacz wzruszył ramionami.

– Szkolenia? Nigdy nie było żadnego szkolenia. Dorastając w domu pełnym chłopaków, człowiek zawsze nauczy się tego i owego o kościach.

– Na Stwórcę – jęknął Ragen.

– Dobrze, że go mamy – oznajmił Malcum. – Miejscowa Zielarka



i jej uczennice mają teraz ręce pełne roboty.

– Kiedy możemy wyruszyć w drogę? – spytał Ragen. – Nie ma ani chwili do stracenia.

Posłaniec na wierzchowcu mógł opuścić Zagajnik o świcie i dotrzeć do Miln na obiad, ale mieszkańcy osady byli wyczerpani, niekiedy ranni i w większości bez koni. Mieliby sporo szczęścia, jeśli zdołaliby dotrzeć do miasta przez zapadnięciem zmroku.

– Ładujemy rannych na wozy – rzekł Malcum. – Dasz radę jechać konno?

– Pewno. – Ragen skinął głową.

– No, to mi się podoba – oznajmił Malcum. – Ten potwór, na którym jeździsz, wygląda na świeżego i wypoczętego. Jeśli go ostro popędzisz, wrócisz...

– Nie – zaprotestował Ragen. – Nie zostawię tych ludzi na trakcie. Nocny Tancerz nie jest jedynym rumakiem, który aż kipi mocą od tratowania demonów. Wybierz dwóch Posłańców. Niech jeden gna galopem do Euchora, a drugi do Elissy. Przekaż im, że opuszczamy Zagajnik.



Ragen prowadził obdartą procesję po trakcie. Uchodźcy nie zabrali ze sobą niewiele więcej niż wodę i ubrania na siebie. Za plecami zostawiali osadę, która była im domem od wielu pokoleń, zdeptaną, zniszczoną, płonąca.

Małe dzieci i starsi, którzy nie mogli nadążyć, znajdowali sobie miejsce na wozach z rannymi. Ragen narzucił ostre tempo, ale miasto ujrzeli dopiero tuż przed zmierzchem.

Mury Miln przetrwały szturm, jednak tu i ówdzie zostały nadwerężone, a u ich nasady piętrzył się gruz. Patroni Runów opuszczali się na linach i naprawiali uszkodzone symbole. W powietrzu unosił się smród otchłańców, które porzucono, by spłonęły na słońcu.

Pomimo odległości Ragen usłyszał wieczorny dzwon. Odwrócił się ku znużonym uchodźcom.

– Na jednej nodze! – rozkazał. – Nie będą na nas długo czekać! Nadciąga noc!



– Zamykamy bramy! – zawołał strażnik na murze, gdy Ragen wjechał do miasta na czele uchodźców z Zagajnika.

– Tylko spróbuj zatrzasnąć im bramę przed nosem, a sam polecisz za mur! – ryknął Ragen.

Strumień uciekinierów wlewał się do miasta, lecz kolumna ciągnęła się jeszcze daleko wzdłuż traktu. Tymczasem niebo szybko ciemniało.

– To rozkaz księcia, hrabio! – oznajmił strażnik.

Ragen splunął. Najwolniejsi i najbardziej bezbronni z mieszkańców Zagajnika znajdowali się na tyłach kolumny, a w bramie panował teraz taki ścisk, że nie byłby w stanie przedrzeć się na grzbiecie rumaka, by przynieść komuś pomoc. Mógł to natomiast zrobić pieszo. Zsuwając się z siodła, nie pamiętał o swoich obrażeniach. Ramię nagle eksplodowało bólem.

Spadłby na ziemię, gdyby nie przytrzymało go ogromne ramię Yona.

– Spokojnie – burknął wojownik. – Uważaj na siebie.

– Zabierzcie mieszkańców osady do mojej rezydencji – przykazał Ragen Derekowi i Yonowi. – Będzie ciasno, ale jakoś doczekamy poranka i wtedy się zastanowimy, co dalej.

– A ty niby gdzie się wybierasz? – spytał Yon.

– Idę im pomóc.

– Z tym ramieniem nie na wiele się przydasz – stwierdził Rębacz.

– Może nie – zgodził się Ragen. – Ale na widok hrabiego Poranka przed murami strażnicy na blankach może się zastanowić, zanim

zamkną bramy.

Ragen przepchnął się przez tłum. Strażnicy usiłowali go zatrzymać, ale Yon rozpedził ich jak dzieci.

Wśród uchodźców na zewnątrz pojawiła się już panika. Konni żołnierze, Posłańcy Malcuma, Patroni Runów Dereka i Górskie Włócznie Worona przejechali przodem, zabierając tyle kobiet i dzieci, ile mogli. Przeładowane wozy, które nie zostały wcale zbudowane z myślą o długich podróżach, wlekły się w ślimaczym tempie. Jakaś zabiedzona klacz, samotnie ciągnąca wóz z rannymi, padła, tworząc kolejny zator.

Yon przeciął uprząż, a potem opuścił topór na łeb nieszczęsnego zwierzęcia, skracając jego cierpienia. Zaplótł rzemienie wokół ramion, a potem, w co trudno było uwierzyć, pociągnął wóz ku bramie.

Ragen uwijał się wzdłuż kolumny, popędzając ludzi najlepiej jak umiał. Wtedy dostrzegł starca, który leżał na drodze, a jakiś chłopiec, nie więcej niż sześćioletni, ciągnął go za rękę i błagał, by się podniósł.

– Uciekaj! – przykazał mu staruszek. – W środku znajdziesz mamę i siostry.

– Nie ma mowy, siwobrody – oznajmił Ragen. – Nie zostawimy tu nikogo.

– Skręciłem kostkę – powiedział starzec. – Zabierz mojego wnuczka do środka, błagam!

Ragen zmarszczył brwi i spojrzał na dziecko. Nie mógł jednocześnie nieść chłopca i prowadzić starca – osłabione ramię nie pozwoliłoby mu na tak wielki wysiłek. Ukucnął więc i zwrócił się do dzieciaka, próbując mówić tak jak mieszkaniak Zagajnika:

– Wskakuj mi na plecy, młody! I to gibko! Jak wiewiórka!

– Ale nie zostawię dziadka! – krzyknął chłopiec.

– Ja też nie, ale jeśli nie będziesz mnie słuchał, zaraz zostaniemy pożarci! – warknął Ragen.

Chłopiec wspiął się mu na plecy, a wtedy Ragen nachylił się i wsunął zdrowe ramię pod pachę starca.

– Ja chyba... – zaczął siwobrody.

– Cicho bądź i wstawaj! – przerwał mu Ragen tym samym tonem, którym przed chwilą zwrócił się do dzieciaka. Zadziało i Ragen podniósł się ze stęknieniem, dźwigając obu.

– Auu! – krzyknął staruszek i skrzywił się, zrobiwszy pierwszy krok.

– Chcesz się przewrócić na ziemię, to zaczekaj, aż znajdziemy się w mieście – ofuknął go Ragen.

Inni skoczyli im na pomoc, ale słońce zniknęło już za horyzontem. Tylko patrzeć, jak pojawią się pierwsze strużki mgły. Hrabia spojrział na bramę, jego ludzie, których wsparli Woron z Góorskimi Włóczykami, przytrzymały otwarte wrota i wpuszczali ostatnich uciekinierów.

Wokół gęstniała mgła.

– Szybciej! – wrzasnął Ragen.

Przerażenie dodało mu sił. Biegł niezgrabnie naprzód, niemalże wlokąc starca za sobą, aż przypadli do niego Cal i Nona Rębacze. Cal zerwał mu dziecko z pleców, a Nona zarzuciła sobie starca na ramię, jakby był workiem jabłek.

Strażnicy na murach dęli w rogi i usiłowali zatrzaskać bramy. Ragen zerknął za siebie – pomniejsze otchłańce były już niemal w pełni uformowane. Dostrzegł pierwsze ogniste i polne, które gnały ku bramom. Wyciągnął pióro z ukrytej kieszeni pod zbroją i zatrzymał się, by pośpiesznie nakreślić serię runów w powietrzu.

Po raz pierwszy sięgnął po magię tej nocy, a ta rozlała się po jego skórze niczym wrząca woda. Zacisnął zęby i władował w runy pełną moc, wiedząc, że zależy od tego życie wielu ludzi.

Demony odbiły się od bariery niczym od skalnego muru. Ragen wiedział, że bariera nie wytrzyma długo, ale zyskał w ten sposób wystarczająco dużo czasu, by wprowadzić za bramę ostatnich uciekinierów z Zagajnika i zatrzaskać za nimi potężne wrota.

Posłał maruderów w ślad za pozostałymi, a sam wspinał się na mury wraz z Woronem, Gaimsem i Yonem. Widok nie był pokrzepiający. Skalne demony, w pełni już uformowane, szperały po okolicy w poszukiwaniu odpowiednio wielkich głazów do rzucania. Kamienne mury miasta wzmocnione były runami, ale ich

wytrzymałość musiała się kiedyś skończyć. Nieustanne bombardowanie z pewnością doprowadzi do osłabienia.

Górskie Włócznie nie dały jednak otchłāńcom żadnych szans. Zbliżając się, by wykonać rzut, demony wchodziły w zasięg ciężkich dział na blankach. Żelazne kule armatnie zostały wzmocnione runami. Ragen widział, jak jedna z nich przebija pierś skalniaka i przewraca go na plecy. Potwór już się nie poruszył.

Mężczyzna przeniósł wzrok na stosy amunicji. Widok nie napawał optymizmem – nie dość, że nie były wysokie, to jeszcze niektóre kule, osmolone, pokruszone i sfatygowane, przypuszczalnie zostały odzyskane po bitwie zeszłej nocy.

Inny skalny demon uniósł ramiona do rzutu, a obsada działa tym razem nie zdążyła dobrze wycelować i pocisk chybił. Ragen odczekał i ostrożnie wyrysował run uderzenia. Przekazał w niego tylko tyle mocy, by wytrącić bestii głaz z łap, lecz mimo to paląca magia przeszła Rageną jak błyskawica.

Demon zatoczył się, po czym odwrócił, by podnieść pocisk, ale załoga kolejnego działa miała mnóstwo czasu, by wpakować mu w plecy dwunastofuntową runiczną kulę.

Wciąż nadciągały kolejne hordy otchłāńców, których liczba wielokrotnie przekraczała te, które oblegały Zagajnik Hardena. Ragen odwrócił się do Yona.

– Wracajmy do posiadłości.

Nocny Tancerz i ogromny mustang Yona bez trudu dognały uchodźców. Powstające otchłāńce nie były w stanie przebić się przez bruk, a runy na dachach tworzyły skuteczną barierę przeciwko demonom wichrowym. Powinni więc być bezpieczni na ulicach, a mimo to niespodziewanie ze wszystkich stron poniósł się ryk rogów.

– Co się dzieje? – spytał Yon.

– Demony w mieście – odparł Ragen.

– Jak to możliwe? – spytał Gaims. – Przecież dopiero co zeszliśmy z muru, a ten trzymał!

– Nie wiem! – odrzekł Ragen. – Ale bądźcie w pogotowiu!

Woron pokiwał głową i wykrzyknął kilka rozkazów. Jego ludzie

byli równie wyczerpani jak uciekinierzy z osady, a ponadto nie mieli już amunicji. Gdyby doszło do konfrontacji, mogliby liczyć jedynie na bagnety i własne mięśnie.

Odzywało się coraz więcej rogów, rozbłyskiwała też magia w miejscach, gdzie demony próbowały się przebić przez bariery pojedynczych domostw.

– Na mrok nocy, co tu się... – zaczął Ragen, ale nie zdołał dokończyć, ponieważ spory fragment ulicy przed nimi zapadł się nieoczekiwanie. Uciekinierzy oraz żołnierze runęli w dół wraz z brukiem, zaprawą i ziemią, a Ragen, Yon i Woron szarpnęli za wodze w ostatniej chwili. Ich rumaki stawały dęba i cofały się w przestachu, ale uniknęły upadku.

W jamie zaroilo się od otchłańców, które przypadały do zaskoczonych, bezbronnych ludzi i rozdzierały ich na strzępy.

– Przedarli się przez stary system ściekowy! – wrzasnął Ragen.

– To on nie jest zasypyany i zabezpieczony runami? – spytał Woron.

– Tak się stało po tym, jak demony już raz próbowały się tamtędy przedrzeć! – odkrzyknął Ragen. – Czyli albo Euchor skąpi na naprawy, albo demony umysłu znalazły lukę.

Derek i Malcum znajdowali się po drugiej stronie jamy wraz z większą częścią uchodźców.

– Idźcie naprzód! – zawołał Ragen. – Dogonimy was!

Demony zaczęły się wyłaniać z dziury. Hrabia ściągnął mocno wodze Tancerza i skręcił w boczną uliczkę, by objechać zagrożenie i dołączyć do grupy Dereka, ale tam natknął się na kolejną dziurę i wylewające się z niej otchłańce.

Ragen owinął wodze wokół dłoni rannego ramienia w nadziei, że Tancerz będzie reagować na ruchy kolan. Dobył pióra i wyrysował runy, by stworzyć tymczasową barierę na dnie jamy. Od wysiłku zakręciło mu się w głowie, uderzył Nocnego Tancerza piętami w boki, a rumak runął naprzód, tratując runicznymi kopytami dwa polne demony.

Otchłańce próbowały już wdzierać się do poszczególnych budynków, ale Gildia Rageny dobrze wykonała swoją pracę. Bez

pomocy demonów skalnych i drzewnych, które były zbyt duże, by prześliznąć się kanałami, nie miały szans na rozbicie ścian czy drzwi. Nikomu jednak nie przyniosło to ulgi, gdyż otchłańce, uświadomiwszy sobie próżność własnych działań, rzuciły się w ślad za łatwiejszą zdobyczą – uchodźcami z Zagajnika, którzy gnali w górę ulicy ku bezpiecznym murom posiadłości Rageny.

Prawdziwą pociechą okazało się to, że nigdzie dookoła nie było widać demona umysłu.

Otchłańcami kierowała bowiem dzika, niekontrolowana żądza krwi, a nie zimne wyrachowanie. Wyglądało na to, że książęta nie chcą na razie ryzykować, dopóki miasto nadal dysponuje wieloma liniami obrony.

Pojawił się oddział Górskich Włóczy. Pierwszy szereg wystrzelił i cofnął się, by przeładować broń, a wówczas otworzył ogień drugi. Pociski pozbawione mocy runów zabiły kilka demonów, ale kanonada wydawała się przynosić więcej szkody niż pożytku. Strzelcy nie mieli doświadczenia ludzi Worona i nie celowali w vitalne części ciała otchłańców, przez co zamiast je ranić, potęgowali jedynie ich wściekłość. Co więcej, kilka przypadkowych kul trafiło uciekających ludzi.

– Celować w łby i korpusy! – huknął Woron.

Skinął na swoich ludzi, którzy skoczyli naprzód i zaczęli dobijać ranne demony bagnietami, nim te zdążyły zaleczyć rany.

Niemniej palba doprowadziła już otchłańce do szaleństwa, a żołnierze Górskich Włóczy byli całkowicie nieprzygotowani na tak wielką dzikość. Nosili hełmy, lecz nie mieli już zbroi, zdawałoby się, niepotrzebnych i wręcz przestarzałych przy nowoczesnej broni, jaką dzierżyli. Ich błękitno-szare mundury wnet zalała krew.

Demony polne i ogniste wbiegały po ścianach, pluły ogniem i wskakiwały w największą ciżbę. Żołnierze nie zdążyli nawet nałożyć bagnietów i byli niemalże bezbronni wobec pazurów i kłów. Cofali się, wrzeszcząc. Jeden z nich stracił nogę, która pozostała w kłach którejs bestii, a inny stanął w płomieniach. Intensywny demoniczny ogień doprowadził do eksplozji amunicji w jego ładownicy – obaj padli na ziemię, ale poderwał się już tylko

otchłaniec.

Ragen poświęcił chwilę na wyrysowanie runu wilgoci i pchnął go prosto na demona. Zakręciło mu się w głowie, a żołądkiem targnęły torsje, ale warto było – spod łusek potwora buchnęła sycząca para, gdy magia zassała wodę z powietrza dookoła. Ragen kopnął końskie boki i pognął naprzód, zostawiając za sobą wijącego się, wrzeszczącego demona.

Gnali bocznymi uliczkami, chcąc dogonić uchodźców prowadzonych przez Dereka, aż dostrzegli konnych Posłańców, którzy przeprowadzali mieszkańców Zagajnika przez najgroźniejsze odcinki zapadniętych ulic. Keerin otaczał całą grupę magiczną aurą swej muzyki. Wiele z mijanych budynków zostało nadwerężonych podczas walk i pogrążone w szale demony szukały luk w barierach.

Z pobliskiego domu wybiegła para wrzeszczących ludzi. Mężczyzna i kobieta dźwigali po jednym dziecku, a na pięty następowała im zgraja polniaków.

– Yon! – krzyknął Ragen.

– Robi się! – huknął Yon i spał konia.

Wraz z Calem i Larym przebili się przez watahę, a przerażeni uciekinierzy dołączyli do reszty.

Walka nie ustawała, lecz Ragen wreszcie ujrzał mury otaczające posiadłość. Demony usiłowały się przez nie przebić, ale potężne runy nie dawały im żadnych szans. Ragen, choć zmierzał na samym końcu procesji, dojrzał jaśniejącą magią Elisę na szczycie murów. Kreśliła srebrne znaki w powietrzu za pomocą pióra, torując uciekinierom drogę.

Bramy rozchyliły się i na zewnątrz wypadli służący Ragen, uzbrojeni w długie runiczne włócznie. Przybrali postawę obronną i celnymi dźgnięciami odpychali demony na boki, osłaniając uciekinierów, którzy wbiegali na dziedziniec.

Uchodźcy z Zagajnika, Posłańcy, Patroni Runów oraz żołnierze niebawem wypełnili każdy cal przestrzeni, ale słysząc głośny szcęk zamykanych bram, uzmysłowili sobie, że wreszcie są bezpieczni.



Ragen pozwolił sobie wówczas na upadek z konia.



– Ciągłe nadchodzą! – krzyknął jeden ze strażników na murach.

Ragen potrząsnął głową, żeby odegnać oślepiające go mroczki i wreszcie się podnieść. Elissa, zajęta kreśleniem runów leczniczych, zmusiła go, by znów się położył.

– To kiepski moment, żeby mnie rozpieszcząć, Liss – powiedział Ragen. – Ja mam...

– Ty masz leżeć i dochodzić do siebie. Na razie do niczego się nie nadajesz.

Ragen nie miał najmniejszej ochoty zgodzić się z żoną, lecz musiał przyznać, że się nie myliła. W głowie mu się kręciło, mięśnie płonęły bólem, co było odpowiedzią na zbyt częste sięganie po magię. Mimo to próbował protestować:

– Runy mogą nie wytrzymać takiego naporu! Jeśli demonom uda się zawalić ulicę na zewnątrz...

Elissa popchnęła Rageną ku ziemi. Była nasycona magią i poddał się jej jak dziecko.

– Ja się tym zajmę – oznajmiła i zawołała Margrit. – Przynieś prześcieradła! Wszystkie, jakie znajdziesz! Im bielsze, tym lepsze!

Polecenie było dziwne, choć Ragen nie miał pojęcia, co się za nim kryło. Elissa zaś nakreśliła piórem run dźwięku i stokrotnie spotęgowała swój głos.

– Wszyscy patrzcie pod nogi! Nie deptajcie po wymalowanych liniach na ziemi! Jeśli stoicie na pomalowanym odcinku, podnieście ręce. Jeśli nie, siadajcie, gdzie stoicie!

Przerażeni uchodźcy ani myśleli kwestionować polecenia i wielki run wymalowany na bruku znów odzyskał kształt. Elissa i Patroni chodzili po dziedzińcu i przesuwali ludzi na miejsce, aż wielki run znów zamigotał, wracając do życia. Z rezydencji wypadli służący, niosąc prześcieradła.

– Ci spośród was, którzy stoją, niech łapią prześcieradła i trzymają je nad głową! – zawołała Elissa.

Wielki run rozjarzył się błyskawicznie, pobierając magię i rozjaśniając aurę wszystkich ludzi, którzy stali wzdłuż jego linii. Zmęczenie opuściło ich w mgnieniu oka, a na zewnątrz demony wyły z furją, spychane przez coraz silniejszą barierę, aż zrezygnowały z ataku i wyruszyły na poszukiwanie łatwiejszej zdobyczy.



## 32

# Śnieżycą i wstrząsy

334 ROK PLAGI

**R**agen ponownie został wyrwany z mroku, choć tym razem delikatnym szarpnięciem. Otworzył oczy i ujrzał Elisę, skąpaną w blasku świtu. Uśmiechnął się pomimo nieubłaganego bólu głowy.

– Jak długo?

– Spałeś całą noc, mój drogi. – Elissa wyciągnęła rękę i pogładziła męża po brodzie. – Żałuję, że nie możesz pospać dłużej, ale zostaliśmy wezwani na dwór.

Mięśnie Rageną nadal były sztywne i obolałe, lecz zdołał jakoś wytoczyć się z łóżka i stanąć na nogi. Wciąż miał na sobie watowany kaftan i skórzane nogawice, które nosił pod zbroją, cuchnące potem i krwią.

– Mamy czas na kąpiel?

– Obawiam się, że nie ma wody – odparła Elissa. – Uchodźcy

zjedli już wszystko, co mieliśmy w spiżarniach, i wysączyli studnię do ostatniej kropli.

– Oni naprawdę nie mieli dokąd się udać, Liss.

Elissa położyła delikatną dłoń na policzku Ragena i pocałowała go.

– Przecież to rozumiem. Postąpiłeś, jak należy, ale nie możemy bez wsparcia z zewnątrz zapewnić pomocy tak wielu ludziom.

– Możemy przetrwać kolejną noc, jeśli będzie trzeba – rzekł Ragen. – Nawet bez jedzenia, wody i kąpieli.

Elissa pokiwała głową i pokazała mu niewielką tacę przy drzwiach.

– Margrit na szczęście udało się ocalić coś dla nas.

Ragen usiadł przed tacą, napił się wody prosto z dzbana i wepchnął sobie kawałek chleba do ust. Odwrócił się i zobaczył, że Elissa zmierza ku drzwiom.

– Dokąd się wybierasz?

– Euchor nakazał, żeby Rada Matek zbierała się poza jego dworem – odparła. – Żeby po nadejściu zmroku wszyscy nie zostali uwięzieni w tym samym miejscu.

– Czyli gdzie?

– W posiadłości hrabiego Brayana.



Derek i Malcum czekali na dziedzińcu twierdzy Euchora, gdy przybyli Ragen z Yonem.

– Nie pozwolą mi nawet się z nią spotkać! – warknął Derek. – Z moją własną żoną, na Otchłań! Z moim synem! Niech ich szlag! Brayan zatrzaskał się na cztery spusty! Prędzej bym się wdarł do dupska Matki Jone niż do jego twierdzy!

Pozostali rozejrzeli się, ale najwyraźniej nikt ich nie usłyszał. Ragen, zasłonięty przez Yona i Malcum, pochylił się do chłopaka i rzekł:

– Bądź ciszej. Wiem, że się martwisz o rodzinę. Ja na twoim miejscu zachowywałbym się tak samo, ale póki co nic na to nie poradzimy. Mury Brayana należą do najmocniejszych w Miln. Stasy jest więc bezpieczna, a Elissa zmierza tam właśnie na spotkanie Rady Matek. Odnajdzie Stasy i upewni się, czy jej i Jefowi nic nie jest.

Derek skrzywił się, lecz nie odezwał się już ani słowem i skinął z trudem głową. Ragen klepnął go po ramieniu.

Euchor, co nie było dla niego typowe, wyprosił z sali tronowej wszystkich poza najpotężniejszymi lordami i mistrzami Gildii, którzy zasiadali teraz dookoła jego niewielkiego stołu.

– Hrabio! – burknął na widok Ragen a i Dereka, którzy również zajęli miejsca. – Twój... asystent może zaczekać na zewnątrz.

– Wyznaczyłem Dereka na zastępcę mistrza Gildii – oznajmił Ragen. – Będzie dziś koordynował pracę Patronów w całym mieście, a więc powinien bezpośrednio otrzymać wszelkie rozkazy.

– Zaraz, powoli! – wykrzyknął Vincin. – Nie możesz...

– Mogę, a sprawa została przesądzona. – Ragen wyjął zwój pełen podpisów. – Skoro nie zgodziłeś się zwołać wszystkich mistrzów na spotkanie, ci zagłosowali bez ciebie. Zostałem przywrócony na stanowisko mistrza Gildii Runicznej.

Vincin odwrócił się ku Euchorowi.

– Wasza Książęca Mość! Ten człowiek powinien zostać zakuty w kajdany, a nie dowodzić obroną miasta! Żołnierze mówią, że zeszłej nocy o mało nie wpuścił otchłańców za bramy!

– A gdzie ty byłeś w nocy? – spytał Ragen. – Zamknąłeś się we własnej rezydencji, podczas gdy ja walczyłem z demonami na ulicach!

– Dość tego! – Euchor rąbnął pięścią w stół. – Gildia podjęła decyzję, Vincinie. Od tej pory nie wolno ci nawet zamerdać bródką, jeśli mistrz nie wyda ci polecenia.

Oszołomiony Vincin rozdziawił usta. Ragen wiedział, że powinien się z tego ucieszyć, ale widok zaskoczonego uzurpatora nie sprawił mu przyjemności. Jeśli miasto miało przetrwać kolejną noc, wszyscy Patroni Runów powinni się zjednoczyć.

– Choć Vincin też ma trochę racji, Ragenie – odezwał się Euchor.  
– Naraziłeś wczoraj całe miasto dla garstki wieśniaków.

– Dla siedmiu setek ludzi, w tym Patronów, Posłańców i wielu żołnierzy Górskich Włóczy Jego Książęcej Mości – odparł Ragen. – A jakie to ma znaczenie, skoro demony i tak się wdarły przez kanały?

Hrabia Brayan otworzył usta, Euchor uciszył go machnięciem dłoni.

– Zajmiemy się tym problemem kiedy indziej. Ten cały Nów... będzie też dzisiejszej nocy?

– Tak, a niewykluczone, że dłużej – rzekł Ragen. – Demony umysłu powstają tylko podczas Nowiu, ale zmiennokształtni, ich generałowie, najwyraźniej nie mają takich ograniczeń. Zaatakują, gdy znajdziemy się w najgorszej sytuacji, i nie przestaną rozbijać naszych umocnień.

Euchor rozparł się i splótł palce.

– A możemy zawalić kanały? I zablokować im dostęp?

– W śródmieściu być może tak – rzekł Brayan. – Lecz zużylibyśmy w ten sposób wiele prochu, którego potrzeba do armat.

– Ponadto eksplozje mogą osłabić runy na murach i fundamenty budynków – dodał Ragen. – Nie mówiąc już o tym, że niewiele nam to da. Demony skalne nie wcisną się do tuneli, ale kamienne i gliny już tak, a one potrafią się przebijać przez rumowisko jak nornice.

– A więc co możemy zrobić? – spytał ostro Euchor. – Nie możemy im chyba pozostawić miasta!

– Oczywiście, że nie – zgodził się Ragen. – Będzie trzeba posłać na dół ludzi, żeby wykonali świeże runy. Powiadomię moje warsztaty, żeby przygotowano rylce, zbierzemy też wszystkie zapasy farby z miasta. Mamy niewielki zapas *hora* z ciał demonów, zanim słońce je spaliło. Dzięki nim da się wzmocnić bariery.

– To wystarczy? – spytał książę.

Ragen wzruszył ramionami.

– Patroni, którzy zapieczętowali tunele, wykonali dobrą robotę. Mam nadzieję, że uda się uzupełnić nieszczelności i zamknąć nowe wyłomy. O wiele bardziej martwię się tym, czy tunele są naprawdę

puste.

Euchor pobladł.

– Jak to puste? – spytał. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Do wielu tuneli blask słońca nie wpadł od wielu lat – rzekł Ragen. – Któż może wiedzieć, jak długo demony to planowały? Któż może wiedzieć, czy naprawdę uciekły do Otchłani, czy może czyhają tuż pod powierzchnią?

– Na noc! – oznajmił Euchor. – Jeśli tunele są pełne demonów...

– Skorzystamy z luster – wtrącił Malcum.

– Że co? – zdziwił się Euchor.

– To stara sztuczka Posłańców – wyjaśnił Ragen. – Dzięki lustrom można przenieść promienie słoneczne w głąb tuneli i przepędzić demony.

– Będzie na to potrzeba wszystkich luster w mieście – stwierdził Brayan.

– I do tego jeszcze paru – rzekł Ragen. – Będziemy też potrzebować żołnierzy, żeby zapewнили ochronę Patronom.

– Ci ludzie mają bronić murów! – sprzeciwił się Euchor.

– Zeszłej nocy znakomicie wypełnili swoje zadanie – powiedział Ragen. – A mimo to na ulicach pojawiły się demony. Trzeba będzie ewakuować tylu ludzi, ilu się da. Nie tylko do śródmieścia, ale do miejsc chronionych najsilniejszymi murami. Tutaj, do mojej posiadłości, fortec hrabiego Brayana i hrabiny Treshy, biblioteki...

– Prędzej pozwolę, żeby mnie pożarła Otchłań, niż wpuszczę żebraków do Biblioteki Książęcej czy też do własnej twierdzy, hrabio! – burknął Euchor.

– Możemy zabarykadować drzwi biblioteki, Wasza Książęca Mość – wtrącił Ronnell. – Kamienni Strażnicy powstrzymają napór demonów ze szczytu wzgórza, a jeśli te się przebiją, będziemy mogli schronić się w katedrze. Jeśli zaś zostaniemy zmuszeni do ucieczki do Biblioteki Książęcej... – urwał i wzruszył ramionami. – Obawiam się, że wówczas ślady brudnych paluchów na księgach będą naszym najmniejszym zmartwieniem.

– Mamy w mieście niecałe sześćdziesiąt tysięcy ludzi, Wasza Książęca Mość – naciskał Ragen, gdy Euchor nie odpowiedział. –

Wszyscy zdolni do walki powinni zostać jakoś uzbrojeni, a co do reszty... Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się ścisnąć za murami posiadłości i rezydencji na jedną noc.

– Dobrze, dobrze... – Euchor odwrócił się w stronę pazia. – Wyślij gońca do Jone. Ma zorganizować ewakuację dolnego miasta. Każdy człowiek, który dysponuje własną barierą runiczną, ma przyjąć tylu ludzi, ilu jest w stanie. Żadnych wyjątków.

– Wasza Książęca Mość... – zaczął Brayan.

Euchor spojrzał na niego ze złością.

– Nie dosłyszałem, hrabio. Czy ty zacząłeś to zdanie od „tak”?

Brayan cofnął się i zamrugął, ale opanował się w porę i uklonił.

– Oczywiście, Wasza Książęca Mość. Twój rozkaz zostanie spełniony.

– Nie oddam tych murów bez walki – oznajmił Euchor. – Moja rodzina broni tego miasta przed otchłāncami od trzystu lat. Nie poddam się raptem w jedną noc!



– To zniewaga! – narzekała Tresha. Ich powóz piął się w górę zbocza przez stolicę hrabstwa Brayana. Na samym szczycie, po drugiej stronie szerokiej przepaści, wznosiła się jego twierdza. – Moje mury są równie mocne jak Brayana. Co daje Jone prawo, żeby...

– A cóż to ma za znaczenie, matko? – parsknęła Elissa. – To kiepski moment na politykę.

Tresha spojrzała na nią z góry.

– Jeszcze moment, a zacznę żałować, że mianowałam cię moją dziedziczką, dziewczyno. Na politykę zawsze jest czas, zwłaszcza w chwili największego zamętu.

– A więc zacznijmy od uwolnienia Matki Stasy i jej syna – rzekła Elissa. – Powinni dołączyć do Dereka, który znajduje się w mojej posiadłości.



– Z tego, co wiem, twoje mury ledwie wytrzymały wczorajszy szturm – powiedziała Tresha i wskazała grube obwarowania posiadłości Brayana oraz ogromne runy wykute prosto w kamieniu. Do twierdzy można się było dostać jedynie wąskim mostem z krety i stali, którego wsporniki również ułożyły się w potężną kombinację runów. – Póki co są tu bezpieczniejsi.

– Mam nadzieję, że masz rację – powiedziała Elissa. – Czy twoi Patroni...

– Trzykrotnie sprawdzili system ściekowy i pokryli farbą wszystkie moje piękne dziedzińce i ogrody – przerwała jej Tresha.

– Wystarczy, że każesz wysypać ścieżki ze żwiru, zachowując kształty runu, a nadal będą piękne.

– Mam taką nadzieję – rzekła Tresha. – W tym przeklętym mieście jest już wystarczająco dużo kamienia. Moje ogrody były dla mnie ostatnim miejscem wytchnienia.

– Każdy z nas musi coś poświęcić podczas wojny. – Elissa wyjrzała przez okno na przepaść, która rozciągała się pod mostem.

Bramy twierdzy były otwarte szeroko, a na dziedzińcu powitali ich służący w liberiach hrabiego Brayana. Tresha i Elissa zostały natychmiast zaprowadzone do sali spotkań, gdzie oczekiwały już na nich inne Matki. Jone i Cera podeszły, by się przywitać, ale Elissa dostrzegła już Stasy pod drugą ścianą i wyminęła pozostałe Matki, by do niej podejść. Wiedziała, że to bezczelność, którą starsze kobiety chętnie pomszczą, ale warto złapać Stasy na osobności.

– Elissa! – wykrzyknęła Stasy i zarzuciła jej ramiona na szyję.

– Wspaniale cię ujrzeć, kochana – powiedziała Elissa i uścisnęła ją serdecznie.

Dawniej, gdy życie było łatwiejsze i szczęśliwsze, a Derek pracował w warsztacie Coba, obie kobiety spędzały ze sobą sporo czasu. Elissa, choć wypadła z łask własnej matki, wciąż mogła się poszczycić wysokim pochodzeniem, dzięki czemu ich znajomość nie budziła skandalu.

– Dobrze cię tu traktują? Derek szaleje z niepokoju.

– Traktują mnie równie dobrze jak wcześniej, z tym wyjątkiem, że nie mogę teraz przekraczać mostu.

– Ale naprawdę chcesz opuścić to miejsce? – spytała Elissa. – Zabrać małego Jefa i rozpocząć życie z Derekiem?

– Och, Matko Elisso, przecież sama dobrze o tym wiesz! – odparła Stasy. – O niczym więcej nigdy nie marzyłam, gdyby tylko ojciec mi na to pozwolił!

– Wiem, moja droga, ale musiałam to od ciebie usłyszeć. – Elissa uścisnęła jej ramię, a kątem oka ujrzała Matkę Cerę, która płynęła szybko w ich kierunku. Towarzyszyły jej Jone i Tresha. – Możemy teraz to naprawić – dodała. – Derek został wyniesiony do godności zastępcy mistrza Gildii, a oprócz tego dysponuje miejscem na Giełdzie Runicznej.

– Nie mogłam uwierzyć własnym uszom, gdy Derek powiedział mi, że Arlen Bales pozostawił mi miejsce! – odparła Stasy. – Ten człowiek troszczył się o nas od samego początku i to wszystko za cenę kilku piorunowych patyków.

– Nikt nie jest w stanie kupić sobie lojalności Arlena – rzekła Elissa. – Oboje po prostu zasłużyliście sobie na nią. Czy staniesz przed Radą i przysięgniesz, że chcesz wyjechać? Nawet na oczach swojej ciotki? Trzymają cię tu, żeby w razie potrzeby móc kontrolować Ragenę. Nie wypuszczą cię chętnie.

– Wykrzyczę to z wież, jeśli będzie trzeba – obiecała Stasy, ale ściszyła głos do szeptu, gdyż Cera była już praktycznie przy nich.

– O, tu jesteś, moja droga! – Cera mocno zacisnęła dłoń na ramieniu Stasy. – Może nadszedł już czas, żebyś wróciła do swoich komnat? Za moment rozpocznie się posiedzenie Rady Matek.

Elissa odsłoniła zęby, ale chwilę później rozciągnęła usta w najśłodszy i najbardziej niewinny spośród swoich uśmiechów.

– Matka Stasy to córka barona i ma prawo głosować podczas Rady.

Nie wypowiedziała tych słów głośno, lecz inne kobiety ją usłyszały.

– Oczywiście, że może zostać – wtrąciła szybko Tresha. – Dziś powinniśmy wysłuchać wszystkich głosów.

Powieka Cery drgnęła, ale zrozumiała, że wpadła w pułapkę. Choć posiedzenie miało się odbyć w jej forticy, na czele Rady stała

Tresha. Elissa zaś wiedziała, że nie powinna już bardziej wykorzystywać sytuacji – przynajmniej na razie – jednak podczas obrad trzymała Stasy przy sobie.

Mijały godziny, a kobiety analizowały straty poniesione w nocy, organizowały ewakuację oraz pomoc. Bez tradycyjnych, przeciągających się kłótni i wzajemnych złośliwości przekazywały pieniądze i wysyłały najrozmaitsze zapasy. Spisywały listy dla gildii, by te pożyczaly pieniądze bez prowizji. Po moście kursowały rządy posłańców.

Słońce stało już nisko na niebie, gdy Elissa wreszcie wyprostowała się znad papierów i przyłożyła dłoń do obolałych pleców. Trakty były bez wątpienia zatłoczone. Jeśli chciała powrócić do swojej rezydencji, musiała niebawem wyruszyć w drogę.

Podniosła się, ale naraz się zatoczyła, straciła równowagę i runęła na podłogę. W pierwszej chwili sądziła, że zawiodły ją ścierpnięte nogi, jednak błyskawicznie uświadomiła sobie, że inne kobiety również leżą na podłodze. Ściany zadygotały, w powietrzu niósł się ogłuszający łoskot.

– Co się... – zaczęła i wtedy dostrzegła leżącą bezwładnie Treshę. Wokół głowy kobiety gromadziła się kałuża. – Matko! – zawołała Elissa. Przypadła do boku Treshy i sięgnęła po srebrne pióro, ale magia *hora* była bezużyteczna, dopóki do wnętrza sali wpadało światło słoneczne. – Niech ktoś zawoła Zielarkę! Hrabina Poranka potrzebuje natychmiastowej pomocy!

Baronowa Cate wyjrzała przez okno.

– Most się zawalił! – wrzasnęła z przerażeniem.

Elissa, ledwie zdając sobie sprawę z wagi tych słów, odchyliła głowę matki, by ułatwić jej oddychanie, i przytknęła chusteczkę do jej skroni. Puls Treshy był powolny i nierówny, ale wyczuwalny.

– Matko! – zawołała. – Matko, słyszysz mnie?

Jedyną odpowiedzią Treshy było jęknięcie. Elissa nie umiała stwierdzić, czy to odpowiedź na jej pytanie, czy może reakcja na ból. Cera wysłała ku niej swoją osobistą Zielarkę, a jej uczennice pomagały innym Matkom.

– Żyje? – spytała bezceremonialnie Cera.

Elissa spojrzała na nią z wściekłością w oczach, Zielarka ujęła nadgarstek Treshy.

– Żyje, ale nie sędzę, żeby w najbliższej przyszłości mogła stanąć na czele Rady.

– A więc ten obowiązek spada na mnie – rzekła Cera.

Elissa uniosła podbródek.

– Jestem jej spadkobierczynią.

– Zgadza się, dziewczę, jesteś! – parsknęła Cera. – Niemniej w obradach naszej Rady uczestniczysz od raptem miesiąca i nie cieszysz się żadnym autorytetem.

Elissa chciała się sprzeciwić, choć wiedziała, że Cera ma rację. Nie miała ochoty na kłótnię, która nic by jej nie przyniosła.



– Nieco niżej! Ostrożnie, powoli!

Ragen przyglądał się, jak Yon i Cal przechylają stojące na skraju jamy ciężkie lustro w srebrnej oprawie, by posłało blask słońca w głąb tunelu. Tam promienie zostały przechwycone przez grupę z drugim lustrem, która puściła je jeszcze głębiej.

– Wygląda na to, że jest czysto! – zawołał Derek.

– Ruszajcie! – Ragen zwrócił się do robotników z mniejszymi zwierciadłami.

Ci spojrzeli po sobie nerwowo, a potem zaczęli schodzić w głąb tunelu. Przez chwilę nic się nie działo, a wówczas Ragen posłał kolejnych ludzi, którzy przekazali blask słońca jeszcze dalej. W tym czasie Patroni Runów przygotowali sprzęt i wyruszyli w ślad za nimi.

Wówczas rozległy się pierwsze wrzaski.

Robotnicy wewnątrz jamy w mig zapomnieli o ciężkim lustrze i w panice wdrapali się na górę, pozostawiając resztę w ciemnościach tunelu. Ragen się nie zawahał – nagły przypływ

adrenaliny kazał mu zapomnieć o wyczerpaniu. Zeskoczył w głąb tunelu, odbił się od sterty gruzu i wylądował tuż obok zwierciadła.

To zostało wyposażone w zdobioną mosiężną ramę, która uchroniła je przed rozbiciem w drobny mak, gdy rzucili je uciekający robotnicy. Lustro ważyło jednak dobrze ponad dwieście funtów i Ragen nie dał rady go podnieść. Na szczęście z odsieczą przybyli Cal i Lary Rębacze, którzy złapali za ramę i podnieśli je bez trudu. Zwierciadlana tafla znów zajaśniała światłem.

Dno tunelu zasłane było ciałami, a mętna woda pociemniała od krwi. Blask słońca padł na demona, który właśnie unosił w szponach martwego człowieka, i zamienił stwora w kulę ognia. Pozostałe uciekły z wrzaskiem, a ocalali robotnicy wypełzli na powierzchnię.

– Niech to Otchłań! – warknął Ragen.

Odnaleźli i zamknęli tunele, którymi demony przedostały się do miasta, ale wyglądało na to, że wiele z nich nigdy go nie opuściło. Oczyszczenie ciemnych, ciasnych korytarzy z otchłańców wydawało się nierealnym zadaniem, tym bardziej że dzień miał się ku końcowi.

– Mistrzu! – zawołał ktoś z góry.

Na dno schodzili już strażnicy miejscy, by wyciągnąć trupy i rannych. Ragen wy dostał się na górę, łapiąc Yona za rękę. Olbrzymi Rębacz bez trudu wyciągnął go na zewnątrz, gdzie czekał już posłaniec.

– Mistrzu! – powtórzył chłopiec.

– Co się dzieje? – Ragen czuł, że adrenalina przygasa i jest jeszcze bardziej zmęczony niż kiedykolwiek wcześniej. Miał wrażenie, że kolejnej złej wiadomości już nie zniesie.



– Uwięzione? – spytał Derek. – Co się stało, na mrok nocy?

– Wygląda na to, że demony wykopały tunele pod wspornikami

mostu – odparł Ragen.

Derek uderzył pięścią w blat biurka i jeśli poczuł ból, nie dał tego po sobie poznać.

– Niech to Otchłań pożre! Powiniennem był wysadzić bramę tej przeklętej twierdzy w powietrze!

– Żeby demonom było łatwiej się wdrzeć? – skrzywił się Ragen.  
– Posłuchaj, otchłańce nie zniszczyłyby mostu, gdyby znały sposób na przedarcie się przez mury. Im zależało na tym, żeby odciąć nas od Matek.

– Może – rzekł Derek. – A może chcą dziś w nocy zaatakować twierdzę i nie życzą sobie, żeby ktoś przyszedł kobietom z pomocą?

Ragen zacisnął zęby. Podobne myśli chodziły mu po głowie, ale musiał teraz zachować spokój, o wiele bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wkrótce miała zapaść noc, a skoro demony potrafiły zaatakować fortecę Brayana, gdy na niebie nadal świeciło słońce, nigdzie nie było bezpiecznie.

– A może, sam nie wiem, linę im rzucimy czy coś? – spytał Yon.

– Jeśli masz pod ręką krasjańskiego skorpiona, możemy próbować – rzekł Ragen. – Nikt nie da rady przerzucić liny tak daleko, a nawet gdyby to było możliwe, to co zrobisz później? Poprosisz te staruszki, żeby przeczołgały się nad przepaścią?

– Pewnie nie – odparł Yon. – Tyle że nie potrafię siedzieć na tyłku i czekać.

Ragen milczał przez dłuższą chwilę. Po ewakuacji liczba ludzi w jego posiadłości jeszcze bardziej się zwiększyła, a ich koce zostały wybielone, by zwiększyć moc wielkich runów. Ponoślił za uchodźców odpowiedzialność. Wszak nie był już Posłańcem Ragenem ani Mistrzem Gildii Runicznej, lecz hrabią Poranka.

Ale demony uwięziły Elisę.

– Nie – zgodził się w końcu. – Nie możemy siedzieć beczynnienie.



– Czy to sprawka demonów? – spytała hrabina Cera, gdy spoglądały z murów na ruiny mostu. Nad niezliczonymi setkami ton krety i kamienia wciąż unosiły się kłęby pyłu. – Ten most przemierzyło dziś wielu, bardzo wielu ludzi – powiedziała Elissa. – Ale nie wydaje mi się, żeby był to zbieg okoliczności. Przecież trwa Nów. Musimy założyć, że demony umysłu dziś nas zaatakują. Skądś wiedzą, że odbywamy tu spotkanie, i chcą pozabijać przywódców, żeby osłabić nasz opór.

Matka Jone pobladła.

– Jego Książęca Mość...

– Zapewne ma ogromne problemy – wtrąciła Elissa. – Ale my mamy własne.

Tresha została przeniesiona do ciemnej komnaty, gdzie Elissa mogła zająć się jej ranami, lecz nadal pozostawała nieprzytomna i nikt nie mógł stwierdzić, kiedy – i czy w ogóle – odzyska świadomość. Niewiadome pozostało również to, czy jej mózg nie został uszkodzony. Elissa pamiętała słowa pani Anet. Sama magia to nie wszystko.

Odwróciła się ku hrabinie Cerze, zacisnęła mocno zęby, ale przemogła się i dygnęła.

– Matko, wybacz, że podważyłam twoje prawo do przewodzenia Radą. Wszak to twoja siedziba i będziesz przemawiać w imieniu Rady do chwili, gdy moja matka powróci do pełni sił. Chciałam cię jednak prosić, żebyś przekazała mi pieczę nad swoimi Patronami Runów i przygotowaniem do obrony. Twoi domownicy to bez wątpienia uzdolnieni ludzie, ale ja mam doświadczenie praktyczne, którego im na pewno brakuje.

Cera zerknęła na Jone. Elissa miała wrażenie, że obie kobiety posiadły umiejętność toczenia rozmów za pomocą spojrzeń. Patrzyły na siebie długo, aż Cera odwróciła się ku Elissie i skinęła głową.

– Co możemy zrobić?

– Zbierzcie służbę i wszystkie członkinie Rady, które pamiętają cokolwiek z zajęć z runiarstwa w Szkole Matek – powiedziała Elissa. – Będziemy potrzebowali atramentu, farby oraz białego

plótna z całej fortecy, a oprócz tego przyda się wszystko, co można wykorzystać jako broń. Kije od mioteł, pogrzebacze, wałki, wszystko, co można znaleźć.

Jej spojrzenie już omiotło runy, którymi ozdobiono blanki na murach. Twierdza znajdowała się wysoko nad barierą strzegącą miasta, dlatego na murach umieszczono dodatkowo runy wiatru, by uchronić twierdzę przed demonami wichrowymi. W głowie kobiety zaczynał się formować pomysł, ponury, choć być może skuteczny.

– A co nam dadzą kije od miotły w walce z demonami? – spytała Jone.

– Magia wzmacnia przedmioty, na które naniesiono odpowiednie symbole – odparła Elissa. – Kij od miotły pięknie, gdy uderzysz nim człowieka, ale jeśli wyrysujesz na nim runy uderzenia, stanie się mocny jak ze stali, dopóki runy będą zawierały moc. Każdy ostro zakończony przedmiot z runami przebicia stanie się dla otchłanca śmiertelnie niebezpieczną bronią.

– Oczekujesz, że Matki same chwycą za broń? – Cera nie posiadała się ze zdumienia.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale ostatnimi czasy nadziei zaczyna brakować wszystkim. Co pocniemy, jeśli demony przebiją się przez barierę? Będziemy udawać, że kobiety nie są w stanie zamachnąć się ramieniem, żeby ocalić swoje życie? Dobrze, a teraz niech mnie ktoś zaprowadzi do piwnic.



Elissa wychyliła się przez mur twierdzy Brayana i spojrzała w ogromną przepaść. Nad jej głową powoli zachodziło słońce i na dnie przepaści, zasnutym już cieniami, ujrzała pierwsze demony. Nie materializowały się jednak z mgły, ale wyłaziły z dziur i rozpadlin.

– Były w mieście przez cały dzień – szepnęła do Matek Cery, Stasy i Jone, które spoglądały w dół wraz z nią. Na samą myśl



o tym poczuła ucisk w klatce piersiowej. Z trudem narzuciła sobie równy rytm oddychania.

– Na noc – szepnęła Stasy.

– Jeśli twój adoptowany syn w istocie jest Wybawicielem, Elisso – odezwała się Cera – pora, żeby się pojawił.

– Sama również chętnie przyznałabym się do błędu w tej kwestii – zgodziła się Jone.

– Nie liczyłabym na to – odparła Elissa.

Z rozpadlin wyłaniały się coraz to nowe otchłańce. Tam, gdzie jeszcze chwilę temu były ich tuziny, pojawiały się teraz setki, aż całe dno przepaści wydawało się roić. Hordy bestii wnet natarły na ścianę klifu, by wspiąć się ku górze, ale wyryte tam runy zapłonęły i zaiskrzyły, odrzucając je daleko.

Jako ostatnie wypełzło około dziesięciu wielkich skalnych demonów, które nie zwlekając, pochwyciły za ogromne szczątki zwalonego mostu i zaczęły ciskać nimi w runy. Tłukły słupami w skały, osłabiając barierę, a pomniejszych demony znów przystąpiły do natarcia.

– Musimy powstrzymać te wielkie otchłańce – stwierdziła Elissa i spojrzała na załogę najbliższego dział, z których Brayan i Euchor byli tak dumni. – Jesteście w stanie je zniszczyć?

– Przykro mi, Matko, ale to niemożliwe – odparł jeden z artylerzystów. – Te działa zbudowano, żeby strzelały do celów po drugiej stronie przepaści, a nie na jej dnie. Spadną z murów, jeśli będziemy próbowali wycelować tak nisko w dół.

Elissa przyjrzała się szesnastofuntowym runicznym kulom armatnim, które ułożono przy murze niedaleko baryłek z prochem. Złapała jedną z nich i skupiła wzrok na skalnym demonie. Cofnęła się kilka kroków, wzięła rozbieg i cisnęła kulę z całej siły. Przypadła do muru, by przyrzeć się pociskowi, który spadał coraz szybciej i szybciej. Dostrzegła go znów, gdy ten sięgnął celu. Runy na kuli eksplodowały, rażąc kilka polnych demonów. Elissa chybiła o włos, ale i tak była zadowolona z rzutu.

Spojrzała na strażnika.

– Grawitacja niekoniecznie jest naszym wrogiem.

Mężczyzna zakaszał.

– Tak, Matko. Przekażemy pozostałym.

– Nie powstrzymamy w ten sposób tych skalnych demonów. –  
W głosie Jone pojawiła się nuta, której Elissa nigdy wcześniej nie słyszała. Strach? Zwątpienie?

Te same emocje malowały się na obliczach Matki Cery, Stasy i strażników na murach.

Westchnęła więc i wyciągnęła swe srebrne pióro, owijając łańcuszek dookoła nadgarstka.

– Zajmę się nimi.

Jej wypowiedziane głośno słowa zostały dosłyszane przez załogi kilku okolicznych dział. Nikt nie spuszczał z Elissy wzroku, gdy nakreśliła piórem serię połączonych ze sobą srebrzystych znaków, które zawisły w powietrzu. Gdy skończyła, przekazała w nie nieco mocy, celując w parę skalniaków.

Seria runów pomknęła w dół niczym pocisk, rosnąc i jaśniejąc, aż przebiła się przez pancerze demonów. Oba potwory zadygotały i padły martwe na dno przepaści.

– Na Stwórcę! – zawołała Cera.

Satysfakcja Elissy trwała jednak krótko, bo kobiecie natychmiast zakręciło się w głowie. Wykorzystała zbyt wiele mocy, by zabić demony już w pierwszym uderzeniu. Zachwiała się, wtedy Stasy chwyciła ją za pasek i szarpnęła, aż Elissa znów złapała się muru.

– Nic ci nie jest? – szepnęła dziewczyna.

– Nic.

W istocie, chwilowa słabość już mijała, a nie zauważył jej nikt poza Stasy. Pozostali wpatrywali się w Elissę z oszołomieniem. Gdzieś rozległy się okrzyki tryumfu i Elissa odgadła, że wieść już się rozeszła. Warto było zaryzykować, by dać obrońcom nadzieję, ale nie mogła rzucać wielu takich czarów.

Nakreśliła kolejny run, by wzmocnić swój głos:

– Wracać na stanowiska!

Mężczyźni ze zdwojoną energią zabrali się do rzucania kulami w hordy demonów, a Elissa zwróciła się ku Jone i Cerze:

– Matki! Myślę, że zobaczyłyście już wszystko, co można ujrzeć. Pora, żebyście się schroniły.

Te zawahały się, ale Cera szybko się otrząsnęła i pokiwała głową.

– Oczywiście! Chodźmy, Stasy.

Odwróciły się, by odejść. Elissa pochwyciła Stasy za ramię.

– Obawiam się, że będę potrzebować młodej Matki do pomocy.

Cera sprawiała wrażenie, jakby chciała się sprzeciwić, ale właśnie widziała, jak Elissa rozszarpuje na kawałki dwa skalne demony. Jone pociągnęła hrabinę za rękę i obie znikły z murów.

Stasy raz jeszcze spojrzała w dół.

– Nie wiem, czy mam ci dziękować, Matko.

– Nie potrzeba mi podziękowań – odparła Elissa i wyciągnęła drugie pióro, prostsze od jej własnego, a mimo to potężne. Gildia Runiczna dysponowała teraz szablonem, a tworzone wedle niego pióra zostały z powodzeniem użyte w obronie Zagajnika Hardena. – Potrzebuję natomiast twojej pomocy. Jesteś jedyną osobą w tej twierdzy, której chętnie takie pióro powierzę.

Stasy wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją z wahaniem.

– Minęło wiele czasu, odkąd pracowałam w warsztacie mistrza Coba.

– Ale podstawy na pewno pamiętasz, moja droga. – Elissa wcisnęła pióro w rękę Stasy, a potem spojrzała jej w oczy. – Wszyscy ludzie tutaj zginą, jeśli nie powstrzymamy tych skalnych demonów. Potrzebuję cię. Matki cię potrzebują. Twój syn cię potrzebuje.

Stasy pokiwała głową.

– Dobrze. Jak to działa?

Elissa pospiesznie zademonstrowała jej, którymi runami otwiera się stalówkę i dopasowuje przepływ mocy.

– Spróbuj czegoś łatwego na początek.

– Może run uderzenia? – spytała Stasy, wpatrując się w skalniaki, opromienione magią.

– Nie radzę. Najpierw poćwicz.

Elissa zauważyła strażnika, który cisnął kulą w dół, i naszła ją

nowa myśl. Wybrała skalnego otchłańca, który stał najbliżej spadającego pocisku, i nakreśliła run przyciągania. Kula znikła im z oczu, po czym nagle zapłonęła magią, gdy zakłęcie Elissy ściągnęło ją z dotychczasowej trajektorii i cisnęło skalnego demona w pierś.

Otchłaniec zatoczył się, żywy, ale ranny.

Stasy skinęła głową i sama również nakreśliła run przyciągania. Włożyła w znak zbyt wiele mocy i w demona uderzyło pół tuzina kul armatnich, zamieniając go w krwawą miazgę. Elissa już chciała doskoczyć, by podtrzymać młodą kobietę, ale magia najwyraźniej nie zrobiła na Stasy żadnego wrażenia.

– Ileż ja bym dała, żeby znów mieć dwadzieścia pięć lat! – westchnęła Elissa.

– Co takiego, Matko? – spytała Stasy.

– Nic takiego, moja droga. Bierzmy się do pracy.

Podeszły do murów i zaczęły wskazywać cele dla strażników, lecz w miejsce każdego zabitego skalniaka pojawiały się nowe, a otchłańce powoli, stopniowo wdzierały się na klif. Lada moment mogły dotrzeć do murów w liczbie, która groziła zniszczeniem bariery.

– Wichrzaki! – krzyknął jeden z obserwatorów.

Stado podniebnych otchłańców runęło na twierdzą i rozpoczęło bombardowanie za pomocą trzymanyh w szponach kawałków gruzu. Kilka pocisków rozbiło blanki, inne trafiły w obrońców. Ci, którym dopisało szczęście, wylądowali na twardym bruku dziedzińca dwadzieścia stóp niżej. Ci, którzy szczęścia nie mieli, spadli między demony.

Elissa jednakże zauważyła, że byli przypadkowymi ofiarami. Bestiom chodziło o coś innego.

– Na Stwórcę! – krzyknęła. – Próbują rozbić runy! Strzelajcie do nich!

Strażnicy pochwycili za broń palną i na murach rozpoczęła się palba. Wichrowe demony, które wznosiły się z łatwością i gracją, nagle ostro skręcały i zwijały się w powietrzu. Niektóre przedwcześnie upuszczaly pociski, inne gwałtownie traciły

wysokość i uderzały w barierę.

Zaledwie kilka godzin wcześniej dzięki runom wiatru martwy demon tkwiłby przyczepiony do bariery, dopóki nie spaliłoby go słońce, a żywy odbiłby się od niej, obolały i rozwścieczony, ale raczej cały i zdrów.

Elissa dodała jednak do bariery runy cięcia i osłona szlachtowała każdego demona wichru, który w nią uderzył. Jucha, strzępy skórzastych skrzydeł i ochłapy wciąż drgającego mięsa spadały na dziedziniec niczym makabryczny deszcz, rozsyłając skrzącą magię po wielkich runach wymalowanych na bruku.

Jeden z otchłańców dostrzegł Elisę i skreślił prosto na nią, trzymając w szponach ciężki kamień. Kobieta uniosła pióro i wyrysowała run uderzenia, drobny niczym obuch młotka. Rozbiła w ten sposób cienki staw lewego skrzydła otchłańca, a on stracił kontrolę nad lotem. Nieporadnie załopotał skrzydłami, ale kilka oddechów później bariera rozdarła go na strzępy.

Strażnicy na dziedzińcu, uzbrojeni w runiczne halabardy, podbiegali, by dobić wszystko, co wykazywało oznaki życia. Po nich wkraczali do akcji Patroni, którzy rozrzucali szczątki otchłańców tak, by równomiernie zasilały wielki run, i zbierali *hora*, by dodać mocy własnym runom. Było to nieprzyjemne zadanie dla ludzi, którzy dotychczas wykorzystywali w pracy jedynie atrament, ryłce oraz dłuta, i kwaśny smród wymiocin mieszał się w powietrzu z odorem juchy demonów. Elissa namoczyła swój szal wodą i obwiązała nim nos i usta, a mimo to w żołądku nadal się przewracało.

Całe wiadra pełne szczątków i juchy demonów były zanoszone do piwnic, gdzie wzmacniały tamtejszą barierę. Skoro demonom udało się bowiem zniszczyć wsporniki mostu, istniało prawdopodobieństwo, że przeniknęły do tuneli pod twierdzą i szukały sposobu, by się przebić do środka.

Tymczasem otchłańce na ścianach klifu nadal wędrowały ku górze, powoli, acz systematycznie. Nawet ogromne skalniaki nie potrafiły rzucić głazem z taką siłą, by trafić w cel na skraju przepaści. Zaczęły więc się wspinać, wyrywając po drodze ogromne

skalne odłamki i ciskając nimi w górę. Niesporo im szło, ale dotarcie do murów fortecy było jedynie kwestią czasu.

Elissa spojrzała na obsadę działa, którego zapas amunicji szybko się kończył.

– Wyrzucie za mur tę beczkę z prochem.

– To nie wystarczy, Matko! – odpowiedział jeden z artylerzystów.

– Sam z siebie nie wybuchnie.

Elissa uniosła pióro.

– Spróbuję go więc jakoś zachęcić.

Strażnik uśmiechnął się szeroko i wraz z resztą ludzi dźwignął baryłkę, i zrzucił ją z muru. Elissa patrzyła, jak spada, i tuż zanim znikła jej z oczu, wyrysowała run gorąca. Beczka eksplodowała, a strącone siłą podmuchu demony poleciały w dół. Otchłańce na ogół potrafiły zregenerować nawet bardzo poważne obrażenia, lecz Elissa nie sądziła, by udało im się pozbierać po upadku z tak wysoka.

Obrońcy wiwatowali przez chwilę, czując przyływ nadziei, ale wtedy rozległ się głuchy grzmot. Forteca zatrzęsała się, a spora część dziedzińca się zapadła. Demony, nie mogąc dostać się na mur, wykonały podkop. Wielki run rozpadł się, a jego moc szybko gasła.

– Wyłom! – krzyknęła Elissa.

Czuła, jak mur pod jej nogami się kruszy, pozbawiony oparcia fundamentów. Żołnierze i Patroni Runów pobiegli w stronę schodów, a Elissa i Stasy nagle odkryły, że są zbyt daleko, by salwować się ucieczką.

Elissa zamarła. Jak oniemiała wpatrywała się w blanki, które powoli przechylały się ku przepaści, ale Stasy wykazała więcej przytomności umysłu. Nakreśliła runy wiatru, złapała Elisę i pociągnęła za sobą w stronę dziedzińca. Zakłęcie Stasy złagodziło upadek, lecz i tak zderzenie z brukiem wybiło kobietom powietrze z płuc. Elissa uświadomiła sobie, że z nastaniem świtu jej ciało będzie przypominać jednego wielkiego siniaka. O ile świtu dożyje.

Dzięki łańcuszkowi, którym przymocowała pióro do nadgarstka, udało jej się ocalić swą broń. Złapała je i pobrała nieco mocy, odzyskując siłę.

Dwa kamienne demony wygrzebywały się spośród zgliszczy zniszczonej części twierdzy. Za nimi wydostały się kolejne, tym razem nie ogniste ani polne, czego Elissa mogłaby się spodziewać, ale takie, o jakich jak dotąd słyszała jedynie w opowieściach.

Buchnęła śnieżycą, zamigotała nieskazitelnie biała łuska. W ślad za skalnymi demonami skoczyły śnieżne. Elissa uniosła pióro, by narysować runy gorąca, jednak otchłańce zignorowały i ją, i innych obrońców. Doskoczyły do ocalałych murów i plunęły na nie zimnem.

Obrońcy stawili zaciekły opór. Strzelcy uformowali szereg i otworzyli ogień. Niejeden ze śnieżnych demonów zaskowyczał z bólu i osunął się na ziemię, a inne zapłonęły, objęte magią Elissy, ale mury pokrył gruby, skrzący szron. Dwa kamienne demony zaś, obojętne zarówno na ostrzał z broni palnej, jak i na runy gorąca, przypadły do muru i zaczęły tłuc weń z impetem, od którego zadrżała cała twierdza.

„Burze śnieżne i trzęsienia ziemi” – powiedział Arlen.

Jego słowa okazały się prorocze w chwili, gdy kamienne demony przebiły się przez mury. Otchłańce z dzikim wrzaskiem wdarły się przez wyłom.

– Do środka! – Elissa sięgnęła po magię, by spotęgować swój głos, ale nie było to potrzebne.

Niewielu żołnierzom udało się przeładować broń, a nawet ci nie zdołali znów otworzyć ognia, tratowani i popychani przez uciekających towarzyszy. Elissa nigdy dotąd nie widziała takiego chaosu jak w chwili, gdy ocalałe śnieżne demony, zwinne i śmiercionośne, obróciły się przeciwko uciekającym mężczyznom i kobietom.

– Trzymajcie się wielkich runów! – zagrzmiała Elissa.

W istocie ich część nadal jaśniała i odrzucała otchłańce, które zapędziły się na nie w pościgu za ludźmi. Elissa i Stasy nie miały jednak tyle szczęścia, gdyż wylądowały w miejscu, gdzie bruk został w znacznym stopniu uszkodzony.

Stasy kątem oka zauważyła jakiś ruch. Odwróciła się w porę, by nakreślić run uderzenia i odrzucić wichrzaka, który lotem nurkowym przedarł się przez lukę w barierze. Tylko czekać, aż

kolejne wykorzystają tę samą słabość.

Grupa śnieżnych demonów obróciła się jednocześnie ku Elissie, mierząc ją spojrzeniami ciemnych ślepi. Kobieta cisnęła w nie runem gorąca, ale demony rozbiegły się i przygotowały do ataku z wielu różnych kierunków jednocześnie.

– W nogi! – krzyknęła Elissa.

Zebrała suknię wolną ręką i wraz ze Stasy pognała ku drzwiom rezydencji. Demony były szybsze, ale uciekające kobiety odrzuciły je runami śniegu. Już miały nadzieję, że uda im się zbiec, gdy drogę zastąpił im kamienny demon.

Zatrzymały się jak wryte i uniosły pióra, a wtedy któryś ze śnieżnych otchłańców plunął zimnem. Trafił Elisę w nogi.

Kobieta wrzasnęła. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że istnieje ból tak palący.

– Elissa! – wrzasnęła Stasy.

– Uciekaj! – wychrypiała Elissa.

Zdołała unieść dłoń i nakreślić chwiejny run ognia, który spalił najbliżej stojące śnieżne demony, ale poparzył też jej twarz.

– Prędej mnie noc pochłonie! – warknęła Stasy.

Zatrzymała kamieniaka szybko nakreślonym runem ochrony, a potem przypadła do Elissy i pochyliła się, by zarzucić sobie jej wolne ramię na plecy. Wyteżyła wszystkie siły i zdołała dźwignąć Elisę z ziemi. Jedna z nóg Elissy płonęła bólem, ale jakoś wytrzymała jej ciężar. Druga była całkiem odrętwiała i kobietę stać było jedynie na nieudolne kuśtykanie.

Dobrnęły do wielkiego runu, ale dojrzał je kamienny demon, który wyrwał kawałek bruku i cisnął nim w ich kierunku. Stasy odwróciła się, lecz nie zdołała już go powstrzymać. Pocisk trafił dziewczynę w klatkę piersiową i obie kobiety zwały się na ziemię.

– Stasy! – Elissa narysowała run uderzenia i przekazała weń większość pozostałej mocy. Pancierz otchłańca popękał w drobny mak, a on sam padł na plecy.

Pochwyciła rękę Stasy, by odnaleźć puls. Żebra młodej kobiety były powgniatane z jednej strony, a jej twarz zalała krew.

Wokół nich rozlegały się wrzaski. Mężczyźni i kobiety toczyli



wściekłą walką z demonami. Trup słał się gęsto po obu stronach, lecz wiele spośród rannych otchłańców dochodziło już do siebie. Inne atakowały barierę stworzoną przez wielki run. Ich szpony pozostawiały srebrne szramy w powietrzu, gdy zaciekle poszukiwały słabych punktów.

Kilkanaście kroków dalej inny kamieniak pochwycił wielki kawał gruzu i wycelował prosto w Elisę. Nie on jeden zresztą – wszystkie demony na dziedzińcu odwracały łby ku niej. Czuła na sobie wzrok setek ślepi i wiedziała, że gdzieś w pobliżu musi być demon umysłu.

Jęcząc z bólu, Elissa dźwignęła się ciężko. Jedna noga drżała z wysiłku, druga była sztywna niczym drewniana proteza. Runem uderzenia Elissa odtrąciła nadlatujący głaz i powlokła się w kierunku wrót.

Dwóch strażników przypadło do niej, złapało pod ramiona i popędzili ku wejściu. Demony rzuciły się na nich zewsząd, ale wielkie runy bez przerwy potężniały i przekazywały moc ścianom rezydencji. Te płonęły jasno i ssały moc od nacierających otchłańców. Inny skalny demon rzucił w ściany kawałkiem gruzu, ale run zajaśniał i zniszczył pocisk, chroniąc mur przed zniszczeniem.

Na dziedzińcu wdzierało się coraz to więcej otchłańców, lecz ich napór wywierał efekt odwrotny do zamierzonego. Wielkie runy przez cały czas pobierały moc, aż osiągnęły masę krytyczną. Roztaczane przez nie bariery nie dość, że nachodziły na siebie, to jeszcze nieustannie potężniały, a demony, tłoczące się i ściskające niczym dzieciaki próbujące dostrzec coś przez szybę, stanowiły idealny cel dla obrońców. Działa i karabiny z dachów rezydencji szerzyły wśród nich spustoszenie.

– Szybko! – Matka Cera stała przy drzwiach. W jednej ręce trzymała włócznie, drugą złapała Elisę za ramię, by wciągnąć ranną do środka. Potem rozległo się trzaśnięcie drzwi.

Elissa ledwie była świadoma tego, że czyjeś ręce układają ją na kanapie. Owinięto ją ciepłymi kocami przed huczącym ogniem w kominku, a mimo to nie przestawała drżeć i szlochać. Oczyma

wyobraźni wciąż widziała zmiażdżoną pierś Stasy.

Wciśnięto jej do rąk jakiś kubek. Wypiła łapczywie zawartość, nie przejmując się tym, że gorąca herbata paliła przełyk. Leżała i drżała. Nic nie poczuła, gdy wezwana na pomoc Zielarka uniosła jej suknię.

– Na noc – westchnęła tamta.

Naraz środki dodane do herbaty zaczęły działać. Elissa zamknęła oczy, z ulgą witając nadciągające zapomnienie.



Trwała wciąż noc, gdy Elissa przebudziła się gwałtownie. Była zlane potem. W głowie jej dudniło, a gardło miała wyschnięte na wiór. Każdy, najdrobniejszy nawet ruch pociągał za sobą eksplozje bólu. Na zewnątrz nadal trwało bombardowanie.

– Która godzina? – wychrypiała.

– Przebudziła się! – ktoś krzyknął. – Wołajcie Matkę Jone!

Elissa potrząsnęła głową i próbowała się podnieść, lecz musiała się poddać. Zaciśnęła dłoń na oparciu kanapy i trzymała uniesiony kark do chwili, gdy pojawiła się Zielarka.

– Spokojnie, hrabino. Tylko spokojnie!

Hrabino? – pomyślała wstrząśnięta Elissa. Czyżby matka już nie żyła?

Jone pojawiła się chwilę później.

– Elisso, przebudziłaś się. Chwała Stwórcy.

Towarzyszyła jej Matka Cera, która wydawała się o wiele mniej zadowolona. Trudno było się jej dziwić. Wszak Elissa zabrała Stasy ze sobą na mury, a wróciła sama. Dziewczyna nie żyła.

– Co z moją matką? – spytała Elissa.

– Żyje – odparła Jone. – Ale nie zbudziła się, a wedle Zielarki każda upływająca godzina zmniejsza szansę na to, że po przebudzeniu będzie tą samą kobietą, którą znamy. Do tego czasu jesteś hrabiną Poranka.

– A co z demonami?

– Twoje wielkie runy i moi strażnicy trzymają je w szachu, przynajmniej na razie – rzekła Jone. – Jednak spod twierdzy dochodzą odgłosy kopania i rycia. Nie wiemy, co począć.

– Muszę to zobaczyć na własne oczy – oznajmiła Elissa i znów próbowała usiąść, ale bez powodzenia. – Zielarko... nie czuję nóg.

Skonsternowane spojrzenie kobiety było wystarczającą odpowiedzią. Elissa zaczęła ściągać koce, by na własne oczy przekonać się, jak wygląda sytuacja.

– Hrabino! – Zielarka przypadła, by ją powstrzymać, ale Elissa odtrąciła jej dłoń i odrzuciła ostatni koc.

Jej nogi zadrżały, gdy energicznie ruszała ramionami, ale nie czuła nic, absolutnie nic. Skóra nóg była przeraźliwie blada, upstrzona plamkami szarości i ostrej bieli. W oczach Elissy pojawiły się łzy, zacisnęła zęby, powstrzymując płacz.

– Czy możesz mi jakoś pomóc? – spytała Zielarkę.

W oczach tamtej ponownie pojawiła się konsternacja, lecz we wzroku Elissy zalśniła stal. W końcu Zielarka uniosła dłonie.

– Twoje nogi zamarzły, hrabino! Tkanka obumarła! Z czasem uda się być może częściowo zaleczyć te obrażenia, ale nie sądzę, żebyś jeszcze kiedyś mogła chodzić.

Elissa rozejrzała się i uświadomiła sobie, że została rozebrana.

– Gdzie moje pióro?

– Nie jesteś w stanie... – zaczęła Jone.

– Oddaj mi pióro! – przerwała Elissa. – Chyba że chcesz, żeby otchłające wdarły się przez piwnice?

Jone wyglądała na urażoną, lecz sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła przedmiot zawinięty w jedwabną chustkę. Trzymała go, jakby był to rozżarzony pogrzebacz. Elissa wyrwała pióro z rąk Jone i pospiesznie zerwała materiał. Jej palce znów zacisnęły się na srebrnej skuwce, a potem odnalazły runy.

Podczas bitwy wykorzystała większość mocy przedmiotu, ale miała nadzieję, że trochę jej jeszcze zostało. Ustawiła runy tak, by móc pobrać bezpośrednio z niego.

Wciągnęła powietrze, gdy przeszła ją magia. Wściekły ból głowy

natychmiast minął, a Elissa poczuła, że po raz pierwszy od wielu godzin jest w stanie logicznie myśleć. Wróciło jej również nieco sił. Spróbowała się podnieść, ale nogi nie słuchały jej tak, jak powinny. Nadal leżała na kanapie, osobiwie skrzycona.

– Hrabino... – zaczęła Zielarka, ale Elissa nie miała ochoty jej słuchać. Nakreśliła runy leczenia bezpośrednio na nogach, a potem otworzyła stalówkę i pchnęła w nie resztki mocy. Runy zapłonęły. Powróciło częściowo czucie w nogach, a szare i białe plamy nieco ustąpiły, ale efekt nijak się miał do całkowitych uleceń, które kiedyś przeprowadzała.

Choć przypadek Worona pokazał jej, że magia to nie wszystko.

Elissa odepchnęła tę myśl i znów spróbowała się podnieść. Oparła ciężar ciała na prawej nodze, bo lewa wciąż była sztywna i nie słuchała poleceń. Stała przez moment, chwiejąc się i drżąc, a potem zatoczyła się do tyłu.

– Nie stójcie tak beczynnie! – warknęła. – Niech ktoś przyniesie mi laskę.



Za każdym razem, gdy rozlegało się kolejne dudnienie, Elissa czuła, że jej serce na moment przestaje bić. Z murów i sufitów opadał pył i kurz, a w powietrzu unosił się smród juchy.

Patroni Runów wyrysowali wielkie runy na podłodze i zasilili je szczątkami otchłańców. Elissa w ten sam sposób uzupełniła moc swojego pióra. Matka Jone nie opuszczała jej boku, przez cały czas służąc ramieniem. W drugim trzymała własne pióro zasilane *hora*.

Wszystko wskazywało na to, że wyłom nastąpi w miejscu, gdzie znajdowało się stare, dawno zapieczętowane wejście do kanału ściekowego. Demony nie powinny zdołać się przebić przez potężną barierę, ale mimo to wciąż było słychać łoskot kruszonych skał.

A potem naraz zapadła cisza. Elissa wstrzymała oddech, patrząc, jak ściana niespodziewanie bieleje od szronu. Rozległ się

przeraźliwy pisk zamarzającej wilgoci, a potem eksplozja, która zakołysała całym zamkiem. Elissa straciła równowagę i przewróciła się na kamienną podłogę, boleśnie obijając sobie uda.

Skalna ściana została strzaskana, a z rumowiska wyłonił się...

Derek.

– Jestem po drugiej stronie! – zawołał i rozejrzał się, aż dostrzegł Elisę. – Widzę ją! Żyje!

Jako drugi pojawił się Ragen, który odepchnął zaskoczonych Patronów Runów i padł na kolana obok żony.

– Lissa, nic ci nie jest?

Chciała powiedzieć mu prawdę, lecz w tej chwili nie miało to chyba znaczenia. Otoczyła go ramionami i uścisnęła mocno.

– Nic mi nie jest. Jak się tu dostaliście?

– Tą samą drogą, co demony. Kanałami. – Ragen skinął na Yona i Worona, którzy wyłonili się z rumowiska, prowadząc grupę Górskich Włóczy. – Proch okazuje się skuteczną bronią w ciasnych tunelach.

Derek zwrócił uwagę na Matki Cerę oraz Jone, które stały obok.

– Gdzie jest Stasy? – warknęła, podchodząc bliżej. – Gdzie mój syn?

– Nie będziesz mi tu... – zaczęła Cera, ale przerwała, gdy Derek wymierzył piórem prosto w jej nos.

– Przestań się chować za swoim tytułem, hrabino! – parsknęła. – Tej nocy nie ma on żadnego znaczenia. Natychmiast zaprowadź mnie do żony!

– A jeśli nie, to co? – warknęła Jone. – Zabijesz żonę hrabiego Brayana na oczach wszystkich?

Derek machnął piórem w jej stronę.

– Chcesz się przekonać, na co mnie stać, staruszko?

– Stasy nie żyje – oznajmiła Cera. – Została zabita przez kamiennego demona.

Derek aż się zatoczył, usłyszawszy te słowa, a jego oblicze wykrzywił grymas bólu. Chwilę później w jego oczach błysnęła furia.

– To twoja wina! – Skoczył ku Cerze z wyciągniętym piórem,

a ona zatoczyła się i padła na podłogę.

– Nie! – wychrypiała. – To nie moja wina, tylko jej! – Wskazała Elisę. – To Matka Elissa zmusiła Stasy do walki z demonami na murach, podczas gdy powinna schować się w bezpiecznym miejscu wraz z innymi Matkami!

Derek spojrział na Elisę. Kobieta zrozumiała, że nie może go okłamać.

– Stasy uratowała dziś setki ludzi. Tysiące może – szepnęła.

Derek wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Potem zacisnął powieki i potrząsnął głową, by oczyścić myśli, po czym znów wycelował pióro w Cerę.

– W ogóle nie znalazłaby się tutaj, gdybyś nie przetrzymała jej jak więźnia! – oznajmił. – Zaprowadź mnie do syna! Natychmiast!

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich impertynenckich...

Derek pośpiesznie nakreślił serię runów. Kamienna podłoga pod stopami hrabiny zaczęła pękać. Cera zerwała się z przerażeniem.

– Idź z nimi, Yon, dobra? – powiedział Ragen. – Dopilnuj, żeby Derek...

– ...nie zrobił niczego głupiego – dokończył za niego Yon. – Załatwione.

– Dołożę wszelkich starań, żeby ten dureń wylądował w kajdanach! – oznajmiła Jone, gdy odeszli.

– Masz o wiele większe zmartwienie niż mężczyzna, który właśnie stracił swoją żonę i chce się jedynie upewnić, czy jego dziecku nic nie grozi – odparł Ragen. – Twierdza Euchora płonie.



## 33

### Zło rodzi życie

334 ROK PLAGI

**P**rzyj! – wołała Leesha.

– Na Otchłań! – Elona leżała na stole z zadartymi nogami i włosami mokrymi od potu. – A jak myślisz, co właśnie robię, ty idiotko?!

Poród trwał od wielu godzin i końca nie było widać.

– Leesha jedynie próbuje ci pomóc, kochanie! – Erny próbował złapać Elonę za rękę, ale ona odtrąciła jego dłoń pacnięciem.

– Zjeżdżaj stąd!

Na twarzy Erny’ego pojawiła się rozpacz.

– Ale...

– Zamknij się! – warknęła Elona. – Jesteś tu równie bezużyteczny jak w moim łóżku! Oboje dobrze wiemy, że to dziecko nie jest dziełem twojego sflaczałego kikuta!

– Kochanie! – Erny poczerwieniał i rozejrzał się po komnacie,

a Darsy i Favah udawały, że niczego nie widzą.

– Wynoś się! – wrzeszczała Elona. – Wynocha! Zjeżdżaj stąd!

– Tato... – Leesha ujęła ojca za łokieć i ruszyła wraz z nim w stronę wyjścia. – Przecież ona nie mówi poważnie!

– Och, Leesha. – Erny opadł na ławkę na korytarzu. – Oczywiście, że mówi.

Leesha westchnęła. Wszak nie tak dawno sama była świadkiem sceny, która stanowiła najlepszy dowód na rozwiązłość Elony.

– Wróć do siebie, co? Przecież to może jeszcze potrwać wiele godzin. Poślę kogoś po ciebie, gdy będzie już po wszystkim.

Erny pokręcił głową.

– Być może to dziecko nie jest moje, ale twoja matka nadal jest moją żoną. Bez względu na to, ile mnie to kosztuje. Poczekam.

Leesha uścisnęła mu ramię.

– Jesteś dla niej za dobry – oznajmiła.

– Za dobry, ale nigdy nie wystarczająco dobry! – zachichotał Erny. – Już dawno się z tym pogodziłem, choć to nigdy nie przestaje boleć.

– Bzdura – powiedziała Leesha. – Matka sięga po prawdę nie tylko po to, żeby cię ranić, ale także po to, żebyś przypadkiem nie przejrzał jej kłamstw. Przecież dałeś jej szansę, żeby cię zostawiła dla Steave'a. Tymczasem nie skorzystała z okazji. Nigdy by tego nie zrobiła. Zawsze byłeś człowiekiem lepszym od niej i masz prawo domagać się, żeby traktowała cię tak, jak na to zasługujesz. Na klasę mężczyzny składa się znacznie więcej niż tylko rozmiar jego przyrodzenia i jeśli matka tego nie rozumie, może powinna zacząć wychowywać to dziecko na własną rękę.

Erny pokręcił głową.

– Kocham ją, Leesho. Zawsze kochałem i nigdy nie przestanę. Na całym świecie nie ma i nigdy nie było dla mnie innej kobiety. I nigdzie się nie wybieram. Nie mam zamiaru porzucić ani tej ławki, ani samej Elony. Wypowiedzieliśmy słowa przysięgi małżeńskiej...

– Ale tylko ty jej dotrzymałeś – odparła Leesha.

Erny spojrział na córkę.



– A więc powinniśmy dotrzymywać obietnic, tylko jeśli inni to robią, Leesh? Wydaje mi się, że nie tego cię uczyłem.

– Zgadza się. – Leesha uśmiechnęła się i pochyliła, by pocałować ojca w sam czubek łysiejącej głowy, a następnie odwróciła się i weszła do komnaty, w której Elona rodziła dziecko.

– Przyj! – nalegała Darsy, która zajęła miejsce Leeshy między nogami jej matki.

– Prę, ty głupia krowo! – warknęła Elona.

– A więc kiepsko ci to wychodzi, podła, stara wiedźmo.

– Nigdy się nie dowiesz, jak to jest! – parsknęła Elona. – Na widok twojej paskudnej gęby każdemu facetowi obwiśnie fiut!

Darsy poczerwieniała, jednak okazała na tyle zdrowego rozsądku, by powstrzymać się od riposty. Przywykła do tego, że samym wyglądem onieśmiela innych, ale nikt nie potrafił awanturować się tak jak Elona. Bez względu na to, co powiedziała, matka Leeshy potrafiła się odciąć czymś o wiele gorszym.

– Bądź jak palma i uginaj się, żeby wiatr nie zrobił ci krzywdy – poradziła Favah. – Everam nie sądzi kobiet podle tego, co wyrzucają z siebie podczas porodu.

– Nie znasz mojej matki, jeśli myślisz, że mówi takie rzeczy tylko dlatego, że akurat rodzi – odparła Leesha.

Favah wyglądała, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale Elona nagle zaryczała jak niedźwiedź, a Darsy zawołała:

– Widzę główkę!

Leesha podbiegła bliżej i ostrożnie odsunęła wdzięczną Darsy na bok. Wreszcie widać było czubek główki z jasnobrazowymi włoskami. Leesha zaczęła masować brzuch Elony, by ułatwić maleństwu wyjście.

– To już prawie koniec, mamó! Musisz jeszcze raz...

– Jeśli powtórzysz „przyj”, przysięgam na Stwórcę, że...

– Rób, co chcesz, bylebyś parła! – warknęła Leesha.

Elona zacisnęła zęby. Jej twarz poczerwieniała z wysiłku, jakby jej policzki lada moment miały trysnąć krwią. Potem wyszła główka dziecka, a po chwili reszta ciała.

– Mam je! – zawołała Leesha i pospiesznie oczyściła małe usta

i nosek, choć nie było to konieczne.

Maleństwo poruszyło się w jej ramionach i zapłakało głośno, a Leesha poczuła, jak w jej oczach również pojawiają się łzy.

– Nigdy nie przestanę kochać tego dźwięku!

– Poczekaj chwilę – wysapała Elona. – A obie będziemy... będziemy miały go dość...

Leesha zignorowała słowa matki. Przesuwała wrażliwymi palcami po skórze noworodka, sprawdzając puls, odcień skóry, siłę i tempo oddychania. Favah w tym czasie z wprawą zawiązywała pępowinę i przecinała ją ostrym nożykiem.

Leesha założyła okulary, po czym wejrzała głębiej w aureę dziecka. Znowu zaszlochała. Elona robiła okropne rzeczy i mówiła jeszcze gorsze, ale to maleństwo miało czystą duszyczkę, wolną od trudów życia.

– Co się dzieje? – spytała ostro Elona na widok łez Leeshy. – Coś nie tak?

– Och, nie. Skądże. To takie... piękne...

– Przestań owijać w bawełnę! Chłopak?

Leesha pokręciła głową.

– Dziewczynka. Silna i zdrowa dziewczynka.

– Na noc, znowu? – Elona uderzyła pięścią o blat stołu. – Niech to szlag!

Myśli Leeshy pomknęły jednak daleko. Przypomniała sobie bowiem słowa Amanvah wygłoszone wiele miesięcy wcześniej, gdy Krasjanka rzucała kośćmi, by dowiedzieć się czegoś o narzeczonej Gareda. Powiedziała wówczas, że urodzi mu ona silnych synów, ale zastąpi go jego córka.

Mimo swego rozczarowania Elona wyciągnęła ręce po córeczkę. Leesha obwiązała ją czystą pieluszką i ułożyła na piersi matki.

– Jak ją nazwiesz? – spytała Favah.

– Selen. Po mojej matce.

Leesha nigdy nie widziała u swojej matki takiego spojrzenia. Czy to była miłość?

– Silne imię – uznała Favah.

Leesha przyjrzała się Krasjance, a potem podążyła za nią do

osobnego stołu, gdzie zajaśniały już wyjmowane z sakiewki kości, pokrywane teraz krwią z pępownicy. Wiedziała, że nie powinna się zbliżać, bo nie wolno przeszkadzać w takich chwilach, ale ciekawość przeważała i hrabina pochyliła się, by spojrzeć na wirujące *hora*.

Run drewna zbiegł się z runem cięcia.

– Rębacz – szepnęła ledwie słyszalnie, by słowa nie pochwyciły ani Darsy, ani jej matka.

Favah przytaknęła.

– Jiwah Ka barona będzie zadowolona, że jego pierwsze dziecko to dziewczynka – odparła.

Nie sądzę, żeby naprawdę się z tego ucieszyła, pomyślała Leesha, ale zatrzymała tę myśl dla siebie i przyjrzała się innym symbolom.

– Hej! – warknęła Elona. – Myślicie, że głupia jestem? Dobrze wiem, co wy tam robicie! Też chcę spojrzeć.

Favah zebrała wszystkie kości i wepchnęła do sakiewki.

– Dość, że jedna *chin* patrzy na święte kości. Drugiej nie zniosę.

– No i? – spytała Elona, gdy Leesha wróciła do niej.

– To dziecko Gareda – powiedziała. Przez nikogo niezapraszany Erny otworzył drzwi w tej samej chwili.



Leesha wróciła do biura i zastała Araine przy swoim biurku. Staruszka pochyliła się nad stosem papierów w towarzystwie lorda Arthera, Pawła i Tarisy. Na kanapie po drugiej stronie komnaty siedziała Melny z Olive.

Co się stało z jej najbardziej zaufanymi współpracownikami? Araine przybyła zaledwie dwa dni temu, a już zajęła jej miejsce! Leesha otworzyła usta, by krzyknąć, kiedy Olive, licząca sobie zaledwie trzy miesiące, wyciągnęła rączkę i zacisnęła paluszki na dekolcie Melny, po czym podciągnęła się i wstała.

– Na Stwórcę! – zawołała Leesha i skoczyła ku nim, całkiem zapominając o gniewie.

– Wiem! – rozpromieniła się Melny. – Robi to od rana!

Olive odwróciła się i roześmiała z radością.

Leesha wiedziała, że powinna się martwić niespotykane szybkiem rozwojem Olive – wszak większość dzieci zaczyna się podnosić dopiero po ukończeniu dziewiątego miesiąca życia – a mimo to nie mogła powstrzymać uśmiechu. Olive była przecież niezwykła w każdym calu.

Niemowlę puściło skraj dekoltu Melny i wyciągnęło rączki ku Leeshy. Przez chwilę udało jej się utrzymać równowagę, ale małe nóżki szybko ustąpiły i Olive usiadła na pupie. Znowu roześmiała się głośno. Leesha poderwała ją i ucałowała.

– Poznałam dziś twoją ciocię. W tym tempie zaczniesz biegać, zanim ona nauczy się turlać.

W odpowiedzi Olive złapała Leeszę za nos.

Zaszeleściły papiery i Leesha spojrzała na biurko, gdzie Araine nadal była pochłonięta lekturą, szepcząc jednocześnie coś do Pawła, który zapisywał jej słowa z uwagą. Arther i Tarisa mieli przynajmniej na tyle przyzwoitości, by spojrzeć na Leeszę z poczuciem winy.

– Pani! – Pierwszy minister uklonił się, gdy Leesha ruszyła ku nim z dzieckiem na ręku. – Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko.

– Czy to jedyne wytłumaczenie tego, że zламаłeś dane mi słowo? – spytała ostro. – Przysięgałeś, że księgi rachunkowe Zakątki są zamknięte!

– Phi! – Araine uniosła w końcu głowę. – Sama powiedziałaś, że tajemnice państwowe już nie istnieją.

– Tajemnice państwowe Angiers! – parsknęła Leesha. – A jesteś u mnie! W Zakątku!

– Nie pokazałem księżnej niczego ważnego! – rzekł Arther obronnym tonem. – Księżna matka chciała zajmować się swoimi uchodźcami...

Araine machnęła dłonią i Arther zamilkł.

– Nie spodziewasz się chyba, że przez cały dzień będę siedzieć i masować brzuch Melny, Leesha – oznajmiła księżna. – Nie pomogę ci na polu bitwy. Nie umiem kreślić runów, zajmować się chorymi ani rodzić dzieci, ale na tym akurat się znam.

Leesha wypuściła powietrze z płuc. Miała prawo wściec się na wszystkich, lecz nie mogła zaprzeczyć, że potrzebowała pomocy, a nie było na świecie wielu ludzi, którzy mieli więcej doświadczenia w zarządzaniu miastami od księżnej matki.

– I jakie wnioski wyciągnęłaś?

– Że twoje serce jest o wiele większe od twojego skarbcza – odparła Araine. – To prawdziwy cud, że Zakątek nie zbankrutował, skoro okazujesz tyle hojności wobec każdego żebraka, który tu dociera.

Leesha odwróciła się ku Artherowi i zmrużyła oczy.

– Nic ważnego, tak?

Pierwszy minister wyglądał, jakby chciał się zapaść w głąb swego nakrochmalonego kołnierza. Leesha w istocie potrzebowała pomocy w zarządzaniu Zakątkiem, ale nie chciała, by Araine dowiedziała się, że gospodarka jej państwa trzeszczy w szwach. Wszak musiała prowadzić wojnę na wielu frontach.

– Samo to, ile zrobiłaś dla moich ludzi w ciągu raptem dwóch dni, już wiele mówi o twoim zarządzaniu – stwierdziła Araine. – Nie trzeba geniusza, żeby odgadnąć, że wydajesz klaty szybciej, niż je wybijasz i lakierujesz.

– Przestaliśmy je lakierować wiele miesięcy temu.

Olive szarpnęła Leeszę za sukienkę. Kobieta uwolniła pierś i podsunęła sutek niemowlęciu, na co Arther wydał stłumiony odgłos i odwrócił się tak szybko, że mało nie zrobił sobie krzywdy.

– Tak czy owak... – Araine wskazała papiery i rozłożyła bezradnie ręce.

– A czego się niby spodziewasz? – spytała ostro Leesha. – Mam dopuścić do tego, żeby twoi rodacy głodowali na granicach mojego państwa? Mam ich potraktować tak jak ty Rizończyków, którzy zebrali u twoich bram?

– Oczywiście, że nie! – odparła księżna. – Gdybyś mi bez przerwy

nie przerywała, dowiedziałybyś się, że próbuję właśnie wygłosić komplement, dziewucho! Tańczysz na ostrzu noża, a tymczasem w Zakątku nikt nie głoduje! – Staruszka pokręciła głową. – Wiesz, że po śmierci mojego ojca pierwszy Rhinebeck doprowadził Angiers do bankructwa, żeby zyskać poparcie możnowładców w walce o tron?

– Rojer kiedyś mówił coś o tym – stwierdziła Leesha.

– Minstrelom akurat bym nie ufała, bo to urodzeni łgarze – odparła Araine. – A co konkretnie od niego usłyszałaś?

– Że pierwszy Rhinebeck wymyślił maszynę do wybijania klatów i zatrzymywał jeden z pięciu dla siebie.

– O wiele więcej niż jeden – parsknęła Araine. – Opłacił kogo należało i zachował tron, ale państwu nie na wiele się to zdało, bo stary pajac wkrótce umarł, a w skarbcu, który pozostawił swojemu synowi i mnie, znajdowały się tylko księgi z należnościami do zapłaty i zapach zgnilizny. Mój Rhinebeck zainteresowany był głównie polowaniem i zaciąganiem dziwek do łóżka, przez co ja i Janson mieliśmy masę roboty. Udało nam się jednak utrzymać niewypłacalność miasta w tajemnicy do chwili, gdy znów stanęło na nogi. – Staruszka wyciągnęła pomarszczoną dłoń i zacisnęła ją na rękę Leeshy z zaskakującą siłą. – Poradziłaś sobie lepiej ode mnie, dziewczę. Powinnaś być dumna z siebie. Moje miasto przepadło, być może na zawsze. Nie chcę twojego tronu ani dla siebie, ani dla dziecka Melny, ale jeśli pozwolisz, pomogę ci.

Komnatę zalewały strumienie światła słonecznego i Leesha nie mogła zwrzeć do aury księżnej matki, ale wystarczyła jej szczerść w oczach arystokratki.



– Alagai Ka – rzekła Leesha.

– Rozprasza cię to, co chcesz zobaczyć. Do tego stopnia, że nie zwracasz uwagi na sąsiednie symbole – oznajmiła Favah.

Leesha zmrużyła oczy i przechyliła głowę, by spojrzeć na kości pod każdym kątem.

– Nowy – wskazała. – A tu narodziny. – Zastanowiła się. – Chodzi o wyląg? O młode demony umysłu?

Favah pokiwała głową.

– Co ci mówi ten rzut?

Leesha wiedziała, że stara Krasjanka już wyrobiła sobie własną opinię i jak zwykle poddawała hrabinę próbie. Czasem obie widziały te same rzeczy wśród rzuconych kości. Czasem Leesha popełniała błędy. Czasem zaś dostrzegały całkowicie różne wizje przyszłości, które wydawały się równie prawdopodobne w zależności od różnych zmiennych.

Leesha przyjrzała się rozrzuconym symbolom, dopasowując je do siebie, by utworzyć logiczną całość.

– Demon umysłu, który kontroluje Angiers, wysyła młode, żeby nas uwięzić, podczas gdy on sam zbiera moc.

W istocie ataki na obrzeża wielkiego runu przybrały na sile, skupiając się głównie na osadach z najsłabszymi runami. Co się wydarzy, gdy nadejdą demony umysłu i dzikie natarcia zamienią się w prowadzone z chirurgiczną precyzją uderzenia?

Favah ukloniła się.

– Zgadzam się. Jeśli chcesz wyprowadzić stąd jakikolwiek oddział przed Nowiem...

– Nie ma czasu do stracenia – dokończyła za nią Leesha.



## 34

### Włócznia Ala

334 ROK PLAGI

**C**zy miasto jest nietknięte, Par'chin? – spytał Jardir. – Nadal stoi?

– Tak. Bramy nadal są zamknięte. – Słowa przyjaciela były stłumione. Czy to możliwe, by Par'chin płakał? – Wygląda cudownie, Ahmann. Na Stwórcę, błyszczący jak samo słońce!

– Muszę się tam udać! – zdecydował Jardir. – I to teraz!

– Oczywiście, wuju – rzekła Shanvah. – Będziemy miały oko na więźnia. Alagai Ka nie umknie z niewoli.

Jardir skinął i odwrócił się tyłem do jej ojca i demona, po czym zaczął się rozbierać.

– Poczekajcie no, na Otchłań! – wrzasnęła Renna. – Zanim sobie tam popłyniesz i zostawisz mnie i Shanvah z pieprzonym Alagai Ka, może ktoś by mi wyjaśnił, co to takiego ta Włócznia Ala?

– To najwspanialszy *csar*, jaki kiedykolwiek powstał –



powiedział Jardir. – Wedle Evejah to forteca, którą wzniósł sam Kaji jako bazę do ataku w głąb Otchłani.

– Och... – zamrugła Renna.

– I dlatego sama rozumiesz, że muszę go zobaczyć! – Jardir nadal się rozbierał.

– Nie, nie rozumiem! – parsknęła Renna. – Sam mówiłeś, że nie wolno nam tracić czujności. Że powinniśmy trzymać się razem. Że nikt nie powinien zostać sam na sam z demonem.

– Siostrze! – odezwała się Shanvah. – Przecież to Włócznia Ala...

– Nie jestem głupia, Shanvah. Już wiem, co to jest, i kapuję, czemu to dla was takie ważne – odparła Renna i przeniosła wzrok na Jardira. – Ale stoi tam od trzech tysięcy lat i pewnie nie wyniesie się w ciągu kilku następnych godzin, bo mniej więcej tyle trzeba, żeby rozegrać to bezpiecznie.

Jardir zamrugał i spojrzał na Alagai Ka i Shanjata. Demon, choć zakuty w kajdany, nadal wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Dzięki mocy korony Jardira nie mógł usłyszeć ich słów, ale bez wątpienia potrafił czytać z ruchu warg, a reszty się domyślić. Czy to ten moment, na który czekał? Na tę chwilę, gdy Jardir, zachwycony perspektywą ujrzenia żywej legendy, straci czujność? Jardir przypomniał sobie ostatnią próbę ucieczki demona, która nastąpiła nagle i choć byli przygotowani, przejął Shanjata i niemalże pokonał całą czwórkę.

Odwrócił się więc ku Rennie i ukłonił nisko.

– Proszę o wybaczenie. Masz oczywiście rację. Nie ma nic ważniejszego od Alagai Ka. Dziękuję ci, że przypomniałaś mi, żebym przedkładał Pierwszą Wojnę nad swoje osobiste pragnienia.

– W porządku – burknęła Renna. Jej aura zdradzała, że dziewczyna miała wielką ochotę na awanturę, a nagła uległość ze strony Jardira wyprowadziła ją z równowagi. – Nie ma sprawy. Polecam się na przyszłość.

Shanvah pozostawiła na sobie jedynie zawój na głowie, zasłone oraz bido, po czym pogrążyła się w wodzie, by zacząć zbierać robaki. Jardir nie mógł się nadziwić, ile magii kryły w sobie te stworzenia, ale mimo to niecierpliwie przebierał nogami na skraju

sadzawki i czekał, aż dziewczyna zakończy pracę.

W całej ich grupie Shanvah miała najciemniejszą aurę, przez co najmniej spośród nich przyciągała uwagę robaków. Rozsądek nakazywał więc, by to ona oczyściła drogę, a Jardir wraz z *jiwah* Par'china zajęli się pilnowaniem więźnia, lecz jego mięśnie były napięte. Z trudem panował nad emocjami. Miał ochotę pięściami porozbijać skały, by jak najszybciej stanąć przed Włócznią Ala.

– Na Stwórcę – warknęła Renna, wgrzając się w jednego z robaków. – Smakują lepiej niż ten twój kuskus.

Jardir wierzył w jej słowa, gdyż aura dziewczyny jaśniała z każdym kęsem. Jedząc, przejmowała bowiem moc robaka. Przyszło mu do głowy, iż być może wszyscy powinni pójść w jej ślady, ale nie dość, że robiło mu się niedobrze na samą myśl o spożywaniu tych podziemnych istot, bez wątpienia skażonych przez Nie, to jeszcze w ogóle nie czuł głodu. Marzył tylko o tym, by stanąć przed bramami Włóczni.

Jeden z robaków, który desperacko próbował powrócić do wody, wygrzebał się z muszli i popęzł w kierunku Alagai Ka, wpatrującego się w niego pożądliwym wzrokiem.

Shanvah pozostawiła większość swojej broni w zasięgu ręki na skałach. Jardir złapał jeden nóż i przybił robaka do ziemi, zanim ten znalazł się w pobliżu szponów bestii. Aura Alagai Ka była słaba i nie mogli dopuścić do tego, by demon wchłonął choć odrobinę mocy.

Plusnęła woda, ale zamiast Shanvah wynurzył się Par'chin, który wciągnął łapczywie powietrze i ruszył ku nim. Na jego ciele widniało wiele płytkich skaleczeń, lecz magia mężczyzny była silna i ślady już nikły.

Jardir spojrział na przyjaciela, ale Par'chin skupił całą uwagę na demonie. Zbliżał się do Alagai Ka niczym drapieżnik podchodzący zdobycz, aż gwałtownie pochwycił demona za gardło, powlókł w stronę przykutego Shanjata i oparł obok wojownika.

– Wciąż żyję – warknął.

Alagai Ka omiótł jego mokre ciało spojrzeniem.

– Jak widać.

– Próbowałeś mnie zabić, co? – pytał ostro Par'chin. – Wiedziałaś, że w tej wodzie roi się od tych robali!

– Odpowiedziałem na każde twoje pytanie zgodnie z prawdą, Odkrywco – uśmiechnął się Shanjat. – Możesz obwiniać tylko siebie o to, że zadałeś ich za mało. Jestem twoim więźniem, a nie przyjacielem.

– Demony nie mają przyjaciół – warknęła Renna.

– I dzięki temu jesteśmy silniejsi! – Shanjat mierzył wzrokiem Jardira. – Nie zdarzają nam się sentymenty, które zmuszają nas do idiotycznych zachowań.

– Mnie akurat przyjaciel uratował przed głupotą, demonie – rzekł Jardir. – Twoje słowa są dla mnie obojętne. Nie ma w nich jadu ani trucizny.

Shanjat mrugnął do niego.

– Póki co.

Par'chin wyprostował się, nabrał głęboko tchu i rozprostował zaciśnięte mocno pięści. Odwrócił się ku Jardirowi.

– Jeśli będziesz płynął wystarczająco szybko, pozostałe robaki nie zdążą się do ciebie przyssać. Tunel wiedzie zaś prosto jak strzelił.

Jardir skinął. Zdjął płaszcz i wszedł do wody, ubrany jedynie w bido oraz z koroną na skroniach, ściskając w dłoniach Włócznie Kajiego.

W chwili gdy jego broń dotknęła wody, natychmiast poczuł przyciąganie wielkiego *csar*, które odbiło się echem w całym jego ciele. Zgromadził moc we włócznie i zanurkował. Jego niezwykła broń ciągnęła go przed odmętą równie łatwo jak przez powietrze, aż dotarł do drugiego końca tunelu.

Wyszedł na brzeg, ociekając wodą, nie zważając na porzucone przez Par'china skorupy, które pękały i kruszyły się pod bosymi stopami. Nie czuł niczego, nie pamiętał o niczym, a widział tylko Włócznie Ala. Mury lśniły w ciemności i emanowały niezwykłą mocą. Jardir padł na kolana.

A więc to prawda.

Święte pismo Evejah narzucało porządek w życiu jego rodaków

od tysięcy lat. Bez wątpienia klerycy zaczęli z czasem dodawać rozmaite ozdobniki do jej treści i wyolbrzymiali to, co samo w sobie było wspaniałe, jednak to, co stanowiło sedno wiary Jardira, właśnie okazało się prawdą. Stał i patrzył na dowód. Kaji dotarł w to miejsce. Był tu i zbudował bastion broniący przed siłami ciemności, bastion, który stał tu od ponad trzech tysięcy lat.

Wspomniał słowa Par'china i uświadomił sobie, że odczuwany przezeń zew przypomina ten, który wabił jego przyjaciela do Otchłani. Korona Kajiego pulsowała na skroniach. Jardirowi wydała się kluczem, który łaknie, by wreszcie wsunąć go do zapomnianego od setek lat zamka. Czuł, że wewnątrz tych murów zawładnie jeszcze większą mocą. Stanie się potężny niczym ręka Everama, a wówczas biada temu, kto stanie mu na drodze.

Shanvah wynurzyła się chwilę później i ukłęknęła obok Jardira, zapominając o swej nagości.

– Wybawicielu – szepnęła.

Jardir ujął ją za rękę i ścisnął delikatnie.

– Siostrzenico.

Chciał powiedzieć więcej, ale czy istniały słowa, które w jakikolwiek sposób mogły oddać to, co mówiły im zmysły? Usta Shanvah poruszały się lekko, gdy odmawiała cichą modlitwę.

Jardir zamknął powieki i rozpoczął własną.

Everamie, jeśli kiedykolwiek uznałeś mnie za swojego wybranego sługę, obdarz mnie siłą i godnością, abym mógł stawić czoła czekającym mnie wyzwaniom. Daj mi moc, bym osiągnął sukces tam, gdzie nawet wielki Kaji nie podołał. Nie mam ze sobą zbrojnych legionów, ale...

Urwał i znów zacisnął dłoń na rękę Shanvah.

Ale wciąż mogę liczyć na zaufanie i wsparcie moich towarzyszy, tych, których sam wybrałeś.

Woda za ich plecami wzburzyła się i zafalowała. Zerwali się na widok Shanjata, który wyłonił się z odmetów z Alagai Ka na plecach. Demon zasyczał i odwrócił głowę na widok Włóczni Ala. Najwyraźniej w obliczu mocy Everama opuściła go śmiałość.

Chwilę później pojawiła się Renna am'Bales.

– Arlen wlecze nasze toboły. Niedługo tu będzie.

Jardir pokiwał głową i podszedł do Alagai Ka.

– Co wiesz o tym miejscu? – spytał.

– Tylko tyle, że jest przeklęte – odparł demon ustami Shanjata. – Nawiedzone. Nie znajdziecie tu ani chwili wytchnienia.

– Oszczędź mi tych kłamstw i wykrętów! – warknął Jardir. – Bramy są zamknięte. Stąd to wyczuwam. Forteca zaś nadal stoi. Jak to możliwe?

– Czekaliśmy – odrzekł demon. – Czekaliśmy, aż ów Jedyny, ten wasz cały Kavri, powróci na powierzchnię, żeby zebrać jeszcze więcej niewolników do walki.

Jardir zacisnął dłonie na drzewcu włóczni z taką siłą, że aż pobielają mu kłykcie.

– I co się wydarzyło?

– Nie potrafiliśmy naruszyć wielkiego runu *csar* waszego przodka – wychrypiał Shanjat – ale połączyliśmy nasze moce i zawaliliśmy tunel, przez który przeprowadził swoją armię. Zniszczyliśmy mosty i odcięliśmy drogi zaopatrzenia. Gdy armie Kavriego powróciły do tunelu, droga na zewnątrz była zawalona. Jego wojownicy zostali uwięzieni pod ziemią. Ależ się wściekał! Ależ się miotał. Robił wszystko, żeby powrócić do swoich ludzi, żeby... – Na twarzy Shanjata pojawił się zły uśmiech. – Żeby ich wybawić. Niestety, był skazany na porażkę.

– A jego ludzie w środku? – spytał Jardir.

Shanjat wzruszył ramionami, jakby nie byli niczym wartym uwagi.

– Skoro zostali pozbawieni wsparcia, nasi niewolnicy bez trudu odzyskali bądź zniszczyli dolne tunele. Odpierali też kontrataki z *csar* do chwili, gdy wasi wojownicy byli już nazbyt przeredzeni, by nadal stawiać opór. Cofnęli się wówczas i na zawsze zatrzasnęli bramy *csar*.

Jardir poczuł ucisk w piersi i uświadomił sobie, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

– A więc ktoś mógł przetrwać?

– Już dawno zginęli z głodu albo zostali pożarci przez ogary

bojowe! – Shanjat obnażył zęby. – Paskudna śmierć, która nikomu nie przynosi chwały. Choć niewykluczone, że pozostało im na tyle zdrowego rozsądku, żeby paść na własne włócznie.

– Mogli jeść święty kuskus! – Jardir wiedział, że nie powinien się ludzi, ale nie potrafił się oprzeć nadziei.

– Przez pięć tysięcy lat? – parsknął Shanjat.

– Jeśli mieli ze sobą kobiety...

Nie było przecież wątpliwości, że w *csar* przynajmniej rezydowały kapłanki, których zadaniem było przepowiadanie przyszłości.

– O kurewstwie *dama'ting* krążą legendy, ale nawet to nie zapewniłoby im przetrwania.

Shanvah zacisnęła dłoń na włócznie, słysząc bluźnierstwo, ale Jardir zdławił gniew.

– To tylko słowa, księżę kłamstw. Sami się przekonamy, jak wygląda sytuacja.

W końcu z wody wyłonił się Par'chin, wlokąc ich bagaże. Stał na brzegu i rozejrzał się.

– Na noc – burknął.

Ton jego głosu obudził niepokój w sercu Jardira.

– Co się dzieje, Par'chinie?

Przyjaciel przyglądał się skałom.

– Zostawiłem tam skóry przeżutych robaków. Co się z nimi stało? Przecież upłynęły zaledwie dwie godziny!

Jardir rozglądał się zaskoczony. On również uświadomił sobie, że pozostały jedynie skorupy.

– Padlinożercy?

Jakby w odpowiedzi, z oddali dobiegło wycie, które zmroziło mu krew w żyłach. Shanjat przestał się uśmiechać.

– Powinniśmy stąd uciekać, zanim dopadną nas bojowe ogary. W przeciwieństwie do waszych wojowników psy przeżyły, żywiąc się zabitymi niewolnikami, a gdy tych zabrakło, zwróciły się przeciwko swoim panom.

– Nocne wilki to dla nas nie pierwszozna – rzekł Par'chin.

– Ale nie te, Odkrywco – odparł Shanjat.

Jardir pokręcił głową.

– Nigdzie stąd nie idziemy, póki nie zajrzę do wnętrza Włóczni Ala.

– W życiu nie widziałam miejsca z mocniejszymi runami – stwierdziła Renna. – Demon od razu wyzionie tam ducha, a nie możemy go przecież zakuć w kajdany i wrzucić do jakiejś dziury!

Par'chin westchnął.

– Idź tam, Ahmannie, ale nie sam. Weź Shanvah. Renna i ja będziemy strzec więźnia.

Milcząca Shanvah ukloniła się nisko.

– Par'chinie, to ty powinienes się udać z moim błogosławionym wujem.

– Nie będę kłamał i mówił, że nie mam na to ochoty. – Par'chin potrząsnął ze smutkiem głową. – Ale to nie moja rola. To, co przeżyłem w Słońcu Anocha, wiele mnie nauczyło. Nie ma miejsca równie świętego dla twojego ludu jak to, Shanvah. Ten, kto pierwszy przestąpi jego próg po tylu latach, powinien być sługą Everama.

– I tak będzie – zgodził się Jardir. – Albowiem ty i twoja *jiwah* poświęcacie wszystko dla Pierwszej Wojny i jesteście sługami Everama w tym samym stopniu co inni, bez względu na to, czy to widzicie, czy też nie. Shanjat również, choć jego nogami porusza księżę kłamstw.

– Wielki run mnie zabije! – zasyczał Alagai Ka. – A przecież mamy jeszcze wiele mil do przemierzenia, Dziedzicu. Nadal mnie potrzebujesz!

Jardir uśmiechnął się.

– Bój się, ojciec zła, bój. Mogę cię osłonić mocą mojej korony, a ty wiedz, że każdą chwilę swojego życia zawdzięczasz mojej łasce i cierpliwości.

– A jeśli cierpliwość opuści cię choć na moment, zginę! – zaprotestował Alagai Ka. – Spali mnie wielki run!

– Cóż, może być i tak. – Jardir wzruszył ramionami. – *Inevera*.

Wycie przybrało na sile, gdy zbliżyli się do *csar*. Obce stworzenia krążyły wokół nich od dłuższej chwili, upewniając się, że są

samotni i bezbronni.

A potem ucichły niczym śmierć. Jardir wyczuwał ich obecność jak *alagai* w Labiryncie, ale nie dostrzegał żadnego z nich, choć dzięki koronie widział o wiele więcej i dalej.

Alagai Ka syczał, wił się i wiercił przez cały czas. Rzadko się zdarzało, by demon zdradzał aż tyle w swojej aurze, ale jego lęk był teraz zauważalny, wręcz namacalny.

Jardir zaś był niebywale podekscytowany. Każdy kolejny krok wzmacniał więź między nim a miastem. Miał przemożne wrażenie, że przemawia do niego, że snuje opowieść niczym wiatr świszczący wśród skał na pustyni.

Odwrócił się do Par'china.

– Czy o to ci chodziło, gdy mówiłeś, że Słońce Anocha do ciebie przemówiło?

Spodziewał się, że przyjaciel przyłączy się do jego zachwyków, ale Par'chin zatrzymał się, przechylił głowę i pokręcił nią.

– W Słońcu Anocha czułem się jak część czegoś większego. Tu zaś wyczuwam moc, ale nic do mnie nie mówi.

Jardir spojrzał na pozostałych, lecz wnet się przekonał, że nikt poza nim nie odczuwa tej samej więzi. Klejnoty jego korony pulsowały, a on wiedział, że gdzieś w środku fortecy odpowiadają im inne, wycięte z tego samego kamienia, zasilane kośćmi tego samego księcia demonów.

W chwili gdy weszli w obręb wielkiego runu, poczuł, jak jego moc spowija go niczym druga skóra, gotowa spełnić każdą wolę i każdy kaprys.

– I jak niby mamy dostać się do środka? – spytał Par'chin, wpatrując się w wielkie zamknięte wrota. – Wspinamy się?

– To nie będzie konieczne, Par'chin. – Jardir machnął włócznie od niechcienia, a ogromne wierzeje drgnęły, otwierając się na ich powitanie.

Za ich plecami od skalnego podłoża odbił się echem łoskot wielu pazurzastych łap. Jardir zerknął przez ramię, jednak niczego nie dostrzegł.

Demon warknął cicho.



– Szybko! – zawołał Shanjat. – Zaraz nas dopadną!

Jardir nie ufał demonowi, ale aura księcia Małżonka emanowała prawdziwym lękiem. Alagai Ka zasyczał znowu, gdy przekraczali próg i wbiegali do miasta. Jardir odwrócił się, by zamknąć wrota kolejnym machnięciem włóczni, zdążył jeszcze zauważyć materializujące się pyski przed sobą.

Stworzenia niewiele przypominały psy, mimo to je rozpoznał. *Gwilji*, czyli pustynni biegacze, były w Krasji popularną rasą i wojownicy chętnie szkolili je do polowań oraz obrony kobiet i studni. Te, które ujrzał, były jednak o wiele większe od jakiegokolwiek *gwilji* w Krasji. Kłapały zębami i toczyły pianę z pysków niczym wygłodzone, doprowadzone do szaleństwa psy rzucane do jam, gdzie toczyły walki na śmierć i życie.

Najbardziej przerażające jednak było to, że stworzenia praktycznie nie miały ciał. Wydawały się składać jedynie ze szczęk i pazurów, które unosiły się jeszcze przez moment w ciemności, aż znikły, gdy zatrzasnęły się bramy.

– A cóż to było, na mrok nocy? – spytała Renna.

– Przypuszczalnie największe marzenie Evina Rębacza – odparł Par'chin. – To dlatego pozwala Cieniowi żreć mięso demonów.

Shanjat pokręcił głową.

– Nie macie pojęcia, z czym przyszło się wam zmierzyć, Odkrywco. Te stworzenia polują i mnożą się w absolutnych ciemnościach od tysiącleci. Moc, którą ty ledwie rozumiesz, jest dla nich równie naturalna jak oddychanie.

– To nie ma znaczenia – odparł Jardir. – Tu nam nie zagrażą. Nic nam tu nie zgrozi.

W istocie, przepełniała go ogromna moc, gdy prowadził ich przez labirynt cichych ulic. Umysłem obejmował cały wielki run, każdy ciemny kąt, każde drzwi, ścianę oraz dach. Choć nigdy wcześniej tu nie dotarł, znał to miejsce na wylot, równie dobrze jak uliczki, na których się wychowywał. Wiedział już, że miasto było całkowicie opustoszałe. Wiedział również, gdzie szukać szczątków ostatnich mieszkańców.

Prowadził grupę do Sharik Hora.

Wystarczyło, by pomyślał, a ogromne drzwi same się otworzyły. Świątynia była pulsującym sercem *csar* i skupiała moc, dzięki której ulice i budynki były wolne od plugastwa, a mury stanowiły nieprzeniknioną przeszkodę. Alagai Ka wił się na plecach Shanjata, wczolgując się głębiej w szatę wojownika.

Podobnie jak w świątyniach w Lennie Everama oraz Pustynnej Włóczni, wnętrza Świątyni Kości Bohaterów zostały udekorowane szczątkami poległych *Sharum*. Ich *hora* układały się w skomplikowaną mozaikę na ścianach. Dywany i gobeliny, w których misterne wzory wszyto pasma farbowanych ludzkich włosów, wydawały się nietknięte od tysiącleci, a ich kolory nadal były wyraźne i jaskrawe. Ławy, krzesła i stoły, również zbudowane z ludzkich kości, także powleczono ludzką skórą. Każdy element wyposażenia został dodatkowo wzmocniony runami, a te zachwycały starannością i pięknem wykonania. Niektóre wyryto w kościach, inne utkano z włosów, a jeszcze inne wymalowano krwią. Wszystkie one łączyły się w ogromną całość, spajały z sercem *csar*, a przez to z samym Jardirem. Moc Włóczni Ala unosiła się i falowała w harmonii z jego duszą.

Pozostali członkowie ich wyprawy również byli oszołomieni. Oczy Par'china wędrowały wszędzie, jakby chciał naraz obejrzeć wszystko, co oczywiście graniczyło z niemożliwością. Jego *jiwah*, przytłoczona przepychem świątyni, przyjęła inną strategię – podchodziła od jednej rzeczy do drugiej, przyglądała jej się uważnie, wykrzykiwała słowa zachwytu i szła dalej.

Ale Shanvah, wierna, lojalna Shanvah, patrzyła tylko na swego ojca, a Jardir, który spoglądał w jej aureę, widział, jak Shanjat unosi się nad nią niczym duch.

Dbą o jego sławę, uświadomił sobie Jardir. Bierze na siebie odpowiedzialność za jego czyny, nawet teraz, gdy Shanjat znalazł się pod kontrolą demona.

– Nie musisz się niczym przejmować, siostrzenico – odezwał się.  
– Przegnaj niepokój z serca. Tu, w tym miejscu, nawet Alagai Ka nie może nasz skrzywdzić.

Widział, jak jego słowa – słowa Shar'Dama Ka! – przechodzą

przez aureę dziewczyny. Shanvah pozwoliła sobie na kilka ukradkowych spojrzeń dookoła siebie, ale jej uwaga pozostała skupiona na ojcu oraz siedzącym na nim demonie.

Oczy bohaterów sprzed tysiącleci spoglądały na nich z wielkich kandelabrow, a bijące z nich światło opromieniało korytarze świątyni. Pojaśniały, gdy Jardir na nie spojrział, ale wystarczyła myśl, by znów przygasły. Bliskość korony rozbudzała świątynię, która gotowa była spełnić każde jego życzenie, jakby przemawiał świętymi słowy.

Z wydrążonych kości fontann wystrzeliły strużki świętej wody i w mig napełniły baseniki, o dziwo, nadal czyste. Jardir i reszta zaspokoiли pragnienie i natychmiast poczuli się pokrzepieni na ciele.

Dzięki mocom korony Jardir wyczuwał potęgę zaklętą w kościach, pulsującą w tym samym rytmie, co klejnoty na artefakcie. Patrzył wszak na szczątki tysięcy wojowników, którzy zginęli z imieniem Everama na ustach i Sharak Ka w sercach, tysięcy wojowników, których połączyła czysta, niczym nieskażona świadomość wagi ich misji, przepajająca teraz ich kości.

W przeciwieństwie do Sharik Hora wznoszonych na powierzchni, gdzie część mocy płonęła w promieniach słońca, te kości gromadziły moc od tysiącleci.

– Wszystko tu błyszczy, jakby ktoś codziennie sprzątał! – oznajmiła Renna. – A więc gdzie są wszyscy?

– Obawiam się, że właśnie na nich spoglądamy – rzekł Jardir, który szedł równym krokiem w stronę wielkiej, zwieńczonej kopułą sali, gdzie wierni zbierali się na modlitwę. Za wrotami wisiały klatki z kości, w których trzymano więźniów, oczekujących na sprawiedliwość Everama.

Jardir odwrócił się i spojrział na Alagai Ka, wciąż kulącego się ze strachu wśród szat Shanjata. Moc korony, większa niż kiedykolwiek wcześniej, pozwoliła Jardirowi dostrzec, że więź między demonem a jego przyjacielem stała się jeszcze silniejsza. Przypominała zakażenie, które szerzyło się tam, gdzie stykały się ich ciała, zlewające się teraz w jedno. Niemniej w tym miejscu

wiary i potęgi Jardir był w stanie zerwać ich więź jedynie siłą woli. Pstryknął palcami, a szaty Shanjata rozchyliły się. Poruszył palcem, jakby chciał zdrapać niewidzialny brud, a przerażony do granic król demonów odpadł od pleców wojownika niczym brudny bandaż, po czym zawisł w powietrzu.

– Nie wolno ci wejść do wewnętrznej świątyni, książę Nie. Nie wolno ci plugawić świętości Sharik Hora.

Machnął dłonią i demon pomknął ku wiszącej klatce, która posłuszna woli Jardira, otworzyła się na spotkanie więźnia i zatrzasnęła, gdy ten znalazł się w środku.

– I to go zatrzyma? – spytał Par'chin.

Jardir strzelił palcami. Od ścian oderwała się chmara runicznych kości, które otoczyły klatkę ze wszystkich stron, mierząc zaostrzonymi końcami w więźnia. Demon zasyczał, ale nie miał dokąd uciec. Stał jak zaczarowany w środku klatki.

– Nie ma na całej Ala mocniejszego więzienia, Par'chin.

Kości gęstniały niczym kolczasty krzak, aż demon znikł im z oczu.

– Ojciec zła nie ma teraz pojęcia, co się dzieje na zewnątrz klatki. Jeśli będzie próbował uciec, dowiem się tego, a cały *csar* powstanie wówczas przeciwko niemu.

Par'chin spoglądał na Jardira przez dłuższą chwilę.

– Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi, bo czasem zaczynasz mnie przerażać.

Jardir uśmiechnął się.

– Ty mnie też, mój *zahven*.

Par'chin spojrział na ogromne wrota prowadzące do sali modłów, które bezszelestnie otworzyły się przed nimi.

– Może na zewnątrz. Tu, w środku, nie mam wątpliwości, że jesteś Shar'Dama Ka.

Ahmann widział w aurze Par'china, iż ten o mało nie nazwał go Wybawicielem. Zauważył też to, że jego przyjaciel zaczyna wątpić zarówno w to, w co sam do tej pory wierzył, jak i w to, czym gardził.

Jardir położył przyjacielowi dłoń na ramieniu.

– Nie przejmuj się niczym, przyjacielu. Przełoń niepokój z serca.

Być może stałem się w tym miejscu Wybawicielem, ale nigdy bym tu nie dotarł bez ciebie.

Uścisnął go ponownie i odwrócił się ku wejściu.

Shanvah, która nadal trzymała dłoń Shanjata, teraz ujęła wojownika pod ramię.

– Chodź ze mną, ojcze.

Shanjat ruszył za nią, a wtedy dziewczyna wreszcie zaczęła przyglądać się otaczającym ją cudom. Otworzyła szeroko oczy, a potem błysnęły w nich łzy.

*Csar* nadal przemawiał do Jardira, a on uświadamiał sobie, że coraz to nowe rzeczy stają się dla niego jasne i oczywiste. Gdy spoglądał w aurę Shanvah, bez trudu dostrzegał to, co się wydarzyło w jej przeszłości. Widział lata, które spędziła w ciemnym Podpałacu. Widział, jak uczono ją bezlitosnej sztuki wojny. Widział przebłysk chwały i dumy, gdy nazwał ją *Sharum'ting*, które znikły, gdy poniosła porażkę w walce z *jiwah* Par'china. Potem dostrzegł kolejną chwilę chwały, gdy pokonali demony umysłu, które przybyły do Słońca Anocha, chwilę później zastąpioną przez rozpacz, gdy księżę Nie odebrał jej ojca.

Teraz jednak Alagai Ka był uwięziony w klatce i na obliczu Shanvah znów malował się zachwyty. Jardir zatrzymał się na moment, by zapamiętać go na zawsze, po czym odwrócił się i poprowadził resztę do środka. Za nimi ogromne wrota zatrzęsły się z głuchym hukiem, zamykając ich w najświętszym miejscu w Ala.

W sali wystarczyłoby miejsca dla wielu tysięcy wiernych, klęczących na ławkach z wypolerowanych kości, które ze wszystkich stron otaczały ołtarz. Na ołtarzu zaś wznosił się Tron z Czaszek, identycznym z tym w Lennie Everama, pokryty elektrum i wysadzany klejnotami, które pulsowały intensywnie w tym samym rytmie co na koronie Jardira, niczym kochankowie łaknący zbliżenia.

I podobnie jak w Lennie Everama obok Tronu z Czaszek znajdowało się łoże wysłane poduszkami, na którym spoczywało ciało starej kobiety, w rękach trzymała wykonaną z kości tubę na

pergaminy, zamkniętą wielkim rubinem.

Pozostali cofnęli się, gdy Jardir wszedł na ołtarz. Z daleka było widać, że kobieta nie żyje od dawna, ale jej ciało było dobrze zachowane dzięki świętej aurze tego miejsca. Pomarszczona skóra poszarzała, lecz wydawała się nietknięta zębem czasu. Można by wręcz odnieść wrażenie, że kobieta wyzionęła tchu raptem chwilę temu.

Miała na sobie białą szatę oraz czarny zawój, co oznaczało *Damaji'ting*. Była więc przywódczynią tych ludzi w dniu swojej śmierci. Być może ostatnią spośród nich.

Jardir uklęknął i wyciągnął rękę, by z czcią wziąć zwój. Ich dłonie na moment się zetknęły, a wówczas całe życie kapłanki przemknęło mu przed oczami. Urodziła się w *csar* i nigdy nie opuściła jego murów. Nigdy nie widziała słońca ani księżyca. Życie upłynęło jej na modlitwie i ciężkiej pracy. To ona kształtowała święte miejsce dookoła nich, cierpliwie, z mozołem dodając kości i skóry kolejnych ludzi, którzy umierali wokół niej. Ostatnie lata swojego życia przeżyła w całkowitej samotności, uwięziona w przepięknym więzieniu Sharik Hora.

Jardir zaszlochał, poruszony jej ofiarą. Przez chwilę miał wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by pochwycić jej duszę, podążającą samotną ścieżką, a wówczas usłyszał głos matki w głowie: „Chcesz ściągnąć kobietę, Narzeczoną Everama, z Nieba?”.

Tak, odpowiedział w myślach. Dla zwycięstwa w Pierwszej Wojnie był gotów nawet odebrać kobiecie miejsce w Niebie. Równie dobrze mógł zażądać ofiary z dziecka, które dorastało w łonie Renny am'Bales. Ale być może nie było to potrzebne, o ile w ogóle był w stanie dokonać czegoś takiego.

Jardir wypuścił więc dłoń zmarłej i wysunął trzymany przez nią zwój. Była to wydrążona kość udowa ogromnego wojownika, wypolerowana i naznaczona runami tak misternymi, że Jardir z podziwem pokręcił głową. Widział linie mocy i wiedział, że tuba jest niemalże niezniszczalna, a osadzony w niej klejnot uniemożliwiał jej otwarcie.

Jedynym człowiekiem, który mógł go usunąć, był ten, kto nosił Koronę Kajiego. Rubin na czole Jardira zapulsował, gdy palce mężczyzny zacisnęły się na klejnocie i odkształciły pasma magii łączące go z tubą.

W środku znajdował się pergamin, którego fakturę Jardir poznał doskonale podczas nauk w Sharik Hora. Ludzka skóra.

Na skórze bohatera kobieta wypisała ludzką krwią swoje ostatnie słowa, przeznaczone dla niego.

*Shar'Dama Ka!*

*Zwę się Kavrivah i jestem twoją praprawnuczką. Nigdy się nie spotkaliśmy, a mimo to noszę cię w sercu, odkąd byłam małą dziewczynką. Oto ostatni wolny pergamin, jaki znajduje się w csar. Wszystkie pozostałe zostały wykorzystane, by spisać historię Włóczni Ala od chwili, kiedy zostaliśmy odcięci od ciebie. Znajdują się teraz w bezpiecznej bibliotece, gdzie podobnie jak ten list czekają na wspaniały moment, gdy znów rozbijesz mury i odzyskasz to, co do ciebie należy, obojętnie, w tym życiu czy w kolejnym.*

*Wiedz, Wybawicielu, że choć cię zawiedliśmy, nigdy się ciebie nie wyrzekliśmy. Nigdy też nie przestaliśmy służyć Everamowi.*

*Zebrane historie opowiedzą ci o dziesięciu tysiącach Sharum, którzy strzegli Włóczni Ala podczas twojej nieobecności, dowodzeni przez twojego syna Sharacha i córkę Kavrivah, moją imienniczkę.*

*Niestety, alagai zawały tunele, a ich rozszalałe hordy zalały jaskinię. Sharach raz za razem próbował przejąć kontrolę nad zawałonym tunelem, ale przekopywanie się przez zwałowisko było trudnym zadaniem, a zajęci pracą wojownicy narażeni byli na ataki wroga. Każda kolejna wyprawa kończyła się stratami w ludziach, aż wśród poległych znalazł się również twój syn. Świadkowie twierdzą, że zginął w walce z alagai, Wybawicielu, z imieniem Everama na ustach. Inni wojownicy, którzy uniknęli śmierci w walce, byli porywani i odciągani w mrok, aż przestawali być widoczni nawet w blasku Everama. Stali się alamen fae i odtąd modliliśmy się za nich.*

*Pozostał ich niecały tysiąc, gdy Kavrivah nakazała zamknięcie*

*bram i rozpoczęła rządy. Niecały tysiąc wojowników i jedynie siedem dama'ting.*

*Każda z nich wzięła wielu mężów, chcąc za wszelką cenę uratować nasz rodzaj i przechować nasienie najmądrzejszych i najsilniejszych spośród nas. Nikt i nic jednak, ani mędrzy, ani prorocze kości, nie przewidzieli dnia, w którym gwilji zwróciły się przeciwko swym panom i wdarły do komnat, gdzie trzymaliśmy dzieci. Moja matka była jedyną kobietą, która ocalała, a ja jej jedyną córką.*

*Urodziłam wiele dzieci, Wybawicielu, i przeżyłam je wszystkie, co skwitować mogę jedynie słowem: inevera. Po dwustu jedenastu latach, które spędziłam na tym padole, nawet święty kuskus nie może już dać mi energii do życia.*

*Wiedz, Wybawicielu, że kocham cię z całego serca.*

*Niech Everam zawsze przez ciebie przemawia.  
Kavrivah vah Ajasht am'Kavri am'Kras*

Kras. Owiane legendami jedno jedyne plemię, które służyło Wybawicielowi, a po jego śmierci rozpadło się na frakcje, z których do dziś składał się naród Krasjan.

– Niech ci błogosławi Everam, przodkini, która wieczerasz w jego wielkiej sali w Niebie – szepnął. – Twoja ofiara doczeka się pieśni.

Wsunął pergamin do tuby, a tę zatknął za pas, po czym wstał i podszedł do Tronu z Czaszek. Gdy tylko na nim zasiadł, odniósł wrażenie, że korona na jego głowie buchnęła płomieniami. Wreszcie czuł, jak przepływa przez niego cała moc *csar* – wielkich runów, duchów poległych i samego Everama.

Wpuścił tę moc, ale nie ku ścieżce, którą Kavrivah odeszła ze świata żywych, ale ku innej, która wydawała się jeszcze bardziej odległa, a prowadziła z powrotem na powierzchnię Ala. Przez szumiącą, rozhukaną magię i dalej, przez Usta Otchłani na zewnątrz.

Na powierzchni trwała noc. Moc Jardira wędrowała z prędkością



myśli i błyskawicznie pokonała dystans.

– *Jiwah* – rzekł.

Głos Inevery rozległ się niemal natychmiast.

– Mężu, czy to naprawdę ty?

– Nie znałem twojego imienia do dnia naszego ślubu – oznajmił Jardir – choć wówczas uzmysłowiłem sobie, że tak naprawdę znam je od zawsze.

– Tęsknię za tobą, ukochany.

– I ja za tobą również, słońce mojego życia – szepnął Jardir. – Ale teraz muszę rozmawiać z Damajah. Dzięki mojej mocy połączę się teraz z Shanvah, Par’chinem i jego Jiwah Ka.

– Damajah! – ukłonił się Par’chin, choć Inevera znajdowała się tysiące mil stąd. – Wybacz, że zrzuciłem twojego męża z klifu.

Inevera zaśmiała się ponuro, choć nie był to niemiły dźwięk.

– Błagałam mojego męża, żeby pozwolił mi zatruć twoją herbatę w dniu, gdy przybyłeś do nas z włócznią skradzioną z grobowca Kajiego, Par’chin. Wiedziałaś o tym?

– Ahmann mi powiedział. – Par’chin pokiwał głową.

– Wielokrotnie żałowałam, że się wówczas powstrzymałam – ciągnęła Inevera. – Ale te dni minęły już dawno. Wszystko się dzieje z woli Everama. Zdarzyło się to, co zdarzyć się miało.

– No to jaki to wszystko ma sens, skoro nie mamy wyboru? – spytała Renna.

– Zawsze mamy wybór, Renno am’Bales – odparła Inevera. – Dzięki boskiej woli z nieskończonych wersji przyszłości wyłaniają się te konkretne, spośród których możemy wybierać, ale to on prowadzi nas ku właściwym wyborom niczym pionki na ogromnej planszy.

Renna wywróciła oczami, ale nie odezwała się już ani słowem.

– Uklęknij ze mną przed tronem – szepnęła Shanvah do ojca.

Oboje padli na kolana.

– Shanvah? – zawołała Inevera. – Siostrzenico, czy to ty?

– Nakazałaś mi udać się wraz z moim ojcem – powiedziała dziewczyna. – Kazałaś mi go słuchać i chronić podczas wędrówki. Powiedziałaś, żebym nie wracała bez Wybawiciela lub

wiarygodnych wieści o jego losie, nawet gdyby miało mi to zabrać tysiąc lat. – Oparła dłonie na posadzce i pochyliła głowę, by dotknąć czołem kości bohaterów. – Wykonałam jak dotąd swoje zadanie, Damajah, i będę nadal ci służyć, choćby przez tysiąc lat.

– Twoja chwała nie ma granic, siostrzenico – rzekła Inevera, a Shanvah zaczęła płakać w duchu.

– Chcę, żeby połączyła się z nami jeszcze jedna osoba – oznajmił Jardir.

Jedyną odpowiedzią było ciche westchnienie, gdy Inevera powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Masz na myśli Leeszę?

– To jakiś problem? – spytał Par'chin. – Bo trwa Sharak Ka.

– Twoje słowa kryją w sobie więcej prawdy, niż ci się wydaje, Par'chin – rzekła Inevera. – Thesa stoi w płomieniach. Ludzie giną, miasta się walą.

Par'chin otworzył szeroko oczy, ale Jardir nie dał mu już okazji, by znów się odezwać. Sięgnął dalej, aż odnalazł znajomą aurę Leeszy wiele setek mil od Otchłani i otoczył ją runami rezonansu.

Czy to tak funkcjonowały demony umysłu? Czy zawsze były połączone myślami? Cóż za osobliwy pomysł.

– Hrabino Leesho – odezwał się poważnie, zgodnie z ceremoniałem, choć w jego sercu obudziły się gorące emocje. Wszak Leesha urodziła mu dziecko i nie robił tajemnicy z tego, że zawsze będzie dla niego żoną.

Wszyscy usłyszeli jej westchnienie pełne zaskoczenia.

– Ahmann?

– Tak. I ja też – wtrącił Par'chin.

– A także ja i Shanvah – dodała Rennna.

– Oraz... – zaczął Jardir, ale jego Jiwah Ka dokończyła głosem, który mógłby ciąć jedwab:

– Oraz Inevera.



– Na Otchłań! – zawołał Par'chin, gdy dowiedział się o wydarzeniach na powierzchni.

– Oto Długa Noc Sharak Ka – zgodził się Jardir. – Niemniej jeśli potrwa dłużej i rzuci cień na źródło naszej mocy, Angiers i Dokowisko staną się niewielkimi zmartwieniami.

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby to zatrzymać. – Renna zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

– A słyszeliście coś o Miln? – Par'chin nie potrafił ukryć desperacji w swym głosie. – Choćby plotki?

– Demony odcięły nam kontakt z północą – rzekła Leesha. – Zwiadowcy zameldowali o ciągu wielkich runów *alagai* wśród wzgórz niedaleko Miln, ale jak dotąd żaden Posłaniec się nie przebił. Nie wiem, co się dzieje w Miln, ale pewne jest tylko to, że są tam skazani na siebie.

Rozległ się znajomy stukot kości Inevery. Wszyscy ucichli.

– Widzę miasto w górach – szepnęła Damajah. – Potęga Nie nie ma tam granic.

– Bez kości byś na to nie wpadła? – parsknęła Renna.

Shanvah spojrzała na nią z przerażeniem, ale Jardir, który był więźniem wyroków rzutów przez całe swoje życie, dobrze rozumiał frustrację *jiwah* Par'china.

– Odnajdź w sobie pokój, Renno am'Bales – rzekł, unosząc dłoń.

Inevera nie zareagowała na wybuch, skupiona na wydobywaniu kolejnych sekretów z kości.

– *Alagai* rozbiły wielki mur i wdarły się do miasta.

Par'chin zacisnął pięść, a Jardir poczuł, jak instynktownie zassał moc wielkiego runu. Bez większego wysiłku zatrzymał przepływy magii i spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Oddychaj, Par'chin. Pogódź się z bólem, ujarzmij go.

Jego *ajin'pal* pokiwał głową. Wbił wzrok w nicość, a napięte muskuły powoli się rozluźniały.

– Widzę, że miasto stało się Labiryntem *Sharum* – ciągnęła Inevera. – Widzę ludzi i *alagai* zwartych w walce o tron.

– A więc nadal walczą! – Renna złapała Par'china za rękę.

– Słudzy Nie spodziewali się, że łatwo ulegną, ale Everam ich nie

opuścił – dodała Inevera.

– Miln otoczone jest wieloma murami – stwierdził Par'chin. – Jeden ciąg wznosi się za drugim aż po górskie zbocze. Wszędzie pełno runów, mnóstwo miejsc na zasadzki i schronienie...

– Zaufaj swoim rodakom – poradził mu Jardir.

– Wiem, że Posłańcy są teraz na wagę złota, Leesho. – W głosie Renny pojawiła się nietypowa dla niej nieśmiałość. – Ale gdybyś mogła wysłać jednego do Potoku Tibbeta...

– Pchnęłam tam jednego zaraz po ataku – odparła hrabina. – Ale to daleka droga, nawet dla konia z runicznymi podkowami.

– Nawet gdyby pędził w linii prostej, nie dostaniesz odpowiedzi przed kolejnym Nowiem – westchnęła Renna.

Znów rozległ się stukot toczących się kości. Tym razem Renna am'Bales powstrzymała się od komentarzy, lecz milczenie ze strony Inevery przeciągało się.

– Co znowu? – warknęła, gdy nie mogła już wytrzymać napięcia. – Co tam widzisz?

– Niektóre wizje przyszłości nie są... – zaczęła Inevera.

– Na łajno demonów, przestań! – parsknęła Renna. – Odbieram o wiele więcej niż tylko słowa i wiem, że kłamiesz. Zobaczyłaś coś i nie chcesz tego powiedzieć, tak?

Inevera westchnęła.

– Masz rację. Przepraszam za moją próbę oszustwa, bo okrywa wstydem nas wszystkich. Błagam was o wybaczenie.

– Przestań już zawracać głowę i powiedz, co widziałaś.

Inevera znów westchnęła. *Jiwah* Par'china była czasami trudna do zniesienia, ale należało przyznać, iż często miewała rację.

– Widzę całą wieś, która tańczy niczym marionetki na sznurkach demonów. Widzę braci mordujących siostry i ojców zabijających synów. Widzę pustą kołyskę.

Ich narada ciągnęła się jeszcze przez kilka godzin, aż Jardir uzmysłowił sobie, że niedługo rozpocznie się dzień. Leesha i Inevera nie powiedziały na ten temat ani słowa, lecz wyczuł pierwsze szarpnięcie mocy, które wkrótce miało się przerodzić w niepokonaną siłę.

– Noc się przeciąga i nadchodzi świt – powiedział w końcu Jardir. – Być może to nasza ostatnia rozmowa i chciałbym zamienić kilka słów na osobności z moją Jiwah Ka.

Szybko się pożegnali, a Jardir usuwał ich z rozmowy równie łatwo, jakby gasił świeczki.

– Czy Asome i Asukaji zachowują się tak, jak należy? – spytał, gdy pozostał tylko z Ineverą.

– Obaj młodzieńcy sprawdzają się w roli przywódców. Lekcje, których im udzieliłeś, nie poszły na marne.

– Dobrze – odparł Jardir. – Robiłem wszystko, żeby cię uchronić przed Otchłanią, a tymczasem posłałem ją prosto na ciebie.

– Wytrwaj, ukochany. Nie ustaniemy w walce do chwili, gdy przebijesz serce Nie.

– Przez całe moje dorosłe życie towarzyszyły mi twoje rady – rzekł Jardir. – Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo na nich polegam.

– Czy w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że za mną tęsknisz?

– W ten sposób chcę ci powiedzieć, że się boję, *jiwah*. Ale teraz, gdy słyszę twój głos, lęk nie dokucza mi już tak bardzo.

– Och, ukochany – szepnęła Inevera. – Sam Everam nie potrafiłby przekazać prawdy lepiej od ciebie.



– Wybawicielu – odezwała się Shanvah i przytknęła czoło do posadzki. Shanjat u jej boku uczynił to samo.

– Powstań, siostrzenico.

Jardir wiedział, jakie pytanie zaraz usłyszy. Patrzył na wojowniczkę i widział, jak maskuje przerażenie, jak szuka w sobie odwagi, by się odezwać.

– Nie ma drugiego miejsca, w którym bylibyśmy równie bezpieczni przed knowaniami Alagai Ka – rzekła Shanvah, na co Jardir skinął głową.

– To prawda.

– A twoja moc jest większa niż kiedykolwiek wcześniej.

– Tak – zgodził się Jardir.

– Być może więc tu zdołasz uleczyć mojego ojca.

– Być może – zgodził się Jardir. – I co się stanie z naszym planem, jeśli podołam? Kto użyczy głosu Alagai Ka, który jest naszym przewodnikiem?

– Nie wiem – odparła Shanvah. – Nie jestem Wybawicielem, ale wiem, że z błogosławieństwem Everama wszystko jest możliwe.

– Wszystko jest możliwe – zgodziła się Renna. – Co nie oznacza, że jest wykonalne.

– Jeśli mój ojciec zostanie uleczoney, a Alagai Ka nadal będzie potrzebował głosu, oddam mu własny – stwierdziła Shanvah.

– Siostrzenico... – zaczął Jardir.

– Sama o tym decyduję – ośmieliła się mu przerwać Shanvah. – Mój ojciec nie miał takiej możliwości. Był wielkim człowiekiem, *kai* Włóchni Wybawiciela, a ja jestem zwykłą dziewczyną, która tonie w morzu jego chwały.

– W twoich słowach nie ma prawdy, Shanvah vah Shanjat – rzekł Jardir. – Twoja chwała jest równie niezmierna jak chwała twojego ojca. Nie wydaje mi się, żeby chciał, abyś odebrała mu szansę na poświęcenie się dla naszej sprawy.

Shanvah ujęła bezwładną dłoń ojca.

– A więc niech to on podejmie decyzję za nas oboje.

– Kiepski pomysł – stwierdziła Renna. – Shanvah zna przecież nasze sekrety.

– Jakie sekrety, Renno jiwah Arlen? – spytała Shanvah. – Że jesteśmy niczym świeczka wrzucona do bezdennej studni? Że się boimy? Demon już to wszystko wie. Kpi sobie z nas! Niech sobie przejmie moje sekrety, jeśli w ten sposób mogłabym uwolnić ojca od jego... jego śmierci za życia.

Jardir spojrział na Par'china, a ten skinął głową.

– Myślę, że ci się uda. Poza tym jesteśmy to winni Shanjatowi. Trzeba spróbować. Znajdziemy jakiś inny sposób, żeby demon przemówił.

– Dziękuję, Par'chin – rzekła Shanvah.

– Ale to nie tylko i wyłącznie sprawa mocy, Shanvah – powiedział Par'chin. – Uleczenie twojego ojca to trudne zadanie. Wręcz zagadka, w której wciąż nie mamy wszystkich elementów.

– Ale spróbujecie raz jeszcze? – błagała Shanvah.

Jardir pokiwał głową.

– Powstań, Shanjacie.

Jardir przyjrzał się szwagrowi. Uwolniony od wpływu Alagai Ka Shanjat wypełniał każde bezpośrednie polecenie, które usłyszał. Jego aura przypominała spokojną toń, a słowa rozkazu budziły na niej falę, która aktywowała pamięć mięśniową. Umysł mężczyzny dalej jaśniał rozmaitymi kolorami.

– Wyrecytuj Czwartą Diunę Evejah – rozkazał mu Jardir.

Gdyby Shanjat wciąż był sobą, takie polecenie sprawdziłoby go o wiele lepiej niż jakakolwiek bitwa, teraz jednak jedynie bezbłędnie, beznamiętnie wyrecytował każdy wers. Kolory jaśniały w umyśle Shanjata wraz z wypowiedzianymi słowami, ale rzucały też cienie.

– O! – odezwał się Jardir i wskazał coś. – Widzisz?

Kobiety stały kilka kroków dalej, zachęcony Par'chin podszedł bliżej, by się przyjrzeć.

– Widzę – rzekł.

Renna stanęła obok męża.

– Tak. Jak chmury na błękitnym niebie.

– Ja niczego nie widzę – oznajmiła Shanvah.

– Jest tak, jak się obawialiśmy – stwierdził Jardir. – Alagai Ka nie ograniczył się do zmiążdżenia woli twojego ojca. Zatrął również i zakaził jego umysł.

Shanvah pochyliła głowę.

– Czy duch demona przetrwał nawet tu, w samym sercu mocy Everama?

– To nie jego duch – wyjaśnił Par'chin. – Demon raczej pozostawił zapiski w umyśle Shanjata. Polecenia. Sygnały, co ma robić w poszczególnych sytuacjach.

– A więc uczynił z mojego ojca *gwilji*! – oznajmiła Shanvah.

W aurze *Sharum'ting* pojawiło się wyobrażenie jej samej, jak siedzi na Alagai Ka i bije go z furją, aż strumienie juchy strzelają w powietrze. – Zamienił w psa, którego wyuczył kilku sztuczek?

– Sama o to prosiłaś, siostrzenico – przypomniał jej Jardir. – Uzbrój się więc w cierpliwość i przygotuj na najgorsze.

Shanvah zdjęła woalkę i odprężyła się, co było zauważalne w jej aurze.

– Jestem skoncentrowana, wuju.

Jardir odwrócił się ku Shanjatowi.

– Z kim walczyłeś na turnieju podczas pierwszego festiwalu po tym, jak przejąłem Tron z Czaszek?

– Z Qeranem – odparł Shanjat.

W jego umyśle rozbłysły kolory, ale cienie pozostały mroczne.

– Dlaczego? – spytał Jardir. – Miałbyś większe szanse na wygraną, gdybyś wybrał Hasika, który wypił sporo *couzi*.

– Ponieważ dla Hasika zwycięstwo to za mało – odrzekł Shanjat.

– Nie ustąpiłby, dopóki nie okryłby mnie wstydem na oczach widzów. Wiedziałem, że Qeran pozwoli mi przegrać z honorem.

Dumny mężczyzna miałby opory z przyznaniem się do takiego toku myślenia, lecz pozbawiony własnej woli Shanjat wypowiedział te słowa bez wahania, równie łatwo, jakby recytował wersy Ewejah. Mrok nadal drzemał w jego umyśle.

– Kogo byś wybrał teraz?

Aura Shanjata wchłonęła pytanie i skrawek jego umysłu znów zapłonął kolorami, ale te zgasły po chwili, nie wywoławszy odpowiedzi.

– Shanjacie – odezwał się Par'chin – myślisz, że powinniśmy brnąć w głąb Otchłani czy też zawrócić na powierzchnię?

Wojownik znów zastanowił się nad pytaniem, ale je odrzucił.

– Tam! – Renna wskazała jakiś punkt, który znikł, nim Jardir zdołał skupić uwagę.

– Ojczy, czy demon zmusza cię do kłamstwa, żeby mnie zranić? – odezwała się Shanvah.

Ciemną otchłań przeszła iskra.

– Nie.



Shanvah zachowała równowagę, a w jej aurze panował spokój, ale Jardir wiedział, że to słowo będzie ją boleć przez wiele lat.

– Chcesz umrzeć? – spytała Renna.

Pytanie zapłonęło, lecz kolory znów przygasły na tle szarej ściany.

– Tam! – odezwała się Renna. – Widzicie? To tam demon zerwał jego wolną wolę.

Aura Shanvah nadal wskazywała, że niczego nie rozumie. Widziała co prawda, jak jaśnieje magia, ale nie nauczyła się jeszcze odczytywać niczego poza najbardziej oczywistymi emocjami.

– Co to oznacza? – spytała.

– Dusza twojego ojca nie wyruszyła jeszcze w drogę po samotnej ścieżce – rzekł Jardir. – Nic nie zostało mu odebrane. Wszystko to, co czyni go tym, kim jest, nadal się w nim znajduje. Jego wspomnienia, umiejętność, wszystko. Demon pozostawił je w spokoju, żeby móc z nich korzystać, ale odebrał mu wolę.

– Jego ciało jest więc więzieniem dla jego ducha – dokończyła za niego Shanvah.

– Co byś począł, gdyby życie Alagai Ka znalazło się teraz w niebezpieczeństwie? – spytał Jardir.

Zakażenie, które demon pozostawił w ciele Shanjata, zapłonęło nagle niczym błyskawica rozdzierająca niebo.

– Ochroniłbym go, chyba że zagroziłby mu ktoś z was – odparł.

– A więc nie wolno ci robić nam krzywdy? – Jardir był zdziwiony.

– Nie bez rozkazu.

– Jakiego rozkazu? – naciskał Jardir.

W odpowiedzi Shanjat wydał z siebie dźwięk, który dobiegał z głębi płuc, dźwięk przypominający połączenie warknięcia i syku, a przy tym tak potężny, że powietrze wydawało się dygotać.

– A gdybyś usłyszał ten rozkaz? – spytał Jardir, choć migotanie zakażenia pozostawionego przez demona zdradziło mu już odpowiedź.

– Mam zabić każdego na swojej drodze, łapać demona i uciekać.

Jardir wyciągnął rękę i dotknął głowy przyjaciela. Palce przemykały po równych, mocno zaplecionych warkoczach i dotykały

skóry między nimi. Zaiskrzyło, po czym Jardir pchnął swoją wolę w głąb ciała Shanjata.

Czuł umysł i ciało przyjaciela mniej więcej tak, jak przypuszczalnie czynił to Alagai Ka. Okaleczony przez demona Shanjat był jedynie marionetką, ale Jardir nie miał ochoty zaglądać w prywatne wspomnienia szwagra ani też ośmieszać jego ciała, zmuszając go do tańca. Zamiast tego wskoczył prosto do umysłu Shanjata i zaatakował zepsucie pozostawione przez demona.

Nie było to nic, na co nie odważyłby się wcześniej, ale jeszcze kilka godzin temu wszelkie ingerencje w umyśle przyjaciela przypominałyby dziabnięcia włócznią. Teraz zaś poruszał się delikatnie niczym nóż *dama'ting* starannie wycinający zgniłe fragmenty ciała.

Niemniej demon wykazał się nie lada sprytem. Nici Alagai Ka zostały wplecione w umysł Shanjata niczym liście palmy w koszyk i gdy Jardir zaczął je odcinać, uświadomił sobie, że zbyt wiele ubytków grozi poważnymi konsekwencjami. Zrozumiał, że musi zastąpić je czymś innym.

Ale czym? Czy sam również mógł sformułować rozkazy i zaszcześcić je w umyśle Shanjata? Czym by się to różniło od tego, co zrobił demon? Czy odzyskaliby wówczas dokładnie tego człowieka, którego utracili?

Przestał więc usuwać ingerencje demona i wycofał się, by skupić się na miejscu, w którym wola Shanjata została rozdarta. Bez trudu połączył brzegi rany własną wolą, ale wówczas dostrzegł na nich ślady manipulacji Alagai Ka, przypominające plamy brudnego oleju na tafli czystej wody. Za każdym razem, gdy Shanjat usłyszał rozkaz lub znalazł się w sytuacji opisanej przez demona, owe zabrudzenie ożywało i buchało płomieniami, które spajały ranę. Shanjat odzyskiwał wówczas częściowo swoją wolę.

Była to złożona, skomplikowana magia i Jardir być może potrafił podołać zadaniu, ale nie miał ku temu odpowiednich umiejętności. Odniósł wrażenie, iż bierze się do przepisywania księgi w obcym języku, z którego znał jedynie kilka słów.

Żałował, że nie ma z nim Inevery. Uzdrawianie było domeną *dama'ting*, a nikt nie opanował tej sztuki lepiej niż jego Pierwsza Żona. Ale czy nawet ona umiałaby stworzyć wolę z niczego? Czy potrafiłaby odtworzyć miejsce, w którym rodziło się pragnienie i przekształcało w działanie? Przecież wydawać by się mogło, że podolać temu zdoła jedynie Everam.

Pchnięty impulsem Jardir niespodziewanie zebrał moc i sięgnął ku niebu. Nie interesował go kierunek, nie zdawał sobie pytania, po co to robi. Pomknął w górę, najwyżej jak mógł.

Everamie, Stwórcu wszystkiego, co istnieje! – błagał. Pokaż mi sposób, żeby uleczyć mojego brata z choroby, którą zesłała na niego Nie. Daj mi siłę, żebym zdołał uwolnić go z ohydneho spaczenia!

Pomimo ogromnej mocy, która zgromadziła się we Włóczni Ala, nie zdołał dotrzeć do Nieba. Nie udało mu się usłyszeć Everama. Bóg, zwarty w wiecznej, niekończącej się walce z Nie, nie miał czasu na modły ludzi.

„O ile w ogóle nas słucha”.

Myśl podkradła się do Jardira niczym złodziej i umknęła jak tchórz, gdy sobie ją uświadomił. Chciał zepchnąć całą winę na Nie. Chciał obwinić Alagai Ka, wszystkich i wszystko, ale naraz zrozumiał, że jego wątpliwości są uzasadnione.

A co, jeśli Par'chin ma rację? Jeśli Niebo to tylko kłamstwo?

Ściągnął swoją wolę z powrotem i wrócił do ciała, po czym spojrzął na Shanvah.

– Nie mogę mu pomóc, siostrzenico. Mogę usunąć wpływ demona, ale jeśli nie zastąpię go czymś innym, twój ojciec będzie jeszcze bardziej pozbawiony życia niż wcześniej. Jeśli jego wola jest wciąż gdzieś uwięziona, nie umiem jej odnaleźć, a jedynie Everam potrafi ją odtworzyć z niczego.

„Jeśli Everam istnieje” – szepnął ów głos w jego głowie.

Opuścił włócznie, naraz czując zmęczenie, choć przepelniała go niemal niekończąca się moc.

– Wynośmy się z tego cmentarzyska.



## 35

### Odcięci

334 ROK PLAGI

**K**ażda chwila w tym więzieniu z ludzkich kości była dla niego agonią. Religia istot mieszkających pod słońcem była żalosnym wymysłem pełnym niespójności i wewnętrznych sprzeczności, jednak nacechowana wielkimi emocjami wiara naśladowców Kavriego stworzyła wielką magię, która wciąż gościła w artefaktach.

Dla rodaków Kavriego nie było niczego ważniejszego od ich Jednoczyciela, ich Wybawiciela, a wiarę w Wybrańca potęgowały stulecia marzeń i modlitw. Po upływie tysięcy lat wiara wciąż była żywa, a magia płonęła jak dawniej. To dlatego demony nigdy tak naprawdę nie zdobyły zniechęconej fortecy. Zrobił to za nie czas. Czas oraz ogary bojowe. Przez długie stulecia miejsce było opuszczone. Trwało w podziemiach niczym uśpiony gigant, zbyt blisko roju, by komukolwiek mogło się to podobać.

Wiedźmia królowa Kavriego związała wiarę swego ludu z postacią tego, który dzierżył artefakty mocy i potęgi – Włócznie i Koronę Shar'Dama Ka. Dziedzic, przekroczywszy próg Włóchni Ala, obudził więc wielką moc.

Jego magia budziła teraz prawdziwą grozę. Przebywający w sercu *csar* Dziedzic był potężniejszy od Alagai Ka w samym dworze umysłów. Jego słudzy niewolnicy, niemalże pozbawieni wolnej woli, nie byli w stanie łączyć magii tak jak ludzie.

Z Tronu z Czaszek, wznoszącego się w środku *csar*, Dziedzic mógł zniszczyć rój, gdyby sięgnął wystarczająco daleko. Nawet tu obowiązywały bowiem pewne ograniczenia.

Alagai Ka nadal chroniła moc Dziedzica, a mimo to każda chwila na wielkim runie stanowiła dla demona torturę.

Co więcej, przypuszczał, że pijany mocą Dziedzic może lada chwila uznać, że nie potrzebuje już Małżonka, i zabić go bez wahania. Co gorsza, skoro rozumiał swoją moc coraz lepiej, mógł w każdym momencie spróbować połączyć się z umysłem demona. W innych okolicznościach Alagai Ka z ochotą podjąłby wyzwanie, przeświadczony, że żaden człowiek nie jest w stanie mu dorównać. Tu jednak nie potrafiłby się bronić. Dziedzic mógł go obrabować ze wspomnień równie łatwo, jak drapieżnik rozpruwa pazurami rybie podbrzusze.

Ale nawet to nie miało wielkiego znaczenia, skoro Małżonek lada moment mógł umrzeć w tej klatce. Nie było tu nic do jedzenia, nic do picia, nie było nawet czym oddychać. Alagai Ka pobrał nieco z kurczącego się zasobu mocy, by zaspokoić swoje potrzeby, lecz jego rezerwa była na wyczerpaniu. Ostro zakończone kości, mierzące w niego ze wszystkich stron, wysysały z demona moc niczym komary krew.

I tak oto Alagai Ka, który rządził żelazną ręką na dworze umysłów dłużej niż jakikolwiek inny książę, poznał smak strachu. Smak bezbrzeżnego przerażenia, które przecież powinno być brzemieniem istot poślednich.

Żałował, że nie podjął próby ucieczki wcześniej. Powinien był spróbować szczęścia z ogarami bojowymi. Wszystko było lepsze od

tego więzienia, w którym umierał, powoli zatruwany idealizmem słabych ludzi.

Nagle rozległ się dźwięk. Alagai Ka zeszywniał, choć mięśnie już miał napięte – stał bowiem nieruchomo, próbując uniknąć kościanych kolców. Po chwili ściany jego więzienia rozstąpiły się i na moment zalała go ulga. Zaraz później znów zastąpił ją ból, gdy bezceremonialnie wypadł z klatki i uderzył o ziemię. Oczy zapłonęły, oślepienie blaskiem.

Demon nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ograniczone spektrum światła przynosiło tak wielką ulgę prymitywnym istotom. Przecież pozbawiało ich ono tylu ważnych informacji. Lepiej by wyszli na tym, gdyby dobrowolnie zawiązali sobie oczy i napchali wosku do uszu.

Zakaszłał i łapczywie nabrał powietrza w płuca, by nie musieć dalej nadwierać zasobów swej mocy. Skóra mu pobraźla, a mięśnie drżały. Chciał się podnieść i z godnością stanąć przed swymi prześladowcami, ale tym razem nie było go już na to stać.

– Weź go – rozkazał Dziedzic.

Kukła nachyliła się i podniosła Alagai Ka jak pisklę, po czym umieściła go wśród swoich szat, a te zawiązała w formie nosidełka na plecach. Dotknąwszy skóry człowieka, Alagai Ka spróbował wśliznąć się do umysłu kukły. Przez krótką, przerażającą chwilę miał wrażenie, że temu nie poddała.

Alagai Ka zapytał się w myślach, czy nie powinien już porzucić jakichkolwiek nadziei. Jego klęska wydawała się nieunikniona. Zastanawiał się, który z demonów umysłu przeżyje pozostałe, lecz uświadomił sobie, że przestało się to dla niego liczyć. Cóż to miało za znaczenie, skoro nie będzie to on?

Lęk dodał Małżonkowi jednak siły, by spróbować ponownie, i tym razem się udało. Wśliznął się do głowy człowieka niczym w jego szaty. Zauważył od razu, że ludzie próbowali gmerać w jego umyśle, ale uszkodzenia były niewielkie i łatwe do naprawienia.

Alagai Ka wyciągnął z tego własne wnioski. Próbowali więc obyc się bez jego pomocy, lecz im się nie udało. Nadal go potrzebowali, przynajmniej do chwili wyjścia z jaskini.

Gdy dotrą na skraj roju, zasady jednak ulegną zmianie.

– A gdzie twoje zniewagi? – spytał Dziedzic. – Nie ma już oszczerstw? Nie będziesz nam dokuczał kłamstewkami?

– Może wreszcie się nauczył, gdzie jego miejsce? – oznajmiła Łowczyni.

Alagai Ka wbił w nią gniewne spojrzenie i obiecał sobie, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, kobieta zginie jako pierwsza.

Niewolnik zwany Shanjatem uśmiechnął się za zasłoną i obrzucił spojrzeniem jej brzuch.

Nie, poprawił się demon. Jej piskłę umrze przed nią, co przyprawi jej umysł cierpieniem. Czeka mnie niebywała uczta.



Renna nie mogła przestać myśleć o spojrzeniu, którym obrzucił ją Shanjat. Kryła się w nim czysta nienawiść. A to, jak spojrzał na jej brzuch... Z trudem powstrzymywała ochotę, by zabić to plugastwo.

Musiała jednak przyznać, że potrzebowali Alagai Ka. Pożerając umysł demona, nie poznała drogi do roju, nie odkrył jej również Jardir, zasiadłszy na tronie mocy.

Gdy opuścili Sharik Hora, znów usłyszeli wycie. Było blisko. O wiele za blisko. Znajdowali się w sporej odległości od murów, których *gwilji* nie potrafiły pokonać, ale echo ich wycia nosiło się po ulicach *csar*. Po karku Renny przemknęło mrowienie, unosząc jej krótko przycięte włosy.

– Szybko! – zawołał Jardir, prowadząc ich ku bramom *csar*. Władał teraz niespotykaną wprost mocą.

– Co planujesz? – spytała Renna.

– Ty i Par'chin znaleźliście w sobie siłę, żeby pokonać uzależnienie od magii, gdy pożeraliście mięso demonów – odparł Jardir, patrząc przed siebie. – Psy bojowe nawet nie próbowały i moi rodacy zapłacili za to wielką cenę. Otworzę bramy po to, żeby oczyścić Ala z tego plugastwa, niech Everam będzie mi sędzią.

Renna pomyślała o Cieniu, ogarze Evina Rębacza, który regularnie jadł mięso demonów i rozmiarami przypominał niedźwiedzia. Był straszliwym przeciwnikiem w bitwie, ale nadal lizał pana po twarzy i strzegł rodziny Evina z wiernością, która przynosiła sławę psiemu rodzajowi. Pomyślała też o Naznaczonych Dzieciach i o dzikości, która je ogarniała, gdy nikt nimi nie kierował. Pomyślała o tym, jak odurzona magią sama rzucała się na Arlena, miłość jej życia.

– Może za wcześnie, żeby skazywać je na zagładę? – powiedziała.  
– Może istnieje sposób, żeby do nich dotrzeć i przypomnieć im, że zostały wyszkolone do walki?

Jardir pokręcił głową.

– Nie byłoby to chyba problemem w przypadku zwykłych *gwilji*. Ale te od setek pokoleń rodzą się w mroku i nigdy nie poznały blasku słońca. Nasze zadanie jest zbyt ważne. Nie możemy pozwolić, żeby stanęły nam na drodze.

Wycie rozbrzmiało ponownie, tym razem znacznie bliżej, i Renna zapomniała o swojej argumentacji, kładąc dłoń na brzuchu. Czas na wybaczenie miał nadejść kiedy indziej. Teraz należało się bronić.

Usłyszała chrobot pazurów o kamienie za plecami. Pozostali również go usłyszeli, ale gdy się odwrócili, nie ujrzeli już nic. Potem rozległo się znowu, z boku. I z przodu. Nad nimi. Renna wyteęzała wzrok wzmocnionych runami oczu, ale niczego nie widziała.

– Są wszędzie dookoła! – rzekł Arlen. – Zaganiają nas i osaczają.

– Jak to możliwe? – odezwał się Jardir. – Przecież mury nie wpuszczają ich do miasta!

*Gwilji*, który chwilę później zeskoczył z niskiego dachu i przeciął powietrze szponami, udowodnił Ahmannowi, że się myli. Co ciekawe, atakujący potwór wydał się niematerialny. Nie zaryczał, a dach, od którego się odbił, nawet nie skrzypnął. *Gwilji* był cichy niczym cień.

Jardir, choć zaskoczony, złapał za włócznię i zablokował śmiertelnie groźne pazury. Łapa *gwilji* przemknęła przez drzewce i runy niczym dym, ale jego szpony okazały się materialne i wbiły



się głęboko w szaty Jardira. Mężczyzna zatoczył się, na starożytny bruk trysnęła krew.

– Otoczyły nas – oznajmił beznamiętnym głosem Shanjat, zupełnie jakby mówił o pogodzie.

Renna zewsząd słyszała chrobot twardych obsydianowych pazurów. Próbowwała pochwycić wzrokiem któregoś ogara, ale potwory wydawały się niewidzialne. Czasem udawało jej się dostrzec coś kątem oka, na szczęście niemiłosiernie cuchnęły. Węch zdradził dziewczynie więcej o ich lokalizacji niż wzrok i wkrótce wiedziała, że wokół czają się ich całe tuziny.

Jardir błyskawicznie pokonał szok, uniósł włócznie i pchnął falę mocy w potwora, który zamierzał się do kolejnego uderzenia. Strumień magii trafił prosto w tułów ogara, ale nie wyrządził mu krzywdy i bestia znów skoczyła.

Inny *gwilji* wypadł z bocznej uliczki. Shanvah w porę złapała za tarczę, po czym rozległ się przeraźliwy pisk pazurów ześlizgujących się z metalu. *Sharum'ting* pchnęła ogara włócznią, ale jej cios przeszedł przez potwora jak dym, a bestia nadal zaciekle uderzała w tarczę.

Z dachów zeskoczyły trzy kolejne, które na cel wzięły Renny i Shanjata. Dziewczyna narysowała run wiatru, który spowolnił psy na tyle, by zdołali uskoczyć, lecz potwory miały zbyt mało masy i podjęły atak, gdy tylko wiatr się urwał.

Arlen miał naprzeciwko siebie dwa psy, bez wahania przeszedł w stan pomiędzy, gdzie brutalna siła nie miała znaczenia, a liczyła się tylko wola. Złapał jednego i drugiego za gardło, zmusił do materializacji, a potem bez litości połamał im karki.

– Ramię w ramię! – krzyknął i doskoczył do Renny.

Shanjat natychmiast spełnił rozkaz i osłonił ją z drugiej strony, choć dziewczyna wolałaby tam ujrzeć któregoś z psów niż jego.

Shanvah odepchnęła atakującego wściekle ogara na tyle długo, by dołączyć do formacji. Zajęła miejsce po lewicy Shanjata. Jako ostatni dołączył Jardir, wymachujący włócznią z taką szybkością, że nie można było nadażyć za nią wzrokiem. Stał między siostrzenicą i Arlenem.

– Korona! – krzyknął Arlen i złapał kolejnego psa. Zmusił go do materializacji na tyle, by móc wyrwać mu szczękę. – Odpędź je swoją koroną!

– Masz mnie za głupca, Par'chin?! – odkrzyknął Jardir. – Korona prędzej podziela na ciebie niż na nie!

– To wyjaśnia, dlaczego nie zatrzymały ich mury – stwierdziła Shanvah.

– Mówiłem, że twierdza jest nawiedzona – oznajmił Shanjat. – Mój niewolnik potrzebuje broni.

– Nigdy w życiu! – rzuciła Renna.

Shanjat westchnął z rezygnacją. Odgłos był tak ludzki, tak realistyczny, iż łatwo było zapomnieć, że na plecach Sharum siedzi demon.

– Oddajcie mu więc chociaż tarczę!

Jardir zmarszczył brwi, ale ściągnął z pleców tarczę swego szwagra i mu ją rzucił. Shanjat założył tarczę z wprawą i zaraz odbił czarne szpony, które śmignęły w powietrzu.

– Odcinajcie im pazury! To jedyne, co łączy ogary bojowe ze światem cielesnym! Bez nich...

– Nie są w stanie oprzeć się wezwaniu Otchłani! – dokończyła Renna.

Zdematerializowała dolną część ciała i zatrzymała szarżującą bestię potężnym kopnięciem, po czym chlasnęła nożem ojca. Zakrwawione pazury spadły na bruk. Pies zawył i rozwiął się, wciągnięty do Otchłani niczym pył do miechów.

Jardir odciął szpony bestii, z którą sam się zmagał, a ta również się rozwiła. Zewsząd rzuciły się na nich kolejne, bezszelestne i ledwie widoczne, słyszalne tylko dzięki zgrzytowi pazurów. Jardir uniósł włócznię i uaktywnił bruk, ten wystrzelił w powietrze i utworzył barierę, której ich szpony nie mogły przeniknąć. *Gwilji* zawyły z wściekłością, ale Renna nie sądziła, by zatrzymało je to na długo. Zewsząd nadciągały kolejne.

– Musimy wydostać się z miasta! – krzyknął demon ustami Shanjata. – Psy wojny boją się polować w głębi tuneli!

Nie wyjaśnił, dlaczego tak się dzieje, ale było to dla wszystkich

oczywiste. W niższych tunelach zapewne czaiły się demony w liczbie, jakiej ludzie na powierzchni nigdy dotąd nie widzieli. Niewolnicy, na których księżę demonów nawet teraz mógł wywrzeć wpływ.

– Przecież nawet do bram mamy spory szmat drogi! – odezwała się Renna. – A co dopiero do wyjścia z jaskini!

– Tym się nie kłopotcz! – Jardir zacisnął zęby, a jego aura pojaśniała. Powierzchnia aury, zazwyczaj pełna wirów i fal, tym razem była płaska, co świadczyło o wielkiej koncentracji.

Zewsząd dobiegał łoskot i zgrzyt, aż Renna pomyślała, że psów w *csar* musiało być tysiące. I wszystkie powoli zbliżały się ku zdobyczy. Dźwięki przybierały na sile, aż przerodziły się w istną kakofonię szczęku metalu, łomotu drewna i świstu powietrza. Drzwi i okna otwierały się, a z pomieszczeń wyfruwały włócznie. Posłuszne woli Jardira, wirowały w powietrzu i skupiały się w wielkie chmury, wymiatając potwory z ulic.

– Skoro psów bojowych nie można zabić magią – Jardir wpatrywał się w obracające się ostrza, które przelatywały przez watahę *gwilji*, kolejno odrabując im pazury i odsyłając je do Otchłani – niech padną ofiarą broni swych panów, których zdradziły.

Włócznie uformowały wokół grupy ludzi nieprzeniknioną barierę i Jardir podjął marsz przez *csar*. *Gwilji* wyły i skamlały, a po ulicach miasta walały się zakrwawione czarne pazury. Ich zgrzyt na bruku osłabł, gdy pierwsze osobniki pierzchły.

Jardir otworzył bramy machnięciem świętej broni. Drapieżniki czyhały na zewnątrz, lecz Shar'Dama Ka pchnął w nich chmurę ostrzy, która rozpędziła watahę. Psy, które zawczasu przylgnęły do stalaktytów, próbowały skoczyć na nich z góry, jednak Jardir wyczuł zagrożenie. Włócznie śmignęły nad głowami ludzi, odrabując napastnikom pazury, wiążące je ze światem materialnym.



W chwili gdy rozchyliły się drzwi *csar*, Alagai Ka usłyszał pośród wycia psów wojny nowy odgłos.

Królowa nuciła łagodnie.

Ludzie niczego nie słyszeli. Niczego nie czuli. Niemniej demon, choć był osłabiony, a jego skórę raniły runy, pochwycił ten dźwięk od razu. Pieśń królowej była nieporównywalna z niczym innym i rozbrzmiewała wibracjami w każdym kamieniu. Wiedział też doskonale, co ów śpiew oznacza – królowa rozpoczęła miot. Wyrzucała z siebie nieskończone strugi jaj pomniejszych demonów, co jak na razie nie przyciągnęło uwagi innych demonów umysłu, desperacko próbujących założyć własne roje. Alagai Ka wiedział jednak, że w następnym miocie pojawi się kilka bardziej wartościowych jaj, a wśród nich kilku zmiennokształtnych, niewielka grupa demonów umysłu oraz sześć królowych, śmiertelnie niebezpiecznych od chwili wyklucia. Wiedział też, że zaczną zasysać magię od królowej i szybko zgromadzą moc, by zacząć walczyć o prymat.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Jeśli Małżonek nie dotrze na czas, by ich pozabijać – co czynił już wielokrotnie w przeszłości – jego najsilniejsi bracia ukradną po jednym jaju i umkną, a wówczas miną tysiąclecia, zanim Małżonek odzyska władzę, o ile w ogóle mu się to uda. Nie mógł zwlekać ani chwili. Musiał uciec ludziom i powrócić na dwór umysłów, póki ten stał pusty. Musiał odbudować swoją moc przed powrotem braci. Jego najwięksi rywale zostali już unicestwieni. Z chwilą gdy Małżonek odzyska swój wielki run, nikt nie będzie na tyle potężny, by rzucić mu wyzwanie.

Narastało w nim napięcie, ale nie dał tego po sobie poznać. Sterowany ludzki sługa utrzymywał cały czas bezpieczeństwo Alagai Ka, ale mimo to demon odetchnął z ulgą, gdy wyszli poza granice wielkiego runu. Ból, dokuczający przez cały dzień, powoli zniknął, a możliwości nieosiągalne jeszcze przed momentem znów znalazły się w zasięgu Małżonka.

Musiał jednak zachować czujność. Ostatni pokaz mocy w wykonaniu Diedzica wywarł na nim wielkie wrażenie. Osobliwa magia, stworzona przez ludzką wiarę, sprawiła, iż nawet nieożywione przedmioty skoczyły na rozkaz człowieka. Wprawienie tylu sztuk broni w wojenny płas udowodniało, że Diedzic dysponował niebywałymi możliwościami. Wirujące włócznie niczym bariera osłaniały ich jednocześnie ze wszystkich stron.

Mieszkańcy powierzchni stali się potężni, a moc dodawała im śmiałości.

Diedzic nie pytał o kierunek. Przeprowadził swą grupę przez jaskinię i wszedł w ten tunel, którym mógł najszybciej dotrzeć do roju. Czyli dowiedzieli się jednak czegoś w tej ludzkiej świątyni. Być może zbyt wiele.

Wycie rannych i przerażonych *gwilji* cichło za nimi, a Diedzic, któremu z każdą chwilą coraz trudniej przychodziło pobieranie z rezerwuaru mocy *csar*, zaczął odsyłać włócznie z powrotem ponad mury fortecy, bez wątpienia w te same miejsca, gdzie leżały od tysięcy lat.

Gdy znikły ostatnie włócznie, Diedzic zatrzymał się, by

odpocząć, a pozostali otoczyli go okręgiem, gotowi go bronić.

I wtedy Shanjat, zasłaniając się tarczą, sięgnął w głąb szat po butelkę ze łzami Śpiewaczki. Zerwał pieczęć kciukiem i wylał przepojone magią emocji łzy na palce. Pospiesznie narysował kilka runów na klatce piersiowej, a kilka innych na krępujących go łańcuchach.

Runy zapłonęły jasno i przygasły, gdy łzy wyparowały. Shanjat rozejrzył się ukradkiem, ale nikt z jego prześladowców niczego nie zauważył. Ryzyko, że coś spostrzegą, było zresztą niewielkie, gdyż emanująca z kukły magia cuchnęła teraz człowieczeństwem, śmierdziała miłością, emocjami i innymi ohydnyymi słabościami ludzi. Być może wyczuwali więc magię, ale nie kojarzyli jej z zagrożeniem.

Bo to w istocie nie było zagrożenie, a w każdym razie nie dla nich. Kreśląc swoje runy, Alagai Ka wysyłał w mrok pieśń o ludzkiej kruchości. Zapraszał najbliższego zmiennokształtnego, by zaatakował Shanjata.

Plan nie był pozbawiony ryzyka. Małżonek nie zdołał bowiem wyhodować nowych warstw skóry, by zamaskować wytatuowane na niej runy, i nacierający demon mógł przez przypadek go zabić wymierzonym na ślepo ciosem pazurów. Wystarczyłby jednak przejściowy kontakt fizyczny ze zmiennokształtnym, by przejąć nad nim kontrolę, a mając tak potężnego niewolnika, Małżonek mógł bez trudu uciec w bezpieczne miejsce, a tam zedrzeć runy ze swojej skóry. Wówczas nic już nie mogłoby go powstrzymać przed przeniesieniem się do pustego dworu umysłów.

Zanim te nędzne robaki zdołają tam dotrzeć – o ile w ogóle im się to uda – Małżonek będzie już władał pełną mocą i nieprzeliczoną armią demonów, która będzie go strzegła podczas tworzenia nowego pokolenia.



Minęły dwa dni w dolnych tunelach, zanim Alagai Ka wyczuł zmiennokształtnego.

Przez dwa dni ludzie ostrożnie schodzili niżej i niżej. Dzięki runom i obrzydliwemu głosowi Śpiewaczki prześlizgiwali się niespostrzeżenie obok setek demonów, które polowały na podziemne istoty zamieszkujące górne tunele, a czasami padały ich ofiarą.

Dziedzic skrócił pole ochronne swej korony, by pobratymcy Alagai Ka nie wyczuli jego obecności. Przywarłszy plecami do ściany tunelu, ludzie przemykali obok wędrujących watah demonów, subtelną magią odpychając je od pola ochronnego.

Głupota otchłańców była wielką zaletą, gdyż pozwalała je kontrolować, ale podczas wojny z ludźmi stawała się kłopotem. Rój był słabo chroniony.

Zmiennokształtny czekał gdzieś z przodu, opleciony wokół wielkiego stalagmitu. Jego ciało zlewało się idealnie ze skałą, odzwierciedlając nawet warstwy osadu oraz śliskość ściekającej wody. Magię skupił blisko siebie i ukrył pod zewnętrzną powłoką ciała, gdzie nawet Dziedzic mógł ją przeoczyć.

Był blisko. Tak blisko...

Tymczasem Dziedzic, wiedziony instynktem bądź zwykłym szczęściem, poprowadził ich ścieżką, która oddalała księcia od jego sługi. Zmiennokształtny był o wiele inteligentniejszy od innych demonów, ale nawet on nie potrafił przeniknąć przez maskującą aurę Śpiewaczki i moc runów pozostałych prześladowców. Mógł się kierować tylko ludzkim smrodem, który pozostawiła po sobie butelka ze łzami rozlana na ciele Shanjata. Czyhający w zasadzce zmiennokształtny mógł więc wyczuć zbliżającą się ofiarę, ale nie słyszał jej ani nie widział. Na razie nie.

Małżonek zwolnił, a Dziedzic i Odkrywca, skupieni na tym, co było przed nimi, nie zwrócili na to uwagi.

Zmiennokształtny skrywał się w odległości zaledwie kilku długich kroków, lecz niespodziewanie na drodze pojawiła się córka kukły. Małżonek przykazał Shanjatowi potknąć się, gdy mijali kolejny stalagmit. Na ułamek chwili znikli wszystkim z oczu.



Wówczas demon strzaskał osłabione ogniwa łańcucha, uwalniając ręce i nogi człowieka. Shanvah zareagowała błyskawicznie, ale nie dość szybko. Niewolnik Małżonka nie stracił nic ze swojej prędkości i umiejętności walki. Nie zmarnował też efektu zaskoczenia – w okamgnieniu obezwładnił dziewczynę i wymierzył kilka precyzyjnych ciosów, gruchocząc jej kości i stawy. Zaraz też odrzucił jej bezwładne ciało i skoczył ku zmiennokształtnemu.

Gwałtowny ruch człowieka powinien zaburzyć działanie runów kamuflujących, ale zmiennokształtny ani drgnął. Nadal czyhał niespostrzeżenie, niczym pająk w środku sieci. Małżonek wiedział, że za moment zaatakuje, a wówczas on sam będzie miał jedynie krótką chwilę, by wymknąć się z umysłu kukły i wśliznąć w ciało demona. Przygotował resztki swej mocy.

Łowczyni dostrzegła, jak się zrywa do biegu. Błyskawicznie skoczyła, by zagrozić mu drogę, a w jej dłoni znalazł się nóż. Aura mówiła, że nie będzie miała litości. Że zabije go, gdy tylko nadarzy się okazja.

Głupia samica. Dlaczego osobiście ruszyła do walki? Przecież mogła z oddali narysować runy i napęlić mocą tatuaże Małżonka, by go zabić. Ludzie władali mocą, ale ich prymitywne umysły nadal kazały im sięgać po stal.

Co więcej, nie wiedziała o zmiennokształtnym, który krył się za jej plecami.

Rzuciła się do walki, ale choć magia spotęgowała jej siłę i szybkość, nie miała szans w walce z Shanjatem. Sługa złapał Łowczynię za nadgarstek i wykręcił go. Nóż zadrżał w pozbawionej czucia dłoni, a Łowczyni przeciwstawiła mu się z zaciekłością, ale mężczyzna wykorzystał moment, by pchnąć ją na kamienną podłogę. Następnie przypadł do niej i rąbnął pięścią w wydęty brzuch.

Samica wrzasnęła przeraźliwie.

Małżonek nie ustawał. Kierowany przez niego Shanjat zasypywał kobietę gradem szybszych ciosów, z których wszystkie mierzyły w to samo wrażliwe miejsce.



Renna zakłęła w duchu. Cios Shanjata wybił jej powietrze z płuc. Wylądowała na plecach, a *Sharum* przypadł do niej, nie przestając wymierzać kolejnych potężnych uderzeń. W ruchach wojownika nie było płynnej gracji, z jaką walczyła jego córka. Męskie *sharukin* były prymitywniejsze, bardziej brutalne, lecz równie skuteczne. Renna miała się za wytrawną wojowniczkę, ale Shanjat igrał z nią niczym kot z myszą.

Demon zawładnął ciałem i umiejętnościami Shanjata i nie przejmował się wcale tym, że wojownik odczuwał również ból. Nim spostrzegł swój błąd, dłoń *Sharum* zamieniła się w miazgę.

– Myślisz, że jestem głupia? – warknęła Renna, która przekierowała część swojej magii do brzucha i wielokrotnie wzmocniła jego mięśnie. Jej dziecko unosiło się teraz za ścianą równie potężną jak runiczne szkło. – Widziałam, jak wpatrujesz się w mój brzuch w *csar*!

Demon zawahał się, co Renna natychmiast wykorzystała i grzmotnęła Shanjata w pierś. Runy uderzenia na jej pięści rozbłysły, a odpowiedział temu trzask pękających żeber. Wojownik został odrzucony kilkanaście kroków w tył, lecz wylądował z zaskakującą gracją. Renna zerwała się już do kontrataku, ściskając rękojeść kościanego noża, pulsującego mocą.

– Powiedziałbym, że nie ma w tym nic osobistego – rzekł Shanjat. – Że do działania zmusza mnie jedynie instynkt przetrwania, wyścig między naszymi rodzajami.

Była szybsza i silniejsza, ale Shanjat bez trudu odpierał jej ataki, aż zacisnął dłoń na ramieniu trzymającym nóż. Szarpnął i wykręcił je, aż przejął nad nim kontrolę, po czym powoli, powolutku zaczął przybliżać nóż ku brzuchowi Renny. Nasączone magią ostrze było jedną z niewielu broni, które mogło przebić magiczny pancerz dziewczyny.

– Mógłbym powiedzieć jeszcze wiele rzeczy – szepnęła Shanjat –

ale byłyby to kłamstwa.

Renna pamiętała dobrze chwilę, gdy zraniła się tym nożem po raz pierwszy. Miała pięć lat, a Harl kazał jej go oczyścić po zabiciu jakiegoś zwierzęcia. Nóż, już wtedy ostry jak brzytwa, w mgnieniu oka rozciął szmatkę, którą go polerowała, i pozostawił długą ranę na dłoni. Matka krzyknęła z przerażeniem i chciała podbiec do córki, ale Harl gestem zatrzymał żonę. Złapał potem małą rączkę Renny i zmusił dziecko, by spojrzało na czerwieniejące skaleczenie.

„Nóż jest niczym pies, który wszystkich nienawidzi” – miał w zwyczaju mówić. „Gryzie tego, kogo mu każesz, ale jeśli człowiek okaże głupotę, ugryzie również i jego”.

Renna zacisnęła zęby i zatrzymała napór Shanjata. Słyszała Arlena i Jardira, którzy biegli już ku niej, wiedziała jednak, że nie zdążą na czas. Odetchnęła i wyobraziła sobie własne ruchy, tak jak uczyła ją Shanvah. Potem błyskawicznym szarpnięciem zerwała chwyt Shanjata i odwróciła go.

„Ziemia pod twoimi stopami jest najlepszym polem bitwy, siostró” – uczyła ją *Sharum'ting*. „Ściągnij tam swojego przeciwnika, przejmij nad nim kontrolę i zdobądź przewagę, odcinając mu dopływ powietrza bądź zadając ranę”.

Shanvah leżała jednak nieprzytomna, być może martwa. Nadszedł czas, by zabić Alagai Ka, nawet jeśli później mieliby szukać drogi do Otchłani na własną rękę, ale nie oznaczało to, że Shanjat również musi zginąć. Renna przygwoździła *Sharum* do ziemi, unieruchomiła mu ramiona, a potem potężnym kopniakiem oderwała demona od jego pleców. Demon, drąc szaty wojownika, wylądował kilka kroków dalej, gdzie Renna mogła napełnić mocą jego tatuaże tak, by nie zabić przy tym Shanjata.

– Zaraz zapłoniesz jak słońce – warknęła.

Arlen i Jardir nadbiegali, jaśniejąc nagromadzoną mocą. Król demonów nie miał szans.

Alagai Ka upadł na ziemię bez śladu gracji, która cechowała Shanjata, i przetoczył się, aż uderzył w wielki, masywny stalagmit. Renna przygotowała się do kolejnego ataku, ale naraz jej

koncentrację zburzył nieoczekiwany ruch. Na jej oczach stalagmit rozciągnął się i oplótł wokół demona.

– Zmiennokształtny! – wrzasnęła, choć stało się to już oczywiste dla wszystkich.

Cóż ze mnie za kretynka! – przekleła się w myślach. Demon planował to od samego początku.

Cała trójka cisnęła w zmiennokształtnego potężnymi wiązkami mocy, rozbijając stalagmit w drobny mak, ale nie czyniąc żadnej szkody demonowi. Bez wahania ruszyli do kolejnego natarcia.

– Pochwyciłem go w pole korony! – zawołał Jardir. – Nie ucieknie!

Alagai Ka zniknął z pola widzenia jedynie na chwilę, ale w tym czasie rozrósł się zmiennokształtny. Miał teraz najeżony kolcami pancerz skalnego otchłańca i haczykowate odnóża wodnego, a z jego ogromnej paszczy wyrosły rzędy długich kłów.

– Myślak dalej ma te swoje tatuaże! – zakrzyknął Arlen. – Jest gdzieś tam w środku! Zasłania się tym zmiennokształtnym jak pancerzem!

Narysował run zmiennokształtności i cisnął demonem o ścianę pola ochronnego korony. Kiedy bestia się rozpląszczyła, Renna dostrzegła w jej wnętrzu jakiś obcy kształt. Bez wahania skoczyła z uniesionym nożem.

Zmiennokształtny przemieszczał się szybciej niż ona, jego macki wystrzeliły ku ludziom. Renna i Jardir nie dali się zaskoczyć i cięli po nich bez litości. Demony potrafiły błyskawicznie leczyć zadane im rany, ale nie potrafiły regenerować odciętych fragmentów ciała.

Alagai Ka również o tym wiedział. Macki były na tyle grube, że ostrze noża nie mogło ich rozciąć. Co więcej, raniona macka nie straciła swojej sprężystości i smagnęła dziewczynę w plecy. Renna wylądowała na kolanach, a wtedy kątem oka ujrzała swego męża.

Arlen mógł uniknąć macki potwora, mógł też odepchnąć ją mocą runu, ale zamiast tego pochwycił ją mocno gołymi rękami i wpuścił w ciało zmiennokształtnego ogromny strumień zabójczej magii. Wtedy dostrzegł swoją żonę i szeroko otworzył oczy.

– Ren!

Demon wykorzystał chwilę jego wahania. Z macki trzymanej przez Arlena wyrosła druga, która wyrysowała szybki run i odepchnęła mężczyznę w tył. Następny magiczny sygnał oberwał sufit jaskini, który spadł na Balesa z łoskotem.

Renna nie miała czasu, by przyglądać się biernie rozwojowi wypadków. Demon nacierał, a macki scalały się, rozdwajały, stawały się twarde i ostre, po czym znów miękkie jak galaretka. Renna próbowała narysować run, lecz potwór smagnał ją po rękach i zaprzepaścił jej wysiłki.

Dziewczyna dałaby wiele, by móc się zdematerializować. Wszystko byłoby wówczas takie łatwe, niemniej tak głęboko pod ziemią zew Otchłani, ongiś pieśń cicha i uwodzicielska niczym plusk potoku, przypominał teraz ryk rzeki wzburzonej wiosennymi roztopami. Czy umiałaby się w niej unosić? Czy mogła mieć pewność, że uda jej się powrócić? Że nie narazi na niebezpieczeństwo swojego dziecka?

Nie, musiała pozostać w materialnej formie.

Jardir nie radził sobie lepiej. Poruszał się szybko, blokował ciosy demona, a od czasu do czasu zadawał własne, ale był już tylko cieniem niewyobrażalnie potężnego mężczyzny, którym stał się w *csar*.

Zmiennokształtny wypuścił cały szereg odnóży. Jardir atakował włócznią z oszalamiającą prędkością, mimo to przynajmniej jedna z nich zdołała się przebić przez jego gardę, a skoro wojownik wykorzystywał moc korony, by uwięzić oba demony, nie mógł jej wykorzystać, by kontrować uderzenia zmiennokształtnego. Zamiast tego zrzucił z siebie szatę, runy wyryte na skórze zajaśniały mocą. Demon nie mógł wyrzucić mu teraz większej krzywdy, lecz ciało Krasjanina i tak pokrywały już rozległe sińce od rozlicznych uderzeń. Jardir nie dawał po sobie poznać, że uderzenia demona robią na nim wrażenie, mimo to widać było, że już długo nie wytrzyma.

Wówczas kolejna macka, która wyłoniła się z kłębowiska innych, cofnęła się gwałtownie i niespostrzeżenie uniosła kamień. Wyrzucony pocisk trafił Jardira w czoło i strącił mu koronę z głowy.

Artefakt zakreślił łuk w powietrzu i ze stukotem spadł na podłogę tunelu, by przetoczyć się kilka kroków.

W chwili, gdy Korona Kajiego znalazła się na ziemi, ataki demona ustały. Zmiennokształtny wciągnął macki, odbił się od ziemi i przeistoczył w powietrzu w ogromnego polniaka. A potem błyskawicznie rzucił się do ucieczki.

Jardir spojrział na koronę, ale nie miał już czasu, by po nią sięgnąć. Uniósł włócznię i ruszył w pościg za demonem.

Renna otrząsnęła się, zebrała magię, by zwiększyć swą szybkość, złapała za nóż i pognąła w ślad za nimi.

Jardir doganiał demona, a Renna zbliżała się do niego, gdy z odwłoka otchłańca wynurzyła się kolejna macka, która nakreśliła run. Rozległa się eksplozja i przed Renną zaczął się walić tunel. Dziewczyna straciła Jardira z oczu. Nie miała pojęcia, czy spadające kamienie oszczędziły go, czy może pogrzebały żywcem.

– Ahmann! – krzyknęła, zaskoczona emocjami w swoim głosie.

W powietrzu unosiło się mnóstwo pyłu. Kaszląc, Renna wsunęła nóż do pochwy i bez wahania pochwyciła najbliższy głaz, by odrzucić go w bok. A po nim kolejny. I następny.

Jej lęk przybierał na sile z każdym odtrącanym głazem. Demon precyzyjnie posługiwał się magią i choć dziewczyna władała wielką siłą, przebicie się przez zwałowisko musiało zabrać sporo czasu. Być może za dużo. Shanjat i Shanvah przypuszczalnie nie żyli, Arlen być może również. Czy Jardir został zmiażdżony przez spadające głazy? Czyżby była ostatnią ocalałą z ich grupy?

– Wybacz, kochanie – szepnęła, kładąc dłoń na brzuchu i szykując się do zmiany postaci. – Cały świat na nas liczy.

Gruzowisko nie było wielkie. Czują, że przeniknie przez nie w mgnieniu oka. Na tyle szybko, by Otchłań nie zdążyła jej wciągnąć.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

– Ren, zaczekaj! – Arlen złapał ją za rękę.

Serce dziewczyny zalała ulga. Jej mąż trzymał w dłoniach Koronę Kajiego.

– Ja go znajdę. Shanvah jeszcze żyje, ale życie z niej wycieka.

Zrób, co możesz, a ja niedługo wracam!

– Byle szybko! – wrzasnęła, ale Arlen przeistoczył się już w mgłę i przeniknął przez zator.

Renna zawahała się. Jej instynkt wrzeszczał i nakazywał, by natychmiast podążyła w ślad za Arlenem, lecz w jej brzuchu poruszało się dziecko, a aura Shanvah była ciemna i migotliwa.

Da sobie radę. Muszę w to uwierzyć. Tak jak on wierzy we mnie.

Renna przypadła do Shanvah. Ułożyła ją na ziemi, po czym przeciągnęła przez dziewczynę magię, by sprawdzić jej stan. Wszędzie widziała złamane kości i krwotoki. Prawdziwy cud, że *Sharum'ting* udało się tak długo przeżyć.

– Ja... – wydyszała Shanvah.

– Nic nie mów! – przerwała jej Renna.

– Ja... jestem gotowa... na... samotną ścieżkę.

– Co za bzdury – parsknęła Renna. – Dziewczyno, ty masz robotę do wykonania. Nie będziesz mi tu umierać, żeby się wykręcić od obowiązków!

Żałowała, że nie przeszła nigdy szkolenia Zielarki ani też że nie władała uzdrowicielskim talentem Arlena, ale nie był to czas na żale czy wyrzuty. Trzymając dłoń *Sharum'ting*, Renna pobrała moc, a potem skierowała ją w głąb ciała dziewczyny. Magia natychmiast zaczęła reperować obrażenia, w czym pomagała sama Renna, masując dłońmi ciało i kości wojowniczkii. W pierwszej kolejności skupiła się na klatce piersiowej Shanvah – zabezpieczyła serce oraz płuca, po czym przystąpiła do łątania pęknięć czaszki i zmniejszania opuchniętego mózgu.

Pochłonięta pracą, straciła poczucie czasu, aż zamrugała, gdy poczuła pieczenie suchych oczu. Zrozumiała, że należy już kończyć. Widziała nieraz, jak uzdrawianie wyczerpywało Arlena. Gdyby również doprowadziła się do takiego stanu...

Oczy Shanvah nadal pozostawały zamknięte, ale dziewczyna oddychała już spokojnie, rytmicznie. Jej połamane ciało nadal było słabe, jednak rany się goiły. Renna cofnęła się, nadal gromadząc w sobie mnóstwo mocy, choć czuła już znajomy ból mięśni. Przecież lada moment przez zator mógł przemknąć Arlen, Jardir lub horda

tysiąca demonów.

Czekała długo w napięciu, wyęzając wszystkie zmysły, ale nie wykryła niczego. Żadnych śladów życia po drugiej stronie gruzowiska.

Naraz usłyszała czyjś charkotliwy oddech. Odwróciła się błyskawicznie z nożem w dłoni i dostrzegła Shanjata, który leżał dokładnie tam, gdzie go porzuciła po walce. Nikt nie kazał mu wstać, a więc wojownik leżałby tam aż do chwili swej śmierci, na którą zresztą nie czekałby długo. Cios Renny strzaskał mu mostek, a jego dłoń była już tylko krwawym kikutem. Demon umysłu, zainteresowany jedynie uciezką, nie dbał o rany swojego niewolnika.

Mogła wciąż go ocalić. Obrażenia Shanjata nie były wszak tak rozległe jak Shanvah. Ale po co? Nie mógł mu pomóc nawet sam Jaridir, który w *csar* zawładnął niewyobrażalną wprost mocą. Jeśli Arlen wróci bez demona, Shanjat nie przyda im się na nic, lecz jeśli przywlecze Alagai Ka z powrotem, ten zapewne znów wykorzysta wojownika, by uciec! By spróbować zabić jej dziecko!

Renna zacisnęła dłoń na rękojeści noża, co jak zwykle przyniosło jej pokrzepienie. Przeniosła spojrzenie na Shanvah i uświadomiła sobie, że dziewczyna wpatruje się w nią intensywnie. Jej oczy, widoczne między woalką i zawojem, były szeroko otwarte. Spojrzenia kobiet spotkały się i żadne słowa nie były już potrzebne.

Shanvah zdołała obrócić się na bok, oprzeć na łokciu i podciągnąć kolano.

– Skoro nie ma wyboru, siostró, to ja powinnam to zrobić.

Renna podeszła, by pomóc, ale *Sharum'ting* odpędziła ją machnięciem ręki. Powstała z trudem i zatoczyła się, ale odnalazła równowagę. W jej dłoni pojawił się zakrzywiony szklany nóż. Podeszła bliżej i stanęła nad ojcem, po czym uklękła obok niego i ułożyła jego głowę na swoich kolanach.

– Czy twoja dusza jest gotowa, żeby wejść na samotną ścieżkę? – szepnęła.

– Jedynie Everam potrafi osądzić duszę. – Głos Shanjata był pozbawiony jakichkolwiek emocji.



Shanvah zamrugała, w jej aurze pojawił się ból oraz zmieszanie. Pytanie wszak było całkiem retoryczne.

– Czy chcesz się na nią udać? – spytała.

Renna ujrzała łzy w oczach *Sharum'ting*, ale nie podeszła, by zacząć je łapać. Był to dla Shanvah nazbyt osobisty moment. Miast tego znów skierowała swoje zmysły na zewnątrz. Jak długo nie było Arlena? Kwadrans? Godzinę? A może jeszcze dłużej?

Nie potrafiła zmierzyć upływającego czasu. Nie umiała też zignorować ostatnich słów między ojcem i córką.

– Już dawno nie mam żadnych pragnień – odpowiedział Shanjat pustym głosem.

– A czego życzyłeś sobie wcześniej?

– Chciałem jedynie służyć Shar'Dama Ka, żeby wybawił nas od Nie – odparł wojownik. – I chronić moją córkę, lepszą od każdego syna.

Jego słowa były zimne i monotonne, mimo to Shanvah wybuchła płaczem i przytuliła się do ojca.

– Siostro – szepnęła, a Renna natychmiast znalazła się u jej boku – nie zniosę tego brzemia. To ty musisz... musisz...

Renna łagodnie wyjęła szklany nóż z bezwładnej ręki Shanvah. Ich spojrzenia znów się spotkały, po czym Renna wsunęła ostrze do ukrytej pochewki w szacie *Sharum'ting*.

– Słyszałaś, co mówiłam? – spytała. Ignorując ból i pieczenie, pobrała moc, by uzdrowić Shanjata. – Jeśli myślisz, że uda ci się umrzeć i wymigać od obowiązków, jesteś w błędzie.



Minęło kilka godzin, zanim Renna zdołała przebić się przez zator na tyle, by móc wyrzeć na zewnątrz, ale po drugiej stronie nie było ani Arlena, ani Jardira.

Gdyby zostali pogrzebani żywcem, byłyby jakieś ślady, pomyślała. Wyczułabym coś.

A więc żyli. Przynajmniej w chwili, gdy mijali to miejsce. Ale czy demon zdołał zabić Jardira? Czy Arlen został wciągnięty do Otchłani? Czy Alagai Ka wracał już na czele armii otchłańców?

Renna wróciła do tunelu, gdzie leżeli Shanvah i Shanjat. Ich obrażenia zostały już zaleczone, jednak do pełnej regeneracji potrzeba im było jeszcze jedzenia. Ona też musiała się najeść. Dziecko kopało i wiło się, jak zwykle, gdy od ostatniego posiłku upłynęło zbyt wiele czasu.

Renna odnalazła ich bagaże, wyciągnęła miski, z których korzystał Jardir, i napełniła je ziemią. Ubiła ją i wygładziła.

– Siostró, co ty robisz? – spytała Shanvah.

– Posiłek – odparła Renna.

– Przecież to jeden z najtrudniejszych runów, których uczą się *dama'ting* – ostrzegła ją Shanvah. – Mówi się, że źle przygotowane święte jedzenie staje się trucizną, która zabija jednym kęsem.

Renna poczuła mrowienie na plecach, lecz zmusiła się, by wzruszyć ramionami z nonszalancją.

– Nie pozwolę, żebyśmy umarli tu z głodu.

Wielokrotnie widziała, jak Jardir przygotowuje posiłek. Nakreśliła więc te same runy, co on, a magia zapłonęła, przepływając przez ciało dziewczyny. Odniosła wrażenie, że zrobiła wszystko tak, jak należy. Ziemia w jednej misce zamieniła się w dymiący kuskus, a w drugiej w czystą wodę.

Mimo to spojrzała na nie nieufnie. Ostrzeżenie Shanvah rozbrzmiewało bez końca w jej głowie. Ale czy istniał inny wybór? W końcu burknęła pod nosem i wyciągnęła rękę ku kuskusowi.

– Siostró, pozwól mi spróbować! – zawołała Shanvah. – Przecież jesteś w ciąży. Po co ryzykować życie dwojga ludzi? To ja powinnam spróbować.

– A cóż to za różnica? – spytała Renna. – Jeśli to trucizna, to i tak umrzemy.

– Ale jeśli ja zginę, ty będziesz mogła udać się do Włóczni Ala – rzekła Shanvah. – Są tam runy, dzięki którym stworzysz jedzenie i picie, a świątynia jest bezpieczna.

– Wspaniale – oznajmiła Renna. – Czyli mam się przebić przez

nieskończone watahy psów wojny, żeby później umrzeć ze starości w jakiejś zapomnianej fortecy?

– Tylko jeśli Wybawiciel nie powróci – powiedziała Shanvah.

– Nie mam zamiaru przeczekać całej wojny – stwierdziła Renna.

– Gdybym miała taki pomysł, zostałabym w domu. Istnieje jakiś lepszy powód, dla którego nie powinnam tego jeść?

– Ja jestem bardziej zbędny – odezwał się Shanjat pozbawionym emocji głosem.

Renna i Shanvah spojrzały po sobie, aż w końcu *Sharum'ting* skinęła głową i wyjęła ze swego plecaka miseczkę, czarę i pałeczki. Uklękła z ojcem, jak czynili to wielokrotnie wcześniej, i odmówili modlitwę, po czym wojownik na polecenie córki opróżnił czarę i ujął pałeczki, by przełknąć kęs.

Renna uświadomiła sobie, że wstrzymuje dech. A gdy Shanjat nie padł w konwulsjach na ziemię, rzuciła się na kuskus jak demon na ofiarę.

Chwilę później cała trójka, pokrzepiona posiłkiem, zarzuciła plecaki na ramiona i przecisnęła się przez zwałowisko, a potem ruszyła w dalszą drogę tunelem. Niebawem dotarli do jaskini, w której dnie znajdowała się wybita eksplozją dziura. Sięgała głęboko w dół i docierała do wielkiego podziemnego kanionu.

Czyżby wszyscy do niej wpadli? A może to pułapka, której Arlenowi i Jardirowi udało się uniknąć? Albo skrót do Otchłani? Renna nie miała pojęcia. Spróbowała odczytać prądy magii, ale te niosły zbyt wiele informacji, by zdołała cokolwiek spośród nich wyłuskać.

– Demonie łajno! – warknęła.

Siedziała na skraju przepaści i machała nogami. Dziura sięgała głęboko, a do tego w komorze, w której się znaleźli, znajdowały się liczne wejścia do tuneli. Co gorsza, Renna nie pamiętała mapy. Jedyna kopia znajdowała się wśród notatek Arlena, a te znikły wraz z jej mężem.

– Nawet jeśli tam nie wpadli, który tunel prowadzi do roju?

Rozległo się szuranie stóp i dziewczyny uświadomiły sobie, że to Shanjat oddala się od nich. Wojownik bez wahania zagłębił się

w trzeci tunel od lewej i ruszył naprzód.

Renna i Shanvah patrzyły na siebie przez długą chwilę, po czym powędrowały za nim.



## 36

### Dym i mgła

334 ROK PLAGI

**D**osiadająca Tłuczka Leesha spojrzała za siebie i ujrzała matkę trzymającą w ramionach Olive. Jej postać malała z każdym krokiem. Hrabina nie po raz pierwszy zadała sobie w myślach pytanie, czy właśnie nie popełnia największego błędu swojego życia.

Wonda zauważyła, że Leesha potrząsa głową, by przegonić myśli.

– Wszystko w porządku, pani?

– Tak, nic mi nie jest – odparła Leesha. – Marnuję tylko czas na rozmyślanie o śmierci i porażce.

– Takie myśli nigdy nie są stratą czasu, pani – rzekła Micha.

Leesha zerknęła na dziewczynę, na ogół tak bardzo milczącą i cichą, iż można było łatwo zapomnieć o jej istnieniu. Nawet teraz Micha miała na sobie szaty zwykłej *dal'ting*, nie chcąc ujawnić

prawdziwej tożsamości. Jechała na jednym koniu wraz z Kendall, a jej włócznie i tarcza ukryte były w ich jukach.

– A cóż można uzyskać, rozmyślając o porażce? – spytała Leesha.

– Mój mistrz uczył mnie i moje siostry, żebyśmy podczas medytacji wyobrażały sobie własną śmierć – odparła Micha. – Szpony *alagai*. Sztylet zabójcy w nocy. Trucizna w jedzeniu. Upadek z klifu. Macka wodnego demona wciągająca w otchłań. Każdy możliwy rodzaj śmierci.

– Okropność – stwierdziła Leesha. – A czemu miałyby to służyć?

– *Sharum* musi zawsze być gotów na śmierć, pani – wyjaśniła Micha. – Trzymamy myśli o śmierci blisko siebie, żeby pamiętać, że zawsze należy być na nią gotowym, i żeby dbać o czystość duszy. Żeby wiedzieć, że życie to ulotny dar Everama, a śmierć przychodzi po nas wszystkich. *Inevera*. Gdy samotna ścieżka otworzy się przede mną, wejdę na nią bez strachu.

– Jest w tym nieco mądrości – Leesha ostrożnie dobierała słowa – ale ja wolę wyobrazić sobie sukces i zrobić wszystko, żeby ta wizja się ziściła.

Micha ukloniła się.

– Oczywiście, pani. Wszak jesteśmy twoimi instrumentami. Czy dłuto kwestionuje decyzję rzeźbiarza?

Leesha zamrugwała. A więc tym się teraz zajmowała? Rzeźbiła przeznaczenie? Powróciła myślami do swoich wróżb i planów, które układała na ich podstawie. Planów, które narażały życie tysięcy ludzi, a miały niewielkie szanse powodzenia.

– I tym tylko chcesz być? Narzędziem w czyimś ręku?

– Lepiej być dłutem niż kawałkiem drewna – oznajmił młody Pawl, który jechał obok nich na smukłym kucu. – Ojciec zawsze mawiał, że prawdziwą władzę tworzy wspólna praca, która jest częścią czegoś większego.

Gared czekał na nich na trakcie, który prowadził od twierdzy Leeshy do samego Zakątka. Towarzyszyli mu zwierzchniczka Darsy, kapitan Gamon i inkwizytor Hayes.

– Są jakieś wieści od Steli czy Franqa? – spytała Leesha, choć znała odpowiedź.

– Od wielu dni ani śladu Naznaczonych Dzieci – rzekł Gared. – Ich obóz jest opuszczony.

Wonda splunęła.

– Wiedziałam, że nie można na nich liczyć.

– Nie potrzebujemy ich! – odparł Gared. – Mamy dwustu konnych, pięciuset Rębaczy i prawie dziesięć tysięcy żołnierzy, a do tego Patronów Runów i Zielarki. Poradzimy sobie ze wszystkim, co demony w nas rzuca!

– I po co ty to mówisz, Gar, co? – spytała Wonda.



Posłaniec mógł pokonać dystans dzielący Angiers od Zakątka w czasie krótszym niż tydzień, ale większość żołnierzy Leeshy szła pieszo, a prędkość dodatkowo ograniczały powolne wozy z zaopatrzeniem. Ludzie nieustannie śpiewali „Niech płonie ogień w palenisku”, by narzucić sobie równy rytm marszu i strzec obozu po zapadnięciu ciemności, ale pierwszej nocy demony nie zaatakowały. Drugiej również nie.

– Nie mamy wystarczająco dużo czasu – powiedziała Leesha podczas wieczerzy po tygodniu wędrówki. – Nów nadejdzie za raptem cztery dni!

– Utrzymujemy niezłe tempo – odparł Gared. – I jak dotąd jest spokojnie. Zbyt spokojnie, jeśli chcesz znać moje zdanie. Otchłańce od kilku miesięcy gromadzą się na skraju hrabstwa Zakątka, ale znikają, gdy wychodzimy poza wielkie runy? Jak to możliwe?

– Może nie spodziewały się, że zareagujemy tak agresywnie? – podrzuciła Darsy.

Leesha przypomniała sobie słowa Arlena:

„Demony umysłu myślą tylko o sobie. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, żeby nadstawić karku dla kogoś innego”.

– Gar gada z sensem, pani – rzekła Wonda. – Zdarzyło się kiedyś, żeby otchłańce nie rzuciły się na coś, co mają tuż przed

nosem? Może nie robią tak podczas Nowiu, bo wtedy steruje nimi ktoś inny, ale teraz? Nie ma ich śladu od tygodnia!

– Towarzyszy im zmiennokształtny – powiedziała Leesha.

– Tak czy owak, na co czekają? – spytała Wonda.

– Wolałbym z nimi walczyć, niż czekać! – dodał Gared.

– Cóż, a ja nie narzekam – stwierdziła Kendall. – Czekanie nie robi mi różnicy, a do walki jakoś mi się nie spieszy.

– Przypuszczam, że prędzej czy później do niej dojdzie – podsumowała Leesha i wciągnęła w płuca powietrze, przepełnione gryzącym dymem znad ognia, przy których szykowano posiłki dla dziesięciu tysięcy mężczyzn i kobiet.

Darsy również poczuła ten dym. Odrzuciła klapę namiotu, a potem otworzyła szeroko oczy. Tu i ówdzie na obrzeżach obozu rozlegały się już ostrzegawcze okrzyki.

– Na noc... – westchnęła.

– Co się dzieje? – Leesha podbiegła do Zielarki.

Jej oczom ukazały się kłęby dymu i pomarańczowa, złowieszczą poświata wśród drzew.

– Na Stwórcę, Gared! One podpaliły lasy! Każ zwijać obozowisko, zanim płomień nas dosięgną!

Gared wybiegł na zewnątrz, wykrzykując rozkazy, ale Leesha zrozumiała już, że to nie wystarczy. Wciąż nie doceniali sprytu otchłanców. Po co miałyby trwonić siły na frontalne ataki, skoro garstka ognistych demonów mogła rozpędzić ludzką armię ogniem i dymem?

– Darsy, ściągnij tu wszystkich, którzy wiedzą, jak korzystać z *hora*! Najszybciej, jak się da!



Wojownicy z Zakątka, potykając się, brnęli szlakiem przez pół nocy.

Leesha miała zawroty głowy, a jej płuca płonęły, ale przyczyną nie był dym. Wraz z pozostałymi zużyli sporo kości demonów,



tworząc pasy przeciwpożarowe i wiatr, który przeganiał płomienie.

Trud okazał się niemal ponad ich siły. Kilkoro spośród nich zemdlało, a inni musieli przerwać walkę z ogniem, bo ból okazał się nie do wytrzymania. Jedynie Leesha i Darsy nadal działały, ale do świtu pozostało jeszcze sporo czasu.

Wszędzie opadały płaty tłustego popiołu, które osłabiały runy. Leesha wyminęła wymizerowany oddziałek piechoty, który odłączył się od głównych sił. Niektórzy żołnierze dalej śpiewali ochryplymi głosami, choć wśród dymów i popiołu trudno im było utrzymać rytm.

Kendall grała na skrzypcach Rojera, wykorzystując osadzone w nich cząstki *hora*, by po stokroć wzmocnić dźwięk. Nadal nosiła zawój, który podarowała jej Amanvah, i zasłaniała usta jedwabną tkaniną.

– Wichrzak!

Wonda poderwała łuk i zwolniła strzałę. W mgnieniu oka posłała w ślad za nią kolejną.

Leesha uniosła wzrok i ujrzała stado opadających ku nim skrzydlatych demonów. Otchłaniec, który pikował jako pierwszy, wrzasnął i wyminął oba pociski Wondy. Trafił go natomiast trzeci – demon skreślił gwałtownie i uderzył w ziemię tuż obok konia Kendall.

Leesha różdżką narysowała potężny run wiatru, który zapłonął, gdy zderzyły się z nim kolejne nurkujące otchłańce. Naraz rozległ się krzyk Kendall. Hrabina odwróciła się i ujrzała, jak wichrzak nagle przeobraził się w skalniaka i wylądował tuż obok konia Minstrelki. Nim ktokolwiek zdołał zareagować, otchłaniec zamachnął się potężnym ogonem i złamał nogi wierzchowca Kendall. Dziewczyna padła na ziemię, gubiąc łuk i skrzypce.

Zmiennokształtny wydał charakterystyczny wrzask i spośród dymów wychynęły dziesiątki, setki demonów. Niektóre runy zapłonęły i odrzuciły je w tył, ale inne działały mniej skutecznie i otchłańce wbijały się w szeregi wyczerpanych żołnierzy.

Oddziałek, który właśnie minęła, skoczył im na pomoc, ale Leesha wiedziała, że w walce ze zmiennokształtnym nie mają

większych szans.

– Cofnąć się! – krzyknęła.

Gared runął na demona. Potwór machnął ramieniem, które rozciągnęło się w długą, wijącą się mackę. Rębacz zareagował w porę i nie zwalniając, przeciął mackę maczetą. Wonda tymczasem słała w potwora strzałę za strzałą.

Demon uderzył w Gareda drugim odnóżem, ale runy na zbroi odrzuciły uderzenie. On sam zaś przypadł do bestii i wbił jej topór w bok.

– Uwaga! – wrzasnął Pawł, pokazując coś nad ramieniem Leeshy.

Leesha była tak pochłonięta starciem, że dopiero w ostatniej chwili zauważyła nadbiegających żołnierzy, celujących włócznią w jej pierś. Wystarczył jeden rzut oka na ich twarze, by wiedzieć, że coś jest nie tak. Złapała za różdżkę i roztrąciła mężczyzn runem uderzenia.

Włócznie i tarcze odtoczyły się z łoskotem, a mundury wtopiły się w łuskowate pancerze. Z ust wyrastały długie kły, a z dłoni szpony.

Zmiennokształtne. Prawie pół tuzina. Jak dostały się tak blisko?

– Zmiennokształtne! – wrzasnęła Darsy i uniosła różdżkę. – Chronić hrabinę!

Jej toporne runy nie miały za nic finezji, ale kryły w sobie wielką moc i zatrzymały nacierające demony.

Najszybciej zareagowała przyboczna straż Gareda, Rębacze, których Leesha знаła całe życie. Samm Piła i Tomm Klin, Linder Rębacz, Evin i jego ogromny ogar Cień, a po nim tuziny kolejnych, a wśród nich Cichy Jonn. Co do jednego twardego wojownicy w runicznych zbrojach, z których każdy miał na koncie setki otchłańców.

Te jednak nie miały nic wspólnego ze zwykłymi demonami. Cień skoczył na jednego z nich. Był ogromną, ważącą pięćset funtów bestią, silną niczym nocny wilk, która podczas walki wydawała się składać jedynie z kłów i pazurów, a mimo to demon pochwycił psa za łeb i cisnął o ziemię. Cień zaskomlał i znieruchomiał.

Evin i Linder wykorzystali moment, by podkraść się bliżej, lecz

demon zamienił swoją skórę w lepłą, gąbczastą maź, która uwięziła ostrza opadających toporów. Potem smagnął Evina pazurzastą macką i poderwał ogromnego Lindera niczym lalkę, by cisnąć nim w Leeszę. Ogromny mężczyzna przeleciał kilkanaście stóp w powietrzu i uderzył w nogi Tłuczka. Leesha usłyszała trzask pękających kości, a sama wystrzeliła z siodła. Darsy wrzasnęła, spadając z grzbietu Moździerz. Demony stłoczyły się wokół jej runów, ale pozostali Rębacze stanęli im na drodze.

Samm umiał odciąć łeb drzewniakowi kilkoma pociągnięciami ogromnej piły, jednak w walce ze zmiennokształtnym broń okazała się zbyt powolna. Pazury demona zaś wpiły się w szew zbroi przy łokciu i jednym szarpnięciem oderwały mężczyźnie przedramię. Tomm Klin zamachnął się ciężkim młotem, lecz demon oplótł broń i zatrzymał ją. W tej samej chwili wypuścił długi kolec i przez szczelinę w hełmie wbił go Rębaczowi w oko. Synowie Klina krzyknęli i skoczyli do ataku.

Leesha pobrała moc z różdżki, błyskawicznie odzyskała siły i zerwała się. Wsunęła dłoń do kieszeni, zaczerpnęła garść runicznych klatów i rozrzuciła je dookoła. Te zajaśniały i zamigotały, odpychając każdego demona, który się zbliżył. Następnie nakreśliła runy uderzenia i zmiennokształtności, które wprowadziły zamieszanie wśród napastników. Było ich jednak zbyt wielu, a moc różdżki wyczerpywała się.

Wtedy któryś z otchłańców dostrzegł lukę między srebrnymi runami wiszącymi w powietrzu. Wypuścił skrzydła, którymi zamachnął się dwukrotnie, i przeskoczył nad barierą, by runąć prosto na Leeszę. Ta cofnęła się, ale nie zdążyła już podnieść różdżki. Demon był blisko, o wiele za blisko.

Niespodziewanie rozległ się bełkotliwy okrzyk i cios ogromnego topora odrzucił otchłańca w bok. Oszołomiona Leesha patrzyła, jak Cichy Jonn przebiega obok niej, zasypując demona gradem straszliwych cięć. Otchłaniec piszczał przeraźliwie, a jego wielokrotnie ranione ciało traciło spójność. Mimo to zdołał opleść olbrzymiego mężczyznę macką i oderwać od ziemi.

Leesha uderzyła potwora runem zmiennokształtności, ale w tym

czasie dwa inne przeniknęły przez lukę i zawisły nad nią. Na pomoc hrabinie skoczyły Kendall i Micha, jedna zbrojna w magiczne skrzypce, a druga we własny głos. *Sharum'ting* dotknęła runicznego naszyjnika, by jej głos stał się równie potężny jak muzyka Kendall.

Fala dźwięków rozproszyła potwory, ale nie dały sobie na długo odebrać przewagi. Znały już niszczycielską moc muzyki i by ją znieść, błyskawicznie wykształciły ciała pozbawione uszu. Leesha rozejrzała się za Wondą, dziewczyna wraz z Garedem nadal walczyła z pierwszym zmiennokształtnym. Oboje stracili swą broń – Wonda zasypywała demona ciosami pięści poznaczonych wymalowanymi runami, a Gared tłukł go ciężkimi runicznymi rękawicami. Gdy demon zamierzył się na jedno z nich, do ataku przyskakiwało drugie. Leesha osobiście wzmocniła ich broje runami i uderzenia potwora nie wyrządzały im żadnej krzywdy. Powoli, bez litości odbierali miotającemu się otchłańcowi życie.

Leesha zrozumiała jednak, że jej w niczym to już nie pomoże, bo trzy otchłańce znów rzuciły się do natarcia. Potężnymi pazurami wyrzywały wielkie kawały darni, obsypując dziewczynę ziemią i kurzem. Nie wyrządziły jej w ten sposób wielkiej krzywdy, ale oślepiła na moment i nie zdołała na czas unieść różdżki. Nie zauważyła też macki oplatającej ją w talii. Demon, który pochwycił Leeszę, natychmiast wypuścił skrzydła i zamachał nimi, chcąc odlecieć.

Wtedy pojawiła się mgła i coś uderzyło w demona, strącając go z powrotem na ziemię. Trzymająca Leeszę macka zbielała, a potem strzaskała ją pięść naznaczona runami.

– Przepraszamy za spóźnienie! – Stela zerwała wciąż drgającą mackę z talii hrabiny i odrzuciła na bok.

Demon spróbował zmienić formę, ale Leesha dojrzała kolejny obłok mgły, który zamienił się w brata Franqa. Mężczyzna bez wahania uderzył w otchłańca, odrzucił go do tyłu, a potem nakreślił run i w oszołomionego potwora trafiła błyskawica.

Wszędzie pojawiały się Naznaczone Dzieci. Callen Rębacz. Keet z Gospody. Jarit i jej *Sharum*. Zmiennokształtne nie były gotowe

na nieoczekiwany kontratak i próbowały uciec, ale Naznaczone Dzieci nie dały im żadnej szansy. Otaczały otchłańce runami zmiennokształtności i dopadały je, zabijając jednego po drugim.

Stela wyciągnęła rękę i pomogła Leeshy powstać.

– Trzymaliśmy się na uboczu, jak kazałaś, ale wyglądało na to, że znaleźliście się w tarapatach!

– Postąpiłaś tak, jak należało – oznajmiła Leesha. – Dlatego właśnie prosiłam cię, żebyś za nami podążała.

– Nie udało nam się tylko dorwać tych przeklętych płomieniaków na czas! Przepraszam!

– Mimo to wciąż mogło być o wiele gorzej – odparła Leesha. – Dziękuję.

Wojownicy z Zakątka, walczący z demonami wzdłuż traktu, odzyskiwali powoli przewagę. Zabijając demony, wyczerpani żołnierze rośli w siłę, a wśród otchłańców, pozbawionych dowództwa zmiennokształtnych, pojawiło się zamieszanie.



Zwiadowcy odnaleźli grupę Leeshy następnego dnia rano.

– Wygląda na to, że straciliśmy Pniak – rzekł Gared. – Ludność częściowo uciekła, ale sama osada została zrównana z ziemią. Demony gromadzą się przy rzece Angiers. Przeprowa nie będzie łatwa, bo zniszczyły most. Musimy odnaleźć jakiś bród, ale siły Otchłani i tak będą tam na nas czekać.

– Nie ma co się zatrzymywać – stwierdziła Leesha. – Niech widzą, że nadciągacie.

Gared spojrzał na nią.

– Nie ma mowy. Idę z tobą.

– Już to omówiliśmy – oznajmiła Leesha, lecz Gared potrząsnął głową.

– To ty to omówiłaś. Sama ze sobą, choć przy nas. Ja nie powiedziałem ani słowa.

– Ja nie proszę, generale – rzekła Leesha. – To rozkaz.

– Gdzieś mam takie gadanie! – Gared zwarł potężną pięść. – W Angiers zrobiłem to, co mi kazałaś, i jak się skończyło? Rojer nie żyje! Mów sobie, co chcesz, rozkazuj, aż zsiniejesz, ale prędzej mnie Otchłań pochłonie, niż pozwolę ci samej wkroczyć do gniazda demonów.

Leesha poczuła ucisk w gardle, gdy słuchała słów płynących prosto z serca. Odkąd sięgała pamięcią, Gared Rębacz zawsze był gotów jej bronić. Denerwował ją niemal na każdym kroku, lecz świat wydawał jej się odrobinę bezpieczniejszy, gdy był blisko niej.

Wybrał jednak zły moment na takie dyskusje.

– Nie nadajesz się do tego zadania. Razem z Favah rzucałyśmy w tej sprawie kości i nie mamy wątpliwości. Wystarczy jeden mężczyzna, a poniesiemy klęskę.

– Ale bierzesz Pawła! – krzyknął Gared.

– To tylko chłopiec – odparła Leesha. – A do tego ma kontakty z ruchem oporu. Potrzebujemy go, żeby niespostrzeżenie wemknąć się do miasta, podczas gdy mierzący siedem stóp wzrostu Rębacz w drewnianej zbroi raczej rzuca się w oczy. Musisz być tutaj! Musisz poprowadzić atak! Liczę na to, że zdołasz rozbić bramy, zanim ja popadnę w jakieś większe kłopoty.

Wonda ułożyła dłoń na ramieniu Gareda.

– Póki jestem przy pani Leeshy, nic jej nie grozi, Gar.

Gared głośno zgrzytnął zębami.

– Lepiej, żeby tak było – warknął. – Albo cała Otchłań za to zapłaci.



## 37

### Dziewczęta Jessy

334 ROK PLAGI

Przez następne dwa dni i dwie noce Leesha, Wonda, Kendall i Pawl wędrowali na przełaj przez dziewicze bory, zatrzymując się tylko wtedy, gdy wyczerpanie nie pozwalało im na kontynuowanie podróży. Wszyscy mieli na sobie płaszcze niewidzialności, ale te rzadko się przydawały. Demony pojawiały się z dala od ludzkich sadyb, a te, na które się natknęli, odpędzała muzyka Kendall.

Wystarczyło, by Leesha odwróciła od Minstrelki spojrzenie, a od razu nachodziło ją wrażenie, że słyszy grającego Rojera. Wyobrażała sobie wówczas, że jej przyjaciel powrócił, by mieć na nich oko podczas tej ostatniej, desperackiej misji.

Zatrzymali się na odpoczynek przy strumieniu na południe od Angiers, niedaleko samego miasta. Leesha znalazła niewielki staw i podgrzała w nim wodę runami ciepła, by mogli po kolei wykąpać

się i założyć świeże rzeczy, by później wemknąć się niespostrzeżenie do miasta.

– Ty pierwsza, pani – rzekła Wonda. – Nie pozwolę, żeby ktoś ci przeszkadzał.

Leesha nie protestowała. Rozkoszowała się przez chwilę gorącą wodą, która koła jej obolałe mięśnie, po czym wycisnęła mleko z piersi do wody. Na myśl o tym, że Olive, która teraz znajdowała się wiele mil na południe, ssie właśnie piersi Elony, w oczach hrabiny pojawiły się łzy.

Słońce już wstawało, gdy Leesha założyła świeżą suknię w angieriańskim stylu. Kendall wdziała pstrokaty strój, preferowany przez miejskich Minstreli, a Pawł przypominał zwykłego ulicznika. Wonda zachowała zbroję, ale zasłoniła napierśnik z angieriańskim herbem.

– Tędy – rzekł Pawł. – Nasz człowiek czeka za następnym wzgórzem.

Przemykali pod osłoną drzew, aż ujrzeli samo miasto. Chwilę później Leesha rozdziawiła szeroko usta na widok swojej dawnej uczennicy Roni, która stała oparta o drzewo i gryzła jabłko. Nie widziały się raptem kilka miesięcy, ale Roni wydawała się starsza o kilka lat. Na pewno nie wyglądała na swoje osiemnaście, tym bardziej że nosiła głęboki dekolt i upudrowała sobie twarz.

– Pani Leesha! – wyszeptała dziewczyna ochryple na widok swojej mentorki, ale w jej głosie kryła się radość. Pisnęła cicho i podbiegła, by mocno Leeszę uścisnąć. – Dzięki niech będą Stwórcy! Tak się cieszę, że jesteś!

– Popadliście w kłopoty?

– Na noc, mało powiedziane – zgodziła się Roni.

Leesha sięgnęła ręką i pociągnęła jeden ze starannie uformowanych loków okalających umalowaną twarz Roni. Kosmyk rozprostował się i zaraz zwinął sprężyste.

– A co to ma znaczyć?

– Piękne, prawda? – Roni przybrała postawę damy i trąciła włosy. – Dziewczyny Jessy pokazują nam, jak się malować i wspaniale wyglądać!



Leesha zerknęła na Pawła, który wydawał się kurczyć pod jej spojrzeniem.

– Jessa? Chwaściana Jessa, która otruła księcia Rhinebecka?

Pawł przestąpił z nogi na nogę.

– Jej Książęca Mość była przekonana, że nie spodoba się pani ta wiadomość.

Leesha założyła ramiona.

– A więc postanowiłeś ją przede mną ukryć do chwili, gdy nie będziemy mieli wyboru? – Jej Książęca Mość była równie niezadowolona jak wy, hrabino – rzekł Pawł – ale burdele były jedyną bezpieczną kryjówką do chwili, kiedy przemyciliśmy księżną matkę za miasto.

– Pani Jessa nie jest taka zła – powiedziała Roni. – Wraz z Jizell dobrze zajmują się nami wszystkimi od czasów... cóż, zmian.

Leesha odetchnęła.

– Cóż, a więc chcę się z nią zobaczyć. Czy możesz wprowadzić nas do miasta?

– Tak, pani. Jest kilka niewielkich bram, a właściwie dużych drzwi, których strzeże jedynie paru wartowników. – Roni uśmiechnęła się szeroko. – Samotnych mężczyzn, którzy nie mają nic do roboty przez cały dzień, odkąd zamknięto bramy. Przynosimy im posiłki, rozmawiamy z nimi, śmiejemy się.

Leesha pokiwała głową, spoglądając na głęboki dekolt Roni.

– A kiedy sobie z nimi porozmawiamy – zachichotała Roni – przekradamy się przez bramę. Dziewczeta uchylą lekko drzwi, gdy przyjdą dziś z kolacją, a ja przemycę nas do środka.

– Strażnicy nie zauważą trzech zupełnie nowych kobiet z małym chłopcem? – spytała Leesha.

Roni wsunęła dłoń w głąb dekoltu i wyjęła niewielkie drewniane pudełko.

– Powąchaj.

Leesha otworzyła pudełko, które było wypełnione miękkim czerwonym woskiem. Pachniał różami, ale nie tylko...

– Turuń i pyłek z werbeny. Kolejna sztuczka, której nauczyły was dziewczyny Jessy?

Roni mrugnęła zalotnie.

– Czasem sama rozmowa nie wystarcza, ale po kilku pocałunkach w usta wartownicy zaczynają widzieć podwójnie.

Leesha chciała okazać dezaprobatę, ale musiała się przecież jakoś dostać do miasta, a Roni zawsze szalała za mężczyznami i wyglądało na to, że nie ma nic przeciwko bałamuceniu wartowników.

– Dobra robota, Roni – oznajmiła, a na twarzy dziewczyny rozkwitł uśmiech. – Jestem z ciebie dumna.

Cienie stawały się coraz dłuższe, kiedy ich grupka czekała wśród drzew na odpowiedni moment. Leesha miała przez to mnóstwo czasu, by przemyśleć swój plan i na nowo rozbudzić niepokój. Czyżby zachód słońca miał ich zaskoczyć poza bramami? Nadciągała pierwsza noc Nowiu i gdyby brama została otwarta w nocy, demony umysłu niczym pająki w oku sieci mogłyby wyczuć drganie bariery.

Zastanawiała się też, gdzie jest Gared i pozostali oraz czy nic im nie grozi. Jeśli jej podstęp okazał się dobrym pomysłem i demony umysłu nie zorientowały się, że opuściła główne siły, skupią na jej przyjacielach całą uwagę.

Niespodziewanie rozległo się głucho szczęknięcie. Drzwi uchyliły się o kilka cali.

– To sygnał dla mnie! – oznajmiła Roni.

Sięgnęła po tę samą taktykę, którą Leesha widziała wielokrotnie w wydaniu Elony – wsunęła palec w dekolt i pogłębiła go jeszcze bardziej, a potem wypchnęła piersi wyżej, rozluźniła tasiemki i zawiązała na nich kokardę.

– Zaczekajcie! – szepnęła, podbiegła do szpary i wśliznęła się do środka.

Oczekiwanie było nie do wytrzymania. Leesha przyglądała się cieniom i wiedziała, że upłynął zaledwie kwadrans, ale miała wrażenie, że minęły całe dni. Czowała coraz głośniejszy łomot serca, aż w końcu brama uchyliła się na tyle, by mogła się w niej ukazać znajoma twarz. Pani Jizell, była nauczycielka Leeshy, zamachała obfitym ramieniem.

– Szybko! Szybko!

Pospiesznie wniknęli do środka, a Jizell zamknęła ciężkie drzwi, a po nich stalową, wzmocnioną runami bramę. Następnie wsunęła klucz w dekolci.

Na stole w strażnicy leżał nieprzytomny wartownik, stojąca przy nim Roni ścierała czerwoną szminkę z ust. Następnie ujęła kufel z piwem, wylała nieco alkoholu na stół i koszulę strażnika, a na koniec wsunęła mu naczynie do ręki.

Zza kolejnych drzwi dobiegł śmiech. Leesha chciała objąć swoją starą nauczycielkę, ale ta zabrała tacę kufla ze stołu i wręczyła ją dziewczynie.

– Będziemy się ściskać, gdy zrobi się bezpiecznie – szepnęła.

Leesha odruchowo ujęła tacę, a Jizell bez skrępowania wyciągnęła rękę i poprawiła jej dekolci tak samo, jak przed chwilą Roni. Leesha nie karmiła córki od wielu godzin i nie trzeba było wiele, by uwydatnić jej napęczniałe piersi.

– Wyjdź stąd swobodnym krokiem, jakbyś tu pracowała, a potem zacznij obsługiwać – dodała.

Leesha zerknęła przez ramię i przekonała się, że Roni przygotowuje Kendall w ten sam sposób. Blizny na dekolcie młodej Minstrelki za bardzo rzucały się w oczy, więc Roni zdecydowała się skrócić jej spódniczkę i zmierzić włosy. Pawl już znikł, a Wonda stała w miejscu i rozglądała się nieporadnie, nie mając pojęcia, co ze sobą począć.

Jizell uszczypnęła sutki Leeshy, nie dając jej okazji, by mogła się nad tym zastanowić. Leesha pisnęła z zaskoczenia, a chwilę później została wypchnięta za drzwi.

W porę odzyskała równowagę, uśmiechnęła się szeroko i wkroczyła do głównej izby, dzierżąc tacę.

– Jest tu ktoś spragniony?

Zgromadzeni w izbie mężczyźni zareagowali wiwatami. Niektórzy już chwiali się na krzesłach, a dziewczęta Jessy, w tym kilka znajomych Leeshy, uwijały się wokół nich. Dawna uczennica Leeshy Kadie opierała o ścianę strażnika, który ledwie był w stanie ustać, a mimo to nadal próbował ją obłapiać.

– Przyjęcie wymknęło się spod kontroli! – powiedziała Kadie i mrugnęła do hrabiny.

Leesha pokręciła głową i zaczęła rozdawać kufle z piwem, zbierając przy okazji opróżnione, a Jizell stanęła na środku izby.

– Mam dla was niespodziankę na dziś wieczór, chłopcy! Bo jeśli to nie jest najpiękniejsza Minstrelka w całym Angiers, to ja jestem otchłańcem!

Oczy wszystkich zwrócone były na Jizell, a Kendall w tym czasie wymknęła się ze strażnicy i wkroczyła do izby. Mężczyźni głośnymi okrzykami nagrodzili jej piękne nogi i włosy, a dziewczyna wykonała salto do tyłu, przyłożyła smyczek do strun i zagrała żywą, wesołą melodię.

Wtedy próbę przemknięcia się podjęła Wonda, ale pech chciał, że w tej samej chwili odwrócił się ku niej pijany sierżant.

– Hej! – warknął i wycelował w nią rozchwiany palec.

Leesha zamarła. Stała za mężczyzną, trzymając ciężki kufel w ręku. Mogłaby bez trudu...

– Kończysz zmianę dopiero za pół godziny, Ames! – ryknął sierżant. – Wracaj na posterunek!

– Jasne! – Wonda odpowiedziała najgrubiej jak mogła, opuszczając przy tym głowę. – Tajes!

Pospiesznie wycofała się do strażnicy, a sierżant burknął i skupił uwagę na dekolcie Leeshy.

– We łbie mi się nie mieści, jak ten chłopak wyrósł! – wybełkotał.



W drodze do szpitala Jizell trzymali się zatłoczonych uliczek handlowych. Na pierwszy rzut oka miasto wydawało się wyglądać normalnie, gdyż wszędzie kręcili się ludzie dokonujący ostatnich zakupów przed ogłoszeniem nadejścia nocy. Dopiero z bliska widać było rozczochrane włosy, blade twarze i bojaźliwe spojrzenia. Wozy z towarami stały do połowy puste, a to, co na nich pozostało,

sprzedawano po nieprzyzwoicie wysokich cenach. Ludzie nerwowo zerkali na mijających ich Drewnianych Żołnierzy i Górskie Włócznie.

Dotarły na miejsce tuż przed zachodem słońca. Jizell otworzyła im drzwi, prowadzące do jej prywatnej klatki schodowej.

– Pospieszcie się! Zaraz powstaną otchłańce, a ja nie chcę, żeby któryś z nich was dorwał!

Przez ścianę, za którą znajdował się szpital, dobiegł hałas ogromnego zamieszania.

– Kiedyś po samych odgłosach zza ściany potrafiłam odgadnąć, ile łóżek jest zajętych, ale takiego rejwachu jeszcze nie słyszałam – powiedziała Leesha.

– Nic dziwnego – burknęła Jizell. – Mam po dwie osoby w jednym łóżku i kolejne na podłodze między nimi.

– Na noc! – westchnęła Leesha.

– Wielu ludzi trafiło do Otchłani podczas tego Nowiu – rzekła Jizell. – Znamy się na rzeczy i utraciliśmy wielu spośród tych, którzy do nas trafili, ale musiałyśmy zachować czujność. Nie chciałyśmy przyciągać zbyt wiele uwagi, zwłaszcza w nocy. Czekamy na świt, a z magii korzystamy jedynie w ciemnych pokojach, gdy przychodzi się zająć najgorszymi ranami. Innymi zajmujemy się w konwencjonalny sposób. Poza tym kończą nam się *hora*.

Otworzyła drzwi swojego gabinetu i zapędziła ich do środka, zamykając za nimi na klucz. Zza biurka wstała jakaś kobieta i podeszła, by się przywitać.

– Witaj, hrabino!

Twarz Jessy, podobnie jak jej podopiecznych, pokrywał makijaż, a włosy były idealnie ułożone. Rozłożyła fałdy jedwabnej sukni i wykonała perfekcyjny ukłon.

– Cóż za zaszczyt... – zaczęła, ale Leesha nie pozwoliła jej dokończyć zdania i rąbnęła Chwaściankę prosto w nos.

Pozostali zamarli z zaskoczenia i Leesha wcale im się nie dziwiła. Spodziewała się, że zastanie tu Jessę, i nie miała zamiaru wszczynać awantur, ale widok twarzy Chwaścianki, aż

promieniującej zadowoleniem z siebie, obudził w Leeshy wściekłość.

To przez magię, pomyślała.

Pobierała ostatnio często i wiedziała, że nie pozostaje to bez wpływu na jej równowagę psychiczną, ale czy rzeczywiście mogła zrzucić całą odpowiedzialność na magię? Z satysfakcją wszak patrzyła, jak Jessa zatacza się i siada ciężko na twardej podłodze, a potem łapie się za nos.

– A to niby za co, na Otchłań?! – wybełkotała.

Leeshy przypomniał się nagle Thamos, który mawiał, iż w niektórych okolicznościach przywódca musi być twardy i nieugięty, nawet jeśli się myli. Nie zgadzała się wówczas z tymi słowami, lecz teraz ujrzała w nich mądrość.

– Za Bekkę, którą niemal zabiłaś, oraz za każdego innego człowieka, którego dotknęły twoje intrygi.

Jessa wyciągnęła chusteczkę, wydmuchała wielkie bąble krwi i z wprawą zbadała nos, by mieć pewność, czy nie został złamany. Zacisnęła palce na czole, by zatamować krwotok.

– Masz tupet, dziewczyno! Gdyby Bruna tu była, obiłaby ci łapska swoją laską! Nienawidziła hipokrytów z całego serca.

– Nie wolno ci się tak odzywać do pani Leeshy! – warknęła Wonda i zrobiła krok naprzód.

Jizell położyła łagodnie dłoń na napierśniku Rębaczki, co wystarczyło, by ją zatrzymać.

– Nie mieszaj się w to – powiedziała. – Zanosilo się na to od dawna, a teraz samo musi się rozstrzygnąć.

– To ciebie Bruna wyrzuciła – rzekła Leesha. – Nie mnie.

Jessa uniosła dłonie.

– Przyznaję się do wszystkiego. W istocie próbowałam skraść jej tajemnicę płynnego ognia demonicznego. A wiecie dlaczego?

– Bo jesteś egoistką, którą obłąkała żądza władzy? – zasugerowała Leesha.

– Bo Araine mi kazała! – warknęła Jessa. – Tak jak kazała Brunie, żeby mnie wyszkoliła. Sądzicie, że to przypadek?

Leesha zamrugała. Z niechęcią musiała przyznać, że słowa Jessy

miały sporo sensu i wyjaśniały, dlaczego Araine ufała Chwaściance do tego stopnia.

– A co się stało z twoją lojalnością wobec księżnej, gdy truć jej syna?

Jessa oparła dłonie na biodrach.

– Chcesz zrzucić na mnie winę za całe zło, które miało miejsce w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Widzę to w twoich oczach.

– A czemu nie? – spytała Leesha. – Nigdy nie wróciłabym do tego przeklętego miasta, gdyby nie twoje intrygi! Euchor nigdy nie posłałby swojej broni ognistej na południe! A Rojer dalej byłby wśród nas!

Jessa smagnęła Leeshę ostro dłonią w twarz. Uderzenie eksplodowało w głowie Leeshy niczym piorun i dziewczyna aż się zatoczyła. Jej policzek zapłonął bólem.

– Nie chcę słyszeć od ciebie ani słowa o Rojerze. Ten chłopak był dla mnie niczym syn! Naprawdę sądzisz, że chciałam, żeby stało mu się coś złego? Że wolałam się ukrywać, niż wziąć udział w jego pogrzebie? – Jessa ze złością wycelowała w Leeshę palec. – Przyznaję, że podawałam Rhinebeckowi środki, które zamieniły go w impotent. Ten przeklęty syn Otchłani zasłużył sobie na to. Niemniej Rojer i Jasin mieli ze sobą na pieńku na długo, zanim wróciłaś wraz z nim do Angiers, a Euchor marzył o koronie królewskiej na długo, zanim przyszedł na świat. Ale ty... ty sprawiłaś, że demon pustyni wyskoczył ze swojej zbroi! Mogłaś go otruć, mogłaś wbić mu nóż między żebra, mogłaś zrobić cokolwiek, żeby powstrzymać jego ofensywę! A co zrobiłaś zamiast tego? Pozwoliłaś, żeby ci wygodził, po czym ruszył na Lakton, wymordował połowę miejscowej ludności i wtrącił w niewolę resztę. Myślisz, że możesz mnie osądzać, Leesho? Mnie i moje dziewczęta? Jesteś w tym samym stopniu kurwą co my wszystkie, z tym wyjątkiem, że moje dziewczęta przynajmniej pamiętają o picciu odpowiednich ziółek.

Słowa Jessy zabolowały bardziej od policzka, bo odsłoniły największe lęki Leeshy. Zginęło tysiące ludzi, ale za nic nie cofnęłaby tego, co zaszło między nią i Ahmannem. Nie teraz, gdy na

świecie pojawiła się Olive.

Poza tym to nie Ahmann zaatakował Lakton, ale jego syn. Za to Leesha nie ponosiła winy.

– Każda z nas podejmuje własne decyzje, Leesho, po czym musi z nimi żyć – ciągnęła Jessa. – Niemniej żadna z nich nie ma już teraz znaczenia. Teraz bowiem musimy połączyć siły przeciwko demonom.

Ileż to razy Leesha mówiła te same słowa? Ile razy słuchała, jak wykrzykiwał je Arlen? Przecież zawierała się w nich najważniejsza zasada w jej życiu, jedyna, w którą wierzyła, a teraz Jessa wyjaśniała ją na jej użytek! Co więcej, miała rację.

– Tak – rzekła Leesha. – Przepraszam.

– Pod twoją nieobecność zaszły w Angiers zmiany – odezwała się Jizell. – Zielarki i Chwaścarki uznały, że mamy więcej wspólnego, niż sądziłyśmy. My teraz stanowimy ruch oporu.

– Demony umysłu zahipnotyzowały połowę mężczyzn w Angiers – dodała Jessa. – Doprowadziły w ten sposób do sytuacji, że brat przestaje ufać bratu, ale całkowicie zignorowały przy tym kobiety. Dopóki nikt nie próbuje uciec z miasta za dnia bądź zbliżyć się za bardzo do runów, które mężczyźni budują wokół pałacu, demony zajmują się własnymi sprawami i pozostawiają kobiety w spokoju.

– A w nocy? – spytała Leesha.

– Otchłāńce przestały atakować mury – odparła Jizell. – Niektóre demony polne i drzewne nadal materializują się w mieście i zabijają każdego, kto się nawinie, ale nie zbliżają się do runów czy też mężczyzn na murach.

– Chcą, żebyście żyli – rzekła Leesha.

– Ale po co? – spytała Jizell. – Dlaczego?

Leesha nie odpowiedziała.

– A co twoim zdaniem wojsko na murach pocznie, gdy pojawi się armia Gareda? – spytała zamiast tego.

– Potraktują was jak najeźdźców i ostrzelają z broni ognistej – odparła Jessa. – Minstrele już opowiadają o Wiedźmie Runiarce z Zakątka, która nadciąga na północ, żeby odebrać tron.

– Odebrać? – spytała Leesha. – Przecież Pether nie żyje i tron



jest pusty!

– Nikt nie jest w stanie tego udowodnić – odparła Jizell. – Pałac został otoczony szczelnym kordonem po tym, jak udało nam się przemyścić księżną matkę na zewnątrz. Wojsko utrzymuje, że to dla bezpieczeństwa księcia. Heroldzi nadal ogłaszają na rynku miejskim nowe prawa i godziny ciszy nocnej, rzekomo ustanowione przez księcia Pethera, żeby trzymać nas z dala od murów i wielkiego runu, który wznoszą wokół pałacu.

– Na noc... – mruknęła Leesha, po czym wyciągnęła różdżkę, by nakreślić runy ciszy i zamaskować ich obecność. – Czy któryś z waszych pacjentów znajduje się pod władzą demonów?

– Niewielu – odparła Jizell. – Nasze uczennice przepytują każdego nowego człowieka w szpitalu, żeby to sprawdzić. Na nasze szczęście demony umysłu nie są zainteresowane przejmowaniem rannych, a więc po pierwszym ataku nie było wśród pacjentów nikogo pod ich wpływem. Trafiają się natomiast teraz, głównie strażnicy, którzy zostali ranni podczas udaremniania prób ucieczki, lub robotnicy poszkodowani przy budowie wielkiego runu. Niedawno zapadł się tam chodnik. Objęliśmy ich kwarantanną.

Leesha pokiwała głową.

– Trzeba będzie ich przepytać. Zwłaszcza tych, którzy pracują nad wielkim runem.

– Wiele z nich nie wyciągniesz – stwierdziła Jessa. – Wydają się normalni i bezpośredni, ale zamykają się, gdy spytasz ich o pracę. Trzeba krążyć wokół tematu i wyciągać wnioski.

Leesha znowu pokiwała głową i zerknęła na Pawła.

– Nadal twierdzisz, że jesteś w stanie wprowadzić nas do pałacu? Tunele prowadzące do burdelu bez wątpienia zostały zamknięte.

– Pewnie tak – zgodził się Pawł. – Ale łączą się z innymi, znanymi tylko członkom rodziny książęcej. Ciągną się pod całym pałacem.

– Co ci chodzi po głowie, dziewczyno? – spytała Jizell.

Leesha zignorowała pytanie.

– Macie tu jakieś materiały wybuchowe?

– To szpital! – oznajmiła Jizell, ale Jessa mrugnęła i rzekła:

– A ja mam. Księżna matka lubiła mieć wszystko na podorędziu i zebrała sobie zapasik.

– Który, jak rozumiem, znikł bez śladu, gdy jej Chwaściarka zdradziła i uciekła ze służby – odgadła Leesha.

– Wreszcie zaczynasz nadążać – stwierdziła Jessa. – Ile ci trzeba?

– Wszystko.

– Taka ilość prochu przyciągnie sporo uwagi – ostrzegła Jessa.

– Nów się już rozpoczął – rzekła Leesha. – Któż może wiedzieć, czym myślaki są teraz zajęte? Gared i jego ludzie być może właśnie walczą o życie. Nie stać nas już na to, żeby rozegrać to dyskretnie i po cichu.

Jizell założyła ramiona.

– Co konkretnie rozegrać?

– O świcie dziewczęta wysadzą wielki run w powietrze – oznajmiła Leesha. – Przypuszczalnie przyciągnie to uwagę wszystkich, a my wówczas zakradniemy się i zabijemy myślaka.



W półmroku świtu po ulicach Angiers nadal grasowały demony, ale Leesha wiedziała, że księżęta już dawno się skryli w obawie przed jaśniejącym niebem. Kobiety przemierzały się w szybkim tempie, zamaskowane muzyką Kendall. Dotarły do sekretnej kryjówki, w której Jessa trzymała materiały wybuchowe, a potem Leesha wyznaczyła dziewczętom zadania.

– Po tym, jak zniknie ostatni demon, mamy może jakieś piętnaście minut do pojawienia się porannej warty – powiedziała Jessa. – A więc mnóstwo czasu, żeby podłożyć piorunowe patyki, podpalić lont i wziąć nogi za pas.

Pozostałe udały się do porzuconej szkoły Jessy, która teraz stała się garnizonem dla Drewnianych Żołnierzy. Na miejscu zastały już Roni i kilka innych dziewcząt, które czarując żołnierzy swymi

wdziękami, rozdawały im kawę oraz śniadanie, sownie przygotowane turuniem i pyłkiem z werbeny. Leesha i parę jej towarzyszek dołączyły do obsługi, podczas gdy Wonda, wciąż z angieriańskim herbem, zsunęła hełm na oczy i czuwała w pobliżu.

– Co się... – sapnął jeden z żołnierzy, gdy jego towarzysze zaczęli się osuwać na ziemię. Poderwał się i zataczając, ruszył ku Wondzie.  
– Szybko! Szybko! Bij na alarm!

Wonda przypadła do żołnierza, jakby chciała go podtrzymać, ale ukradkiem wepchnęła mu knebel do ust i przewróciła na ziemię.

– Chodźcie! – zawołała Jessa i pociągnęła za ukrytą dźwignię, która przesunęła biblioteczkę.

Oczom Leeshy ukazało się ukryte przejście ze spiralnymi schodami, które skręcały w dół.

Wtedy miastem wstrząsnęły potężne eksplozje, gdy ukryte w tunelach pod pałacem piorunowe patyki rozsadziły fragmenty wielkiego runu, rytego w bruku.

– Co tam się, na Otchłań, dzieje? – huknął ktoś.

Leesha wlała dwie chemiczne substancje do niewielkiej butelki, zatkała ją korkiem i potrząsnęła energicznie, a potem cisnęła fiolką w głąb klatki schodowej. Rozległ się trzask tłuczonego szkła, a potem syk uwalniającej się mikstury, która przerodziła się w złowieszco wyglądający kłęb pary. Potem z dołu dobiegły stłumione okrzyki i pokasływanie.

Wonda ruszyła w dół jako pierwsza. Zakryła twarz maską z odpowiednim filtrem, a runy na jej hełmie rozświetlały kłęby pary. Poruszała się błyskawicznie i podążająca za nią Leesha słyszała chrupnięcie łamanych kości. Nawet jeśli śpiący tam żołnierze zdołali się obudzić, żaden nie był już w stanie za nimi podążyć.

Leesha wyciągnęła zza pasa różdżkę, wstrzymała oddech i ostrożnie zstąpiła do ciemnej klatki schodowej. Narysowała run powietrza i nagły podmuch wiatru rozpędził trującą parę.

– Kendall?

Młoda Minstrelka wsunęła skrzypce pod brodę i zaczęła grać. Jessa otworzyła sekretny tunel, od dwóch pokoleń wykorzystywany

przez arystokrację, by bez trudności przedostać się z pałacu do burdelu.

Leesha skinęła Jessie i Jizell.

– Uciekajcie stąd. Zbierzcie dziewczęta i pilnujcie, żeby nie stała im się krzywda.

Jizell uścisnęła hrabinę pospiesznie.

– Niech cię Stwórca prowadzi, dziewczyno.

– Dokładnie – dodała Jessa. – Powodzenia.

A potem Pawł poprowadził je w ciemność.

Muzyka Kendall otaczała ich aurą niewidzialności niczym runiczny płaszcz, dzięki czemu bez przeszkód prześlizgiwali się obok otchłańców, które patrolowały katakumby. Szli przez dłuższą chwilę, aż Pawł zatrzymał się przy niczym niewyróżniającej się ścianie i otworzył ukryte drzwi. Zostawili za plecami rojący się od demonów podziemny labirynt i znaleźli się w wąskim, wyłożonym dywanami korytarzu, wiodącym do biura Araine w kobiecym skrzydle pałacu.

Samo biuro wyglądało zupełnie inaczej, niż Leesha je zapamiętała. Okna zostały zamalowane na czarno i zakryte ciężkimi zasłonami. Gdyby nie runy, które potęgowały wzrok, nie widzieliby zgoła nic. Co więcej, ze ścian i podłogi zdarto wszelkie runy, a te, których usunąć się nie dało, zostały zniekształcone chłaśnięciami ostrych pazurów.

– Musimy dotrzeć do kolejnego korytarza! – rzucił cicho Pawł.

Zasłonięci muzyką Kendall, wymknęli się z biura księżnej, za którym znajdowała się równie zdewastowana sala. Na podłodze spały demony. Wstrzymując oddech i stąpając na palcach, Leesha prześlizgała się obok nich, aż dotarli do kolejnego pomieszczenia z zimnym, dawno wygasłym kominkiem. Odbiegał od niego kolejny wąski korytarz.

– Już jesteśmy prawie na miejscu! – wyszeptał Pawł i wskazał drzwi na jego końcu.

Za ich plecami rozległo się głuchoe warknięcie. Leesha odwróciła się, ale nie dojrzała niczego.

– Szybko!

Pawł skinął głową, podbiegł do drzwi i otworzył je.

W tym samym momencie ściany, podłoga i sufit niespodziewanie ożyły. Zarówno dywany, jak i malowana boazeria zaczęły się rozdymać i przekształcać, aż przeobraziły się w twardą łuskę.

– W nogi! – krzyknęła Leesha i wpadła przez otwarte drzwi do sali tronowej.

Na głowie miała siateczkę ze srebrnego drutu, z którego uformowano między innymi runy umysłu. Te nagle rozgrzały się i Leesha zrozumiała, że wpadli w pułapkę. Chwilę później zapłonął wokół nich krąg runów.

Wonda wypuściła strzałę w stronę nadciągających demonów, ale pocisk odbił się od runicznej bariery i upadł u jej stóp. W tę samą barierę uderzyła zaraz wciąż biegnąca Kendall. Runy zapłonęły i odrzuciły ją w tył. Dziewczyna krzyknęła z bólu i padła na ziemię, wypuszczając z ręki skrzypce.

Leesha uniosła różdżkę, ale wtedy pojawił się przed nią run uderzenia. Wytracona z rąk różdżka wylądowała gdzieś poza kręgiem, a uderzenie serca później dziewczyna poczuła szarpnięcie przy pasku. Zerknęła w dół i ujrzała, że właśnie straciła sakiewkę z *hora*. Wonda ryknęła dziko, doskoczyła do bariery i zaczęła ją tłuc ogromnymi pięściami, lecz każdy cios wywoływał eksplozję bólu. Leesha patrzyła na magię rozplływającą się zygzakami wokół uderzanych miejsc i wiedziała, że bariera jest szczelna. Nie było w niej żadnych luk.

Pawł beztrąsko wkroczył do sali tronowej, choć wokół bariery przemykały już zmiennokształtne, ledwie widoczne w ciemnościach.

– Ty mały gnojku! – Wonda nadal tłukła pięściami w runy, jakby zapomniała o bólu. – Poczekaj, aż cię dopadnę, a...

Pawł odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się. Po plecach Leeshy spłynął nieprzyjemny dreszcz.

– Mimo swojej arogancji – odezwał się chłopiec zimnym, należącym do o wiele starszej istoty głosem – jesteś niewiele lepsza od najpodlejszego skalnego demona. Spójrz tylko na siebie. Wal w te runy, wal. Jeszcze chwila, a same cię wykończą.

– Pawl? – spytała Leesha.

– Jak na tak młodą osobę, ów chłopiec ma bardzo bogaty umysł – odezwał się Pawl. – Z rozkoszą go pożremy, gdy przestanie być nam przydatny.

Leesha przechyliła głowę.

– Jak przejęłyście nad nim kontrolę? Przecież osobiście namalowałam na jego czole run ochronny!

Jeden ze zmiennokształtnych zamigotał i uformował jakąś postać. Podeszedł bliżej, a wtedy serce Leeshy na moment przestało bić. Przed nią stał Rojer.

– Wciąż nie możemy uwierzyć w to, jakimi jesteście durniami!

Inny zmiennokształtny przybrał postać Thamosa. Wyglądał tak realistycznie, że Leeshy napłynęły łzy do oczu.

– Wciąż nie rozumiesz?

– Miałeś chłopaka pod kontrolą od samego początku – zrozumiała Leesha. – Od pierwszej nocy! Czyli Araine nie uciekła? Pozwoliłyście jej odejść, tak?

– W przeciwnym razie byłoby nam ciężko zniszczyć cię w miejscu, gdzie sprawujesz największą władzę – zgodził się Pawl.

– Łatwiej było zamachać marchewką i zwabić cię tu jak osiołka – dodał niby-Rojer.

– Chłopak sam się nie zorientował, że nam służy – odezwał się niby-Thamos. – Ani mu to do głowy nie przyszło, gdy prowadził was tutaj.

– I co teraz? – spytała Leesha. – Pozabijacie nas? Zjecie nam umysły?

– Jeszcze nie. – Pawl obnażył zęby. – Przecież na razie możecie się jeszcze przydać.

– Dalej niczego nie rozumieją – powtórzył zadziwiony Thamos. – Żałosne.

– Że to my niby jesteśmy żałośni? – krzyknęła Wonda. – To wy chowacie się w ciałach dzieci i zmiennokształtnych!

W odpowiedzi salę rozświetlił blask runów i Leesha ujrzała demona rozpartego na bluszczowym tronie, przyglądającego się ludziom ogromnymi, wyłupiastymi oczami. Jaśniał potęgą do tego

stopnia, że Leesha musiała zmrużyć oczy.

Dwa inne demony umysłu stały u podnóża tronu. Były równie drobne jak Kendall, a ich cienkie szyje wspierały ogromne stożkowate głowy, zwieńczone szczątkowymi rożkami i innymi wypustkami, które pulsowały i tętniły.

Niby-Thamos wypuścił długą mackę, którą oplótł Leeszę.

– Pani Leesho! – krzyknęła Wonda. Pochwyciła hrabinę, ale demon okazał się o wiele silniejszy i bez trudu wyrwał Leeszę z kręgu. Wonda straciła równowagę i padła na barierę, która odrzuciła ją w tył. Krzyknęła z bólu.

Niby-Thamos przyciągnął Leeszę bliżej i uśmiechnął się tak, jak miał w zwyczaju, gdy byli sami, a potem musnął jej policzek. Dotykał tak jak prawdziwy Thamos i nawet pachniał jak on. Jego dłoń przesunęła się wyżej i delikatnie usunęła spinki, które przytrzymywały srebrną siateczkę na włosach Leeshy. Dziewczyna szarpnęła się, ale Thamos jedynie się uśmiechnął.

– Nie wierć się, ukochana. Nie walcz. Za chwilę czeka cię ból głowy tak potężny, że będziesz mnie prosić o kolejną pieśczętę.

Pochylił się i pocałował Leeszę namiętnie. We wszystkim przypominał Thamosa, łącznie z zapachem oddechu. Leesha próbowała ukryć obrzydzenie, choć bez wątpienia widzieli jej uczucia dzięki aurze.

– Opuścisz to miejsce po to, żeby opowiedzieć wszystkim o naszej klęsce – rzekł Rojer. – Sama uwierzysz w swoje słowa. Będziesz opowiadać o wydarzeniach, które ci przedstawimy, jakby rzeczywiście miały miejsce. Ty i twoje towarzyski zostanieie powitani jako zbawcy i znów staniecie na czele waszych armii.

– Będziecie wędrować za dnia, a w nocy strzec umysłów runami – ciągnął Pawl. – Po dotarciu na miejsce osłabisz linię obrony.

– I wkrótce Zakątek będzie nasz – dodał Thamos.

Nadszedł czas, by Leesha się uśmiechnęła.

– Nie sądzę.

– Nie możesz nas powstrzymać – dodał Thamos, zdejmując ostatnią spinę.

„Chłopiec, któremu ocalono życie, zaprowadzi cię prosto

w pajęczą sieć” – zdradziły Leeshy kości. „Zaczekaj z atakiem do tej chwili”.

– Teraz, moje drogie – powiedziała, a runiczny kolczyk przekazał jej słowa dalej.

Demony zamarły, ale przez moment nic się nie działo.

Naraz rozległ się ogłuszający huk, który zachwiał ludźmi i demonami. Nawet księżę umysłu, który siedział na bluszczowym tronie, zacisnął łapy na poręczach. Do pierwszej eksplozji dołączyły kolejne, już mniej wyraźne, bo po pierwszym wybuchu Leeshy nadal dzwoniło w uszach.

A potem przez popękane okna i chmury duszącego pyłu do sali wdarły się promienie porannego słońca. Demony umysłu wrzasnęły, niezdarnie umykając ku cieniom, ale nawet tam dopadło je światło. Ich opromienione ciała zadymiały.

W jednym z okiem pojawiła się Micha i cisnęła włócznią z runicznego szkła. Trafiła w pierś zmiennokształtnego, który przybrał formę Thamosa. Stela z Gospody wpadła na innego – tego, który uosabiał Rojera – i pchnęła go w płamę światła, która natychmiast zamieniła go w żywą pochodnię. Złapała też szamoczącego się Pawła, by ten nie wywołał kolejnego zamieszania.

Leesha wreszcie uwolniła się od macki, a Kendall poderwała z ziemi skrzypce. Wonda wyrwała się spoza niedziałającej już runicznej bariery. Pozostałe demony, tak zmiennokształtne, jak i umysłu, w blasku dnia nie były w stanie zamienić się w mgłę i umknąć do Otchłani. Rzuciły się zatem ku wyjściom, ale Stela z Gospody okazała się szybsza i jako pierwsza przypadła do drzwi. Otchłańce wówczas się rozpierzchły, ale przy drugich drzwiach wyrósł brat Franq, a przy trzecich Ella Rębacz.

– Chciałabym przedstawić wam moje Naznaczone Dzieci! – zawołała Leesha do demonów, które miotały się, wrzeszcząc przeraźliwie i próbując ugasić płomienie, ogarniające już ich ciała.

– A nam się nie podoba, jak potraktowaliście naszą mamę – oznajmiła Stela.





## 38

### Sharak Ka

334 ROK PLAGI

**D**amajah, przybyła twoja święta matka. Inevera odwróciła się. Pogrążona w myślach, nie zarejestrowała nawet zbliżającej się Jarvah. Taki brak uwagi mógł ją kiedyś kosztować życie.

– Wprowadźcie ją.

Odwróciła się na powrót ku oknu. Manvah weszła do środka i stanęła przy córce, a Jarvah zamknęła drzwi, zostawiając je na osobności. Kobiety przez moment wpatrywały się w remontowane doki, gdzie Laktończycy i Krasjanie wspólnie próbowali ocalić wszystkie jednostki, które nadawały się jeszcze do żeglugi, i rozebrać pozostałe na części.

– Nigdy w życiu nie umiałabym sobie wyobrazić tak rozległej oazy ani też tak wielkiej floty – odezwała się Manvah.

– Nadal może okazać się niewystarczająco duża, jeśli będziemy

musieli uciekać z miasta podczas Nowiu – odparła Inevera.

Manvah spojrzała na córkę.

– Chcesz się tak łatwo poddać Nie?

– Na pewno nie łatwo – powiedziała Inevera. – Gdyby moja śmierć mogła ocalić Krynice Everama, zyskałabym wieczną sławę, ale z chęcią wyrzeknę się własnej godności, jeśli będę mogła ocalić mój lud. Wszak następnej nocy też trzeba będzie stanąć do walki. Tak, z chęcią skorzystam z takiej okazji i będę się z niej cieszyć.

Manvah znowu spojrzała w okno.

– Taką cię zapamiętałam.

– Jak przebiegła podróż? – spytała Inevera. – Mam nadzieję, że bez przygód?

– *Alagai* poddały nas sprawdzianowi – odparła Manvah. – Ale nie było to wyzwanie, z którym dziesięć tysięcy *Sharum* by się nie uporało.

Inevera pokiwała głową. *Alagai* wiedziały już, że uparła się utrzymać Krynice, a więc mogła bez przeszkód wzywać posiłki. Nie ośmieliła się jednak ściągnąć zbyt wielkich sił, by nie pozostawić Lenna bez ochrony. Amanvah i Asome donosili o walkach na obrzeżach samego miasta. *Alagai*, prowadzone przez młode demony umysłu, zwiększyły swoją liczebność, ale podobnie jak w przypadku Zakątka, runy Lenna były dla nich zbyt silne i nie zdołały zagrozić centrom władzy.

– A co z buntem *chin*? – spytała Inevera. – Asome i Amanvah utrzymują, że na bazarze słychać inne głosy.

– *Alagai* co noc szturmują nasze runy – odparła Manvah – a Posłaniec z Zakątka doniósł niedawno o upadku Angiers. *Chin* nie mają już wielkiej ochoty, żeby chwycić za broń przeciwko tym, którzy mogą ich najlepiej obronić.

– Sharak Ka przynosi kres Sharak Suun – zacytowała Inevera.

– W istocie tak to wygląda. – Manvah wskazała Krasjan i Laktończyków, którzy pracowali ramię w ramię w dokach. – Ci *chin* nie tak dawno buntowali się przeciwko tobie, a teraz wypełniają twoje rozkazy.

Inevera opuściła spojrzenie.

– To nie do końca jest prawdą.

– Co? – spytała Manvah.

– Potrzebowałam jakiegoś wroga, żeby trzymać *Damaji* w ryzach pod nieobecność Ahmanna – szepnęła Inevera. – Jakiegoś kozła ofiarnego. Abban nalegał, żebyśmy zaatakowali Dokowisko i przejęli zimową daninę w żywności, jaką okoliczni mieszkańcy składali miastu na jeziorze, a więc...

– Zasiadłam na tronie z poduszek i zaczęłam kłamać, tak? – dokończyła za nią Manvah. – Sięgnęłam po imię Everama, żeby przedwcześnie wciągnąć tych ludzi w Sharak Suun dla własnych interesów.

Inevera przytaknęła.

– I w ten oto sposób straciłam najstarszego syna i sporą część armii Everama, żeby zdobyć przyczółek pośród tych cuchnących mokradeł.

– Czasem wystarczy nawet skrawek ziemi, żeby móc wykonać długi skok – rzekła Manvah. – Słyszę w twoim głosie, iż spodziewasz się, że cię zganię, ale nie mnie oceniać, czy postąpiłaś dobrze, czy źle. To ciebie Everam obdarzył brzemieniem władzy oraz mocy, a z tego, co widzę, korzystasz z obu darów z wielką mądrością. – Odwróciła się i uśmiechnęła. – Na ogół. Któż może powiedzieć, do czego by doszło podczas poprzedniego Nowiu, gdybyś nie przybyła do Krynicy? Na pewno Otchłań zagarnęłaby Krynice, a teraz poławiacze ryb przynajmniej mają szansę na odzyskanie swojego miasta na wyspie.

– Przyniosłaś listy ładunkowe? – spytała Inevera.

Manvah skinęła głową i wyciągnęła spod szaty plik dokumentów.

– Żywność, drewno, smoła i inne potrzebne surowce. Wystarczy, żeby odbudować Dokowisko, tym bardziej że mamy tysiące budowniczych i robotnic *dal'ting*. O ile nie pogubią się w labiryncie namiotów, które kazałaś im postawić.

– Nie jesteśmy w stanie pomieścić pięćdziesięciu tysięcy ludzi w samym Dokowisku – odparła Inevera. – Poza tym namioty będą rozstawione tak, żeby uformować wielkie runy i powstrzymać

*alagai* do czasu zbudowania lepszego systemu obronnego.

– Zajmę się tym – rzekła Manvah.

Obecną pozycję osiągnęła szybko i bez trudu. Gdy wyszło na jaw, że najbardziej wpływową kobietą interesu na Wielkim Bazarze to matka Damajah, nikt nie zaprotestował, gdy powierzono jej nowe, ważniejsze zadania. Co więcej, była jedyną osobą, na której Inevera chciałyby w tej chwili polegać.

Rozległo się pukanie do drzwi i Jarvah wprowadziła do środka Asukajiego. Chłopak zamarł na widok Manvah.

– Święta matko, nie spodziewałem się, że przybyłaś...

– Nie rozdziawiaj tak gęby, chłopcze – rzekła Manvah. – Od tej pory będziesz mnie tu często widywał.

Asukaji w odpowiedzi złożył jej głęboki ukłon, a potem się wyprostował. Był sparaliżowanym kaleką, gdy Asome pojmał Manvah i zabił Kasaada, ale wszyscy wiedzieli, że popierał jego plan.

– Nadszedł czas, Damajah – oznajmił. – Połowiacze ryb zgromadzili się przed tronem.

Inevera skinęła i wyszła z komaty wraz z Manvah, Jarvah i Asukajim. Spotkali się z krasjańską delegacją, składającą się z sióstr-żon Inevery, Sikvah, Sharu i Qerana, po czym Damajah zasiadła na tronie z poduszek.

Naprzeciwko nich stali książę Isan, kapitan Dehlia i ocalali Dokmistrzowie. Isan zrobił kilka kroków, stanął przed tronem i ukłonił się płytko.

– Damajah, nadszedł pomyślny dzień dla obu naszych ludów.

Inevera nie widziała jego aury, ale bez wątpienia był nadal wściekły. Nie znosił jej obecności i z trudem zmusił się do ukłonu, ale mimo to jego słowa zabrzmiały szczerze. Wyciągnął dwa zwoje pergaminu z identycznymi dokumentami, wykaligrafowanymi eleganckim charakterem pisma po thesańsku i krasjańsku.

– Kontrakty zostały przygotowane.

– Pozostaje więc przypieczętować je krwią – oznajmiła Inevera i powstała. Z gracją spłynęła po siedmiu stopniach podwyższenia i wyciągnęła zza pasa zakrzywione ostrze. Isan przyglądał mu się

czujnie, choć sam również wyciągnął sztylet. Jarvah otworzyła niewielki kałamarz na stoliku pomiędzy nimi. – Wspólnie przelewaliśmy krew w mroku nocy, Isanie asu Marten asu Isadore – rzekła Inevera, gdy oboje nakłuli palce i wycisnęli z nich po siedem kropli krwi do atramentu. – Niech więc nasza krew rozpocznie erę pokoju między naszymi ludami.

Jarvah zmieszała krew z gęstym atramentem i cofnęła się, a Inevera i Isan jednocześnie unieśli pióra podobne do tego, którym matka Isana oślepiła Jayana. Zanurzyli je w kałamarzu.

– Nadaję wam miano plemienia Jeziora i godność czternastego plemienia Krasji – rzekła Damajah, podpisując dokument. – Ty zaś stajesz się *Damaji* Isanem. Zachowasz całkowitą władzę nad tymi ziemiami i zamieszkującymi je ludźmi, a odpowiadać będziesz jedynie przed tronem Krasji. Kiedy Sharak Ka dobiegnie końca, a my osiągniemy zwycięstwo, powrócę z moimi ludźmi do Lenna Everama, pozostawiając tu jedynie tych, którzy będą chcieli mieszkać w pokoju. Przysięgam na Everama i moją nadzieję na Niebo.

– Inevero jiwah Ahmann am’Jardir – odezwał się Isan w źle akcentowanym, lecz zrozumiałym krasjańskim. – Uznaję w tobie Damajah, która zasiada na Tronie Poduszek Krasji. Ślubuję wierność tobie i Shar’Dama Ka, który zasiada na Tronie z Czaszek Krasji. Z nastaniem ciemności będziemy walczyć ramię w ramię.

Podpisał dokument własnym imieniem, a Jarvah płynnym ruchem zamieniła dokumenty, by umieścili podpisy na obu. Następnie posypała je proszkiem, by przyspieszyć wysychanie atramentu, zamknęła kałamarz i wsunęła go do kieszeni. Zmieszana krew Inevery i Isana mogła im umożliwić potężne wróżby.

– A teraz, Damajah – Isan wskazał wielkie okno – spójrz na dar plemienia Jeziora, który scementuje nasz sojusz.

Do zatoki weszła wielka laktońska galera, której Inevera nigdy dotąd nie widziała. Z ogromną prędkością zmierzała ku dokom. Jej pokład aż się roił od rozmaitej broni. Damajah spojrzała na Isana, podświadomie spodziewając się, że młodzieniec zaraz wbije jej pióro

w oko.

– Co to takiego?

Isan spokojnie podszedł do okna. W milczeniu patrzyli, jak okręt dobija do brzegu i zostaje przycumowany. Wówczas żeglarze otworzyli ładownię, z której zaczęli wychodzić wojownicy *Sharum*. Byli brudni i zabiedzeni, ale silni, zdrowi i zdolni do walki. Inevera naliczyła ich setki.

– Po stracie miasta wysłałem okręt, żeby zabrać jeńców z Wyspy Więziennej – rzekł Isan. – Dokmistrzowie sprzeciwili się w pierwszej chwili. Twierdzili, że nie ma sensu ryzykować utraty dobrego okrętu dla ocalenia garstki najeźdźców, ale nie mogłem porzucić ich na pastwę otchłańców. Czuję się sam jak demon.

Minęła dłuższa chwila, zanim Inevera otrząsnęła się z zaskoczenia. Potem ukloniła się Isanowi, na co reszta Krasjan poszła w jej ślady, oczywiście z większą uniżonością niż Damajah.

– Twój honor nie ma granic, *Damaji* Isan. Wszyscy jesteśmy dziećmi Stwórcy pośród mroku nocy.



„Alagai Ka nie pływają”.

Inevera zastanawiała się nad wynikiem rzutu. Symbole, na które spoglądała, tłumaczyły, w jaki sposób laktońska flota przetrwała pomimo zniszczenia miasta. Evejah'ting uczyła, że woda kiepsko przewodzi magię. Demony umysłu wysłały więc swoje lewiatany, by obróciły miasto w perzynę, ale nie nadzorowały tego osobiście.

Wyglądało na to, że demony umysłu mogły kontrolować pomniejsze otchłańce tylko na pewną odległość, a więc dalekie wody jeziora były bezpieczniejsze od brzegów. Oddziaływanie myślaków kończyło się zapewne gdzieś między zatoką, nad którą leżało Dokowisko, oraz samym Lakton. W przeciwnym razie wodne demony rozpędziłyby całą flotę.

Największym zagrożeniem dla Dokowiska okazywały się lewiatany. Choć wraz z armią przybyli nowi *dama'ting* i *shar'dama* z *hora* do rzucania czarów, nadal łatwiej było walczyć z *alagai* niż z wodą. Tron z poduszek osiągnął większą moc niż podczas poprzedniego Nowiu, ale nie mógł ochronić miasta przed falami.

– Wezwij Qerana.

– Twoja wola, Damajah – powiedziała Jarvah i bezszelestnie wysliznęła się z komnaty.

– Twoja wola, Damajah. – Qeran przytknął czoło do podłogi.

– Nie podoba ci się ten pomysł. – Inevera zajrzała do aury Mistrza Ćwiczeń.

– To *inevera*, a moje zdanie na ten temat nie ma znaczenia – rzekł Qeran. – Niemniej nie musisz narażać własnego życia, Damajah. Jesteś potrzebna tutaj, żeby kierować bitwą w mieście.

– Od tego mamy Krew Wybawiciela.

*Alagai* nie przestawały atakować i w nocy każdy miał ręce pełne roboty, ale tam, gdzie trwały najcięższe zmagania bądź pojawiło się podejrzenie, że w walce uczestniczą generałowie Otchłani, zawsze pojawiały się wnuczeta Kajivah, by powiększać swoją sławę. Sikvah, Asukaji, Sharu i Jarvah. Krew Wybawiciela. Ich imiona z czcią powtarzali nie tylko *Sharum*, ale i *chin*.

Mimo to Qeran nadal nie wydawał się zadowolony.

– Mówże.

Mistrz Ćwiczeń przytknął czoło do podłogi.

– Głębiny są... bezlitosne, Damajah. Za nic mają dzieci Everama. Wojownik ciśnięty na podłogę Labiryntu wciąż może oddychać, wciąż może wołać o pomoc. Wie, gdzie góra, a gdzie dół, a ziemia, na której leży, nie próbuje go zabić. Jezioro jednak jest inne. Ono łąknie naszej śmierci.

– Tak jak *alagai* – odparła Inevera. – W twoich słowach kryje się mądrość, Mistrzu Ćwiczeń. Zapamiętam tę radę. Niemniej nasze linie obrony nie wytrzymają, jeśli demony znów zaczną ciskać w nas wielkimi falami. Przewidziałam to.

– Udam się zamiast ciebie – zaproponował Qeran. – Wezmę „Brazową Włócznie”, „Brazową Tarczę” i „Brazową Zbroję”,

najlepsze okręty w naszej flocie, i zapolują na lewiatany.

– Nie ty, ale my – rzekła kapitan Dehlia. – My zapolujemy na lewiatany. „Lament Sharum” jest gotowy.

– „Isadore” również – powiedział *Damaji* Isan. Inevera spojrzała na niego z zaciekawieniem, na co chłopak pospieszył z wyjaśnieniami: – Nigdy nie chciałem zostać Dokmistrem ani też księciem czy *Damaji*, bo najlepiej zawsze wychodziło mi dowodzenie okrętem. Skoro największym zagrożeniem dla mojego ludu są wodne demony, moim zadaniem jest stawić im czoła.

– To zadanie nas wszystkich. – Inevera pokiwała głową i przeniosła spojrzenie na Sikvah. – Ty oraz *Damaji* Asukaji będziecie dowodzić *sharak* na lądzie. Umshala stanie na czele *dama'ting*. Ja dołączę do Qerana na „Brązowej Włócznie”, Qasha popłynie z Dehlią na „Lamencie Sharum”, a Justya wejdzie na pokład „Isadore” *Damaji* Isana.



Nadciągał zmierzch, zwiastujący rychłe nadejście Nowiu, a Inevera usiłowała przyzwyczać się do chodzenia po rozkołysanym pokładzie. *Alagai* jak dotąd nie ośmieliły się zbliżyć do powierzchni, ale woda tu i ówdzie wydawała się burzyć, a deski poszycia co rusz skrzypiały. Utrzymywanie równowagi nie było wielkim wyzwaniem, lecz w żołądku Inevery wciąż się kotłowało.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie palmę kołyszącą się na wietrze. Uznała w myślach pokład za coś stałego. Wyciszyła swoje wnętrze i sięgnęła ku niemu, jakby zapuszczała korzenie. Wyobraziła sobie, że staje się z nim jednością. Żołądek po chwili się uspokoił, a wówczas Inevera otworzyła oczy i ruszyła przed siebie, by przyjrzeć się uzbrojeniu okrętu. Żeglarze *Sharum*, nienawykli do towarzystwa tak świetnej osoby, porzucali swoje obowiązki i padali przed nią na kolana.

– Powiedz im, żeby przestali – odezwała się do Qerana.



Mistrz Ćwiczeń skinął głową i odwrócił się, by krzyknąć do swoich ludzi. Inevera zaś spojrzała przez reling na rzędy skorpionów na niższym pokładzie. Dalej, za burtą, widziała już tylko ciemne wody jeziora.

„Głębiny pragną twojej śmierci”.

Inevera umiała pływać, ale w miarę jak ład nikł za ich plecami, uświadamiała sobie, że nie na wiele jej się to przyda. Wypadnięcie za burtę w nocy pośród wzburzonych fal oznaczało koniec dla każdego z dzieci Everama. Nawet dla niej.

Odpędziła ponure rozmyślenia o tonięciu w mroku i musnęła wzrokiem większe skorpiony na pokładach. Załadowano je długimi, zabójczymi włócznie z runicznego szkła, wyposażonymi w haczykowate ostrze, które jej siostry-żony osobiście uzbroidły w runy na polowanie tej nocy. Co więcej, do drugiego końca każdej włóczni zawieszono mocną linę, która prowadziła do kabestanów. Na dziobie i rufie stali łucznicy Mehnding, gotowi w każdej chwili do rozpoczęcia ostrzału, a pod bukszprytem wodę ciął taran wykonany z ostrego, niezniszczalnego runicznego szkła. Magiczne symbole na nim wykonała sama Inevera.

„Włócznie” towarzyszyły siostrzane jednostki, „Brazowa Tarcza” i „Brazowa Zbroja”, niemalże identyczne, jeśli chodziło o osprzęt i uzbrojenie, ale pozbawione tarana okrętu flagowego.

Przed sobą widziała dwa okręty plemienia Jeziora – „Isadore” *Damaji* Isana oraz „Lament Sharum” kapitan Dehlii – które patrolowały obszar tuż poza oddziaływaniem demonów umysłu, dokładnie wyliczony przez Ineverę.

Damajah przyglądała się zachodzącemu słońcu. Widowisko było piękne i zarazem przerażające. Nadciągał wszak Nów.

Po zapadnięciu ciemności na okręcie zajaśniały runy – klejnoty w licznych turbanach *Sharum*, magiczne symbole na burtach, chroniące przed wodnymi demonami, a także runy wzroku i ochrony na hełmach żeglarzy. Dzięki światłu Everama mogli walczyć w ciemnościach równie skutecznie jak za dnia.

Wody jeziora zajaśniały równie szybko jak runy chroniące okręty i wnet pojawiły się pierwsze *alagai*. Niektóre przemykały szybko

wśród fal, ledwie zauważalne, a inne...

Cóż, nie musieli czekać długo. Nie było wątpliwości, że wróg chce zmiażdżyć obrońców Dokowiska raz na zawsze. Całe jezioro zaczęło jaśnieć coraz intensywniej, aż zdawać by się mogło, że powierzchnia płonie. Fale podnosiły się coraz większe i kołysanie okrętów przybierało na sile, ale Qeran i pozostali kapitanowie znali się na rzeczy. Dzioby ich okrętów mierzyły prosto w nadciągające fale i płynnie unosiły się na nich, aż z wody ku nocnemu niebu wystrzelił pierwszy lewiatan.

Był zarazem piękny, jak i straszliwy. Patrzyli na ogromną, przerażającą bestię, która jaśniała magią. Jej ogromne szczęki mogły jednym kłapnięciem pochłonąć połowę okrętu, a cios ogonem był w stanie zdruzgotać budynek. Wzdłuż płetw piersiowych ciągnęły się ostre, kościane krawędzie, którymi lewiatan potrafił rozpruć kadłub galeonu, nawet nie zwalniając.

Mimo to bestia nie mogła ich dostrzec. Runy niewidzialności ukrywały ich okręty przed rojem wznoszących się ku powierzchni demonów. Załogi wstrzymały oddech, czekając.

Przez ułamek chwili lewiatan wydawał się wisieć w powietrzu, po czym gwałtownie obrócił ciało machnięciem ogona i runął w dół.

– Teraz! – krzyknęła Inevera.

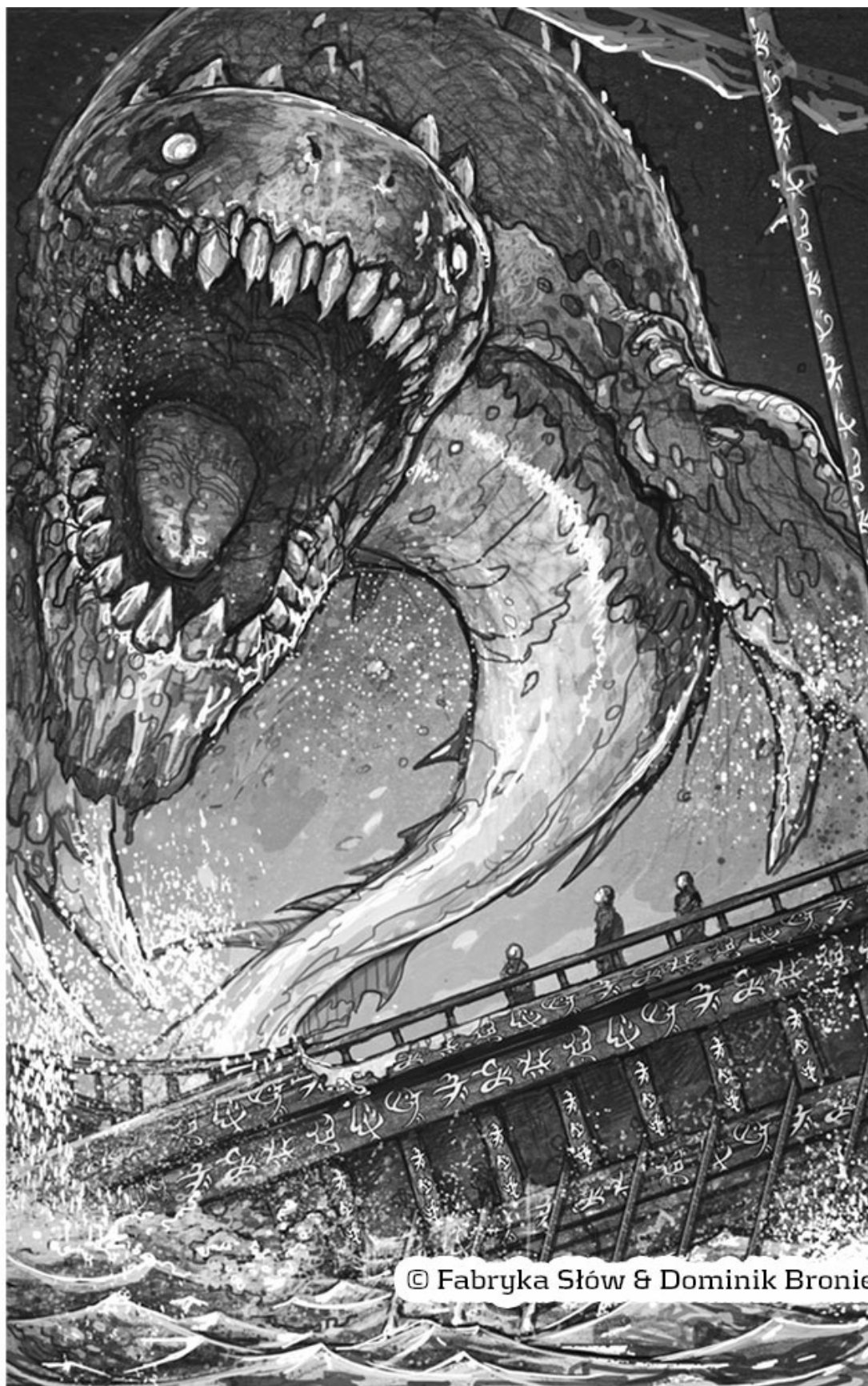
Załogi skorpionów na sąsiednich jednostkach rozpoczęły ostrzał. Ciężkie pociski przeszły ogromną bestię ze wszystkich stron, a gdy ta wpadła do wody, wywołując ogromną fontannę, żeglarze naporli na drągi kabestanów i w mig wyprostowali liny, które przytroczone do wystrzelonych włóczni. Dzięki temu okręty lepiej zniosły wysoką falę i nie wypuściły bestii, którą teraz czekała druga faza ataku.

„Brazowa Włócznia” była jedynym okrętem, który nie uczestniczył w salwie. Jej załoga zwinęła żagle, a zespół potężnie zbudowanych eunuchów, którym sił dodały *hora*, naporł na wiosła. Okręt wspiał się na falę i runął w jej dolinę z ogromną prędkością. Inevera wyrysowała w powietrzu run cięcia, osłabiając grubo, prastary pancerz potwora, a chwilę później w to miejsce wbił się taran okrętu.

Wstrząs był straszliwy. Nawet doświadczeni marynarze stracili

równowagę, a kilku z nich wypadło poza burzę. W oczekiwaniu na zderzenie przymocowali się jedwabnymi linami do specjalnie przygotowanych haków na pokładzie, ale nawet mocne liny nie wytrzymały impetu. Z rany bestii buchnęła jucha, która skąpała żeglarzy na dziobie, lecz nie wyrządziła nikomu krzywdy, a tylko wzmocniła runy na taranie i kadłubie. Demon miotał się, z jego paszczy buchnął przenikliwy, wibrujący wrzask, który niósł się daleko nad falami. Żeglarze zasypywali go gradem pocisków z kusz i skorpionów. Qeran osobiście wycelował wielkiego skorpiona na pokładzie „Brazowej Włóczni” i posłał ogromny pocisk prosto w ślepie bestii, uwalniając z niej fontannę juchy.

Wioślarze naparli na wiosła, ale taran nadal tkwił głęboko w ranie lewiatana. Inevera machnęła różdżką i poszerzyła ranę runami cięcia, pogłębiając ją na tyle, że nawet starożytna bestia nie potrafiła jej regenerować, a potem utworzyła barierę z serii runów wody, by odepchnąć okręt od cielska demona. Ten szarpnął ponownie, próbując wciągnąć pozostałe okręty pod powierzchnię jeziora. Qeran dał więc znak, by cięto liny, lecz demon się nie poddawał. Targnął raz jeszcze, odwrócił się i rozchylił ogromną paszczę, by przegryźć okręt.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Inevera pobrała moc, która przepływała przez pokład okrętu, i wykorzystwała magię lewiatana, by narysować runy ciepła oraz uderzenia w jego gardzieli. Żołądek potwora niespodziewanie rozdał się, a potem pękł jak przepełniony pęcherz. Bezwładne zwłoki osunęły się w odmęty.

Marynarze wiwatowali, ale nie było czasu na świętowanie, gdyż na linii między Lakton i Dokowiskiem pojawiały się już kolejne lewiatany, które wyskakiwały ku nocnemu niebu i opadały z rozbryzgiem, budując coraz większe fale.

Macka, szeroka niczym ulica miasta, spadła na okręt, rogowe przyssawki zwęziły się i skurczyły, usiłując przylgnąć i przyssać się do kadłuba. Runy wody rozjarzyły się i odepchnęły demona, a mimo to potwór zdołał obrócić okręt niczym zabawkę. Inevera utrzymała równowagę, ale jej żołądek znów się zbuntował i Damajah zrozumiała, że musi mu ulżyć. Złapała za burtę i zwymiotowała, a różdżka zwisała na łańcuchu z elektrum przytwierdzonym do jej nadgarstka.

Nie miała nawet czasu, by obetrzeć usta czy poczekać, aż ustaną konwulsje, gdyż z fal wystrzeliły trzy kolejne macki i pochwyciły okręt. Strzelcy nie próżnowali i momentalnie zasypali je dziesiątkami pocisków, ale na zanurzonej w głębinach potworze nie zrobiło to wrażenia. Załogi skorpionów, nie chcąc marnować włóczy na tak szybko poruszający się cel, wycelowały w głębiny, gdzie krył się tułów potwora.

Inevera odcięła jedną z macek, ale nie dała rady zatrzymać kolejnej, która zerwała część sztagów i uderzyła w osłabiony w ten sposób maszt. Chroniące go runy nie wytrzymały i maszt pękł, po czym zwałił się na burtę. Macka ostatecznie zatrzymała się na barierze i prześliznęła po niej, wymiatając wokół siebie pokład.

Inevera i *Sharum* w ostatniej chwili padli na deski, by uniknąć uderzenia pazurzastym odnóżem. Wielu wypuściło broń, inni nie mieli się już czego złapać. Najwolniejsi z wrzaskiem polecili we wzburzoną kipieli, która miała rozpocząć ich samotną ścieżkę. Maszty pękały, a żagle waliły się na pokład, pogłębiając panujący

chaos i zasłaniając słabnące runy. Sama Inevera, która próbowała się odtoczyć i zerwać z rozkołysanego pokładu, niespodziewanie znalazła się pod płachtą płótna. Wyrwała zza pasa nóż, rozcięła go jednym ruchem, ale nadal była tak oplątana, iż nie mogła podnieść różdżki. Tymczasem nad jej głową wyrosła kolejna macka, która przesłoniła gwiazdy.

Everamie, twoja narzeczona jest gotowa na spotkanie z tobą, pomyślała, lecz przedwcześnie.

„Lament Sharum” pojawił się bowiem niespodziewanie między „Brazową Włócznią” a lewiatanem i rozciął dziobem mackę. Ludzie Dehlii wiosłowali ze wszystkich sił, ale i tak cudem uniknęli katastrofy, gdy gigantyczne odnoże złamało się i runęło do wody. Zdychający demon na oczach Inevery pogrążał się w głębinach, a otaczający go blask powoli gasł.

Naraz zapanował spokój. Wody nadal były wzburzone, lecz zamieszanie cichło. Przez krótki, błogosławiony moment nie zagrażał im żaden *alagai*. „Brazowa Tarcza” tonęła nieopodal, a uszkodzone „Brazowa Włócznia” wraz z „Isadore” zostały zmuszone do ucieczki do Dokowiska, ścigane przez pomniejszych demony wodne. Inevera nie widziała obu okrętów i nie miała pojęcia, co się z nimi stało.

Qeran pochylił się ku niej.

– Damajah...

Wystarczył jeden rzut oka na jego aureę i od razu odgadła, o czym myślał. Chciał prosić o pozwolenie na odwrót.

– Nie jestem ślepa, Mistrzu Ćwiczeń. – Inevera obróciła kolczyk i połączyła się z Qashą na „Lamencie”.

– Damajah! – zgłosiła się natychmiast Qasha.

– Musimy zawracać – oznajmiła Inevera. – Jeśli doznamy kolejnych uszkodzeń, „Brazowa Włócznia” pójdzie na dno.

– Kapitan Dehlia zgadza się, Damajah – rzekła Qasha po chwili.

– Chwała żeglarzy *chin* nie ma tej nocy granic, ale „Lament” również nie może kontynuować walki bez uzupełnienia amunicji i kilku napraw.

Inevera skinęła do Qerana.

– Wydaj rozkaz.

Kapitan odbiegł, pewniej stąpając na metalowej nodze niż inni żeglarze na dwóch, a Inevera przerwała połączenie i obróciła kołczyk, by nawiązać kontakt z Sikvah. Przez dłuższą chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Inevera czekała bezskutecznie, aż połączyła się z Asukajim.

– Damajah! – odezwał się ten bezzwłocznie.

– Nie mogę skontaktować się z Sikvah – rzekła Inevera.

– Przybądź najszybciej jak możesz – odparł Asukaji. – Sikvah padła.

Inevera krzyknęła na wioślarzy, by dobyli wszystkich sił, a gdy okręt wreszcie zawinął do portu, sięgnęła po *hora* i wykonała ogromny skok na nabrzeże, nie czekając, aż przybije do brzegu. Ulice zlały się ze sobą, gdy pędziła do Komnaty Cieni, gdzie czekał Asukaji.

– Żyje?

Młodzieniec uklonił się, lecz w jego aurze wrzał gniew.

– Nie oddychała, gdy przynieśliśmy ją do *dama'ting*, ale te wciąż używają magii, żeby przywrócić ją do życia. Jej życie to... *inevera*.

Inevera narzuciła sobie spokój i przepchnęła się obok niego. *Dama'ting* oraz akolitki jednocześnie uniosły głowy, gdy wtargnęła do komnaty, ale żadna nie odważyła się odezwać. Damajah wejrzała w aurę kobiety na stole operacyjnym i zrozumiała powody.

Dusza błogosławionej Sikvah, Sharum'ting Ka Krasji, wyruszyła w drogę po samotnej ścieżce, ale Umshala wykorzystała magię do utrzymania życia w jej ciele, by uchronić przed śmiercią jej nienarodzone dziecko.

Ugnę się, Inevera poprzysięgła sobie w duszy, zerkając na siostry-żony, *dama'ting* oraz *nie'dama'ting*, które zajmowały się znoszonymi rannymi. Wszak jestem Damajah. Muszę być ziemią, po której stąpają inni. Muszę być nieugięta i niewzruszona. Ale przecież nawet najsmuklejsza palma może pęknąć pod naporem gwałtownego wiatru, a czy istnieje ofiara cenniejsza niż łyzy Damajah?

– Butelka.

Dziewczyna nadal nosząca bido stanęła przy niej, trzymając buteleczkę na łyzy. Jej usta drżały, a oczy wciąż były wilgotne od łez, kiedy pewną dłonią zdejmowała łyzy z policzka Inevery. Opanowawszy pierwszą falę rozpacz, Inevera ujęła podbródek młodej dziewczyny i zapytała:

– Jak cię zwa?

– Jestem Minnah vah Shaselle, Damajah – odparła *nie'dama'ting*.

– Wszyscy musimy wziąć przykład z Minnah – oznajmiła głośno Inevera. – Trwa Sharak Ka i czeka nas jeszcze wiele ofiar. Każda z nich zostanie oplakana, ale nasze dłonie muszą być pewne i niezawodne.

Kobiety wykonały jednoczesny ukłon, a Inevera wyszła z komnaty, by porozmawiać z Asukajim. Ten ścisnął włócznie Sikvah, lepką od juchy demonów i lśniąca od magii. Wpatrywał się w broń, jakby usiłował dopatrzeć się w niej jakichś sekretów.

– Melduj – rzekła Inevera.

– Jurim żyje, ale z jego Wilków mało kto pozostał – odparł Asukaji. – Po tym, jak odniesiono Sikvah, wielkie runy z namiotów zostały zniszczone. Przejąłem dowództwo nad ewakuacją i powstrzymałem *alagai* do chwili załamania ich natarcia. Teraz dowodzi tam Sharu, ale nie sądzę, żeby demony raz jeszcze zaatakowały tak blisko świtu.

Inevera pokiwała głową.

– Dzielnie się spisałeś, *Damaji*. Nasze siły są do odwołania pod twoim dowództwem. Wracaj na mur i utrzymaj go do świtu, a potem przyjdź do mnie, żeby złożyć meldunek.

Już się miała odwrócić, gdy wyczuła w aurze Asukajiego wyzwanie. Zamarła i przesunęła lekko stopę, by ustawić się do chłopaka bokiem, a jej dłoń niby od niechcenia przysunęła się do różdżki.

– Czy chciałeś coś dodać, siostrzeńcze?

– Wiedziałaś? – spytał Asukaji.

– O czym?

– Wybawiciel nakazał, żebym słuchał twoich rozkazów, ciotko,



a więc wypełnię jego wolę – odparł Asukaji i przysunął się bliżej. – Ale okrywasz nas oboje hańbą, udając, że nie wiesz, o czym mówię. Czy wiedziałaś, że moja kuzynka spodziewa się dziecka, gdy powierzyłaś jej dowództwo?

Inevera uniosła głowę.

– Wiedziałam.

– Przez wszystkie te tygodnie... – Asukaji mówił, jakby wciąż nie dowierzał. – Bitwa za bitwą, walki w Labiryncie, na murze, wypadły za barierę... I przez cały ten czas wysyłałaś Sikvah na skraj Otchłani z niewinnym dzieckiem w łonie? Postąpiłaś z nią tak samo jak z moją siostrą i Kajim!

– Czy chcesz, żebyśmy wreszcie porozmawiali o tym, które z nas bardziej skrzywdziło Ashię?

Asukaji odsłonił zęby.

– Wiem, co zrobiłem, ciotko. Próbowałem zamordować własną siostrę, gdyż powodowała mnie zawiść. Everam mnie za to pokarał, ale zostałem uleczony przez Wybawiciela. Tak, przywrócił mi władzę nad ciałem i wybaczył, a ty nadal chcesz mnie karać.

– Karać? – Inevera nie mogła uwierzyć.

– Nie pozwoliłaś mi pomóc siostrze i siostrzeńcowi, a potem postawiłaś ciężarną Sikvah na czele naszych sił. Nie mogłaś mnie powierzyć dowództwa nad Sharak?

– Masz wybujałą opinię na swój temat, siostrzeńcze – oznajmiła Inevera. – Przecież wychowałeś się w Sharik Hora. Co ty wiesz o dowodzeniu oddziałami w Labiryncie? Co ty wiesz o *sharak*? Kilka tygodni walki pod gwiazdami i uważasz się za równie dobrego wojownika jak twoja siostra czy kuzynka, które spędziły wiele lat pod okiem Mistrza Ćwiczeń Enkido? Twój ojciec był wielkim człowiekiem i pewnie uznałeś, że jesteś równie wspaniały, choć pomogłeś kochankowi go zamordować. Pogódź się z tym, że Sikvah była o wiele lepiej przygotowana do tej roli od ciebie. To dlatego otrzymała dowództwo. – Teraz to Inevera pochyliła się, a Asukaji wydawał się cofać. – W Sharak Ka nie chodzi o twoją dumę, chłopcze. Twoja kuzynka i twoja siostra dobrze to rozumieją, ale ty najwidoczniej nie. *Alagai* nie przybywają tu po to, żeby

zabijać wojowników. One mordują wszystkich, zarówno zbrojnych, jak i niewinnych. Pierwsza Wojna domaga się więc ofiar od nas wszystkich.

– Ale i tak przyszło mi dowodzić – rzekł Asukaji. – Podczas gdy to Sikvah została skazana na wegetację w nadziei, że uda nam się ocalić jej dziecko.

– *Inevera* – odparła Damajah. – Będziesz tu stał i opłakiwał jej los czy ruszysz w końcu do walki?

– Jeśli *alagai* znów uderzą pełną siłą, powstanie wiele wyłomów. Nie zdołamy wytrzymać kolejnej nocy bez napraw i posiłków.

– Naprawcie, ile się da – rzekła *Inevera* – ale na posiłki nie licz. Nie wyciągnę kolejnych oddziałów z Lenna Everama, a plemię Zakątka skupiło swoją uwagę na północy. Musimy uwierzyć w siebie, Everama i Shar'Dama Ka, bo naprawdę przydałby nam się cud.



39

## Umysł Świstacza

334 ROK PLAGI

**D**zikie wrzaski Dawn sprawiły, że Abban zerwał się ze snu i usiadł na twardej pryczy w celi. Ostatnio działało się tak co rano, gdyż Hasik dojrzał sens w utrzymywaniu swojego więźnia w dobrym zdrowiu. Potrzebował *khaffit*, ponieważ tylko on mógł się zajmować rachunkami, ale nigdy nie zapomniał o niespłaconym długi. Ani myślał anulować Abbanowi karę, która zgodnie z ich umową była teraz dzierzawiona komuś innemu.

Chwilę później do celi weszła Dawn, niosąca tacę ze śniadaniem Abbana. Jej pokryta bliznami twarz przypominała koszmar – w miejscu nosa ziała wielka jama, szczęki napuchły od zębów wyrywanych przez Hasika. Oczodół po wylupionym oku kobieta zasłoniła krwawą szmatą. Straciła też małe palce obu dłoni, a idąc, powłóczyła nogami, zdecydowanie woląc opierać ciężar ciała na jednej stopie. Nie podnosiła głowy i Abban czuł z tego powodu

wielką ulgę. Przecież Dawn okazała Abbanowi ogromną uprzejmość, a on odpłacił jej się zdradą. Za każdym razem, gdy ją widział, czuł ból i rozpacz, a Hasik, który doskonale o tym wiedział, wyznaczył właśnie Dawn, by przynosiła Abbanowi śniadanie co rano. Chciał, by *khaffit* patrzył na kobietę i uświadamiał sobie, że to on ją na to skazał. Że wolał, by cierpiała za niego.

– Zjadłbyś coś, *khaffit*? – zapytał Hasik, który pojawił się w drzwiach niewielkiej celi, będącej również biurem Abbana.

Stały w niej biurko i prycza, a także urządzone prymitywne wychodek – zasłoniętą parawanem deskę z dziurą, która prowadziła Everam jeden wiedział dokąd. Abbanowi nie było wolno opuszczać celi – chyba że w towarzystwie Hasika – a *Sharum* pozostawieni na straży byli absolutnie niewrażliwi na prośby Abbana po tym, jak Hasik odciął ucho jednemu, który ośmielił się posłuchać szeptów *khaffit*.

Hasik jadał posiłki wraz z nim, żeby Abban nie miał możliwości zetknąć się z nikim innym, co oczywiście było dla kupca największą torturą. Dawn postawiła tacę i kuśtykając, pospiesznie opuściła pomieszczenie.

– Jeśli jeszcze coś jej obetnę, przestanie być przydatna jako służąca – stwierdził *Sharum*.

– Jesteś tu władcą – rzekł Abban. – I możesz wszystko. Mógłbyś więc okazać jej łaskę.

– Ba! – oznajmił Hasik. – Łatwiej byłoby ją zabić i zacząć na nowo z którąś spośród jej córek.

Abbana przeszył dreszcz, a Hasik roześmiał się i pchnął ku niemu tacę.

– Wcinaj, *khaffit*! Przecież ty już wcale nie jesteś gruby!

Jedzenie bynajmniej nie wyglądało zachęcająco. Miał przed sobą kubek zupy, rozcieńczone wino i kromkę twardego, ziarnistego chleba, a do tego plasterki mięsa pozostawionego zbyt długo w chłodni i zielone jabłko, zerwane zbyt szybko z drzewa. Mimo to Abban jadał lepiej niż wielu innych ludzi w klasztorze.

Hasik zaś ucztował jak księżę z zielonych krain. Na jego talerzu zawsze piętrzyły się gotowane małże w stopionym maśle, których

zapach przyprawiał Abbana o obłąd. Brutalny wojownik objadał się bez umiaru.

– Na cycki Nie, nigdy nie przestanie mnie dziwić to, jak dobrze jadają *khaffit* – oznajmił. – *Dama* zawsze nam wmawiali, że jesteście przeklętym ludem, a wy tymczasem od wieków zajadaliście wieprzowinę, popijaliście *couzi* i drwiliście z lepszych od siebie.

– *Dama* zależy na władzy – odparł Abban. – Na kontroli. Czy istnieje lepszy sposób na sprawowanie władzy niż odebranie przyjemności wyznawcom? Z wyjątkiem tych, na które ich zdaniem pozwala Everam?

Hasik beknął i odrzucił kolejną pustą muszlę na rosnący stosik. Pozostała im tylko jedna łódź – inne zostały zniszczone przez Laktończyków i demony – ale zamiast wykorzystać ją do zwiadu i rozszerzenia władzy, Hasik wysyłał ją na połów i zbieranie małży.

– Czy twoim zwiadowcom udało się może odnaleźć tunel do sekretnej zatoczki *chin*? – spytał Abban.

Wojownicy Hasika zabili *chin*, którzy wdarli się do podziemi klasztoru, ale nigdy się nie dowiedzieli, w jaki sposób ci się tam dostali. Zameldowali tylko o tym, że pod tunelami ciągnie się labirynt naturalnych jaskiń.

– Nie ufam zwiadowcom – odrzekł Hasik. – Ten, kto kontroluje tunele, włada moją fortecą. Sam go znajdę.

Abban uniósł głowę, nagle zapomniawszy o jedzeniu.

– Samotnie przeszukujesz tunele pod twierdzą?

– Lubię... samotność – odparł Hasik. – Wycisza mnie. Przynosi mi spokój.

Abban zamrugął.

– Spokój to cenna rzecz, o ile uda się go odnaleźć, ale przecież w tunelach może się roić od *alagai*!

– Jeśli tak, to żaden jak dotąd nie był na tyle głupi, żeby rzucić mi wyzwanie – oznajmił Hasik.

– *Alagai* nie słyną z mądrości – rzekł Abban.

– A co tobie zależy? – spytał Hasik. – Jeśli mnie dopadną, wreszcie się ode mnie uwolnisz.

– Wybacz, ale jakoś nie wierzę w litość twoich *kai*. – Abban pociągnął nosem.

– I słusznie – roześmiał się Hasik. – W najlepszym razie przykuliby cię do ściany i kazali prowadzić księgi, ale słyszałem, że utrata męskości wyzwoliła u niektórych zupełnie nowe pragnienia. Są tacy, którzy chcieliby spróbować, jak smakuje mięso człowieka, który pasł się tłustym jedzeniem *khaffit*.

Abban spróbował powstrzymać wzdrygnięcie, ale Hasik zauważył je i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wyssał resztkę mięsa z małży, a potem, gdy Abban kończył swój posiłek, chodził po jego celi i przebierał tłustymi palcami wśród papierów, choć nie miał pojęcia, co oznaczają symbole na nich. Abban udawał, że niczego nie widzi, i jadł szybko, bo Hasik uwielbiał strącać jedzenie na podłogę, by jeszcze bardziej dokuczyć kalece.

Gdy śniadanie dobiegło końca, Hasik uderzył w dzwon i przywołał Dawn, która kuśtykając, zebrała misy i tace. Po niej pojawił się strażnik z fotelem na kółkach. Hasik przysunął go Abbanowi.

– Chodź, *khaffit*, i bierz swoje księgi. Czeka nas narada.

Abban wiedział, że lepiej o nic nie pytać. Cieszył się z każdej okazji, by opuścić celę, a więc pospiesznie zarzucił sakwę z księgami na ramię, ujął kule i podniósł się, a potem poczłapał ku fotelowi, który Hasik celowo postawił poza zasięgiem kupca. Okrutny wojownik miał ponadto w zwyczaju niespodziewanie odsuwać fotel w chwili, gdy Abban próbował na nim usiąść, ale tego dnia nie miał nastroju do takich zabaw. *Khaffit* usiadł na fotelu, a Hasik pospiesznie wyprowadził go z celi.

Trwał słoneczny, niemal przyjemny dzień lata, który rujnował wszechobecny smród brudnych mieszkańców fortecy. Przeważała w nim woń uryny. Tysiąc pięciuset wykastrowanych mężczyzn moczyło się nieustannie i choć Hasik obiecywał Abbanowi, że niebawem się przyzwyczai do nieprzyjemnego zapachu, kupiec przeżywał szok za każdym razem, gdy pozwolono mu wyjść z jego więzienia.

Klasztor Eunuchów woniał nie tylko moczem. Wojownicy

trenowali ostro i trzymali broń w pogotowiu, ale dyscyplina nie była ich najważniejszą cechą. Uwolnieni od potrzeb cielesnych, na ogół nie czuli już potrzeby, by się myć, zaplatać włosy czy prać ubrania. *Sharum* i ich niewolnicy chodzili brudni i zapuszczeni, a w miarę jak kończyły się zapasy, ich twarze mizerniały, a oczy gasły.

Po zdobyciu fortecy Hasik zajął komnaty Pasterza, należące wcześniej do Khevata, gdzie zamknął Abbana w jednym z mniejszych gabinetów. Sam *dama* został przeniesiony do bocznej komnaty niewielkiej kaplicy po drugiej stronie klasztoru.

Gdy znaleźli się w strefie wpływów Khevata, Abban wyczuł coś na kształt dyscypliny. Wykastrowani mężczyźni nadal tępo wpatrywali się w dal, gdy nie mieli nic do roboty, lecz *dama* zmusił ich, by utrzymywali szaty w lepszym stanie. Strażnicy skoczyli, by otworzyć przed nimi drzwi, i ukłonili się przed Hasikiem, który wprowadził fotel Abbana do biura Khevata. Czekał tam sam *dama* oraz Icha, syn Wybawiciela.

W chwili gdy miał pewność, że Hasik nie patrzy na niego, Abban dotknął kieszeni pantalonów, gdzie schował świstek papieru. Wiedział, że musi przekazać go najszybciej, jak się da, o ile wreszcie znajdzie w sobie odwagę. Próbował już zdobyć się na to wielokrotnie, choć jak dotąd bezskutecznie.

Ostatnio Hasik skupił swoje sadystyczne zapędy na Dawn, w stosunku do kupca ograniczając się do drobnych złośliwości. Abban był dla niego przydatny, tym bardziej że Hasik nie umiał czytać i pisać, a liczyć potrafił jedynie na palcach rąk i nóg. Ale gdyby Khevat go zdradził...

Abban oblał się potem na samą myśl o tym, co Hasik mógłby mu odciąć za karę.

Khevat spojrzał na Abbana. Kiedyś *dama* go przerażał. Zawsze patrzył na niego jak na żuka pełzającego po ścierwie, jak na insekta, którego mógł zmiażdżyć w dowolnym momencie, wystarczyłoby, żeby naszedł go kaprys. Niemniej arogancka pogarda, z jaką spoglądał na kupca, znikła w chwili, gdy Hasik odrąbał Khevatowi męskość. Brutalna metoda, jaką się posługiwał,

czyniła wszystkich mężczyzn w klasztorze równymi sobie. Każdy z nich, od *dama* po niewolnika, od starszego po dziecko, cierpiał tę samą niedolę i ani na moment nie zapominał o tym, że władą nim Hasik. Dla wielu z nich *dama* była jedynie odległym wspomnieniem. Z losem pogodzili się tylko najbardziej tępi *Sharum*, dokładnie tacy, jakich Hasik chciał widzieć wokół siebie.

– Cieszę się, że zgodziłeś się ze mną spotkać, Eunuch Ka. – Khevat uklonił się uprzejmie.

Hasik parsknął z rozbawieniem. W dawnych czasach Khevat był jego przełożonym i brutalnego wojownika nadal śmieszyła jego uniżoność.

– Oczywiście, *dama*. W czym możemy ci pomóc?

– Słyszałeś meldunki zwiadowców wysłanych do Dokowiska? – spytał Khevat. – *Alagai* dały im ostrego łupnia.

– I co z tego? – parsknął Hasik. – Dokowisko leży wiele dni drogi na południe. Tu jesteśmy bezpieczni.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł duchowny. – Ale tak czy owak, nasi rodacy potrzebują pomocy.

– Otrzymali ją. Sama Damajah przybyła do Krynicy Everama, a potem, korzystając z nieobecności Ahmanna, zaprosiła poławiaczy ryb do swojej alkowy.

Khevat zacisnął zęby. Żyła na jego szyi zaczęła pulsować. Słowa Hasika były bluźnierstwem, lecz stary *dama* wiedział, że wojownik prowokuje go celowo, i nie miał zamiaru pochwycić przynęty.

– A gdzie były wojska z Dokowiska, kiedy te mury wytrzymały ataki *chin*? – spytał ostro Hasik. – Gdzie było nieskończone miłosierdzie Damajah w chwili, gdy *khaffit* znieważył mnie na oczach dworu Wybawiciela? Nie jesteśmy im nic winni.

– Skoro lojalność wobec tronu już cię nie wiąże, chciałbym zaproponować inne rozwiązanie. – Słowa z trudem przechodziły Khewatowi przez gardło. – Możemy wynająć się jako najemnicy. Dokowisko jest dobrze zaopatrzone, Eunuch Ka, i moglibyśmy zgromadzić więcej zapasów przed nadejściem zimy.

Jeszcze nie tak dawno temu *dama* wykrzyczałby te słowa, nazywając przy tym Hasika głupcem i grożąc mu śmiercią. Po



kastracji zaś nikt już nie był na tyle nierozważny, by podnosić w jego obecności głos.

– Ba! – Hasik splunął na podłogę. – Zimę mamy dopiero za kilka miesięcy. Nie może być przecież aż tak źle. No, powiedz im, *khaffit*!

Khevat zaciskał pięści z taką siłą, że pobiełały mu kłykcie. Nie mógł pogodzić się z tym, że Hasik przedkłada zdanie *khaffit* nad jego opinię, a Abban zrozumiał, że powinien stąpać ostrożnie. Powoli, demonstracyjnie wręcz rozłożył swoje przybory do pisania na biurku *dama* w nadziei, że napięcie nieco osłabnie. Ustawił kałamarz, polizał koniec pióra, zanurzył go w atramencie, po czym z namaszczeniem otworzył księgę rachunkową. Znał każdą pozycję na pamięć, mimo to nie przerywał przedstawienia i udał, że uważnie przygląda się każdej z nich z osobna.

Atmosfera w komnacie powoli się poprawiała.

– Czcigodny *dama* się nie myli, Hasiku. Twój ludźmi skrupulatnie splądrowali okolicę i zostawili jedynie kilka wiosek *chin*, którzy ledwie są w stanie wyżywić siebie, a co dopiero nas.

– A więc pomówię z moimi ludźmi! – warknął Hasik. – To nie do pomyślenia, żeby *chin* jedli przed nami!

W oczach Khevata znów błysnęła irytacja, ale odezwał się spokojnym głosem:

– Jeśli niewolnicy zaczną głodować, Hasiku, nie pozostanie nam absolutnie nic do jedzenia.

Hasik zmrużył oczy, być może zastanawiając się, czy powinien wybuchnąć złością dlatego, że Khevat właśnie zwrócił się do niego po imieniu.

– Nie mam zamiaru tracić życia moich ludzi dla Damajah! Nie będę też czołgał się przed jej tronem z poduszek i błagał o resztki z jej stołu!

Abban odkaszlnął.

– Być może są inne rozwiązania.

Hasik przyłożył dłoń do czoła.

– Czyżbym upadł tak nisko, że jedyny głos rozsądku wokół mnie należy do *khaffit*? Proszę, Abbanie, przedstaw nam więc swój genialny plan. Może powinniśmy raz jeszcze spróbować splądrować

Angiers, co?

Abban nabrał tchu. Ze wszystkich błędów, jakie popełnił w życiu, atak na Angiers był najkosztowniejszym, zarówno dla niego samego, jak i dla całego imperium krasjańskiego.

– Nie proponowałbym niczego tak śmiałego, Eunuch Ka. Przyszło mi tylko do głowy, że zdrowi niewolnicy, którzy cieszą się bezpieczeństwem, wytwarzają więcej żywności niż ci, którzy jedzą byle co i obrywają batem przy każdej okazji.

– Na tym świecie nie ma już bezpieczeństwa, *khaffit* – rzekł Hasik. – Ani dla nas, ani tym bardziej dla niewolników.

– Wydaje mi się, że Abban ma na myśli *alagai* – odezwał się Khevat, bodaj po raz pierwszy używając imienia Abbana, a nie jego kasty.

– Że co? – spytał Hasik.

– Mamy lato – odparł Abban. – *Chin* już dawno powinni doglądać dojrzewających zbóż na polach, ale twoi ludzie pozbawili ich wszystkiego, co mieli, i spalili ich domostwa.

– Mogą obsadzić kolejne pola – powiedział Hasik.

– Tak, mogą – zgodził się Abban. – Jednak bez należytej ochrony bardziej zależy im na tym, żeby przeżyć noc, niż na uprawach.

– I to niby jest mój problem? – zdziwił się Eunuch Ka.

– To twoi niewolnicy – rzekł Khevat. – W *Evejah* stoi napisane, że mamy strzec niewolnych przed *alagai* tak, jakbyśmy strzegli samych siebie.

– *Evejah*?! – parsknął Hasik. – Spójrz tylko, do czego doprowadziła nas ta twoja *Evejah*! Ahmann wymachiwał tą paskudną księgą, gdy ruszał na tę idiotyczną wojnę przeciwko demonom. I co? Spadł z klifu, jego syn został zabity przez *chin*, a reszta z nas, brudna i pozbawiona fiutów, trzęsie portkami ze strachu przed zimą, która odmroziłaby nam jaja, gdyby nam jeszcze jakieś zostały. Ja już skończyłem z *alagai'sharak*.

– Masz rację, oczywiście – powiedział Abban. – Nie ma powodu, żeby postępować zgodnie z zapiskami w świętej księdze tylko i wyłącznie dla *Everama*. Ale w starych przysłowiach kryje się sporo mądrości. Nic nam nie zaszkodzi, jeśli pošlesz swoich ludzi,

żeby oczyścili pola *chin* z *alagai*, jeśli mielibyśmy później najeść się do syta.

– Ty i tak nie jadasz źle – warknął Hasik, na co Abban wykonał uniżony ukłon.

– To tylko sugestia.

– Nie ma mowy – rzekł Hasik. – *Alagai* nie ruszyły nas od chwili, gdy sami przestaliśmy je atakować.

– Ale rozmnożyły się w okolicy – sprzeciwił się Khevat. – Póki co żerują wokół wsi i Dokowiska, ale któż może powiedzieć, co się stanie, jeśli ich liczba nadal będzie rosła? Sam widziałeś, co zrobili z poławiaczami ryb.

– I co z tego? – roześmiał się Hasik. – Mam opłakiwać zagładę moich wrogów?

– Tak – odparł Khevat. – Jeśli prowadzi to do zwycięstwa Nie.

– Nie! – parsknął Hasik. – I Everam! Wy, klechy, znacie tylko dwa słowa i wciskacie je wszędzie. Nie ma Nie! Nie ma Everama! Nie ma wiecznej wojny między światłem a nicością! *Alagai* to zwierzęta, które można podrapać za uchem za podpalenie poławiaczy ryb i ich okrętów!

Słowa Hasika wydawały się całkowitym szaleństwem. Wojownik widział przecież chłód i precyzję, z jaką demony zniszczyły laktońską flotę, i Abban nie rozumiał, dlaczego się ich nie boi. Khevat również wydawał się tym zaskoczony. Uniósł ręce i zapytał:

– A więc dobrze, Eunuch Ka. Jak zatem uporamy się z niedostatkiem żywności?

– Zorganizuję więcej rajdów! – rzekł Hasik. – I przekażę Jesanowi, Ormanowi i innym *kai*, że ten, który wróci z najmniejszym łupem, straci lewą rękę!

– Wspaniale! – oznajmił Abban, choć zrobiło mu się niedobrze.

– Mądra decyzja. – Khevat zacisnął zęby.

Hasik uśmiechnął się.

– Ponadto wyślemy kolejnych zwiadowców na południe. Jeśli Damajah zacznie tracić kontrolę nad Dokowiskiem, być może odbierzemy jej miasto!

– Na brodę Everama! – szepnął Icha.

– Skąd ten szok, chłopcze? – spytał Hasik. – Czy twój brat przypadkiem nie sięgnął po identyczną sztuczkę, gdy wysłał Melan i Asavi, żeby zabiły tę bezwstydną *heasah*? Moim zdaniem nadszedł czas, żeby Damajah nauczyła się choć odrobinę pokory. Może zaszyję jej cipe i zatrzymam jako niewolnicę?

Khevat i Icha pobledli przy tych słowach, a Hasik zerwał się na równe nogi. Jego cierpliwość się kończyła. Abban zaś sięgnął po swoje przybory do pisania i udał, że traci równowagę. Potracił przy tym kałamarz. Czarny atrament rozlał się po stole, plamiąc spłowiały rękaw białej szaty *dama*.

– Uważaj, głupcze! – warknął Khevat i gwałtownie cofnął ramię.

– Proszę o wybaczenie, *dama*! – Abban wyciągnął chusteczkę, która mogła jeszcze uchodzić za czystą, i zaczął przecierać rękaw duchownego, a przy tym wsunął mu do ręki niewielki świstek. Stary *dama* zeszywniał lekko, ale nie dał niczego po sobie poznać. Schował dłoń z wiadomością w rękaw i uniósł go, udając, że przygląda się plamom.

– Idź stąd, *khaffit*. Sam się tym zajmę.

Hasik parsknął i odciągnął fotel Abbana od biurka.

– Jak zwykle miło cię było ujrzyć, *dama* – rzucił.

Abban, nim został wywieziony z komnaty, zdążył jeszcze spojrzeć klerykowi w oczy.



– Jestem zaskoczony – odezwał się ostrożnie Abban, gdy przemierzał z Hasikiem korytarze klasztoru.

– Czym, *khaffit*? – spytał Hasik.

– Że ufasz swoim ludziom, którzy dowodzą rajdami – odparł Abban. – Dlaczego sam nie staniesz na ich czele?

Hasik parsknął śmiechem.

– Aż tak bardzo chcesz się mnie pozbyć, Abbanie? Nie sądzisz chyba, że cię tu zostawię, żebyś mógł spiskować? Sam również

wzięłybyś udział w wyprawie, przewieszony przez konia jak na początku naszej drogi.

– Brakuje mi tych czasów – skłamał Abban, co wywołało kolejny chichot Hasika. – Ale cieszę się, że mam dach nad głową. Miałem jednak wrażenie, że to ty zawsze czerpiesz... cóż, satysfakcję z podobnych wypraw.

– Teraz tę satysfakcję przynosi mi świnina – rzekł Hasik. – A także małe i cierpienie tych, z których jestem niezadowolony. Pamiętaj o tym, *khaffit*.

– Zawsze, Eunuch Ka. – Abban pokiwał głową.



Nakarmiony i przewinięty Kaji drzemał na plecach Ashii, która wraz z Briarem przyglądała się wojownikom opuszczającym klasztor.

– Wysyłają kolejne grupy rabunkowe – zauważyła Ashia. – Kończy im się żywność.

– Wrócą z pustymi rękami – odparł Briar. – Nie ma już co rabować.

Ashia zaczęła odwiązywać chustę, w której trzymała synka. Briar spojrział na nią skonfundowany, gdy włożyła mu dziecko do rąk.

– Będzie spał jeszcze przez kilka godzin. Zabierz go do krzakowiska.

– A co ty wyprawiasz? – spytał Briar.

– Forteca jest w połowie pusta – rzekła Ashia. – Nigdy nie było lepszego momentu na zwiad.

Briar ani myślał przypiąć zawiniątko ze śpiącym dzieckiem do pleców.

– Ja też mogę to zrobić.

– Twój honor nie ma granic, Briarze asu Relan – powiedziała Ashia. – Ale ja mam kontakty wśród moich rodaków, których ty nie

masz. To muszę być ja.

Briar zawahał się, a Ashia podeszła bliżej, by pomóc mu przypiąć niemowlę, nim znów zacznie się sprzeczać.

– Jeśli cię złapią...

– Nie ma mowy – odparła Ashia. – Wykorzystam zamieszanie i wdrapię się po murze. Wrócę przed zapadnięciem zmroku.

– Uważaj na siebie – poprosił Briar, na co Ashia ucałowała go w policzek.

– Obiecuję, kuzynie.

Klepnęła go w pośladki i chłopak rzucił się biegiem w kierunku bezpiecznej, ukrytej jaskini w klifie. Dokonali w niej kilku przeróbek i cała trójka przyzwyczaiła się do tego miejsca tak bardzo, że zaczęła uważać je za dom. Stracili też ochotę do kontynuowania misji, ale Damajah liczyła na nią, a Sharak Ka weszło w decydującą fazę. Trzeba było działać.

Ashia wyjęła czarny zawój i oplotła sobie nim głowę tak, jak czynili to mężczyźni, na szyi pozostawiła luźną zasłonę na twarz.

„Odszukaj *khaffit* przez ojca swego ojca”.

To mogło oznaczać tylko jedno. *Dama Khevat*, który władał tym miejscem przed nadejściem Hasika, nadal żył. Wystarczyło więc okrążyć klasztor i wspiać się po zachodniej części murów, mając jezioro za plecami. Poranne słońce skrywało dziewczynę wśród cieni, a uwaga wszystkich skupiona była na jeźdźcach, którzy opuszczali twierdzę. Co więcej, dzięki *hora* w podeszwach butów i rękawiczkom bez palców mogła wspinać się po murze równie łatwo jak pająk, a odpowiednie ułożenie kamyków z *hora* w naszyjniku otoczyło ją strefą ciszy.

Ashia trzymała się cieni. Magia i własne umiejętności pomogły jej całkowicie stopić się z otoczeniem, dzięki czemu wydawała się teraz zaledwie rozmazaną, niewyraźną plamą. Nie musiała się jednak starać aż tak bardzo, bo strażę nie przykładały się do obowiązków. *Sharum* najwyraźniej wierzyli w to, że mury są wystarczająco wysokie i mocne, by obronić ich przed każdym niebezpieczeństwem. *Sharum'ting* bez trudu prześliznęła się obok nich i po chwili była już na dziedzińcu.

Klasztor cuchnął uryną i ludzkim brudem, a wszędzie zalegały śmieci i odpadki, ale Ashia miała dzięki temu wystarczająco dużo miejsca, by się skryć. Przemykała od jednej kryjówki do drugiej, a gdy musiała przebiec po zalanej słońcem uliczce, udawała po prostu jeszcze jedną niedożywną *dal'Sharum*, co nie było trudne, bo jej szaty poplamione sokiem z *alagai'viran* nie wyróżniały się na tle innych.

Nie trwało to długo, gdy odnalazła kaplicę dziadka i prześliznęła się obok pilnujących ją ludzi, okazało się jednak, że Khevat nie jest sam. Towarzyszył mu jej kuzyn Icha. Uznała, że zaczeka, aż ten odejdzie. Przyczaiła się więc, by podsłuchać rozmowę.

– To *khaffit!* – mówił Icha. – Ufasz mu?

– Oczywiście, że nie! – rzekł Khevat. – Abban bez wahania by nas okłamał, gdyby mógł w ten sposób coś zyskać.

– A więc nie mamy pewności, że to prawda.

– Ale ja w to wierzę – odparł Khevat. – Twój brat, pierworodny syn Wybawiciela, nie padł od kuli w bitwie pod Angiers. On został zamordowany przez tego... tego...

– A jeśli tak, to co z tego? – zaśmiał się gorzko Icha. – Czy to owa kropla, która przeleje czarę? Zbrodnia, której mu nie wybaczymy? Hasik ma rację co do jednego. Już dawno wypadliśmy z łask Everama. Jakie ma znaczenie, kto kogo zabił?

– W sumie trudno odmówić ci racji – westchnął Khevat.

W sercu Ashii odezwał się ból, gdy usłyszała rezygnację w głosie starego *dama*. Jej dziadek zawsze był potężną, przerażającą postacią w jej życiu. Jako patriarcha rodu pełnił w nim rolę ostatecznego arbitra, a jego słowa były świętością. Teraz zmalął do postaci zwykłego człowieka, którego szaty pożółkły od uryny.

Wyglądało na to, że plotki były prawdziwe. Hasik odciął męskość każdemu mężczyźnie w swojej fortecy. Na myśl o hańbie, jaką ściągnął w ten sposób na jej ród, oczy Ashii wezbrały łzami, ale dopóty Khevat żył, napełnianie buteleczek łzami żałoby nie przyniosłoby nikomu chwały. Woląла odnaleźć Hasika i zmusić go, by zapłacił za zniewagę własną krwią.

Icha odszedł chwilę później, a Ashia wśliznęła się w ślad za

dziadkiem do jego komnaty. Już chciała się odezwać, gdy ten westchnął:

– Jeśli chcesz mnie zabić, *Sharum*, może się to okazać trudniejsze, niż sądzisz.

Ashia zamrugwała. Czyżby wyczuł jej obecność? Przecież to niemożliwe!

– Dziadku! – szepnęła i ściągnęła czarną płachtę, by *dama* ujrzeć jej biały zawój i zasłonę.

Khevat obrócił się błyskawicznie.

– Ashia? – Rozdziawił usta. – Na brodę Everama, dziewczę, co ty tu robisz?

– Zostałam przysłana przez Damajah – rzekła Ashia. – Mam odszukać *khaffit* przez ojca mego ojca, jak przykazały mi kości.

Ożywienie, które ujrzała w oczach Khevata, zgasło. Jego aura pociemniała, a on sam się zgarbił.

– Nie mam pojęcia, co kierowało Everamem, że przysłał cię do tego przeklętego miejsca.

– Mówią, że klasztor padł ofiarą Nie – odparła Ashia. – To wystarczający powód.

– Nie przeczę temu – powiedział Khevat. – Hasik wyrzekł się *alagai'sharak*. Być może nie walczy dla Nie, ale nie próbuje się jej przeciwstawić. Pozwala jej, żeby rosła w siłę, niczym byle tchórz z zielonych krain.

– A co z *khaffit*? – spytała Ashia. – Kości wieszczą, że ma jeszcze rolę do odegrania.

– Żyje – przyznał jej dziadek. – Ale łatwo się do niego nie dostaniesz. Hasik trzyma go przy sobie i zajmuje się nim osobiście. *Khaffit* stał się dla niego bardzo cenny i bez Hasika nie wychodzi z celi.

– Muszę go uratować, jeśli będę w stanie – rzekła Ashia. – Pomożesz mi?

– Kości sprowadziły cię tu, żebyś poprosiła mnie o pomoc w ocaleniu *khaffit*? – Aura Khevata znów zapłonęła. – Służę Everamowi przez całe życie, a teraz mazgający się Abban jest więcej wart dla Damajah niż ja?



– Abban to *khaffit* – stwierdziła Ashia. – *Hannu Pash* naznaczyła go jako rozmazanego tchórza i zawsze nim pozostanie. Powiedz mi, dziadku, co stanowi twoją wymówkę?

Khevat otworzył szeroko oczy.

– Jak śmiesz, dziewczę...

– Jak śmiem co? – spytała Ashia. – Hasik zamordował mojego kuzyna, odciął ci męskość i zerwał pakt z Everamem. Porzucił *alagai'sharak* w chwili, gdy zaczęła się *Sharak Ka*, a ty tymczasem kajasz się przed nim i służysz mu.

– Każdy, kto się mu sprzeciwi, ginie – odparł Khevat.

– Czy to nie ty nauczyłeś mnie, że nie ma innej drogi do Nieba niż śmierć z imieniem Everama na ustach? – spytała Ashia.

Khevat wypuścił powietrze z płuc.

– Nawet gdybym chciał ci pomóc, uwolnienie Abbana może się okazać zupełnie niemożliwe. *Khaffit* jest nadal gruby, utyka na jedną nogę, a drugą zmasakrował mu Hasik. Nawet gdybyś wykorzystowała *hora*, żeby go udźwignąć, szybko byś się przekonała, że to nieporęczny ciężar. Co więcej, Hasik byłby wówczas tuż za tobą.

– A więc może nadszedł czas, żeby zakończyć jego rządy!

– Hasik jest potężny, dziecko. – Khevat rozłożył ze smutkiem ramiona. – A ja już nie jestem tym mężczyzną, co kiedyś.

– Człowiek, którym kiedyś byłeś, zdecydował o tym, co było słuszne, a co nie w całym naszym rodzie – rzekła Ashia. – Ba, w naszym plemienu! Czy chcesz teraz pozwolić, żeby człowiek, który zabił syna Wybawiciela, nadal stąpał po Ala, dlatego, że boisz się śmierci?

– Mam nadzieję, iż nigdy się nie dowiesz, że istnieją rzeczy gorsze od śmierci, wnuczko.

Ashia splunęła na posadzkę.

– Byłam szkolona przez Enkido, który stracił kutasa tak jak ty, ale ani jego duch, ani *sharusahk* wcale na tym nie ucierpiały. Jeśli nie masz serca, żeby zabić tego wściekłego psa, sama to zrobię.

Aura Khevata znów zapłonęła.

– Nie porównuj mnie do Enkido, dziewczę! Znałem twojego

mistrza na długo przed twoimi narodzinami! Znałem go już jako wychudzonego chłopczyka w brązowym bido i sam dobrałem Mistrzów Ćwiczeń, żeby szkolili go w *Hannu Pash*. Kiedy wyrósł z bido, zabrałem go do Sharik Hora i sam przejąłem rolę jego nauczyciela. Znałem go, gdy biegał po Labiryncie ze swoimi braćmi, wył do księżyca i przechwalał się każdym zabitym demonem. Udzielałem mu rad, gdy jego sława przygasła, a on nadal czuł się niespełniony.

Ręka *dama* wystrzeliła z zaskakującą szybkością i złapała Ashię za ramię. Usiłowała zasłonić się blokiem, ale jej dziadek okazał się lepiej wyszkolony, niż sądziła. Błyskawicznie obezwładnił Ashię sprawnym chwytem i pchnął ją twarzą w kamienną ścianę kaplicy.

– A więc uwierz w to, co ci mówię. Uwierz, że należy się bać Eunuch Ka. Wystarczy jedna chwila słabości, a zginiesz.

Ashia oparła stopę o ścianę i odepchnęła się, po czym uderzyła w punkt zbieżności na ramieniu dziadka, dzięki czemu jego chwyt osłabł na moment, a ona zdołała się wyrwać.

– Pomóż mi zatem – powiedziała.

W oczach Khevata pojawił się błysk, który przypomniał dziewczynie człowieka, jakim kiedyś był.

– *Chin* znają sekretny tunel, którym można dostać się do fortecy. Hasik od dawna poszukuje go w podziemnym labiryncie, ale bez powodzenia. Jeśli kości Damajah zdołałyby ustalić jego lokalizację...

Ashia pokręciła głową.

– Kości nam tu nie pomogą. Na szczęście znam kogoś, kto pomóc potrafi.



Przez krótką chwilę krzakowiskiem niepodzielnie rządził śmiech. Briar i Kaji byli co prawda jedynie odległymi kuzynami, ale zbliżyli się do siebie jak bracia. Briar rozpieszczał chłopczyka – gonił go po

jaskini, uczył nowych słów i nie mógł się nacieszyć jego niewinnością – ale ani przez moment nie zapomniał o tym, że Ashia znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

Kiedy Kaji wreszcie zapadł w kolejną drzemkę, Briar miotał się po jaskini niczym nocny wilk, zaciskając co chwila pięści. Czy to tak właśnie czuła się Dehlia, gdy on sam wyprawiał się na rekonesans? Czy to ten niepokój, o którym mówili Ragen i Elissa? Uczucie było bolesne, nieznośne. Nie miał pojęcia, jak im się udawało to wytrzymać.

Zerknął na śpiącego Kajiego. Czy mógł tu zostawić dziecko? Tylko na chwilę, aż nabierze pewności, że...

– Jakiej znowu pewności? – warknął do siebie.

Przecież Ashia była dokładnie taka jak on. Szybka, cicha i umiała przemykać się niespostrzeżenie. Co więcej, dorównywała Briarowi siłą i przewyższała znajomością sztuki walki. Istniały tylko dwa scenariusze – Ashii nic nie groziło albo znalazła się w niebezpieczeństwie tak poważnym, że Briar nie mógłby jej pomóc. Wówczas istniało spore ryzyko, że zostanie schwytany, a wtedy mały Kaji zostałby sam i bez opieki.

Miotał się więc, aż usłyszał szelest pnączy. W mgnieniu oka przypadł do wejścia i patrzył, jak Ashia się wspina.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Briar pokiwał głową.

– Czego się dowiedziałas?

– Mój dziadek żyje – powiedziała dziewczyna. – Mój kuzyn Icha również. Pomogą nam, ale musimy działać bezzwłocznie, gdyż nadciąga Nów. *Khaffit* jest kaleką i nie może się poruszać bez fotela na kółkach. Trzymają go w jednej z cel, w których kiedyś mieszkali akolici Pasterza. Wiesz, gdzie one są?

Briar przytaknął.

– Trzeba przekroczyć podwórze, żeby wspiąć się na mur. Fotel na kółkach? Nie będzie to łatwe... A czy twój dziadek może otworzyć którąś z mniejszych bram?

– Przyciągnąłby w ten sposób uwagę, której chcemy uniknąć – odparła Ashia. – Ale ponoć istnieje ukryty tunel, który prowadzi do

klasztoru.

– Tak – rzekł Briar. – Znam go, ale nie wszędzie da się łatwo pociągnąć ten fotel. Może damy radę, ale nie jeśli będziemy ścigani.

– Dziadek twierdzi, że nie udało im się odnaleźć tunelu – powiedziała Ashia. – Jeśli zdołamy tam dotrzeć niespostrzeżenie i zamaskować ślady, nigdy nas nie znajdą.

Briar zmarszczył brwi.

– To nie ma sensu. Te tunele są trochę skomplikowane, ale nie aż tak! Skoro *Sharum* o nich wie, już dawno powinni je odnaleźć! Tak naprawdę chroniło je tylko to, że nikt o nich nie wiedział.

– Najwyraźniej Hasik chce, żeby wiedza o nich ponownie zaginęła – rzekła Ashia. – Bo nie pozwala swoim wojownikom, żeby je badali.

– Albo sam już znalazł ten tunel, a twój dziadek chce nas zwabić w pułapkę.

Ashia otworzyła usta, jakby chciała bronić honoru rodziny, lecz nie powiedziała ani słowa, ogarnięta wątpliwościami. Założyła ramiona na piersi.

– Jutro zaczyna się Nów, Briarze. Jeśli nie uwolnimy *khaffit* przed zachodem słońca, nie otrzymamy już kolejnej szansy.

– No i co z tego? – Briar wzruszył ramionami. – Gdyby nie on, nie wpakowalibyśmy się w to całe zamieszanie. Dlaczego jego życie jest warte całej naszej trójki?

– Moja misja... – zaczęła Ashia.

– Niech Otchłań pożre tę twoją misję! – warknął Briar. – Możemy...

– Co możemy? – przerwała mu Ashia. – Uciec do Zakątka? Do Miln wśród gór, gdzie tworzą broń ognistą, żeby mordować naszych rodaków? Przed *Sharak Ka* nie da się uciec, Briarze. Pierwsza Wojna dopadnie nas nawet na krańcach Ala. Sam widziałeś, co demony zrobiły z poławiaczami ryb i ich flotą. Dopadną nas wszystkich, wystarczy tylko poczekać. Jeśli chcesz, schowaj się w krzakowisku i patrz, jak płonie świat, ale mnie do tego nie namówisz. Ja tak nie działałam. *Damajah* utrzymuje, że

ratując *khaffit*, zadamy wielki cios *alagai*, i myślę, że warto dla tego zaryzykować własne życie. I życie Kajiego.

Chłopczyk poruszył się, słysząc swoje imię.

– Mama?

Ashia podeszła do niego i rozchyliła szatę, by uwolnić pierś, ale nie spuściła oczu z Briara.

– Sam zdecyduj, dla jakich spraw jesteś gotów zaryzykować własne.



Nadciągający świt przepędził *alagai*, a Ashia i Briar ruszyli w dół klifu. Kaji został bezpiecznie przypięty do pleców *Sharum'ting*, a ta, spoglądając w przepaść, narzuciła sobie równy, stabilny rytm oddychania. Gdyby była sama, ani przez moment nie przejęłaby się wysokością, lecz teraz na plecach miała synka i dziękowała w duchu Everamowi za to, że klif wciąż zasłaniały cienie, a w rękawiczkach i butach kryły się *hora* pomagające jej przylgnąć do niemal pionowej ściany.

U stóp klifu ciągnęła się krótka plaża, a dalej, wśród dzikich krzaków i gęstych pnączy *alagai'viran*, znajdowała się niewielka jaskinia.

– I to tu? – spytała. – Wejście przez cały czas było tak blisko?

Briar pokręcił głową. Po kłótni poprzedniego wieczoru był jeszcze cichszy niż zwykle. Bez słowa odsunął pnącza i wyciągnął małą łódkę, ukrytą w płytkiej jamie. Dowlókl ją na plażę, obejrzał uważnie i ściągnął na wodę.

– Wsiadaj – powiedział i przytrzymał burtę. Ashia zręcznie wskoczyła do środka, odruchowo rozstawiając stopy tak, by zredukować kołysanie. Briar pchnął łódź i sam do niej wskoczył, równie zwinnie jak ona, choć przecież nie przechodził tego samego szkolenia. Od pewnego czasu Ashia wprowadzała Briara w tajniki *sharusahk* i chłopak robił szybkie postępy, ale *Sharum'ting* nie

mogła się nadziwić, jak wiele nauczyła go noc.

Briar pochwycił wiosła i łódka ruszyła płynnie po wodach jeziora. Chłopak wiosłował rytmicznie, bez trudu. Ashia wiedziała, że wodne demony skryły się przed porannym słońcem, mimo to nie spuszczała wzroku z powierzchni wody, dziękując w duchu Everamowi, że Briar nie oddalał się zbyt od brzegu.

– Daleko to? – spytała.

Widziała już ogromny klasztor na szczycie klifu, ale odległość była zbyt duża, by ktokolwiek na murach dostrzegł małą łódeczkę. Briar pokręcił głową.

– Już jesteśmy prawie na miejscu. Przez resztę drogi będzie mokro.

Ashia spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale obojętną miną zamaskowała lęk w sercu, gdy Briar opuścił kotwicę w głęboką wodę.

– Tędy – powiedział i zeskokczył do jeziora.

Serce Ashii przestało na moment bić. Czy on chciał, by przepłynęła całą drogę do brzegu?

Przez chwilę spodziewała się, że Briar pograży się w głębinach, okazało się jednak, że chłopak stoi po kostki w wodzie.

– To jakaś magia? – spytała Ashia.

– Żadna magia – odparł. – Przy wejściu do jaskini nie ma gdzie przycumować i Opiekunowie zbudowali pomost na głęboką wodę. Jeśli wiesz, gdzie stawiać stopy, możesz przejść stąd aż po brzeg. A jeśli nie...

Ujął włócznię, która była dłuższa od niego, i wsunął w wodę ledwie krok od miejsca, w którym stał. Broń znikła prawie cała.

– Stąpaj tylko tam, gdzie ja – dodał.

Ashia pokiwała głową. Oddychając rytmicznie, przegoniła lęk, po czym ściągnęła sandały i podążyła za Briarem. Woda była zimna, ale grunt stabilny i wnet się przekonała, że to kamienna grobla. Chłopak szedł w szybkim tempie, a *Sharum'ting* podążała za nim, uważnie naśladowując jego kroki. Wystarczył jeden fałszywy, by runęła w głębiny z Kajim na plecach.

Grobla wiła się to w jedną, to w drugą stronę, co miało na celu

utrudnienie ewentualnego pościgu, ale Briar szedł pewnie i klif rósł w oczach. W istocie nie było tam żadnego brzegu – skała wyrastała prosto z jeziora i mknęła ku niebu, tu i ówdzie upstrzona zielenią krzewów. Dotarłszy pod sam klif, Briar podskoczył, złapał wystający ze szczeliny korzeń i wspiał się do zalanej cieniami niszy. Ashia podążyła za nim i ujrzała, że nisza jest o wiele głębsza, niż wydawało się z powierzchni wody. Powoli, ostrożnie schodzili po stromym zboczu w ciemność. Tunel, w którym się znaleźli, wyglądał na dzieło natury, lecz w ścianach mieniły się słabo runy ochronne.

Ashia przyspieszyła kroku i dołączyła do Briara, który dotarł do końca tunelu, przegrodzonego ogromnym, poznaczonym runami głazem. Chłopak oparł się o niego plecami i pchnął. Nie był ułamkiem, jednak kamień ustępował niechętnie i przesunął się, dopiero gdy Ashia wsparła wysiłki Briara.

Ich oczom ukazała się większa komora, również dzieło natury, już bez runów na ścianach. Przesunęli ciężki głaz na miejsce, a Ashia musiała przyznać, że pasował tak idealnie, że nigdy by się nie domyśliła, że nie spoczywał w tym miejscu od wieków.

Choć trwał dzień, ciemny tunel obudził w niej nieufność. Wyjęła szklane drzewca swoich krótkich włóczni i sprawnie je rozłożyła. Zaczęła śpiewać „Pieśń o Nowiu”, rozglądając się w blasku Everama za *alagai*, a Briar ruszył przodem.



– Śniadanie, *khaffit*! – wrzasnął Hasik. Pchnięte drzwi uderzyły o ścianę.

Abban zerwał się i ujrzał wojownika z tacą w ręku.

– Gdzie Dawn? – Abban otrząsnął się ze snu i usiadł z trudem.

W odpowiedzi Hasik rzucił w kupca czymś, co z młasnieniem uderzyło go w pierś. Abban odruchowo złapał przedmiot. Trzymał w ręku zakrwawiony skalp z doskonale mu znajomymi siwiejącymi

lokami.

Włosy Dawn.

Przerażony Abban rzucił skalp na ziemię, a Hasik odchylił głowę i ryknął śmiechem.

– Twoi przyjaciele *chin* nie trzymają się życia tak desperacko jak ty, *khaffit* – rzekł Hasik. – Zastałem ją wiszącą na belce w celi.

Abban spojrział ze smutkiem na pokrwawiony strzęp.

Everamie, Dawco Światła i Życia, nigdy nie byłem najwierniejszym z Twoich służących, ale na pewno nie jestem *alagai* jak ten tutaj. Przekaż mi władzę nad jego życiem i śmiercią, choćby na krótką chwilę, a już nie okażę się głupcem i nie pozwolę mu dłużej żyć, pomodlił się w myślach, ale jeśli Everam go słuchał, nie dał tego Abbanowi poznać.

– Dalej, *khaffit* – zachęcił go Hasik. – Śniadanie ci wystygnie!

– Jestem zaskoczony, że przyniosłeś ten skalp osobiście – odezwał się Abban. Silił się na nonszalancki ton, choć w żołądku mu się przewracało. – Hasik, którego znam, przekazałby go jej córce.

– Myślę, że na jakiś czas zostawię córkę w spokoju – powiedział Hasik.

– Miękniesz? – Abban uniósł brew.

Hasik zachichotał i wyciągnął zza pasa niewielki młotek.

– Oczywiście, że nie. Po prostu uznałem, że na jakiś czas powrócimy do poprzedniego zwyczaju i znów będziesz odbierał karę osobiście.

Abban poczuł, jak oblewa go zimno.

– Eunuch Ka, jeśli mnie oszczędzisz, ja...

– Och, znów mnie błagasz! Znów proponujesz niezwykłości! – zaśmiał się Hasik. – Och, *khaffit*, ależ ja za tym tęskniłem! Ta *chin* niby budziła w tobie jakieś żałosne uczucia, ale jakoś nie przyszło ci do głowy próbować mnie przekupić!

Abban przełknął ślinę. Słowa Hasika dopiekły mu do żywego, choć nie mógł zaprzeczyć, iż było w nich sporo prawdy. Uważał się za lepszego od Hasika, ale czy miał ku temu powody?

Hasik uniósł młotek.



– A więc, *khaffit*, cóż możesz mi zaoferować w zamian za swój kciuk?

– Ja... – zawahał się Abban.

Cóż mógł mu ofiarować? Nie miał przecież nic. Od miesiący był więziony w tej ciasnej celi. Jego fortuna została pod opieką Jamere w Krasji oraz Shamavah w Zakątku, a nawet gdyby zdobył do niej dostęp, cóż mogłoby zadowolić człowieka, który czuł się naprawdę żywy jedynie w chwili, gdy Abban wrzeszczał z bólu?

– Dalej, *khaffit*, zagrajmy w naszą grę! – Hasik złapał Abbana za nadgarstek i przygniótł go do stołu dłonią silną jak z żelaza. W palcach drugiej obracał młoteczek.

– Proszę – pisnął Abban. Był w stanie jakoś obywać się bez stóp czy nóg, ale co pocznie bez rąk? – Jeśli... jeśli oszczędzisz mi dłonie, zdradzę ci lokalizację kopalni elektrum Wybawiciela!

Hasik uniósł głowę.

– Łżesz.

Abban pokręcił głową.

– To ja pierwszy przekazałem Ahmannowi wiedzę na temat świętego metalu, Hasiku. Kopalnia leży daleko i nie strzeże jej wielu ludzi. Twój wojownik mógłby bez trudu zająć kanion i utrzymać go po wsze czasy z zaledwie garstką ludzi.

Hasik wyprostował się i odłożył młotek na stół. Abban poczuł przypływ nadziei. Dzięki broni z elektrum plemię Eunuchów stałoby się dominującą siłą na mokradłach.

– Jak tam daleko?

– Jakies dwa tygodnie drogi – rzekł Abban i wzruszył ramionami, jakby sama podróż w istocie była błahostką.

– Za daleko, żebym uwierzył w twoje słowa. Za daleko, żeby posłać wojowników na wyprawę tylko i wyłącznie na podstawie obietnic *khaffit*, który zrobi wszystko, żeby ocalić palce.

– No to zabij mnie, jeśli kłamię!

Hasik spojrzał na kupca zaintrygowany.

– Tak to jeszcze nigdy nie mówiłeś.

– Nie myśl, że próbuję ci kadzić czy też zmylić twoją czujność, Eunuch Ka! – mówił Abban. – Skoro niewolnicy to za mało, żeby się

uwolnić od tortur, wykupię się bezcennym metalem.

Hasik przyglądał się Abbanowi, stukając się lekko młotkiem po szczęce. Przechylił głowę, jakby słuchał niewidzialnego doradcy, aż wstał, najwyraźniej zapomniawszy o parujących małżach.

– Przynieście mi fotel *khaffit*! – ryknął.

– Mogę narysować mapę... – zaczął Abban, ale przerwał, gdy Hasik złapał go za ubranie i wcisnął w fotel. Coś w spojrzeniu wojownika przeraziło Abbana bardziej niż młotek. – Dokąd my...

Tym razem wojownik przerwał mu uderzeniem w tył głowy.

– Cisza! – warknął Hasik. – Istnieje inny sposób, żeby sprawdzić to, co mówisz.

Abban zastanawiał się, czy nie popełnił jakiegoś poważnego błędu, ale wiedział, że nie powinien protestować. Hasik wypchnął go na zewnątrz i powiózł korytarzami ku strzeżonym drzwiom, gdzie *Sharum* złapał swego niewolnika i zarzucił go sobie przez ramię jak worek ziarna. Za otwartymi drzwiami znajdowały się schody, które wyglądały jak zejście do Otchłani. Prowadziły do katakumb pod klasztorem.

Taszczący Abbana Hasik zszedł na sam dół, gdzie znajdowały się ciężkie wrota, strzeżone przez kilku eunuchów. Na widok swojego wodza stanęli na baczność, złapali za włączniki i ostrożnie otworzyli drzwi, jakby się bali, że runie na nich stamtąd cała Otchłań. Spoglądali też czujnie na Abbana, ale nie odezwali się ani słowem, gdy Hasik przeniósł *khaffit* przez próg.

W nikłym świetle, wpadającym do środka z sali zajmowanej przez straż, widać było wykonane ludzką ręką podłogi i podpory, które po kilkunastu krokach ustępowały miejsca naturalnym skalnym formacjom. Na kolumnach i na podłodze znajdowały się runy, wszystkie zostały naruszone i uszkodzone.

Wtedy straż zatrzasnęła wrota. Otoczyła ich całkowita ciemność.

– Hasiku... – zaczął Abban.

– Już dość się nasłuchałem twojej gadaniny przez ostatnie miesiące, *khaffit* – odparł *Sharum*. Klejnot na jego turbanie jaśniał lekko. Dzięki wygrawerowanym na nim runom Hasik widział w ciemnościach, ale Abban był w stanie dojrzeć jedynie słabo

oświetloną twarz swego oprawcy. – Pora, żebyś teraz ty mnie posłuchał.

– No to słucham – rzekł Abban, gdy oczekiwanie stało się dla niego nie do zniesienia.

– Nie mnie – odparł Hasik i zrzucił Abbana na twardą kamienną posadzkę. – Posłuchaj prawdziwego władcy.

– Czyli kogo? – spytał *khaffit*.

W odpowiedzi na suficie zajaśniał run światła. Abban zmrużył oczy, oślepiiony blaskiem, ale zauważył, że przed nimi pojawiła się nowa postać. Jego lęk przybrał na sile, gdy uświadomił sobie, że patrzył na siebie samego.

– Chronź nas, Everamie!

Nie była to realna wizja. Stojący przed nim Abban był pełen sił i miał obie sprawne nogi. Wyglądał tak, jak wyglądałby Abban, gdyby nie spadł z muru Labiryntu.

Niby-Abban okręzał kupca, wpatrując się w niego niczym kot w osaczoną mysz, a jeniec zaczął się trząść. Na skórze pojawił się pot. Uniósł rękę, by nakreślić run, ale Hasik odtrącił ją pacnięciem.

– Zrób to jeszcze raz, *khaffit*, a obetnę ci ramię. Panu nie potrzeba twojego ciała, a jedynie umysłu.

– Panu? – Abban uniósł głowę i ujrzał kolejnego demona, który wyłonił się w zalanej cieniami komorze.

– Alagai Ka! – Hasik osunął się na kolana i dotknął czołem podłoga.

Drugi demon podszedł bliżej. Był niewielki, niższy nawet od Abbana. Miał długie, wiotkie kończyny oraz tors, który przypominał czarną jak noc skórę naciągniętą na szkielet. Jego wielką stożkowatą głowę wieńczyły szczątkowe rogi. Ogromne czarne oczy wpatrywały się w *khaffit*, a pofałdowana czaszka zdawała się pulsować.

Niby-Abban rozmył się nagle niczym odbicie w wodzie wzburzone rzuconym kamieniem, po czym naraz przybrał postać Hasika sprzed kastracji. Wojownik stał nagi, a jego męskość kołysała się między nogami, długa niczym dziecięce ramię.

– Nie do końca tak to wyglądało – zauważył Abban. – Zwiotczała

włócznia Hasika prezentowała się o wiele mniej okazale, gdy moje żony i córki mu ją odcinały.

Prawdziwy Hasik spojrział na kupca z wściekłością, ale zgodnie z oczekiwaniami Abbana nie ośmielił się podnieść bez pozwolenia.

– Śmiało przemawiasz, *khaffit* – oznajmił niby-Hasik, naśladowując głos i sposób zachowania prawdziwego *Sharum* z budzącą grozę precyzją.

– A jakie to ma znaczenie? – zaśmiał się Abban. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że jego lęk i panika powoli słabły. W nadciągającym starciu liczyła się wszak siła umysłu, a nie ciała. Spojrział na niby-Hasika i odezwał się do niego jak do prawdziwego *Sharum*: – Znalazłem się tu dlatego, Hasiku, że twój pan uznał, iż jestem dla niego przydatny i mój los nie spoczywa już w twoich rękach – dodał.

– Nie bądź tego taki pewien, *khaffit* – warknął niby-Hasik. – Być może znów znajdziesz się pod moją opieką, gdy mój pan ze mną skończy.

– Być może – rzekł Abban.

– O ile oczywiście nie pożre ci mózgu po tym, jak skradnie ci myśli – powiedział niby-Hasik z uśmiechem.

Abban wzruszył ramionami.

– To już nie ma znaczenia, Hasiku. Możesz sobie marzyć o tym, że zostaniesz czyimś władcą, ale obaj wiemy, że zawsze byłeś tylko i wyłącznie psem. Widziałem to w *sharaj*, gdy pojawiali się Mistrzowie Ćwiczeń i Khevat. Widziałem to, gdy stał przy tobie nocny ojciec Jesan. Gdy pojawił się Ahmann. Za każdym razem, gdy masz przy sobie kogoś z większym fiutem, opuszczają cię wszelkie ambicje i zależy ci już tylko na zaspokojeniu swojej chuci.

– Kłamiesz, *khaffit*! – huknął niby-Hasik i zadarł głowę, ale Abban nawet nie drgnął. – Jestem lojalny wobec Alagai Ka i zostanę za to nagrodzony.

– Czym? – Abban śmiało patrzył mu w oczy. – Małżami i świniną? Mną do torturowania? Nową włócznią między nogami? Zawsze brakowało ci wyobraźni, Hasiku.

Prawdziwy *Sharum* z pewnością uderzyłby go za takie słowa, ale

zmiennokształtny znów przeistoczył się w niby-Abbana.

– Co powiedziałaaby matka na wieść o tym, że robisz sobie wroga z klienta jeszcze przed rozpoczęciem negocjacji?

– Najwyraźniej nie wiesz wiele o mojej matce – parsknął Abban.

Wówczas zmiennokształtny zafalował ponownie i przybrał ciało sędziwej rodzicielki *khaffit*, Omary. W przeciwieństwie do niby-Hasika i niby-Abbana, którzy byli alternatywnymi wizjami, wyobrażenie Omary było niemal perfekcyjne, po zmarszczki wokół oczu i ulubione perfumy.

– Możesz być z siebie dumny, synu. Jesteś więcej wart niż jakikolwiek pies *Sharum*.

Demon mówił głosem Omary i podkreślał słowa jej gestami, choć staruszka była tysiąc mil stąd, a Abban dołożył wszelkich starań, by Hasik nigdy nie znalazł się blisko niej. Jak ten otchłaniec mógł odzwierciedlić ją tak dokładnie?

Domyślił się prawdy, gdy poczuł, jak wola demona wnika w jego umysł. Nie został tu sprowadzony po to, by mówić. Jego przesłuchanie już trwało.

Świat zewnętrzny natychmiast przestał dla Abbana istnieć, gdy skupił się na wnętrzu. Podążał w ślad za *alagai* w głąb własnych wspomnień, wizji z przeszłości tak wyraźnych, iż miał wrażenie, że przeżywa te chwile raz jeszcze. Dzień, w którym wyrwano go z ramion Omary i wrzucono do *sharaj*. Lanie, które codziennie fundował mu Hasik. Upokorzenie. Ból. Demon spijał emocje i wspomnienia niczym *couzi*, a Abban miał wrażenie, że przy każdym kolejnym wzdycha z zadowoleniem.

Był to niewysłowiony wprost gwałt i Abban ze wszystkich sił próbował wypchnąć *alagai* z własnego umysłu.

Alagai Ka jednak ledwie zauważył te wysiłki i kontrował je równie łatwo jak Hasik ciosy Abbana, gdy byli dziećmi. Po chwili znów zanurzył się we wspomnieniach, tym razem z czasów, gdy kupiec upadł z muru Labiryntu i strzaskał nogę. Rozkoszował się jego upokorzeniem, najpierw gdy Abbana zawiodło własne ciało, a potem kiedy on sam raz za razem zawodził swego jedynego przyjaciela. Ahmann musiał wybierać między przyjaźnią

i obowiązkami do chwili, gdy stało się to niemożliwe.

Co by się stało, gdyby Abban nie spadł? Czy Ahmann mógłby mu nadal towarzyszyć, nawet teraz? Co by się stało, gdyby nigdy nie powrócił na bazar i nie wręczył Par'chinowi owej mapy?

Niespodziewanie wola Alagai Ka, która wirowała wokół wspomnień *khaffit*, stwardniała i skupiła się na tych chwilach, wyszarpując je z umysłu Abbana z taką siłą, że ten poczuł zawroty głowy. Jego ciało zadygotało spazmatycznie, gdy *alagai* wyciągał każdy zapach i odgłos, każdy drobiazg z jego wspomnień o Par'chinie.

Abban zrozumiał wówczas, że w tym spotkaniu chodziło o wiele więcej niż tylko kopalnię elektrum. Konsekwencje przesłuchania mogły okazać się o wiele bardziej niebezpieczne dla niego, jak i dla Ala. Demon chciał się dowiedzieć wszystkiego o Par'chinie, a Abban w głębi swej duszy – o ile coś takiego w ogóle istniało – wiedział, że nie może na to pozwolić, nawet jeśli miałby oddać za to życie.

Myśl ta sprawiła, że Abban zapomniał o wszystkim innym i raz jeszcze skupił swoją wolę. Kochał dzieci i żony, kochał bogactwo i wygodę, ale nic nie było dlań cenniejsze od własnego życia i skoro znalazł w sobie gotowość, by postawić je w trakcie negocjacji, postanowił walczyć o nie z całą zajadłością, na jaką było go stać. Niespodziewanie zrozumiał Ahmanna i Par'china jak nigdy dotąd.

Och, moi przyjaciele, jak ja was krzywdziłem... – pomyślał i cisnął własną wolę do walki z obcą obecnością w jego umyśle.

Demon nie był przygotowany na kontratak. Miał Abbana za człowieka słabego, zastraszonego, a tymczasem Abban przebił się przez jego gardę i oderwał od pożerania wspomnień, po czym powoli zaczął wypychać go z własnego umysłu.

Istota spojrzała na Abbana ze zdziwieniem. Nie zmiennokształtny, który nadal przybierał formę Omary, ale sam książkę *alagai*. Przechylił lekko głowę i wpatrywał się w kupca wielkimi oczyma, zaskoczony, jakby mrówka nie chciała pozwolić, by rozgniół ją stopą. Abban ujrzał swoje odbicie w jego oczach. Widział swoje ciało, drżące, dygoczące, widział strużkę śliny ściekającą z ust, ale wszystko to nie miało znaczenia.

Liczył się tylko *alagai* i jego wola.

Czego chcesz? – zapytał w umyśle.

Niespodziewanie myśli demona cofnęły się, a wola Abbana podążyła za nim. I wtedy ujrzał ją, Alagai'ting Ka, Matkę Demonów. Usłyszał jej ryki, wyczuł hormony w wilgotnym, gorącym powietrzu. Widział wylewające się z niej jaja, z których miały się wykluć królowe. Wiedział, że po wykluciu będą potwornie głodne, że będą chciały jak najszybciej urosnąć i zacząć gromadzić wpływy. Potrzebowały więc ludzi, wielu, wielu ludzi, gdzieś blisko, by zaspokoić swoje potrzeby. Jak choćby setki głupców zamkniętych w klasztorze. Tysiące innych w miastach chronionych murami. To nie były kryjówki, tylko spiżarnie!

*Alagai* zaatakował ponownie, a Abban uświadomił sobie, że nowe odkrycie pochłonęło go do tego stopnia, że dał się zaskoczyć. Został wypchnięty z umysłu księcia, ale bitwa nie dobiegła jeszcze końca. Ich wole znów się starły.

Abban rozumiał teraz swojego przeciwnika. Potrafił odczytać jego potrzeby i pragnienia niczym podczas negocjacji na bazarze, a kiedy wiedział, czego klient chce i potrzebuje, łatwo mu było przejąć inicjatywę i zakończyć transakcję pomyślnie dla siebie. Sęk w tym, że Alagai Ka również znał słabości *khaffit*, a jego wola była przepotężna.

Abban jednak uwielbiał twarde negocjacje. Walczyli, zmagali się, aż *khaffit* uświadomił sobie, że z wolna ulega. Nie miał nic do stracenia, ale demon walczył o naprawdę wysoką stawkę, a co więcej, miał o wiele większe doświadczenie w pojedynkach umysłów, sztuce, którą Abban dopiero poznawał. Powoli, bezlitośnie przejmował więc kontrolę nad przestrzenią między nimi i wpychał wolę Abbana z powrotem do jego ciała. Nie musiał nawet go pokonywać. Wystarczyłoby, żeby *khaffit* uwolnił wolę demona choć na moment, a ten natychmiast kazałby Hasikowi czy zmiennokształtnemu złapać Abbana za szyję i odebrać mu przytomność. Wówczas mógłby już bez trudu wejść do jego umysłu.

Wtedy usłyszał znajomą pieśń i uświadomił sobie, że on również nie musi księcia pokonać. Wystarczy, by przytrzymał go jeszcze

przez chwilę.



Ashia śpiewała w równym rytmie, osłaniając ich trójkę magiczną aurą „Pieśni o Nowiu”. Podkradali się do Alagai Ka. Enkido przekazał jej sztukę dystansowania się, dzięki której wojownik mógł wznieść się ponad emocje bitwy i chłodno, obiektywnie analizować ją pod każdym kątem. Dzięki temu Ashia umiała na zimno planować atak nawet na hordę skalnych demonów.

Ale teraz miała przeciwko sobie Alagai Ka, ojca wszystkich demonów, który opierał się samemu Kajiemu. Czy jej żałosny śpiew i krótkie włócznie poradzą coś przeciwko takiemu przeciwnikowi?

Mimo to podchodziła coraz bliżej, trzymając broń w pogotowiu. Demon skupiał całą swoją uwagę na Abbanie. Hasik nie podnosił się z kolan, a staruszka, kimkolwiek była, stała chwiejnie, niepewnie, niczym marionetka, której odcięto sznurki. Briar postępował ledwie krok za Ashią.

Demon nadal ich nie widział.

Ashia spojrzała na Briara i przekazała mu polecenie mową palców: „Szybko!”.

Po czym uniosła broń i rzuciła się do ataku.

Hasik wciągnął powietrze w nozdrza i poderwał głowę.

– Panie!

Demon dostrzegł wojowniczkę w chwili, gdy pchnęła obiema włóczniami. Wykonał błyskawiczny piruet i ostrza przeszyły pustkę, a wtedy księżę ciemności nakreślił run w powietrzu i popchnął Ashię niczym niesforne dziecko. Dziewczyna niemal wpadła na Briara, lecz chłopak błyskawicznie uskokzył i uniół swój bukłak.

Demon, spodziewając się kolejnego ataku, był zupełnie nieprzygotowany na strugę wywaru z lubczyku. Jego skóra i oczy zaskwierczały. Księżę wrzasnął, cofnął się i upadł na plecy. Wbił



w nich wściekle spojrzenie, ale niespodziewanie odwrócił głowę i z zaskoczeniem spojrzał na Abbana. Najwyraźniej łączyła ich jakaś więź, która jak dotąd nie została przerwana, a *khaffit* nie przerywał ataku.

Ashia chciała wykorzystać dogodną chwilę i zaatakowała, ale zatrzymała ją staruszka, szybsza od *Sharum'ting* i silniejsza od skalnego demona. Splecione w walce, przeturlały się po podłożu, po czym Ashia poleciała na ścianę jaskini.

Briar chlusnął strugą wywaru na kobietę. Pomarszczona skóra zafalowała i staruszka przeobraziła się w polnego demona, który dzięki smukłemu ciału i ogromnej szybkości doskonale nadawał się do walki pod ziemią. Demon rozdał się i wyhodował sobie pancerz skalnego demona, najeżony kolcami i ostrymi krawędziami. Ze ślepi i pyska buchnęły płomienie.

Odwrócił się ku Briarowi. Ten uskoczył, przetoczył się i w ostatniej chwili uniknął ognistego plunięcia. Wówczas pysk *alagai* wydłużył się w dziób demona błyskawic i z wrzaskiem posłał w Briara ładunek lektryczności. Chłopak w porę zasłonił się tarczą, która odbiła większość wiązki, ale Ashia ujrzała falę bólu w jego aurze. Briar jęknął, a Ashia warknęła i skoczyła na bestię.

Uderzyła w nią głosem, wibrującym wrzaskiem, który mogła podtrzymywać w nieskończoność, wzmacniając go *hora* ukrytymi w naszyjniku. Fala dźwięku rozeszła się po komorze, a zmiennokształtny zatoczył się, krzycząc z bólu. Nawet księżę uniósł cienkie kończyny, by zasłonić uszy.

Wtedy *Sharum'ting* złożyła obie włócznie w jedną. W jej dłoniach zamigotała licząca sześć stóp długości, ostra niczym brzytwa, potężna broń runiczna. Z szybkością myśli atakowała bestię, tnąc i próbując odrąbać jak największe kawałki jej ciała, zanim potwór odzyska pełną świadomość.

Kikuty jednak nie krwawiły, a bestia przeobrażała się w większą, o wiele groźniejszą kreaturę. Ashia nie przejmowała się jej kształtem, skupiona na magii w aurze demona. Wiedziała, że regenerując się i zmieniając kształt, przez cały czas pobierał wielkie ilości mocy. Jediną szansą dziewczyny było więc jak

najszybsze wyczerpanie sił *alagai*.

Macka, która wyrosła wręcz znikąd, strzeliła w nią z prędkością rozwijającego się bicia. Ashia zostałaby trafiona, gdyby Briar nie uderzył w demona tarczą i nie oszołomił go wymalowanymi na niej runami zmiennokształtności. Ashia wykorzystała moment, by wrazić włócznię w serce. Ogłuszona bólem istota znów musiała sięgnąć po wielkie zasoby mocy, by szybko stworzyć dla siebie inne, ale wówczas zaatakował Briar.

Oboje puścili broń i cofnęli się. Włócznie tkwiące w ciele zmiennokształtnego przeszywały go falami niszycielskiej magii, lecz to nie wystarczyło. Ashia błyskawicznie powróciła do *sharukin*, które studiowała przez całe życie, i zasypała *alagai* gradem ciosów. Wyszukiwała punkty zbieżności w jego aurze i wbijała w nie sztywne palce, a jej paznokcie, pokryte twardym lakierem i niszycielskimi runami, raziły ciało potwora jak młotek rozbijający orzechy. Z każdym celnym uderzeniem Ashię omywała fala ożywczej magii, która dodawała jej sił i szybkości, podczas gdy aura zmiennokształtnego powoli gasła. Nawet Kaji przejął część mocy i śmiał się radośnie, nieświadom niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli.

Briar walczył teraz gołymi rękami. Jego runy naporu i uderzenia zastępowały każdą włócznię i tarczę – chłopak bez trudu odbijał ciosy *alagai* i zasypywał go własnymi, szybkimi, krótkimi, bezlitosnymi. Ashia spoglądała w aurę demona i widziała coraz rozleglejsze rany. Tłukli słabnącą, oszołomioną bestię, aż dziewczyna dostrzegła szansę na odebranie jej życia. Wyszarpnęła włócznię z ciała kreatury, zakręciła nią w powietrzu i odcięła *alagai* głowę, a potem zawirowała raz jeszcze, obróciła się i cisnęła nią w demona umysłu.

W ostatniej chwili włócznię odbiła czyjaś tarcza. Broń z trzaskiem upadła po drugiej stronie komory.

– Everam podarował mi kolejny dzień – oznajmił Hasik. – Nikt nie stanie mi na drodze.

– Już dawno wypadłeś z łask Everama, wuju – odparła Ashia i wyjęła kolejny szklany pręt z nosidełka Kajiego, poznaczony

runami i wzmocniony elektrum przez samą Damajah. Machnęła nim i uwolniła ostrze kosi, a potem nałożyła szklaną tarczę na ramię. – Komuś takiemu jak ty Everam nie da niczego.

– Jeszcze się przekonamy, mała!

Hasik zaatakował ostro. Ashia przechwytywała jego ciosy na tarczę lub odbijała je swoją kosą, ale była nieprzygotowana na tak ogromną zaciekłość. Przez moment mogła jedynie parować szybkie pchnięcia Hasika lub obrotowe uderzenia włócznią. Z Kajim na plecach nie mogła pozwolić sobie na ataki, które wystawiłyby chłopca na agresję eunucha, a więc cofała się, z desperacją szukając jakiejś luki w jego gardzie.

Briar zrozumiał, w jak poważnej sytuacji znalazła się Ashia, i przypuścił atak na plecy Hasika. Ashia w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że widzi nadbiegającego chłopaka, ale Hasik w ostatniej chwili uchylił się przed jego ciosem i posłał go na ziemię potężnym kopnięciem. Ashia zdwoiła wówczas wysiłki, jednak *Sharum*, choć właśnie wykluczył Briara z walki, ani na moment nie stracił koncentracji.

Znów się zwarli. Hasik uderzył Ashię czołem w twarz, śmiejąc się dziko. Dziewczyna cofnęła się, uchyliła przed kolejnym ciosem eunucha i cisnęła w niego tarczą, a sama uwolniła ukryty we włóczni cienki łańcuch. Hasik, który uskokzył przed nadlatującą tarczą, nie zdołał już uniknąć łańcucha, który oplótł mu się wokół kostki.

Ashia szarpnęła z całej siły, ale Hasik zorientował się w jej zamiarach i wykorzystał siłę dziewczyny, by runąć na nią i kopnąć mocno w twarz. Zataczająca łuk noga wojownika wytrąciła Ashii kosę z dłoni. Broń poleciała w kąt jaskini i wylądowała z głośnym brzękiem. Ashia zauważyła, że wojownik wykonuje przewrót, by odzyskać równowagę, i cisnęła w niego ostrymi szklanymi pociskami, ale Hasik zasłonił się tarczą i odbił wszystkie z wyjątkiem jednego, który odbił się od jego szklanego napierśnika.

Nie mając czasu, by sięgnąć po kolejną broń, Ashia odruchowo przybrała pozycję *sharusahk*, by odpowiedzieć na kolejny atak Hasika. Zerknęła na Briara, ale chłopak z jękiem wciąż związał się

na podłożu. W jego aurze zauważyła, że cios Hasika złamał mu biodro. Przytrzymał miejsce zranienia, a magia wiązała już strzaskane kości, ale nie mógł przyjść jej z pomocą.

– Odłóż tego dzieciaka – zaproponował Hasik. – Stoczmy prawdziwą walkę.

– Nigdy – odparła Ashia.

Hasik zerwał zasłonę z gardła.

– Odepnij dziecko, a ja odłożę włócznię i tarczę.

– A niby dlaczego? – spytała Ashia.

– Bo chcę się przekonać, co Enkido z ciebie zrobił – rzekł Hasik.

– Z ciebie i z mojej córki.

– Twoja córka wstydziła się za ciebie – odparła Ashia. – Jeszcze zanim *khaffit* cię wykastrował, Sikvah mówiła, że codziennie sprowadzałeś hańbę na swój dom. Trwoniłeś wszystko na hazard i *heasah*, nawet żołąd, który otrzymywałeś jako wojownik Włóchni Wybawiciela. Biłeś wszystkich, od niewolników po swoją Jiwah Ka.

Hasik odrzucił włócznię.

– Pokaż mi, co zrobił z ciebie Enkido, zanim zabiję cię gołymi rękami!

– A mój syn? – spytała Ashia.

– Jeśli przegrasz, ten sam los przypadnie jemu i twojemu cuchnącemu przyjacielowi.

– A zatem nie przegram.

Ashia cofnęła się i podeszła do tarczy leżącej pod ścianą jaskini. Przewróciła ją stopą, zdjęła nosidełko z Kajim i ułożyła je w środku strefy ochronnej. Nie miała wielkiej ochoty rozstawać się z synkiem, ale nie mogła zmarnować okazji, która się nadarzyła.

– Nie wierć się, syneczku – szepnęła. – Niech moja tarcza cię ochrania do mojego powrotu. Kocham cię i zawsze będę.

Po jej policzku spłynęła łza i Ashia uświadomiła sobie, że płacze. Zacisnęła powieki i wyciśnięte łzy spadły niczym deszcz na twarz chłopczyka. Kaji jedynie się uśmiechnął.

– Mama walczy! – powiedział.

Ashia pokiwała głową, otarła łzy i jednocześnie wsunęła ostatni element nosidełka do rękawa.

- Tak, kochanie. Bądź dzielny.
- Mama dzielna – zgodził się Kaji.

Ashia wyprostowała się i odeszła od dziecka, a wówczas Hasik odtrącił kopnięciem włócznię i tarczę, po czym przybrał pozycję *sharusahk*. Za jego plecami Abban oraz demon umysłu wpatrywali się w siebie, zwarci w jakiejś nieczystej bitwie. Ich złęczone aury skrzyły energią, jakiej Ashia nigdy dotąd nie widziała. Nic z tego nie rozumiała i nie potrafiła odgadnąć, jak długo *khaffit* zdoła jeszcze powstrzymać bestię.

Stanęła w gotowości do walki. Hasik rozchylił usta i gwizdnął przez lukę w uzębieniu.

- No, zaczynaj.



Briar chciał wrzeszczeć, gdy ujrzał, jak Ashia staje naprzeciwko Hasika, ale wiedział, co się dzieje, jeśli kość źle się zrasta. Musiał nadal przytrzymać biodro i czekać, aż kości same się zregenerują.

Hasik i Ashia skoczyli na siebie. Walka toczyła się tak szybko, iż wzrokiem nie można było zgoła za nią nadążyć. Oboje przypominali tancerzy, którzy ćwiczą dobrze sobie znany układ. Ich ruchy zdawały się identyczne, oszczędne, przemyślane i precyzyjne. Hasik miał nad dziewczyną przewagę wzrostu, a dzięki dłuższym ramionom jego ciosy sięgały dalej. Ashia była szybsza, zwinniejsza i lepiej umiała zachować równowagę, i trudno było przewidzieć, które z nich zwycięży.

Ashia stawiała Hasikowi zaciekły opór, ale to on zadawał więcej ciosów. Większość z nich zablokowały płytki pancerza wszyte w szatę dziewczyny, lecz takie uderzenia również bolały, oszałamiały i zostawiały po sobie ślady na ciele. Wystarczyłoby ich odpowiednio wiele, by zmęczyć wojowniczkę i odebrać jej inicjatywę.

Rozległo się głucho warknięcie. Briar odwrócił głowę i ujrzał demona piaskowego, który wysunął łeb z tunelu prowadzącego do jaskini z dołu. Chłopak puścił biodro jedną ręką, złapał za włócznię i cisnął nią z całej siły, trafiając *alagai* prosto w słabo opancerzone podbrzusze. Demon zakwiczął i padł, ale jego wrzask poniósł się daleko w głąb podziemnego korytarza.

Briar, starając się nie urazić bardziej, podpełził kawałek ku wejściom do tuneli, rozwiązał rzemyki kilku sakiewek ze sproszkowanym lubczykiem. Rozrzucił je dookoła, wiedząc, że *alagai* będą w najwyższym stopniu niechętne, by pokonać taką przeszkodę. Efekt jednak słabł z czasem, a korytarzem, sądząc po rykach, które odpowiedziały wrzaskom konającego *alagai*, zmierzała cała horda. Demony mogły się przebić samym tylko impetem.

– Nie zostało nam wiele czasu, Ashia! – krzyknął, ale dziewczyna, skupiona na walce z Hasikiem, nie odpowiedziała.

Briar, z każdą chwilą odzyskując więcej sił, doczołgał się do swojej włóczni, której ostrze nadal tkwiło w cielsku zdychającego demona piaskowego. Przez wytatuowany na dłoni run do ciała wniknął strumień mocy. Briar złapał mocniej drzewce i przebił *alagai* na wylot, przyspieszając jego śmierć. Następnie wsparł się na włóczni niczym na lasce i podniósł się. Na próbę przeniósł ciężar ciała na strzaskane biodro i doszedł do wniosku, że odzyskał swobodę ruchów.

Spojrzał na Ashię, toczącą zacieklą walkę z Hasikiem, na *khaffit* zwartego w pojedynku umysłów z księciem *alagai*. Wyrwał włócznię i zamierzył się do rzutu. Wtedy coś trafiło go w ramię, ale nie przejął się. Wyprostował rękę, chcąc rzucić włócznią, ale nagle uświadomił sobie, że ta przywarła do jego dłoni, opleciona czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało pajęczą nić. Uniósł głowę w chwili, gdy runął na niego demon jaskiniowy.



Ashia zablokowała przedramionami pięść Hasika i obróciła się bokiem, by zatrzymać kopnięcie wojownika i nie stracić przy tym równowagi. Niestety, nie zdołała już zatrzymać kolejnego ciosu *Sharum*, potężnego haka prosto w żebra. Szklane płytki w pancerzu przyjęły na siebie impet uderzenia, ale pozbawiło ją ono tchu, obilo mięśnie i złamało jakąś kość. Nie był to pierwszy uraz w dokładnie to miejsce.

Chwilę później pozwoliła Hasikowi zrobić to ponownie. Tym razem jednak złapała jego rękę, przemknęła pod nadgarstkiem i założywszy mocny chwyt, wbiegła po jego udzie i oplótła gardło *Sharum* nogami.

Atak przeprowadziła perfekcyjnie, ale Hasik był przeciwnikiem ciężkim i silnym jak skalny demon. Z wprawą rozstawiał stopy, by nie stracić równowagi, a jednocześnie zasypywał dziewczynę gradem ciosów. Ashia kilkakrotnie uderzyła go w głowę, ale po chwili została zmuszona do uwolnienia go z chwytu.

– Nigdy nie poznałem legendarnego Enkido – rzekł Hasik. – W każdym razie nie przed tym, jak oderznął sobie fiuta i język. Jego imię już wtedy wymawiano z czcią i lękiem. – Splunął krwią. – Wstydziliby się za ciebie.

Ashia warknęła i znów rzuciła się do ataku, choć w głębi serca zaczynała się obawiać, że *Sharum* ma rację. Rozejrzała się w poszukiwaniu Briara i przekonała, że ten walczy o życie z ośmionogim demonem przypominającym ogromnego opancerzonego pająka.

Znów zwarła się w walce z Hasikiem. Wojownik miał na sobie napierśnik z niezniszczalnego szkła, który nie absorbował ciosów tak jak jej płytki. Waląc w niego, miała wrażenie, że uderza w mur, a jedynym skutkiem jej wysiłków był pusty śmiech eunucha.

Napierśnik miał jednak spoiny i szczeliny na złączeniach. Ashia skoncentrowała na nich swoje ataki, by osłabić jego wytrzymałość, ale szło jej niesporo, a tymczasem od ciosów, którymi odpowiadał Hasik, szczękały jej zęby i uchodziło powietrze z płuc. *Sharum* szukał, podobnie jak ona, okazji do zadania ostatecznego ciosu.

W końcu takowa się przytrafiła. Hasik oplótł ramię dziewczyny

własnym, unieruchomił jej łokieć i obrócił się, by wykonać rzut. Rozległ się trzask, gdy ramię Ashii wyskoczyło ze stawu, a ona sama, zaskoczona i oszołomiona, runęła na ziemię. Uzmysłowała sobie wtedy, że to koniec. Że wystarczy chwila, by Hasik zakończył walkę.

Wtedy po drugiej stronie jaskini rozległy się jakieś okrzyki, spotęgowane szczękiem oręza. Ponad zamieszanie wybił się głos dziadka Ashii. Hasik zawahał się, a wtedy Ashia wysunęła kosę z rękawa zdrowego ramienia. Jednym machnięciem uwolniła ostrze i chlasnęła nim wzdłuż wąskiej szczeliny zbroi wojownika, biegnącej wzdłuż talii. Uścisk dłoni zaciśniętej na jej ramieniu osłabł, gdy ostrze przecięło zbroję i skórę. Z rany buchnęły krew i wnętrzności, a Ashia wyrwała się i wykonała pełny obrót, tym razem po to, by podciąć Hasikowi gardło.

– Nie! – rozległ się znajomy głos.

Kaji stał ledwie kilka kroków od niej i przytykał sobie drugą kosę do gardła. Ashia krzyknęła z przerażenia i cofnęła się od Hasika. Jedno jej ramię zwisało bezwładnie, ale nadal trzymała broń.

– Rzuć kosę, mamó – rozkazał jej Kaji. – Albo przewrócę się na własną.

– Kochanie, odłóż to! – wykrztusiła Ashia.

– Nie! – Kaji powtórzył swoje ulubione słowo, najpotężniejsze w jego słowniku.

– Kaji asu Asome am’Jardir am’Kaji! – zawołała Ashia ostrzejszym tonem. – Natychmiast odłóż tę broń!

Chłopiec zawahał się, a Ashia zrobiła ku niemu niepewny krok.

– Nie – powtórzył Kaji i uniósł kosę wyżej, napierając ostrzem na skórę. Ashia zatrzymała się jak wryta. Była już na tyle blisko, by widzieć ślady po swoich łzach na twarzy dziecka, ale zbyt daleko, by go powstrzymać, nim zrobi sobie krzywdę. Opuściła broń, choć Hasik, przytrzymując ręką wnętrzności, zdołał się już podnieść.

– Proszę cię, synku! – szepnęła błagalnym tonem. – Bądź dzielny!

Spoglądała w aurę Kajiego i widziała jej czysty blask zatruwany



ciemnością. Demon roztoczył nad nim kontrolę, której nie była w stanie złamać samymi słowami.

Niespodziewanie twarzyczka chłopca zajaśniała. Łzy Ashii ściągały magię, która posłuszna jej ostatniemu życzeniu, otaczała go teraz ochronną strefą. Jasność rozpędzała cień rzucany przez demona.

„Nawet palma płacze, gdy przetaczają się po niej morskie fale” – powiedział jej kiedyś Enkido. „Łzy sióstr włóczni Everama są tym cenniejsze od innych, gdyż tak rzadko padają”.

Kaji odwrócił się, by spojrzeć na Alagai Ka. Kosa wypadła z jego małej rączki.

– Nie.

Słowo wydawało się wywrzeć niemal fizyczny efekt na księciu. Zadygotał z wysiłku, a z jego nozdrzy i uszu pociekła jucha. Abban, który nadal toczył z nim walkę, również krwawił.

Hasik rzucił się z nożem, ale Ashia była gotowa. Odtrąciła kosą jego opadające ramię i jednocześnie wymierzyła kopniaka w ranę na brzuchu, ale nieugięty *Sharum* przygniótł ją do ziemi. Ich walka przeszła w nową fazę.



Briar wił się i wyginał, unikając ciosów jaskiniowego demona, uzbrojonych w ostre kolce, za pomocą których ten wspinał się po kamiennych ścianach. *Alagai* podniósł się, by lepiej celować. Jego odnóża waliły w ziemię jak w bęben, próbując dopaść chłopaka, który zdołał zarzucić sobie tarczę na ramię.

Briarowi łatwiej teraz było odpierać ataki demona, choć ten miał od niego większy zasięg, a on sam nie potrafił nawet dosięgnąć rozdętego odwłoku.

Wtedy ujrzał, jak po drugiej stronie komory mały Kaji przytyka ostrze do swojej szyi. Zamarł, co niemal kosztowało go życie. Z najwyższym trudem udało mu się uniknąć serii kolejnych ciosów,

ale demon, czując, że przejmuje inicjatywę, zaczął kłapać szczypcami wokół ogromnej paszczy. Ściekały z niej krople jadu, które syczały na runach tarczy.

– Nie – powiedział Kaji, upuścił kosę i spojrzał na myślaka. Briar na krótki moment zerknął w ślad za nim i ujrzał drgawki wstrząsające ciałem księcia.

Ręką, do której przypiął tarczę, sięgnął po bukłak przy pasie i cisnął nim w paszczę demona. Ten rozdarł go kleszczami i zalał się wywarem z lubczyku. Cofnął się z wrzaskiem, a wtedy Briar zerwał się i odrzucił go runami na tarczy.

Potem odwrócił się, złapał włócznie i z całej siły cisnął nią w głowę demona umysłu.

Nie czekał, by się przekonać, czy trafił, i bez namysłu rzucił się w ślad za nią. Ostrze przeszło grubą czaszkę demona na wylot, Briar przypadł do księcia i zdzielił go w szyję dłonią uzbrojoną w run uderzenia. Przygniótł Alagai Ka kolaniem do ziemi, złapał włócznie za końce, wystające po obu stronach czaszki, napiął mięśnie i szarpnął nimi jak drągami kabestanu. Rozległ się trzask pękającego kręgosłupa. Demon wrzasnął po raz ostatni. Jego czaszka pulsowała, a ciało wierzgało w drgawkach.

Demon jaskiniowy z przeraźliwym krzykiem przewrócił się na grzbiet, podkurczając odnóża. Hasik też wrzasnął, a jego ciało zwiotczało na moment, ale Ashia zdołała założyć mu unieruchamiający chwyt. Abban jęknął i zasłonił dłonią twarz.

Chwilę później do sali wpadli Khevat i Icha w szatach czerwonych od krwi. Hasik potrząsnął głową, próbując zebrać myśli, choć Khevat, Icha i pozostali otoczyli go kręgiem. Klęczał, opierając się o ziemię jedną dłonią, podczas gdy drugą próbował utrzymać wewnętrżności, lecz nadal był niebezpieczny i wszyscy o tym wiedzieli.

Ashia podeszła, by podnieść swoją włócznie. Jej ramię nadal zwisało bezwładnie. Kaji, potykając się, podbiegł do matki i otoczył ramionami jej nogę, niepomny na krew na jedwabkach.

– Mama! – zaszlochał.

– Byłeś bardzo dzielny, synku – powiedziała do niego Ashia.

– Elny jak mama! – zgodził się Kaji.

Abban osunął się na ziemię. Briar podszedł do *khaffit*, podciągnął go pod ścianę i oparł o nią.

– Nic ci nie jest?

Abban zmarszczył nos.

– To ty, szpiegu!

– Ocaliłem ci życie – przypomniał mu Briar.

– Co to ma wszystko znaczyć! – spytał ostro Hasik. –  
Przyprowadźcie mi tę Zielarkę *chin*. Potrzebuję...

Ashia przytknęła włócznię do jego karku.

– Niczego nie potrzebujesz, sługo Nie.

Do jaskini wbiegali coraz to inni ludzie. Nie wszyscy służyli Khevatowi i wyglądali na gotowych, by walczyć i uwolnić swojego przywódcę, wtedy Briar złapał ciało Alagai Ka i cisnął je obok Hasika. Wojownicy z przerażeniem spoglądali na trupa bestii, uosobienie wszystkiego, czego nauczono ich bać się i nienawidzić od kołyski aż po *sharaj*.

– Jestem Ashia vah Ashan, Sharum'ting Ka Krasji! – zawołała Ashia. – Zostaliście zwiedzeni, wojownicy Everama, ale przybywam, żeby zaproponować wam wybawienie i odkupienie! *Alagai* wciąż oblegają siły Damajah w Krynicy Everama. Wielu spośród was ma tam przyjaciół! Rodziny! Wyruszcie wraz ze mną do Krynicy, a wasze zbrodnie zostaną zapomniane. Pozostańcie tu, a kiedy odniesiemy zwycięstwo w Sharak Ka, armie Wybawiciela odnajdą was i wyrzną.

– O ile rzeczywiście zdołacie wygrać – zadrwił Hasik. – Wybawiciel nie żyje, a jego syn...

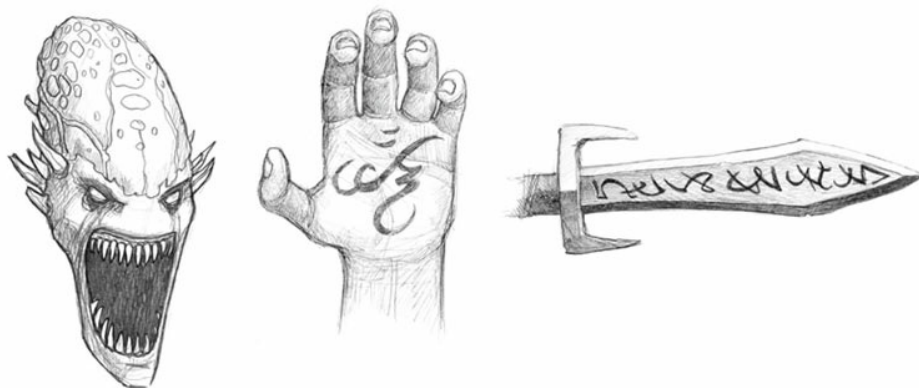
– Został zamordowany przez ciebie! – krzyknął Khevat, a Ashia pokiwała głową.

– Hasiku, hańbo swojego rodu, za morderstwo księcia Jayana oraz dezercję z armii Wybawiciela skazuję cię na śmierć!

Hasik od paru chwil gromadził siły. Zerwał się błyskawicznie, ale zabrakło mu szybkości. Ashia pchnęła go włócznią i rozerwała mu kręgosłup, a bezwładne ciało eunucha osunęło się na ziemię. Nim ktokolwiek zdołał drgnąć, cofnęła się i machnęła włócznią

ponownie, tym razem po to, by odrąbać Hasikowi głowę.

– Zabierzcie ją – rozkazała. – I łeb demona też. Niech wszyscy na górze ujrzą, komu służyli, zanim podejmą ostateczną decyzję.



## 40

### Alamen fae

334 ROK PLAGI

Zmiennokształtny wypuścił nogi – najdalej jak potrafił, zważywszy na szerokość tunelu – i pognał przed siebie. Kamienne osuwisko mogło opóźnić pościg jedynie na chwilę, ale to wystarczyło, by demon znikł w podziemnym labiryncie.

Mimo to Dziedzic był szybki. Przeleciał nad największym spiętrzeniem, a ostatnie głązy, które zawadzały drogę, po prostu rozrzucił. Kilkoma cisnął w plecy zmiennokształtnego. Zbroja demona wytrzymała uderzenie, ale on sam stracił równowagę.

Książę Małzonek odwrócił się. Dziedzic był sam, uwięziony po przeciwnej stronie osuwiska. Miał włóczę i płaszcz, ale gdzieś stracił tę znieawidzoną koronę. Małzonek stanął więc przed rzadką okazją, by uwolnić się od zagrożenia, jakie stwarzał Zabójca Umysłów.

Dziedzic był całkiem zaskoczony, gdy zmiennokształtny odbił się

od ściany i na niego skoczył. Zgodnie z oczekiwaniami Małżonka Dziedzic nie był w stanie jednocześnie utrzymywać się w powietrzu i odpierać skoncentrowanych ataków. Wylądował więc na ziemi, gdzie o wiele lepiej mógł wykonywać serie ruchów stanowiących podstawę ludzkiej sztuki walki.

Książę Małżonek przeanalizował *sharusahk* w umyśle kukły, poznając jej silne i słabe strony. Uważnie przyglądał się zatem stylowi walki Dziedzica, dla którego *sharusahk* było teraz jedynym sposobem na powstrzymanie ataków zmiennokształtnego. Jego aurę przepełniała agresja, ale nie tracił czujności. Pamiętał, że został oddzielony od pozostałych. Wiedział, że jest osłabiony.

Cofał się pod naporem ataków zmiennokształtnego, zrzucając w trakcie walki szatę, by odsłonić runy wyryte na skórze. Naraz zmiennokształtny plunął człowiekowi w twarz gęstą, żrącą śliną bagiennego demona. Runy ochronne uchroniłyby Dziedzica przed skutkami ataku, ale zgodnie z oczekiwaniami Małżonka mężczyzna drgnął i na chwilę stracił koncentrację. Demon wypuścił wówczas kilkanaście odnóży, każde zakończone twardym chitynowym pazurem, a książę Małżonek pobrał z nich całą magię, by stały się obojętne na runy ochronne.

Dziedzic zdołał uniknąć żrącej śliny, lecz oberwał kolcem w bok. Cios był zbyt płytki, by go zabić. Człowiek odtoczył się i w jakiś sposób zablokował trzy kolejne ataki. Czwarty przeszył mu udo, ale mimo to człowiek nadal walczył. Odrąbał kolejny kolec i wyrysował run zmiennokształtności, który posłał demona na ścianę tunelu. Dziedzic skoczył naprzód, by udaremnić mu ucieczkę, a Małżonek znalazł się w pułapce między nacierającym człowiekiem a skalnym osuwiskiem.

Włócznia Dziedzica zajaśniała runami cięcia. Rzucił się na zmiennokształtnego i tym razem to Małżonek cofnął się do desperackiej obrony. Każde odnoże, które wypuszczał z ciała swego podwładnego, było natychmiast odrąbywane, co osłabiało demona, a księcia pozbawiało cennej magii zgromadzonej w jego ciele.

Przeciwno włóczni obronić się nie potrafili, ale Małżonek pamiętał, że bez korony Dziedzic jest praktycznie ślepy.

Przekształcił więc pancierz zmiennokształtnego tak, by ten zlał się z otoczeniem, i posłał go po ścianie na sufit. Pozbawiony runicznego widzenia Dziedzic nie był w stanie tego dostrzec, lecz instynktownie odgadł intencje *alagai* i wyrysował wielkie runy zmiennokształtności, które wycelował w górę.

Pchnięty mocą magii, demon uderzył o skały, stracił przyczepność i runął na podłogę tunelu. Książę pospiesznie przekształcił gruczoły w jego gardle w te, które u wodnych demonów wytwarzały gęsty, lepki czarny atrament. Pobrał z niego wszelką magię, po czym nakazał zmiennokształtnemu splunąć na Dziedzica.

Tym razem Dziedzic nie wzdrygnął się i kleista substancja trafiła go prosto w twarz. Po aurze człowieka przemknęło zaskoczenie, a mimo to nie stracił skupienia i wbił włócznię prosto w brzuch zmiennokształtnego, ledwie cale od miejsca, w którym chował się książę.

Dziedzic nie starał się nawet nad sobą panować. Chciał go zabić.

Książę uświadomił sobie swoją głupotę i arogancję. Dziedzic był osłabiony, to prawda, ale nadal pozostawał Zabójcą Umysłów, a jemu samemu nie zostało wiele sił.

Rozesłał vibracje i odczytał skałę dookoła siebie. Wyczuł jaskinię pod sobą, niedaleko, wielką, ciągnącą się we wszystkich kierunkach. Mógł znaleźć tam wiele kryjówek, w których zdołałby zetrzeć przeklęte runy ze swojego ciała, rozplątać się i powrócić do miejsca, z którego sprawował władzę.

Dziedzic otworzył oczy, które zajaśniały magią i z sykiem wypaliły atrament. Jego rany już się goiły. Posłał przez włócznię strumień mocy, rażąc jednocześnie oba demony, po czym wyszarpnął ją, by wbić w innym miejscu. Małżonek zablokował uderzenie i przystąpił do kontrataku. Wypuścił pozbawione magii kolce, czym zmusił Dziedzica do cofnięcia się.

Uzyskawszy nieco przestrzeni, Małżonek wypuścił wijące się odnóża, by zaatakować. Jednym odnożem, w które przelał magię, zaczął kreślić runy, a potem precyzyjnie rozbijał kamienne podłogę.

Nie zdążył jednak doprowadzić zadania do końca, gdy pojawił się

Odkrywca. Człowiek zdematerializował się i przeniknął przez kamienne osypisko. Wiele ryzykował, gdyż podziemia omiatały fale magii, które mogły go wciągnąć do Otchłani, skąd nie było już odwrotu. Co więcej, w stanie pomiędzy był narażony na atak umysłowy, ale na jego szczęście Małżonek nie władał już mocami, które by na to pozwoliły. Zmiennokształtne były w stanie duplikować umiejętności pomniejszych demonów, ale nie potrafiły odtworzyć skomplikowanych umysłów ksiąząt.

Odkrywca jednak nie chciał kusić losu i zmaterializował się natychmiast po tym, jak dotarł na drugą stronę osuwiska. W rękę trzymał znieawidzoną koronę. Gdyby sam ją założył, ksiązę mógłby tego nie przeżyć, ale ocaliła go ludzka słabość.

– Ahmann! – wykrzyknął Odkrywca i rzucił koronę Dziedzicowi. Ten zaczął kreślić runy, by zatrzymać demony na miejscu. Złapał koronę i już chciał nałożyć ją sobie na skronie, ale wtedy Małżonek narysował ostatni ze swoich runów. Podłoga zawałiła się pod ich nogami.

Małżonek był przygotowany i błyskawicznie przekształcił odnóża zmiennokształtnego w skrzydła wichrowego demona, a ciało wydłużył i uczynił opływowym. W mig pochwycił prąd powietrza i opadł z wdziękiem w głąb komory, a obaj jego przeciwnicy runęli w dół jak kamienie.



Arlen spadał wśród skruszonych skał, co chwila zderzając się z którąś z nich. Powietrze smagało go po twarzy. Kątem oka zauważył, że Jardir również leci w dół, a demon odlatuje w mrok.

Po raz drugi zaryzykował dematerializację. Na powierzchni magia układała się w leniwe, delikatne fale i wiry niczym nisko wisząca mgła, a zew Otchłani był równie odległy jak wielki róg w Potoku Tibbeta. Tu jednak jego ryk zagłuszał wszystko, a fale rosły do rozmiarów sztormowych bałwanów, które groziły, że porwą



Arlena ze sobą i pogrążą w odmętach.

Mimo to oszacował prądy, wybrał jeden, który wiódł ku górze, pochwycił go swoją wolą i pomknął wraz z nim. Zdematerializował się częściowo, na tyle, by oprzeć się zewowi Otchłani i utrzymać stabilność ciała, ale jednocześnie być na tyle lekkim, żeby ponieść go prąd.

Jardir puścił włócznie i spadał, wciąż zmagając się z koroną. W końcu zdołał wcisnąć ją na głowę, błyskawicznie nakreślił kilka runów i przywołał broń do ręki. Włócznia wróciła do niego niemal z ochotą i Ahmann również pomknął w górę.

Arlen rozglądał się, aż dostrzegł zmiennokształtnego, który sunął przez mrok jaskini. Wskazał go Jardirowi i kątem oka ujrzał, jak przyjaciel zmienia kurs i rzuca się w pościg za demonami. Sam Arlen bez słowa skupił magię i wystrzelił w ślad za nimi niczym jedna z rac Leeshy.



Jardir, ścigając Alagai Ka, nie szczędził magii. Włócznia i Korona Kajiego nie mogły przechowywać nieskończonej ilości mocy, jednak gdyby demonowi udało się uciec, minione miesiące ofiar i poświęceń poszłyby na marne, a Ala czekałaby zagłada.

Lecz teraz dołączył do niego Par'chin, a Jardir odzyskał swoją koronę. Zachował też przytomność umysłu, gdy ziemia ustąpiła mu spod nóg i runął w Otchłań. Poczł, że Everam ponownie otacza ich swoją łaską. Nieubłaganie ścigali umykające demony, powoli zmniejszając dystans, aż Alagai Kai znalazł się niemal w zasięgu korony.

Zmiennokształtny, świadom tego, że obaj prześladowcy już go doganiają, zmienił taktykę. Złożył skrzydła i runął niczym kamień w głąb kanionu. Natychmiast znikł im z oczu.

Par'chin pomknął za nim, ale po chwili Jardir ujrzał, jak przyjaciel unosi się w powietrzu i rozgląda z desperacją

w poszukiwaniu ojca demonów. Tak głęboko pod powierzchnią ziemi magia była niebywale gęsta, lecz Jardir wiedział, że demon kryje się w niej gdzieś nieopodal niczym Wypatrywacz pośród cieni.

Alagai Ka mógł co prawda schować się przed Par'chinem, ale nie dał rady ukryć się przed koroną Jardira. Ahmann udawał, iż nie dostrzega zmiennokształtnego, który przylgnął do ściany kanionu i idealnie zlał się ze skałą. Odwrócił głowę, dając bestii chwilę złudnej nadziei, po czym nagle zawirował i przygniótł oba demony do skalnej ściany runami bariery.

Oszołomiony Alagai Ka spóźnił się z jakąkolwiek reakcją. Jardir przypadł bliżej i uwięził demona w polu korony, wtedy Par'chin skoczył na Alagai Ka i go pochwycił. Runy umysłu i zmiennokształtności zapłonęły na skórze przyjaciela. Zwarci w zacieklej walce, runęli w głąb kanionu, a Jardir podążał za nimi, zwięzając pole korony. Gdy uderzyli o dno, demon miał już niewielkie pole manewru. Par'chin puścił go wówczas i odtoczył się, brocząc krwią z głębokich ran, pozostawionych przez długie, niemagiczne kolce zmiennokształtnego.

Jardir zauważył jednak, że obrażenia jego *ajin'pal* już się goją, i sam wkroczył do akcji. Osłabiony zmiennokształtny nie stanowił dla nich obu wyzwania. Par'chin złapał zwieńczoną kolcem mackę i oderwał ją od ciała demona. Jardir zablokował uderzenia kilku innych i obrócił włócznię, by jej ostrzem wyciąć spory ochłap mięsa z jego potwora.

Obryzgiwała ich jucha, ale to czyniło ich tylko mocniejszymi. Jardir stracił rachubę czasu, gdy osłabiali demona celnymi uderzeniami. W końcu zmiennokształtnemu zabrakło już mocy na kolejne przemiany. Przez moment trwał w okaleczonej formie, a potem stracił spójność i jako cuchnący szlam rozpląnął się po podłożu jaskini. W samym środku kałuży wojownicy ujrzeli księcia.

Jardir uniósł włócznię i skoczył do ataku, ale wówczas Alagai Ka zrobił coś nieoczekiwanego. Uklęknął na krasjańską modłę, układając dłonie na podłodze, i pochylił głowę.

– Dość – wychrypiał. – Poddaję się.

– A od kiedy to potrafisz mówić? – Par'chin rozdziawił usta.

Jardir się zatrzymał.

Demon wzruszył ramionami niemalże po ludzku.

– Pamiętacie, gdy zdematerializowałem się w waszej wieży, ale nie zdołałem uciec? Wracając do materialnej postaci, przekształciłem nieco krtań i język, żeby móc wydawać te wasze prymitywne chrząknięcia.

– A więc Shanjat... – Jardir uniósł włócznię.

Demon znów się wzdrygnął.

– Był użytecznym sługą.

W duszy Jardira wezbrała furia. Pobrał magię, by zasilić zabójcze runy, wciąż wytatuowane na skórze demona.

– A ty postąpiłbyś inaczej, potomku Kavriego? – spytał go demon. – Czy twoja rasa kiedykolwiek okazała mojej miłosierdzie?

Jardir pokręcił głową. Evejah uczyła, że nie wolno pozwolić, by Alagai Ka mówił, bo jest ojcem kłamstw, a jego srebrny język może przekonać ludzi, iż noc jest dniem, a przyjaciel wrogiem. Nim się odezwał, Par'chin zrobił krok naprzód.

– Plan pozostaje ten sam, Ahmannie. Nadal go potrzebujemy. Wciąż mamy zadanie do dokończenia.

– Być może – rzekł Jardir. – Ale czy my naprawdę tego chcemy, Par'chin?

– Co takiego?

– To ojciec kłamstw, Par'chin. Oszukiwał nas na każdym kroku! Nigdy nie był tak bezradny, za jakiego chciał uchodzić. Wypatroszył mózg Shanjatowi, zabił Shanvah...

Par'chin pokręcił głową.

– Shanvah żyje. Renna jest z nią.

– A gdzie one teraz są, Par'chin? – spytał Jardir. – I skoro już o tym mówimy, gdzie my jesteśmy? Przebyliśmy daleką drogę od tunelu, w którym się to wszystko zaczęło.

W aurze Par'china pojawiły się podobne wątpliwości. Spojrzał za siebie, skąd przybyli.

– Być może udałoby nam się odnaleźć drogę powrotną wśród tych prądów.

– A co zrobimy, jeśli nam się uda? – spytał Jardir. – Mamy

zawrócić i brnąć powoli mila za milą, oddalając się od naszego celu?

Par'chin zmarszczył brwi.

– A więc tym bardziej powinniśmy zatrzymać demona przy życiu.

– Nadal mogę zaprowadzić was do dworu umysłów – oznajmił Alagai Ka. – To niedaleko stąd. Mój sługa i wasze samice tylko by was teraz opóźniały.

W aurze *alagai* nie było ani cienia kłamstwa. Jardir doszedł do wniosku, że teraz, gdy demon odzywa się sam, odczytywanie jego aury wychodzi mu lepiej.

– Będzie znów próbował uciec – rzekł.

– Oczywiście, że tak – zgodził się demon. – Ty w mojej sytuacji postąpiłbyś przecież tak samo. Ale zaprowadzę was do roju.

– I wprowadzisz w każdą możliwą pułapkę po drodze – dodał Jardir.

– Dwór umysłów nie jest bezbronny – rzekł Alagai Ka. – To, czy uda wam się przeżyć, to, jak wy to mówicie, *inevera*.

Jardir uniósł palec i pchnął moc w tatuaże demona, a ten wrzasnął i zaczął się wić z bólu.

– Nie wolno ci wymawiać tego słowa, niewolniku Nie! – powiedział Jardir z naciskiem i wstrzymał strumień magii.

Demon spojrzał na niego ogromnymi czarnymi oczami.

– Nie jestem niczym niewolnikiem.



– Co pocznie twoja *jiwah*, kiedy nie powrócisz? – spytał Jardir, gdy szli dnem kanionu w kierunku tuneli prowadzących niżej.

Arlen musnął palcem runy na obrączce ślubnej.

– Nie wiem. Będzie chora z niepokoju o mnie, ale też wściekła jak osa. Mam nadzieję, że weźmie Shanvah i wrócą razem na powierzchnię, ale... Cóż, Ren jest uparta.

Jardir zaśmiał się.

– Przynajmniej macie coś wspólnego.

– Łatwo ci mówić – parsknął Arlen. – Nie twoje dziecko znalazło się w niebezpieczeństwie.

– Nie mów do mnie lekceważąco, Par’chinie – warknął Jardir. – Ja już straciłem najstarszego syna w Sharak Ka, a ty walczyłeś u boku mojej najstarszej córki w Zakątku. Czyżbyś poświęcił się bardziej ode mnie?

– Jayan i Amanvah są dorośli – rzekł Arlen, czując, jak w jego gardle pojawia się wielka włochata kula. – Sami dokonywali wyborów. Mój syn zaś...

Jardir wyciągnął dłoń i dotknął ramienia przyjaciela.

– Niepokój ojca o los własnych dzieci nie gaśnie z wiekiem, Par’chin.

– Tak – pokiwał głową Arlen. – Tak właśnie sądziłem. Nie chciałem...

Jardir zacisnął dłoń.

– Oczywiście, Par’chin.

– Te wasze uczucia są żałosne – wychrypiał Alagai Ka, który próbował nadażyć za nimi na pałakowatych odnóżach. – I doprowadzą was do zguby.

Te słowa miały ich zaboлеć, ale Arlen uświadomił sobie, że zabrakło w nich jadu.

– Widziałem, jak walczyacie – odparł. – Gdy zabiłem jednego z was, jego bracia nie kiwnęli pazurem, żeby przyjść mu z pomocą. Lepiej umrzeć dla uczuć, niż żyć w świecie bez nich.

Magia stawała się coraz silniejsza w trakcie marszu, aż Arlen odniósł wrażenie, że się w niej unosi. Jego tatuaże nieustannie pobierały moc, przez co czuł się nią przepełniony. Jardir też aż jaśniał. Jedynie demon nadal pozostawał ciemny. Najwidoczniej utrzymywał swoją magię pod kontrolą, by przypadkiem nie aktywować runów na ciele.

Arlen bez wahania sięgał teraz po moc i kreślił symbol za symbolem. W powietrzu pojawiały się runy ciszy, zmieszania i niewidzialności, które czyniły ich niewidocznymi dla mijanych otchłanców.

Jasna emanacja ich aur nie była jedynym źródłem światła. Arlen

zaczął sobie uświadamiać, że widzi, choć na razie słabo, również w naturalnym świetle, bo ściany tunelu fosforyzowały łagodną zielenią. Gdy przyjrzał im się z bliska, odkrył, że wilgotne skały pokrywają przesycone magią porosty.

W istocie stawało się coraz jaśniej, a smród demonów niebawem zastąpiło coś o wiele gorszego.

– Uff! – sapnął Arlen. – Co za paskudny smród, na Otchłań!

– Dotarliśmy do spiżarni – wyjaśnił demon umysłu.

– *Alamen fae* – szepnął Jardir, przypominając sobie list Kavrivah. Fraza oznaczała: „ci, których nie dosięga wzrok Everama”. – Wojownicy Kajiego, którzy zostali wzięci do niewoli przed pięcioma mileniami.

– Ile to pokoleń? Dwieście? – Arlen potrząsnął głową. – Wystarczył rok życia na wielkim runie, żeby mieszkańcy Zakątka stali się silniejsi od innych ludzi, nawet jeśli nie brali udziału w walkach. Jak wyglądają ci ludzie po pięciu tysiącach lat w takiej bliskości Otchłani?

– Wkrótce się przekonacie – drażnił się z nimi demon. – Zabrnęliśmy pod jedną z ich nor plemiennych. Są wszędzie dookoła.

– Mogłeś nas ostrzec – mruknął Arlen.

– Wiedziałeś, że to kiedyś nastąpi – rzekł demon. – Jeśli się nie przygotowaliście, możecie winić tylko siebie.

– A ty nie boisz się, że znajdziesz się w samym środku starcia? – spytał Arlen.

– Bydło wie, że sprzeciwianie się przedstawicielom mojego plemienia źle się dla nich kończy – odparł Alagai Ka. – Ale rzadko interweniujemy w ich życie. Trudno, żeby interesowały nas układy między stadami. Mnie nie dotkną. Was zabiją i pożrą.

– Zjadają się nawzajem? – spytał Jardir.

W tej samej chwili świsnęła strzała, która wbiła się Arlenowi w ramię.

– Niech to Otchłań! – krzyknął Arlen i wyrwał pocisk z ciała.

Wykonano go z łądygi twardej, włóknistej rośliny i zwieńczono obsydianowym grotem, ostrym jak brzytwa.

Tymczasem wokół nich pojawiły się pochylone postacie,

poruszające się w pozycji pionowej i na czworakach. Wysoko na skałach wyłoniły się kolejne, które skakały i pięły się niczym małpy. Ich pazury i zęby były masywne i ostre, a ciała brudne oraz, nie licząc skrawków skóry wokół talii i przytroczonych do pasa sakiewek, całkiem nagie. Niektórzy mieli prymitywne, kościane łuki z cięciwami z jelit, inni maczugi albo włócznie zwieńczone obsydianowymi grotami. Ich szczupłe mięśnie były twarde, a aury jaśniały magią.

Jardir rozszerzył pole ochronne korony, ale napastnicy bez trudu przekroczyli barierę. Runy niewidzialności, które wyrysował Arlen, również na nich nie działały. Wojownicy podkradali się coraz bliżej przybyłych.

Arlen zerknął na aurę przyjaciela, w której jaśniały poczucie winy i wahanie. Czy naprawdę patrzyli na potomków armii Kajiego, a jeśli tak, to co był im winien? Miał ich ratować? Dać im umrzeć z honorem? A może te nędzne stworzenia już nigdy nie miały ujrzeć blasku Everama?

Arlen wysforował się więc do przodu.

– Pilnuj demona. Wiem, co robić.

– Par'chin... – W głosie Jardira pojawiło się ostrzeżenie.

– Nie mam zamiaru nikogo zabić – odparł Arlen. – Ale nie pozwolę też, żeby zmuszono mnie do ucieczki. Pora ustalić wzajemne układy.

– Dobrze – zgodził się Jardir. Jego aura wciąż kipiała, ale z ulgą pogodził się z tym, że przez kilka chwil jego udział w wydarzeniach ograniczy się do oglądania.

Największy z mieszkańców podziemi ryknął głośno i rzucił się na Arlena, unosząc wielką kość nadzianą ostrymi kawałkami obsydianu. Aury pozostałych wojowników wskazywały na to, że ma przed sobą ich przywódcę, którym zawładnęła prymitywna żądza zapanowania nad przybyszami. Uderzył się pięścią w pierś, a Arlen, który na razie nie rozświetlał swoich runów, uczynił to samo i postąpił krok naprzód.

Prowokacja zadziałała. Przywódca skoczył do ataku. Jego długie ramiona zapewniały mu ogromny zasięg, a szybkością i siłą niemal

dorównywał Arlenowi.

Niemal. Jego atak okazał się równie prymitywny jak konstrukcja jego broni. Arlen bez trudu przemknął pod maczugą i uderzył przywódcę pięścią w zebra. Cios na pewno obaliłby mieszkańca powierzchni, ale potomek wojowników Kajiego stęknął jedynie i uniósł maczugę do kolejnego ciosu.

Arlen znów wykonał unik i oplótł ramieniem gruby, włochaty nadgarstek. Uwięziwszy ramię napastnika i pozbawiwszy go możliwości zadania następnego uderzenia, kilkakrotnie kopnął go w brzuch. Mieszkaniec podziemi zniósł razy bez trudu, a sam pochylił się, by wbić zęby w bark Balesa.

Arlen wrzasnął z bólu, gdy ostre kły wgryzły się w jego ciało. Mieszkaniec podziemi zamachnął się łapą z długimi pazurami, ale Bales odtrącił ją bez trudu i pięścią zgruchotał przeciwnikowi szczękę. Potężnym kopnięciem odrzucił go na skały, ale napastnik otrząsnął się i powstał. Wydawał się jednak zafascynowany smakiem krwi w ustach. Starł ją z warg i obwąchał dłoń niczym zwierzę. Poznawał smak, ale w jego aurze panowało zamieszanie, co oznaczało, że ani on, ani nikt z jego pobratymców nigdy nie zranił demona.

Uniósł dłoń i zaskowytał. Na ten znak pozostali uwolnili grad strzał, które Arlen zatrzymał jednym runem. Wtedy z góry dobiegł dziki wrzask i jeden z mieszkańców podziemi skoczył na Jardira. Ahmann odruchowo zrobił unik i pchnął napastnika włócznią, jednocześnie obracając się, by cisnąć nim o ziemię.

W jego aurze rozlała się groza, gdy uświadomił sobie, że przeciwnikiem jest młoda dziewczyna, wręcz dziecko. Wyrwał włócznię, by spróbować ocalić jej życie, ale pchnięcie okazało się celne. Dziewczyna zakaszła krwią, a jej aura zgasła niczym zdmuchnięta świeca.

– Na brodę Everama... – Jardir wyciągnął ku niej drżące palce. – A więc to prawda.

Oczy i uszy mieszkanki podziemi były o wiele większe od ich własnych. Palce u rąk i nóg również miała wydłużone, przez co zapewne łatwiej jej było wspinać się i przeszukiwać ciemne



zakamarki, a gdy jej aura zgasła, Arlen dostrzegł na martwej twarzy rysy typowe dla Krasjan.

Ich przywódca, który dysponował imponująco silną magią, już dochodził do siebie. Zawył głośno, a współplemieńcy natychmiast podchwycili bojowy okrzyk. Arlen i Jardir mieli naprzeciwko siebie całe plemię, mężczyzn i kobiety, uzbrojonych w maczugi, włócznie i łuki. Niektóre z kobiet trzymały dzieci na plecach, ale ich oczy były równie zimne i bezlitosne jak oczy wojowników. Jedna z kobiet jedną ręką podtrzymywała ssące niemowlę przy piersi, a drugą wymachiwała włócznią nadzianą obsydianowymi odłamkami.

– Dość! – ryknął Jardir i huknął włócznią w podłóże. Rozległ się dźwięk niczym huk pioruna, a korona zajaśniała mocą i wypełniła pieczarę światłem.

Mieszkańcy podziemi zamarli i cofnęli się, mrużąc oczy, które natychmiast zaszyły im łzami. Inni odwrócili się plecami do Jardira. Arlen napiął mięśnie.

– Erram – stęknął ich przywódca i padł na kolana, po czym przytknął do ziemi dłonie i czoło wedle krasjańskiej modły.

– Erram! – Inni natychmiast poszli w jego ślady.

Po chwili całe plemię klęczało przed Jardirem i powtarzało to samo słowo.

– Erram? – spytał Arlen. – Nie sądzisz chyba, że...

Urwał, gdy spojrzał w ich aury.

– Oni sądzą, że jestem Everamem – wyszeptał Jardir.

Demon umysłu zasyczał, wielce rozbawiony.

– Oto idealny przykład na to, jak wygląda twoja wiara, Dziedzicu. Cała wasza religia to nic innego niż horda bydłał mamroczących w ciemnościach coś, czego nie rozumieją.

Kobiety podeszły bliżej, niektóre z dziećmi. Do Jardira nadal obawiały się zbliżyć, ale obwąchiwały czujnie, z uwagą Arlena. Potem zaczęły mruzczyć, a Arlen wychwycił zapach podniecenia. Jedna z nich nachyliła się, by pokazać mu swoją pleć.

– Dość już tego! – huknął i sprawił, że runy na jego ciele zajaśniały.

– Erram! – Plemię znów padło na kolana. – Erram! Erram!

– Wspaniale – mruknął Arlen. – Teraz obaj jesteśmy Everamami.

– Albo żaden z nas nim nie jest – rzekł cicho Jardir.

Arlen zerknął na aurę przyjaciela, a w jego sercu obudził się niepokój.



To ojciec kłamstw, Jardir napomniał sam siebie.

Ale czy to oznacza, że Evejah to tylko księga?

„Wojna w gruncie rzeczy sprowadza się do oszustw i wybiegów” – nauczał *dama* Khevat. „Wielki przywódca powinien skrywać swój fortel tak bardzo, że nawet on sam nie pomyśli o nim do chwili, gdy przyjdzie pora, żeby po niego sięgnąć”.

Niemniej Abban nauczył Jardira, że najlepsze wybiegi i oszustwa często okazywały się prawdą. Demon próbował go zranić, to fakt, ale nie oznaczało to, że kłamał.

– Erram! – skandowali *alaman fae*, a Jardir zastanawiał się, czy jego przodkowie w zamierzchłej przeszłości nie zachowywali się aby tak samo, czy nie nadali niebu boskiej mocy i nie snuli o nim opowieści, by dodać sobie otuchy w nocnym mroku.

Jardir nauczył się wielbić Everama, zanim uczynił pierwszy krok. Bywało, że wątpił, czy kości Inevery naprawdę wyrażają Jego wolę, ale nigdy nie kwestionował istnienia wszechpotężnego Stwórcy. Ani przez moment nie wątpił w to, że spogląda On na swoje dzieci z Nieba, wybiera dla nich ścieżki i czeka na nie na końcu samotnej drogi.

Jego wątpliwości zrodziły się, gdy Alagai Ka zaczął sączyć mu truciznę do serca.

Mimo to później, gdy znaleźli się w świętej Włóczni Ala, a Jardir zawładnął całą jej mocą, sięgnął ku Niebu, ale niczego nie odnalazł.

– Erram – wołały dzikusy.

– Jak Everam mógł na to pozwolić, Par’chinie? – spytał Jardir. –

Jak mógł dopuścić do tego, że Jego dzieci, toczące Jego wojnę, zostały zawleczone w mrok przez *alagai*, a potem porzucone na setki pokoleń? Jak mógł zgodzić się na to, żeby żyli tu jak... jak...

– Bydło – dokończył za niego Par'chin i wzruszył ramionami. – Powtarzam to od czasu, gdy się poznaliśmy.

– I być może masz rację – powiedział Jardir, czując, jak w jego duszy rozlewa się zimno. Nigdy dotąd nie czuł się tak samotny i bezbronny jak w tej chwili.

Par'chin patrzył na Jardira, w jego aurze nie było ani cienia satysfakcji.

– A cóż to ma za znaczenie, Ahmannie?

– Jak możesz w ogóle o to pytać? – odparł Jardir.

– Czy to w czymś zmienia zadanie, które mamy do wykonania? – ciągnął Par'chin. – Cóż to za różnica, czy zadajemy wrogowi cios jako pionki w wielkiej boskiej wojnie, czy po prostu tępimy zwierzęta, które żywią się nami i naszymi bliskimi?

Słowa przyjaciela zabrzmiały jak ostatnia deska ratunku, jak lina rzucona podczas sztormu i Jardir złapał ją kurczowo.

– W istocie, żadna różnica – przytaknął.

– A to oznacza, że musimy teraz dokonać wyboru – rzekł Par'chin.

– Jakiego znowu wyboru?

– Nie mamy czasu, żeby przyjść teraz tym ludziom z pomocą, ale możemy ich nauczyć, jak sami mają się bronić.



Arlen wskazał krawędź klifu wysoko nad ich głowami, gdzie wyłoniły się skalne *alagai*.

– Pasterze ujrzeli światła i przyszli sprawdzić, co się dzieje z trzodą – powiedział.

– Musimy je natychmiast pozabijać! – oznajmił Jardir. – Nie możemy pozwolić, żeby przekazały innym wieści o nas!

Arlen pokręcił głową i przyjrzał się austom demonów.

– Nie widzą nas. Nasze runy nie działają na mieszkańców podziemi, a demony dostrzegają jedynie światło.

Wraz z Jardirem powoli wygasili blask runów, a Ahmann skrócił pole ochronne wokół ich trójki. Arlen podszedł do ogromnego samca, który przewodził plemieniu, i wyciągnął rękę.

– Daj mi swoją włócznię.

Ten w pierwszej chwili wydawał się zaskoczony i najwyraźniej nie zrozumiał polecenia. Arlen wskazał jego broń.

– Włócznia!

Przywódca niepewnie zrobił krok naprzód, pospiesznie wepchnął broń w rękę Arlena i znów padł na kolana. Całe plemię nie spuszczało z niego oczu.

– Run przebicia! – Arlen uniósł palec i nakreślił nim symbol w powietrzu. Ten wisiał przed nimi przez moment, jaśniejac srebrnym światłem, po czym Arlen sięgnął znów po magię, by utwardzić paznokcie i wyrysować nim ten sam znak na obsydianowym ostrzu włóczni. Przekazał w niego moc i podniósł broń wysoko, by ujrzeli go wszyscy.

Jarzący się run odbił się w wielkich, szeroko otwartych oczach dzikusów.

– Run przebicia – powtórzył Arlen, po czym odwrócił się i cisnął włócznią w jednego z małych kamiennych demonów, które zbliżały się, by zbadać zamieszanie.

Błysnęła moc, gdy broń przeszła potwora, a on sam stoczył się i zatrzymał u ich stóp. Wówczas Arlen przekazał nieco mocy w run kamienia na stopie, przytrzymał nią wijącego się otchłańca i wyszarpnął włócznię z ciała. Run nie wymagał już interwencji Balesa, gdyż aż skwierczał, skąpany w demoniej jusze.

Arlen wcisnął broń w rękę przywódcy, a potem wskazał demona.

– Zabij go.

Mieszkaniec podziemi zamarł. Arlen widział, że przywódca rozumiał znaczenie słowa, ale mimo swej dzikości wiedział, że na demona lepiej nie unosić broni. Spoglądał na otchłańca pod butem Arlena. Spoglądał na strugi juchy. Wreszcie dotknął wilgoci na

ostrzu włóczni, a potem wsunął palec do ust.

– Zabij! – powtórzył Arlen, tym razem po krasjańsku.

Oczy dzikusa błysnęły agresją. Uniósł włócznię i wbił ją w demona. Naznaczony runem obsydian przebił pancerz, który dotąd uchodził za niezniszczalny, a wojownik zawył dziko, gdy magia przeszła jego ramiona.

Wtedy Arlen odwrócił się ku jednej z kobiet i pokazał trzy strzały z obsydianowymi grotami, sterczące znad jej ramienia. Ta podała mu wszystkie, a Bales naznaczył każdą symbolem.

– Run przebicia – rzekł ponownie.

– Un szebisia – wychrypiała kobieta z czcią, wpatrując się w srebrne linie, które kreślił na grotach.

Arlen wręczył kobiecie strzałę, a ona natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi. Rozejrzała się po skałach i dostrzegła kolejnego otchłańca. Napięła łuk, wymierzyła i zwolniła cięciwę. Demon stęknął i runął w dół.

– Un szebisia!

Inni zaczęli pchać się ku nim zewsząd, powtarzając nowe słowa i wpychając Arlenowi w ręce swoją broń, a ten cierpliwie rysował run za runem, uzbrajając dzikusów do walki przeciwko strażnikom po raz pierwszy od tysiącleci.

– Co ty chcesz niby osiągnąć? – zasyczał demon umysłu. – Chcesz nauczyć te zwierzęta, żeby rysowały znaczki na swoich kamykach, tak? Myślisz, że to pomoże ci pokonać strażników roju?

– Pewnie nie – uśmiechnął się Arlen. – Ale na pewno wywoła sporo zamieszania.



– Un szebisia! – zaskrzeczała staruszka, unosząc włócznię w powietrze.

Plemię zaryczało z entuzjazmem, wymachując runiczną bronią.

– Erram! – skandowali. – Un szebisia!

Starsze samice *alamen fae* snuły przed resztą plemienia opowieści, posługując się mieszaniną gestów, naśladowanych dźwięków i łamanej formy starożytnego krasjańskiego, ledwie zrozumiałego dla Jardira.

Z każdym nowym plemieniem rosła liczba kobiet, które niosły opowieść o nadejściu Errama rozdającego święte runy. Setki mieszkańców podziemi miało już magiczne symbole wyryte lub wymalowane na broni i z ochotą atakowało demony, rosnąc w siłę z każdym kolejnym zabitym.

Alagai Ka milczał, niezadowolony z obrotu wydarzeń, ale Jardira nadal dręczyły wątpliwości.

– Przecież nie wygrają z wrogiem! – oznajmił. – Co my właściwie robimy? Ratujemy *alamen fae* czy skazujemy ich na zagładę?

– Pojęcia nie mam – rzekł Par'chin. – Nigdy w niego nie wierzyłem, ale zawsze chciałem zginąć z włócznie w rękę. Jesteśmy im winni to samo. Może to wola Everama, może nie.

– Kiedyś byłeś pewien, że Everam nie istnieje – powiedział Jardir.

Par'chin westchnął.

– Teraz to już mało czego jestem pewien. Ci ludzie mogą nam pomóc. Mogę wywołać zamieszanie, dzięki któremu będzie nam łatwiej wykonać zadanie. Jeśli nam się uda, ich życie stanie się łatwiejsze. Jeśli poniesiemy porażkę, pewnie zostaną pożarci po wylęgu.

Jardir spojrział na przyjaciela. Wyglądało na to, że przepaść dzieląca ich przez wiele lat naraz znikła.

– W istocie, cóż to ma za znaczenie, czy Everam się nam przygląda, czy nie?

– Kiedyś byłeś pewien, że tak jest – powiedział Arlen. – Ba, byłeś gotów mnie zabić z tego powodu.

– Teraz to już mało czego jestem pewien – Jardir powtórzył jego słowa. – Ale widzę, że źle cię oceniałem, mój prawdziwy przyjacielu.

– Cóż, może. – Par'chin odwrócił wzrok. – A może to ja ciebie źle oceniłem? Nie wiem. Przeszłość mamy już za sobą i nie ma sensu do niej powracać.



4I

## Światło Gór

334 ROK PLAGI

Pożary w książęcej twierdzy zostały ugaszone, ale nie otwarto bram po wschodzie słońca. Górskie Włócznie obsadziły mury i otwierały ogień do każdego, kto się zbliżył. Patroni Runów opuszczali się na specjalnych uprzężach i przekształcali runy w nowe, osobliwe konfiguracje. Ragen nie miał wątpliwości, że na dziedzińcu powstanie wielki run.

W kanałach ściekowych roiło się od otchłańców, a Milneńczycy nie byli w stanie nic na to poradzić. Mogli jedynie śledzić ich ruchy, dzięki czemu doszli do wniosku, że liczebność potworów zwiększała się w tunelach wokół samej twierdzy Euchora.

Ragen wiedział, że istniało tysiąc miejsc, które powinien odwiedzić, i tysiąc rzeczy, którymi należało się zająć, ale nie była to odpowiednia pora. Siedział teraz w jednej komnacie z grupą ludzi, którzy się wzajemnie nienawidzili, i nerwowo spacerował od ściany

do ściany.

Derek i hrabia Brayan wpatrywali się w siebie z nienawiścią nad głową dziesięcioletniego Jefa. Los chłopca miał się zdecydować tego dnia w ten czy w inny sposób, ale wyglądało na to, że chłopak nie ma ochoty zostać ani z Derekiem, ani z samym hrabią.

Brayanowi towarzyszył Toma, wnuk jego oraz księcia Euchora, syn księżniczki Hypatii. Opiekun Ronnell pilnował młodego Symona, najstarszego syna księżniczki Aelii. Obaj chłopcy nie weszli jeszcze w pełną dorosłość, a już zyskali sławę nie lada awanturników. Teraz jednak siedzieli w milczeniu i wpatrywali się w dywan.

Oprócz nich w komnacie zgromadziło się jeszcze kilku znaczących arystokratów, którzy czekali ze zgrozą na rozwój wypadków. Nikt nie powiedział ani słowa. Nadszedł jednak dzień, którego wszyscy się obawiali. Nastąpił największy koszmar ich życia.

– Na Otchłań, czemu to tak długo trwa? – Ragen uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Mam o wiele pilniejsze sprawy na głowie, niż stać tu i czekać, aż zakończą te swoje rozważania!

– Arogant! – Hrabia Brayan wykrzywił wargi. – Myślisz pewnie, że już wygrałeś, co?

– Nie interesuje mnie to, kto wygra – odparł Ragen. – Czy wynik głosowania Rady Matek ma jakiegokolwiek znaczenie w chwili, gdy w samym sercu Miln niczym otwarta rana zieleje brama do Otchłani?

Drzwi do sąsiedniej komnaty stanęły otworem. Keerin wpatrywał się w podłogę, nie chcąc spojrzeć w oczy Ragenowi.

– Matki są gotowe, żeby was przyjąć, panowie.

Obradom przewodziła Matka Jone. Nigdy nie przepadała za Ragenem, a ten odwzajemniał antypatię. Na twarzy Matki Cery gościła obojętność, a stojące obok niej Hypatia i Aelia spoglądały ponuro. Elissa z bladym obliczem jak z porcelany siedziała na krześle obok fotela, na którym usadzono jej matkę. Tresha, sparaliżowana do połowy, wspierała się ciężko o oparcie, ale w jej oczach błyszczało zadowolenie.

– Rada podjęła decyzję – oznajmiła Jone. – Ragen zwany Posłańcem zostanie nowym księciem Miln.





– Ragen Pierwszy, hrabia Poranka, Światło Gór, Strażnik Miln!

Uroczystość przyciągnęła tysiące ludzi, którzy wypełnili katedrę i zgromadzili się na zboczach wokół świątyni. Na ich obliczach, niekiedy brudnych, widać było rozpacz i lęk, ale z zapartym tchem słuchali słów przysięgi.

Nigdzie nie było śladu Dereka.

Ragen uklęknął, a Opiekun Ronnell włożył mu koronę na głowę. Był nią zwykły hełm z runicznego szkła, z dwoma prostymi symbolami, odpowiadającymi bliźniaczym góróm Miln, wykonany przez osobistych Patronów Runów Ragen.

Następnie przyniesiono drugą koronę, wąski runiczny diadem. Bibliotekarz z namaszczeniem włożył ją na głowę Elissy, która nie mogąc uklęknąć, siedziała na krześle obok męża.

– Matka Elissa, hrabina Poranka, Światło Gór i szambelan Miln.

– Niech Stwórca chroni hrabiego i hrabinę Poranka! – ktoś wykrzyknął i w milczącym ponuro tłumie naraz eksplodowały ogłuszające owacje, które wylały się na zbocza wzniesienia i pomknęły dalej, gdy podjęli je zgromadzeni na ulicach ludzie.

Ragen powstał. Nie przerywał wiwatów jeszcze przez moment, chcąc dać podwładnym choć cień nadziei, ale wiedział, że każda wpływająca chwila działa na ich niekorzyść.

– Bracia i siostry z Miln! – zawołał, a akustyka katedry podchwyciła jego słowa i zwielokrotniła ich moc. Wiwatujący cichli i zwracali oczy ku Ragenowi, spijając każde słowo. – Przez ponad trzysta lat Miln trwało jako największe z Wolnych Miast. Nasze mury były potężne i niewzruszone, podobnie jak nasza gotowość, by chronić Bibliotekę Książęcą, największą kolekcję ludzkiej wiedzy, która przetrwała Powrót. Miln zawsze było światłem, które chroni ludzkość przed cofnięciem się w Mroczne Wieki! Niemniej wiezcie, że to światło przygasa. Czarne serce zła rośnie w centrum Miln, a demony niczym zabójcze zarazki wnikają do żył naszego miasta.

Jeśli chcemy przetrwać, musimy zatrutą tkankę wyciąć i wypalić! Nie możemy... Ba, nie wolno nam pozwolić na to, żeby światło zgasło!

– Do chwili, gdy miasto znów stanie się bezpieczne – dołączyła do niego Elissa – ani uczelnia, ani biblioteka nie będą wzbraniać dostępu potrzebującym. Dzieci, starcy i ranni wraz z opiekunami będą zaś mogli schronić się w katedrze, gdzie chronić ich będą potężne świątynne runy oraz sam Stwórca.

– Jednakże ci z was, którzy mogą chwycić za włóczę, dźwignąć kuszę, grać na instrumencie, śpiewać czy kreślić runy – podjął Ragen – będą potrzebni nam wszystkim. Miln was potrzebuje! Jeśli mamy doczekać poranka, stańcie do walki!

Widział lęk w oczach wielu zgromadzonych i uniósł ręce, by uciszyć szmery rozmów.

– Nie będę dowodził wam z tronu. Nie będę patrzył z wysokości, jak giniecie w moim imieniu – zawołał i uniósł włóczę. – Będę walczył z wami o przetrwanie Miln, ale samotnie nie odniosę zwycięstwa. – Oparł broń o posadzkę i uklęknął na jedno kolano. – A więc błagam was, żebyście stanęli po mojej stronie, gdyż jedynie wtedy mamy jakąkolwiek szansę.

W katedrze trwała cisza. Każda chwila wydawała się przeciągać w nieskończoność, a Ragen uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech.

Wtedy ktoś wykrzyknął:

– Jesteśmy z tobą!

Okrzyk podjęło kilku innych, a potem kolejni. Ragen powstał.

– Będziecie walczyć o Miln?!

Tym razem okrzyki rozległy się niemal natychmiast, a wraz z nimi wiwaty i głośne tupanie. Ragen uniósł włóczę w powietrze i ryknął:

– Będziecie walczyć o siebie nawzajem?!

Odpowiedzią był ogłuszający ryk entuzjazmu.

– Ja pieprzę, ten to się zna na przemówieniach – parsknął stojący z tyłu Yon.



Elissa niegdyś uwielbiała wielkie marmurowe schody, które wznosiły się w centralnym miejscu głównego korytarza jej rezydencji. Stawał przed nimi każdy gość, a Elissa przemawiała do niego z góry bądź spływała po stopniach, by go przywitać i objąć. Na najwyższe piętro wstęp miała jedynie rodzina oraz niektórzy służący, gdyż tam znajdowała schronienie przed problemami ciągnącego się dnia.

Teraz jednak każdy stopień był dla niej torturą. Jakimś cudem udało jej się częściowo zamaskować dolegliwość przed mieszkańcami miasta, ale Ragen i służba znali prawdę. Bez ich pomocy Elissa nie była w stanie wspiąć się na górę.

– Powoli, ostrożnie. – Margrit podtrzymywała Elissę ramieniem zimnym i twardym jak kamień. – Przecież się nie spieszymy.

Elissa uważała inaczej. Miała wrażenie, że zbyt długo już to odkłada i zrobiło się niemal za późno.

W końcu dotarły na sam szczyt schodów, skąd Elissa, wsparta na ramieniu Margrit, pokuśtykała do skrzydła dla gości.

– Nie chcę mieszkać w warsztacie runiarskim! – płakał Jef. – Ja chcę do domu!

– Ale to ja teraz jestem dla ciebie domem – rzekł Derek. – Jestem twoim ojcem.

– Ja chcę do mamy – oznajmił chłopiec.

– Myślisz, że ja za nią nie tęsknię? – parsknął Derek. – Ale ona już do nas nie wróci. Nigdy jej nie odnajdziemy.

Elissa wyszła zza rogu. Chłopiec uniósł głowę i zauważył ją.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął do ojca, a potem wpadł do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi przed nosem Dereka.

– To wszystko, Matko – Elissa zwróciła się do Margrit. – Dziękuję.

– Nie sądzę, żeby...

– Dziękuję – powtórzyła Elissa dobitniej. Po raz trzeci powtarzać

nie musiała. Margrit upewniła się, czy Elissa zdoła utrzymać równowagę wsparta o laskę, a potem odwróciła się i odeszła. Derek przez moment sprawiał wrażenie, jakby i on chciał czmychnąć i zatrzaskać za sobą drzwi, ale opanował emocje. Stał nieruchomo i czekał, a Elissa wolno kuśtykała ku niemu.

– Wasza Wysokość. – Derek wykonał ukłon, nie patrząc na kobietę. – Przepraszam za te krzyki.

– Daj sobie spokój z tymi uroczystymi tytułami. Nie znam nikogo innego, kto bardziej zasługuje na to, żeby zwracać się do mnie po imieniu. – Machnęła ręką w stronę pokoju Jefa. – Nie musisz też mieszkać za warsztatem. Jesteście tu mile widziani.

Derek nadal nie patrzył jej w oczy.

– Jesteś dla mnie bardzo miła, ale ja i Jef spędziliśmy zbyt wiele lat w czyjejs gościnie. Pora, żebyśmy sami sobie ułożyli życie.

– Dereku... – Elissa chciała dotknąć jego ramienia, wtedy mężczyzna wzdrygnął się i zrobił krok w tył. Księżna o mały włos nie straciła równowagi. Wsparła się mocniej na lasce. – Tak mi przykro – szepnęła.

Derek zasłonił dłonią oczy.

– Wiem, jak bardzo ci to ciąży. Wiem, że robiłaś wszystko, co uznawałaś za stosowne, żeby chronić ludzi, których miałaś pod opieką. – Derek machnął dłonią w kierunku jej nóg i laski. – Wiem też, że sama zapłaciłaś za to wysoką cenę. – Wreszcie uniósł głowę i spojrzał prosto na Elisę. – Ale wiem też, że każda Matka należąca do Rady zna sztukę rysowania runów. Wszystkie uczyły się tego w Szkole Matek. Cera miała własnych Patronów. A mimo to oddałaś pióro Stasy.

– Wiem. – Elissa czuła łzy pod powiekami. – Co chwila zadaję sobie pytanie, dlaczego to zrobiłam. Być może w zamku byli Patroni zdolniejsi od Stasy, ale ona była jedyną, którą znałam. Jedyną, której ufałam. Być może postąpiłam jak ostatnia egoistka, ale nie przychodził mi na myśl nikt, kto sprawdziłby się lepiej. Gdyby nie ona, zginęłabym, a być może również wszyscy inni w zamku.

Derek zadrżał, nabierając tchu.

– Rozumiem. Kocham cię i szanuję, przeto wybaczam ci, ale Jef

ma prawo dorastać w innych warunkach. Nie chcę, żeby był gościem w domu kobiety, która ściągnęła śmierć na jego matkę.



– To na nic. – Yon splunął na bruk. – Walczymy od tygodni i wciąż musimy się cofać.

– A Nów już jutro – dodał Derek, jakby Ragen mógł o tym zapomnieć.

Podobnie jak reszta, nowy książę Miln był wymizerowany i wyczerpany. Z zapadnięciem zroku stawał bowiem do walk i bynajmniej się nie oszczędzał. Pojawiły się głosy, że dawał z siebie zbyt wiele i nie powinien tak bardzo ryzykować.

– Chcę się wdrzeć do twierdzy, zanim zajdzie słońce – oznajmił.

– Jak? – spytał Yon. – Wystarczy, że zbliżymy się do murów, a już zaczynają do nas strzelać, a w tunelach roi się od demonów, nawet za dnia!

– Briar nauczył mnie pewnej sztuczki – odparł Ragen i poprowadził ich ku Zielarce, która wraz z grupką uczennic nadzorowała wielkie parujące kadzie. – Każde dziecko w Miln opuściło miasto, żeby zbierać lubczyk – powiedział. – Ugotowaliśmy wywar, który teraz wlejemy do kanałów, po czym wdrzemy się do twierdzy od dołu.

Derek podszedł bliżej. W jego oczach błysnął zapal.

– Ja pójdę!



Demony wrzeszczały, gdy strugi wywaru z lubczyku pomknęły po starożytnych rynnach do tuneli pod miastem. Gorąca ciecz paliła ich ciała jak kwas i Ragen słyszał plusk, gdy rzuciły się do ucieczki.

Górskie Włócznie nie pozwoliły im jednak umknąć – żołnierze nacierali za otchłańcami i strzelali runicznymi kulami. Ich ogień w ciasnych korytarzach był morderczo skuteczny. Wspierali ich Minstrele Keerina z instrumentami wzmocnionymi *hora*. Ich muzyka niosła się daleko i rozbrzmiewała w tunelach echem.

Przez jakiś czas Ragen miał wrażenie, że jego strategia działa. Liczba demonów malała, a nacierający zbliżali się do murów twierdzy, lecz gdy skręcili w kolejną odnogę, ujrzeli szereg Górskich Włóczni Euchora z wycelowaną bronią.

– Cofnąć się! – ryknął Ragen, ale było już za późno.

Żołnierze Euchora otworzyli ogień, a wąskie korytarze, które jeszcze przed momentem zapewniły ludziom Ragenowi przewagę, teraz okazały się śmiertelną pułapką. Zamieszanie, jakie się rozpętało, kosztowało życie setek ludzi. Od wzmocnionego runami pancerza Ragenowi odbijały się kolejne pociski, a jeden, który trafił go w hełm, niemal odebrał mu przytomność.

– Mam cię! – Yon złapał Ragenowi za ramię, odciągnął go i osłonił przed ciżbą uciekających żołnierzy.

Wydostali się na ulice, gdy zapadała już noc. Oddziały Ragenowi, które czekały, aż ich koledzy otworzą bramy twierdzy, z przerażeniem przyglądali się odwrotowi.

A potem bruk wokół twierdzy zapadł się, a z przepaści, zdawać by się mogło, buchnęła cała Otchłań, by rozlać się po ulicach miasta.



– Matko Anet! Ona się dusi! – krzyknęła jedna z adeptek Szkoły Zielarek, zajmująca się selekcją rannych.

– Co się dzieje? – Anet podbiegła do strażniczki, która rzucała się i z trudem łapała powietrze. Jej twarz nabiegła krwią. Elissa, wspierając się o lasce, pospieszyła za Zielarką, przygryzając wargę, by nie krzyknąć z bólu.

– Walczyliśmy na ulicy Księżycowej – zawołał żołnierz, który przyniósł ranną. Był blady, spocony i brudny, ale wydawało się, że nie odniósł żadnych ran. – Kamienny demon uderzył naszą sierżant w pierś, zbroja na szczęście wytrzymała. Myśleliśmy, że nic jej nie jest, ale nagle zaczęła się krztusić i kaszleć krwią... – jego głos się załamał. – Proszę, musicie ją uratować! – zaszlochał.

Elissa uniosła pióro.

– Mogę...

– Nie! – warknęła Anet. – Uzdrawiając tę kobietę, tylko szybciej ją zabijesz. Zdjąć jej zbroję!

Adeptki odcięły rzemienie napierśnika, a potem ściągnęły przeszywanicę i koszulę. Strażnik rozdziawił usta i odwrócił głowę.

– To tylko pierś, chłopcze – rzekła Anet. – Kiedyś sam ssałeś parę. Przyjrzyj się lepiej. Musisz zobaczyć, co demon może ci zrobić, nawet jeśli zbroja wytrzyma uderzenie.

Strażnik przemógł się i spojrzał na swoją sierżant, ale wtedy przycisnął dłoń do ust i wybiegł, by zwymiotować. Kobieta zaś rzucała się coraz gwałtowniej. Jej twarz siniała, gdy próbowała nabrać tchu w poczerniałą pierś.

– Trzymajcie ją! – Matka Anet poliała alkoholem klatkę piersiową, a potem wbiła długie, cienkie ostrze. Trysnęła krew, ale kobieta wreszcie zaczerpnęła z trudem tchu. – Cios złamał żebra i wbił je w lewe płuco – oznajmiła Anet. – Gdybyś potraktowała je magią...

– Płuco zagoiłoby się z kawałkami kości w środku! – Przerazona Elissa zasłoniła usta.

– Będę musiała rozciąć jej pierś i oczyścić płuco, zanim zaczniesz uzdrawianie – powiedziała Anet. – Utrzymaś ją przy życiu? Dasz mi jeszcze trochę czasu?

– Nie mam pewności – odparła Elissa. – Spróbuję.

– Ja też nie jestem pewna, czy uda mi się ją ocalić – stwierdziła Anet. – Ale zawsze trzeba próbować. Taka dola Zielarki.

Adeptki podawały rannej powietrze przez pompę, Anet operowała, a Elissa kreśliła runy, by wzmocnić pacjentkę i utrzymać równe tempo bicia serca. W końcu Zielarka ostrożnie

szczypcami wyjęła złamaną kość i ułożyła ją we właściwym miejscu, a Elissa warstwa po warstwie uzdrawiała tkanę.

– Niezwykle – stwierdziła Anet. – Tak drobny przedmiot, a kryje w sobie moc życia i śmierci.

– Wierz mi, Zielarko. – Elissa wsparła się na lasce i wyprostowała, zaciskając zęby z bólu. – Nawet magia ma swoje granice.

Anet zesztywniała. Osobiście zbadała nogi Elissy, lecz jej diagnoza okazała się równie pesymistyczna jak ocena Zielarki Cery.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Książęca Mość. Nie chciałam...

– Nie ma co o tym mówić. – Elissa odwróciła się do młodego żołnierza. – Wracaj do oddziału.

– Tak, Wasza Książęca Mość! – Młodzieniec uklonił się, zarzucił broń na ramię i wrócił na ulice.

Przez cały czas znoszono kolejne ciała, zewsząd dobiegały krzyki. W powietrzu gęsty dym mieszał się z zapachem krwi i Elissa poczuła zawroty głowy. Sięgnęła po nieco magii z pióra i odzyskała siły, ale choć mogła załagodzić ból i na moment przepędzić słabość, i jedno, i drugie wkrótce wracały.

– Wasza Książęca Mość, nic ci nie jest? – Głos Anet, w którym jeszcze przed momentem słychać było uniżoność, naraz stał się stanowczy. – Kiedy ostatnio jadłaś? Czy regularnie pijesz?

– Nic mi nie jest – odezwała się Elissa. – Ja... ja tylko muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Oczywiście – rzekła Anet. – Poślę jedną z dziewcząt, żeby...

– Nie trzeba – przerwała jej Elissa. – Potrzebuję czasu na osobności.

– Jak sobie życzysz.

Elissa odwróciła się szybko, by Zielarka nie dostrzegła grymasu bólu na jej twarzy. Pochwyciła laskę i wykonała pierwszy, najbardziej bolesny krok. Chwilę później złapała rytm i szła powoli przed siebie, odzyskując przy tym odrobinę godności. Korytarzami Szkoły Zielarek wyszła na dziedziniec przed biblioteką.

Trwało lato, ale owiał ją zimny wiatr, silny, gotów powyrywać



spinki z włosów. Kobiety, które czekały na Elisę na zewnątrz, osaczyły ją ze wszystkich stron. Każda chciała choć na moment zwrócić na siebie uwagę księżnej, by uzyskać aprobatę jakiejś listy, móc odpowiedzieć na wiadomość, rozstrzygnąć spór czy rozwiązać jakiś problem.

– Nie teraz, drogie panie. – W głosie Elissy znów pojawił się ostry ton. – Proszę udać się do biblioteki i zgłosić u Matki Mery. Zaraz spotkam się tam z wami.

Kobiety zerknęły na siebie niepewne, ale wtedy pojawiła się Matka Jone i klasnęła głośno.

– Słyszałyście słowa Jej Książęcej Mości!

Zgromadzone kobiety pospiesznie dygnęły i czym prędzej pognały do biblioteki, chcąc zająć jak najlepsze miejsce w kolejce. Biegając, już zaczynały klócić się o to, czyja sprawa jest ważniejsza.

– Dziękuję – rzekła Elissa.

Jone pokiwała głową i podała jej ramię.

– Do usług.

Elissa z wdzięcznością przyjęła pomoc. Oparła się na ramieniu matrony i obie ruszyły w kierunku Strażników. Ogromne posągi, które otaczały kręgiem kampus wokół biblioteki i katedry, tworzyły najpotężniejszą barierę runiczną w Miln. Straże patrolowały obrzeża, z niepokojem spoglądając ku miastu, z którego dobiegały wrzaski demonów, muzyka Minstrelki oraz szczęk oręża.

Odgłosy wydawały się przybliżać. Otchłanice jak dotąd okręzały wzgórze szerokim łukiem, bojąc się potęgi Strażników, ale nastał Nów i nikt nie wiedział lepiej od Elissy, co to oznaczało.

Ledwie to pomyślała, z uliczki wyskoczył ognisty demon i pognał prosto na barierę. Jeden ze strażników położył go natychmiast celnym runicznym bełtem, ale nim otchłaniec wyzionął ducha, z sąsiedniej uliczki wyłonił się kolejny, kamienny. Stąpając ciężko, kroczył ku barierze, nic sobie nie robiąc z bełtów, którymi zasypały go strażę. Miał mocny pancerz i pociski, zamiast wyrządzić mu krzywdę, rozbudziły tylko jego gniew.

Uderzył w barierę, ale ta odrzuciła bez trudu i jego, i kolejne otchłanice, które wyrastały wokół jak grzyby po deszczu. Bariera

wydawała się nieprzenikniona, ale Elissa nagle zaczęła się zastanawiać, jak potężni byli w rzeczywistości Strażnicy. Jeśli w tworzonej przez nich ochronie była jakakolwiek luka, książęta demonów bez trudu ją znajdą.

Elisę korciło, by złapać za pióro i rozpędzić otchłance, ale wiedziała, że to już nie jej zadanie. Przecież była kaleką i gdyby demony przebiły się do wnętrza, stałaby się ciężarem dla uciekających obrońców. Nie mogła już walczyć, ale miast tego mogła ratować ludzkie życie, odpowiadając na pytania kobiet, które czekały teraz na nią w bibliotece.

– Wezwij posiłki – przykazała Jone. – Niech straż rozda broń każdemu, kto jest w stanie ją utrzymać!

Jone pokiwała głową i odeszła, a Elissa powoli powróciła do biblioteki, gdzie korytarzami dla personelu udała się do prywatnych komnat Matki Mery. Zza rogu dobiegły ją krzyki i gdy skręciła w korytarz, jej oczom ukazała się sama Mery oraz jej mąż Jaik. Elissa nie widziała Jaika od wielu lat, od czasów, gdy byli młodzi i nierozłączni. Pochłonięci kłótnią, w pierwszej chwili jej nie zauważyli.

– Ale ja pomagam! – warknął Jaik. – Przez całą noc noszę wodę dla rannych!

– Książę Ragen nie prosił sprawnych mężczyzn, żeby nosili wodę – rzekła Mery. – Chciał, żeby złapali za broń i ruszyli do walki. Straże świątynne wzywają do pomocy!

– Ja mam walczyć z demonami? – spytał z niedowierzaniem Jaik. – Oszalałaś? Na pewno porwałyby mnie do Otchłani!

– Chłopcy dwa razy młodszy od ciebie na ochotnika ustawiają się w szeregu, a ty chowasz się pod szatą mojego ojca! – krzyczała Mery. – Nie chcesz nawet dołączyć do Minstreli!

– Bo gram jeszcze gorzej, niż walczę! – odparł Jaik. – Sama wiesz, z jakim trudem mi to przychodziło!

Mery założyła ramiona na piersi.

– Jasne. Bo nigdy nie chciało ci się ćwiczyć.

– Łatwo ci mówić! – zawołał Jaik. – Nie wszystkim ludziom na świecie udzielano lekcji grania na organach w katedrze od

urodzenia!

– Zawsze znajdziesz kogoś, na kogo możesz zrzucić winę – stwierdziła Mery. – Zaczynam sobie uświadamiać...

– Co? – spytał ostro Jaik. – Co tak nagle sobie uświadomiłaś?

– Że Arlen nie pomylił się co do ciebie – parsknęła Mery. – Tobie brak ambicji. Wystarcza ci, że się gdzieś pojawisz i dasz z siebie absolutne minimum.

Jaik się wzdrygnął.

– Zawsze kończy się tym samym, co? Zawsze przyrównujesz mnie do wspaniałego, idealnego Arlena Balesa. Na noc, cieszę się, że byłaś nazbyt świętobliwa, żeby ściągnąć mu spodnie.

– Ale często ocierałam się o jego krocze – parsknęła szyderczo Mery. – Na tyle często, żeby wiedzieć, że i w tym aspekcie mu nie dorównujesz.

– Tak, ale w końcu cię porzucił! – Jaik obnażył zęby. – I co to mówi o tobie?

– Dość tego! – warknęła Elissa i stuknęła laską o podłogę.

Oboje odwrócili się ku niej.

– Wasza... Wasza Książęca Mość! – Mery rozłożyła suknie i pochyliła głowę, a Jaik niezdarnie ugiął kolano.

Elissa wycelowała palec w Jaika.

– Jeśli noszenie wody to wszystko, w czym jesteś dobry, Jaiku, w Szkole Zielarek znajdziesz mnóstwo rannych, którzy jej potrzebują.

– Tak, Wasza Książęca Mość – rzucił Jaik i zerwał się do biegu niemal z ulgą.

– Proszę o wybaczenie – powiedziała Mery. – Takie zachowanie... cóż, nie przystoi.

– Odniosłam wrażenie, że na tę rozmowę zanosiło się od dawna – powiedziała Elissa. – Niemniej lepiej byłoby z nią zaczekać na inną okoliczność.

Z korytarza dobiegł wrzask. Elissa ruszyła w tym kierunku najszybciej jak mogła, ale natychmiast musiała złapać Mery za rękę i zacisnąć mocno zęby, by nie krzyknąć z bólu. Po chwili dotarły do Jaika, stojącego na szerokim balkonie, z którego ciągnął

się widok na biblioteczne regały. Widać też było akolitów wybiegających z dolnych poziomów.

– Demony! – zawołał jakiś chłopak w szacie ucznia. – Demony w katakumbach.

Inni akolici, Matki i uczeni rozrzucali papiery i przewracali kałamarze, zrywając się w panice do ucieczki. Z dolnych korytarzy wypadły zwinne ogniste otchłańce i rzucały się w ślad za uciekającymi.

– Na noc. – Elissa uświadomiła sobie, że znaleźli się w potrzasku. Bestie gromadzące się wokół Strażników nie musiały wcale przebijać się do środka. Wystarczyło, by powstrzymały przerażonych ludzi do chwili, gdy książęta zaatakują.

Ogniste demony plwały ogniem, na szczęście runy, które Arlen wykuł w ścianach wiele lat temu, zabłysły i zamieniły płomienie w chłodny wiaterek. Wtedy za zbiegającymi ludźmi skoczyły polniaki, ale bariera wykonana przez Arlena zadziałała i tym razem, odrzucając potwory w tył i pozwalając ludziom ukryć się wśród półek i pod stołami. Demony przetaczały się niczym piłki, odpychane to przez jedną barierę, to znów przez drugą, oszołomione i poobijane, a ludzie podnosili się i umykali.

O wiele większe niebezpieczeństwo groziło im na otwartej przestrzeni, lecz Elissa wyciągnęła już swoje pióro. Szybko zamroziła ogniste demony, a polne pchała jeden na drugiego przy pomocy runów uderzenia.

– Szybko! – zawołała i wyrysowała pospiesznie barierę w poprzek najbliższego wyjścia z katakumb. – Do katedry!

Runy chroniące Święty Dom należały do najmocniejszych w całym Miln, ale nie tylko magia wiązała moc do kamieni. Wzmacniała ją również wiara.

Elissa spojrzała na Mery. Przed jej oczami znów stanęła Stasy, ale uznała, że nie ma wyboru. Wyciągnęła pióro z *hora* z sakiewki i wcisnęła je w ręce Mery. Młoda Matka wrzasnęła i cofnęła się.

– Nie wolno mi dotykać kości demonów! Stwórca tego zabrania!

– Stwórca zabrania ci dopuścić do tego, żeby wszyscy ci ludzie zginęli! I to tylko dlatego, że jesteś zbyt świętobliwa, żeby dotknąć

pióra! – Elissa złapała Mery za rękę i zmusiła ją, by wzięła od niej artefakt. – Zamknij się więc i rysuj runy!

Mery spojrzała na Elissę z przerażeniem, ale nie protestowała. Wnet się okazało, że córka bibliotekarza doskonale zna się na kreśleniu runów. Wraz z Elissą zbierały wokół siebie przerażonych ludzi i szły ku katedrze, ale z podziemi wyskakiwały coraz to kolejne demony, odnajdując luki w pospiesznie rysowanych barierach. Nie były w stanie wszczynać pożarów, za to krążyły wokół uciekających ludzi, próbując im odciąć drogę ucieczki.

Któryś zeskoczył z balkonu prosto na Elissę. Mery w ostatniej chwili odrzuciła go runem, a demon wylądował w samym środku ich grupy. Rozchłastał pazurami ciało jakiejś starej Matki i skoczył na Jaika, który się cofnął, przewrócił i skulił na podłodze, gdy ostre zęby wbiły się w jego ramię. Elissa odrzuciła otchłańca runem uderzenia, ale bestia zdołała wyszarpnąć spory kawał ciała z ramienia młodego mężczyzny.

– Pani! – krzyknęła Mery. – On musi...

– On musi stąd uciekać! – warknęła Elissa. – Szybko! Jeśli nie dotrzemy do katedry, to po nas!

Ciekawe, czy katedra rzeczywiście coś nam da! – przemknęło jej przez głowę, ale zachowała myśl dla siebie.

Mery postawiła zakrwawionego Jaika na nogi i ruszyła, podtrzymując go pod ramię, ale okazali się jeszcze wolniejsi od Elissy. Tymczasem za ich plecami gęstniał tłum otchłańców, wśród których pojawiły się już opalizujące śnieżne, matowoszare kamienne i smukłe polne, kryte zieloną łuską. Te ostatnie wystrzeliły do przodu, chcąc stanąć im na drodze do katedry.

Wtedy drzwi do Świętego Domu stanęły otworem. Pojawił się Opiekun Ronnell z szeregiem wiernych w unoszonych wiatrem szatach. Chór.

– Biegnijcie! – zakrzyknął bibliotekarz i gestem nakazał chórowi się rozstać. W tej samej chwili w demony buchnęła „Pieśń o Nowiu”. Potwory zostały całkowicie zaskoczone. Wrzasnęły i cofnęły się, a te, które poruszały się na dwóch nogach, zasłoniły uszy.

– Szybciej! – Elissa krzyknęła na kilku uczonych, którzy zatrzymali się i gapili z szeroko otwartymi oczami. – Do nawy!

Chór śpiewał równo i czysto, lecz z bliska Elissa widziała pot na czołach mężczyzn i kobiet i słyszała niepewność w ich głosach, gdy patrzyli na nadciągającą horde. Większość z nich – jeśli nie wszyscy! – nigdy dotąd nie widziała otchłańca z bliska.

Pieśń na razie powstrzymywała napór, jednak Elissa nie sądziła, by na długo. Jakiś śnieżny demon plunął chmurą zimna z balkonu i trafił jednego ze śpiewających w udo. Mężczyzna zatoczył się zaskoczony i runął na podłogę. Zamarznęta noga z trzaskiem uderzyła o marmurową posadzkę.

Chórzysta wrzasnął głośno, czym zburzył harmonię śpiewu, a demony bez wahania wykorzystały moment i rzuciły się naprzód. Na chór runęły ogniste i mroźne plunięcia, polniaki skoczyły z wyciągniętymi szponami.

Część śpiewających chroniły runy na szatach, ale nie wszystkich. Jeden z akolitów stanął w ogniu. Wymachując ramionami, wpadł na towarzyszy i podpalił szaty kolejnych. Dwóch innych padło ofiarą szponów otchłańców, pozostali ślizgali się na mokrej od krwi posadzce.

– Odwrót! – krzyczał Opiekun Ronnell.

Elissa nakreśliła runy dźwięku nad głowami chóru, by wzmocnić ich muzykę. Zdołali dzięki temu wciągnąć większość rannych do środka i zatrzasnąć drzwi katedry. W jej wnętrzu schroniły się już tysiące ludzi, ewakuowanych z własnych domów i dzielnic. Wszyscy rozglądali się ze zgrozą, ale jak dotąd runy wytrzymały.

Jaik leżał na podłodze. Mery szlochała i tuliła go do siebie, ale wokół mężczyzny rozlewała się coraz większa czerwona kałuża. Elissa przyklękła z trudem i nakreśliła kilka magicznych symboli, by wzmocnić Jaika, ale chłopak już stracił wiele krwi, a Elissa nie potrafiła odtworzyć tego, co odgryzł demon. Udało jej się spowolnić krwotok, ale oddech Jaika stał się coraz szybszy, coraz bardziej chaotyczny, aż ucichł. Jego oczy wpatrywały się w nicość.

Mery szlochała, szarpiąc męża za ubranie. Drzwi katedry

dygotały i drżały, gdy zgromadzone na zewnątrz otchłańce tłukły w runy. Z sufitu sypał się kurz. Ronnell uniósł głowę i spojrzał na rzędy ogromnych piszczałek organów.

– Nie przestawajcie śpiewać! – krzyknął i popędził po schodach ku stanowisku organisty.

Elissa, zrozumiałwszy, co Ronnell ma zamiar zrobić, wsparła się na lasce i podążyła za nim. Wrota znów zadrżały, uderzone z ogromną siłą. Magia powstrzymywała same demony, ale te mogły przecież ciskać we wrota ogromnymi kawałkami gruzu, aż roztrzaskają je w drobny mak.

Ronnell zasiadł na krześle organisty. Organy katedralne dysponowały tysiącami piszczałek, których muzyką sterowało pięć klawiatur, każda z osobnymi pedałami. Zatarł drżące dłonie, by rozgrzać je nieco przed czekającym go zadaniem. Na stojaku przed sobą ułożył arkusze z muzyką Rojera. Elissa spojrzała na karty, ale symbole, za pomocą których Minstrele zapisywali muzykę, były dla niej całkowitą zagadką.

Powoli Opiekun zaczął budzić wielkie organy do życia. Grał takty przypominające „Pieśń o Nowiu”, ale utwór ten został napisany pod śpiew i smyczki, a nie na ogromny instrument klawiszowy. Organy zdecydowanie miały większe moc i zasięg, lecz Ronnell na próżno próbował odnaleźć lekkość, z jaką Keerin wygrywał pieśń na lutni. Melodia była rozpoznawalna, ale najwyraźniej nie wywierała żadnego wrażenia na demonach, które bombardowały wrota katedry.

Elissa wyjrzała przez okno i ujrzała hordy demonów wylewające się z biblioteki i ścigające ludzi wokół kampusu. Inne osaczyły strażę świątynne. Na uliczkach wokół katedry toczyły się walki, a bruk plamiła krew.

Rzedniejące włosy Ronnella były mokre od potu, jednak nie przerywał grania, usiłując rozbudzić choć odrobinę magii Rojera w potężnym instrumencie.

U szczytu schodów pojawiła się Mery, której suknia była mokra od krwi. Łzy rzeźbiły kanaliki na jej umazanych krwią policzkach.

– Nic ci nie jest? – spytała Elissa, ale Mery ją zignorowała.

Podeszła bliżej i delikatnie ułożyła dłoń na ramieniu ojca. Ten spojrzał na nią oczami pełnymi łez.

– Nie dam rady, córko. Nie umiem. Nie odnajdę w sobie daru Wybawiciela.

Mery spoglądała na niego ze smutkiem.

– A co, jeśli Arlen nie jest Wybawicielem, ojcze?

– Wówczas Otchłań zwycięży – odparł Ronnell. – A więc choć tym razem musisz mieć wiarę, że nim jest. Że ujrzy, iż nastąpiła dla nas najciemniejsza noc, i ześle nam światło.

– Jak on może być Wybawicielem, skoro zginął? – spytała Mery.

Elissa pochyliła się ku dziewczynie i szepnęła jej do ucha:

– On żyje i właśnie teraz walczy dla nas. A więc jeśli umiesz zagrać tę przeklętą melodię, bierz się do roboty.

Mery spojrzała na Elisę niepewnie, w końcu skinęła głową i oddała ojcu pióro z *hora*, a ten z wdzięcznością ustąpił jej miejsca. Zrzuciła buty, zasiadła za klawiaturą i porwała arkusze z muzyką Rojera. Szukała właściwego utworu i brudziła kartki zakrwawionymi palcami, przez cały czas przechylając głowę, by słyszeć chór.

Drzwi znów zadygotały. Elissa usłyszała trzask.

– Są coraz bliżej.

– No to ich powstrzymajcie – warknęła Mery, wpatrzona w zapiski niczym Patron Runów w grymuar.

Młoda Matka nie powinna odzywać się w ten sposób do księżnej Miln, ale determinacja w głosie Mery obudziła nadzieję w sercu Elissy. Ronnell kreślił runy ochronne wokół organów, a Elissa, potykając się, podeszła do balustrady i spojrzała na nawę.

Tysiące wiernych tłoczyło się, odsuwając się jak najdalej od drzwi i szalejących za nimi demonów. Ci, którzy stali pod ścianą, jęczeli i krzyczeli, przygniataani przez spanikowanych towarzyszy niedoli.

– Cofnijcie się! – huknęła. Jej wzmocniony magią głos został spotęgowany akustyką zwieńczonej kopułą katedry. – Niczego nie osiągnięcie, tratując swoich braci! Cofnijcie się i dołączcie do śpiewających! Śpiewajcie ze wszystkich sił, jakby cały świat od tego



zależał, bo tej nocy zdecydowanie tak jest!

Ocalali członkowie chóru, zakrwawieni i poturbowani, powrócili na swój balkon, a wysklepiony sufit spotęgował ich ochrypłą, nierówną pieśń. Tłum w dole powoli, niepewnie powtarzał słowa nieznanego sobie pieśni, próbując nadążyć za szkolonymi śpiewakami. Garstka ocalałych strażników świątynnych z runicznymi tarczami i włóczniami uformowała półkrąg kilka kroków przed wrotami do katedry, gotowa na nieunikniony wyłom.

Elissa wyrysowała runy naporu, by wzmocnić drzwi, właśnie uderzone kolejnym pociskiem. Runy zapłonęły i przejęły impet uderzenia, ale mimo to wzmocnione drewno pękało. Widać było, że wrota długo już nie wytrzymają.

Wówczas organy przebudziły się do życia. Mery zaczęła łagodnie, a pierwsze dźwięki były bardziej wyczuwalne niż słyszalne. Przez chwilę nadążała za chórem, potem jej muzyka nabrała siły i wkrótce rozlała się daleko. Potężniała i rozbrzmiewała wibracjami w każdym ze zgromadzonych w katedrze ludzi, w każdym kamieniu murów.

Mery przejęła inicjatywę. Grała coraz mocniej i agresywniej, a głosy chóru i wiernych układały się z nią w idealną harmonię. Na zewnątrz Elissa słyszała, jak otchłańce wrzeszczą z bólu, ale ich krzyki wkrótce się oddaliły, ucichło też walenie we wrota.

Elissa, kuśtykając, podeszła do okna i ujrzała demony, które uciekały uliczkami kampusu niczym szczury umykające z pożaru. Gnały prosto na niczego nieświadomą straż świątynną, której uwaga skupiona była całkowicie na otchłańcach nacierających na barierę.

Na szczęście zapłonęli Strażnicy i bestie zostały odrzucone w tył. Bariera działała w obie strony i tworzyła strefę, w której obrońcy byli całkowicie bezpieczni.

Oszołomione, coraz bardziej przerażone potwory zaczęły wówczas odwracać łby ku Wielkiej Katedrze, a w ich prymitywnych mózgach pojawiała się już świadomość, że znalazły się w pułapce.

Mery grała z coraz większą pewnością siebie, a moc jej muzyki stopniowo narastała. Krew Jaika schła na klawiszach

i odwracanych stronicach, kiedy dziewczyna ze śmiałością sięgała po utwory, które mogły rozbić na kawałki skalnego demona lub stopić serce śnieżnego. Grała na kilku klawiaturach jednocześnie, a jej stopy bezbłędnie naciskały pedały.

Wszędzie dookoła demony padały na kolana bądź brzuchy, wiły się i wrzeszczały. Elissa widziała juchę ściekającą z ich oczu, uszu i nozdrzy. Bestie czekała powolna śmierć, równie pewna jak ta zadana ciosem włóczni.

Moc muzyki nie przestawała się nasilać. Miln leżało w dolinie między dwiema górami, które, podobnie jak wysklepiony sufit katedry, potęgowały muzykę i słały ją z powrotem na miasto. Z oddali odpowiadały jej rogi, gdy obrońcy Miln rzucali się do szarży. Wrzaski ginących demonów niosły się echem.



42

Rój

334 ROK PLAGI

**K**wadrans – powiedziała Renna i zatrzymała się w miejscu, które jej zdaniem najlepiej nadawało się do obrony. Ściany tunelu jaśniały nikłym światłem dzięki żyjącym na nich grzybom. Dzięki temu mogła dostrzec cokolwiek gołym okiem po raz pierwszy od opuszczenia Włóczni Ala, lecz czuła się naga i odsłonięta, choć skrywał ją runiczny płaszcz i osłaniał śpiew Shanvah.

– Oczywiście. – Shanvah wyciągnęła rękę, by zatrzymać ojca. Oboje uklęknęli zwróceniem plecami do Renny, by ją chronić podczas przygotowywania świętego kuskusu.

– Chcecie trochę? – spytała Renna, gdy znad misek buchnęła para.

– Dziękuję – rzuciła Shanvah, przerywając na ten krótki moment śpiew. – Nie.

– Niczego mi nie trzeba – odparł Shanjat obojętnym głosem.

Oboje mogli wytrzymać cały dzień na jednym kęsie kuskusu i łyku wody, ale z Renną było inaczej. Choć wciąż podejmowali desperackie wysiłki, by dogonić Arlena i Jardira – o ile jeszcze żyli – dziewczyna nie mogła zignorować potrzeb swego rosnącego pospiesznie brzucha.

Im niżej się zagłębiali, tym silniejsza stawała się magia, a jej syn rósł szybciej. Renna kiedyś zastanawiała się, jak królowa demonów może zrodzić tyle dzieci, lecz teraz zaczynała już wszystko rozumieć.

Renna wytwarzała dwie misy kuskusu na raz i robiła przerwy na posiłek trzy razy częściej, niż potrzebowali tego Shanjat i Shanvah. Mogła w ten sposób wyliczyć, że minął już mniej więcej tydzień od chwili, gdy Shanjat bez słowa poprowadził ich w trzewia świata. Próbowaly wypytać go o drogę, ale Shanjat nie potrafił wiele o niej powiedzieć, zupełnie jakby Alagai Ka po prostu naszkicował mu mapę w umyśle. Nie miał pojęcia, czym jest jaśniejący mech, gdzie się skończy i jak długo będą wędrować do roju, o ile jeszcze do niego nie dotarli.

Renna jadła w milczeniu, czując, jak dziecko w jej wnętrzu nagle się ożywia. Twarde, wzmocnione magią mięśnie brzucha bynajmniej nie chroniły jej przed potężnymi kopniakami od środka, które czasami okazywały się trudne do zniesienia. Uciskał pęcherz z taką energią, że dziewczyna pospiesznie schowała się za skałę, by go opróżnić. Dziecko urosło tak bardzo, że Renna zaczynała się bać. Czowała, że poród może nastąpić lada dzień.

Wytrzymaj jeszcze chwilę, błagała go w myślach.

Co się wydarzy, jeśli jej syn urodzi się tu i teraz? Czy zdoła go ochronić?

Gdy się najadła, podjęli wędrowkę. Szli w pośpiechu, gdy nagle Renna usłyszała z oddali znajome odgłosy walki – wrzaski otchłańców i syk bojowych runów. Czy to Arlen?

Wyrwała nóż i popędziła tunelem przed siebie.

– Ojczy, dotrzymaj nam kroku! – zawołała Shanvah, spiesząc za Renną. – Jeśli zostaniemy zaatakowani, broń nas i siebie samego!

Dogonienie Renny, której bieg stawał się coraz bardziej

kaczkowaty, nie stanowił dla *Sharum* i *Sharum'ting* żadnego problemu. Renna sięgnęła więc po magię, by przyspieszyć, i cała trójka pomknęła jak wiatr ku skrzyżowaniu tuneli, z którego dobiegały dźwięki.

Ujrzeni tam grupę prymitywnych, dzikich ludzi, którzy otoczyli ze wszystkich stron jaskiniowego demona i dźgali go włóczniami z obsydianowymi ostrzami. Ich aury aż się jarzyły od magii Otchłani, a na ich broni rozbłyskiwały runy bojowe. Renna od razu rozpoznała styl rysowania charakterystyczny dla Arlena i serce podskoczyło jej z radości.

– Byli tu!

Shanvah pokiwała głową.

– Shar'Dama Ka i Par'chin uzbroili *alaman fae* – powiedziała.

Kilka kroków dalej leżał martwy jaskiniowy demon z oderzniętymi kończynami. Z ran w rozdętym odwłoku wyciekały jucha i wnętrzności. Nieopodal na ziemi spoczywało dwóch mieszkańców podziemi, których aury zdążyły już wygasnąć, ale wciąż mieniły się od trucizny w żyłach. Inny, przyklejony lepką nicią do ściany, zwisał nieruchomo z brakującą częścią głowy.

Mieszkańcy podziemi z dzikim wyciem dobijali drugiego demona. Magia skrzyła wzdłuż włóczni, a wojownicy drżeli, gdy wlewała się w ich ciała.

Gdy zauważyli Rennę, Shanvah i Shanjata, w ich oczach tańczył obłęd. Ujęli broń i zaczęli zbliżać się do przybyszów ze wszystkich stron w ten sam sposób, w jaki podchodzili do demona, sapiąc groźnie i tłukąc się w piersi.

Naraz spostrzegli wydęty brzuch Renny i ich agresja natychmiast przygasła. Okrażali przybyłych, rozmawiając w prymitywnym języku, który przypominał nieco krasjański, aż rozstąpili się, robiąc miejsce starszej kobiecie. Miała wciąż silne ciało, ale jej włosy już posiwiały, a z aury Renna wyczytała brzemię wielu lat życia.

Staruszka wyciągnęła ku niej rękę. Renna odruchowo chciała się cofnąć, ale wnet uświadomiła sobie, że staruszka nie chce zrobić jej krzywdy. Twarde i zrogowaciałe dłonie dotknęły brzucha Renny

z zaskakującą delikatnością. Starucha przyłożyła do niego ucho, po czym roześmiała się głośno. Słyszając to, mieszkańcy podziemi zaczęli wydawać okrzyki zadowolenia, a staruszka wyciągnęła nieco jaśniejszego grzyba z sakiewki przy pasie. Zmieszała go z wodą i wyrysowała run gorąca na cieniutkiej warstwie gleby zalegającej na kamiennym podłożu.

– Renna... – odezwała się z niepokojem Shanvah, gdy staruszka wręczyła ciężarnej parujące naczynie.

– Spokojnie – powiedziała wojowniczką. – Ona nie chce mi zrobić krzywdy. Z tego, co widzę, te dzikusy uważają, że przynoszę im szczęście.

Nie miała pojęcia, czym był wywar oferowany przez podziemną Zielarkę, ale śmierdział okropnie. Mimo to wstrzymała oddech i połknęła całą zawartość naczynka, a wówczas staruszka skinęła głową i mruknęła z aprobatą.

Następnie *alamen fae* zwrócili uwagę na Shanjata. Bez wątpienia potężny wojownik wydawał im się największym zagrożeniem, jednak gdy mężczyźni zbliżyli się do niego, postępując i tłukąc włóczniami o ziemię, ten nawet nie drgnął. Któryś z nich posunął się nawet do tego, że dźgnął Shanjata palcem w pierś. Wystarczyłoby słowo Renny czy Shanvah, a *Sharum* natychmiast złamałby mieszkańcowi podziemi rękę, ale bez rozkazów stał nieruchomo i dzicy wkrótce stracili zainteresowanie.

Shanvah wydała im się o wiele bardziej intrygująca. Kilku mężczyzn okrążyło dziewczynę, wspierając się na kłykciach niczym małpy, węsząc i posapując. Renna spojrzała na nich i wytrzeszczyła oczy.

– Na Otchłań! – krzyknęła.

Co najmniej kilku miało zauważalną erekcję.

Jeden z nich wyciągnął rękę, chcąc dotknąć Shanvah, ale Krasjanka miała już dosyć. Złapała dzikusa za nadgarstek i rzuciła nim wedle zasad *sharusahk*. Niedoszły agresor przetoczył się po ziemi, a dziewczyna wymierzyła kopniaka w napeczniałą męskość innego dzikiego, który podszedł za blisko. Mieszkaniec podziemi osunął się z jękiem na śliskie podłoże.

Wystarczyło syknięcie Shanvah, by pozostali się cofnęli. Dwaj śmiałkowie, których nauczyła pokory, pozbierali się szybko i wraz z pozostałymi dołączyli do gęstniejącej grupy.

Renna patrzyła na kobiety, dzieci i mniej agresywnych mężczyzn, wielu spośród nich trzymało broń naznaczoną przez Jardira i Arlena, i zastanawiała się, co ma powiedzieć. Nim jednak zdołała otworzyć usta, jeden dzikus powrócił z wielkim ochłapem mięsa, pochodzącym od jakiejś podziemnej bestii. Wręczył go ich Zielarce, wskazując przy tym Shanvah i pochrzając.

– Czy to...? – Shanvah rozdziawiła usta.

– Negocjowanie małżeństwa? – spytała Renna, gdy Zielarka odwróciła się z ochłapem ku nim, gotowa do pertraktacji. – Tak, to jasne jak słońce. Oni chyba sądzą, że jestem twoją matką.

– Czuję się zaszczycona. – Głos Shanvah był pozbawiony emocji.  
– Ale proszę, żebyś odmówiła.

Nim Renna zdążyła cokolwiek powiedzieć, zjawił się inny i wręczył Zielarce łuszczącą się skórę, po czym również wskazał Shanvah.

– Chcesz poczekać i poznać wszystkie oferty? – spytała Renna.

– To nie jest śmieszne, siostró – stwierdziła Shanvah.

– Cóż, w sumie racja – rzekła Renna i napełniła mocą runy na swej skórze. Te zapłonęły i zalały tunele światłem, a dziewczyna spojrzała na mężczyzn.

– Ona nie jest na sprzedaż, wy napalone kozły!

Mężczyźni skulili się, przerażeni pokazem magii, i padli na kolana, a w ślad po nich reszta mieszkańców podziemi.

– Erram! – wołali. – Erram!

Ich aury zmieniały się i Renna skupiła się, by je odczytać. Przez jej umysł przemknęło wyobrażenie Arlena i Jardira i dziewczyna zrozumiała, że nie są daleko. Wiedziała już, którą drogą się udali.

W powietrzu pojawiło się również coś nowego. Była to wibracja, która przypominała niemal dźwięk, tak głośna, że Renna nie miała pojęcia, dlaczego nie pochwyciła jej nigdy wcześniej. Potem przypomniał jej się pożarty mózg demona umysłu i natychmiast zrozumiała, skąd pochodzi.

- Siostró, co się dzieje? – spytała Shanvah.  
– Wiem, dokąd mamy pójść – powiedziała cicho Renna. – Słyszę w głowie stękanie, z jakim królowa składa jaja.



Jardir i Par'chin przyglądali się *alamen fae*, którzy przyczaili się na kamiennych murach i w milczeniu czyhali na nadciągające pająkowate demony jaskiniowe.

Demony jaskiniowe były najczęściej spotykanym gatunkiem otchłańców, które pracowały dla książąt w spiżarniach, zaganiając odległych kuzynów Jardira niczym wielbłądy. Teraz demony zachowywały jednak czujność, gdyż terytorium *alamen fae* nagle stało się dla nich nieprzyjazne. Wielbłądy zaczęły kopać.

Mimo to nic nie mogło przygotować *alagai* na niespodziewany atak przypuszczony przez mieszkańców podziemi z góry.

Z rykiem spadali na demony i dźgali je włócznie. Byli silni, zwinni, a odkąd ich broń stała się zabójcza dla demonów, walczyli z podziwu godnym entuzjazmem. Od stuleci *alagai* pilnowały ich i zagarniały niczym psy pasterskie, zabijały ich i wlokły na rzeź. Ten czas wreszcie dobiegł końca.

Demony jaskiniowe próbowały się odwrócić, lecz ich długie, segmentowe odnóża nie nadawały się do tego, by razić napastników siedzących na grzbiecie. *Alamen fae* zaś działali szybko i sprawnie – uskakiwali przed zamaszystymi ciosami *alagai* i odwracali ich uwagę, podczas gdy inni współplemieńcy zadawali ciosy. Nikt nie pozostał w tyle – do ataku rzucili się nie tylko mężczyźni, ale i dzieci oraz kobiety. Na ich obsydianowych ostrzach i włócznie, które Jardir nauczył ich robić ze skóry i kości, skrzyły prymitywne runy. Magia rozbłyskiwała, gdy włócznie i maczugi wznosiły się i opadały. Broń dysponowała jedynie częścią mocy runicznego oręża stosowanego na powierzchni, ale *alamen fae* wcale to nie przeszkadzało. Słabsze ciosy odwracały uwagę *alagai*, podczas gdy



silniejsi członkowie plemienia łamali demonom odnóża i powoli rozbijali im czaszki.

Ich chwała nie miała końca.

Któryś z demonów zdołał odskoczyć. Przywarł do ściany tunelu i umknął poza zasięg włóczni. W ślad za nim pomknęły strzały, które odbijały się od jego pancerza, aż któraś wreszcie trafiła, a po niej kolejna. Demon zrozumiał, że nie zdoła uciec, i odwrócił się, by na powrót skoczyć między walczących. *Alamen fae* z pewnością by go pokonali, lecz nie bez ofiar.

Jardir uniósł włócznię, by odebrać bestii życie.

– Ahmann, nie! – zawołał Par'chin i złapał go za ramię.

Jardir skrzywił się.

– Cofnij rękę, Par'chin. Muszę im pomóc.

– Nie możesz!

– Czemu nie? – spytał Jardir. Na jego oczach demon skoczył w sam środek walczących *alamen fae*.

– Bo, głupcze, królowa widzi wszystko, co robią jej słudzy! – parsknął pogardliwie Alagai Ka. – Krnąbrne bydlę raczej jej nie zainteresuje, ale Dziedzic Kavriego tak.

– On ma rację, Ahmann – dodał Par'chin. – Póki co korona i moje runy maskują naszą obecność, ale jeśli zaczniemy ciskać magią na wszystkie strony, na pewno zostaniemy zauważeni.

Jardir zacisnął dłoń na drzewcu z taką siłą, że aż go rozbolała, a z ust demona dobiegł syczący śmiech.

– Boli cię to, że musisz poświęcić życie sług? Nawet tych żalonych dzikusów?

– To kiedyś byli moi rodacy! – Jardir ujrzał rozbryzgi krwi na ścianach tunelu i zrozumiał, że i tak już się spóźnił.

– Czyli królowa zna myśli swoich sług tak daleko od roju? – spytał Par'chin.

Demon odwrócił głowę i wbił wzrok w Par'china. Jardir znał już to spojrzenie i wiedział, że kryje się w nim bardziej pogarda niż ciekawość, jakby Alagai Ka zastanawiał się, jak ludzie mogą być tak nieskończenie głupi.

– Jesteśmy wewnątrz roju od kilku dni, Odkrywco – rzekł

demon, a Jardir poczuł, jak jego krew zamienia się w lód. – Królowa trzyma spiżarnie blisko siebie. Gdy składanie jaj dobiegnie końca, zaczniesz żerować. Pożre tysiące ludzi, żeby odzyskać siły. Straty, jakie ponosicie podczas tego zabawnego powstania, są bez znaczenia.

– Nie do końca – powiedział Par'chin. – Ci ludzie giną dla czegoś większego.

– Doprawdy, Par'chin? – spytał Jardir.

– Przecież to ty zawsze mówisz o przeznaczeniu – odrzekł Par'chin. – O planie Everama. Cóż, może Everam mimo wszystko ma jakiś plan? Może nie zapomniał o tych ludziach? Może umieścił ich tu, żeby pomogli nam w chwili największej potrzeby?

– Ale za jaką cenę, Par'chin? – spytał Jardir.

– Nie przejmuj się tym. Zwycięstwo jest warte każdej ceny. Czy to nie ty zawsze powtarzałeś te słowa? Czy to nie tą myślą się kierowałeś, próbując podbić całą Theseę? A teraz, gdy zwycięstwo jest tak blisko, że możesz go niemal dotknąć, nagle dopuszczasz wyrzuty sumienia do głosu?

Jardir myślał przez chwilę, zaskoczony słowami mieszkańca zielonych krain. Spojrzał na swego starego przyjaciela, próbując cofnąć się w czasie i zamiast twardego, wytatuowanego weterana znów ujrzeć niewinnego młodego przybysza.

– Pamiętasz naszą pierwszą kłótnię, Par'chin? – spytał Jardir.

Syn Jepha pokiwał głową.

– Miało to miejsce w Labiryncie – ciągnął Jardir. – Kiedy Wnykarz został pochlastany pazurami *alagai* i szykował się na samotną ścieżkę.

Oczy Par'china rozbłysły.

– On miał imię, Ahmannie. Zwał się Zaji asu Fandra am'Hessath am'Kaji i był moim przyjacielem. To on mnie nauczył sztuki rysowania runów jednostronnych i przygotowywania dołów demonicznych. Mogłem go ocalić, gdybyś go nie zamordował.

– Nie traktuj mnie jak głupca, Par'chin – rzekł Jardir. – Znałem Zajiego o wiele lepiej od ciebie. Miał w garści to, o czym każdy wojownik tylko marzy: szansę na chwalebny śmierć. Ty jednak

byłeś gotów mu ją odebrać. Chciałeś go skazać na wiele lat życia w kalekim ciele, na cień dawnej egzystencji! Byłeś obojętny na jego marzenia, bo ty, Arlenie asu Jeph, nie chcesz oddać demonom niczego!

Aura Par'china buchnęła gniewem, a Jardir zrozumiał, że ugodził celnie.



Arlen czuł się jak człowiek, który właśnie został spoliczkowany.

„Nie oddać demonom niczego”. Tak brzmiała obietnica, którą złożył w dzieciństwie i która wyznaczyła bieg jego życia.

A którą teraz łamał.

Patrzył na mieszkańców podziemi, dobijających ostatnie demony. Niektórzy zaciskali dłonie na ranach, które już zaczynały się goić, ale dwóch stygło na kamiennym podłożu. Ich aury zgasły na zawsze.

Jardir miał rację. Mężczyzna, którym kiedyś był, nie stałby beczynnym. Nie patrzyłby, jak giną walczący. Nie oddałby demonom niczego i drwiłby z większego dobra. Nie tego uczyła go matka. Nie wolno mu było porzucić nikogo.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że Niebo nie istnieje – rzekł Jardir.

– Bo nie istnieje – odpowiedział odruchowo Arlen, ale myśli nie odpowiadały przekonaniu w jego głosie. Bo niby skąd miał mieć pewność? – A jeśli ten świat jest jedynym, który mamy, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go ocalić.

– Łącznie z tym, że poświęcisz życie wielu *alamen fae*, żeby osłonić nasz atak – stwierdził Jardir.

– Ja ich nie zmuszam do walki, Ahmannie – rzekł Arlen. – Robią to z własnej woli!

– Bo mają nas za bogów! – powiedział Jardir, na co przyjaciel parsknął śmiechem.

– Przecież sam od lat obwołujesz się Wybawicielem, Ahmannie,

i nawet ci przy tym powieka nie drgnęła! A ci ludzie nie walczą z demonami dla nas! Robią to dlatego, że mają już dość niewoli.

– To dzikusy! – odrzekł Jardir. – Czy my naprawdę dajemy im wolną wolę, czy może manipulujemy nią dla własnych celów?

Demon umysłu wydał z siebie syczący śmiech. Był to mroczny, nieprzyjemny odgłos.

– Ci ludzie wcale nie są większymi dzikusami od was. I oni, i wy uporczywie trzymacie się wymysłów, których nikt z was nie rozumie.

– Kiedyś też miałem takie wrażenie – stwierdził Arlen. – Ale im głębiej docieramy, tym częściej natrafiam na rzeczy, które kiedyś miałem za wymysł, a teraz okazują się prawdą. – Spojrzał Jardirowi w oczy. – Demon sam to powiedział. Jeśli nie odniesiemy zwycięstwa, większość tych ludzi zostanie pożarta. Lepiej, żeby zginęli z włócznieą w rękę.

– Mieliby większe szanse na przeżycie, gdybyśmy popchnęli ich ku wyjściu na powierzchnię, a nie w dół, w stronę serca roju – rzekł Jardir. – Skoro stać cię na to, żeby poświęcić ich żywoty, oddaj im cześć i przyznaj się do tego.

Arlen nie spodziewał się, że kiedyś usłyszy od starego przyjaciela równie kąśliwe słowa. Ich role najwyraźniej się odwróciły, gdyż to Jardir zawsze widział we wszystkim plan Stwórcy, a Arlena na każdym kroku prześladowały wątpliwości.

Ale teraz... teraz jego ciało aż wibrowało zewem Otchłani, pieśnią, która przetaczała się przez niego z rykiem huraganu. Mierzył się z ucieleśnieniem prawdziwej mocy, ze źródłem całego życia w świecie, a ono przemawiało do niego i zwiastowało mu wielkie prawdy. Świat stanął na skraju zagłady i istniał tylko jeden sposób, by wszystko naprawić.

– W porządku – warknął Arlen. – To właśnie chcesz usłyszeć, tak? A więc dobrze: *alamen fae* nie mają szans w walce z całym rojem, ale chcę, żeby zajęli jego uwagę do chwili, gdy zrobimy to, po co się tu wybraliśmy. Tu nie chodzi o utarczki między plemionami! Nie chodzi o walki o studnie, Ahmannie! To pieprzona Sharak Ka! Albo zwyciężymy, albo wszyscy przegramy!

Jardir ze smutkiem spoglądał na poległych, lecz pokiwał głową.

– Oczywiście masz rację, Par'chin – powiedział, choć w jego aurze nadal widać było zwątpienie.

Arlen patrzył na niego ze zdumieniem.

– Nie słyszysz?

– Czego? – spytał Jardir.

– Otchłani!

Jardir zamknął na moment oczy.

– Niczego nie słyszę – oznajmił.

Demon znów wydał z siebie syczący śmiech.

– Nie słuchaj uszami – rzekł Arlen. – Bo nie tędy droga. Musisz skorzystać ze zmysłu, którego nie potrafimy jeszcze nazwać. Wsłuchaj się w magię, która przepływa przez twoje ciało, a dowiesz się więcej, niż mogą przekazać słowa.

Jardir oddychał miarowo. Jego aura się wyciszyła, gdy skupił moc korony.

– Czuję wielką głębię. Otchłań i jej moc – szepnął. – Mogę pobrać jej moc i dowolnie ją formować, ale ona... ona do mnie nie mówi.

– A może po prostu nie słuchasz? Bo magia ma ci wiele do powiedzenia.

– Doprawdy? – Jardir skrzyżował ramiona. – A cóż takiego Otchłań mówi tobie, Par'chin?

– Przede wszystkim to, że nie jest Otchłanią – odparł Arlen. – Stamtąd płynie życie, a nie na odwrót. Każda żywa istota ma w sobie odrobinę magii, a słońce tę magię wypala.

– O czym ty mówisz, Par'chin? – spytał Jardir.

– Może jednak mimo wszystko istnieje jakiś Stwórca – rzekł Arlen. – Ale my szukamy go w niewłaściwym miejscu.



W milczeniu podążali za *alamen fae*, zasłonięci mocą runów niewidzialności i ciszy, których mieszkańcy podziemi nie byli

w stanie przeniknąć. Cisza sprawiła Jardirowi ulgę, gdyż nadal rozmyślał nad słowami Par'china.

Czy to możliwe? Czy Everam i Nie, Niebo oraz Otchłan, czyżby wszystko to okazało się kłamstwem? Przecież to bluźnierstwo... To szaleństwo! Tymczasem próbował odnaleźć Niebo, ale okazało się puste, a demony nie wiedziały niczego o Nie.

Zbliżali się w stronę centrum roju, za nimi podążało coraz więcej plemion. *Alamen fae* szybko się uczyli i prymitywne, choć skuteczne runy, które pokazali im Arlen i Jardir, błyskawicznie pojawiały się na kolejnych sztukach broni, aż wreszcie zdobyły każdy zaostrzony kawałek obsydianu.

Jardir nie mógł powstrzymać dumy, gdy na nich patrzył. Te znękanne, prześladowane dusze, setki pokoleń zrodzonych w niewoli, której nawet nie potrafiły ogarnąć umysłem, powstały wreszcie do walki ze swymi ciemieczkami.

Z początku mieszkańcy podziemi dobrze sobie radzili. Demony były nieprzygotowane na furję buntowników i szybkość, z jaką się uzbrajali. Nadciągały niewielkimi grupkami i zostawały wycięte do nogi. Niebawem *alamen fae* dotarli do wielkiej podziemnej komory, w której wznosiło się mnóstwo stalagmitów. Niektóre sięgały ledwie kilku stóp, inne zaś zdawały się potężniejsze od minaretów Sharik Hora. Wszystkie były wręcz gorące od magii. Czyżby były wylotami z samej Otchłani?

*Alamen fae* nie zwrócili uwagi na nic podejrzanego. Wkroczyli do sali, jakby odwiedzali ją już wielokrotnie.

– Par'chin – odezwał się ostrzegawczo Jardir.

– Uhm – zgodził się syn Jepha. – Coś tu nie gra.

Niespodziewanie dziesiątki demonów, które przyczaiły się w pułapce za stalagmitami, wyskoczyły na dzikich, a za ich plecami pojawiła się falanga skalnych *alagai*, odcinając drogę ucieczki.

– *Alagai'ting Ka* już wie o wszystkim – rzekł Jardir.

– Tam! – *Alagai Ka* wskazał wylot małej jaskini, która znajdowała się wysoko na skalnej ścianie. – Moi bracia korzystają z tego miejsca, żeby nadzorować trzodę i wybrać sztuki do usunięcia ze stada.

– Chcesz powiedzieć: do zjedzenia? – spytał Par'chin.

– Nie zgrywaj lepszego od nas, Odkrywco – zasyczał demon. – Tobie też zdarzało się zjadać moich pobratymców.

– Tak, i lepiej o tym nie zapominaj. – Par'chin spojrział na Jardira. – Zaczekaj tu i dołącz do mnie, gdy myślak zostanie zabity.

Jardir przytaknął, patrząc, jak ciało Par'china rozwiewa się w mgłę. Runy niewidzialności na ciele zamigotały, gdy przyjaciel pomknął ku niewielkiej jaskini niczym strzała.

Znajdowała się ona zbyt daleko, by śmierć samego księcia pociągnęła za sobą zgon podwładnych mu demonów, ale trudno było przeoczyć moment, w którym demon umysłu przestał kontrolować przebieg bitwy. *Alagai* znów przeistoczyły się w zwierzęta, skalniaki porzuciły swoje stanowiska i z rykiem ruszyły do ataku, chcąc dołączyć do masakry, choć mieszkańcy podziemi odzyskali już inicjatywę.

Zewsząd dobiegały trzaski magii, okrzyki walczących i przeraźliwe wrzaski *alagai*. Jardir nie miał pojęcia, czym skończy się bitwa, ale nie miał czasu na rozmyślenia. Pochwycił włócznię i wzbił się w powietrze, ciągnąc za sobą *Alagai Ka*, uwięzionego w barierze korony. Na skraju wejścia czekał na nich Par'chin, trzymając głowę młodego demona umysłu, która wyglądała, jakby oderwał ją gołymi rękami.

– Tędy! – *Alagai Ka* nie zwrócił uwagi na trupa jednego ze swoich braci. Wskazywał ciemność w jaskini, gdzie nie docierał już blask fosforyzujących mchów porastających ściany spiżarni. – Teraz nic już nam nie przeszkodzi w drodze – dodał.

Jardir w napięciu zagłębił się w wąski tunel. Nadal słyszał odgłosy bitwy, w której *alaman fae* walczyli – i ginęli – by odciągnąć uwagę od nich. Czuł w sercu ból na myśl o ich ofierze i znów zadał sobie pytanie, jak Everam mógł pozostawić tych ludzi, by cierpieli w Otchłani przez tysiące lat.

O ile Everam istniał. O ile Otchłani nie była jedynie bezmiarami stopionej skały pod powierzchnią ziemi, gorącej i emanującej magią, w co wierzyli Par'chin i *Alagai Ka*.

Ściany tunelu były gładkie, a sam tunel skręcał co rusz pod

ostrym kątem, czasem zwężając się, a czasem gwałtownie rozszerzając. Jardir czuł płynącą nim magię, która łączyła się z innymi strumieniami, podążającymi przez niezliczone korytarze, układające się w trójwymiarowy wielki run.

Run ten bynajmniej nie miał na celu tworzyć żadnej bariery przeciwko ludziom, czego Jardir dowiedział się od demonów umysłu, które zaatakowały Lenno Everama. Przecież otchłańce nie chciały wzbraniać dostępu swojej trzodzie. Nie, celem tego runu było skupianie mocy i przesyłanie jej z siłą wiru w dół, gdzie leżała królowa.

Zgodnie z obietnicą ojca kłamstw przez jakiś czas wędrowali w niezłym tempie, ale Jardir zaczął zauważać, że dzieje się coś nieoczekiwanego. Zmiennokształtne, które patrolowały tunele, zatrzymywały się i węszyły. Szukały czegoś, czego nie umiały w pełni dostrzec.

– Wyczuwają naszą obecność – stwierdził Par’chin.

– Jak to możliwe? – spytał Jardir.

Oślaniały go jednak korona oraz płaszcz Leeshy, a runy niewidzialności Par’china jaśniały mocą. Alagai Ka zaś był uwięziony w polu ochronnym korony i nie potrafił sięgnąć umysłem poza nią.

– Wasze runy są pomyślane, żeby chronić was przed pomniejszych rodzajami – oznajmił Alagai Ka. – Tymczasem nawet moi bracia i ja dysponujemy zaledwie cieniem mocy królowej.

– Myślałem, że na koronie znajdują się runy, które chronią też przed nią – rzekł Par’chin.

– Nawet sam Kaji nie był w stanie dowieść ich skuteczności – odparł Jardir.

– A więc królowa coś wyczuwa, ale nie wie, cóż to takiego – wywnioskował Par’chin. – A zmiennokształtne wiedzą tylko tyle, co ona. Może uda się jakoś przemknąć.

– Z każdym waszym krokiem jej moc będzie wzrastać – powiedział Alagai Ka. – Wkrótce nie będziecie już mieli sposobu, żeby się przed nią ukryć.

W istocie, chwilę później tunel, który wydawał się pusty, buchnął



rojem macek zwieńczonych pozbawionymi magii kolcami. Macki odbiły się od pola korony, ale kolce przeniknęły do środka i wystrzeliły niczym bełty z kuszy. Jardir zakreślił włóczęgią i odbił większość z nich, ale jeden pocisk trafił go w udo.

Pozbawiony broni Par'chin poruszał się z niewyobrażalną prędkością. Wił się i przemykał między lecącymi prosto na niego kolcami, aż złapał dwa spośród nich, odwrócił się i z ogromną siłą cisnął nimi w miejsce, z którego wyrastały macki. Buchnęły strumienie juchy. Ze ścian tunelu przed nimi spłynęły inne zmiennokształtne, ogromne i groźne.

Jardir zdusił ból, wyrwał kolec z rany i skupił magię, by jak najszybciej zagoić zranione miejsce. Potem spróbował odepchnąć napastników barierą wytwarzaną przez koronę, ale więzienie Alagai Ka kosztowało go zbyt wiele mocy i napór okazał się nieskuteczny. Demony stłoczyły się przy wylocie tunelu, a bariera uniemożliwiała Jardirowi podejście.

– Mogę je załatwić – zaproponował Par'chin.

– Nie – rzekł Jardir. – Musimy zająć się tym wspólnie.

– Jeśli stracisz panowanie nad sytuacją choć na moment, Alagai Ka ucieknie – przypomniał mu Par'chin.

– A więc być może ojciec kłamstw prowadzi nas już za długo? – Jardir wycelował włóczęgią w demona.

– Nie będziecie umieli odnaleźć... – zaczął Alagai Ka, ale Par'chin mu przerwał:

– Chyba masz rację – oznajmił, wpatrując się bez litości w księcia. – Stąd już raczej uda nam się dotrzeć.



Małzonek odczytał aury ludzi i zrozumiał, że nadszedł czas, by zakończyć grę. Przygotował się na najgorsze i przywołał resztkę swojej mocy, by spalić ciało od środka, by zniszczyć zabójcze runy wytatuowane na skórze.

Przeszył go wściekły ból, gorący i nieubłagany, lecz chwilę później zrzucił szczątki skóry. Był wreszcie wolny.

Wolny, ale okaleczony. Desperacka próba odzyskania swobody niemal go zabiła. Musiał gwałtownie zregenerować ciało, a jego aura jaśniała słabiej od porostów na ścianach. Był zbyt słaby, aby walczyć.

Błyskawicznie przeszedł w stan pomiędzy, który chronił go przed fizycznymi atakami. Nadal pozostawał uwięziony w barierze Dziedzica, ale jego prześladowcy nie mogli wyrządzić mu krzywdy.

Było to ryzykowne zagranie. Małżonek nie dysponował już mocą, by odbudować swoje ciało, ale liczył na to, że Odkrywca skoczy za nim. Podczas dematerializacji przestawały bowiem działać runy chroniące umysł. Małżonek miał nadzieję, że Odkrywca okaże się aż tak głupi, jednak nawet ludzka durnota miała swoje granice.

Półmaterialny demon rozciągnął ciało po całej barierze, rzucając cienie, które sugerowały, że gęstnieje w jednym miejscu. Prześladowcy pochwycili przynętę i pchnęli tam ogromne ilości mocy. Większość rozplynęła się po barierze, ale jeden ze strumieni magii przeszył ciało Małżonka, wywołując eksplozję bólu.

Jego prześladowcy słono jednak za to zapłacili, bo wreszcie pokazali się zmiennokształtnym. Te, widząc swoje niedoszłe ofiary, zaczęły bombardować je kamieniami i pozbawionymi magii pociskami. Odkrywca i Dziedzic okazali się zbyt szybcy i żaden z nich nie został nawet ranny, ale nie mogli skupić się na walce. Wiedzieli, że Alagai Ka gdzieś tu jest, i bali się stracić go choć na moment z oczu.

Małżonek jednak był już nie tam, gdzie się spodziewali. Tak blisko królowej mógł w każdej chwili przejąć kontrolę nad jej sługami. Zmiennokształtne wyrysowały runy uderzenia i posłały ludzi na ziemię. Ponowiły natarcie runami gorąca i nacisku, rozrzucając ludzi po tunelu, aż w końcu Dziedzic stracił koronę. Pole ochronne zamigotało i znikło na chwilę.

W pierwszym odruchu Małżonek chciał skoczyć ku swoim niewolnikom, ale gdyby dotknął umysłu któregokolwiek z nich, królowa dowiedziałyby się o wszystkim. Ujrzałyby w jego

wspomnieniach porażkę i zdradę roju, a przede wszystkim słabość księcia umysłu. To zadecydowałyby o jego ostatecznej klęsce.

Do roju mógł powrócić dopiero po odzyskaniu mocy. Odnalazł więc najbliższą ścieżkę prowadzącą na powierzchnię i pomknął nią, nie zastanawiając się, dokąd dotrze. Tysiące mil przemknęło w ułamku chwili, po czym Małżonek odnalazł kolejny kanał w dół, a potem w górę. Śmigał pod powierzchnią ziemi, aż sam przestał wiedzieć, gdzie się właściwie znajduje, a Odkrywca nie miał już szans, by go odnaleźć.



– Na Otchłań, już po nim! – krzyknął Arlen.

– Skup się, jeśli nie chcesz, żebyśmy podzielili jego los – warknął Jardir.

Miał rację. Odnalezienie księcia demonów granoczyło teraz z cudem, ale zmiennokształtne znów rzuciły się do natarcia, a tego zagrożenia nie można było zignorować. Z osobna żaden z otchłańców nie dorównywał potęgą Arlenowi i Jardirowi, ale wspólnie miały nad mężczyznami przewagę.

Gdy bariera znikła, zmiennokształtne rzuciły się do natarcia i w chwili, gdy Jardir wreszcie poprawił koronę na głowie, znajdowały się w odległości zaledwie kilku kroków. Ahmann na szczęście w porę przywołał pole ochronne, nieduże, o promieniu nieco dłuższym od zasięgu jego włóczni.

Arlen czuł magię w powietrzu. Odczytywał jej prądy równie łatwo jak wersy prastarego zwoju. Nie miał wątpliwości, że królowa jest gdzieś w pobliżu. Wychwytywał jej moc, słyszał jej wycie w głowie i wiedział, że królowa próbuje się przebić przez chroniące ich runy umysłu, ale te wytrzymały napór. Zmiennokształtne były jej ostatnią linią obrony.

– Jesteśmy już prawie na miejscu, Ahmann! – zawołał Arlen. – Nadal możemy odnieść zwycięstwo, jeśli się nie zawahamy!

Jardir uniósł włócznie.

– A więc nie pozwólmy, żeby coś nas powstrzymało, mój prawdziwy przyjacielu!

Uderzył najbliższego otchłańca polem ochronnym, a potem skurczył je nagle, przypadł bliżej i wbił w tułów Włócznie Kajiego, by pchnąć fale zabójczej magii. Demon z ogłuszającym wrzaskiem stanął w płomieniach i spalił się na popiół.

Przed Arlenem wyrósł inny. Mężczyzna nakreślił run cięcia, czym rozrąbał potwora na pół. Zmiennokształtne potrafiły zaleczyć każdą ranę i stworzyć inną kończynę w miejsce utraconej, ale nawet one nie były w stanie odtworzyć połowy ciała. Przez chwilę obie części wiły się desperacko, próbując się połączyć, Arlen odkopnął jedną z nich, a drugą posłał runem zmiennokształtności w przeciwnym kierunku. Obie połówki, zanadto oddalone od siebie, straciły spójność i rozplynęły się.

Wtedy ciężki kamień trafił Arlena w pierś, ale mężczyzna zdołał go złapać. Zaparł się nogami i cisnął nim z powrotem, wyrąbując sobie drogę wśród otchłańców. Wskoczył w powstałą lukę, a Jardir za nim. Zdobyli kilka kroków przestrzeni, nim demony znów zdołały zablokować im drogę.

Wystrzeliły ku nim kolce, które pozbawiono magii. Arlen wił się, uskakiwał i odbijał pociski, ale jeden z nich wbił mu się w bok, kolejny w ramię. Zmiennokształtny doskoczył bliżej i oplótł go, próbując udusić. Arlen rozbudził runy zmiennokształtności na swojej skórze i rozszarpał demona na strzępy, obryzgując pobratymców potwora juchą i strzępami mięsa.

Jardir, widząc otchłańca, który gna prosto na niego, wyłączył pole ochronne, a potem uaktywnił je ponownie, gdy demon znajdował się zaledwie kilka kroków od niego. Bariera wystrzeliła między łapami potwora, dzieląc go na pół. Jardir wbił włócznie w część, która utknęła w środku strefy ochronnej, pchnął w nią moc i spalił bestię na popiół.

Arlen pobierał ogromne ilości magii, która tutaj wydawała się nie mieć końca. Czuł się tak jak Jardir we Włóchni Ala. Zmiatanie potężnych demonów z drogi przychodziło mu równie łatwo jak

cięcie maczetą niesfornych pnączy.

Jardir zaś, który nie musiał się już dłużej przejmować Alagai Ka, zaczął eksperymentować z polem ochronnym korony. Zwabiał otchłające bliżej siebie i więził, by móc niszczyć je pojedynczo i nie martwić się, że inne przyjdą im z pomocą.

Mężczyźni powoli przebijali się do głębszych tuneli. W zewie królowej Arlen słyszał ryk rodzącej samicy i jęk paniki oraz strachu przed ich nadejściem. Co więcej, wychwytywał go już zmysłem słuchu.

Dwa ostatnie zmiennokształtne, widząc, że nie mogą powstrzymać ludzkich wojowników, cofnęły się i zaczęły kreślić runy gorąca i uderzenia, by zawalić tunel. Arlen odpowiedział własną kombinacją znaków, dzięki którym zamienił spadające kamienie w błoto, a potem wraz z Jardirem rzucili się do ostatniego uderzenia. Zniszczyli pozostałe demony i popędzili tunelem, który prowadził do ogromnej podziemnej komory.

Tam ujrzeli królową demonów, rozdętą i dygoczącą.

Jej głowa, podobnie jak u książąt, była stożkowata, ale o wiele od nich większa, z paszczą, która jednym kłapnięciem mogłaby pochłonąć Nocnego Tancerza. Cielsko królowej, pokryte łuską i śluzem, wydawało się jedynie rozdętym żołądkiem, tak wielkim, że wypełniało całe pomieszczenie, a wydalało z siebie niekończącą się rzekę jaj. Nogi królowej były krótkie, wręcz szczątkowe, z pewnością nie używała ich od lat, bo nie byłyby w stanie udźwignąć ciężaru cielska.

To zaś zwieńczone było długim, siatkowatym ogonem z dwoma kolcami, z których ściekał jad, aż gorący od magii. W przeciwieństwie do odnóży, ogon wydawał się zwinny i sprawny. Królowa z pewnością zabijała nim samice, które mogłyby chcieć zająć jej miejsce.

Arlen nie chciał wiedzieć, co taki kolec mógł zrobić człowiekowi.

Mniejsze demony służebne zbierały jaja i odnosiły je w bezpieczne miejsce, gdzie czekał jej wyląg. Nie były przystosowane do walki – brakowało im pazurów i pancerzy – ale widząc Arlena i Jardira zamarły i rzuciły się do ataku.

Z impetem uderzyły w pole ochronne korony, ginąc niemal na miejscu, a w tym momencie Arlen poczuł, jak jego umysł przeszywa wibrujący wrzask królowej, jak mknie dalej i przedziera się na świat.

Reakcja była natychmiastowa. Niespodziewanie salę wypełniły kłęby mgły, z których wyłoniły się demony umysłu wraz ze swymi zmiennokształtnymi przybocznymi. Był ich niecały tuzin.

Patrzyli na ostatnich książąt roju.

Demony umysłu z natury cechowało tchórzostwo. Odwaga czy altruizm zawsze były im obce, ale mimo to nawet one nie potrafiły oprzeć się woli swej pani i zlekceważyć niebezpieczeństwa grożącego całemu rojowi.

Arlen i Jardir doskonale wiedzieli, że książęta są najsłabsi w chwili materializacji, i wybrali ten właśnie moment na atak. Arlen przesłał moc w runy uderzenia na kłykciach i przebił najbliższemu księciu pierś na wylot, a Jardir machnął włócznią i odrąbał innemu głowę.

Wcześniej umierający demon umysłu eksplodował falą potwornego bólu, która zabijała wszystkie inne otchłańce w pobliżu. Obecność potężnej królowej psuła ten efekt. Zmiennokształtny, który materializował się w pobliżu księcia zgładzonego przez Arlena, wypuścił mackę z pozbawionymi magii kolcami i bez litości chlasnął człowieka przez pierś, zostawiając na niej głębokie krwawe bruzdy.

Arlen zatoczył się, odruchowo lecząc zadane mu rany. Aktywował też runy umysłu i zmiennokształtności na ciele, a dłonią wyrysował kolejne, rozrzucając napastników.

Pole ochronne Jardira rozszerzało się i kurczyło niczym bijące serce, w tym samym rytmie, w jakim padały ciosy Krasjanina. Nagle powiększał barierę, by odepchnąć potwora i zyskać przestrzeń do ciosu, po czym nagle ją skracał i pchał. Włócznia przenikała barierę i pograżała się w ciele przeciwnika, podczas gdy sam Jardir nadal pozostawał chroniony.

Królowa zaś przez cały czas ryczała i wymachiwała króciutkimi, niezdarnymi nóżkami. Jej groteskowo rozdęte, zniekształcone ciało

drżało, gdy wypychała z siebie kolejne jaja. Jeden ze zmiennokształtnych poderwał ogromny głąz i cisnął nim w Arlena. Ten przechwycił pocisk i zamierzył się, by go odrzucić, ale któryś z książąt zauważył to i szybko nakreślił run uderzenia. Głąz eksplodował Arlenowi w rękach, a siła wybuchu cisnęła go na plecy.

Inny zmiennokształtny skoczył na Balesa, na podbrzuszu wyrosły mu grube płyty pancerza, którego runy zmiennokształtności nie potrafiły już odrzucić. Arlen uniósł nogi i przesłał moc w runy uderzenia wytatuowane na piętach, by jak najdalej odepchnąć demona. Kopnął go ze wszystkich sił, ale otchłaniec zdołał wbić haczykowane macki w podłoże. Energia ciosu rozciągnęła jego ciało niczym cięciwę, a gdy osiągnęło punkt kulminacyjny, cofnęło się ku Arlenowi, wypuszczając na całej długości ostre kolce. Do zderzenia doszło ułamek chwili później – kolce potwora przebijały twarde mięśnie Arlena i ześlizgiwały się po kościach.

Arlen wiedział, że wrzeszczy, ale nie słyszał niczego. Instynktownie wlał moc w runy zmiennokształtności, które tym razem przeniknęły przez pozbawiony magii pancerz i odrzuciły potwora daleko. Ten znów się rozciągnął, ale tym razem Arlen wyrysował runy cięcia i macki, które przytrzymały otchłaniec do podłoża, pękły z trzaskiem i zmiennokształtny poleciał prosto na swego pana.

Arlen nie zaznał jednak ani chwili wytchnienia. Przetoczył się, zerwał i odskoczył, gdyż ziemia pod jego stopami zadrżała i eksplodowała ogniem. W miejscu, gdzie wylądował, podłoże pokrył lód. Bales stracił równowagę, gdy w jego plecy strzeliła struga palącego kwasu.

Jardir nie radził sobie wiele lepiej. Demony nie mogły przeniknąć przez jego pole ochronne, jednak nie broniło ono mężczyzny przed ich magią i pociskami. Zewsząd na Jardira runęły kamienie, które lada moment groziły strąceniem korony.

Podniósł ramię, by zasłonić twarz, wepchnął koronę mocniej na skronie, przez cały czas mężnie znosząc bombardowanie.

Zlikwidował na moment pole ochronne, po czym znów je odtworzył, by uwięzić w nim i demona umysłu, i jego zmiennokształtnego sługę. Podniósł włócznie i uwolnił ogromną ilość mocy, spalił oba potwory, zanim zdążyły uciec. Takie działanie sporo go jednak kosztowało, bo w tej samej chwili został trafiony głazem w plecy.

Padł na ziemię, a wówczas jeden ze zmiennokształtnych przebił mu prawe przedramię kolcem. Palce zaciśnięte na Włóchni Kajiego rozchyliły się nieco. Jardir rozbił kolec, zanim demon zdołał przekształcić go w hak i oderwać mu dłoń. Nim zdążył uwolnić rękę, run uderzenia wytrącił mu broń poza zasięg. Ahmann skoczył w ślad za włóchnią, wtedy inne demony umysłu podjęły zabawę i przerzucały broń między sobą, podczas gdy zmiennokształtne zastąpiły Jardirowi drogę. Zdesperowany Shar'dama Ka próbował przywołać włócznie runami, ale demony skupiły magię i zablokowały jego wysiłki.

Pozostała im więc walka wręcz ze zmiennokształtnymi. Arlen i Jardir skupiali moc w runach na dłoniach, stopach, kolanach i łokciach, uwijając się wśród otchłańców. Uskakiwali przed ich ciosami, wchłaniali magię i znosili potężne uderzenia mocy ze strony książąt. Przez cały czas Arlen czuł łaskotanie w głowie, co oznaczało, że demony nieustannie próbują przebić się przez osłonę i zaatakować jego wolę.

Powoli szala zaczynała przeważać na korzyść demonów. Arlen oddychał ciężko, jego ciosy stawały się wolniejsze, a obrona coraz mniej szczelna. Otrzymywał więcej uderzeń, niż był w stanie znieść, a rany okazywały się coraz trudniejsze do wyleczenia. Nawet tak blisko Otchłani, w samym sercu wielkiego runu roju, gdzie prądy magii były niezwykle silne, czuł, jak jego moc słabnie. Demony pobierały moc ze wszystkich stron, a królowa nadal się pożywiała, podczas gdy wewnętrzne zasoby Arlena powoli się kurczyły.

Kątem oka zauważył, że aura Jardira też przygasa. Przyjaciel krwawił z tuzina ran, a jego pierś unosiła się i opadała, gdy łapczywie chwycił powietrze.

Przegrywali, a wraz z porażką klęskę miał ponieść cały świat.



Zmiennokształtny rozciągnął ciało niczym koc, by opleść Arlena ze wszystkich stron. Bales wygasił swoje runy i pozwolił mu na to. Bezkształtne ciało potwora przylgnęło do wytatuowanej skóry. Nim demon zdołał wykształcić pozbawione magii warstwy, by uwięzić Balesa na dobre, Arlen pobrał moc przez runy. Wyssał magię z otchłanca niczym sok z pomarańczy i odzyskawszy w mig siły, rozdarł jego martwe ciało.

Zanim demony umysłu zareagowały, Arlen odwrócił się ku rosnącej stercie pokrytych śluzem jaj. Przez półprzejryste ścianki widział wijące się, pulsujące demoniczne larwy. Opanowawszy obrzydzenie, Arlen wyrysował linię runów uderzenia i przekazał w nie sporą część swojej mocy.

Strzępy rozerwanych eksplozją jaj i strugi gorącego płynu strzeliły na wszystkie strony, a Arlen już rysował kolejne potężne runy, tym razem gorąca. Symbole rozjarzyły się intensywniej niż pluniecie ognistego demona, a wtedy niedoszłe potomstwo królowej demonów zaatakował ogień. Płonące żywcem larwy wiły się i miotały, a ku wysokiemu sklepieniu jaskini buchnęły kłęby tłustego dymu.

Książęta umysłu wrzasnęły na ten widok, ale nic nie mogło równać się z reakcją samej królowej. Jej ryk spotężniał gwałtownie i nagle odnalazła w sobie nowe siły. Obróciła się, by móc podnieść się na króciutkich nóżkach, i ruszyła ku Arlenowi, aż znalazła się na tyle blisko, by zaatakować ogonem.

Arlen próbował unikać jej ciosów, ale ataki Alagai'ting Ka okazały się o wiele szybsze, niżby kiedykolwiek przypuszczał. Pchnął moc w runy ochronne na skórze, ale nie mogły zapewnić mu ochrony przed samą królową. Dwa kolce wbiły się w jego bok i zaczęły pompować gorącą truciznę do jego ciała.

Arlen miał wrażenie, że przełyka wrzący kwas. Sparaliżowany bólem, czuł, jak jego wnętrzności topnieją. Nogi ugięły się pod nim i osunął się na ziemię.

– Par'chin! – Jardir doskoczył do niego w mgnieniu oka. Wzniósł dłoń i ciął nią niczym maczetą po siatkowanym ciełe pod jadowymi kolcami. Runy cięcia wyrysowane bliznami wzdłuż małego palca

oraz krawędzi dłoni zajaśniały i odrąbały królowej ogon. Jadir natychmiast wyrwał z ciała Arlena kolce. Te nadal tryskały jadem, który syczał i dymił w zetknięciu z kamiennym podłożem.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Bales przywołał resztki magii, by zneutralizować jad, ale trucizna w jego organizmie stawiała zaciekle opór, silna dzięki własnej mrocznej magii. Widział w aurze Jardira desperację, by przyjść mu z pomocą, ale przecież musiał jednocześnie stawić czoła nieprzyjaciołom, którzy zacieśniali krąg wokół nich.

– Walcz, synu Jepha! – krzyknął Jardir. – Los Ala zawisł na nitce!

Arlen jednak czuł, że jego walka powoli dobiega końca. Wypychał jad z ran, lecz ciemny, mroczny płyn rozlewał się w nim nadal niczym ogniste pluniecie i topił wewnętrznosci, które zamieniały się w cuchnący szlam. Jad krążył mu w żyłach, wykorzystując serce przeciwko niemu.

Napór demonów przybierał na sile i samotny Jardir musiał porzucić towarzysza, by skupić się na odpieraniu ataków. Arlen oparł się na ramieniu, a potem spróbował wstać. Jaskinia zawirowała. Bales nie wiedział już, gdzie jest dół, a gdzie góra, i zrozumiał, że nie zdoła już nawet podnieść się na nogi.



– Teraz cicho! – Renna naciągnęła płaszcz niewidzialności i wraz z Shanvah i Shanjatem wkradli się do jaskini, w której królowa demonów składała jaja.

Shanvah śpiewała od wielu godzin, a jej głos nadal pozostawał krystalicznie czysty. Dopóki śpiewała, trójka zamachowców zlewała się w jedno z tunelami, ciemnością i skałami. Otchłańce, w pełni skupione na walce z Arlenem i Jardirem, nie zwracały zresztą na nic uwagi.

Przemykali pod ścianami, okrążając ogromną komorę. Instynkt Renny wył dziko i namawiał ją, by skoczyła do walki, ale dziewczyna wiedziała, że wobec takiej przewagi nie mieli najmniejszych szans. Wraz z dwojgiem *Sharum* stanowiliby ciężki

orzech do zgryzienia dla każdego przeciwnika i gdyby wsparli Arlena i Jardira, ci wytrzymaliby napór nieco dłużej, ale w ten sposób odwlekłoby się tylko to, co i tak musiało się wydarzyć.

Przeszyło ją drzenie, gdy ujrzała, jak ogon królowej ugodził Arlena, ale zacisnęła zęby i pomknęła naprzód. Jej wzrok był wbity w jedyną rzecz, która teraz miała jakiegokolwiek znaczenie.

Włócznia Kajiego leżała zapomniana, daleko od walczących. Jardir nie mógł do niej podejść, a demony nie były w stanie jej podnieść.

Renna przełknęła ślinę. Z trudem panowała nad instynktem, który nakazywał jej rzucić się do biegu. Królowa i demony umysłu skupili uwagę na obu wojownikach, ale nawet płaszcz i pieśń Shanvah stanowiły w tym momencie kiepską gwarancję. Ich magia działała najlepiej, gdy osłaniany przez nie człowiek stał nieruchomo lub poruszał się powoli, dobrze odmierzonymi krokami.

Dziecko wiło się w brzuchu Renny, a ona zastanawiała się, czy podjęta właśnie szalona, desperacka, być może głupia decyzja nie rozstrzygnie o losie syna, męża, jej samej oraz jej przyjaciół.

Włócznia znajdowała się w odległości kilkunastu kroków. Potem dziesięciu. Pięciu. Jednego.

Renna podniosła broń i natychmiast poczuła przypływ mocy bijącej od prastarego artefaktu. Wówczas zerwała się, wzmocniła swoje siły magią i rzuciła się do biegu. Wyskoczyła.

Królowa spostrzegła ją w ostatniej chwili. Smagnęła ogonem z niewyobrażalną prędkością i w okamgnieniu odebrałaby Rennie życie, gdyby kolce nie zostały odrąbane przez Jardira. Kikut uderzył w dziewczynę z wielką siłą i obryzgał ją juchą, ale Renna zdołała obrócić się w powietrzu, ani na moment nie tracąc celu z oczu.

Ułamek chwili później jaskinią wstrząsnął przeraźliwy wrzask królowej, gdy Renna wbiła jej Włócznię Kajiego w ślepię.

Oko eksplodowało, obryzgując Rennie śluzem. Królowa targnęła dziko łbem i kłapnęła potężnymi szczękami, usiłując ją pochwycić, ale dziewczyna złapała się jednego z rogów na czaszce i trzymała mocno, z desperacją odpychając kły kopnięciami. Drugą ręką

próbowała wbić Włócznie Kajiego jeszcze głębiej.

Broń zaś wydawała się teraz żyć własnym życiem. Runy jaśniały coraz mocniej, gdy włócznia pobierała moc królowej i zamieniała ją w fale zabójczej magii. Drzewce stało się tak gorące, że Renna musiała je puścić, choć wykuty na nim wzór zdążył się wypalić na jej dłoni.

– *Inevera!* – krzyknął Jardir.

Renna nie miała pojęcia, czy wzywa swoją żonę, czy też poleca się Stwórcy. W każdym razie naraz rozszerzył pole ochronne korony i rozpędził demony, a sam wykonał trzy potężne susy i wybił się w powietrze. W locie uderzył pięścią w koniec włóczni, czym wbił ją niczym potężny gwóźdź jeszcze mocniej w głąb czaszki królowej.

W odpowiedzi ciało Alagai'ting Ka przeszły konwulsje. Renna słyszała fale jej psychicznego wrzasku, powtórnego przez księżęta i ich zmiennokształtne. Demony próbowały uciekać, ale Shanvah i jej ojciec czekali w pogotowiu. Ich włócznie trafiały w sam środek zimnych, mrocznych serc potworów. Renna zaś zeskoczyła z drgającego ciała królowej i wylądowała w przykłęku, by wyrysować runy gorąca i uderzenia i dobić nimi pozostałe otchłańce.

Jardir również zaczął kreślić symbole. Zawalił wejście do głównego tunelu, by odciąć drogę przerażonym, zdezorientowanym demonom, wycinanym w pień przez Rennę i Shanjata. Arlen wciąż leżał wsparty na jednym ramieniu, ale Renna widziała, że pobiera moc, by spalić jad królowej.

Przez chwilę wydawało jej się, że wygrali.

Wówczas królowa wydała ostatni jęk i zaległa nieruchomo. Drogi rodne rozchyliły się, uwalniając wielką, dygoczącą masę jaj, które skąpane w śluzie i innych płynach, rozlały się daleko po podłożu. Cuchnęły i parowały, ale nie stanowiły żadnego zagrożenia do chwili, gdy pojawiły się ostatnie z nich.

Z łona martwej królowej wystrzeliło sześć ogromnych jaj, które pękły w kontakcie z powietrzem. Renna natychmiast zrozumiała, że to młode królowe, o których mówił Alagai Ka. W przeciwieństwie

do dojrzałej, rozdętej samicy, którą zabiła Renna, te były zwinne, szybkie i gotowe do walki. Przemieszczały się na potężnych odnóżach, a ich siatkowane ogony poruszały się, jakby same dysponowały rozumem. Z kolców ściekała trucizna.

Ocalałe demony umysłu zasyczały z zachwytem. Jeden z nich, śmielszy od pozostałych, rzucił się ku samicom z wyciągniętymi szponami, jakby miał nadzieję, że zdoła którąś pochwycić i umknąć.

Ta ukąsiła go bez wahania. Książę odrzucił głowę do tyłu, na jego wargach pojawiła się piana. Zaraz runął na ziemię, dygocząc i miotając się w konwulsjach.

Młodziutki królowe nadal były małe, niewiele większe od samej Renny, wciąż oszołomione po nagłym wykluciu, a przez to bezbronne. Renna wyszarpnęła nóż i ruszyła szybko w ich stronę, gotowa rozwiązać problem raz na zawsze.

Wtedy królowe zaczęły jaśnieć.

Ich aury natychmiast napełniły się blaskiem, gdy ssały magię martwej królowej niczym niemowlęta przy piersi matki. W tym samym momencie zaczęły rosnąć. Chwilę później były już rozmiarów konia. Potem skalnych demonów, a nadal pobierały moc.

Jak jedna odwróciły się ku Rennie, a dziewczyna cofnęła się z przerażeniem. W ślepiach młodych królowych jaśniała inteligencja, która wydawała się dorównywać mocy zebranej w aurach. Alagai Ka powiedział, że świeżo wyklute królowe natychmiast rzucą się do walki ze sobą i będą toczyć zmagania, aż pozostanie tylko jedna, ale wyglądało na to, że w obliczu wspólnego zagrożenia są gotowe przełożyć to na plan dalszy.

Jedna z królowych skoczyła na Rennie. Wzdłuż jej ciała rozwinęły się lepkie od śluzu skrzydła, którymi zatrzepotała z furją w powietrzu, błyskawicznie pokonując dystans. Renna pobrała moc, by stawić jej czoła, ale dziecko naraz zaczęło kopać i Renna zachwiała się. Magia uciekła.

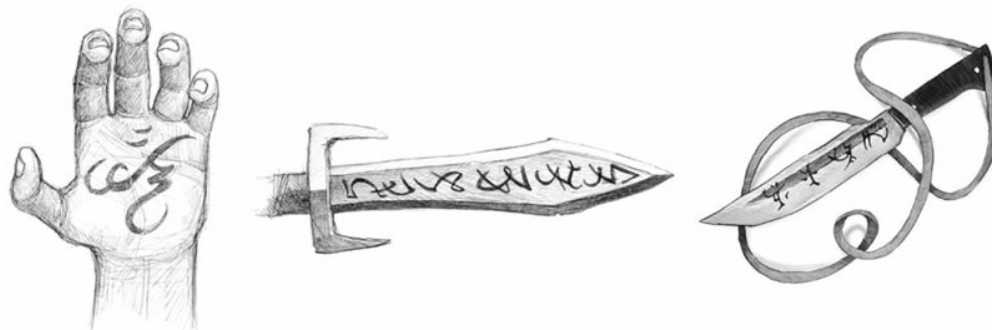
– Zabij! – Shanvah wskazała królową włócznią, wtedy Shanjat wyskoczył i pchnął młodą królową w powietrzu. Jego broń przebiła pancerz i zagłębiła się w jej boku, ale demonica nie zwróciła na to

uwagi. Tarcza Shanjata wykonana była z grubej, wzmocnionej runami stali, ale królowa rozdarła ją, jakby był to papier, wyrywając przy tym mężczyźnie ramię. Ułamek chwili później kłapnęła szczękami, pochwyciła wojownika i pochłonięła go trzema szybkimi kęsami.

Shanvah wrzasnęła. Nie był to żalosny szloch pogrążonej w żałobie córki, ale pełna moc jej magicznie wzmocnionego głosu. Pchnęła go niczym falę uderzeniową na królowe, chcąc je odepchnąć, gdy sama rzuciła się do walki.

Jej głos jednak okazał się wobec nich równie nieskuteczny jak tarcza Shanjata, a być może tylko je rozgniewał. Jedna z królowych skoczyła na *Sharum'ting*, a Renną mogła tylko patrzeć bezradnie, jak Shanvah zostaje rozerwana na dwie części.





## 43

### Otchłań

334 ROK PLAGI

Arlen poczuł kolejną falę mdłości i odchrząknął, próbując się pozbyć ohydneho posmaku. Coś zbierało się w jego przełyku, coś palącego i duszącego. Rozkaszłał się i wypluł czarną, gęstą ciecz, która zasyczała i zadymiała na kamieniach. Wszystko zaczęło wirować. Renna, Jardir, pozostałe demony...

– Do mnie! – krzyknął Jardir i rozszerzył pole ochronne korony.

Renna, potykając się, ruszyła ku niemu, lecz Arlen wiedział, że moc korony nie pomoże im bardziej niż pieśń Shanvah czy tarcza Shanjata. Nie było przecież runów chroniących przed królową. Wystarczy, by uciekły z jednym z książąt, a ustalą nowy porządek i cała Thesa znów ucierpi. Jeśli uda się to więcej niż jednemu demonowi umysłu, wszyscy ludzie na świecie, wszyscy, których znał i kochał, będą skazani na zagładę.

Alagai Ka dalej nie było. Czyżby demon zaplanował to wszystko?

Czyżby wiedział, do czego dojdzie, gdy zabiją królową? Czy jego zamiarem od samego początku było zakończenie rządów poprzedniej Alagai'ting Ka i rozpoczęcie nowej dynastii? Rozejrzał się, jakby się spodziewał, że król demonów się pojawi, ale w panującym zamieszaniu nie było żadnych śladów.

Czas wydawał się rozciągać. Świat unosił się wokół Arlena niczym przedstawienie Minstrela, na które przestał zwracać uwagę. Czyżby właśnie nadszedł koniec?

Potrząsnął głową, próbując się skupić na chwili obecnej, ale zamiast tego jego myśli umknęły ku przeszłości.

„Nawet nie udaję, że widzę ścieżkę, którą powinniśmy podążać” – powiedział mu Opiekun Jona przed bitwą o Zakątek Drwali. „Ale wiem, że gdzieś tu jest. Za jakiś czas pomyślimy o tej chwili i będziemy sobie wyrzucać, że ją przeoczyliśmy”.

Wówczas Arlen uznał słowa Jony za głupie gadanie, ale teraz odnosił wrażenie, że wszystko w jego życiu nieubłagane prowadziło do tego momentu, jakby jego los został starannie zaplanowany przez przeznaczenie. Śmierć matki, odnalezienie Włóczni Kajiego, zdrada Jardira, zaraza w Zakątku Drwali. Każdy ów moment wydawał się kamieniem milowym prowadzącym prosto ku tej chwili. I wszystko pójdzie na marne, jeśli nie zwyciężą.

Jedna z królowych na próbę trąciła nosem pole ochronne Jardira, które zamigotało niczym woda opromieniona słońcem. Napała mocniej i po barierze rozeszły się koncentryczne kręgi blasku. Cofnęła się, by dołączyć do sióstr, nieustannie pobierających moc z ciała martwej matki, ale nie było wątpliwości, że z chwilą, gdy w zewłoku zabraknie magii, młodych królowych nie powstrzyma już nic.

– Ren – szepnął Arlen.

Renna padła na kolano i otoczyła Arlena ramieniem, by pomóc mu usiąść.

– Trzymaj się! Wszystko będzie dobrze! – szepnęła.

– Nie. – Arlen wczepił się w jej rękę, ale jego dłoń była słaba i drżąca. – Ten jad mnie załatwił.

Renna otoczyła go drugim ramieniem.

– A więc znajdź jakiś sposób, żeby ją powstrzymać. Ją i to wszystko. Zawsze ci się udaje!

Arlen zakaszłał. Zaczął dygotać, a mięśnie co rusz łapały skurcze, ale zacisnął zęby i wykrztusił:

– Mam sposób. Nadal ją słyszę.

Renna zamarła.

– Otchłań?

– Tak – wyszeptał Arlen. – Chyba nadeszła chwila, żebym się z nią spotkał osobiście.

Jardir odwrócił się ku niemu.

– Par'chin...

– Przestań wygadywać bzdury! – zawołała Renna. – Przecież stamtąd się już nie wraca!

– Wiem – odparł Arlen.

Renna uścisnęła go, ale ciało Arlena drętwiało i ledwie poczuł jej dotyk.

– Idę z tobą – powiedziała stanowczo Renna.

– Nie – szepnął błagalnie. – Nie rób tego.

– Złożyłam przecież przysięgę! – warknęła. – Obiecałam, że nigdy nie pozwolę, żebyś mnie pozostawił, Arlenie Bales.

Arlen z trudem uniósł obumierającą dłoń i dotknął brzucha dziewczyny. Widział, że palcami muska skórę, ale nie czuł już dotyku.

– Nie podejmuj takich decyzji za naszego syna.

Świat rozmył się, gdy oczy zaszklily mu łzy. Pierwsze spłynęły po policzkach i zasyczały w kontakcie z jadem na ustach.

– Nie mogę cię stracić – szepnęła Renna.

– I nie stracisz. Niczego nie tracisz. Otchłań ściągnie cię do mnie, gdy nadejdzie czas, a ja będę czekać. Teraz chcę, żebyś kochała nasze dziecko za nas dwoje.

Kłamał. Podobnie jak Renna czy Jardir nie miał pojęcia, co czeka go po drugiej stronie, ale być może udało mu się odgadnąć prawdę, a teraz wszyscy woleli w nią uwierzyć. Renna zaszlochała i ujęła twarz Arlena w dłoń.

– Będę go kochać jeszcze mocniej. Będę go kochać za wszystkich

ludzi na świecie, których uratował jego tatuś.

– Jeśli się nie mylisz, Par’chin – rzekł Jardir – a Niebo w istocie jest raczej pod nami niż nad nami, wkrótce spotkasz się z Everamem i będziesz wieczerzał przy Jego wielkim stole.

– Napraw wszystko na powierzchni – wyszeptał ledwie słyszalnym głosem Arlen. – Obiecuj.

– Przysięgam, Par’chin. Sharak Suun dobiegła już końca.

Arlen poczuł, że życie mu umyka. Jego zmysły przygasały jeden po drugim. Stał się ślepy. Potem głuchy. Stracił czucie.

Lecz nadal czuł w sobie ryk Otchłani, który wibrował i odbijał się echem w jego magii. Nadal więc był prawdziwym Arlenem Balesem, a nie jedynie ciałem, które zamieszkiwał.

Otchłań ściągała go, wabiła, oferowała mu jednocześnie wszystko i nic, ciepło, bezpieczeństwo i nieskończone możliwości.

Od lat Otchłań wołała go co noc i za każdym razem było mu trudniej się oprzeć. Teraz wreszcie ustąpił i odpowiedział na jej zew. Rozpłynął się, zdematerializował i pozwolił, by Otchłań go wciągnęła.



Mknął w dół, coraz głębiej w dół. By dotrzeć do komory, w której królowa składała jaja, wędrowali długimi tygodniami w głąb ziemi, a teraz unosiła się nad nim niczym samo niebo. Pogrążał się w Otchłań i pobierał jej moc, choć miał wrażenie, że zaraz go rozsadzi.

Nie czuł bólu, a jedynie narastającą pokusę, by się odprężyć i pozwolić, by prądy magii porwały go i stopiły z całością.

Naraz Arlen uświadomił sobie, że nie pragnie nic innego. Że odda wszystko, by stać się częścią tej pięknej harmonii. Była to wszak esencja samego życia, surowa i wszechpotężna, przenikająca do świata na powierzchni.

Sięgnął świadomością najdalej jak umiał i odczytał magię

płynącą niezliczonymi strumieniami ku powierzchni i wracającą w dół. Odczytał krwiobieg Ala.

Świat był o wiele większy, niż kiedykolwiek przypuszczał. Ziemię, które przemierzył przez całe swoje życie, były jedynie drobną cząsteczką oszałamiającej całości. Widział oceany, wyspy i odległe kontynenty. Przez chwilę jego umysł był wszędzie naraz.

Czuł, jak Otchłań go ciągnie, jak próbuje rozpuścić jego świadomość jeszcze bardziej, jak chce wtopić go w jedną jedyną, wszechwiedzącą całość.

Naraz wszystko wydało mu się jasne. Zrozumiał, czym jest życie. Pojął proste piękno jego powstawania i kruchość egzystencji. Magia była surowym żywiołem, ale nie posiadała świadomości, nie dysponowała wolą, która mogłaby ją wiązać i przetwarzać. Wypływała więc z Otchłani, by szukać i woli, i świadomości, a gdy nie mogła nigdzie na nie natrafić, sama zaczynała je tworzyć.

Jako pierwsze powstawały istoty zbyt małe, by móc je ujrzeć, potem stworzenia coraz bardziej złożone, aż w końcu te, które cechowała prawdziwa świadomość, na tyle silna, by móc odcisnąć się na losach świata.

To nie Stwórca dał ludziom runy. To ludzie je stworzyli, kierowani wspólną potrzebą. Same z siebie owe znaki nie dysponowały żadną mocą, ale otrzymały ją dzięki determinacji swych twórców oraz nadziei i modlitw mas ludzi, które za nimi stały. Te tłumy wspólnie pobierały magię i nadawały jej kształt, a uformowana magia wracała do Otchłani, gdzie znów stawała się częścią całości. Czy istniała jakakolwiek wola na tyle potężna, by nadać kształt takiemu bezmiarowi? Łatwiej grabiami przeczesać krasjańską pustynię. Łatwiej opróżnić ocean wiadrzem.

Jad królowej znikł, gdy Arlen się zdematerializował, ale czuł, że nadal topnieje. Otchłań nieubłaganie targała jego wolą i Arlen wiedział, że nigdy nie ustanie. Zawsze będzie chciała go wciągnąć. Opór był bezcelowy.

Nie czuł tu bólu, był wolny od cierpień. Zawsze walczył ze śmiercią i robił wszystko, by utrzymać siebie i innych z dala od samotnej ścieżki. Teraz nią podążał, a z jego serca zniknęły wszelkie

troski. Nie chciał się już opierać. Przestał się szamotać. Pozwalał, by Otchłani otoczyła go i pociągnęła za sobą w głąb serca Ala.

„Nie opuszczaj mnie, Arlenie Bales!”

Te słowa niespodziewanie szarpnęły jego świadomością i zniszczyły uwodzicielski czar Otchłani, któremu właśnie uległ. Czy naprawdę usłyszał słowa Renny? Jak, skoro nie miał już uszu? Nie miał ciała? Czy odczytał to dzięki jednemu z prądów, czy może słowa nadbiegły z jego wspomnień?

Zresztą czy miało to jakieś znaczenie?

Chwilę temu był gotów na samotną ścieżkę. Był gotów na spotkanie z Everamem, Stwórcą, ze wszechogarniającym zapomnieniem. Naraz miał jednak świadomość, że przypomniał mu się sen, zapomniany w chwili przebudzenia. Jego myśli pomknęły ku Rennie. Ku Jardirowi. Ku synowi.

Ile czasu upłynęło, odkąd się rozplątał? Godziny? Dni? Lata? Arlen zebrał wolę i znów stał się jednością. Znów był osobą, dryfującą pośród nieskończoności. Nie było stąd ucieczki. Wiedział, że może się opierać Otchłani jeszcze moment, a potem będzie musiał ulec.

Sięgnął ponownie, tym razem ostrożniej, i odczytał prądy dobiegające z roju. Upłynęła ledwie chwila, a teraz, zawieszony wśród magii, mógł patrzeć niczym przez okno na to, co się działo w komorze lęgowej, pozostawionej wiele mil za nim.



Jardir ponownie sięgnął po runy, by wezwać Włócznie Kajiego, ale broń utknęła w ciele martwej królowej i nie mogła do niego powrócić.

Młode królowe wysssały już resztki magii z ciała matki i górując nad innymi demonami, podeszły na skraj pola ochronnego wytworzonego przez koronę. Napierały na nie ze wszystkich stron. Magia paliła ich ciała i rozbudziła wściekłość, ale bynajmniej ich

nie spowolniła.

Jedna z królowych skoczyła na Jardira, który pochwycił ją za szczypcę i wykorzystał jej pęd przeciwko niej, a jednocześnie zwinnie uniknął jadowego ogona. Wymierzył kilka mocnych ciosów pięściami, ale na królowej nie zrobiło to większego wrażenia i uderzyła w Jardira ogonem.

Mężczyzna przetoczył się i zerwał w porę, by uniknąć kolejnego uderzenia.

Everamie, zaczął, ale urwał. Nie miał pojęcia, o co prosić. Zresztą jaki sens miała modlitwa? Stwórca istniał lub nie. Przyjdzie mu z pomocą bądź tego nie uczyni.



Arlen pobrał moc przez królowe i je odczytał. Ich natura okazała się niezwykle prosta, wręcz banalna. Czuł się jak ślepiec, który po raz pierwszy przejrzał na oczy.

Nie mógł powrócić do przyjaciół, ale pozostało mu wystarczająco siły woli, by pchnąć magię płynącą z Otchłani prosto do jaskini.

Nie było runów, które chroniły przed królowymi. Nie oznaczało to jednak, że nie można ich stworzyć.



Renna cisnęła nożem w ślepię królowej. Dygocząca od impetu rękojeść zajaśniała równie mocno jak Włócznia Kajiego, pobierając moc królowej i przekształcając ją w zabójczą magię.

Rana nie zdołała jednak spowolnić demonicy, która rozjuszona uderzyła jadowym ogonem. Renna zdołała uniknąć ciosu i w porę oplotła ogon naszyjnikiem z runicznych otoczków. Ten osiadł w zagłębieniu między segmentami ogona i dziewczyna szarpnęła

z całej siły.

Nigdy nie spotkała istoty, która dorównywałaby jej siłą. Demonica szarpnęła ogonem, a Renna, która wcześniej oplotła dłonie rzemieniem naszyjnika, poleciała na ziemię. Kątem oka ujrzała rozwartą paszczę.

W ostatniej chwili uwagę królowej przyciągnął rozbłysk światła. W powietrzu pojawił się symbol wyrysowany srebrnym ogniem. Linie z początku drżały i rozmazywały się niczym ciało zmiennokształtnego demona, lecz po chwili zaczęły stygnąć i krzepnąć. Królowa cofnęła się z wrzaskiem.

Wokół pojawiły się kolejne symbole, które wnet otoczyły całą komorę. Miały wiele wspólnego z runami umysłu i zmiennokształtności, a utworzony przez nie krąg słał zabójczą magię do środka.



Arlen zacieśnił krąg, a demonice wrzeszczały, wiły się i płonęły. Niczym owładnięty żądzą niszczenia człowiek, który miażdży mrówki oblażące mu dłoń, niszczył każdego demona w komorze, od jaj aż po królowe.

Renna i Jardir byli na razie bezpieczni, ale Arlenowi to nie wystarczyło. Rozszerzył swoją moc na cały rój. Oczyszczył podziemia z demonów i zniszczył przyszłe pokolenia w wylęgarni.

Wciąż mógł zrobić więcej. Władał wszak nieskończoną mocą i był połączony z każdym mieszkańcem Thesy, który walczył z otchłańcami. Znów rozszerzył swoją świadomość, odnalazł przyjaciół oraz wrogów i pchnął ku nim strumienie nieskończonej magii Otchłani.

Dopadł otchłańce, które skryły się w podziemiach Miln, przerażone muzyką katedralnych organów, i stworzył runy, które przegnały je z tuneli.

Pojawił się nad rzeką Angiers, gdzie armia Gareda Rębacza



desperacko opierała się wrogim hordom, i wyrysował na niebie runy, który spaliły nacierające demony na wiór.

Niczym zeszlą trawę skosił bestie, które tłoczyły się na skrajach wielkiego runu Zakątka.

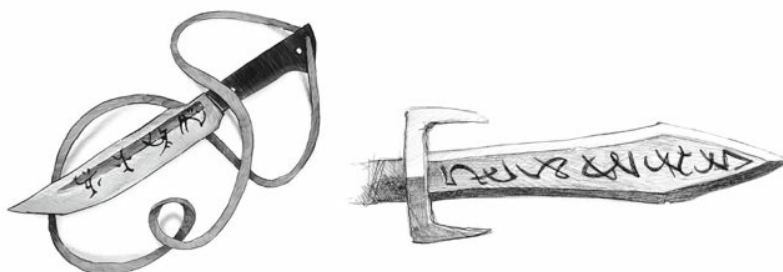
Wygubił co do jednego potwory, które grasowały w obrębie Potoku Tibbeta.

Na oczach Inevery, walczącej na ulicach Dokowiska, przyniósł zagładę dzikim watahom, które kontynuowały natarcie na miasto.

Sięgnął nawet do Lenna Everama, gdzie Amanvah i Asome prowadzili *Sharum* do walki przeciwko legionom dowodzonym przez księżęta demonów, i stworzył runy, których otchłańce nie mogły zignorować. Padały i kuliły się na ziemi, ich ciała dymiły, a krew wrzała.

Wciąż było mu za mało. Sięgał coraz dalej, by zniszczyć je wszystkie.

Aż nagle uświadomił sobie, że sięgnął zbyt daleko. Jego istota nadal wtapiała się w Otchłań, a on rozrzedzał się i rozciągał, aż odkrył, że nie zostało z niego praktycznie nic. Znów zapomniał o oddychaniu. Raz jeszcze wciągnął w siebie magię, czując obecność Renny i swojego nienarodzonego syna, a potem pozwolił, by zabrała go Otchłań.



## 44

# Zrodzony w Ciemnościach

334 ROK PLAGI

**A**rlen! Runy otaczające komorę zaczęły przygasać, ale Renna, zaciskając oczy, wciąż widziała ich ślady.

– Arlenie Bales, wracaj do mnie! Nie dam sobie rady bez ciebie!

Adrenalina wciąż krążyła w jej żyłach, przyprawiając o mdłości i zawroty głowy. Komora była pusta, nie licząc jej, Jardira, ciała jej przyjaciół oraz trupów ich wrogów. Powietrze cuchnęło.

Jardir podszedł do prastarej królowej i wepchnął dłoń w jej oczodół. Wsunął ją niemal po łokieć, aż wreszcie namacał Włóczęgię Kajiego. Gdy ją wyciągnął, broń była śliska od juchy i mieniła się magią. Powrócił do Renny i położył dłoń na jej ramieniu.

– Syn Jepha zginął z honorem. Chwała twojego męża nie ma granic.

– Gdzieś mam to wszystko! – odparła Renna. – Ja chcę go

z powrotem!

– Nie sędzę, żeby on kiedykolwiek powrócił – rzekł Jardir. – A my nie możemy tu zostać.

Renna wiedziała, że Ahmann się nie myli, ale podłoga wydawała się przechylać, a niezliczone tony skał nad głową przygniatały ją coraz mocniej. Padła na kolana, nie mogąc złapać tchu. Mdłości były coraz silniejsze, a w piersi czuła ucisk. Ze wszystkich sił usiłowała oddychać.

Poczuła wilgoć między nogami.

– Na Stwórcę, nie – szepnęła. Dotknęła nogi, a potem spojrzała na coraz większą kałużę u swoich stóp. – Nie tu, nie teraz.

Jardir spojrzał na Rennę i wszystko zrozumiał. Jeden z klejnotów na koronie zapłonął łagodnym światłem i pole ochronne, zniszczone przez atakujące królowe, znów zabezpieczyło całą jaskinię. Jardir uklęknął przy wojownicze, odłożył włócznie i ujął dłonie dziewczyny.

– Odpędź niepokój, Renno jiwah Arlen am'Bales am'Potok. Twój mąż był moim *ajin'pal*, moim bratem we krwi. Nie jestem nim, ale będę zaszczycony, mogąc zastąpić go u twojego boku. Nie jesteś sama.

Mówił łagodnie, a aura jaśniała szczerością. Był gotów bronić Renny niczym własnej żony, a jej dziecka niczym własnego syna. Renna chciała coś odpowiedzieć, lecz wtedy pojawił się pierwszy skurcz. Zacisnęła zęby i jęknęła, Jardir trzymał jej dłonie do chwili, gdy boleść ustąpiła. Nie powiedział ani słowa, zamiast tego oddychał równo, miarowo, zachęcając ją przykładem, by zrobiła to samo.

– Masz dużo dzieci, co? – spytała, gdy skurcz minął. – Robiłeś to już kiedyś?

Jardir pokręcił głową.

– Nigdy. Przyjmowanie porodów to domena *dama'ting*. Ale nie wierzę w to, żeby Everam i Wybawiciel przeprowadzili nas przez taki mrok tylko po to, by porzucić nas teraz.

Renna ścisnęła mu rękę.

– Jeśli stąd wyjdziemy, to ty będziesz pieprzonym

Wybawicielem, Ahmann.



Kilka tygodni później Jardir wyłonił się z paszczy Otchłani. Krok za nim podążała Renna, trzymając Darina Balesa w chuście pod pierś. Malec spał zadowolony z brzuszkiem pełnym mleka.

Skalne sufity, które przygniatały ludzi samą swoją obecnością, ustąpiły wreszcie miejsca otwartemu niebu, skrzącemu się promieniami słońca. Jardir wyprostował się i po raz pierwszy od wielu miesięcy zaczerpnął haust świeżego powietrza.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Renna też się wyprostowała, mrużąc oczy i wyciągając ręce ku niebu.

– Szkoda, że mieszkańcy podziemi nie mogą tego ujrzeć – powiedziała.

Jardir wrócił myślami do *alamen fae*, wolnych po raz pierwszy od tysięcy lat.

– Zaginione dusze armii Kajiego nie są jeszcze gotowe, żeby ujrzeć słońce, ale ów dzień kiedyś nadejdzie. Wyślę zbrojne oddziały, żeby odzyskały Włócznie Ala, a wraz z nimi wysłanników, żeby sprowadzili *alamen fae* do naszego świata, tylko najpierw muszę odzyskać Tron z Czaszek.

Renna przytaknęła, gładząc główkę Darina.

– Jakie to teraz wydaje się proste.

– A ty? Dokąd się udasz?

– Chyba do domu, jeśli jeszcze stoi. Mój synek ma rodzinę, która powita go z radością. A potem... – Renna wzruszyła ramionami. – Chciałam rozpocząć z Arlenem nowe życie w Zakątku, ale nie wiem, czy wciąż znajdę tam miejsce dla siebie.

– Zawsze znajdziesz dla siebie miejsce u mnie – rzekł Jardir.

– Jako kto? Twoja szesnasta żona? – zaśmiała się Renna.

– Jeśli sobie tego zażyczysz – odparł Jardir poważnie. – Wedle zwyczaju panującego wśród moich rodaków wojownik często poślubia wdowę po swoim *ajin’pal*. Stanowi to wielki zaszczyt. Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony, gdyż nie będę nawet próbował cię tknąć, ale przysięga ślubna zapewni ci bezpieczeństwo i szacunek ze strony moich rodaków po kres twoich dni.

– Tego, że będziesz mnie dotykać, jakoś się nie boję – mruknęła Renna. – Po tym, co widziałeś, każdemu mężczyźnie zwiędłaby włócznia. Ale czy ty aby nie musisz wyjednać zgody u swojej Jiwah Ka, żeby składać mi takie propozycje?

– Inevera od zawsze wiedziała, że Par’chin był kimś szczególnym – rzekł Jardir.

– Aha – zgodziła się Renna. – I to dlatego namówiła cię, żebyś go zabił? Coś mi się nie wydaje, żeby chciała mnie jako swoją siostrę-

żonę, a ja nie sądzę, żebym chciała być czyjąkolwiek *Jiwah Sen*.

– To nie ma znaczenia – powiedział Jardir. – Jesteś Pierwszą Żoną Wybawiciela i to ty wbiłaś włócznię w oko Alagai'ting Ka. Po kres swoich dni będziesz cieszyć się wielkim uznaniem mojego ludu.

– Nadal nie kupuję tej gadaniny o Wybawicielu – rzekła Renna. – Arlen robił to, co do niego należało, i tyle. Nie oznacza to, że zesłało go Niebo.

– Być może – zgodził się Jardir. – Niebo. Everam. Wybawiciel. Te słowa mają teraz inne znaczenie, ale ja nadal nie przestaję myśleć o tym, co się wydarzyło, i nadal nie mogę nazwać tego zbiegiem okoliczności czy przypadkiem.

– Zgadza się. – Renna pokiwała głową. – Dzięki za propozycję, Ahmannie. Jestem ci wdzięczna, ale chyba nadszedł czas, żebym znalazła sobie własne miejsce na świecie.

– Oczywiście. – Jardir wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął jasne włoski z buzi śpiącego dziecka. – Modłę się jednak o to, żeby nasze ścieżki przecięły się od czasu do czasu. Chciałbym patrzeć, jak twoje dziecko dorasta, i obdarzać go wszelkimi zaszczytami w mojej mocy, zarówno teraz, jak i po latach.

– Myślisz, że już po wszystkim? – spytała Renna.

Rój został zniszczony, a nieliczne demony, na które natrafili w drodze na powierzchnię, umykały przed nimi.

– Światło zawsze będzie toczyć wojny z ciemnością – odparł Jardir. – Substancja zawsze będzie wrogiem próżni i pustki. Mamy jednak szansę, żeby wzmocnić nasze więzi, rozszerzyć bariery i wkroczyć w nową erę pokoju.



## 45

### Pakt

335 ROK PLAGI

**Z**acne powozy książęcych rodzin, które nadciągały z całej Thesy i Krasji, przybywały do Zakątka i jeden po drugim zatrzymywały się przed pałacem Leeshy, gdzie wysiadali z nich goście.

Pierwsi przybyli Angieriańczycy – księżna Araine, Melny oraz jej malutki synek, Rhinebeck Czwarty.

– Mały drze się dzień i noc – narzekała Araine, ale Leesha widziała, że tak naprawdę księżnej matce wcale to nie przeszkadza. Dochodziła wreszcie do pełni sił i wyglądała o wiele lepiej niż kilka miesięcy wcześniej, a Angiers pod jej czujnym okiem powoli podnosiło się z ruin. Księżnej jak zwykle towarzyszył Pawł, co wzbudziło lekką obawę w sercu Leeshy. Nie mogła zapomnieć słów, które wypowiadał, gdy znajdował się pod władzą demona.

W drugiej kolejności przybyli Laktończycy. Isanowi towarzyszyli



jego najznacniejsi Dokmistrzowie oraz kapitanowie Dehlia i Qeran.

– Bądź pozdrowiony, książę Isanie – powitała go.

– *Damaji* Isanie – poprawił ją Laktończyk. – A przynajmniej do chwili podpisania nowego paktu.

Kilka dni później przybyli książę Ragen i księżna Elissa. Leesha wiedziała, czego się ma spodziewać, ale mimo to poczuła ukłucie bólu na widok utykającej Elissy, wspartej na mocnym ramieniu Rageny.

– Mogę ci podstawić fotel na kółkach – szepnęła kobiecie do ucha, gdy objęła ją na powitanie.

– Nie, dziękuję – odparła Elissa. – Ostatnio spędzam i tak za dużo czasu, siedząc.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym cię zbadać po ceremonii – powiedziała Leesha. – Być może uda mi się zrobić coś, co twoim Zielarkom się nie udało.

Elissa uścisnęła jej dłoń.

– Być może. Ale przywykłam już do myśli, że są dolegliwości, których nawet magia nie wyleczy.

Abban przybył przed swoim panem, by przygotować przybycie Jardira. Gruby *khaffit* wspierał się teraz na dwóch kulach, uformowanych na podobieństwo wielbłądzich łbów, ale uśmiechał się szeroko.

– Na brodę Everama, jak miło cię ujrzyć, córko Erny'ego!

Leesha opanowała grymas niechęci na jego widok. Abban wywołał wiele nieszczęść, ale zawsze udzielał jej szczerych rad, a jeśli wierzyć plotkom, zapłacił słoną cenę za swoje błędy.

– Cieszę się, że doszedłeś do siebie, synu Chabina – powiedziała po krasjańsku.

Abban pochylił się najniżej, jak pozwalały mu na to kule.

– Jestem pełen podziwu, jak szybko opanowałaś nasz język.

– Miałam sporo okazji, żeby go ćwiczyć – mrugnęła do niego Leesha.

– Chcę cię ostrzec – rzekł Abban – że wraz z moim panem przybędzie Damajah.

– Oczywiście. – Leesha spodziewała się tego sama. – Byłoby przecież wielce niestosowne, gdyby Shar'Dama Ka przybył na ceremonię bez swojej Jiwah Ka, pełniącej rolę przyzwoitki.

Abban znów się uklonił.

– Widzę, że poznałaś nasze obyczaje równie dobrze jak nasz język.

Reszta Krasjan przybyła niebawem. Na spotkanie gwardii honorowej *dal'Sharum* wyjechał Gared na czele oddziału o równej liczebności. Leesha czekała na krasjańską delegację w sali audiencyjnej, lecz na ich widok zeszła z podwyższenia, by powitać ich w przyjaźni. Osłaniały ją Wonda i Stela, jak zwykle czujne i uważne.

Wśród Krasjan Leesha wypatrzyła Briara. Chłopak był czysty i zadbany, a do tego założył czarne szaty *Sharum*. Był niemalże nie do rozpoznania. Na ramieniu trzymał małe dziecko, a towarzyszyła mu *Sharum'ting* w białym turbanie.

– A to kto? – spytała Stela.

Leesha nie odpowiedziała. Przełknęła ślinę, by zdusić narastające wzruszenie, bo naraz ujrzała nadchodzącą Amanvah z malutką dziewczynką w ramionach. Obok niej szła Kendall, niosąc chłopczyka.

W końcu pojawili się Inevera i Ahmann. Wzrok Damajah był zimny, ale złożyła Leeshy pełen szacunku ukłon. Jardir, który prezentował się wspaniale, wręcz po królewsku, rozpromienił się i objął hrabinę pod bacznym spojrzeniem Inevery.

– Witaj, narzeczono.

– Przystaniesz wreszcie mnie tak nazywać? – spytała Leesha, ale umiała udawać, że się gniewa.

– Oczywiście. – Ahmann uśmiechnął się szeroko. – Gdy tylko zgodzisz się na moją propozycję małżeństwa.

– Będziesz musiał na to długo poczekać – rzekła Leesha. – Bo przybyłeś tu, żeby podpisać coś o wiele ważniejszego od kontraktu małżeńskiego.

Jardir czuł, jak Inevera jeży się, słysząc te słowa.

– Pod warunkiem, że ustalimy ostateczną...

– Zachowaj spokój, *jiwah* – powiedział Jardir. – Nie będzie już żadnych negocjacji. Chcę uczcić ten dzień moją szczodrością.

– Oddajesz im zbyt wiele! – syknęła Inevera cicho, by nie usłyszał jej nikt z mieszkańców Zakątka.

– Muszę się zgodzić z Damajah – rzekł Abban.

– Złożyłem obietnicę Par'chinowi – odparł głośno Jardir. – I chcę, żeby została dotrzymana. Bezzwłocznie.

Ceremonia nie trwała długo. Pierwszy minister Leeshy przygotował pięć kopii świeżo spisane Paktu Wolnych Miast, który oficjalnie zakończył Wojnę w Blasku Dnia. Jego sygnatariusze uznawali wzajemną suwerenność oraz niepodległość nowo powstałego księstwa Zakątka i odnowionego księstwa Lakton. Lenno Everama zostało oddane pod władanie Krasjan, ale wprowadzono w nim nowe prawa regulujące handel i traktowanie *chin*. Do paktu dołączono również deklarację wspólnych walk przeciwko demonom, lecz ta perspektywa wydawała się na razie odległa. Nieliczne ocalałe otchłānce były bowiem pozbawione przywództwa, a rosnące wielkie runy spychały je coraz dalej od terytoriów zamieszkałych przez ludzi.

Gdy wszystkie kopie zostały podpisane i poświadczone, pojawił się generał Gared Rębacz i klepnął Jardira w plecy z nadmierną poufałością, typową dla mieszkańców zielonych krain. Ochrona Jardira zeszywniała, ale Shar'Dama Ka nie dał im żadnych sygnałów do interwencji.

– Mężczyźni idą do salonu, żeby się napić i zapalić – powiedział Gared. – Chcecie z Abbanem do nas dołączyć?

Jardir zerknął na Ineverę.

– Idź, mężu – odparła szeptem. Magia kolczyka przekazała jej słowa bezpośrednio Ahmannowi, ale dostrzegł lekki uśmiech za jej woalką. – Obiecuję, że nie zabiję córki Erny'ego do twojego powrotu.

Abban, który przyglądał się krótkiej wymianie zdań, dostrzegł dyskretny gest Jardira i odwrócił się do Gareda.

– Oczywiście, synu Steave'a. Będziemy zaszczyceni. Wskaż nam drogę.

Mieszkańcy zielonych krain nie dbali specjalnie o hierarchię i nie zważając na swój status społeczny, łączyli się w grupki w przepelnionym dymem z fajek pomieszczeniu. Niemniej nawet wśród *chin* książęta trzymali się z dala od reszty – Ragen i Isan zdawali się samotną wyspą pośród tłumu. Na widok Krasjan Laktończyk cofnął się nieco, ale książę Miln, widząc wyciągniętą rękę Jardira, bez wahania uściśnął jego nadgarstek wedle północnej tradycji.

– To dla mnie wielki zaszczyt, książę Ragenie – powiedział Jardir. – Par’chin wielokrotnie opowiadał mi o tobie. Jeśli otacza cię choć cząstka chwały, którą ci przypisuje, nie musisz się bać o swoje miejsce w Niebie.

– Ja również jestem zaszczycony – odparł Ragen. W jego aurze widać było czujność, ale na wzmiankę o Par’chinie rozluźnił się nieco.

Gared dał znać i pojawiła się taca z kufkami północnego piwa.

– Pomyślałem sobie, że warto by było wznieść toast za pana Balesa.

Jardir uniósł dłoń.

– Wybacz mi, synu Steave’a, Evejah zabrania...

– Na czarne serce Nie, Ahmannie! – wykrzyknął Abban, czym zaskoczył wszystkich, a najbardziej samego Jardira. Wszak nigdy dotąd *khaffit* nie ośmielał się zwracać do niego przed innymi. – Przecież jesteś Shar’Dama Ka – odezwał się Abban tonem zarezerwowanym dla dziecka. – Wystarczy twoje słowo, żeby zmienić zapis w Evejah. Sam twierdzisz, że Par’chin zasługuje na wielką chwałę, a więc jeżeli chcesz go uhonorować, oddaj cześć zwyczajom tych ludzi i napij się za niego!

Zaskoczony Jardir zamrugął, nie mogąc wykrztusić słowa. Abban zaś sięgnął pod kamizelkę i wyciągnął z ukrytej kieszeni niewielką glinianą butelkę oraz kilka małych porcelanowych kubeczków.

– Przyniosłem nawet coś pasującego do okazji – dodał.

Oczy Rageny rozbłysły.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłem *couzi*.

– Paskudna rzecz – dodał Gared, choć wpatrywał się w trunek z zainteresowaniem.

Abban rozdał kubeczki i napełnił je alkoholem.

– Par’chin często odwiedzał mój pawilon i mieliśmy w zwyczaju napić się trzy razy przed przystąpieniem do interesów.

Jardir nie odezwał się ani słowem. Gdy on pił *couzi* po raz ostatni, nie skończyło się to dla niego dobrze, co zapamiętał sobie o wiele lepiej niż zakaz płynący z Evejah. Tymczasem Abban wzniósł kubeczek.

– Za syna Jepha, twardego negocjatora, który nigdy nawet nie próbował mnie oszukać.

Wszyscy się roześmiali, słysząc słowa kupca, po czym stuknęli się kubeczkami i płynnymi ruchami unieśli je do ust. Jardir skrzywił się, gdy alkohol oparzył go w język i przełyk niczym wrząca woda. Pozostałym również nie udało się opanować grymasów. Abban ponownie napełnił naczynka, a wtedy toast wygłosił Ragen:

– Za Arlena Balesa, który był mi równie bliski jak rodzony syn.

Znów się stuknęli, znów spełnili toast. Tym razem *couzi* już nie paliło, bo usta Jardira nadal były odrętwiałe po pierwszym łyku. Odprężył się i uświadomił sobie, że jego przyjaciel się nie pomylił. Ów pakt nie był jedyną rzeczą, którą był winien Par’chinowi.

Gdy Abban napełnił kubeczki po raz trzeci, Jardir uniósł swój jako pierwszy.

– Za Wybawiciela, który zasiada z godnością przy stole w Niebie.

Obojętny na zaskoczone spojrzenia pozostałych, Jardir bez wahania uniósł kubeczek do ust.

Tym razem poczuł smak cynamonu.



Leesha zamknęła za sobą drzwi kobiecego skrzydła i z radością wyciągnęła ręce ku dziecku. Olive rzadko już ssała jej pierś

i przerzuciła się na pokarm stały, który pochłaniała z tym samym entuzjazmem, co mleko matki. Miała co prawda dopiero nieco ponad roczek, a Darin zaledwie dziesięć miesięcy, ale oboje nie przestawali się gonić z małym Kajim po pokoju.

Malutki Arick, synek Rojera, który nie ukończył jeszcze sześciu miesięcy, nadal miał ochotę na pierś. Leesha otarła łzy, gdy malec zacisnął usteczka na jej sutku, wpatrzona w twarzyczkę, która wydawała jej się miniaturką oblicza przyjaciela. Skóra chłopczyka była ciemniejsza od karnacji ojca, ale przyszedł na świat z identycznymi rudymi włosami. Zachwycony zamknął oczka, jedząc z zapalem.

Amanvah przekazała córkę Rojvah Ineverze i wyjęła małą butelkę. Delikatnie zdjęła łzy z policzków Leeshy.

– Oddajesz cześć mojemu mężowi, dzieląc się swoim mlekiem z jego dzieckiem, pani.

Leesha pokręciła głową.

– To ja tu jestem zaszczycona.

– Sikvah byłaby dumna, widząc tę chwilę – powiedziała Amanvah. – A może spogląda teraz na nas z Nieba?

– Zajmowanie się dwójką dzieci musiało być dla ciebie bardzo trudne – rzekła Leesha.

– Na początku tak było – zgodziła się Amanvah. – Ale potem Ashia przyszła mi z pomocą.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić dla dziecka siostry włóczni – powiedziała Ashia.

Leesha pochyliła się, by ucałować czubek głowy Aricka.

– Wyrośniesz na silnego młodzieńca, skoro zajmują się tobą *Damaji'ting* i *Sharum'ting* Ka!

– Nie mówiąc już o księżnej Zakątka – dodała Elona, kołysząc młodą Selen, która właśnie usnęła.

Inevera przyglądała im się drapieżnym wzrokiem, ale Araine szepnęła jej coś do ucha i Damajah parsknęła śmiechem, głośnym i naturalnym.

– Jak miło ujrzeć wszystkie dzieciaki... – zaczęła Renna i urwała. Miast tego doskoczyła, by złapać wazon strącony przez goniące się

dzieci. – Uspokójcie się, wiercipięty!

– Przepraszamy, ciociu Ren! – zawołała Olive, ale wtedy Darin szturchnął Kajiego, a ten wrzasnął dziko. Cała trójka znów rzuciła się do gonitwy.

– Stwórca mi świadkiem – mruknęła Renna, wracając na kanapę – że ten chłopak ma większe szanse przyprawić mnie o atak serca niż jego ojciec.

– Bo oczywiście dziką naturę odziedziczył w całości po ojcu – zauważyła Leesha. – Po matce ma tylko dobre rzeczy.

– Ale gdzie tam! – mrugnęła do niej Renna.

– Kaji również nie jest niewiniątkiem – odezwała się Ashia. – Nie wysiedzi w żadnej kołysce czy kojcu. Wspina się jak Wypatrywacz i ucieka w środku nocy, żeby znaleźć Briara.

– A Olive łamie listewki w żaluzjach – rzekła Leesha. – Ma ledwie piętnaście miesięcy, a już jest silna jak koń.

– I jeśli odziedziczyła coś po ojcu, to pewnie jest jeszcze uparta jak osioł – stwierdziła Inevera.

Leesha parsknęła śmiechem. Nie zdążyła się jeszcze zaprzyjaźnić z Jiwah Ka Ahmanna, ale nie były już wrogami, a to dobrze rokowało na przyszłość.

– Darin nie zawraca sobie głowy wyłamywaniem czegokolwiek – powiedziała Renna. – Mały dematerializuje się i przenika na zewnątrz. Boję się jak zaraza, że którejś nocy popłynie na pustynię lub prosto w Otchłań, żeby poszukać taty.

– Może się zamieniać w mgłę? – Leesha próbowała ukryć niepokój.

Renna miała powody, by się martwić. Zerknęła na Olive, modląc się w duchu, by jej córka nigdy się tego nie nauczyła.

– Na razie tylko trochę – odparła Renna. – Po kawałku, ale tylko czekać, aż cały przeistoczy się w dym.

– Na noc – rzekła Elissa. – A ja myślałam, że trudno o większe ziółko niż Arlen.

Wszystkie się roześmiały, a Leesha, wsłuchana w ich wesołość, płacz niemowląt i dokazywanie starszych dzieci, odkryła w sobie nadzieję na to, że pokój pozostanie z nimi na długo.

Koniec







## Runy obronne


Pobierają magię, by stworzyć barierę nieprzenikalną dla demonów. Każdy z nich działa najlepiej na wybrany gatunek demona, a najczęściej łączy się je wraz z innymi w kręgi ochronne. Zaktywowany krąg odrzuca ciało każdego otchłanca, który usiłuje go sforsować.




**Demon bagienny** – jest wodną odmianą demona drzewnego, spotyka się go na terenach podmokłych. Czuje się równie dobrze w wodzie, jak i wśród drzew. Jego skóra pokryta jest zielonymi i brązowymi plamami, dzięki czemu otchłaniec może się stopić z otoczeniem. Często kryje się między drzewami, w błocie bądź płytkiej wodzie, skąd wyskakuje na swoją zdobycz. Atakując, pluje gęstym, lepkiem szlamem, a to wywołuje pospieszne gnicie każdej substancji organicznej, z którą wejdzie w kontakt.

 **Demon błyskawic** – jest niemal niemożliwy do odróżnienia od swojego kuzyna, demona wichrowego, ale jego podstawową bronią jest wypluwany ładunek elektryczny, który potrafi sparaliżować ofiarę. Pluje podczas lotu nurkowego, a potem porywa obojętne ofiary i unosi ku niebu, by tam pożreć je żywcem.

 **Demon brzeźny** – nazywany również żabim demonem bądź ropuchą, w istocie przypomina powszechnie spotykaną żabę, ale jest na tyle wielki, by móc połknąć człowieka w całości. Czai się w płytkiej wodzie, z której wyskakuje, gdy ofiara znajdzie się w zasięgu. Ląduje na ziemi, oplatając długi, mocny język wokół talii lub kończyny potencjalnej ofiary, i wciąga ją do szeroko rozchylonej paszczy. Następnie powraca do wody, gdzie topi szamoczącą się zdobycz.

 **Demon drzewny** – żyje w lasach, a wielkością i wzrostem ustępuje jedynie demonowi skalnemu. Gdy stoi na tylnych nogach, sięga od pięciu do dziesięciu stóp wzrostu. Ma krótkie, masywne łapy i długie, muskularne ramiona, idealnie nadające się do wspinania po gałęziach czy przeskakiwania z konaru na konar. Także krótkie i zakrzywione szpony ułatwiają pięcie się po pniu drzew. Skóra przypomina korę teksturą i barwą. Drzewny demon ma wielkie czarne oczy. Nie można wyrządzić mu krzywdy zwykłym ogniem, ale staje w płomieniach, gdy zostanie obłany płynnym ogniem demonicznym bądź opluty przez demona ognistego. Z tego też powodu darzą się wielką nienawiścią i zabijają przy każdej okazji. Często poluje w grupach.

 **Demon gliny** – spotyka się go na połaciach twardej, zbitej gliny, które ciągną się na obrzeżach krasjańskiej pustyni. Rozmiarami dorównuje średniej wielkości psu. Jest krępy i muskularny, a jego ciało kryje gruby pancerz z nachodzących na

siebie płyt. Dzięki krótkiemu, mocnemu ogonowi potrafi wspinać się po każdej skale, a nawet zwisać z nich głową w dół. Pomarańczowo-brązowy pancerz pozwala mu idealnie zamaskować się wśród ścian lepianek bądź w korycie wyschniętej rzeki. Tępo zakończona głowa przebija się przez niemal każdą przeszkodę, rozbija kamień i wyszczerbi stal.



**Demon jaskiniowy** – zwany również demonem pajęczym, ma osiem odnóży, dzięki którym przemieszcza się z dużą prędkością. Potrafi wytwarzać lepkać nić, która jest pozbawiona magii i przez to niewidzialna w runicznym widzeniu oraz odporna na runy ochronne. Przygotowuje pułapki i czeka w ukryciu na ofiarę. Rzadko kiedy pojawia się na powierzchni, chyba że zostanie wezwany przez demona umysłu. Na ogół można go spotkać w głębokich jaskiniach lub w tunelach roju. Jest strażnikiem spizarni.



**Demon kamienny** – to mniejszy kuzyn skalnego otchłańca. Jego pancerz to zlepek najróżniejszych skał i kamieni. Na ogół jest przysadzisty i powolny, ale należy do silniejszych i najbardziej niezniszczalnych spośród demonów. Jako że może powstać niemal wszędzie i nie wymaga specyficznych warunków, jest od skalnego o wiele powszechniejszy.



**Demon ognisty** – oczy, nozdrza i pysk demona ognistego jaśnieją pomarańczowym, spowitym dymem światłem. Jest najmniejszy spośród otchłańców, na ogół większy od królika, ale mniejszy od dużych kotów. Podobnie jak wszystkie demony, ma długie, haczykowate szpony i rzędy ostrych niczym brzytwy kłów. Jego pancerz składa się z drobnych, nachodzących na siebie łusek, twardych i zaopatrzonych w ostre krawędzie. Demon ten potrafi pluć ognistą wydzieliną, która eksploduje w kontakcie z powietrzem i podpala niemal każdy materiał, łącznie z metalem i skałą.



**Demon piaskowy** – choć spokrewniony z demonem skalnym, piaskowy jest mniejszy i zwinniejszy, ale nadal należy do najsilniejszych i najlepiej opancerzonych otchłańców. Jego ciało kryje drobna, ostra łuska, brudnożółta i trudna do odróżnienia od żwiru. Przemieszcza się na czterech łapach, choć podczas walki potrafi stanąć na dwóch. Jego krótki pysk kryje rzędy ostrych kłów, a wąskie nozdrza znajdują się tuż pod wielkimi, pozbawionymi powiek ślepiami. Spomiędzy łusek na głowie wyrastają grube, zagięte ku tyłowi rogi. Jego brwi nieustannie drgają, usuwając niesiony wiatrem piasek.



**Demon polny** – zwinnie, przyczajony nisko przy ziemi, wyposażony w długie odnóża i chowane szpony, demon polny jest w stanie dogonić każdego uciekiniera pod warunkiem, że ma wystarczająco otwartej przestrzeni, by się rozpędzić. Twarda łuska na kończynach i zadzie powstrzyma prawie każdą broń, ale słabym punktem otchłańca jest stosunkowo miękkie, choć rzadko odsłaniane podbrzusze.



**Runy schronienia** – to podstawowe runy ochrony, których uczone są dzieci. Nie są tak potężne jak runy przypisane do poszczególnych gatunków otchłańców, ale wywołują wrażenie dyskomfortu, które wystarcza, by przepędzić wszystkie otchłańce w zasięgu, chyba że te dostrzegą zdobycz. Bardzo duże bądź potężne runy schronienia mogą utworzyć barierę. Run ten używany jest w thesańskiej grze kościanej zwanej „schronieniem” oraz w jej krasjańskiej wersji noszącej nazwę „sharak”.



**Demon skalny** – reprezentuje największy gatunek wśród otchłańców i dorasta od sześciu do dwudziestu stóp wysokości. Jest ogromnym, muskularnym gigantem, którego ciała broni gruby pancerz najeżony kościanymi kolcami, a jego najgroźniejszą bronią jest kolczasty ogon, którym potrafi kruszyć skały. Chodzi w pozycji wyprostowanej, choć się garbi. Jego długie, sękate ramiona zwieńczone są pazurami długości noży

rzeźnickich. Nie istnieje niemagiczna broń, która mogłaby wyrządzić jakąkolwiek krzywdę skalnemu demonowi.



**Demon śnieżny** – podobny z budowy do demona ognistego, śnieżny zamieszkuje mroźną północ oraz wysokie szczyty. Jego łuska jest idealnie biała, ale migocze najrozmaitszymi kolorami, gdy padnie na nią światło. Demon ten jest niemal niewidoczny w śniegu, a pluje płynem, który błyskawicznie zamraża wszystko, na co padnie. Trafiona nim stal staje się krucha do tego stopnia, że pęka przy mocniejszym uderzeniu.



**Demon umysłu** – znany również jako książę otchłańców. Demon umysłu jest przywódcą całego rodzaju. Jest wyłącznie rodzaju męskiego. Nie dysponuje imponującą siłą fizyczną ani też innymi cechami, które czynią z demonów pomniejszych gatunków straszliwych przeciwników w walce, włada za to wielkimi mocami magicznymi oraz umysłowymi. Potrafi czytać myśli i opanować umysły swych ofiar, komunikować się telepatycznie i wpajać podwładnym zalecenia, za którymi będą podążać aż do śmierci. Jest również w stanie kreślić runy w powietrzu i nadawać im moc z własnych zasobów. Otchłańce pomniejszych gatunków bez sprzeciwu wypełniają każde telepatycznie przekazane polecenie i bez wahania poświęcają własne życie w obronie księcia. Wrażliwy nawet na blask księżyca, demon umysłu pojawia się na powierzchni jedynie w najciemniejszych godzinach trzech dni nowiu.



**Demon wichrowy** – w pozycji stojącej demon wichrowy mierzy około sześciu stóp, ale z jego głowy wyrasta ostry, płaski czub pełniący rolę statecznika, dzięki czemu otchłaniec sięga w sumie ośmiu, dziewięciu stóp. Jego zaopatrzone w ostre krawędzie dziób kryje szerokie rzędy kłów. Skóra jest twarda, ale elastyczna, może zatrzymać większość grotów strzał czy ciosów włócznią. Tworzy też błonę skrzydeł, które mogą być trzykrotnie dłuższe od samego potwora. Choć na ziemi jest

niezdarny i powolny, w powietrzu wichrowy demon jest straszliwym przeciwnikiem. W miejscach, gdzie zbiegają się cienkie kości skrzydeł, wyrastają zabójcze haczykowate szpony. Preferowaną metodą ataku jest ciche nurkowanie – opadający otchłaniec rozrzuca z trzaskiem skrzydła tuż przed ofiarą i odrzyna jej głowę, po czym łapie ciało ofiary i odlatuje.



**Demon wodny** – rzadko kiedy uda się dostrzec wodnego demona, ale wiadomo, że różni się od siebie kształtem i rozmiarami. Niektóre są niewiele większe od ludzi, zwinne i pokryte łuską, a ich połączone błoną pławną palce u kończyn górnych i dolnych zwieńczone są pazurami. Inne z kolei są na tyle duże, że potrafią opleść grubymi, pazurzastymi mackami trójmasztowy okręt i wciągnąć go pod wodę. Spotyka się także okazy jeszcze większe, zwane lewiatanami, które potrafią wyskoczyć ponad powierzchnię wody i opaść, by wywołać ogromną falę. Oddychają wyłącznie pod wodą, przez co mogą się wynurzyć jedynie na krótką chwilę.





**Demon zmiennokształtny** – to elita wśród otchłańców i osobista eskorta książąt. Nie jest aż tak wrażliwy na światło jak jego panowie i jest bardziej inteligentny od innych gatunków, dzięki czemu służy jako oficer hordy otchłańców i może zarówno wzywać, jak i narzucać swoją wolę pomniejszym rodzajom. Jego naturalna forma nie jest znana, potrafi upodobnić się do wszystkiego, co napotyka, od przedmiotów nieożywionych po inne istoty, strój czy ekwipunek. Jego ulubiona taktyka to poznanie imienia potencjalnej ofiary i przybranie ciała jej przyjaciela. Demon udaje wówczas, że znalazł się w sytuacji zagrożenia i wzywa ofiarę, skłaniając ją, by opuściła barierę runiczną.





## Runy ofensywne/bojowe


Przekształcają magię dla różnych celów. Niektóre pobierają moc bezpośrednio od uderzonego demona, inne zaś są zasilane przez ukryte kości demoniczne zwane też *hora*.


 **Cięcie** – runy cięcia, wyryte wzdłuż ostrza, zwiększają jego ostrość, pozwalając broni rozplatać nawet pancerz i ciało otchłānca. Pobierają moc z demona w chwili uderzenia, osłabiając pancerz, wzmacniając broń i wyostrzając ją niemal do poziomu molekularnego.


 **Gorāco** – runy gorāca zwiększają energię termiczną. Przedmioty, na które je naniesiono, ulegają destrukcji w chwili aktywacji runu, chyba że wykonano je z materiałów odpornych na wysokie temperatury.


 **Lektryka** – te symbole przekształcają magię w elektryczność, którą można skierować na przedmiot lub stworzenie. Można je również łączyć i tworzyć w ten sposób obwody.

 **Napór** – runy naporu budują miażdżącą siłę, która rośnie z każdą chwilą kontaktu z ciałem demona, potęgując jednocześnie gorąco. Naznaczony miał takie runy na obu dłoniach i widziano, jak zaciskał je na głowie demona, aż ta pękała.


 **Ogniste plunięcie / lodowe plunięcie** – runy te używane są jako obrona przeciwko ognistym demonom i zamieniają ich ogniste plunięcie w chłodny podmuch powietrza. Ich odwrócony odpowiednik zamienia lodowe plunięcie w gorący podmuch.


 **Przebicie** – runy przebicia pobierają moc z trafionego miejsca na ciele otchłańca. Osłabiają tym samym jego pancerz i skupiają moc na czubku ostrza, potęgując jego siłę penetracji.


 **Przyciąganie** – runy przyciągania niczym potężny magnes przyciągają żelazo do wybranego miejsca. Czasami są wykorzystywane, by poprawić celność ostrzału armatniego.

 **Szkło** – runy naniesione na szkło i wzmocnione magią czynią ten materiał twardszym od diamentu i mocniejszym od stali bez konieczności zmiany jego wagi czy wyglądu. Runiczne szkło jest powszechnie wykorzystywane do tworzenia niezniszczalnych okien, butelek, broni i pancerza.



 **Uderzenie** – runy zamieniają magię w siłę uderzeniową. Można ich użyć samodzielnie lub po to, by wzmocnić cios zadawany bronią obuchową. Wykorzystane podczas ataku na demona, zasysają magię niczym runy cięcia, jednocześnie osłabiając pancerz i zwielokrotniając siłę uderzenia. Im silniejszy cios, tym zostaje wytworzone więcej mocy.

 **Wilgoć** – runy te ściągają wilgoć z powietrza bądź z pobliskich zbiorników wody. Dzięki nim można dostarczać roślinom odpowiednią ilość wody bez ludzkiej interwencji, wypełnić niewielki zbiornik czy też zgasić ognistego demona. Potężne runy wilgoci mogą utopić lub – przy zastosowaniu odwróconego odpowiednika – odwodnić ofiarę.

 **Zimno** – run zimna redukuje energię termiczną i raptownie ochładza wyznaczony obszar do temperatury poniżej zera. Potężne runy zimna mogą skruszyć stal, a nawet pancerz skalnego demona.





## Runy percepcji


Tworzą magiczne efekty, które zakłócają działanie zmysłów demonów, a niekiedy też ludzi.


**س** **Dezorientacja** – runy dezorientacji tworzą obszar, w którym demony tracą orientację w terenie i świadomość tego, co robią. Otchłaniec, który padnie ich ofiarą, często zapomina, na czym mu zależy, i odchodzi, nie czyniąc nikomu krzywdy. Runy nie działają w sytuacji, gdy demon ściga ofiarę.

**س** **Kamuflaż** – runy kamuflażu wykorzystują cechy otoczenia, by zamaskować wyznaczony obszar. W przeciwieństwie do runów niewidzialności, które działają tylko na demony, kamuflaż może być zastosowany, by ukrywać przed ludźmi miejsca. Ich działanie zakłóca nagły lub szybki ruch.

 **Niewidzialność** – runy odkryte ponownie przez Leeszę córkę Erny'ego. Dzięki nim przedmioty lub osoby stają się niewidzialne dla demonów pod warunkiem, że są w miarę nieruchome. Setki bądź nawet tysiące runów tego typu są wykorzystywane do wykonania płaszczy niewidzialności, które chronią ludzi podczas nocy.

 **Proroctwo** – runy wygrawerowane na *alagai hora* należących do *dama'ting*, odczytują prądy magii, by przedstawić wizję przyszłości. Ich magia ściąga rzucone kości z ich naturalnej trajektorii, by udzielić odpowiedzi na pytania postawione w modlitwie do Everama. Sztuka tworzenia kości i odczytywania ich rzutów jest ściśle strzeżonym sekretem krasjańskich kapłanek, a karą za podzielenie się nimi z obcymi jest śmierć.

 **Runiczne widzenie** – wyrysowane wokół oczu i naładowane mocą runy pozwalają mieszkańcom powierzchni widzieć w magicznym spektrum, dzięki czemu całkowite ciemności stają się dla nich równie wyraźne jak dzień. Osoba dysponująca runicznym widzeniem dostrzega też pływy magii, potrafi ocenić moc kombinacji runów i odczytywać aurę każdej żywej istoty. Człowiek obdarzony doświadczeniem potrafi z aury wyczytać, co obserwowana osoba czuje i myśli, a czasem dowiedzieć się czegoś o jej przeszłości lub nawet przyszłości.

 **Światło** – runy te zamieniają magię w czyste światło. W zależności od źródła mocy można uzyskać efekt od zarzenia aż po oślepiający blask.

# Podziękowania

**M**inęło dziesięć lat od chwili, gdy sprzedałem prawa do „Malowanego człowieka”, i przez ten czas wielu, wielu ludzi pomagało mi w przekuwaniu „cyklu demonicznego” w rzeczywistość. Nie potrafię wyrazić wdzięczności, na którą zasłużyli sobie redaktorzy, agenci, wydawcy, marketingowcy, specjaliści od reklamy i księgarze. Nie wiem też, jak dziękować Wam, Drodzy Czytelnicy, ale pozwólcie, że wymienię kilka osób naprawdę dla mnie szczególnych.

Przede wszystkim chciałem podziękować doktorowi Billowi Greene’owi za wtajemniczenie mnie w zielarstwo oraz Lauren Greene za to, że sprowadziła do mojego świata cudowną córeczkę dzień po tym, jak książka trafiła do wydawcy. Dziękuję Sirenii, która zamieniła każdy moment mojego życia w klejnot, i Cassandrze Brett, która sama staje się wspaniałą malutką pisarką.

Dziękuję Myke’owi Cole’owi, który wierzył w moją pracę bardziej niż ktokolwiek inny na świecie i który skierował mnie do Joshuy Bilmesa. Jego zespół w JABberwocky Literary Agency okazał mi niebywale wsparcie.

Dziękuję moim redaktorom, a zwłaszcza Tricii Narwani oraz Natashy Bardon, które otrzymały monstrualny manuskrypt liczący sobie 1043 strony i pomogły zamienić go w dzieło sztuki, a także Laurze Jorstad, mojej korektorce, która wykonuje za kulisami tytaniczną wprost pracę.

Dziękuję Larry’emu Rostantowi, którego ilustracje okładkowe niezawodnie przyciągają spojrzenia w księgarniach, oraz Millennium FX, który wykonał naturalnej wielkości rzeźbę Alagai Ka. Dziękuję Lauren K. Cannon za projekty runów oraz

Dominikowi Brońkowi za wstrząsające rysunki. Dziękuję lektorom Pete'owi Bradbury'emu, Colinowi Mace'owi oraz całemu zespołowi w GraphicAudio. Dziękuję wydawcom zagranicznym oraz tłumaczom, których praca przybliżyła moje książki rzeszom nowych czytelników. Dziękuję mojej asystentce Karen, która troszczy się o mnie, bym mógł się skupić na pisaniu.

Dziękuję wreszcie każdemu, którego nie zdołałem tu wymienić. Bez Was nie ukończyłbym tej podróży.

COPYRIGHT © Peter V. Brett  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2018

TYTUŁ ORYGINAŁU The Core

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-300-4

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Larry Rostant

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE za zgodą autora

MAPA ORAZ ARANŻACJA GRAFICZNA STRON 4, 5 black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJE Dominik Broniek

TŁUMACZENIE Marcin Mortka

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD OPRACOWANIE OKŁADKI „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

 swiatksiazki.pl



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](https://www.facebook.com/fabryka)





# PETER V. BRETT OTCHŁAŃ

**Ceną za życie wszystkich jest śmierć najlepszych.**

Czas na ostateczną bitwę. W tym pojedynku przetrwa tylko jedna strona – ludzka lub demoniczna.

Drużyna straceńców staje przed bramami Otchłani. Nie ma już odwrotu, nie ma miejsca na wątpliwości ani czasu na wahanie. Przeciwko sobie mają całą potęgę Nie oraz pokonanego, ale nie złamanego Alagai Ka.

Jednak najcięższą walkę każdy z bohaterów stoczy sam ze sobą. Aby zwyciężyć, muszą poświęcić to, co kochają najbardziej. Jeśli zawiodą, po ludzkości nie pozostanie nawet ślad.

**Sharak Ka – ostatnia wojna  
przeciwko demonom – dobiega końca.**

**TO JEST WŁAŚNIE CZAS ROJU!**



Polub nas na  
**facebooku**

# Spis treści

Karta tytułowa

Cykl demoniczny

Thesa – mapa

Wejście do Otchłani

Ciemność

Kochankowie

Opowieść Araine

Wilki

Krynica Everama

Zagajnik Hardena

Śnieżyca i wstrząsy

Zło rodzi życie

Włócznia Ala

Odcięci

Dym i mgła

Dziewczęta Jessy

Sharak Ka

Umysł Świstacza

Alamen fae

Światło Gór

Rój

Otchłań

Zrodzony w Ciemnościach

Pakt

Runy obronne

Runy ofensywne/bojowe

Runy percepcji

Podziękowania

Karta redakcyjna

Okładka